

12

589

*Dr. Ignacy Matuszycki*





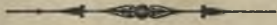
Egz. archiwalny IBL

POWIEŚCI  
JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO

W PIERWSZYM ZUPEŁNEM WYDANIU

---

**Tom VI.**



WE LWOWIE  
NAKŁAD I DRUK A. J. O. ROGOSZA.  
1875.

<http://rcin.org.pl>



INSTYTUT  
RĘKOPISÓW I ZBIORÓW KSIĘGARSKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-66-63, 26-52-31 w. 42

709

# SZKOŁA ŚWIATA.

(Pierwsze wydanie 1861 r.)

SKOPIA SWIATA



## CZEŚĆ PIERWSZA.

### Gniazdo rodzinne.

#### I.

Było ich troje, wszystko dzieci prawie, z twarzami, na których nie poznać jeszcze ni obłudy, ni doświadczenia życia. Młodzieńcza barwa ni to puch wiosenny, nie zdarta z nich jeszcze. Znałem ich dobrze, i widziałem ich kroki, i widziałem ostatnie po drodze życia. I to wszystko tak niedawno, że zdaje mi się, jako drży jeszcze w powietrzu ostatni dźwięk ich srebrnego głosu, którym tam w ogrodzie w samotnej altance dzwonili tak wesołym szczebiotem, jakby skowronki pod niebo wzlatujące. Znałem ich i o nich to chcę wam opowiedzieć tym razem. Ich dzieje, to zwykłe dzieje tej szkoły świata, którą każdy przechodzić musi, która wiele naucza, ale i wiele oziębia.

Jak mówiłem, siedzieli w ogrodzie w ukrytej za gajem brzo-zowym altance, z różnobarwnych powojów uplecionej, i gwarzyli swobodnie o tych chwilach, co im wczoraj, pozawczoraj tak lekko ulatywały. A była to przecie z tych chwil swobodnych przedostatnia, bo za dni parę mieli porzucić wieś, w której dotąd mieszkali, by udać się do miasta. To nie było rodzeństwo. Wpatrzywszy się nawet w ich twarze, można to było poznać od razu. Najstarszy pomiędzy nimi był Kazio, najmłodszą Anusia i średni Guccio. Sliczne dzieci, ale każde w swoim rodzaju.

Kazio, syn domu, jasny blondyn, z okiem jak niebo błękitnem, z pustym uśmiechem przy rumianych ustach, miał rysy nieco miękkie, rzeczy można: niewieście nawet.

Przeciwnie Anusia była brunetka z twarzyczką pociągłą oczami lśniącem, jakby dwa djamenty najczystszej wody. A ile było życia w tych oczach, możnaby nawet powiedzieć: ile ciekawości! Zdało się zaprawdę, że te oczy żywo latające rade się wszędzie wświdrować, wszystkiego dowiedzieć. A usteczka z dwoma dołkami, teby znowu rade wszystkim coś miłego powiedzieć, wszystkich prze-

ciągnąć w zaczarowane koło tej serdeczności, która biła z jej każdego słówka i z każdego poruszenia.

Gucio śródkował między niemi i składem twarzy i jej wyrazem. Włos miał ciemny, z odblaskiem wszakże jasnym, który nieraz nad jego kształtną główką w świetle słonecznym dziwnie się promienił. I oko takąż samą miało barwę niepewną i zmienną; to jaśniejsze to ciemniejsze zdawało się zmieniać za zmiennym wyrazem twarzy, której rysy wydatne, odznaczone, zdawały się zdradzać typ nie nasz, nie słowiański. Przy ustach za wielkich może bywał uśmiech, chociaż uśmiech ze wszystkich najnaiwniejszy może, ale częściej daleko po ustach i twarzy przechadzał się inny poważniejszy wyraz, jakby przeczućowego zamyslenia.

To też z nich wszystkich najdowcipniejsza Anusia trzema słowami najlepiej siebie i swoich towarzyszy opisywała.

— Ten — mówiła wskazując Kazia różanym paluszkim — ten to pustota!... Ten — rzucając spojrzenie ukośnie na Gucia — ten to zamyslenie!... A ja — dodawała z udaną skromnością, przykrywając oczy długimi rzęsami — ja jestem ciekawość.

Lecz posłuchajmy przez chwilkę ich szczebiotania, a dowiemy się może coś o ich przeszłości, a przynajmniej lepiej poznamy ich usposobienie.

— Nasz Guccio więcej zamysłony niż kiedykolwiek — mówił Kazio, którego niespokojne nogi nie mogły zdaje się już dłużej wytrzymać na jednym miejscu. — Ot wolelibyśmy pobiegać. Nieprawda Anusiu?...

— Ja nie wiem dla czego, — odpowiedziała Anusia z wyrazem głębszym — ale to miejsce nigdy piękniejszym się nie wydało, jak dzisiaj. Popatrzcie na ten nasz gaik!

— Jaqueśmy nieraz biegali po głównej uliczce na wyścigi.

— I ja zawsze pierwsza przybiegłam.

— Cóż ty na to Gucciu!...

— Ja!... sam nie wiem, co mam powiedzieć. Godzę się z Anusią, że to miejsce jest śliczne; że śliczniejszego nie znam.

— Ba!... wielka sztuka!... albo my co znamy jeszcze?

— I kto wie, czy znajdziemy kiedy piękniejsze — dodał Guccio opierając głowę na rękę z wyrazem pół smutku — przynajmniej czy znajdziemy takie, w którym by nam było lepiej.

— To może i prawda! — przemówiła Anusia, schylając także główkę na ramię i przybierając wyraz poważniejszy.

— Dzieci jesteście! — zakrzyczał Guccio, tupając nogą z pewną niecierpliwością.

— Jaki mi stary!...

— Ależ bo prawda!... czy słyszana rzecz, tak długo się nad tem rozwodzić, że porzucamy wieś, w której było nam dobrze; ale w mieście będzie nam lepiej.

— Czy tak myślisz Kaziu? — przerwał Guccio, przysuwając się do niego. — Ja nie myślę...

— W mieście codzień coś nowego i ciekawego.



— To prawda! — zawołała Anusia, klaszcząc w dłonie białe i zaiskrzyły jej się oczy — A sklepy jakie!...

— A przechadzki!... i po nich powozy, i pełno dam, i kawalerów z pierwszych domów. Ubiory bogate, wykwiłtne.

— Aj to prawda! — przemówiła Anusia z pół westchnieniem — ale na to potrzeba wiele, bardzo wiele pieniędzy...

— Fe Anusiu! — przemówił Kazio z wyrazem wymówki. — Mój stryj przecie bogaty!... mnie nic nie odmówi... a ja!... przecież i ty Anusiu mnie nie odmówisz. — I gdy rzekł to, wyraz roztrzęsania znikł z jego twarzy i oczy zapaliły się, spoczawszy na ślicznej Anusi. Dodajmy co prędzej, że to były dzieci, prawdziwe dzieci, wychowane na wsi. Szczebiocząc bez myśli powtarzały to może, co które z nich zasłyszało. Anusia wszakże na słowa Kazia skrzywiła rumianemi usteczkami i odpowiedziała z budzącą się zalotnością:

— Ty możesz przyjąć od stryja, a ja, to co innego. Ja jestem obca...

— Ty obca!... dla mnie nigdy!...

To były dzieci powtarzam, ale i w dzieciach budzą się nieraz zarody przyszłych uczuć i nawet przyszłych namiętności, co się w łonie każdego człowieka wyrabiają niezrozumiałym dla nas sposobem. Dzieci były, takie poczciwe dzieci! Kazio miał piętnaście lat, Anusia trzynaście, a Gucio czternaście.

Przez czas tej krótkiej rozmowy Kazia z Anusią, Gucio zdawał się jeszcze więcej zamyślony. I zapewne myśl jego była gdzie indziej, choć go pojedyncze dochodziły słowa.

— I teatr jest — przemówił nagle, przypominając sobie zapewne przerwana pierwszą rozmowę. — I teatr! — powtórzył — i koncerta! To musi być śliczne.

— A widzisz Guciu!... i wszystkiego tego będziemy używać, i bawić się razem: Anusia, ty i ja!... bo ja tak chcę i czy rozumiecie mnie dzieci!...

— Ma rację Kazio! — zawołała Anusia z najweselszym uśmiechem, i zerwawszy się z miejsca, porwała go za rękę i zakręciła z nim pusta i swobodna. Aż się Gucio uśmiechnął.

— Może i ma rację!... Ale jak was kocham, nie wiem dla czego gdy pomyślę o naszym wyjeździe, coś mnie ściska za serce... Sam nie umiem sobie wytłumaczyć, bo zapewne... Może wy wiecie.

I wszystko troje zamyślili się najpoważniej, szukając tej przyczyny, która kochanego Gucia ściska za serce.

— Nie będziemy tam razem! — przemówił nagle Gucio i aż rękę załamał. — Tak jest, nie będziemy w mieście tak razem jak tu na wsi.

— Nie będziemy razem? — wykrzyknęła Anusia z wyrazem szczerzego przestachu.

— Co też ty pleciesz mój Guciu!... jak na mękach. Wszakże wiem o tem, że mój stryj ma w mieście kamienicę, i w niej wszyscy razem będziemy mieszkać; to jeszcze bliżej jak tu na wsi, gdzie jak błoto, to po was dopiero powóz posyłać trzeba.

— Wszyscy razem! — zaszczębiotała Anusia z wracającą wesołością. — A widzisz Guciu! niedowiarku.

— Przecież to już ułożone! Ja z stryjem będziemy mieszkali na pierwszym piątrze; ty z matką na trzecim.

— Tak wysoko! — przerwała z roztrzępaniem, nie myśląc wszakże o tej różnicy mieszkania.

— To być inaczej nie może — odpowiedział Kazio z równym roztrzępaniem. — A ty Guciu! będziesz mieszkał w oficynach.

— Biedny Gucio!... to on nie będzie miał tam ani słońca, ani powietrza!...

— Przecież innego pomieszkania nie mógł stryj dla Gucia przeznaczyć; w mieście wszystkie pomieszkania tak drogie i wszystkie powynajmywane.

— Nic to! — przerwał Gucio — byłem miał moje utrzymanie, a będę miał niebo i powietrze.

— Mój drogi! — wykrzyknął Kazio, który sam nie wiedział dla czego uczuł w sercu jakiś wyrzut sumienia. — Mój Guciu!... wszakże ty cały dzień ze mną w pokoju będziesz siedział. Razem będziemy pobierać nauki. Razem z tobą i Anusią.

— Razem! razem zawsze! — powtórzyli wszyscy troje i porwali się za ręce ze szczerem uczuciem.

— Razem! wszyscy zawsze razem! — powtórzył Gucio, zarumieniony wyższem uczuciem, które bez jego wiedzy zamieszkało mu w łonie i przy niejednej sposobności dobywało się na gwałt na wierzch, czy żywszem spojrzeniem, czy słowem gorętszem, czy westchnieniem ulatującym Bóg wie gdzie i dla czego, czy nawet łzami, które mu nieraz tak słodko płynęły. — Razem! — mówił dalej — bo czyliż moglibyśmy inaczej. My się przecież kochamy? nie prawdaż?..

Zdziwione pytaniem takim popatrzyli dzieci na siebie.

— Alboż my się możemy nie kochać? — zapytała pierwsza Anusia z wyrazem serdecznej naiwności, który ją ukraśniał.

— Dobrze mówi Anusia. Wszak się kochamy, odkąd się znamy. A fe Guciu!

— Przepraszam was!... Ale wiercie, że was kocham i jak was kocham!... — To mówiąc, miał łzy w oczach; i Anusi zwilżyły się oczy.

— Pocziwy Gucio! — Przemówiła rozczulonym głosem i porwała go za rękę. — Ale chodźmy już do domu, — dodała, — bo przecież dziś goście mają być u twego stryja..

— A tak!... nasz nowy sąsiad! — odpowiedział Kazio, który, co mu się rzadko bardzo trafiało, spoważniał i za biegnącymi naprzód szedł zamysłony.

Anusia mimowolnie oglądała się za nim razy kilka. I wbiegła do brzozowego gajku. A tyle tam było i kwiatów i ptaszków, że Anusia i Gucio mówić przestali. On słuchał ptaszków, których głos miał dla niego urok niesłychany; ona patrzyła na kwiatki, których barwy jaskrawe nęciły ją nadzwyczajnie. I Gucio przyzostał się nieco.



— Kaziu!... co tobie znowu? — zapytało dziewczę, wołając towarzyszka paluszkciem.

— Mnie?... Słuchojno Anusiu! chciałbym, abys mi odpowiedziała na jedno pytanie, które mi tylko co przyszło do głowy, gdyście się tam w altanie oboje rozczulili z Guciem...

— Ciekawam! — I utkwiała ciekawe swe w niego oczy.

— Ale odpowiedz mi szczerze; ja cię o to proszę. Kogo ty więcej kochasz, czy mnie, czy Gucia?

Dziewczyna patrzyła na niego na pół zdziwiona, na pół zamyślona, i po krótkiej chwili odpowiedziała:

— Alboż ja mogę którego z was więcej kochać jak Kocham!...

I wesoło wpadając śmiech, zawołała Gucia, aby mu opowiedzieć dziwne Kazia zapytanie. A potem porwała nagle obu za ręce i stawiając ich przed sobą, przemówiła z powagą na pół prawdziwą:

— A kiedy tak! to odpowiedzcież mi teraz obadwa, który mnie z was więcej kocha?

— My ciebie! — zawołali obadwaj i po raz pierwszy może oczy jednego i drugiego silniejszym zapaliły się ogniem. Ale wnet zaśmiała się Anusia pustym i wesołym śmiechem, i przerywając sobie i im, dodała:

— Ja wiem, że mnie kochacie; ja przecież wasza siostra, od kiedy zapamiętamy.

I porwawszy się za ręce, biegli ku domowi.

Lecz już dosyć o nich, a może i zanadto długo zatrzymałem się przy nich. Uczucia proste i niewinne są dla świata dzisiejszego głosem dawno zapomnianym, zagłuszonym przez to życie cale dzisiejsze, które leci naprzód, gdyby lokomotywa, którą wszyscy gonimy naprzód, gdyby iskra elektryczna, co telegrafem niesie z sobą cyfry giełdowe, ten najprawdziwszy wyraz uczuć i myśli większości. Dosyć prędko rozszerzą się przed nami te sceny życia na wielkiej widowni, przy których kto wie, czy żałować nie będziemy tego kwiecistego i uroczonego gniazdeczka rodzinnego, które już nie długo porzucimy.

## II.

Wejdzimy zatem do dworu samego, gdzie nas inne czekają znajomości. A najprzód opiszmy miejscowość.

Kalińce były stolicą kilku włości, łączących się razem w jeden klucz znakomity i znany ze swej ziemi urodzajnej w Przemyskiem. Ziemia przemyska ma w kraju naszym więcej typ odrębny, a nawet i swoją historję odrębną. Co do typu, niegdyś nie darmo Przemyskie nazywano u nas w kraju „ogrodem galicyjskim“. Ta odrębność typu łączy się ściśle z przeszłością kraju naszego. Z dawien dawna od Sanu zacząwszy aż ku naddniestrzańskim dolinom Samborskim, na kilkunastumilowej przestrzeni, płaskiej więcej a za to zarosłej mgielami gajami i oblanej obfitemi w czystą wodę zdrojami i strumie-

niami, zamieszkały same zamożniejsze rodziny nasze, tuląc się w około wielkich historycznych siedlisk, Lubomirskich, Czartoryskich i t. d. U naszych wielkich panów, wielkie było zawsze zamiłowanie w ogrodach, które cienistemi i niebotycznemi ulicami otaczały stare zamki i pałace nasze. Ojcowie nasi, czy wracali z wojennych wypraw, czy senatorskie rzuciwszy krzesła, spieszyli do domowej zagrody i radzi byli odpoczywać pod tą naszą starodawną lipą mianowicie, tą ozdobą najpiękniejszych siedzib sielskich. Pod lipą lubieli siedzieć i marzyć nasz Jan Kochanowski; pod lipą cienistą nasz Jan Sobieski — tamten, by nową pieśnią wzbogacić ojczystą literaturę, ten, by nowe zapisać zwycięstwa do wielkiej naszej księgi dziejowej. Pod lipą ojcowie nasi przyjmowali gości swoich; pod lipą otoczeni gronem rodzinnem, opowiadali dzieciom i wnukom swe życie, w czyny i zdarzenia bogate. Ktoby chciał nasze staropolskie życie gościnne i patryarchalne jednym oznaczyć godłem, musiałby użyć do tego lipy rozłożystej i gniazda bocianiego.

Takie domy zamożne jak w Sieniawie, Krakowcu i t. d., okalając się wielkimi ogrodami, takiegoż samego zamiłowania używały całej okolicy. Szlachta mniej zamożna, jak to zawsze u nas bywało, chętnie naśladowała, a za karmazynami szła także drobniejsza szlachta, ba nawet i szaraczki, o ile mogli, wyższych trzymali się przykładów. To też pomalutko zamiłowanie to, rozchodzące się po całej ziemi przemyskiej, okryło ją mnóstwem ogrodów! tak, że całe przemyskie zjechawszy od wsi do wsi, zdybać można większe czy mniejsze ogrody, ale zakrojone już na stopę obszerniejszą i wykwintniejszą. Szkoda tylko, że pomalutko nasz gust prosty i polski, przechodząc w maniery włoskie i francuskie, strzyżone i regularne, przeszedł do angielszczyzny, wedle której ogromne parki chcą naśladować na kilku grządkach ogrodowych.

Do siedzib tego rodzaju bardzo wspaniałych należały Kalińce, należące z dawien dawna do rodziny Kalinieckich, zaszczytnie znanej w kraju, odznaczonej przez długie wieki wielkiem mieniem, wielkimi z dziada na wnuka piastowanemi zaszczytami, a mianowicie historycznym przywiązaniem do kraju, któremu w bojach i w senacie wiernie służyli. Dziejów rodziny Kalinieckich opisywać nie będę, bo zresztą dzieje takich rodzin zasłużonych w kraju u nas nowiną nie są. Powiem tylko, że jednym z pierwszych jej antenatów był Janusz Kaliniecki, który jeszcze za Zygmunta Starego staczał boje na wspólnie z Ostrogskimi i Tarnowskimi. Wspominam zaś o nim dla tego tylko, że opisując choć najpobieżniej dwór w Kalińcach, nie mogę pominąć portretów Janusza i innych tej rodziny przodków, którzy w osobnej sali stanowili główną starego dworu ozdobę.

W Kalińcach był dawniej stary zamek obronny. Na wielkim stawie, który z czasem przez niedbałość po większej części w moczary się przemienił, była stara i wielka wyspa, a na niej znaczne jeszcze były resztki dawnych gruzów, zarosłe pokrzywą i rozmaitem zielskiem. Jako ślad dawnego przepychu i wielkości, zostało jedno okno olbrzymie w starym murze kaplicy, które jedno jeszcze patrzyło ze starego zamku na poddaną sobie okolicę. Do okna wewnątrz muru



przytykał z gruzów podniesiony i staranną czyjąś ręką utrzymywany krzyż czarny marmurowy, przetarty i popekany, o którym wieść powszechna i podania mówiły rodzinne, że pod nim spoczywał kiedyś ów Janusz, gdy syt sławy i lat wrócił do rodzinnego gniazda, by zmęczone kości w rodzinnych złożyć grobach. Były jeszcze tam za kaplicą duże, prawdziwie niebotyczne lipy, na pół już spruchniałe, których korony wszakże pełne życia jeszcze, panowały nad całą okolicą.

Nowy pałac, jak go nazywano, stał na niewielkiem wzgórzu. Była to dawna już także budowa, choć go nowym pałacem nazywano, sięgająca czasów Jana III; to też w swoim składzie i powierzchni, gust włoski przypominającej, miał niejaki podobieństwo do pałacu Wilanowskiego. Ozdobą pałacu i całego położenia płaskiego, wcale nie malowniczego, była otaczająca go zewsząd roślinność tak rozbujająca, tak zielona i bogata, że cały dwór Kaliniecki z pomiędzy otoczenia swego, wyglądał jakby z olbrzymiego kosza zielonego. Od stawu już, po pod który główna prowadziła droga, była długa podwójna ulica z lip i kasztanów.

Ulica przed bramą wielką kamienną, z herbowną tarczą dawnej Jastrzębców rodziny, rozbiegała się na dwie strony i dwoma ramionami lip i kasztanów okalała całe ogromne obejście, aż po koniec ogrodu, który nił w gaju brzozowym, o którym już mówiłem, poprzerzynamym ulicami, z mnogiemi siedzeniami i różnego kształtu altanami. Sam ogród był ogromny, i w większej części przynajmniej zachował dawną powierzchność szerokich i zacienionych ulic, długich szpalerów i mnogich kwater kwiatowych, pokrajanych w dziwne zygzaki. Po jednej tylko stronie ogrodu był rodzaj kanału o dwóch ramionach, skąpo już wszakże wodą zasycanych. Jedno ramię kanału oddzielało stary ogród od sadu ogromnego, sławnego na mil kilkanaście z doskonałych owoców, które hołdował i pielęgnował terażniejszy dziedzic, Zygmunt Kaliniecki, z wielkiem zamiłowaniem i z niepopolitą starannością.

Za sadem była jeszcze pasieka obszerna, a przy niej domek nie wielki drewniany, w którym wspomniony tylko co pan Zygmunt lubiał czasem po całych dniach przesiadywać, a nawet nieraz w czasie rójki na całe przenosił się miesiące.

Drugie ramię kanału zwracało się nagle w kierunku do gaju brzozowego, i przerzynałe rozmaitemi mostkami, obsadzone w koło prawie kamiennemi posągami, na których aż nadto był znaczny zab czas, w samym końcu odgraniczało ogród od gaju, który nazywano ogrodem angielskim, i w koło którego były na prawdę rozmaite kłombowe plantacje, rozrzucone na wzór angielski w pewnym sz. ucznym bezładzie.

Pałac był obszerny, złożony z głównego frontu, o półtora piętra podwyższonego, i z dwóch niższych nieco oficyn w półłuki wygiętych, z mnogiemi na gzymsach sztukaterjami i innemi figlami, przypominającymi wiek gustu zepsutego, który my najczęściej rokoko nazywamy.

W opis szczegółowy pałacu wdawać się nie myślę; chciałem, tylko dać ogólne wyobrażenie o tem starem i poważnem siedlisku

w którym tak jakoś było swobodnie i poważnie, że choć nie bez pewnego uczucia rzewności i tęsknoty, myśl mimowolnie wracała w lepsze minione wieki. I grzebiąc pamiątki przeczytane lub zasłyszane, zapomniałem o tym świecie wrzaskliwym, co tam za lasem i wodą, za górami huczy i kipi pełen odczarowań i namiętności, nadziei nigdy nieziszczonych i łatwych rozpaczy. Bywałem tam często, bo łączyły mnie z tym domem stosunki rodzinne. I dla tego dłużej może nad tem całym siedliskiem rozpisałem się, bo mi najspokojniejsze przypomina chwile, jakie kiedykolwiek przepędziłem w burzliwym życiu mojem. I te dzieci kochane, a tak miłe, ile razy patrzałem na ich gry wesołe, na te twarze tak piękne i tak spokojne, z których starałem się sam przed sobą wywróżyć ich przyszłość najprawdopodobniejszą.

O pałacu powiem tylko, że ostatnie jego ramię wewnątrz było zaniedbane nieco i po większej części przeznaczone na pokoje gościnne. Całe to skrzydło otaczała jakaś tajemnica. Co było w tem prawdy, nikt nie wiedział, ale jeden drugiemu z największą szeptal pewnością, że jakaś wielka tajemnica została tam na wieczne czasy zagrzebaną. To pewna, że gospodarz domu nigdy do tej części swojego dworu nie zachodził, co naturalnie brano także za dowód jakiejś tajemniczości. Główny korpus domu składał się z samych staroświeckich sal ogromnych, otwartych tylko przy większych sposobnościach, lub gdy je chciał odwiedzić ciekawy jaki podróżnik. A były ze wszech miar warte widzenia, bo właściciele, od dawna gromadząc tam różne dzieła sztuki i inne kosztowności głównie tego przestrzegali, ażeby w przystrojeniu całości zachować dawny typ. To też sale te przechodząc, zdawało się, że wracasz wiek po wieku w czasy już dawno wygasłe.

W tych to salach. które sam pan Zygmunt dosyć często odwiedzał, była wielka zbrojownia i zbiór rodzinnych portretów, wielce szacowny. Pierwsze skrzydło wykwintnie i wedle nowszego gustu przystrojone, zajmował sam gospodarz. Główną część tego pomieszczenia stanowiła biblioteka i zbiór rycin najpiękniejszych. Lecz gdy mowa o księgozbiorze, to już trzeba koniecznie zapoznać się z samym p. Zygmuntem Kalinieckim.

### III.

W rzeczy samej pan Zygmunt Kaliniecki i jego księgozbiór byli nierozdzielni od siebie. Jeżeli nie był w ogrodzie a głównie w pasiece, to siedział niezawodnie w bibliotece swojej, w której całe dnie przepędzał a czasem i całe noce.

Pan Kaliniecki był uczonym w całym najpedantyczniejszym tego słowa wyrażeniu; bibliograf znamienity, znał wszystkie nie tylko dzieła, jakie wyszły, ale i wszystkie edycje z ich warjantami i poprawkami, i z wszelkimi odmianami. Specjalnością wszakże jego były dzieje polskie, które, powiedzmy to na jego pachwałę, znał doskonale, a co więcej jeszcze lepiej rozumiał; bo jako inteligencja wyższa, mimo



pedantyzmu bibliograficznego, nie tylko zdarzenia znał na palcach niejako, ale prócz tego pojmował ich ducha. Nieraz nawet sam się zabierał do pisania, mając najsilniejsze postanowienie obrobienia tej lub owej epoki historycznej; gromadził też w tym celu całe stopy notatek własnych, pełnych uczoności i cytat najciekawszych, ale gdy przyszło do wykonania, zawadzało mu jakieś wrodzone lenistwo, które pochodziło może z przyzwyczajenia do pańskości, w jakiej się wychował. Lecz były i inne przyczyny.

Pan Kaliniecki miał dziwne chwile jakiegoś omdlenia umysłowego, apatji, w czasie której po całych siedział godzinach oddany marzeniom, które nie musiały być wesołe, bo wówczas twarz jego przybierała wyraz nadzwyczaj smutny, przerażający nawet pewną nieruchomością, epileptyczną niemal. Gdy dodamy jeszcze dwa amatorstwa, które go czasami z tej leniwej nieruchomości wyrwały, i wprowadzały w gorączkową prawie, niespokojną, z zwykłym jego poważnym układem wcale niezgodną ruchliwość, dziwić się nie można, że go sąsiedzi, znajomi i całe niemal towarzystwo, do którego imieniem i majątkiem należał, obwołali dziwakiem.

— Dziwak! — krzyczeli mężczyźni. — Szkoda, że taki bogaty! — mówiły kobiety. — A nawet nie brzydki i jeszcze nie stary! — dodawały wszystkie prześcigające już panny, które naturalnie darować tego panu Zygmuntovi nie mogły, że jest kawalerem mimo lat pięćdziesięciu, które, wyznać trzeba, dźwigał na sobie z wielką jeszcze rzekomością.

Temi zaś dwoma amatorstwami były tak zwane kruki białe i ryciny.

Za krukami białymi, jak zowią najdawniejsze i najrzadsze wydania, kolebki drukarstwa sięgające, był on gotów najdalsze nawet podróże odbywać; tygodnie, miesiące i lata starać się o nie, jak się żaden najczulszy kochanek nie stara o najpiękniejszą i najukochańszą bogdanę. Co do rycin zaś, korespondował ze wszystkimi na świecie księgarzami i zbieraczami, i nabywał najpiękniejsze, nie szczędząc pieniędzy, co właśnie było w nim najdziwniejszem, bo w zwykłym życiu raczej był skąpym, a przynajmniej bardzo oszczędnym.

Dawszy rys charakterystyczny pana Zygmunta, wejdźmy teraz do pałacu i to wprost do biblioteki, by go poznać osobiście.

Widzimy tedy salę obszerną na półtora piętra wysoką, narożną, z trzema ogromnymi oknami, które wszystkie na inne strony krajobrazu, pałac otaczającego, patrzyły; środkowe na staw i wprost na ów opisany już przez nas odłam starego zamczyska, z wyglądającym z po za węgła ogromnym krzyżem kamiennym; lewe na dziedziniec, bramę i część otoczenia lip i kasztanów; prawe na część ogrodu, mianowicie, na to zagieście kanałowe, które dzieliło stary ogród od sadu i od angielskiego ogrodu. W każdym oknie stało wielkie poręczowe krzesło dobrze wysiedziane. Pan Zygmunt chętnie i często w nich siadywał całymi godzinami, mając przed sobą pulpity pod książki. Znający go bliżej domownicy wiedzieli zaraz, w jakim jest humorze, po krześle, w którym siedział.

Jeżeli przy prawem oknie, był w zwykłym usposobieniu, i wów-

czas lubił patrzeć na swój ogród rozległy, na tę miarę zieloności, na tę ścieżkę nareszcie, tylekroć przez niego wydeptaną, co prowadziła do pasieki. Przy lewym siedział oknie i patrzył ku bramie, to pewnie był w swoim usposobieniu niespokojnym, z amatorstwa pochodzącym; pewnie wówczas czekał na wieść o jakimś inkunabule, albo o rycinie sławnego rytownika. Lecz gdy usiadł na długie dni przy oknie środkowym, to już pewnie spoglądał na mury starego zamczyska rodzinnego i na ten krzyż czarny, który tak doskonale godził się z jego smutnymi marzeniami, czy — wspomnieniami. I książki nawet na pulpitych przed oknami miały pewną styczność z jego usposobieniem.

Przy prawem oknie była niezawodnie jaka stara księga dziejowa, rzadki manuskrypt, a tuż obok teka z notatkami własnoręcznymi. Przy oknie lewym spoczywał pewnie Horacjusz, którego pan Kaliniecki umiał na pamięć i w chwilach niepokoju i niecierpliwości tem się jeszcze ratował, że sam przed sobą jakby student recytował starego Horacego lekkiej filozofii nauki. Horacjusz pana Zygmunta nie odstępował przez całe życie; to był jego najszczerzy przyjaciel, pocieszyciel w złej doli, a wierny towarzysz w dobrej. Panu z panów, mającemu swe fantazje, przyzwyczajonemu do wygodnego życia, co mu bez trudów płynęło, przypadała najwięcej do smaku łatwa i epikurejska po trosze filozofia poety dworzaniina. Zato przy oknie środkowym na pulpicie spoczywała wielka księga, w ciemną skórę oprawna, z poźółkłemi kartami, upstrzonemi tu i owdzie literami o złotych i innych barwach. Jedną ręką oparty na gzymsie okna, z oczami w krzyż kamienny zwróconemi, drugą ręką przewracał pomału kartki starej księgi. Czasem zwrócił oczy do księgi, i dłużej je na starym druku zatrzymywał, i wówczas wyraz twarzy ponury i zaszępiony łagodniał nieco, jakby mu to czytanie ulgę przynosiło. I nie dziw; bo ta stara księga, była to biblija, księga nad księgi, święta skarbnica wszech myśli i wszech uczuć, któremi człowiek może się podnieść do Boga.

Ściany sali pokryte były wielkimi szafami, pełnemi ksiąg, a na nich stały popiersia wielkich uczonych starożytności. Pomiedzy oknami tylko były dwa próżne miejsca, zapełnione wszakże czarnemi kolumnami, na których stały popiersia marmurowe: Kochanowskiego, Niemcewicza, Tadeusza Czackiego i Ossolińskiego. Na środku sali stał wielki stół podłużny, zielonem suknem pokryty, cały zapełniony stosami tek ogromnych, w których były zebrane skarby rycin. Tyle tylko było próżnego miejsca na stole, ile starczyło na cały przybór do pisania i kilka ksiąg, które tam leżały rozwarte. Przed tem miejscem stało czwarte krzesło poręczowe, w które siadywał pan Zygmunt Kaliniecki, gdy na prawdę do pracy historycznej się zabierał. I w chwili, gdy wchodzimy do sali, zastajemy go siedzącego właśnie przed stolikiem.

Na pół zapisany leży papier przed nim; zamyślony nieco trzyma w rękę pióro. Przypatrzmy się teraz z bliska jego powierzchowności.

Mówiliśmy już, że ma lat pięćdziesiąt, lecz ledwie je poznać na nim. Jest to mężczyzna atletycznej prawie budowy, która, dodajmy,



z dziada na wnuka była właściwością charakterystyczną rodziny Kalinieckich. Mimo to kształtnie zbudowany, wydawał się cały w swym ogromie, jakby z jednej sztuki kamienia czy marmuru wykuty. Zaprawdę miał coś w sobie posągowatego. Głowa ogromna o rysach pełnych wydatnych, ale z pewnym wdziękiem starożytnym zaokrąglonych. Profil miał grecki prawie, chociaż patrząc na całą twarz z przodu, trzeba było przyznać koniecznie, że to twarz polska. Przy ustach miał uśmiech nawet pełen słodyczy, równie jak i wyraz piwnych oczów miał w sobie coś dobrego aż do miękkości, aż do słabości prawie, ale przy ustach i oczach jedynie było kilka zmarszczków, których twarzy brakowało jeszcze, a których, by się tak wyrazić, ruch i gra nadawała twarzy wyrazy zmienne, od miękkości i spokoju przechodzące czasem aż do surowości smutku i rozpaczony prawie. W zwyczajnym stanie wyraz jego twarzy znamionował powagę uprzejmą i zamysloną nieco. Patrząc na niego, każdy mimowolnie przyznawać musiał, że jakiegokolwiek mogą być jego zalety i wady, nie jest to człowiek pospolity. Dodajmy do opisu, że wyłysiały przedwcześnie, nosił perukę niezwykłą w swoim rodzaju, a przynajmniej nie używaną w naszych czasach, w których wszystko się na pozorze opiera. Tymczasem w peruce pana Zygmunta było jak najmniej pretensji, a jak najwięcej przyznania się do wieku. Pominąwszy, że peruka była okrągło obcięta po staropolsku, co jej nadawało coś mnichowskiego, ale prócz tego kazał sobie robić peruki siwawe zupełnie zgodne z barwą wąsów siwiejących, krótko dosyć, także po staropolsku podstrzyżonych. Stosownie też do twarzy, peruki i wąsów bierał się pan Zygmunt Kaliniecki, oczywiście po polsku, co się nadzwyczaj godziło z jego całą postawą wspaniałą. Zdawało się prawdziwie, że to jeden z owych silnych, żelaznych antenatów naszego wieku papierowego, który opuścił ramy starego portretu. W chwili gdy wchodzimy do sali, miał on na sobie strój domowy, dosyć zaniedbany, bo już to prócz zamięłowania w czystości, stroić się nie lubił.

Miał więc na sobie, co zawsze nosił w domu, wielką kurtkę szaraczkową polskiego kroju, z takiemiż potrzebami i podobną część stroju spodnią. Dodać jeszcze należy, by uzupełnić obraz, że zawsze miał przy sobie tabakierę sporą ciemnej barwy, z ślicznie i kunsztownie w złocie wyrabianym medalionem Jana Zamojskiego, hetmana i kanclerza. Zamyślony tedy, jak mówiliśmy, oddawał się pracy w tej chwili, i wyglądając czasem do roztwartych przed nim ksiąg, kreślił szybko jakieś uwagi czy wypisy. I trwało to dosyć długo, gdy nagle zwróciło jego uwagę dzwonienie zegara staroświeckiego, który stał na gzymsie umyślnie wyrobionym, po nad oknem środkowym. Jakby ze snu nagle zbudzony drgnął cały, spojrział na zegarek i zerwał się z lekkością niestosowną ani do wieku, ani do powagi zwykłej.

— Czy być może! tak późno! — mruknął do siebie; i porwawszy za dzwonek, który stał koło kałamarza, zadzwonił nim dosyć gwałtownie.

Wpadł kamerdyner, który zwykle w niedalekiej sionce czatował na rozkazy pańskie.

— Ubierać się muszę! prędzej! — krzyknął z przyciskiem niecierpliwości.

Kamerdyner spojrział na swego pana nie bez zadziwienia, bo wiedział, że pan Zygmunt nigdzie prawie nie wyjeżdżał, ani nie zapraszał; a jeżeli się zdarzył jaki gość przypadkowy, przyjmował go zawsze w swojej kurcie sieraczkowej.

— Czy jaśnie pan gdzie wyjeżdża? — zapytał kamerdyner.

— Głupiś! — odebrał odpowiedź, i jeszcze się mocniej zadziwił, bo od ćwierć wieku służąc u swego pana, może po raz trzeci dopiero usłyszał z ust jego podobne słowo.

Nie więc już nie odrzekł, ale nieznacznie poruszywszy ramionami, wybiegł z biblioteki, a za nim wyszedł i pan jego.

Bardzo prędko powrócił zupełnie już przebrany w czarną, staroświeckiego kroju czamare, takiż sam żupan, z którego wyglądał różnemi, szczerem złotem przeplatanemi barwami świecący pas słucki, a pod szyją błyszcząca szpinka z jednego sporego djamentu najczystszej wody. Ledwie wszedł, spojrział okiem na zegar, i co prędzej ruszył ku lewemu oknu, które, jak już wiemy, było oknem oczekiwania i niecierpliwości. Kamerdyner, który go aż do drzwi odprowadzał, gdy to ujrzał, zamykając drzwi powoli, zrobił dziwną minę, i z boku uderzył się po czole, jakby teraz dopiero zaczął odgadywać, o co właściwie idzie. Dodać wszakże trzeba, że nie musiało to na nim zrobić przyjemnego wrażenia, bo się potężnie skrzywił i mina jego ze zdziwionej przeszła w kwaśną.

Pan Zygmunt tymczasem już razy kilka spojrział na dziedziniec w okolicę bramy, z wyrazem wyraźnego oczekiwania; śnać czeka na jakiego kruka białego, lub rycinę wielkiej i rzadkiej piękności. Już nawet zabrał się do przyjaciela Horacjusza, i jał go wygłaszać na pamięć, jak to zwykle robił, gdy nie mogąc w cierpliwości, ćwiczył się w pamięci. Lecz mimowolnie oczy jego odbiegały od książki, by coraz niespokojniej zwracać się ku bramie. I właśnie po raz już dziesiąty wracał do Horacjusza i jał deklamować swój ustęp najulubieńszy, który go jakoś najwięcej uspokajał, i mówił tedy:

Me quoties reticēt gelidus Digentia rivus  
Quem Mandela bibit, rigosus frigore pagus,  
Quid sentire putas, quid credis amice precavi  
Sit mihi quod nunc est etiam minus, et mihi vivam;  
Sit bona librorum..

Gdy wtem ozwało się kół turkotanie, i nasz uczony filozof zerwał się z żywością młodego chłopca. Musi to przecie jechać wielka rzadkość jakaś..

I w rzeczy samej jechało to coś bardzo wielkiego. Jechało to przeznaczenie niezmienne, które miało nadać nowy zwrot kolejom życia kilku naraz osób. Lecz nie uprzedzajmy.



IV.

To powóz zajechał, który wraz z całym zaprzęgiem swoim zasługiwał ze wszech miar, by mu się przypatrzyli i znawca powozów fabrykant, i psychologiczny znawca ludzi, umiejący z drobnych rzeczy wielkie wywodzić rezultaty. Fabrykant z niemalą ciekawością oglądałby sprytne środki i środki, jakimi można stary powóz i stare szory, znowu pozornie posztukować, odświeżyć i nadać im znośną powierzchowność. Temu samemu przypatrywałyby się z niemniejszym zajęciem znawca ludzi, i z tej starej landary, mnogiemi herbami opatrzonej, z tych polatanych szorów, w wstążki i inne ornamenta ustrojonych, z tych koni nareszcie, których chudość ogromną chciano pokryć mnóstwem chomontów i wiszących dodatków, a nawet za pomocą anglicyzowania nadać im pozoru obcego pochodzenia; taki znawca byłby ciekawe rezultata wyprowadził, dotyczące się posiadacza takiego ekwipażu.

Goście już byli w bawialnym salonie, w skrzydle przez pana Zygmunta zamieszkałym. Tam ich właśnie wprowadził gospodarz, który był wyszedł naprzeciw nich. Salon bawialny, jakkolwiek nie dorównywał w niczem paradnym apartamentom, w samym środku pałacu, odznaczał się wszakże wielką wytwornością. Pominąwszy ściany na biało stukowane, tak, że się wydawały marmurowemi, i posadzkę wykładaną w rozmaite z rozmaitych drzew rysunki, całe przystrojenie rzucało nowe światło na jedną stronę charakteru pana Zygmunta Kalinieckiego, o której jeszcze nie mówiliśmy. Ściany tego salonu pokrywały drogocenne malowidła, portrety i rozmaite większej wartości nowsze utwory sztuki rytmicznej. Ale nie było w tem wszystkim nic obcego. Malowidła przedstawiały sceny lub krajobrazy rodzinne, przez rodzimych malarzy malowane; portrety były samych znakomitości polskich, wojennych czy naukowych; tak samo ryciny przedstawiały same epizody ojczyście, czy to wojen ostatnich czy to scen więziennych i innych wypadków, pełnych historycznej tragiczności, w jakie nad wszystkie inne bogate są dzieje polskie.

Gości było dwoje; mężczyzna w więcej jak średnim wieku i młodzianka kobieta, miarkując po ubraniu i żywym a świeżym wyrazie twarzy, dziewczyna jeszcze.

Mężczyzna w swojej całej powierzchowności był zupełnym przeciwieństwem pana Zygmunta. Niskie to było, suche, kościste, niepokazne, ale żywe, ruchliwe, skaczące, niby roztrzepane, co dziwnie odbijało od tych kilkunastu włosów, które zgrabnie podfryzowane i podczesane, ledwie zdołały pokryć łysinę, która też z tego pokrycia wyglądała prawdziwie jak sekret komedji. Trzeba jeszcze powiedzieć, że tych kilkanaście włosów miały najpociesniejszą barwę, mieniającą się między barwą rudawą i żółtą, zdradzającą oczywiście malowanie. Główka także nie wielka i śpiczasta nieco wzbudzała zadziwienie, gdzie też tam może się mieścić ów mózg, który popolicie uważają za konieczny warunek rozumu i pojętności! Ale że pojętność mieszka

w tej głowie, zdradzały oczki malutkie, świecące, które mimo ciągłego ruchu, gdzie tylko spoczęły, zdawały się zaraz wyciągać coś ztamtąd. Zresztą twarzyczkę równie małą, przypominającą figę zeschlą, pokrywały bakenbarciki w pół księżyc, rudawe, a usta nie ocienione wcale wąsami, były zaostrome w rodzaj wydętego, szpicem obdarzonego zakończenia, co całości jego twarzy nadawało wyraz lisa, za zerem wietrzącego. Przy ustach i oczach był jeszcze wyraz jakiejś szyderczej złośliwości, którą ukrywał przy ustach ciągłym głośnym prawie uśmiechem, a przy oczach okularami w złoto oprawnymi, które wstrzymywały nieco wybuchy pożądliwego błysku jego oczów. Ot i cała figurka, ubrana do tego z wielką starannością i pretensją nawet w rozmaite różnobarwne brzegi, które pokrywał fraczek czarny kroju najmodniejszego. Ledwie wszedł do salonu, poskoczył zaraz do pana Zygmunta. Prawdziwie poskoczył, bo chcąc go serdecznie uściskać, musiał na prawdę skoczyć w górę, by obcałować obie strony szerokiej gospodarza twarzy. A uczynił to z żarliwością, z zapalem prawdziwym.

— Jakże się cieszę!... kontentuję!... prawdziwie uradowany jestem! — mówił szybko językiem, który zdawał się biegać jakby na kołowrotku.

Głos jego przytem podobniuteńki był do głosu pękniętego kałaku poczty rosyjskiej; głośny, przenikliwy, piszczący a fałszywy.

— Witam pana hrabiego! — odpowiedział pan Zygmunt z powagą i pewną uprzejmością przyjaźnie, choć nie bez ambarasu.

— No ale prezentuję kochanemu sąsiadowi moją córkę. Przywiozłem ci ją, choć to właściwie do kawalera.

— Do starego kawalera! — odpowiedział pan Kaliniecki z uśmiechem pół żartobliwym, pół smutnym, i z pod oka spojrzął na córkę hrabiego.

— Pan stary! — wpadła na to panienska z śmiałością, dosyć dziwną na jej wiek młody, i z równą śmiałością, uśmiechnąwszy się do gospodarza, dodała, pokazując białe jak alabaster ząbki — pan tak młodo wyglądasz!

Stary kawaler mimowolnie poczerwieniał. Samotnik na wsi, uczony i melancholijny po części, nie był przyzwyczajony do tej żywej i zalotnej śmiałości kobiecej, która jest przecie koniecznością składową dzisiejszego wychowania kobiet.

— I co to za śliczny ten strój polski! — dodała żywo, obiegając w około wielką i poważną postać gospodarza. — Ja zawsze papie mówiłam, że nic piękniejszego nad polski strój!...

— Pani lubisz to ubranie! — zagał pan Zygmunt; i widoczniej na twarz szeroką wystąpił wyraz dobroci i miękkości.

— A któżby nie lubił?... wszak to nasz strój, to strój narodowy — odpowiedziała dziewczyna, i znikł wyraz wesołości, a jej twarz oblekła się powagą; nawet oczy się zaiskrzyły czy zapalem, czy może łzą!...

— To pięknie!... to bardzo pięknie! — przemówił stary kawaler... i uśmiechnął się tak szczerze, tak serdecznie, jak się tylko uśmiechnąć potrafi serdeczny Polak.

— A cóż, kochany sąsiedzie? — przerwał na to małeńki czło-



wiek, zacierając ręce i śmiejąc się głośno; a pyszczek jego jeszcze mocniej zaostrzony, nabierał podobieństwa kreta, zabierającego się do zawziętego rycia swych podziemnych gmachów. — Jak ci się podoba moja Różia? — dodał.

Staremu kawalerowi na to imię zaczęły biegać po głowie jakieś rymy sztambuchowo-klasyczne, w których poeta schlebiający z wielkim sukcesem urodził coś podobnego:

. . . . Ty jesteś nadobna!...  
Róża piękna, bo do ciebie podobna,

i choć nie bez zaczerwienienia się wyrzekł: — Niema piękniejszej w moim ogrodzie!...

W duszy musiał zapewne przeproszać wszystkie swoje grube i mądre księgi, że się wyrwał z takim fircykowatym, ich weale niegodnym konceptem.

— A co papo? — zawołała panna Róża, klaszcząc w białe dłonie. — Czy w waszem ufrakowanym towarzystwie znajdzie się choć jeden, coby potrafił coś tak pięknego powiedzieć?

— To prawdziwa siarka!... to proch!... ta moja Różia!... ale pocziwe złote serce!...

— Proszę mnie przed panem nie chwalić! — zawołała roztrzęsanie — ja wolę, żeby mnie ten pan sam pochwalił, jak mnie bliżej pozna.

To rzekłszy, odskoczyła na bok, i już jej pełno było po całym salonie. Biegała z kąta w kąt, od obrazu do obrazu, przepatrując i czyniąc głośno swoje uwagi. Pan Zygmunt mimowolnie pociągnął za nią okiem. To młode, żywe i oblesne stworzenie zajęło go. Dla odzwyczajonego było to przyjemne zjawienie.

— Cóż to za śliczny widok!... Jak żywo oddany!... Czysta natura!... A to wszystko nasze!... ach jakie to śliczne! — mówiła głośno, prawie biegając drobnymi krokami po pokoju. I jakby w naiwnym zachwycie, posyłała białymi rękami całusy ku obrazom, portretom i rycinom.

Śliczna to była czarownica. I zaprawdę słusznie ją nazwano Róża. Cała bowiem jej pleć była istną mieszaniną białych i różowych róż; jakby śnieg pocieniowany promieniami różanej zorzy. Drobniułka, i w tem do ojca podobna, miała tę samą prawie co on ruchliwą i niespokojną żywość. Ale jej drobniułkie zarysy niknęły a przynajmniej nie tak uwydatniały się w stroju kobiecym; przytem wszystkie jej kształty były nad wszelki wyraz regularne; mogły zaprawdę służyć rzeźbiarzowi za wzór. Twarz była także nie wielka, ale tak świeża, tak żywa, uśmiechnięta, że nawet czasu nie było się zastanowić nad niewielką regularnością rysów. A przecież sam przez się wzięty nosek jak najmniej regularnym, bo zuchwale zadarty do góry, tak był uroczo wyzywający, tak szatańsko śmiały, że się mimowolnie podobać musiał. Oczy miała najpiękniejsze, wielkie, wydatne, turkusowe, w pysznej oprawie podłużnej i w ramach rzęsów i brwi; równie jak i włosy barwy popielato jasnej. Wyraz tych oczów był



tak żywy, tak latający, że trudno było zgłębić go zupełnie. Wesołość powierzchowna migotnym swym blaskiem nie dozwalała zajrzeć do samej głębi; chyba tylko, że bardzo zimnego badacza uderzyć mogły jej chwilowe ukośne spojrzenia, krótko urwane, które nadawały wówczas ruchom oczów coś zyzowatego. Zresztą i usta rumiane jak malina, i rączki z długimi może zanadto paluszkami, i nóżeczki, którychby się nie powstydziała najwybredniejsza chińska dziewczica; wszystko razem było śliczne i drobne.

— Jakże tu cudownie!.. jak w raj! — zawołała nagle wyciągając ręce, jakby chciała to wszystko piękne przycisnąć do piersi.

I prawda! mogła to była wyrzec bez przesady. Cudownie piękny i malowniczy rozwijał się widok przez dwoje wielkich i szerokich drzwi szklanych, na część ogrodu angielską, na tę masę zieleności, na ganek brzoźowy, i dalej na cały obszerny, mnóstwem drzew wypełniony krajobraz, niknący prawie w dnie widnokregu.

— Jakże tam musi być ślicznie! — mówiła piękna Róża dalej, wskazując na ogród, i żywo przyskakując do pana Zygmunta, porwała go za rękę i dodała uśmiechnięta cała: — chodźmy do ogrodu!..

Stary kawaler uśmiechnął się także weselej niż kiedy, i żywiej niż kiedy przemówił do pięknej pochlebny:

— Z największą przyjemnością.

Podczas gdy szedł ku drzwiom szklannym, by je otworzyć, ojciec przystąpił do córki i szybkim a cichym szeptem wpuścił jej do ucha:

— Tylko się tak bardzo nie roztrzepuj!

Panna Róża spojrzała na ojca na pół z uśmiechem, na pół z pogardą; przez chwilę cała jej twarz tak wesoła, znikła przed wyrazem zimnym i obojętnym, który ją o lat dziesięć starszą czynił; spojrzenie ukośne oczów uwydatniło się jeszcze, i odszepnęła sucho, krótko i nawet z przycinkiem rozkazującym prawie:

— Proszę to mnie zostawić!.. ja to najlepiej rozumiem.

I znowu wesoła, uśmiechnięta poskoczyła i podała ramię czekającemu przy oknie panu Zygmuntowi. Wyszli do ogrodu, a za nimi ciągnął skrzywiony nieco po odpowiedzi córki nasz suchy jegomość. Musiał wszakże najzupełniejszą mieć w niej ufność, bo choć niby czasem do idących się zbliżał i kilka słów wmięszał, przypatrywał się ciągle, to by jaki widok do woli podziwiać, to by jako prawdziwy amator kwiatów, nacieszyć się ich barwą i wonią. Zostawiwszy ich na przechadzce ogrodowej, wypada nam się bliżej zapoznać z gośćmi pana Zygmunta.

Byli to, jak już z ust młodego Kazia usłyszeliśmy, nowi sąsiedzi pana Kalinieckiego, czyli raczej był nim ów jegomość w okularach, bo córka jego po raz pierwszy dziś była w Kalińcach, nikomu jeszcze nieznaną w dworze Kalinieckim.

Pan Feliks hr. Staniecki pochodził także z bardzo dobrego rodu szlacheckiego, i Stanieckich za polskich czasów można było zdybać i w obozach, i w kole poselskiem, i na urzędach obywatelskich. Szlachta Stanieccy była bardzo dobrą i poczciwą szlachcią, i póki nią była, byli to zamożni i szanowani Stanieccy. Dziad

do piero pana Feliksa, który czynnie należał do zepsucia dworu Stanisława Augusta i do rozmaitych niecznych praktyk, przerobił poczciwego szlachcica Stanieckiego na wcale nietęgiego hrabiego Stanieckiego. Dostawszy się z nadzastanym już majątkiem pod berło austryjackie, korzystał z łatwości nabycia tytułu hrabskiego, i kupił go, czyli nawet, jak twierdziła kronika skandaliczna, darmo dostał w nagrodę jakiejś komisji rozgraniczenia, do której należał. Odtąd Stanieccy zaczęli upadać na mieniu i na imieniu. Nowy hrabia zaczął żyć wystawnie, spraszać samych gości najznakomitszych, którzy gdzieś aż z Czech i Niemiec przyjeżdżali do niego na sławne i kosztowne polowania. Ale za to szlachta, choć ją czasem zapraszał, i im więcej stawał się golszy, tem wyżej chciał stać się popularniejszym — szlachta nim pogardzała i bywać u niego nie chciała.

— To nie nasz!... to graf niemiecki! — powtarzała szlachta poczciwa.

Dosyć, że się źle wiodło pierwszemu hrabiemu Stanieckiemu. Dopomógł sobie więc bogatym ożenieniem, ale nie na długo. Wystawy próżne, pańskie fantazje i karteczki także zapędziły go w długi, i gdy umarł, jednak, ojciec pana Feliksa, dostał w spuściźnie znaczne, ale ogromnie zadłużone dobra. Pan Teodor Staniecki kręcił jeszcze czas jakiś, robiąc nowe długi, starych nie płacąc za pomocą kruczków adwokackich, które za jego czasów wielką rolę odgrywały; a nawet przysporzył zaszczytów familijnych, zostawszy szambelanem, co naprawdę przykładalo się niepomału do najniepotrzebniejszych wydatków. I tak wisiął długo między golizną prawdziwą a ulianym zbytkiem; lecz się w końcu ucho urwało. Wieś po wsi szły na licytacje, i tylko posag żony, zainfabulowany zdradliwie na dwóch wsiach w Przemyskiem, wyratował go od ostatecznej zguby. Gdy umarł, nareszcie synowi, panu Feliksowi, zostały te dwie wsie z najokropniej zamazaną tabulą. Ale prócz tego zostało mu pańskie i arcydziwaczone wychowanie. Nieboszyk szambelan, który był człowiekiem postępowym, jak sam o sobie twierdził, i wiele wojażował po świecie, tak się rozkochał w Anglii, w jej instytucjach, a podobno najwięcej w handlowem Anglii bogactwie, które go kłuło w oczy, że postanowił syna wykierować na Anglika. Nie mogąc mu przekazać majątku, chciał mu przynajmniej przysporzyć kupieckiego rozumu angielskiego.

— Jak będzie miał ten rozum — mawiał sam do siebie — dorobi się ogromnej fortuny między głupimi ziomkami swymi.

Pan Feliks tedy wychowywał się w Anglii i w Szkocji, i po części ziscił ojcowskie wróżby. Nauczył się mnóstwo rzeczy angielskich; serce i obyczaje polskie zamienił w zimną obojętność, splen i nawczki angielskie; a prócz tego napchał sobie głowę mnóstwem wiadomości kupieckich, handlowych, spekulacyjnych i przemysłowych. Ale snąc mu Bóg odmówił prostego sprytu polskiego, czyli jak to u nas nazywają, sprytu chłopskiego, a może chciał skarać jego dumę angielską, z jaką pogardzał wszystko co swojskie; dosyć że jak onym dumnym budownikiem, co wieżą swą do nieba sięgnąć chcieli, pomieszało się w głowie pana Feliksa, i stała się z niej prawdziwa wieża Babel, w której te wszystkie wiadomości bez ładu najmniej-



szego kręciły się, i prawdziwą grały ciuciubabkę. Więc tedy, gdy wrócił po śmierci ojca do barbarzyńskiej ojczyzny, która go przyprawiła o kilkumiesięczny splen, jał aplikować swoje teorie do własnego majątku. Bardzo łatwo zrozumieć, jak mu się te próby powiodły. To co było przewrócić do góry nogami, a nie nowego stworzyć nie potrafił, bo nie miał po temu ani zasobów kapitału, ani zasobów wielkiej inteligencji.

— Kiedy się na moim majątku nie udało — pomyślał sobie pan Feliks — będę próbował na cudzym majątku.

On commence par être dupe, on finit par être fripon!... powiada francuzkie przysłowie, i powiada wielką prawdę.

Przyszedłszy do takiego postanowienia, zaczął się oglądać na wszystkie strony, gdzieby to naprzód zaczepić plany swoje. Szczęście Stanieckich nie odstąpiło go jeszcze tym razem; szczęście, co już prawie w przysłowie weszło, szczęście posagowe. Tu felix familia Stanionem nula, można było znaleźć w starych wyciskach nie jednego szlachcica, zbierającego rozmaite sylva rerum.

Więc pojechawszy do Londynu za jakąś machiną, którą chciał kraj obdarzyć, a kochanych sąsiadów otumanić, zamiast maszyny przywiózł żonę angielską, która zakochała się w jego akcencie angielskim, hrabstwie polskiem i kolosalnych kłamstwach, jakie jej puszczał o swoim majątku. Była to niekoniecznie już młoda córka jakiegoś kupca, zupełnie wolna, bo rodzice pomarli, i przyniosła mężowi wiano, złożone znakomitej liczby funtów szterlingów i doskonałych weksłów na pierwsze domy bankowe. Wygrawszy tak niespodziewane terno, pan Feliks przypomniał sobie nagle, że jest hrabią i szambelanem nawet. A więc zachciało mu się zabłysnąć na wielkim świecie. Pojechał zatem do Paryża, bo gdzież lepiej błyszczeć można, jeżeli nie w Paryżu, gdzie przez lat kilkanaście odgrywał rolę hrabiego polskiego jak najdoskonalej, bo gromadził w sobie wszystkie śmieszności, jakimi od bardzo niedawna odznaczał się za granicą grafowie polscy.

Po kilku latach pożycia umarła biedna angielska, która za życia wielkiego nie doznała szczęścia, zostawiwszy mężowi ledwie co urodzoną córeczkę i gorącą prośbę, aby choć część jej majątku zostawił dla niej.

— Ona będzie szczęśliwa!... — przysięgł pan Feliks na honor angielski i polski; ale jeszcze zmarłej z domu nie wywieźli, gdy już zapomniał i o przysiędze, i o zmarłej, i o obu honorach. Tyle zrobił, że do małej Rózi wziął bonę francuzkę, a gdy podrosła, dał jej najrozlicniejszych metrów wszelkich narodowości, między którymi na szczęście był i polski, bo inaczej polska hrabianka nie byłaby nawet umiała po polsku.

Sam zaś pędził życie kawalerskie, do którego mu strasznie zawadzało młode dziewczę w domu. Na szczęście nadarzyła mu się jakaś daleka kuzynka z Polski, podobna do niego, wietrznicą, wracająca do ojczyzny, która dziesięcioletnią Rózię, pełną już rozumu europejskiego, dowcipu zaś francuzkiego, i to pur sang paryskiego, zabrała z sobą, aby w Warszawie oddać do najmłodniejszego pensjonu.



Wszystko się kończy na świecie, wszystko wyczerpuje, tak się też stało z gwinejami i wekslami pana Feliksa. Straciwszy majątek, zdrowie i siły, nie stracił wszakże owego angielskiego wychowania, z którego, jak widzieliśmy, chciał korzystać kosztem głupich i nieokrzesanych rodaków. Więc znudzony Paryżem i przesycony wszelkiem użyciem, zebrawszy nie wielkie ostatki gwineowe, postanowił wrócić do kraju.

— Trzeba pomyśleć o córce. Przyrzekłem zmarłej, że będzie szczęśliwa, i będzie nią! — pomyślał pewnego poranku, gdy ziewając wyrwał sobie szczypczykami siwe włosy z głowy.

Przyjechał tedy między swoich i zaczął się znowu rozglądać, gdzieby to rozbić swój namiot, w okolicy dogodnej do przeprowadzenia mądrych i spekulacyjnych planów. Przypomniał sobie, że ma dwie niby to wioski w Przemyskiem, o których naturalnie mógł zapomnieć, bo prócz mnogich papierów urzędowych, które mu od czasu do czasu do Paryża posefano, nie miał ztamtąd ani grosza. Były to prawdziwe ruiny, przeszedłszy przez najrozmaitsze ręce, i dzierżawców, i sekwestраторów, i adwokatów, i administratorów. Cudem prawdziwym utrzymały się dotąd pod tytularnem nazwiskiem własności pana hrabiego Feliksa Stanieckiego, istne złudzenie tabularne, jak owe pałace i ogrody kokosowe z płótna i papieru. Lecz jak wleźć do własnego majątku?... w tem był sęk największy. Są wszakże na wszystko sposoby, mianowicie w arsenale prawniczym. Za niewielkie pieniądze nabył jakiś kunsztowny dłużek, który obciążał prawdziwe długi, i na mocy jego do własnego majątku zajechał pewnego poranku, jako wykonawca cudzego sekwestru.

Trzeba było mieć wiele energii, by nie stracić fantazji, nadziei, i nie rozpaczać na widok tych pustek okropnych, jakie pan hrabia zastał w Ruinach wielkich i małych, jak się zwały owe dwie wsi przemyskie. Pola wycieńczone, zaniedbane, zamulone, po większej części chwastem zarosłe; żadnego budynku gospodarskiego, żadnego inwentarza; a miasto dworu, który się dawno zawalił, jakaś prawdziwa szatra, przedstawiająca oficynę. Lecz pan Feliks miał angielską energiję, i usadziwszy się w oficynowej szatrze jak mógł, zaczął rozmyślać nad przyszłością, która przedstawiała się w fatalnie ciemnych barwach. Wówczas to od starego jakiegoś podstarościęgo, który tam w chacie ubogiej dogorywał, dowiedział się, że jednym z bliższych sąsiedztw są Kalinice, i jako stary gaduła opowiedział mu podstarości o wielkim majątku pana Kalinieckiego, o jego dobrach, ogrodach, pałacu, o jego humorze tetrycznym, o jego zamknięciu w domu, o jego uczoności i oszczędności, a nawet o jakiejś tajemnicy dawnej, czmychającej w prawem skrzydle, o której wszyscy mówili niestworzone rzeczy, a nikt po prawdzie nic nie widział. Pan Feliks słuchał i ślinkę połykał, a gdy sam pozostał, po długim namyśle skoczył i krzyknął.

— A toby trzeba nieszczęścia, abym ja... ja... nie uchodził tego starego niedźwiedzia polskiego. — I wnet ułożył cały plan kampanji. A więc, uśmiechając się uśmiechem kupca, któremu dobra spekulacja na myśl przychodzi, napisał naprzód do kuzyneczki Warszawskiej, aby mu co prędzej ekspedjowała jako istny towar pannę Różę, która

przez ten czas wyszła już na pannę dwudziestoczteroletnią, chociaż uporeczywie stanęła przy latach osmnastu, dawszy sobie najświetsze słowo, że tych lat przed zamążpójściem nie przekroczy pod karą staropanieństwa. Dodajmy, że panna Róża miała swój rozumek, starszy daleko od wieku, a przez drobne swe kształty wydawała się daleko młodszą, niżeli nią była w istocie. Wyszedłszy z pensjonatu modnego, gdzie najdoskonalej ukończyła swe modne wychowanie, mieszkała u kuzyneczki, która ją wprowadziła w świat, i praktycznemi naukami ilustrowała wiadomości teoretyczne panny Róży. Gonienie za bogatym mężem było oczywiście najpierwszem i najważniejszym polem do aplikowania i teorii i praktyki. Ale długi czas zdawało się, że to szczęście przystawione do małżeństw rodziny Stanieckich idzie tylko po mieczu, nie rozciągając się do biednej kądzieli. Było romansów dosyć, a nawet romansów znakomitych i głośnych; byli wielbiciele z herbami i mitrami, z kluczami i bez kluczów, młodzi i starzy; było ich dosyć, ale męża jak nie było tak nie było. Lecz za daleko by nas zaprowadziła romantyczna historia przeszłości panny Róży, i nie należy koniecznie do przedmiotu naszej powieści, wolimy więc wrócić do hrabiego polskiego, kującego angielskim rozumem spekulacyjne plany w polskiej szatrze.

Trzeba naprzód zmierzyć taktycznie planu boju a więc trzeba poznać pana Kalinieckiego. Nie tak to było łatwo, jakby się zdało na oko, bo już trzeba było wyjechać do Kaliniec w sposób przyzwoty. A to nie lada rzecz!... Wszakże przewycięzył pan hrabia te trudności, i choć z ciężką biedą, wystarał się o jakąś starą landarę, umalował, okleił i uherbował ją, i sprzągnąwszy jakieś na prędce poanglizowane chabety, przyjechał do pana Kalinieckiego, jako jego najbliższy sąsiad. Z razu nie najlepiej przyjęty, umiał wszakże trafić pomalą do niektórych słabości bibliograficznych pana Zygmunta, pletąc mu o rzadkościach białokrukowych, jakie widział w Paryżu, Londynie i innych stolicach europejskich. Pan Kaliniecki, jako człowiek, co wiele czytał a mało widział, rad był słuchać opowiadań człowieka, który tyle rzeczy widział na swoje oczy. Dodajmy, że hrabia Feliks doskonale rozpowiadał, wszakże te jego opowiadania były prawdziwie wystawą kupiecką. Dosyć, że się stary uczony przyzwyczał do towarzystwa pana Feliksa, i ten świat zupełnie prawie nowy, a przynajmniej dawno zapomniany, zaczął coraz więcej interesować starego uczonego i tetryka. Zabierał się nawet odwiedzić łaskawego sąsiada nazwajem; lecz ten się wymówił jak najzgrabniej brakiem urzędzeń, które wraz z córką miały lada chwila przybyć z Warszawy. Stary kawaler, niechętny się ruszać z miejsca, najchętniej przyjął tę wymówkę, nie zastanowiwszy się nawet nad nią, i chętnie odłożył odwiedziny aż do przybycia z Warszawy urzędzeń i córki pana Feliksa. Zresztą o tej córce przywiązany do niej ojciec miał zawsze co do opowiadania, choć, jak wiemy, nie znał jej wcale. O piękności nawiasem tylko, choć ją cała podziwiała Warszawa; ale tem więcej o jej patriotyzmie, jak to ona odmówiła księciu udzielnemu niemieckiemu.

— Bo ona kraju nigdy porzucić nie chce! — dodawał pan



hrabia patetycznie, obcierając okulary. — Moja śliczna Róża, dodawał, chce być matką polskich dzieci. Szczęśliwy, kto jej mżem zostanie. Zebyś wiedział, kochany sąsiedzie, co to za złote serce, prawdziwie polskie serce. Całą znaczną pensyę, którą jej kwartalnie posesam, rozda je między ubogich. Ale poznasz ją sam, bo ci ją przywiozę, jak tylko przyjedzie.

Te opowiadania zaczęły staro go kawalera z niemalem jego własnym zadziwieniem coraz więcej zajmować, i nawet, czego sam zrozumieć nie mógł, z rodzajem niecierpliwości oczekiwał od dnia do dnia zapowiadanego przybycia panny Róży, jakby przybycia jakiego kruka bibliograficznego, lub pięknej ryciny jakiej, co nareszcie przed chwilą widzieliśmy, gdy, zapewniony na ten dzień o jej przybyciu, strojaiej się ubrał, i przy lewem oknie oczekiwanie swe chciał zbyć faworytalnym Horaciuszem. Nic wszakże naturalniejszego nadto. Im więcej z opowiadań hrabiego Feliksa uśmiechał mu się ten świat, od którego oddalił się samo chcąc, tem więcej powabu mógł mieć dla niego obrazek pięknej, dobrej, polskiej dziewczyny, malowany przez ojca z całym mistrzostwem zimnego spekulanta, który na poetyczną nawet zdobędzie się wymowę, gdy zacznie chwalić swój towar, największej zleżały.

Hrabia Feliks ułożył sobie dwa planiki, które się same wkrótce odsonią. Do obydwóch potrzeba mu koniecznie namówić pana Zygmunta, by wieś porzucił i przeniósł się do miasta. Że się mu to udało, wiemy już z rozmowy tych małych i ładnych dzieci, podsłuchanej w gajku brzozowym. Jakich po temu użył sposobów, dowiemy się zaraz z rozmowy jaka się w tej chwili toczy w ogrodzie między panem Zygmuntem a hrabią Feliksem.

## V.

Pan Zygmunt nie pamiętał, żeby się kiedy tak doskonale bawił, jak teraz w ogrodzie. Ależ bo to śliczne dziewczę, tańcowało, skakało i szczebiotało koło niego z taką naiwną pustotą i wesołością, że mimowolnie tajały wszystkie lody w piersiach jego pod jej wzroku promieniami. Ona tak wszystko chwaliła, tak się wszystkim cieszyła, tak wszystko szczerze podziwiała, powtarzając co krok:

— Jakże tu cudownie!... Cóż to za szczęście mieszkać w takim raj! Jaki pan szczęśliwy!.. Zazdroszczę panu!... Ale nie! nie wierz pan temu, ja panu nie zazdroszczę!... pan tak dobry! żeby pan wiedział jak już dobrze pana znałam z tego, co mi papa pisał.. niewiedząc jeszcze już pokochałam. — I nagle urwała a zarumieniwszy się, podskoczyła jak dziecię, i klasnąwszy w dłonie białe, zawołała — Otóż się wyrwałam!... przepraszam pana.., ale ja taka jeszcze młoda roztrzępana... Panie! — dodała porywając go za rękę — nie gniewaj się pan na mnie!

Gdzie on się tam gniewał!... Jakże tu być zimnym, naprzeciw tyłu wdzięków, takiej pocziwej i naiwnej prostocie. To też panu



Zygmuntowi zrobiło się ciepło koło serca jak nigdy, i nie wiedząc w pierwszej chwili co odpowiedzieć, wyrzekł tylko:

— Ktoby się gniewał na ciebie, śliczne dziecię!...

Na to panna Róża spuściła promieniste oczęta, a stary kawaler, opamiętawszy się, znów mówił dalej:

— A przecież z namowy pani ojca, za kilka dni opuszczam to piękne miejsce, co ci się tak podoba, i przenoszę się na dłuższy czas do miasta.

— Wiem! — odpowiedziała z roztrzępaniem. — Mówił mi ojciej o wielkich odmianach, jakie tu zrobić zamyśla. Kochany papa! jak on pana kocha!... szkoda naszego raj!... niema co mówić... ale i miasto nasze stołeczne ma być bardzo piękne! — I nuż mu szczeniotać dalej, jak ona chce poznać to miasto, a mianowicie teatr lwowski.

— Panie!.. w Warszawie — mówiła — niema dobrego teatru. Ale we Lwowie ma być doskonała scena. Będziemy razem, panie?... nieprawdaż?...

— Będziemy, moje dziecię! — odpowiedział stary kawaler, cały uśmiechnięty.

W tej chwili zbliżali się do gaju brzozowego, gdy dobiegły ich wesole i śmiejące się głosy. To nasze śliczne dzieci wracały ku domowi. I wybiegły właśnie na wolniejsze miejsce i stanęły jak wryte na widok obcej.

— Cóż to za śliczne dzieci! — zawołała panna Róża, i przez jedną krótką chwilę wysłała ku nim swe spojrzenie najukośnieszne.

— To moi synowie! — przemówił stary kawaler...

— Ten śliczny brunet? — pytająco zawołała Ruzia, chociaż od ojca wiedziała doskonale, że tak nie jest.

— Nie!.. to jest! — zaczął stary i urwał, a twarz jego dziwnie sępsępniała.

Lecz Różia nie dała mu już dalej mówić, i bystrem spojrzeniem, co ledwie chwilę trwało, zmierzywszy wszystkich, krzyknęła:

— Ja się sama z niemi poznam!

Co rzekłszy, już do nich podbiegła, i porywając Anusię za rękę, znikła z dziećmi w gajku brozowym. Pan Zygmunt został z hrabią Feliksem, który uśmiechając się, patrzył za córką.

— To siarka prawdziwa!... Już się do nich przyczepiła. Dobre dziecko, ale zanadto może żywe, i dla tego chcę ją oddać do mojej kuzynki do miasta.

— Więc będzie ciągle mieszkać we Lwowie? — zawołał pan Zygmunt z niezwykłą żywością.

— Ja jej u siebie trzymać nie mogę; mianowicie teraz, gdy będę miał tyle zajęcia.

— Przemennie wszystko!...

— Ale gdzie tam!... tyle mego szczęścia, gdy mogę być zajęty ulubionemi fabrykami. Ja memu przyjacielowi, kuzynowi nieboszczki żony, lordowi Elleinbigh stawiałem i urządzałem przez dwa lata młyn parowy na cztery piętra i na dwadzieścia kamieni, podług całym nowej metody, którą ja na podstawie amerykańskich młynów

uprościłem i udoskonaliłem. Był to pierwszy młyn tego rodzaju w całej Anglii, na który przyjeżdżali patrzeć ze wszystkich trzech prowincyi. A dziś w samym Davonshire jest takich młynów dziesięć. Żałuję, że nie mam przy sobie wyrachowania, które w owym czasie zrobiłem w stosunku kosztów do zysku, i wpływ na taniość mąki, jaka ztąd wynikła, a ztąd i na dobro klas ubogich. Nic, kochany panie, wymowniejszego nad cyfry! więcej w nich nieraz prawdziwie rozgrzewającego całą ludzkość ciepła, aniżeli w najwymowniejszych apostrofach, kończących się na próżnym blasku i huku słów!.. Mój przyjaciel i kuzyn nieboszczki żony, lord Elleinbigh, zrobił w przeciągu lat dziesięciu miljonowy majątek, którego zresztą najszlachetniej używa. Dał początek do mnóstwa fabryk, w których utrzymuje się pięć tysięcy ubogich sierót. Mówię Panu, że jeden szczęśliwie wykonany plan na wyższą skalę, plan na oko spekulacyjny, stał się dobrodziejstwem dla całej okolicy, a jego uczynił rzeczywistym dobroczyncą ludzkości. Łatwo pojdziesz, kochany panie, jak serdeczną uczułem ja pociechę, że ja dałem do tego początek moim planem, dobrze pomyślanym; mojemi znajomościami technicznymi, i tą niezłomną wiarą, jaką mam, że postęp ludzkości całej zależy od poprawienia bytu materialnego klas ubogich warstw społeczeństwa roboczych. Fabryki, mój panie, dają byt dobry biednej ludności, fabryki, panie, otwierając umysły pracujących uszlachetniają ich; fabryki, panie, stanowią podstawy ekonomii politycznej każdego kraju, stanowią źródło niewyczerpane krajowego bogactwa i tem samym zapewniają na zawsze byt narodów. Ja mam w tej mierze ciekawe bardzo cyfry, które w sposobnej chwili pokażę panu. Cyfry te mogą rzucić światło na przyszłość naszą panie, bo było nas kilku, cośmy pracowali nad tym przedmiotem, i wszystkie prace nasze staraliśmy się stosować do stosunków naszych. To było naszym największem zadaniem, bo każda nauka święta, o tyle tylko może dla nas znaczenia, o ile może przyjąć w pomoc krajowi któremu służyć bezwarunkowo i wszelkimi siłami jest obowiązkiem naszym.

Tak prawił hrabia Feliks bez odetchnienia, i bez zająknięcia, i to nie po raz już pierwszy. A pan Zygmunt, który wierzył w każdego poczciwość, jak sam był prawy i poczciwy, słuchał go z zajęciem i naiwną wiarą, której mimo jego wieku dziwić się nie będziemy, gdy się zastanowimy, że lat tyle przepędził wśród starych ksiąg, oddany suchym naukom i smutnym rozmyślaniom. Lecz przerwał przecie sam sobie hrabia Feliks, i porywając pana Zygmunta po pod rękę, dodał z pewną serdeczną poufałością.

— Gdy o tem mowa, pójdziemy może oglądnać to miejsce, w którym to zamierzamy... a nie daleko od niego jesteśmy.

Jakoż, obróciwszy się i przeszedłszy jeden z mostków, co prowadził przez ramię kanałowe, dzielące ogród stary od sadu, stanęli na miejscu nieco otwartem.

— Tu, panie dobrodzieju! — zawołał pan hrabia Feliks, i zaczął się uwijać po trawniku, który świeża i żywa swą zielonością rozciągał się w tem miejscu. — Tu, panie dobrodzieju! — mówił dalej zacierając ręce z rodzajem zadowolenia — najdalej za dwa lata stanie



cukrownia, która będzie pierwszą w kraju wedle nowej zupełnie zasady na samych maszynach parowych. Będzie to zaszczyt dla pana dobrodzieja, że pierwszy...

Pan Zygmunt uśmiechnął się nie bez wyrazu zadowolonej miłości własnej, ale przecie odwrócił się ku domowi, którego front ogrodowy ztąd właśnie najpiękniej się wydawał i uśmiech zadowolony ustąpił wyrazowi na pół smutnemu. A przecie był to widok najpiękniejszy z okien salonu, który właśnie tak się podobał pannie Róży.

— Ba! panie Dobrodzieju!.. daleko piękniejszy będziesz miał widok z okien swoich, gdy wszystkie budynki staną już. My ludzie rachunku, ludzie industriji, rozumiemy także stronę estetyczną. Mogę memu panu honorem ręczyć, że styl wszystkich budynków będzie gotycko-włoski, zupełnie odpowiedni poważnemu parku otoczeniu. Pan się zadziwisz w dwa lata.

— Ba!.. panie!.. nie takie już rzeczy jam dokonał!..

— Bo przyznam się panu, że dłużej nad dwa lata nie wytrzymam podobno w mieście.

— I prędzej, panie Dobrodzieju! już ja się zabiorę z naszym polskim zapałem... mianowicie, mając w ręku zarząd i pełnomocnictwo..

Na te słowa pan Zygmunt skrzywił się z lekka, choć niezawodnie mimowoli, bo to już nie od dzisiaj ułożony ten projekt olbrzymi.

— I właśnie mam je tu napisane — dodał hrabia od niechcienia, uderzając się po fraku.

— Wydatki będą ogromne! — wtrącił pan Zygmunt, w pół zamyśloni.

— Ale dochody! — odrzekł hrabia co prędzej, i aż cmoknął ustami, jakby co smacznego połknął. — Ręczę panu memu, że za lat pięć najdalej, Kalińce będą warte pięć milionów, chociaż dziś ledwie milion są warte. Więc tedy! — zamówił dalej, widząc, że się pan Zygmunt zabiera do nowego zapytania — tu dalej będzie rafinerja: ot tu na prawo! — Mówiąc to z przesadnym zapałem, uwił się i zginał aż do ziemi prawie, jakby rękami chciał zakreślać przyszłe fundamenta. Wytniemy ten kawałek drzew!..

— Część sadu najpiękniejszą!..

— Cóż znaczy kilka drzew naprzeciw błogosławieństwa całej okolicy, wzbogaconej sadzeniem buraków... Biedne chłopki podniosą się w bycie, a tem samem w poczuciu moralnem.

Uśmiechnął się na to szlachetnym uśmiechem pan Zygmunt, bo dla jego pocziwego serca dobry był chłopka i jego moralne podniesienie, to strona najsłabsza.

— A tu przeskoczmy kanał, który nam się zda, bo go weźmiemy w środek zabudowań, wytniemy kawał ulicy lipowej.

— Najpiękniejsza moja ulica!

— Kawał tylko... i cóż lipy, jakkolwiek piękne i nasze, naprzeciw ogromnym skutkom na industriję krajową, jakie wywrze przykład pana dobrodzieja. Kiedyś potomność zapisze to do swoich



pamiętników, że był mąż, obywatel, który nie szczędził własnego mienia, aby kraj swój wyrwać z tego stanu otrętwiałości przemysłowej. Dzisiejsze pustki pokryją się nowymi osadami, bogatemi w mienie i pojęcia wyższe. Gdzie niegdyś kwaśne grunta gnily zatopione w wiecznej wilgoci, tam żyźne rozciągać się będą łany, bo za jedną przemysłową idzie druga... weźmiemy się, panie, do drenowania... A inicjatywa przyszłych ulepszeń w kraju naszym, tak zaniedbanym, przy tobie będzie, kochany panie Zygmuncie. — I sam rozczulony aż do spocenia się okularów, hrabia Feliks uściskał pana Zygmunta, którego twarz wielka i piękna, zaczęła się rumienić odbiciem wewnętrznego ognia.

Lecz na cóż dalej opisywać tę rozmowę. Nie darmo hrabia Feliks mieszkał w Paryżu, obcował z Francuzami, i francuzkiej lekkiej dramatyczno-romantycznej literatury najadł się aż do niestrawności, nauczył się doskonale puszczać brzmiące i nadęte choć puste frazesy. Dosyć, że nasz pan Zygmunt był już zupełnie przekonany. Wszakże od dawna już miał na sumieniu swoją nieczynność, jako zarzut, co gonił za nim po dniach i nocach. W sercu swoim szlachetnym czuł on to, że wielki majątek, to wielki obowiązek dla społeczeństwa, do którego się należy. Rozumiał, że świat nowy innemi posuwa się szlakami, niżeli ten świat stary, do którego sam należał. Chciałby sam skrócić ku tym nowym szlakom, lecz jak to uczynić, nie wiedział, ani też mu łatwo przyjąć mogło, wydobyć się z pośród książek i marzeń ulubionych, do których się przyzwyczaił. Poznanie się z hrabią Feliksem podało mu sposobność do tego okrętu pożądanego. Z początku słuchał jego opowiadań z roztrzepaniem, lecz z początku gnany własnymi acz nie sformułowanymi myślami, zajął się szczerze planami, które hrabia sypał mu jak z rękawa, a przedstawiał z całym bogactwem przemysłowo-spekulacyjnej frazeologii. I wówczas to zdecydował się wyjechać do miasta na dwa lata, aby tymczasem hrabia Feliks, wzięwszy Kaliniec pod zarządek, budował cukrownię, i urządził gospodarstwo wedle nowych zasad racjonalnej agronomii, która jak się wyraził hrabia, obeszła już cały świat naokolusieńko i puka gwałtownie do wyższych zamysłów i większych majątków, których najgodniejszym przedstawicielem jest pan Zygmunt. Dodajmy co prędzej, że pan Kaliniecki, jakkolwiek niepraktyczny, niekoniecznie dowierzał świetnym nadziejom materialnym, jakie hrabia przed nim rozciągał, ale mimo oszczędności, przechodzącej, jak mówiliśmy, w skąpstwo nawet, gotów był poświęcić część mienia swego dla celów powszechnego pożytku. Dosyć że wyjazd za dni kilka został udecydowany, pełnomocnictwo i inne papiery zarządu dóbr dotyczące się, podpisane; a co więcej pan Zygmunt, z niezrozumianą dla siebie radością, jał myśleć o pobytku w mieście. Panny Róży oblesny i wesolutki humor przypadł mu bardzo do smaku; a w mieście przecie będzie mógł częściej niżeli na wsi używać jej milego towarzystwa.

Lecz zostawmy teraz tych panów w zajmującej rozmowie o przyszłych gmachach przemysłowych, a sami przenieśmy się na chwilę do młodszego towarzystwa.

VI.

Piękna panna Róża jeszcze była młodszą, dziecinniejszą prawie, jeszcze większą pomiędzy temi ślicznymi dziećmi, które z zadziwieniem i zaambarasowane nieco patrzyły na obcą towarzyszkę, co pomiędzy nich wskoczyła tak sobie szczerze i bez ogródek. Porwawszy ich za ręce, rzekła wesoło :

— Biegajmy !

I pobiegli wszyscy czworo ; a choć niezwykła do tego panna Róża, zmęczyła się nieco, skakała pomiędzy nimi jak szalona, śmiejąc się najserdeczniej. Nagle zatrzymała się.

— Jaka ja roztrzępana ! — zawołała, klaskając w ręce, z dziecinnym wyrazem. — Ależ przecie trzeba się nam poznać. Ja się nazywam Róża... a wy ?...

— Andzia !.. Kazio !.. Gucio ! — krzyknęły dzieci !

— Śliczne imiona !.. A więc Andziu, Kaziu, Guciu !.. siadajmy tu na ławeczce i rozmawiajmy, bo nie dosyć, że wiemy swoje imiona, ale musimy się jeszcze lepiej poznać... Bo ja was już kocham, a wy mnie ?.. mówcie.

Porumieniły się biedne dzieci, bo nie wiedziały co odpowiedzieć. One się między sobą wszystkie troje tak serdecznie kochają, że z czwartym przybyszem nie wiedzą co robić. Ale panna Róża za nado miała rozum i przenikliwości, aby chciała koniecznie czekać na wyraźną odpowiedź.

— Ja wiem, że wy mnie pokochacie !.. Ja starsza od was... ale mam serce, które potrzebuje przywiązania koniecznie, bo ja nie miałam ni matki ni rodzeństwa !.. ja pół sierota ! — I mówiąc to, drobnymi paluszkami wyciągnęła z oczu dwie drobne łezki. Czy były to łezki prawdziwe, ręczyć nie będziemy. Ale za to dzieciom kapło z oczów kilka łez, jak groch wielkich.

I zaczęło się szersze szczebiotanie. Panna Róża chciała poznać ich usposobienie, a mianowicie chciała wiedzieć dobrze, co tamte cudze dzieci znaczą w domu. I oczywiście bardzo prędko się dowiedziała, bo każde dziecię powiedziało, co wiedziało o sobie, a tego nie było wiele. I my, z tego korzystając, dowiemy się coś bliższego o nich.

Kazia opowiadanie było najkrótsze. Odkąd siebie zapamiętał, mieszkał zawsze w kalinieckim dworze. Ojca nie znał zupełnie, tylko stryjaszka, przy którym się chował od dziecka. A matkę ?.. to tylko jakby przez sen przypominał sobie, jakiś uścisk gorętszy i serdecniejszy w miększych ramionach kobiecych, i jakieś dwoje oczu jasnych barwą nieba, ale zamglonych ciągną chmurą, co łzami spadała na dziecinne lica.

— I tu mieszkaliście w pałacu ? — zapytała panna Róża i mignęła przez chwilę starszem i daleko mniej naiwnem spojrzeniem.

— Zapewne ! — odpowiedział Kazio..

— I to pewnie !.. w prawem skrzydle ! — zagadnęła znowu



Róża, a jej oczy roziskrzyły się wyrazem przeszywającej wszystko ciekawości.

— Ja nie wiem! — odrzekł Kazio, jękając się z wyrazem zdziwienia i pół ciekawości. — Czy pani wie o prawem skrzydle?.. my tam nigdy nie bywamy.

— Ja tylko słyszałam, że tam...

— Nie mówmy!... nie mówmy o tem! — przerwała Andzia, zamykając oczy z pustotą. — Ja się boję tego prawego skrzydła... mnie niańka mówiła...

— Cóż ci mówiła?...

— Fe Andziu! — przerwał Gucio z wyrazem poważniejszym nad wiek — powtarzać cudze bajki.

— Cóż ci mówiła? — powtórzyła Róża, ściskając Andzię za rękę aż do bólu prawie.

— O jakiejś czarnej pani, co tam po salach pustych długo, bardzo długo chodziła.

— O czarnej pani?...

— Może to była matka moja?...

— Dajcie temu pokój! — dodał Gucio — ja wiem, że naszemu opiekunowi przykrem jest każde wspomnienie o tem prawem skrzydle, ciagle zamkniętem... kto wie... jakie tam w przeszłości...

— Tajemnice! — zagadła Róża, i kładąc się w usta nagle zamilkła.

— Tajemnice! — powtórzyły dzieci, i zamyślały się tym razem na prawdę. Na umysły młode, niewinne, to słowo tajemnica dziwne robi wrażenie. To słowo jest jakby talizman, który cudem roztwiera zamkniętą dotąd skarbnicę wyobraźni, z której jakieś ciekawe, niewidzialne wyszczerzają się obrazy.

— A teraz na ciebie kolej, śliczna Andziu! — przemówiła znowu panna Róża i zaczęła ścisnąć jasnookie dziewczę, by z jej czoła bladego wycalować chmurkę zamyślenia.

I Andzi dzieje nie były długie. Ojca pamięta jeszcze, ale bardzo mało. Był to wysoki, chudy, blade i smutny mężczyzna. Tyle wie o nim, że go nazywali porucznikiem Frazerem, że mówili, jako był bardzo chorowity w skutek mnóstwa ran, jakie w dawnych, wojennych dostał wyprawach, i że leży na cmentarzu kalinieckim, pod białym krzyżem kamiennym, do którego nieraz z matką chodziła, i razem z nią płakała. Matka żyje jeszcze, poczciwa mama, i mieszka na folwarku osobnym tam za stawem.

— To pewnie jakieś pokrewieństwo z panem Kalinieckim? — zagadła panna Róża, która nie mogła powstrzymać ciekawości swojej.

— Ja nie wiem nic! — odpowiedziała Andzia najnaiwniej. — Pan Kaliniecki jest podobno opiekunem moim; mama ma jakąś pensję, którą z miasta pobiera regularnie.

— A stryjaszek daje ordynarję! — wyrwał się Kazio.

Andzia się zarumieniła, a Gucio z niezwykłą ozwał się żywością:

— Cóż to panią obchodzić może!...



I Kazio się zarumienił, bo mu coś w sercu powiedziało, że swodem powiedzeniem zrobił przykrość kochanej Andzi. Co prędzej tedy porwał jej rączki, i całując je zasłonił zapłonione lica. A i ona zniżyła się ku niemu, lekkim pocałunkiem przemknawszy przez jasność włosów głowy. Panna Róża przypatrywała się tej scenie, ale tym razem od nikogo nie uważana, na zimno zupełnie, a nawet z szyderczym uśmiechem, który jej piękne usta wykrzywił do niepoznania, a całej twarzy nadał przykry wyraz złościwości.

Gdy przyszła kolej na Gucia, wezwany przez pannę Różę pochlebne słowa, długo milczał, a gdy nareszcie i towarzysze ukochani zaczęli namawiać, zaczął z widocznym wahaniem:

— Ja o sobie nic nie wiem... to jest wszystko, cobyćm mógł powiedzieć.

— Jakto wszystko? — przerwała Róża, oblesnie zbliżając się do niego. — Przecież nazwisko?...

— Gucio! — zakrzyknęli Andzia i Kazio.

— Gucio! a nazwisko?...

Andzia i Kazio popatrzyli na siebie z pewnem zadziwieniem, a Gucio podniósł głowę i odrzucając dumnie spadające włosy, śmiałym mówił dalej głosem:

— Ja nie mam nazwiska. Znają mnie wszyscy Guciem z Gaju, bo tam za strumieniem mieszkam w Gaju u starego Macieja, gracjalisty, który jeszcze dzieckiem piastował pana Zygmunta Kalinieckiego. Jestem sierota!... ani ojca, ani matki nie znam. Pan Kaliniecki znalazł mnie na drodze małym chłopięciem i przywiózł do domu. Więcej nic nie wiem!...

— Ale gdzież tam! — zawołała Andzia. — On nieraz nam opowiada cudne rzeczy, co mu się przypominają, a jeszcze piękniejsze buduje na tem domniemywania.

— Marzenia i nic więcej! — odpowiedział Gucio, z lekkim wyrzutem zwrócony do młodych towarzyszy — marzenia, które wam tylko opowiadałem.

Dzieci przyskoczyły do niego i przepraszając w milczeniu, złożyły swe głowy na jego ramionach.

— Ale były w tem i wspomnienia! — zagadła panna Róża.

— Aby dogodzić tej pani ciekawości! — rzekł na to Gucio z wyrazem śmiałości i lekceważenia nad wiek starszym — nie wiele mam do powiedzenia. Zdaje mi się, że przypominam sobie także kobietę, płaczącą nademną w czarnej sukni, w wielkim i pięknym pokoju...

— Czarna pani!... w wielkim pokoju!... i jakże ten pokój wyglądał?...

Roześmiał się Gucio na to zapytanie pół wesoło, a pół szyderczo; a za nim i drugie rozśmiały się dzieci.

— Do takich szczegółów pamięć małego dziecka sięgać nie może. Miałem trzy lata, gdy mnie znalazł pan Kaliniecki na polach jednego ze swoich folwarków.

To rzekłszy zerwał się Gucio, a za nim i reszta dzieci. I już się rozmowa urwała, i mimo wszelkiej ochoty panny Róży, nie dała się nawet zawiązać. Pomału i ceremonjalnie odprowadziły dzieci pannę Różę aż do pałacu, przed którym właśnie zdybali się z wracającymi Zygmuntem i hrabią. Wnet też goście odjechali. Panna Róża przed odjazdem szczebiotała ciągle z panem Kalinieckim, wzdając go za sobą, by jej opowiadał obraz po obrazie wszystkie sceny, nad którymi rozwodziła się z zapalem, powtarzając ciągle:

— Jakie to śliczne!...

Pan Zygmunt odprowadził gości aż do powozu, i może był mocno zajęty, bo zupełnie uszły jego uwadze wszystkie niestosowności tego ekwipażu, złatanego w smutną niby błyszczącą całość. Gdy wsadził własną ręką pannę Różę do powozu, jeszcze jednym obdarzyła go spojrzeniem dziękczynnym, serdecznym i dodała uściśnienie ręki miękkie, ciepłe i przeciągłe. Coś się ciepło zrobiło staremu kawalerowi, i sam nie wiedział, dla czego przez długą chwilę zadumany stał na ganku i patrzył ku podwójnej ulicy. A w sieniach stał po za filarem kamerdyner stary Tomasz, i smutno, bardzo smutno patrzył na swego pana, pokiwując siwą głową z przyciskiem, pełnym znaczenia.

Dzieci już były w sali, i milcząc patrzyły na siebie, a każde rozumiało, o co rzecz idzie. Każde chciało wiedzieć zdanie drugiego o pięknej paniencie, co tylko co wyjechała. I wszystko troje kiwnęły główkami z przyciskiem zaprzeczającym, i już wiedziały, że się im ta piękna panienska wcale nie podobała. Mówić o niej nie chciały, bo się to ich dobrym sercom sprzeciwiało obmawiać niejako nieobecnego. I już miały biedz jeszcze do ogrodu, gdy zatrzymała się Andzia i przykładając paluszek do ust, z pół pustym uśmiechem, rzekła w pół cichym głosem:

— Ja już nie chcę być ciekawością!... bo ona jest ciekawość!... i już teraz wiem że ciekawość może być przykrą...

— Ciekawość zimna! — rzekł Kazio.

— I złośliwa! — dodał Gucio.

Już byli przy drzwiach ogrodu, gdy wszedł pan Zygmunt i przemówił do nich:

— Ja was każę dzieci odprowadzić do domów, i powiedzcie tam pani Frazerowej i staremu Maciejowi, by wszystko było zapakowane; pozajutro jedziemy z pewnością.

Dzieci się rozbiegły; pan Kaliniecki wszedł do swej biblioteki.

A w połatanym powozie, kulawym trucheikiem, jechał hrabia z córką. Podróż szła bardzo leniwo, i inaczej być nie mogło, bo stary połatany powóz obładowany był tryumfem i nadzieją.

— Czy tylko nie nadto byłaś pusta!... mnie się zdaje, żeś się okropnie dziecięniła. To już tobie nie przystoi! — ozwał się pan hrabia słodko kwaskowatym głosem.

— Ja to lepiej rozumiem, co mnie przystoi — odpowiedziała hrabianka, a jej twarz była zimna, obojętna i nieruchoma; tylko przez twarz przeleciał wyraz pogardy, usta uśmiechnęły się szyder-



stwem, a z oczów, na ojca zwróconych, wystrzelił wyraz nienawiści. — I dla tego prosiłabym oszczędzić uwag, które może lepiej do siebie obrócić.

— Ja moje już mam! — odpowiedział ojciec z wyrazem tryumfu, ale głosem potulniejszym niż pierwiej, i uderzył się po bocznej kieszeni frakowej.

— I ja mieć będę!...

— Ale czy pewnie?...

— To moja rzecz!... Ale — i sama przerwała, i zamysliła się...

— Ale? — pytająco zagadł ojciec.

— Tam jest niezawodnie jakaś rodzinna tajemnica.

— Ba!... jaka?

— Mam jeszcze domysły... wiedzieć będę... Ale tych troje dzieci, to są gadziny!... gadziny!

— Niebezpieczne?...

— Nie dla mnie! jedne dadzą się ułaskawić, a inne zgubić można... Albo oni, albo ja!... Niech ja ich tylko wyciągnę z tego gniazdeczka rodzinnego... Co ja nie zrobię, to dokończy szkoła świata...

Już więcej się nic nie dowiedział pan hrabia Feliks, bo panna Róża dalej rozmawiać nie chciała. Hrabianka była zmęczona, i zardzemała w snach czy w marzeniach.

Pan Zygmunt dnia tego aż do późnego wieczora przechadzał się po swojej bibliotece, i twarz jego stawała się coraz chmurniejszą. Usiadł wreszcie, ale w środkowym oknie, i spuścił głowę, a po szerokiej jego twarzy wraz z cieniami wieczornemi rozchodziły się cienie coraz czarniejsze głębokiej i nie wesołej zadumy. Kamerdyner świece przyniósł; godziny szły po godzinie; on siedział w krześle poręczowem przy środkowym oknie. Chciał raz nawet zajrzeć do świętej księgi, ale ręce odskoczyły z pewną zgrozą i uderzyły w czoło z przyciskiem żalu czy rozpaczki. I znów wpadł w zamyślenie. On rozpamiętywał daleką przeszłość.

I widział siebie i brata jednego, ojca Kazia, matemi dziećmi. I przypominał sobie, jak się kochali serdecznie, że dnia, godziny żyć bez siebie nie mogli; wszakże byli bliźniakami. I zdaje mu się, że czuje ciepły pocałunek braterski, z którym się budził i kładł spać, szedł do nauki, i biegał po szerokich ulicach ogrodowych. I klęczał z nim razem przy łożu matki umierającej, i obydwaj przyjmowali płacząc matczyne błogosławieństwo, i płacząc nad jej trumną przysięgali sobie miłość braterską do deski grobowej. A jak cudne roili plany wspólnego zawsze pożycia! I znowu już dorostkami klęczeli przy łożu śmiertelnem ojca, dzielnego napoleończyka, i pod kostniejącą ręką ojcowską, co błogosławiąc spoczywała na ich czołach, przysięgali sobie uczciwą miłość braterską, przysięgali, że się nigdy nie rozłączą. I potem znowu razem byli w szeregach w czasie tej, krótkiej ale świetnej epoki, co łyskawicą przemknęła przez zachmurzone niebo europejskie. I jeden drugiego piersiami swemi zastaniał, i przy ogniu biwakowym jeden zasypiał w ramionach drugiego. Bo się



bliźniacy kochali serdeczną, pełną zapału miłością braterską, do wszelkich poświęceń gotową miłością. Aż się uśmiechnął pan Zygmunt w swej smutnej zadumie. Lecz nagle twarz jego aż do przerażenia sposepniała, i zerwał się z krzesła, jakby mu się widmo straszne pojawiło i nieprzytomny prawie zakrzyknął.

— A potem!... potem!... ja tu byłem nieprzyjacielem!... ja! — Zamilkł, obejrzał się z zgrozą. — Kto się tu odezwał? — wyrzekł głosem przestraszonym i opamiętując się, sam z siebie śmiał się gorzkim uśmiechem.

Już zasiadł przy oknie środkowym, ale po chwili wyjął klucz z zanadru, i przystąpił do prawej okna framugi. Tam była szafeczka ukryta; otworzył ją, i z pomiędzy rozmaitych zwiteków wyjął klucz wielki, dawno zapewne nie używany, bo cały nakrapiany złotymi rdzy plamami.

— Jeszcze raz zobaczę! — szepnął sam do siebie, i porwał za kandelabr ze świecami, postawiony na stole. Przez chwilę natężał się sam siłą własnej woli, aż nareszcie maska twarzy przybrała wyraz spokojniejszy. I pewniejszym, choć nieco nienaturalnie przyspieszonym krokiem wyszedł z biblioteki. Ciemno było wszędzie i cicho; bo to już po północy.

Szedł przez puste pokoje lewego skrzydła, a gdy wstąpił w ogromne sale frontowe, krok jego stawał się wolniejszy. Pyszne to były sale, przepyszne komnaty przystrojone w sprzęty, świecące pokostem i zbytkiem starożytności. Przechodząc te sale w rozmaite sztukaterje z obwieszonymi staroświeckimi makatami, to z obiciami adamaszkowemi zdawać się mogło, że się nagle cofa o dwa wieki w tył. Ostatnie dwie sale były z portretami przodków obojej płci rodziny Kalinieckich i z strojami tak rodzinnymi, jak i zdobytemi przez przodków na nieprzyjaciółach. Wszedłszy do sal tych ostatnich, przyspieszył kroku, a głowę tak nisko i z takim spuścił wyrazem, jakby głośno wypowiedział:

— Jam was nie godzien.

W samym kącie ostatniej sali stanął przed ścianą, pomiędzy dwiema zbrojami, i tam w rogu lewym sali palcem dotknął się silnie ściany, ciemną sztukaterją wyrobioną. To były drzwi w ścianie ukryte. Z nich prowadziły w dół kręte schodki. Znając położenie pałacu, łatwo było zrozumieć, że to przejście do prawego skrzydła, którego część frontowa przeznaczona była dla gości, i miała z niej wchód osobny, część zaś od ogrodu była, jak to już nadmieniliśmy, zamknięta, i miała, wedle zdania w okolicy rozpowszechnionego, kryć w swem łonie jakąś tajemnicę, a przynajmniej pamiątkę jakiej tajemnicy rodzinnej.

Zszedłszy schodki krokiem coraz więcej wahającym się, stanął wreszcie pan Kaliniecki przed wielkimi drzwiami, w staroświecki sposób w żelazne sztaby i ćwieki okutymi, jak to bywały dawniej po starych dworach naszych drzwi do skarbców lub innych składów sprzętowych. I zapewne takież same miały te drzwi przeznaczenie w pałacu kalinieckim. Stanąwszy przed drzwiami, wyciągnął klucz zardzewiały, przyswiewając sobie trzechramiennym kandelabrem. Ale

obie ręce drżały ogromnie, aż klucz z głuchym jękiem zadzwonił o srebrne świecznika ramiona. A na czoło i twarz wystąpił pot kroplisty, o który tysiącnie przesmykami łamało się światło świecznika. Trzy razy wyciągnął klucz ku drzwiom, i trzy razy ręka opadała jak bezwładna. Za trzecim razem drgnął cały, jakby konwulsyjnym drżeniem.

— Nie!... nie mogę! — zakrzyknął głosem tak przeraźliwym, że aż się przedarł do sal środkowych, i tam dalekiem echem odjąknął, jakby uderzeniem dalekiego dzwonu żałobnego o starą zbroję jakąś.

I jakby goniony uciekał nazad przez wszystkie pokoje, aż narreszcie spokojniejszy, zatrzasnął za sobą drzwi biblioteki. Już rano dobry świtał, gdy się udał do sypialni.

Nazajutrz cały dzień chodził posępny po pokojach swoich pan Zygmunt, chociaż nie miał nawet czasu wczorajszym oddać się myślom, bo w domu był ruch niepospolity, ruch pakowania się na czas dłuższy. I sam musiał się mięszać do tego, bo przecież wielką część biblioteki trzeba było zabierać do miasta.

Później przyszedli stosownie do wczorajszego nakazu pani Frazerowa i stary z Gaju. Na ich widok twarz pana Zygmunta jeszcze posepniejszego przybrała wyrazu. Zabrał ich z sobą do osobnego pokoju, i rozmowa trwała długo, bardzo długo. A gdy wyszli, twarz pana Zygmunta zdawała się być starszą o jakie lat dziesięć. Pani Frazerowej oczy iskrzyły się wyrazem jakiejś radości niepospolitej. Stary z Gaju, zgarbiony i drżący, miał łzy w oczach. I nie dziwnego. Pani Frazerowa, kobieta usposobienia zwykłego, znudzona dawno pobytem na wsi, cieszyła się myślą, że pojedzie do miasta, gdzie miała nadzieję mieć od pana Kalinieckiego to samo utrzymanie co w Kalińcach. Stary z Gaju był serdecznie przywiązany do swego panicza, jak nazywał pana Zygmunta; żegnając go, wiedział, że żegna na zawsze. To też wychodząc z pałacu, oboje mimowolnie obejrzeli się, i oboje na jednej zdybali się myśli, ale z jak różnych powodów.

— Już tu moja noga nie postanie! — pomyśleli oboje.

A potem każde dodało:

— Będę umiała lepiej z niego korzystać, jak w Kalińcach, jeżeli to prawda, na co się zanosi — pomyślała pani Frazerowa.

— Ja wkrótce umrę; i serce by mi się krajało oglądać osieroczone to moich panów dawne siedlisko. I mego Gucia widzieć nie będę; aby przynajmniej był szczęśliwy — pomyślał stary z Gaju.

Po obiedzie przywłókł się znowu łatany powóz pana hrabiego, i przywiózł go wraz z hrabianką jeszcze piękniejszą, jeszcze więcej uśmiechniętą niż wczoraj. Tak się przynajmniej wydało panu Zygmuntowi, którego twarz zaczynała wracać pomału do zwyczajnego wyrazu.

Panna Róża, jak dziecko dowcipne, na pierwszy rzut oka, poznała zmianę na twarzy starego kawalera, i choć wieleby dała, by odgadnąć przyczynę, nie pokazała tego po sobie; przeciwnie stawała się dla niego coraz słodsza i obleśniejsza. I bez ceremonji od razu porwała go za rękę, i chodząc po ogrodzie szczebiotała póty, aż narreszcie wyszczebotała wyraz pogody na twarzy, uśmiech na ustach.



Hrabia przez ten czas z miną nadzwyczaj ważną, chodził po owem miejscu, na przyszłą budowę przemysłową przeznaczonem, i nie żałując trudów, biegał i zginał się, mając ku pomocy sążniową miarę składaną. Od czasu do czasu przybiegał do łaskawego sąsiada, którego miał uszcześliwić swoim przemysłowym rozumem, i udzielał mu po swojemu rezultata swoich wymiarów najświetniejsze; prawdziwie tysiąc nocy i jedna dzisiejszej spekulacyjnej manji. Dosyć że pan Zygmunt, pod wpływem ojca i córki, przyszedł w końcu do dawno niewidzianego humoru, i na pannę Różę spoglądał od czasu do czasu z tak iskrzącem upodobaniem, że i ojcu i córce serca skakały z radości.

Najbiedniejsze były dzieci nasze kochane. Z powodu pakowania się, zeszły się późno po obiedzie, i już zastały gości, których odstąpić nie wypadało. A choćby się im to udać mogło, panna Róża nie dopuściła tego. Jakby przewidywała serdeczną dzieci ochotę wymknięcia się co prędzej, ciągle je przytrzymywała z pewnem złośliwym upodobaniem, którego wyrazu nie mogła nawet zupełnie utaić, mimo całej swojej przytomności. Biedne dzieci, one tego nie wiedziały, one tego nie rozumiały, ale czuły jakimś bolem wewnętrznym, dla nich niepojętym, jej oczy palące, zwrócone na niebo, na wskrós przesywające.

Dopiero przed samym wieczorem wyjechali goście. Hrabia uscisnął trzykroć kochanego sąsiada najserdeczniej, życząc mu drogi szczęśliwej. Panna Róża z pół uśmiechem i pół cichym głosem, powiedziała:

— Do widzenia się!

Stary kawaler po raz pierwszy pocałował piękną czarodziejkę w bieluchną rękę.

Dzieci już biegły do ogrodu, nic nie mówiąc, co tehu im stało. Zmęczone stanęły wreszcie w ulubionym gaju brzozowym, przy ulubionej ławeczce. Chciały się uśmiechnąć radośnie, że się już raz wyrwały, ale brakło im odwagi do śmiechu. Poczciwie dzieci; wyjazd do stolicy miał dla nich powaby, mianowicie dla Andzi i Kazia, ale mimo to żal im było serdecznie za tem gniazdeczkiem rodzinnem, w którym tak im było miło. Porwały się za ręce, i w milczeniu jęły się oglądać, i wszystko troje miały łzy w oczach, o które jakby o tęczę odbijały się promienie zachodzącego słońca.

— Już wszystko spakowane! — przemówiła wreszcie Andzia — mama wszystko, a wszystko pozabierała...

— I ja wszystko zabrałem — dodał Kazio.

— Ja nic!... bo ja mam przesąd, że się już nigdy nie wróci do tego miejsca, gdzieby się nie zostawiło choć jednego najmniejszego przedmiotu własnego — powiedział Gucio. — Ja zostawiłem memu kochanemu staruszkowi moje skrzypeczki, na których dzieckiem jeszcze małem przygrywałem. Poczciwy staruszek aż płakał z radości.

— Ale dla czegoż byśmy tu nie mieli wrócić? — zawołała Andzia.

— Co ty pleciesz, Guciu!... przecież ja wrócę tu kiedyś, a więc i wy wróćcie ze mną — dodał Kazio.

— Może wrócimy — przemówił na to Gucio zamyślony. — Lecz czy tacy sami wrócimy jak dzisiaj?...



Myśli Gucia niekoniecznie rozumiała reszta dzieci. Andzia tylko wykrzyknęła żywo:

— Guciu, zawsze kochać cię będziemy!

— Zawsze! — odpowiedzieli obadwa chłopcy.

— Zawsze! — powtórzył ciszej Gucio z wyrazem smutnym i zamyślonym...

I uścisnęli się raz jeden i drugi, a lzy wszystkim z oczu kapąły. Lecz już dłużej nie było czasu bawić. Już z daleka odzywały się głosy, wołające na kolację. Jeszcze się raz obejrzeni, i za chwilę puste już było ulubione gniazdeczko. A wieczorny wietrzyk, pochylając brzożami, cichym szmerem zdawał się smutne wysyłać za nimi pożegnalne westchnienia.

Nazajutrz pusto było w pałacu, pusto w lubem dzieci gniazdeczku rodzinnem. O wschodzie słońca wszyscy wyjechali. Tego samego dnia wyprawili hrabia córkę do stolicy, sam zaś przeniósł się zupełnie do Kaliniec, a z nim zostali robotnicy, i piękne sadu i ogrodu drzewa zaczęły padać z żałośnym jękiem.

## CZEŚĆ DRUGA.

### W stolicy.

#### VII.

Przeskoczmy lat kilka, i zajdźmy do owej ciemnej kamienicy, która zdobi główną ulicę stołeczną.

Obszerna to kamienica, z ciosowego kamienia, ozdobiona mnogiemi dawnego smaku rzeźbami, między któremi pierwsze miejsce zajmuje herb Jastrzębców. Wejdzimy po schodach kamiennych, strojnych w kwiaty, dla lepszej wygody dywanem wybitych, na pierwsze piętro.

Mnogie tam są pokoje, przystrojone w sprzęty najmodniejsze. Lecz nam o to nie idzie. Chcemy się co prędzej poznać z głównemi mieszkańcami czarnej kamienicy.

Skreślony wchód minawszy, przejdziemy kilka pokoi frontowych, i znajdziemy się nareszcie w pokoju nie wielkim, ale ślicznie ustrojonym i woniejącym od kwiatów, i od tego powietrza rozmaitemi woniami przesiąkniętego, jakie zwykle powiewa w pokoju młodej kobiety. Jakoż widzimy jego mieszkankę nie tylko młodą, ale i piękną. Cała wyświeżona, białutka i różowa; drobnemi jakby utoczonemi kształtami uposażona, o jasnych oczach i jasnych włosach, które ledwie pokrywa jakieś lekkie opięcie gazowe; siedzi na kanapie z oczami, niespokojnie w tej chwili zwróconemi ku oknu. Czasem się nawet podniesie i przyłoży czoło do szyby, czy żeby główkę ochłodzić, czy żeby lepiej się przypatrzeć idącym przez ulicę. Zaturkotało nareszcie; to powóz zajechał, powóz domowy snąc, bo z hurkotem niepospolitym zajechał w sień kamieniczną.

Po chwili otworzyły się drzwi, i weszła a raczej wleciała kobieta, której powierzchowność zasługuje ze wszech miar na opis choćby najkrótszy. Gdyby nie jej ciągła ruchliwość, gdyby tak mogła chwilę trzymać się nieruchomie, każdyby ją miał za rodzaj obrazu czy portretu, tyle było na niej malowania. I włosy, i brwi, i twarz, i usta, i piersi dosyć odsłonięne, wszystko to było malowane i fałszywe. Tyle na zewnątrz. A na wewnątrz, jeżeli wolno sądzić po ruchach, mowie i całej mimice, wszystko było równie fałszywe, wszystko udane. Dwoma słowami by ją odmalować, było to malowidło i komedja, i nic więcej. Wpadłszy do wonnego pokoju, jeszcze nie przemówiła, zmęczona biegiem przez schody, ale jej usta już się tak żywo ruszały i z takim wyrazem, że koniecznie trzeba się było domyślać, jako ma bardzo wiele do powiedzenia, i bez mnogiego dodania obejść się nie może. Lecz tym razem nie przysła do pierwszego słowa. Młoda pani zmarszczyła brwi srodze, co jej twarzy dodało wiele lat, a ujęło jeszcze więcej wdzięków, i rzucając ukośne spojrzenie, które ją także nie upiękşıyło, przemówiła pierwsza :

— Ależ jesteś nieznośna, moja ciociu!... ja czekam całe godziny... ja się nudzę... ja się niecierpliwie... a pani sobie jeździsz po mieście moim powozem... i oczewiście zbierasz plotki.

— Dla ciebie, Róziu droga! — przemówiła ciocia, lecz nagle urwała. — Zaraz! zaraz! — mówiła dalej, opędzając się najpocieszniej rękoma od małego pieska, który podskakując co siły, poszczekiwał najnamiętniej piskliwym i przeraźliwym głosem. — Cóż to za pies nieznośny! — ciągnęła ciocia, wtórując sobie rękami. — Zawołaj że go proszę ciebie.

— Bibi! chodź tu!... on ciebie nie cierpi, ciociu... psy mają nieraz doskonały instynkt. Bibi! chodź tu! siedź cicho.

Przecie uspokoił się Bibi, nieznośny i krzykliwy szpiczek, ale wielki faworyt młodej pani.

— Nieznośne psisko!... zmęczył mnie!... Jak można lubić takie potworne stworzenie.

— Ja go lubię!... bo mam od niego...

— Od kogo?... od męża? — zapytała ciocia złośliwie.

— Nie! od niego!... ale dosyć o psie...

— Zobaczysz, że ten pies nieszczęście ci jakieś przyniesie, bo pan Zygmunt go nie cierpi.

— Dosyć tego! — rzekła młoda pani, tupając nóżkami niecierpliwie. — On to musi lubić, co ja chcę, żeby lubił.

— I Ferdynanda nawet?... — zaszydziła ciocia...

— Mówże mi o nim!... wszak potom cię wysłała.

— Nie zdybałam go nigdzie.

— I u Konstancji nie?...

— U Konstancji było zamknięto; nie przyjmowała nikogo.

— Czyż był tam?...

— Ja tego nie mówię...

— Niecierpliwisz mnie, ciociu!...

— I ty mnie!... pleciesz jak z gorączki, wiedziona ślepa za-zdrością.

— Bo ja go kocham.

— To bardzo pochlebne dla twego starego męża.

— Moja pani! — krzyknęła młoda pani, i w tej chwili twarz jej miała wyraz złośliwy, w srogość przechodzący. — Bez wymówek!... Pani wiesz przecie...

— Że mi dajesz pieniądze na życie; wiem. Ale ja ci daję rady, stokroć więcej warte, bo ty niby zawsze miałaś rozum i dowcip, ale zawsze dawałaś się unosić niepotrzebnej namiętności. Nie gniewaj się bez potrzeby, bo my sobie oboje potrzebne, i słuchaj z uwagą, co ci powiem.

— Słucham!... ale mów do rzeczy i prędko.

Popatrzyły się obie panie z uśmiechem na pozór, ale nie trzeba było wielkiego psychologa, aby poznał, że się obie serdecznie nie cierpią.

Kto są te panie, nie trudno odgadnąć. Młodsza jest owa piękna Różia, córka gołego hrabiego Stanieckiego, która jak to łatwo było przewidzieć, została żoną starego kawalera pana Zygmunta Kalinieckiego. Starsza, to owa kochana kuzynka warszawska, jako ciocia adoptowana przez panią Zygmuntowę, jej powiernica i doradczyni, jeden z tych egzemplarzy, łatwo zdybywanych w świecie salonowym. Wściubska, gaduła, plotkarka, ale przytem zgrabna i przewrotna; trzyma się w tym świecie niby wyższym, do którego należy swojemi rodzinnemi koligacjami, i choć nie ma nic na owym świecie, co by mogła swoim nazwać, żyje na najlepszą stopę cudzym kosztem. Niema społeczeństwa, gdzieby nie było takiej cioci, która płynąc za falą zdrożności towarzyskich, staje się w końcu tegoż towarzystwa malum necessarium, choć serdecznie niecierpianem.

— Kochasz Ferdynanda!... to bardzo słusznie, bo jak cię kocham, śliczny chłopiec. Daję ci moje słowo, wart kochania, a jeszcze obok staruszka męża zatabaczonego i w książkach po uszy zakonanego.

— Ale on! on!...

— On ciebie kocha!... wierz mi, że kocha.

— A bywa u Konstancji... ja nie chcę, by tam bywał.

— Jaka ty gorączka!... ja cię nie poznaję; dawniej daleko zimniej i rozsądniej brałaś rzeczy.

— Bom nic nie miała i nic nie kochała.

— Jest to wcale sprytna uwaga, chociaż ja ci zaprzeczam, abys ty Ferdynanda tak bardzo kochała.

— Ja go kocham!...

— Bo się nudzisz!... ale gdyby szło o majątek, gdyby on żądał naprzykład, abys majątek dla niego poświęciła...

— Majątek!... majątek!... a coźbyśmy robili bez majątku...

— Otoż ci teraz powiem, czego nie chcesz sama pojąć, dla czego Ferdynand bywa u Konstancji...

— Dla czego?... bo kocha!...

— Nie! on ciebie pewnie więcej kocha, ale Konstancja jest wdową bogatą.



— Więc chce się z nią żenić!...

— On, jak wiesz, nic nie ma, prócz wdzięków, niezłego nazwiska i wychowania. On się może bogato ożenić.

— Cóż robić na to?... co robić?...

— Zostać wdową i pójść za niego.

Spojrzały obie kobiety na siebie, i w tej chwili było między nimi pokrewne podobieństwo jednakiego usposobienia moralnego.

— To nie od mojej woli zależy! — przemówiła pani Zygmuntowa, spuszczając oczki.

— Zapewne... chociaż!...

— Zmienił się bardzo!...

— Zestarzał... i te domowe zgryzoty z kochanym synowcem... jeżeli wie o wszystkim...

— Ach wie!.. wie! — wyrwała się roztrzepanie pani Róża. — Ja mu nic nie taję.

— Przez przywiązanie żony!... naturalnie... Już to Ferdynand pomaga doskonale paniczowi, by się puszczał na życie roztrzepane coraz więcej... Ale goły doktor i skrzypek... ten go jeszcze trzyma.

— Przeklęty Gustaw!...

— A niepodobna go z domu wyrzucić.

— Mój stary do niego ogromnie przywiązany... ty wiesz ciociu, com ci dawniej mówiła...

— Że jest w tem coś!.. Trzeba mu koniecznie stołka przystawić... pomyślemy i o tem. A tymczasem Ferdynandowi trzeba pieniędzy.

— Chętnie!...

— On wprost od ciebie nie weźmie, ale ja znajdę sposób; on ma długi... jakoś ja to zrobię.

— Chętnie!... ale ty wiesz, że mąż mój robi się coraz skąpszym.

— Bo też twój ojciec okropnie go skubie.

— Oj prawda!... ale ja muszę mieć pieniądze! muszę... Ja go znam!... trzeba tylko mocnego wstrząśnienia... żeby tak na kochanego synowca doskonale się pogniewał...

— Masz jaki planik?...

— Tak coś!... mówiła pani Róża, w pół zamyślona. Zaraz!... dziś imieniny tego nieznośnika... Kazimierza! Będzie pewnie u niego hulanka!...

— Rozumiem!... ale trzeba koniecznie pomocy Ferdynanda; on ma ogromny wpływ na niego.

— I ta panna z trzeciego piętra musi mi przyjść w pomoc.

— Ja jadę po Ferdynanda!...

Jeszcze chwilę szanowne damy gadały między sobą, jeszcze coś sobie szeptały. Lecz mniejsza o to. To cośmy słyszeli, wystarczy nam, aby mieć mniej więcej wyobrażenie o położeniu rzeczy w domu pana Zygmunta Kalinieckiego. Wnet zaturkotał powóz na nowo, to kochana ciocia wyjechała znowu. My zaś przejdźmy tymczasem do pana Kalinieckiego.

VIII.

Pokój pana Zygmunta, na tylną część domu wychodzący, nie tak wesoły jak pomieszkanie pięknej jego małżonki. Obszerny i posępny, zawalony księgami i szafami. Biblioteka ze wsi od dawna przeniesiona do miasta. Nie takie wszakże urządzenie, jak na wsi, i stary kawaler, zostawszy szczęśliwym małżonkiem, mocno się odmienił. Zestarzał się do niepoznania.

Zgarbiony, zaniedbany w stroju, siedzi na wielkiej, skórą obitej kanapie, w cichem i smutnym zadumaniu. Szeroka twarz jego zapadła, a szlachetne rysy pokrzywiły się zmarszczkami mnogich szpilkowych cierpień, które mu prawie każdy dzień przynosi. W koło niego wielkie także zaniedbanie; wszystko nosi cechę wewnętrznego usposobienia. Na kanapie mnóstwo książek, w nieładzie rozrzuconych, bo niespokojny umysł jego, przy żadnej długo zarzynać się nie może; to jedną to drugą otworzy, by rzucić je ze znudzeniem. Na stoliku przed nim toż samo mnóstwo ksiąg i papierów porozrzucanych, a wszystkie pyłem przyprószone; tu i owdzie ciemni się po nich rozsypana tabaka, której pan Kaliniecki od niejakiego czasu używa bez miary. Ulubiony Horacjusz jeden najporządniej utrzymany, spoczywa przy nim. A tam w kącie, na małym stoliczku, przy łóżku, spoczywa druga znajoma nam z Kaliniec księga święta.

Powody tak wielkiej odmiany, jaką widzimy u pana Kalinieckiego, i smutnego zadumania w jakim go zastajemy, bardzo łatwo do zrozumienia. Biedny starzec nie kontent z siebie i z całego życia, jakie sobie zgotował z własnej woli. Chcąc uciec przed przeszłością, która go nieraz trapiła, dał się uwieść wdziękom i oblesnej wesołości panny Róży, i ożenił się z nią, w przekonaniu, że go pożycie z młodą, dobrą i przywiązaną żoną, odmłodzi, wszystkie smutne pamiątki z myśli wypędzi i uszczęśliwi go zupełnie. I jakże nie miał mieć tego przekonania, kiedy mu śliczna Róża po tysiąc razy przysięgała, i to słowami, wzrokiem najgorętszym, że się do niego całym sercem przywiązała, i że szczęście jego będzie jej całego życia celem. Głupi starzec!... Nie pierwszy on i nie ostatni, który uwierzył słowom złudnej syreny.

Smutne było obudzenie z krótkiego snu. Róża była za nadto zepsutą i roztrzępaną, a mianowicie, pragnącą życia pełnego, jakie majątek dać może; długo udawać nie mogła.

Przyzwyczajony do domowego zacisza, do swobodnego pokoju w wiejskim pałacu, wśród ksiąg ulubionych, musiał mimowolnie patrzeć na zgiełk i wrzawę towarzyską, jaką zapelniała mu dom cały. Choć mu to było przykro, przymuszał się dla żony, bo co właśnie było najgorzej i co położenie jego czyniło nieznośniejszym, pan Zygmunt szczerze kochał żonę. Jej miłość, a przynajmniej oznaki jej miłości stały mu się potrzebą konieczną, i dla tego na gwałt utrzymywał się przy tem złudzeniu. Więc próbował nieraz robić jej lekkie wymówki, przedstawienia, prosić nareszcie, aby choć trochę zaniechała



tego życia roztrzępanego, które go męczy. Pani Zygmuntowa odpowiadała z uśmiechem, i słodkim całusem go obdarzała, a pewna ślepego przywiązania, bez ogródki mu mawiała:

— Jam młoda! ja się bawić muszę. Ty mnie kochasz, więc mi przecie bronić nie będziesz...

Takiego rodzaju małżeństwo, to stara jak świat historia, na cóż długich opisów. Przyszły chwile powątpiewania.

— Może ona mnie nie kocha; mnie starego! — Rozpaczwał stary, męczył się, starzał, tetryczał i pomału zaczął się usuwać od hucznego towarzystwa, jakim się otaczała czuła małżonka, która naturalnie najszczęśliwsza była z tego. I przyszło do tego, że coraz stawał się samotniejszy, i coraz smutniejsze otaczały go myśli dawne i nowe. Już nawet nie walczył naprzeciw nim, jeno się im oddawał z rezygnacją rozpaczy.

Prócz tego dwa jeszcze powody wpływały na to biednego starca usposobienie. Znaliśmy go oszczędnym zawsze, a choć nie skąpy, nie cierpiał próżnego trwonienia. Tymczasem zbyt kosztowne życie żony kosztowało wiele, a dzięki planom spekulacyjno-przemysłowym szanownego teścia, dochody się znacznie zmniejszały. Hrabia Staniecki tłukł się po Kalińcach jak szara gęś, a mimo przyrzeczeń wszystkich, choć już sześć lat minęło od tego czasu, owe wielkie budowle nie były ukończone. Przez słabość charakteru, pan Zygmunt stanowczo nie chciał zrobić kroku, i ciągle odkładał ostateczne rozmówienie się z ukochanym teściem. Stawał się tylko przez to codzien skąpszym, co znowu sprowadzało mu nieraz dosyć uszczypliwe wymówki małżonki.

Drugim powodem były zatargi familijne między synowcem a żoną, która ciągle na niego nowe wywodziła skargi. Nieraz byliby rad się cofnąć w dawne życie rodzinne, ale to już było niepodobieństwem, bo i Kazio, życiem stołecznem rozerwany, na inne wpadł koleje; a i Guccio i Andzia, choć w jednym domu mieszkali, stosunkami tak byli oddzieleni, że ledwie ich mógł kiedy widzieć. Niekontent z siebie samego, chcąc część przynajmniej złego zrzucić z siebie, obwiniał i żonę, i Kazia, i Guccia, i Andzię i tak codzien stawał się nieszczęśliwszy, codzien posuwał się ku przedwczesnej starości, którą przyspieszało jedno jeszcze najprzykrzejsze uczucie. Uczuciem tem była zazdrość. Któryż stary, jeżeli kocha, może się obejść bez niej? Pan Zygmunt wierzył żonie swojej, i był przekonany o jej najcnotliwszem usposobieniu. Ale to straszne ale, ten miecz powątpiewania, wiszący nad każdym śmiertelnikiem we wszystkich myślach i uczuciach ludzkich, snuło mu się przed oczami we dnie i w nocy, we śnie i na jawie, i od pewnego czasu coraz wyraźniejszych nabierało zarysów.

Lecz zostawmy tym razem pana Kalinieckiego w smutnych myślach pogrążonego, i spieszmy przywitać się z innymi dawnymi znajomymi naszymi. A naprzód udamy się na trzecie piętro; tam, jak wiemy, mieszka nasza Andzia.



IX.

Zawsze śliczna, dziś już nie Andzia, ale panna Anna, dziewica rosła i wysmukła w całej pełni swych wdzięków, z głębszą myślą, co naksztalt aureoli promieni się na jej gładkiem alabastrowem czole, przechadza się po cudnie pięknej twarzy i z lyszczących strzela oczów.

Panna Anna była śliczną brunetką, o oczach pełnych życia, o włosach, lśniących ciemnym połyskiem, które w liczne splecione warkocze, zdawały się śliczną jej główkę chylić nieco na bok własnym swym ciężarem. Przy czarnych oczach i włosach białość jej twarzy była zadziwiająca. Dodawszy do tego nadzwyczaj delikatne rysy, przyznać trzeba było, że Anna należy do niepospolitych piękności, jakoż za taką głoszą ją w całym mieście. I wyraz twarzy dawny wesoły, niedbały, ustąpił przed wyrazem, zdaje się na pierwszy rzut oka, zamyślenia, który więcej jeszcze niż lata zmienił naszą śmiejącą się, serdeczną a ciekawą Anusię. Czy na tem zyskała jej twarz, to należy do pytań, które rozwiązać może dopiero bliższe z nią poznanie. Siedzi ona nie sama w tej chwili. Oparta niedbale na krzesle, z jakąś kobiecą robótką w ręku, patrzy od czasu do czasu ku oknu, które wychodzi na dziedziniec kamienicy. Po każdym takim spojrzeniu, wyraz zamyślenia na twarzy staje się wyraźniejszym i głębszym. Lecz jakby chciała uciec przed nim, zwraca oczy na przeciwną ścianę, gdzie wielkie zwierciadło wiernie odbija całą postać siedzącej dziewczyny. I wówczas zamyślenie ucieka, a uśmiech dawne śliczne dołki wykopując koło ust, rozjaśnia piękną dziewczycy twarzy-czkę. Lecz nie ten to co dawniej uśmiech! To już nie dziecko się śmieje. Dziecko lubie serdeczne, śmieje się pustotą, myślą rodzinną, latającą bez celu, gdyby ptaszek pod niebem. Oj nie ten! nie ten!... Uśmiech ten zdaje się mówić sam do siebie i do wszystkich, co ją otaczają: — Patrzcie!... jam piękna! bardzo piękna!...

Dawną serdeczność w uśmiechu, zastąpiła lekka jeszcze ale już wyraźna zalotność. I jakże być inaczej mogło?... Posłuchajmy rozmowy tych, co ją otaczają, a zrozumiemy, jakie nauki daje ta szkoła świata, która dzieci przerabia na mężów i niewiasty.

— Radabym wiedzieć, dla czego tak przeciągło spozierasz przez to okno?

To przemówiła pani Frazerowa, matka, którą już ujrzeliśmy, i która powiedzmy to czem prędzej, miała o sobie wielkie wyobrażenie na punkcie wysokich sentymentów, i z tego stanowiska wychodząc, lubiała górnolotnie przemawiać. Górnolotność zaś ta na tem się u niej zasadzała, że potoczną mowę szpikowała najniestosowniej wyrazami, mającemi pretensję do niezwykłości. Pani Frazerowa zresztą była sobie kobiecina nie wielka, której rysy z duszą były w zupełnej harmonji; jak jedna, tak i druga były zupełnie pospolite. Dodać należy, że choć nieboszczyk mąż miał nazwisko niemieckie, był niemniej polakiem duszą i urodzeniem; ale za to pani Wilhelmina,

choć z urodzenia miała polskie nazwisko, była rzeczywiście Niemką co do obyczajów i usposobienia, w skutek wychowania, jakie pobierała w mieszczańskim domu lwowskim, w większej połowie zniemczonym. To się u nas często zdarzało i zdarza dotąd, bo małpowanie niemiecczyny należy do dobrego tonu pewnej klasy mieszczańskiej u nas. I zresztą przez matkę Niemkę, należąca do owych pierwszych rodzin, co do nas z pieskiem i torbą próżną przywędrowały, by nami później rządzić obdzierać, i łaskawie nam rozumu swego użyć, pani Wilhelma była spokrewnioną z mnóstwem Weisów, Szwarców i Majorów rozmaitych, w których tak bogate bywa wszędzie mieszczaństwo niemieckie.

— Wyglądasz, mówiła dalej, ku temu gołemu poecie, jak słońce, coby chciał spoglądać do niskich progów jakich, by patrzeć na żebraka.

— Co też mama gada! — przerwała Anna, i głośnym a szczerym parsknęła śmiechem.

— Twoja mama hat recht! — przemówiła panna Ernestyna, rodzona siostra pani Wilhelminy, która się dotąd z niematem żałostwem zadziwieniem nie mogła wydać za mąż, choć była podobniutką do siostry swej, w zwiększeniu wszakże i lat, i otyłości wcale znakomitej, przybierającej w twarzy postawę opuchnięcia wiecznego.

— Co ci może przyjść z takiego goljasza!...

— On będzie doktorem medycyny! — odrzekła żywo panna Anna.

— Warum nicht gar! — ozwał się wujaszek; wujaszek ci to po kądzieli, i jak Francuz mówi na modę bretońską, czyli po naszymu: piąty kół w płocie. Był to wielce znany we Lwowie Fiedelmajer, najchudszy egzemplarz niemieckiego ekskapelmistrza, któremu nie zostało z dawnej funkcji, prócz dyszkantowego głosu, machania rąk konwulsyjnego w takt i wzorowego nosa, który przez czas w dół pochylony, miał niejaki podobieństwo do konaru płaczącej brzozy.

— Nie tak to łatwo zostać doktorem! — ozwała się inna kuzyneczka z włosami dukatowej barwy, co było niestety całem jej bogactwem.

— On już dziś nim jest!... bo go nawet drudzy doktorzy używają.

— A nie chciał kurować mego mopsika Fidela, kiedy tak zaśłabł niebezpiecznie... i... zdechl biedaczek! — przemówiła jeszcze jedna kuzynka, najpoważniejsza ze wszystkich, bo w posiadaniu męża byłego kameralratha i ciemnego wąsika, który się jej zasiał pod nosem wcale gęsto.

— A jak gra na skrzypcach! — broniła panna Anna dalej naszego Gustawa. — Wszyscy przyznają, że on jest prawdziwym artystą.

— O wa!... taki chudy artysta! — przemówiła trzecia z rzędu kuzyneczka, najotyłsza ze wszystkich, jakie były i będą komisarzowe cyrkularne, bo do nich miała zaszczyt należeć ta dama, zdecydowana nieprzyjaciółka wszelkich chudości.



Wszystkie te trzy kuzyneczki, codzienne prawie goście pani Frazerowej, tworzyły trójkę, znaną w stolicy pod nazwą generyczną, Betschwester. A opiekowały się nadzwyczajnie naszą piękną Anusią.

— Ich hab andere Virtuosen gehört!... zum Beispieler meinen Freund Prtkeil, Kapelmeister bei weiland Fürst Colloredo.

— On cudnie gra — powtórzyła Anna, i z pewną niecierpliwością spojrziała przez okno, bo dziś od rana ten przyszły doktor sławny, ten skrzypek jenjalny, ani razu nie wyjrzał ku niej.

I w tej chwili, jakby na poparcie przyjacielskiej obrony, ozwały się tony skrzypców, czyste, harmonijne, przeciągłe i smutne. To gra Gustaw, nasz dawny znajomy. To zamyslenie — jak go Andzia za lat dziecinnych nazwała — wygrywa swe najtajemniejsze marzenia. A cudnie muszą być te marzenia, pełne poezji, która młodego człowieka przepelnia i wylewa się tonami rzewnemi nad wszelki wyraz. W tych tonach, co się raz wznoszą ku niebu, by tam nikuąć wraz z mgłą poranną, z obłokiem, co szybuje z ptakami na wyścigi, to znowu spadają coraz niżej i niżej, jakby się harmoniją żałoby przedrzeć chciały w najgłębsze grobowe sklepienia, w tych tonach, którym zdaje się tylko lez brakuje, by szarpiącym serce płakały bolem, w tych tonach jest poezja myśli, poezja uczuć, wszelka poezja, nawet rozpaczy, nawet rezygnacji, prócz poezji nadziei. To nie skrzypce śpiewają, ale zdaje się własne jego piersi. A w tych piersiach musi być skarb ogromny wielkiej, wszystko ogarniającej miłości. — Poet-skrzypku!... szkoda twych tonów, dla uszów Midasowych świata, którym najmiłszym jest tylko dźwięk złota. Szkoda dla tych, co cię w tej chwili słuchają, bez wyjątku nawet pięknej twych lat dziecinnych towarzyski, do której chciałbyś z muzycznych tonów most rzucić dla twych uczuć i twej tęsknoty. Szkoda dla tej zgrai szewczyków i krawczyków, co na dziedzińcu kamienicznym polują tam za szczurami, i których uszy równie jak i serca nigdy ciebie nie rozumieją. A przecież oni jeszcze ciebie najpoczeiwiej i najbezstronniej osądzili, gdy śmiejąc się i rzucając patynkami w górę, rzekli do siebie :

— Żeby ten bładny panicz na górze choć raz nam zagrał krakowiaka!... tobyśmy pohulali przecie.. A onby go dobrze zagrał.

Dla ludzi graj skrzypku młody, nie dla siebie, nie dla poezji, nie dla sztuki. Tak graj, jak grał przyjaciel chudego ekskapelmistrza, urodzony Czech muzyk, co jeździł po świecie za lubym groszem w białej krawacie, czarnym fraku i maślanych rękawiczkach.

— Zawsze płacze!... Ciągle płacze!... J... szcze płacze!... — zagadły trzy nabożne siostrzyce.

— Keine Symfonie!... lauter Adagio!... mein Freund Prtkeil!... war berühmt in den Allegro!...

— Jęczy jak duch pokutujący! — dodała tłusta Ernestyna!...

— Srogimi i okrutnemi wybucha tonami — dokończyła mama areopagowe osądzenie.

— Już to prawda!... że strasznie płacze! — sama do siebie przemówiła panna Anna, i w myśli jej przemknęło dodatkowe zapytanie: — A dla czego on płacze?...



I miasto odpowiedzi spojrzała znowu ku zwierciadłu, które jej odpowiedziało cudnie pięknym, zdradziecko-zalotnym uśmiechem. Skrzypce zamilkły, a towarzystwo zwrócone ku Annie, dostrzegło cichą rozmowę dziewczyny z zwierciadłem, i wszyscy, jakby najęci, zawołali jednozgodnym chórem:

— Jaka ty piękna!...

— Do nas podobna, jakeśmy były przed kilkoma laty! — powiedziały trzy nabożne siostry, i odpowiedziała z westchnieniem przeraźliwym chorej panny ciocia Ernestyna.

— Pięknaś, moja Anusiu, jak zorza, co z łóżka wstaje! — przyklasnęła mama pochwałam.

— Wie die selige Chrdnski, prima donna aus Hildburghausen-Rudolfstaat.

— Co piękna! to piękna! — powiedziało najwymowniej zwierciadło, i spróbowała czarującego uśmiechu, towarzyszonego spojrzeniem morderczem.

Annie zawróciła się główką; zerwała się z miejsca i pobiegła ku zwierciadłu, by może ucałować tę śliczną twarzyczkę. Nie uważała nawet w tej chwili upojenia, że się otworzyło okno drugiego piętra w przeciwległej oficynie kamienicznej i że za tonami harmonij, co za wstęp służyć miały, po moście, z nut najrzewniejszych, pomknęły dwa spojrzenia, co zdaje się prosto z serca wyskoczyły. Szkoda twych spojrzeń młody poeto!... Jak o stal twardą odbiły się niewidziane, niepojęte o gładką zwierciadła powierzchnię. Wystąp teraz jako lekarz i porwij dziewczę za puls: zdrowy jednostajny, nie przyspieszył się ani na pół mgnięcia oka, mimo twych tonów śpiewnych i twych spojrzeń serdecznych.

— Jaka ty piękna! — powtarzano w koło niej od lat kilku!...

— Jaka ty piękna! — uczyła ją szkoła świata, rozbierając jak najlogiczniej istotę piękności. — Piękność, to królestwo! — mówiła ona — piękność, to broń zwycięzka!... którą możesz zabory robić i podbijać, królowo wdzięków!... Piękność, to twój skarb, to twoje bogactwo, to twój posąg!... zdobyczą maż bogaty; z nim użycie świata, salony, powozy, liberje, podróże, kadzidla pochlebstw — i... i.. różne inne rzeczy szeptała, czego jeszcze nie rozumiała zupełnie, ale zrozumie w swoim czasie doskonale.

— Moja córka będzie jeździć na resorach szczęścia! — mówiła mama Frazerowa swoim malowniczym językiem. — A z tym gołym skrzypkiem lekarzem musiałaby się trząść w bryczce nędzy.

To mówiąc i szkoła świata, i mama Frazerowa, i ciocia tłusta, i chudy, dyszkantowy przyjaciel czeskich znakomitości muzycznych, i trzy siostrzyce nabożne, i ta co ruda, i ta co pod wąsem, i ta co chudości nie cierpi, szeptali jej ciągle i bez końca, jedno i zawsze toż samo jest imię!... To też Anusię, choć nie raz koreciło, i wygodniej jej było nawet patrzeć na przeciwległe okno drugiego piętra, wykrzywiła szyjkę i patrzyła w dół ku pierwszemu piętru. A to pierwsze piętro ileż ma zwykle czarodziejskiej ponęty dla piętra trzeciego. Z trzeciego piętra przeniesie się na całe życie na pierwsze piętro!... to marzenie dnia i nocy!...

— Tylko miej rozum! — szeptali w koło niej. — Czaruj go uśmiechem, okiem, słowem!... i przysięgą nawet!... to marny grzech, bo słowo wiatr porwie... On cię kocha!...

Dziewczyna wdychała na to, i serce zatłukło żywiej, i choć cichym, przytłumionym odzywało się głosem: — Lecz który więcej ciebie kocha?...

Ale szkoła świata, ale zwierciadło, i reszta pospolitych krewnych, przyjaciół i znajomości, i matka rodzona mówią co innego, i dziewica rumieni się, gdy spojrzy w okno pierwszego piętra. I jeszcze się więcej w tej chwili zarumieniła.

## X.

To zarumienienie nie było bez przyczyny. W tej chwili otworzyły się drzwi, i lekkim, szybkim a zgrabnym krokiem wszedł przez nie także dawny nasz znajomy, Kazio, jak go nazwaliśmy, dziś już w stolicy dobrze znany pod nazwą pana Kazimierza Kalinieckiego. Hrabiego nawet dodawało wielu, bo dla wielu z wielkim majątkiem tak doskonale idzie para w parę tytuł hrabiego.

Pan Maciej Waleskuł, którego praszczurowie jedli mamałygę w jakiejś chacie wołoskiej, a jeden antenat przez blażeństwa doszedł do herbu, obywatelstwa, majątku i znaczenia, człek wielce sprytny, obdarzony wielką inteligencją i takimże samym garbem, twierdził zawsze i mądrze twierdził: — Jeżeli jest absurdum goły hrabia, absurdniejszym jeszcze nonsensem jest człek majątny nie hrabia.

I przecie!... o niesprawiedliwości ludzka i boska!... taki Waleskuł, mimo znacznych włości, mimo serdecznych natężeń, nie doszedł do tego, aby ten tytuł hrabiego, tak mu słusznie należny, przyczepił do nazwiska swego. Tu i owdzie fagasy i niemieckich gospód właściciele zwali go hrabią, ale tak przed własnymi ziomkami błysnąc dziewczęcią pałkami herbowemi i plunąc w oczy: Jam hrabia! — tego nie dały mu zawistne nieba!...

Pan Kazimierz wchodząc, miał rękawiczki słomianej barwy, uśmiech salonowy na ustach, ubiór żurnalowy na kształtnej figurze swej, a w rękę dzierżył wielki bukiet... Naturalnie z samych kamelji!... bo inne kwiaty dla tłumów stworzone! Róża, goździk, te mogą pachnąć każdemu nosowi; rezedy wonia nawet dla ekonomówny, ale kamelja to kwiat, co nie rośnie po partykularzach, to kwiat drogi, godny salonów i ludzi z urodzeniem... Lada hołysz dobierze sobie jakies głupie i tanie kompostyliony, geranje, astry i coś tam jeszcze podobnego, co wszędzie rośnie; ale wara mu do kamelji!... Sliczny był w samej rzeczy bukiet pana Kazimierza i pełen gracji uśmiech i ruch, z jakim podał ten bukiet pięknej trzeciego piętra mieszkance.

— Pani! — rzekł do niej.

Nie dziwcie się, że tak ceremonjalnie przemawiał do niej; nie tak, jak tam kiedyś za lat dziecińczych w brzozowym gaiku. To



dobre było na gniazdeczko rodzinne; ale świat uczy przyjemności, ugrzecznienia, przyzwoitości i tego ceremonjału, który koniec końców zbawiennymi swymi formułami, rozgranicza ludzi jak się należy, od ludu jak się nie należy, to jest od owego tłumu, co tam gdzieś kroczy po nizinach społecznych.

— Pani! — mówił dalej do niej; a głos jego miał to wygładzenie salonowe, śliskie, pozbawione wszelkiej chropowatej szczeroty, z którym tak zgrabnie można się przemykać przez wszystkie trudności uczuciowe, na których prostacy utykają, jakby chłop niezgrabny na nierównej podłodze. — Pani!... pamiętny na dawne chwile, przypomniałem sobie, ile razy dzień ten przepędziliśmy razem.

Piersi śliczne, pełne piersi panny Anny podniosły się, bodaj czy nie starem, szczerem, poczciwem uczuciem świętych dawnych czasów. A rumieniec barw coraz ciemniejszych cudnie okraślił śliczną dziewczynę.

— Przychodzę do ciebie, śliczna panno Anno — mówił dalej, skłaniając głowę do eleganckiego ukłonu — po te życzenia, o których szczeroci przekonany jestem nie tylko dzisiaj.

Panny Anny serce zadrgało, i prawdziwa łza zabłysła w jednym kąciku czarnego oka, trzecim najcudniejszym brylantem.

— A na pamiątkę tych chwil szczęśliwych, przynoszę ten skromny bukietek drogiej towarzysze lat najszcześniejszych!...

O! szkoła świata, bodajże ciebie! jeżeliś ich do tego stopnia przerobiła, że i pan Kazimierz uwierzył w szczeroci słów swoich, i Andzia przyjęła je za dobrą monetę.

A otaczający, i chudy muzyk i siostry dewotki, i mama i ciocia, z jakąż żarliwą słuchali go rewerencją! Wszyscy zgięci w pół, nabobnie łapali słowa z ust jego wyrzucane, a spojrzeciami, ku Annie zwróconemi, zdawali się jej mówić: — Szczęśliwa!... to pierwszopiętrowy mieszkaniec mówił do ciebie trzeciopiętrowej mieszkaniki. To przedstawiciel miljonowej fortuny!...

I każdy uczuł pewną dumę szlachetną, że się tak niedaleko znajduje od tych miljonów, że się prawie o nie otrzeć może. — Łapajże je wraz z nim, — mówiły do Anny wszystkie oczy. — Nie bądź głupia!... użyj wszelkich środków!... bo dla uzyskania miljonów wszystkie są dobre.

I potem, pomału, z dyplomacją godną moralności, jaka spełnia te zacne dusze, wynieśli się cichaczem jedno po drugim, i mama, i ciocia, i kuzynostwo łaskawe, aby się młoda para mogła swobodnie rozmówić.

— Ja, jak ich widzę w tak dobranej parze, — mówiła wychodząca mama do cioci, — to mam także nieopisane, niewymowne a wysokie uczucie, jakbym miała smakować jakąś wyśmienitą nowaliję.

Oj matko! matko! aby ci ta nowalija nie wpadła do ust owocem zpopielalym martwego jeziora.

Pan Kazimierz, jako prawdziwy panicz, ledwie kiwnął głową im wszystkim, i za odchodzącymi wyprawił jeden z tych uśmiechów



drwiących, które salonowce mają zawsze na pogotowiu dla niesalonowego tłumu, jeżeli go swoją znajomością zaszczycają. Jest to rzecz wiadoma i stara, jak stare są salony, a przecież niesalonowi wiecznie biegać będą, za salonowymi i jak najzawzięciej przyznawać się do ich znajomości.

Gdy już wszyscy wyszli, pan Kazimierz, oddając bukiet do białych rączek, porwał jedną z nich i ucałował pocałunkiem długim, przeciągłym, aż się panna Anna po szyję zaczerwieniła. Czy z uczucia, czy z radości?... tego podobno nie umiałyby sama sobie wytłumaczyć. To wiedziała tylko, że się czuje mimowolnie zakłopotaną. Lecz za nadto długo była w szkole świata, której poznaliśmy przedstawicieli, aby to zakłopotanie długo trwać miało. Ukośnem a mimowolnem spojrzeniem poradziła się zwierciadła, które znać dało jej bardzo przyzwoitą radę; bo się tak jakoś zalotnie uśmiechnęła, że i sama z siebie była zadowolona, i pan Kazimierz uczuł mocniejsze bicie serca, niż to przystawało pierwszopiętrowemu paniczowi.

— I ja nie zapomniałam — przemówiła, patrząc już śmieje w oczy młodemu solenizantowi — o dniu dzisiejszym. — I nastąpiło zwykłe wyliczanie życzeń najpiękniejszych, między którymi Anna jednego przecie najważniejszego nie wymieniła, to jest, by mogła dzielić z nim razem te wszystkie szczęśliwości, jakich mu winszowała. A nawet! — dodała pół uśmiechnięta, pół zarumieniona — jako dowód mojej pamięci, przyjm W. pan od dawnej towarzyszki.

To rzekłszy, wyjęła podarunek, znać już przygotowany, bo spoczywał od rana za białutkiej sukienki gorsecikiem. Pan Kazimierz porwał za perełkami haftowaną sakiewkę i ucałował co najczulej i podarunek i rękę podającą. A w zapale podziękowania tak się bardzo zbliżył do Anny, że gdy się w tej chwili drzwi otworzyły, znaleźli oboje potrzebę odskoczyć od siebie ruchem tak niezgrabnie gwałtownym, że się omal nie cofnął wchodzący właśnie sąsiad drugopiętrowy, ów, jak go mama Frazerowa i jej kuzynostwo nazywali, goły skrzypek i lekarz. Ale już go oboje ujrzeni, więc tylko zarumienił i zmieszał się biedny młodzieniec więcej może od nich obojga.

To trzecie z tych lubych dzieci, któreśmy poznali w gniazdeczku rodzinnem, to Gucio, sierota z gaju, bez nazwiska.

— Pan Gustaw! — przemówiła Anna, nie tyle zmieszana, ile rozniewana na gościa, który powinien był przecie przewidzieć, że przychodzi w niestosowną porę.

— Patrzaj Gustawie! — zagadnął pan Kazimierz z przesadzoną żywością, by pokryć pamięszanie, które go przejęło mimo całego salonowego paniczostwa. — Patrzaj jaki śliczny odebrałem podarunek od panny Anny.

Gustaw spuścił oczy, lecz czy widział nawet perełkową sakiewkę, wątpić można, bo mu się serdecznie przykro zrobiło. Lecz Gucio do cierpień przyzwyczajony, niejednym bolem miał duszę zahartowaną, to też się wnet opamiętał, i skłoniwszy się dosyć niezgrabnie młodej dziewczynie, zbliżył się do Kazimierza i z zszczęrem uczuciem porwał za rękę dawnego towarzysza.

— I ja pamiętałem!...

— Pięknie pamiętał! — przemówił panicz, przybierając ze wszystkich tonów salonowych najnieznośniejszy, ton protekcjonalny. — Od rana nie byłeś u mnie.

— Cały ranek byłem w szpitalu, bo to dzisiaj mój dzień. I ledwie przyszedł.

— I zagrał na przywitanie! — pomyślała sobie panna Anna nie bez wewnętrznego zadowolenia.

— Byłem u ciebie — kończył Gustaw — lecz nie zastawszy...

— Przyszedł pan do mnie! — zaszczebiotała młoda zalotnica. — Dziękuję!... inaczej byłabym pana nie widziała.

Gustaw nic nie odpowiedział, spojrział tylko na nią wzrokiem tak serdecznie wymownym, że Anna przed nim oczy spuścić musiała, i serce znowu zadrgało, ale tym razem podobno z uczucia, nie z radości. Nastąpiły życzenia, i uściśnieli się dawni towarzysze, ale nie po dawnemu. I przez ich dawne uczucia przeszła szkoła świata. Panna Anna przez ten czas patrzyła na nich z taką uwagą, jakby ich porównać chciała.. I my też przypatrzmy się bliżej obudwom. a poznamy najlepiej, co się w nich zmieniło od szczęśliwych chwil w ogrodzie kalinieckim.

Zmienieni obadwa, i jak bardzo; rysy te same, ale jakże inne tych twarzy wyrazy! Ledwie poznać można swobodnych chłopaków z rodzinnego gniazdeczka. Na pozór mniej zmieniony jest Kazio. Ta sama twarz okrągła rumiana, ten sam blondyn przystojny, choć mu pociemniały nieco włosy; lecz wpatrzywszy się bliżej, najlepszy dawny znajomy, darmoby szukał wyrazu tej lekkiej swobodnej wesołości, dla której go Andzia nazywała charakterystycznym przydomkiem „pustota“. Jest ta sama miękkość w wyrazie twarzy, co dawniej, jest i uśmiech przy twarzy ale uśmiech pewny siebie, uśmiech szyderczy nawet, patrzący na wszystko z góry, uśmiech prawdziwie salonowy. Tak w wyrazie twarzy, jak i w uśmiechu, w całej postawie, jak i w ruchach wszystkich, jest coś paniczowskiego, jest ogromne z siebie zadowolenie, wpadające w zarozumiałość. I rzecz prawdziwie smutna!... lecz ten właśnie paniczowski wyraz najwięcej się podobał pannie Annie, której wewnątrzny smak, może nawet w sercu siedlisko swe mający, powiedział zupełnie przeciwnie, że daleko przystojniejszy jest Guccio. Ale świat powtarza jej ustami mamy, cioci i całego kuzynostwa:

— Patrz, jaki ten Guccio niezgrabny; w każdym rysie coś tak pospolitego, coś tak chłopskiego, co oczywiście zdradza jego pochodzenie. Bo szkoła świata wierzy w arystokrację krwi, która im szlachetniejsza, tem się w zgrabniejszych i arystokratyczniejszych wypiętnuje kształtach. Wznioślejsze wszakże umysły nie mogą się oprzeć temu śmiesznemu przesądowi. Wiadomo przecie, że mądra i wykształcona Lady Stanhope, która znudzwszy się nudną jednostajnością arystokratycznego społeczeństwa, wyniosła się w góry Libańskie, w Lamartynie nie poznała poety w niczem, ale poznała po małych stopach pochodzenie arystokratyczne, czystej krwi. Zmiana ta powierzchowności naszego Kazia, nie powinna nas zadziwiać, bo ta



zmiana była niejako odbiciem wewnętrznego usposobienia. Ta sama szkoła świata, złożona z całego otoczenia, co ob- i nadskakiwało młodemu dziedzicowi wielkiego mienia stryjowskiego, powtarzała mu bez końca:

— Tyś bogaty!... tyś panicz; a zatem wyższy od drugich, i sercem i rozumem, i wdziękami; jednym słowem, wszystkim, bo za pieniądze zdobędziesz wszystko. I wszyscy ciebie podziwiać, wszyscy wielbić powinni, boś pan rodem i majątkiem. Niestety! mimo tylu społecznych przeobrażeń, tylu krwawych rewolucyj! mimo że tylekroć dzieje zadały kłam jej naukom, powtarza do dnia dzisiejszego dawną przypowiadkę, jako jedni ludzie pochodzą od Chama, a drudzy od Jafeta, dodając do tego, jako znak postępu, nową nobilitację plutusową.

Czy z dawnych uczuć Kazia zostało się w panu Kazimierzu choć jedno ziarnko lepsze, w głębi serca zakopane, co może kiedyś przy pierwszym otrząśnieniu, jakby po burzy oczyszczającej powietrze, wystrzeli zdrowym plonem, który przerośnie w koło pełzające chwasty — to nam przyszłość okaże. Może to jego przywiązanie do Anny?... Wielka i silna miłość może zaiste stać się tem zdrowym ziarnem!... Ale jaką jest miłość Kazimierza do Anny, zobaczymy także później. W wyrazie twarzy Gucia jeszcze większa odmiana. Na twarzy wychudłej, zapadłej nawet nieco, choć rysy zdradzają wiek młody jeszcze, niema już nic z dawnej dziecinnej a nawet młodzieńczej swobody, a choć rzadko odzywała się w nim prawie i w owym gniazdeczku rodzinnem. Wyraz ten zastąpiła powaga starsza od wieku, powaga mężka. Ta sama powaga, może nawet za pedantyczna, panowała w jego całej postawie i ruchach wszystkich; i to właśnie, co go dla ludzi bezmyślnych niezgrabnym robiło, mianowicie w obec salonowego panicza pierwszopiętrowego z jego okragłemi ruchami. Lecz człowiek z myślą, uważniejszy, gdyby się wpatrzył w Gustawa, a znał dawniejszego Gucia, odgadłby że ten wyraz ogólny mnóstwo ma odcieni, które go chwilowemi łyskawicami zmieniają. To blyski wielkiej burzy, której panem został w końcu Gustaw, bo zostać nim chce całą silną wolą energicznego charakteru. I wielkie to były te walki, jakie przebył i przebywa dotąd. To też jeżeli dawniej Andzia przezwala go zamysleniem, teraz nazwać by go powinna smutkiem albo rezygnacją raczej. W rzeczy samej i jedno i drugie było w wyrazie jego twarzy. Mianowicie koło ust, miasto uśmiechu, był najsilniejszy wyraz, wkopany zda się na wieki w dawne dołki, wyraz smutku tak głębokiego, że aż za serce chwycił patrzącego boleśnie. I w samej rzeczy ten to wyraz najwięcej przemawiał do serca Anny za dawnym towarzyszem, bo w sercu kobiety, najwięcej zepsutej, łatwo bardzo budzi się współczucie litości. Dla jej zimnego otoczenia przeciwnie, ten wyraz robił Gustawa brzydkim.

— Patrz na niego! — powtarzali jej wszyscy — co to za wyraz nieprzyjemny, jaki złośliwy żółciowy. A nadyma się poważnie, jakby miał po co!...



I nikt, nawet Anna, chyba w rzadkich chwilach serdeczniejszego rozpamiętywania, co ją wracało niejako w dawne lata dziecinne, nie pojmowała, że z pod tej powłoki poważnej, którą przyjął na się Gustaw, by się nią bronić naprzeciw natrętnej ludzkiej ciekawości, co się to niby lituje — że z pod tej powłoki promieni się i dziwnie uszlachetnia chudą twarz wyraz poezji, dobywający się głównie z oczów, pełnych ognia i myśli. To jest wyraz prawdziwej wartości Gustawa, wyraz wyższości jego umysłu i serca. I do tej zmiany najwięcej przyłożyła się szkoła świata, która mu powtarzała chórem codziennych doświadczeń.

— Tyś goły i źle urodzony, czyli raczej całkiem nie urodzony, bo nawet własnych nie znasz rodziców. A zatem jesteś wydziedziczony; jesteś pariasem w społeczeństwie!...

Jest nim!... uwierzył szkole świata, i usuwał się od niej, by wejść w samego siebie.

— Jeżeli chcesz być szczęśliwym — mówiła dalej szkoła świata — staraj się wcisnąć między moźnych; pochlebiaj ich na miętnościom, korzystaj z nich, duś jak cytryny póki się nadarza pora, a gdy już wszystko wydusisz, wyduszoną skórkę odrzuć precz, i szukaj drugiej pełnej jeszcze soku cytryny.

Ale wszedłszy raz w siebie Gustaw, był głuchy na nauki świata, i samego siebie radził się. I po wielu burzach wyrobił sobie tę tarczę powagi, smutku i rezygnacji, a sam sobie powiadał:

— Szkoła świata prawdę mówi, bo tak jest w świecie; ale jej nauki szkodliwe są tylko dla dusz bawelnianych. Ja stalową mieć powinienem.

I miał ją w rzeczy samej. Rzucił się w objęcia pracy, i z niej pobierał siły, by walczyć i pokonać niejedną pokusę. W przeciągu lat kilku, mając nauki przygotowawcze, jakie pobierał z Kaziem, rzucił się z całym zapałem do sztuki lekarskiej, i o tyle już postąpił, że skończywszy kurs medycyny, odbywał praktykę przy szpitalu. Jedyną rozrywką w ciągłej i suchej pracy, była mu poezja, co mu przepelniała duszę, którą umiał trzymać na wodzy, a której pozwalał tylko wybuchać tonami skrzypców, na których ćwiczył się z mistrzowską namiętnością, i miłośne ku Annie rzucał spojrzenia i westchnienia. Ta miłość była w nim wielką i czystą, i stawiała mu się nawet pobudką do tem wytrwalszej pracy. Bo sam w sobie żyjąc, nie słuchał podszeptów świata, który mówił z szyderczym uśmiechem: Panna Anna zmieniona, to nie twoja dawna towarzyszka, Andzia twych marzeń poetycznych; ona zakosztowała moich nauk.

On wierzył w serce Anny, i zbierając całą odwagę mężką, walczył z szatanem powątpiewania, powtarzając z okiem ku niebu wzniesionem:

— Ja chcę stać się jej godnym. Jej miłość i ręka będą nadgroda moich usiłowań. I gdy to sobie mówił, gdy to myślał, był wówczas szczęśliwy. Bo marzył cudne sceny, marzył nierymowane, niepisane ale wielkie, szczytne poezje.

Rozmowa między temi dawnymi towarzyszami nie szła raźnie. Bo Anna była mimowolnie zmieszana, i to zawsze, gdy obaj dawni

towarzysze byli przy niej. To mimowolne, całe porównywanie w takim razie, wywoływało w piersi jej dziewiczej taką burzę, taki zgiełk rozmaitych najprzeciwniejszych głosów, co się zdawały kłócić na zabój, że biedaczka nie mogła nic wyrozumieć z tego wewnętrznego chaosu. W takich razach przychodziło jej na pamięć zakończenie jakiejś zwrotki starej piosenki, którą ciocia przypominała sobie z młodych romantycznych czasów, i nieraz nucila z wyrazem dziwnie pociesznym:

Niespokojną czuję duszę,  
Bo miłości znieść nie mogę,  
A za sławą spieszyć muszę.

Czy pod miłością rozumiała prawdziwą miłość, tego z pewnością utrzymywać nie myślę, ale to pewna, że pod sławą, rozumiała zupełnie co innego, w sensie nauk szkoły świata.

I Kazimierz nie czuł się zupełnie swobodnym w obec dawnego towarzystwa. Gdy patrzył na niego, mimowolnie czuł się niższym, i to go do prawdziwej pasji przyprowadzało, bo naprzeciw Gustawa nie udawały mu się nawet jego tony paniczowsko-protekcjonalne, z jakimi nauczył go świat występować naprzeciw niższym urodzeniem i majątkiem. Rozbrajała go niejako serdeczność Gustawa, który z przyjacielską zawsze szczerością przemawiał do dawnego towarzysza, i nieraz występował nawet z radami, które z głębi serca pochodziły, i któremi radby był niszczyć zgubne nauki szkoły świata. Lecz później może będziemy mieli sposobność bliżej przypatrzeć się ich wzajemnemu stosunkowi. Tym razem rozmowa się ich bardzo krótko skończyła, bo pan Kazimierz siedział jak na szpilkach i widocznie się spieszył.

— Przykro mi — przemówił nareszcie — że muszę odejść!...

I to rzekłszy, rzucił ku pannie Annie wzrok tak zuchwale zalotny, a porwał za rękę ruchem tak poufalem, że oboje i Anna i Gustaw zarumienili się; Anna z wimowolnego wstydu, a Gustaw z oburzenia. Zacisnął wargi i nic nie powiedział, bo i jakież miał prawo mieszać się między nich.

— Ale mam gości dziś u siebie wieczór! — kończył pan Kazimierz, nie puszczając pięknej rączki, którą ścisnął coraz mocniej, i nie bez pewnego znaczenia.

Biedna dziewczyna i rada i nierada temu, płoniła się coraz więcej.

— Spodziewam się! — dodał w pół obrócony do Gustawa — że przyjdiesz także; będą wszyscy znajomi.

— Twoi! — wymówił Gustaw pół głosem.

— Już ciż ty należysz do najdawniejszych!... mój Guciu! — dodał po chwili pan Kazimierz, bo smutny wyraz twarzy i głosu dawnego towarzysza poruszył w nim to uczucie, które nigdy i u nikogo nie mileży zupełnie, a w nim mimo całej szkoły świata nie miało



czasu umilknąć. To poufale nazwisko trafiło do serca poczciwego Gucia.

— Przyjdę! — odpowiedział goręcej — chociaż ty wiesz, że ja nie lubię zgiełku, a jeszcze tych wszystkich, którzy przychodzą do ciebie, byle się zabawić.

— Ot!... moralista jesteś! — mówił panicz z wesolutkim uśmiechem, bo był niezmiernie rad ze swojego znalezienia się, które zdawało mu się nader szlachetnem w obec tych dwóch, tyle od niego niższych istot. — Zdałbyś się, jak cię kocham, na kaznodzieję!... nieprawdaż panno Anno?...

Panna Anna nie odpowiedziała, bo pod ciągłym, miękkim a gorącym ręki uściskiem krew jej dziwnie wrzała.

— Gdybym nim mógł być dla ciebie, mój Kaziu! — odpowiedział Gucio — a wymownym... a przekonującym...

Słowa te, wyszeptane prawie, może nawet i nie usłyszał pierwszopiętrowy panicz, bo już był przy drzwiach, a z nim Anna, której nie puszczał. I tak w pół żartem, w pół serio, znalazł się z nią za drzwiami. I... za drzwiami tak było ciemno, że Gustaw ujrzał wprawdzie jedno krótkie jak łyskawica zbliżenie się obojga, ale tak bardzo blisko, że się aż z miejsca porwał — ale więcej nic dostrzedz nie mógł, i zatrzymawszy się siłą woli, odwrócił się ku oknu.

Panna Anna wbiegła nazad i była w pierwszej chwili tak zmieszana, że nie wiedziała zaprawdę, gdzie oczy podziąć; lecz ujrzawszy Gustawa, ku oknu zwróconego, a co więcej gdy spojrzała sama ku zwierciadłu, tak się śliczną zobaczyła w tym pasowym rumieńcu, że odwaga urosła jakoś nazad. I co dziwniejsza, jakoś się jej swobodniej zrobiło po wyjściu pana Kazimierza. To pewnie, że z obydwóch towarzyszów dzieciństwa, Gustaw jej najlepiej jakoś przypominał te szczęśliwe lata. A to przypomnienie, choć się w jej pamięci zacierało coraz więcej, sprawiało jej przecie przyjemność. Przystąpiła więc do niego, i głosikiem uśmiechniętym, z dodatkiem najzalotniejszego spojrzenia przemówiła:

— Na co to pan Gustaw tak bardzo się zapatrzył?

— Ja właśnie nie chciałem patrzeć! — wyrwało się mu mimowolnie. I urwał nagle, a odwróciwszy się, pokazał swą twarz jeszcze więcej zacerwienioną.

Panna Anna nie koniecznie rozumiała znaczenie tych słów, i nie miała nawet czasu zastanawiać się nad niemi, bo zrobiła w tej chwili spostrzeżenie, że Gustaw przy tem zarumienieniu, i z temi oczyma iskrzącemi a natchnionemi, był bardzo piękny chłopiec, i kto wie, czy nie przystojniejszy nawet od pana Kazimierza.

— No siadaj, panie Guciu! — przemówiła do niego serdeczniej niż kiedy — i powiedz mi...

— Co mam powiedzieć! — odrzekł głosem drżącym, a serce biednego sieroty drżało jeszcze więcej.

— Powiedz mi pan!... co panu takiego?...

— Mnie?... nie!...

— Ale gdzie tam!... trzeba prawdę wyznać dawnej towarzyszcze, która pana zawsze...

— Mnie?... co?... — zapytał, a naraz i tchu mu zabrakło, i serce zatrzymało się w biegu jak wryte.

— No!... oczywiście zawsze szczerze panu sprzyjała, jako dobremu towarzyszowi lat naszych dzieciennych.

Gustaw odetchnął i serce drzeć dalej zaczęło, ale w tem drzeniu było bólu nieco, bo przycisk, z jakim mówiła Anna, był tak zimny!...

— Więc mi pan powiedz, dlaczego od niejakiego czasu widzę cię tak smutnym.... Proszę mi powiedzieć, bardzo proszę.

— Czy to obchodzi panią, towarzyszkę moją?...

— A jużci!... Ot i dzisiaj, grałeś pan na skrzypcach tak smutno... że mi było bardzo przykro!...

— I mnie przykro!... bardzo przykro!...

— Dla czego? — I mimowolnie łaż jakaś dawna, łaż poczciwa cisnęła się do jej oczu. — Zkąd taka rozpacz? — badała dalej tonem nalegania, i piękną rączkę położyła na jego rękę.

— Czyliż nie mam przyczyny rozpaczać? — zawołał Gustaw, którego w tej chwili opuszczała cała energia silnej woli.

— Mnie się zdaje, że nie! — rzekła, i choć sama nie wiedziała dla czego, spuściła oczy w dół.

— Więc nie rozpaczać!... nie! powiedz Andziu naszych lat szczęśliwych — przemówił Gustaw głosem gwałtownym i porwał tę białą rączkę, a ścisnął, ścisnął stokroć mocniej i serdeczniej od Kazimierza.

I kto wie, jak dalekoby ich była zaprowadziła ta scena chwilo-wego zapomnienia, gdyby nie świat, reprezentowany przez znane nam kuzynostwo, które wraz z mamą, przekonawszy się, że panicz pierwszopiętrowy już wyszedł, wbiegło co prędzej. Bo z paniczem, to co innego, można zostawić panienkę ubogą, sam na sam. Ale z takim golcem jak Gustaw, o którym nawet nie można jeszcze powiedzieć, czy będzie medykiem czy muzykiem, to co innego!... Zerwali się oboje młodzi!... Towarzystwo spojrzalo na młodzieńca z ukosa, jakby na psa w kręgielni, i Gustaw wybiegł co prędzej. Wybiegł zakochany po uszy, a czy w sercu bijącym ma szczęście czy rozpacz, sam tego nie wiedział. To też gdy porwał za skrzypce, taki z nich chaos tonów wyleciał, że się nawet kot na dachu zadrzemany rozgniewał, i prze-rażliwem zawtórował miauczeniem, co wielką pociechę sprawiło znowu, wszystkim na dole szewczykom i krawczykom.

Anna zaś odwróciła się od wchodzących i poszła ku zwierciadłu, a po chwili, poprawiając ciężkie warkocze, podumała sobie:

— Szkoda przecie, że ten Gucio nie jest pierwszopiętrowym paniczem!...

## XI.

Zanim pójdziemy wieczorem na imieninowy festyn, który ma wyprawiać solenizant młody swym młodym znajomym, musimy jeszcze wstąpić do pani Róży, która ciągle i ciągle to gniewna, to żałośna



oczekiwała na pana Ferdynanda Badalińskiego. Długie było oczekiwanie, ale się skończyło przecie, bo przed samym wieczorem usłyszała znajomy chód w drugim pokoju, i wszedł wreszcie tak długo i gorąco oczekiwany. Kto był zaś pan Ferdynand Badaliński!... Jak widać z samego naziska, należał do najlepszych rodzin swego kraju. Ale pan Badaliński był dziwnym fantastą; on nie dbał o urodzenie.

— My ludzie postępowi! — zaczynał wszystkie swoje rozmowy; to też go liczna półgłówków czereda człowiekiem postępowym obwoływała.

— To liberal!... to demokrata!... — powtarzali za nim, gdy im raz drugi i dziesiąty uciął pełną porcję socialistyczno komunistycznych frazesów, których się wyuczył na pamięć.

— To czerwony!... dalibóg, że czerwony! — powiadał pan Anastazy, stary kawaler, bogacz, skąpy i tehórz okropny, gdy mu raz przebąknął pan Ferdynand o gilotynie. Pan Anastazy wówczas, co mu się nader rzadko trafiało, z wielkiego strachu pożyczył parę setek gilotynowemu liberalowi.

Te uczucia były wszakże w panu Ferdynandzie dekoracjami tylko, kulisami i niczem więcej. To dla ludzi tylko!. Bo już ciż ludzie są na to, by ich tumanic i okpiwać. Przecież ani od psa. ani od kota, ani od osła taki człowiek, jak pan Ferdynand Badaliński, nie wykpi!... coby mu się na co zdało. Pan Ferdynand Badaliński był goły. Było to grzechem jego żywota, jego nieszczęściem, nawet pobudką do liberalizmu i czerwonej demokracji. Po ojcu odziedziczył piękne imię, ale mały majątek, który był już stracony, zanim go wziął w spadku. Czego nie zabrały dawne weksle, zabrała wystawa i elegancja, którą uważał za obowiązek nie tylko dobrego urodzenia, ale i dobrego wychowania, a nawet za dowód wewnętrznego uzdolnienia umysłowego.

— To szósty zmysł — zmysł estetyczny! powtarzał z emfazą, a prostaczkowie słuchali i wierzyli z pokorą.

Lecz prócz tego uważał to za konieczność szyldową, bez której człek nie obejdzie się na świecie, bo jak nie wywiesi porządnego szyldu, to go nikt uważać nie będzie. Golizna go wszakże gniewała nad wszelki wyraz, i gdy się jął nad nią zastanawiać, po raz pierwszy uczuł w sobie jakieś demokratyczne śentymenta, i po raz pierwszy uciął liberalny sens moralny.

— Głupie przodki! miasto tylu herbownych skarbów, woleliby mi fortunę zostawić.

Ale koniec końców trzeba było żyć, i żyć jak przystało na potomka Badalińskich, a co więcej na człowieka z dobrego towarzystwa i z dobrym smakiem estetycznym.

Medytując nad tem, a że pan Ferdynand nie był człek głupi i nie darmo przetracił pieniądze, przyszedł do tego rezultatu, że nie mogąc żyć własnymi zasobami, trzeba żyć cudzemi. Aby zaś z ludzi żyć, trzeba iść za wiatrem, jaki wieje. I wówczas to ustalił się w demokratycznym liberalizmie. Żyć z cudzego, to już przecie początek komunizmu. A że jak zauważył pan Badaliński, po całym społeczeństwie powiał wiatr liberalny, i świat wielkimi krokami goni ku

ideom demokratycznym, rozszerzającym się coraz więcej, więc i panu Ferdynandowi Badalińskiemu wypada być liberałem i demokratą, aby żyć cudzym kosztem.

Między swoimi, to jest w towarzystwie wyższem, do którego należał i urodzeniem, i tonem, i suknią modną, i z którego go równoprawnieni herbowi towarzysze, zwykle tchórze olbrzymi, dla tychże samych przyczyn wygonić nie śmieli, będąc demokratą najczerniejszym, zdobywał co chciał za pomocą strachu. W idącej ku towarzystwu swemu demokracji, tak wymownie przedstawiał gilotynę, że to towarzystwo nic mu odmówić nie śmiało, uważając go za przyszłego patrona i obrońcę. W niższych towarzystwach zachwycał demokratycznymi frazesami, i co chciał zdobył w imię zasad, których zwolennikowi tak gorącemu, współwydawcy jego nic nie mieli do odrzucenia. Miał zaś to głębokie pojęcie stosunków dzisiejszych, że się nigdy nie wdawał, jeno z majątniejszemi demokratami. Dla gołych demokratów puścił czasem gratis parę frazesowych fajferwerków, aby nie wyjść z zacołania. I dobrze się działo panu Ferdynandowi Badalińskiemu. Lecz powiedzmy jeszcze kilka słów o jego powierzchowności, która nie małą odgrywała rolę w dziejach jego finansowego powodzenia.

Ogólne jest zdanie, że dusza choć czasem wygląda przez oczy, które nawet dla tego nazywają oknem duszy, i że wewnętrzne usposobienie, pewne narowy namiętności jak i zalety, wyciskają się choć troszeczkę na rysach zewnętrznych twarzy. Wszakże ludzie myślący nie mało o tem napisali; świadkiem cały o tem traktat Lawatera. Jest to zdanie, że się tak wyrazim, bardzo moralne, lecz po większej części nie prawdziwe. Może to tak dawniej bywało, póki świat i ludzie zostawali w stanie więcej jeszcze zbliżonym do dziecinnej niewinności. Dziś studjum układania maski twarzowej doszło do takiego stopnia doskonałości i mistrzostwa, że się już dla tego zapewne rodzą dzieci z maską gotową na twarzy. Najlepszym tego dowodem był pan Ferdynand Badaliński, którego stare kobiety nazywały aniołkiem, gdy był małym dziecięciem, a młode teraz przypisują jakąś piękność tak promienną, że go nawet w zapale nieraz do Jezusa porównują. Kostyczny pan Ignacy mruknał raz sobie pod nosem, że chyba do Jezuity, ale omal go piękne panie nie ukamienowały wachlarzami. To pewna, że pan Badaliński miał rysy nadzwyczaj regularne, i to jakoś pocziwie serdeczne, z dodatkiem słodkiego uśmiechu a dobrodusznego spojżenia, że z po za tej maski ani troszeczką nic nie wyglądało z jego wewnętrznego usposobienia. Głos nawet miał do tego dźwięczny, który tak namiętnie modulował, mianowicie gdy rozmawiał z kobietami lub temi, od których czegoś potrzebował, że pani Konstancja, wielka amatorka romantyki i muzyki, porównywała głos jego do Eolskiej arfy.

— Wiatrem brzemiennej... — poprawił pan Ignacy, ale nauczony doświadczeniem tak cichutko, że go nikt usłyszeć nie mógł.

Trzeba było wielkiego znawcy fizjonomiki, i uwagi nadzwyczajnej, a ciągłej, aby odkryć na tej twarzy, wiecznie uśmiechniętej, wiecznie spokojnej, inne jeszcze wyrazy, prócz tych, jakie opisaliśmy. Mogła



takie odkrycie zrobić chyba osoba tak złośliwa, jaką była ciocia naszej pani Kalinieckiej, i w rzeczy samej zrobiła to odkrycie.

— Piękny! niema co mówić, ale jego piękność prawdziwie żurnalowa, jakby wycięta z obrazka mody, piękność nijaka; a na ustach i na całej twarzy przeważa, pour ainsi dire, wyraz mięsny, wyraz nienasyconego apetytu ciała i duszy. Ten to wyraz nadaje jego twarzy tej okrągłej miękkości, za którą młode panie giną.

Mimo pana Ignacego i szanownej cioci, kobiety szalały za panem Ferdynandem, a on umiał z tego korzystać. Wiedząc, że w świecie najlepszymi opiekunami są kobiety, trzymał się ich przedewszystkiem, i na wszelki sposób, używał i nadużywał tej władzy, jaką miał nad niemi. Pochlebstwem, umizgami, a nawet i miłością, gdzie ta była na miejscu, trafiał do nich i niewolił je ku sobie. Rozumie się, że wybierał najmłodsze, najpiękniejsze i najbogatsze, bo te przecie największy wpływ i znaczenie mają w towarzystwie.

Owóz śliczny jak zawsze, uśmiechnięty, lekkim krokiem zbliżał się do pani Róży, puszczając ku niej promyk najromantyczniejszy, jaki mu się tylko z oczów dobyć udało. Pani Róża rada w duszy, siedziała wszakże zimna na pozór z marssem na czole i pogardliwym nieco uśmiechem na pięknych ustach. Pan Ferdynand wiedział dobrze z kim ma do czynienia, więc od razu przystąpił do rozniewanej, i nie mówiąc słowa, ugiął przed nią kolana, i tak klęczący, z oczami błagającemi porwał ją za białą rączkę.

— Gniewasz się na mnie... pani!...

Już była ublagana pani Róża, ale jej było miło widzieć go przed sobą klęczącego, więc jedną rękę położyła mu na ramieniu, jakby go chciała utrzymać w tej postawie, a drugiej paluszek podniosła do góry z wyrazem groźby.

— Cóż zawiniłem?...

— I jeszcze się pytasz... pan!...

— Pan! — przerwał z wyrazem wyrzutu, tak czulego, że mu pani Róża obie podała ręce, by go podnieść. A gdy już powstał, i na dany znak usiadł przy niej na kanapie, rzekła do niego pani Róża:

— Byłam tak rozniewana na ciebie, panie Ferdynandzie!... że... że... chciałam już zerwać na zawsze.

— Ach pani!...

— Za tyle dowodów przyjaźni i zaufania.

— Moja wdzięczność!... moja!...

— Nie mówmy o tem!... ja nie chcę tego słyszeć, mnie nie wolno tego słyszeć.

I spojrzeli na siebie z wyrazem czułości, przed którym uciekłyby każde pocziwe uczucie. To też nie myślimy się bliżej zastanawiać nad tym ich stosunkiem przyjacielskim jak go zowią, bo się powieść nasza bez tego obejść może, a są sceny, które lepiej okryć pewną zasłoną. I zresztą ani w tych spojrzeniach, ani w tej całej przyjaźni nie było nic szczerego, ni z jednej, ni z drugiej strony.

Pan Ferdynand Badaliński, jak go już poznaliśmy, z powołania i obowiązku zbliżył się do pani Róży, jako do młodej i przystojnej kobiety, żony starego i bogatego człowieka. On w niej szukał przy-

szłej wdowy bogatej, a jeżeliby się udało skorzystać i przedtem z tej znajomości, nie był od tego, mianowicie ze względu finansowego. Bo jak dobrze wspomniała ciocia, pan Ferdynand był goły, miał długie, i dla tego tylko bywa może u Konstancji, która już jest wdową, także przystojną i majątną, choć mniej może od pani Kalinieckiej. I już wiemy z ostatniej rozmowy, jaki sposób podawała ciocia, aby ubiedz Konstancję, sposób, na który chętnie przystała pani Róża.

Ta zaś przyjechawszy do stolicy i zostawszy żoną bogatego starca, szukała naturalnie zabawy po za domem, bo nie myślała wcale kwasić życia przy starym podagrzyście. Zobaczywszy pana Badalińskiego, nie pokochała go zapewne tak bardzo, bo jak ją jeszcze panienką poznaliśmy, nigdy w niej nie przeważała strona uczuciowa; ale podobał się pan Badaliński, jako młody i przyzwoity człowiek, lubiony i przyjmowany wszędzie, i pochlebiało jej to, oderwać go od dawnych stosunków, a przykuć do własnego wozu tryumfalnego, którym jeździć środkiem towarzystwa wydało się koniecznością, wynikającą z jej stanowiska towarzyskiego. Z jednej zatem strony był interes prosty, a z drugiej próżność. Ażali się nie trafia przecie, że interes i próżność kojarzą w pewnym świecie bliższe stosunki, my się w to wdawać nie chcemy. Dodamy tylko, że i pani Róża miała także powodzik jeden zniewolenia pana Ferdynanda do pewnych planów, które nam się teraz wyjaśnią. A co się stanie po najdłuższem życiu ukochanego męża, o tem pani Róża nie myślała przecie, a przynajmniej nie myślała bez westchnienia, którego znaczenie można by nazwać bardzo problematycznym. Bo... czy ona wzdychała naprzód do męża.... czy może wzdychała przez męża?... Lecz wróćmy do rozmowy.

— A że chciałam zerwać, masz tu dowód! — mówiła pani Róża i dobyła z chusteczki mały różowy bilecik.

— Do mnie!...

— Przeczytaj sam.

Porwał pan Ferdynand za wonny bilecik z rodzajem gwałtownej tragiczności, nie zapomniał wszakże włożyć złoty gukerek do jednego oka. I czytał a czytał, choć tam było tylko słów kilka.

— Więc to do mnie! do mnie! — powtarzał ruchem tragicznym, i powtarzał z przyciskiem głębokiego żalu słowa biletu... dodając swoje uwagi.

— „Na zawsze!...” to do mnie!... „rozstać się!...” ze mną, który!... „i nasze dawne uczucia!...” ach jakie uczucia!... „chce zapomnieć...” Mogłażebyś to uczynić!... „i zapomnieć, choćby mi serce pękło z żalu.”

— Serceby ci pękło?... pani powiedz!

— Widzisz, że i w gniewie nawet!...

Jeszcze kilka słów równie rzewnych i równej moralności, i już się pogodzili.

— A na dowód! — mówiła pani Róża — precz z tym listem, napisanym w smutnej godzinie. — I wyrwawszy mu różowy bilecik, zmięła go w gałeczkę i rzuciła precz od siebie. Bibi najszcześliwszy, że ma się czem bawić, porwał za papierową gałeczkę, i uciekł z nią



pod kanapę, niepostrzeżony zupełnie. Rozmowa obojga, coraz swobodniejsza, przeszła na inne pole.

— Nie myślałem zupełnie o Konstancji! — tłumaczył się pan Ferdynand.

— A przecież już z kilku ust słyszałam.

Tu pan Ferdynand westchnął tak lekko, a przytem z takim przyciskiem oczy spuścił w dół, że pani Róża, przypomniawszy sobie słowa cici, porwała go nagle za rękę...

— Dla czego do mnie nie masz zupełnej ufności panie Ferdynandzie?

— Ja do ciebie... pani... nie wiem — jękał się niby pan Ferdynand, jakby nie rozumiał. Ale tymczasem oboje zrozumieli się na pół słowa. — Ja przeciwnie — mówił dalej — zajęty byłem cały dzień dzisiejszy myślą wylączną o tobie, droga pani.

— O mnie?...

— A naturalnie!... bo jeździłem i biegałem, aby pościągać gości do olbrzymiej hulanki, którą chce koniecznie wyprawić dziś pan Kazimierz jako w dzień imienin i postarałem się o to, że hulanka będzie ogromna i szalona...

— Więc myślisz?...

— Że się dziś nie obejdzie u niego bez jakiego potężnego głupstwa.

— Które mu jak tyle innych przebaczy kochający stryjasek.

— Ale przecie na końcu.. jedno przy drugim!...

— I on jest bardzo zepsuty?...

— Czy zepsuty?... nad swój wiek!... bądź droga pani tego pewną.

I na piękną twarz Jezusową wystąpił uśmiech tryumfalny, jezuity godny. Bo jeżeli biedny nasz Kazimierz był zepsutym, zawdzięczał to niezawodnie Ferdynandowi, który stał się dla niego niezaprzeczenie złym duchem, prawdziwym szatanem, pilnującym duszy jego. I w tem to właśnie cała tajemnica onych, tylko co nadmienionych planów, jakie miała pani Róża, a do których skutecznienia potrzebowała pana Ferdynanda pomocy. Chciała zgubić koniecznie Kazia, którego nie cierpiała jako prawdopodobnego spadkobiercę mężowskiego, zgubić go w opinii stryja, wypędzić go z serca stryjowskiego. Najłatwiej zaś to uczynić można było, gubiąc go moralnie. W Ferdynandzie wnet poznała najzdolniejsze po temu narzędzie, i... na pół słowa zrozumieli się oboje; wszak mieli w tem wspólny interes, łatwo bardzo zrozumieli.

— A jakże romans z tą czułą trzecio-piętrową bohaterką?...

— Na najlepszej drodze!...

— Bo podobno i ten Gustaw na tej samej drodze!...

Okropny, obrzydliwy był obojga uśmiech, z jakim popatrzyli na siebie.

— Pierwszeństwo mieć musi pierwszo-piętrowy panicz.

— Ona go kocha!...

— Ona jest zalotna, a matka interesowna.

— Więc gotów Kazimierz?... oświadczyć się!...

— To dawno uczynił.

— I ożenić się... tajemnie...

— Czy tak, czy inaczej!... bądź, pani droga, pewną, że ta dziewczyna stanie się przyczyną jego zguby. Stryj mu nigdy nie przebaczy.

— Ale Gustaw!... Gustaw!... ten czuwa nad nią i nad nim podobno.

— Bądź spokojna! najdroższa pani... oni się wnet pokłóca...

— Pokłóca?...

— A od czegoż mamy dzisiaj politykę.

Lecz dosyć już tej rozmowy, która stawiała się coraz poufniejszą i serdeczniejszą. Wkrótce nadjechała ciocia, i powszechna pogadanka trwała dłużej. Ciocia kochana trochę niby z jednym szeptała, trochę z drugim, i już się doskonale porozumieli. Sprawa finansowa została rozstrzygniętą.

— Jutro muszę mieć dla niego pieniądze, choć się będzie stary krzywił na taką kwotę — szepnęła pani do cioci.

— Wielka rzecz dla niego pięć tysięcy! — odszepnęła ciocia.

— On cię tak kocha; a dla Konstancji figa...

— Będziesz miał jutro pieniądze — szepnęła ciocia do pana Ferdynanda.

— A ja się postaram, że stary będzie w humorze przystania na wszystko — odszepnął pan Ferdynand. — Tylko moja rada! — dodał ciszej jeszcze.

— Już ja to jej powiedziałam.

Serdecznie uśmiechnięci pożegnali się najczulej. Pan Ferdynand poszedł do pana Kazimierza, na owe huczne imieniny. Ciocia poszła do miasta po nowe plotki. Pani Róża poszła do innego pokoju przebierać się na niektóre wizyty wieczorne.

A w bawialnym pokoju cicho było. Tylko faworyt piesek został przywarowany pod kanapą naprzeciw papierowej gałeczki, z którą się bawił od czasu do czasu.

## XII.

Przenieśmy się teraz do pomieszkania kawalerskiego pana Kazimierza. Nie będziemy się zresztą rozpisywać nad tem pomieszkaniem, urządzonej z zbytkiem i gustem. Powiemy tylko, bo nam to może być nadal potrzebnem, że złożone z kilku pokoi, choć miało zupełnie osobny przystęp a nawet osobne boczne schody, przypierało o ścianę, która je odgraniczała od pokoiów pani Kalinieckiej. Jest już wieczór; światel goreje mnóstwo; zgromadzenie widzimy liczne. Przemaga w niem ta młodzież, którą zowią zwykle złotą, dla tego zapewne, że jest pozłacaną, po wierzchu wewnętrznego brudu, by go dostrzedz nie można było. I to jest właśnie nieszczęście tej paniczowskiej młodzieży, że to ich towarzystwo wiecznie jest jedno, zamknięte



niejako, uszione od wpływów wewnętrznych, i przez to samo obdarczone, że się tak wyrazimy, powietrzem, nigdy nie odświeżaniem, dusznem i zepsutem.

Taki panicz, dobrze urodzony i majątny, gdy się dostanie do miasta, już naprzód z woli rodziców dostaje otoczenie, równe urodzeniem, znaczeniem lub majątkiem. Broń Boże, by żył z niższymi, mógłby stracić ten polor salonowy, jaki go odznacza pomiędzy gburami. Mógłby się zarazić jakimis wyobrażeniami dobrze urodzonego szlachcica niegodnemi. Bo i czego potrafi się nauczyć od hołysza, który już dla tego głupi, że hołysz. I to nie jest przesada żadna. To u nas tak zwane wyższe salonowe towarzystwo, dziś jeszcze nie może się wyleczyć od tej śmiesznej buty arystokratycznej, która pogardza tem wszystkim, co mu się niższem wydaje, i przez najfałszywsze widzenie rzeczy, że się na własnem ogranicza obozie, w reszcie tłumu chce uważać obóz przeciwny, nieprzyjazny, którego — choć się do tego nie chce przyznać, unika przez proste, niegodne żelaznych przodków tehórzostwo. Jest to podwójne zło. Z jednej strony, niepomni przeszłości narodowej, odrzucają ten związek patryjarchalny, który był podstawą naszego składu społecznego, który łączył karmazynów z szaraczkami. Z drugiej strony jest to u zepsutej arystokracji naszej, składającej się z najbliższych dziedziców onegdajszej zgnilizny, wyznanie jej przewiny narodowej, jaka ciąży na niej. A znać winę i obstawać w upornej dumie, nie jestże to patent niewyleczonej spruchniałości?

Nie jednego z takich paniczów, mianowicie, gdy zacznie publicznie uczęszczać do szkoły, pociągnie jakaś sympatja koleżeńska ku temu lub owemu z towarzyszy szkolnych, pocziwych i pracowitych proletariuszów, których wpływ mógł się stać dlań zbawiennym, ale ledwie wróci do swej dusznej atmosfery po kilku godzinach szkolnych, rodzice go wylają za te związki, które godności rodzinnej uwłaczają, a salonowi towarzysze póty drwić będą z kolegi proletariusza, aż go wreszcie panicz odstręczy od siebie pogardliwem obejściem się. A że — co także przyznać trzeba, niejednego z paniczów poprawiło i poprawia w naszych mianowicie czasach koleżeństwo szkolne, więc arystokratyczne koło, tem przystraszone, synów swych lub zupełnie do szkół nie oddaje, poruczając ich wychowanie obcym najczęściej niezdarom, którzy za pieniądze stają się posłusznymi sługami ich zdań, przesądów i namiętności; lub, jeżeli oddali do szkół publicznych, co prędzej z nich odbierają. Ztąd też pochodzi ta masa półgłówek salonowych, którzy najprościejszych nie posiadają wiadomości, i tylko się wywijają żargonem salonowym, i kilku pofapanemi wiadomościami encyklopedycznemi. Dodać jeszcze potrzeba zło zupełnie nowe, które już za naszych najniedawniejszych czasów wyległo się u części naszej arystokracji. Niektórzy jej członkowie, mimo pocziwych nazwisk polskich, tak się pozbyli wszelkiego ducha i wszelkiej wiary, że zwątpiwszy o wszystkim chcieliby synom swoim przygotować świetny zawód pomiędzy uciskającymi nas niemcami. Oddając zatem synów swoich do szkoły, klepią im od rana do wieczora, by się kształcili w duchu biurokratycznym, i tak ich w końcu oziębłą nadzieją wielkiej

karjery, która się temu lub owemu udała, że wyrobiją z nich zimne maszyny urzędowe, używane z szyderczą rozkoszą przez wrogów na ucisk własnej braci.

Dzięki Opatrzności i rozbudzonej przez nią sile do pracy, która coraz silniejszym życiem przechodzi nasze ciało społeczne, rzadkie są takie smutne egzemplarze. I sami w życiu bywają najnieścieśliwsi, bo w końcu, pogardzeni i wyklęci przez oba obozy wiszą jak Twardowski, wedle bajki ludowej, między niebem a ziemią. Nie należąc szczerze ani do salonu, ani do ulicy, ani do arystokracji, ani do demokracji, unikani z ceremonjalną grzecznością od wszystkich, potomkowie nazwisk historycznych polskich, muszą się kumać i bratać z światem dla nich obcym, i mową, i obyczajami, i językiem; z światem, który także w głębi duszy ich nienawidzi, bo ma ich za intruzów, którzy jego członkom stają na drodze, zabierając miejsca, które ten świat niemiecki ma za swoją wyłączną własność.

Pomiędzy gośćmi pana Kazimierza widzimy taki jeden egzemplarz. Jest nim pan Henryk Głosicki; wygląda z twarzy bardzo młodo, i jest młody rzeczywiście; blondynek już łysiejący, mimo że ledwie lat dwadzieścia minął, postarzał i zwiędniał przed czasem z kancelaryjnej sedenterji, której go ojciec poświęcił, a synalek przyjął z zapalem wielkich karjerowych nadziei. Chodzi po świecie wymokły, i sam nie wie co z sobą zrobić, bo nigdzie szczerości, nigdzie przyjaźni zdybać nie może. Wszyscy grzecznie go przyjmują, przewidując w nim przyszłą znakomitość urzędową. Piękne nazwisko, ród znakomity, przodkowie, którzy bywali dygnitarzami, senatorami, biskupami, są biedakowi ciężarem prawdziwym, bo nie wie, co ma z tym fantem uczynić i gdzie się podzić.

U swoich darmo by występował z swą koroną hrabiowską, bo ta przed niemi wydaje się pokalana. W różnych społeczeństwach warstwach, ta korona i tak najmniejszego dziś niema znaczenia, a prócz tego widzą w nim karjerowicza. A przy biórze praktykanta, z piórem za uchem, na cóż się zda ta korona hrabiowska, chyba na myckę, coby mu przedwczesną łysinę przykrywała; wszakże i tak zastąpił ją czapczką i różą urzędową, którą rad nosi i nosić musi, by przecie pokazać, że jest czemś na świecie. Takim żyjąc życiem, zobojętniał na wszystko, i sam stał się obcym dla ziomeków, którzy koniec końców nie dowierzają mu, bo się go boją. To też warto widzieć i słyszeć, jak za jego przybyciem zmienia się postać całego towarzystwa, jak się wszystkie zmieniają rozmowy. I on sam do tego tak się przyzwyczaił, że jak tylko wejdzie do takiego towarzystwa, co prędzej wybiera przedmioty do rozmowy niekompromitujące; łatwo zatem wyobrazić sobie można, jakiego to są rodzaju te rozmowy! Albo próżne o niczem, albo co gorzej, o tem wszystkim najpośledniejszym, najobrzydliwszem, czem się objawia zepsucie społeczne. I z tego powodu pan Ferdynand do swych bliższych stosunków z naszym Kazimierzem, pana praktykanta obrał sobie za adjutanta. Łatwo mu to przyszło, bo Kalinieccy blisko z Głosickimi zpokrewnieni.

Jakie było Kazimierza moralne wykształcenie między takimi nauczycielami dwoma, nie potrzeba szeroko tłumaczyć. Ferdynand



poił go z namysłu, a Henryk czynił to samo mimowolnie, jak zepsute powietrze mimowolnie zarażał. Ferdynand psuł jego obyczaje, prowadząc go na nocne hulanki; Henryk jeszcze gorzej, bo swym tchem zimnym, obojętnym, urzędniczym, parzył wszystkie jego uczucia, zasiewając mu w duszę te wszystkie chwasty niewiary i obojętności na wszystko. Jeden rozbudzał namiętności cielesne, drugi przyduszał wszystkie popędy duchowe. Przy naukach Ferdynanda mógł tylko zostać lampartem, z czego się można jeszcze wyleczyć, póki krzepkie są siły duszy; przy naukach Henryka mógł przestać być człowiekiem. Większego nadto niema upadku. Obojętny dla uczuć, dążeń, cierpień i nadziei jest potworem moralnym.

I któż miał bronić biednego Kazimierza naprzeciw tym szkodliwym wpływom. Stryj miał zapewne obowiązek po temu. Ale jak go poznaliśmy już, był on do tego zupełnie niezdolnym. Na wsi, wśród ślicznej przyrody, w towarzystwie, równie jak on wówczas niewinnych dzieci, Kazio mógł się obejść bez bliższego stryjowskiego nadzoru. Lecz w mieście ten nadzór był koniecznie potrzebny. I może byłby się nim pan Zygmunt zajął, o ile się to godziło z jego usposobieniem i nawyczkami, gdyby nie młoda żona, która zajęła starego wszystkie myśli i uczucia. Pani Róża w pierwszych chwilach czułości małżeńskiej, wzięła na się ten nadzór nad synowcem, przysięgając przed mężem, że edukacja synowca będzie jej najsilniejszym staraniem. Stary był najszczęśliwszy, że się mógł zbyć kłopotu i złożyć go na głowę żony, której wierzył zupełnie. Jakie pani Róża w tej mierze miała myśli i jak się wywiązała z danego mężowi przyrzeczenia, to już wiemy. Ona to dodała Kaziovi Ferdynanda i Henryka jako dwa złe duchy usłużne jej szatańskim zamysłom.

Jedyna nadzieja ratunku moralnego dla Kazia była w Guciu. To też z całą serdecznością i energją, właściwą sobie, wziął na się ten obowiązek, który rzeczywiście uważał być obowiązkiem sumienia. Gustaw serdecznie był przywiązany do Kazimierza, i mimo wielkiej różnicy usposobień, kochał go jakąś miłością rzeczy można instynktową, którejby nawet sam przed sobą nie umiał wytłumaczyć. Kazio jak i Andzia byli mu do życia koniecznie potrzebni. On własnej nie rozumiał bez nich przyszłości. Gdy układał plany na dalsze lata, głównymi postaciami w nich byli Kazio i Andzia. Z niemi zawsze razem, z niemi chciał dzielić wszystkie koleje i zmiany losu.

Choć młodszy od Kazia, ale siłą duszy i pojęcia znacznie od niego starszy, wnet on zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo moralne grozi przyjacielowi przy zgubnych wpływach towarzystwa, które go otaczało. Starał się zatem nie odstępować go na chwilę i przeciwdziałać zgubnym wpływom, otaczając go ze swej strony czystsza atmosferą krzepkiego i dzielnego koleżeństwa. I z początku wiodło się Guciovi dobrze. Wprowadził go między pracowitych i energicznych młodzieńców, którzy choć ich nie herbowe prosiły matki, ani też ojcowie nie zostawili troszeczkę splendoru szlacheckiego, niemniej przeto, jako wierne dzieci ojczyźnej ziemi, pracę w naukach przybrali za gwiazdę przewodniczkę. Zaczął Kazio między nimi

pracować i coraz więcej nabierać hartu, na którym brakowało mu zawsze.

Lecz pani Róża, zmiarkowawszy to, wnet wyprawiła na niego swoich adjutantów, a ci się zabrali do niego z swej strony. A więc naprzód zgromadzili w około niego puste i próżne paniczowskie towarzystwo. Naprzeciw utrudzającej pracy stawili słodycze i rozkosze próżnowania. A chcąc odgonić Gucia, wzięli się do najłatwiejszej, tak chętnie w salonach używanej ironii, wzięli się do śmieszności. Drwili bez miłosierdzia z Gucia, z jego układu niezgrabnego, z urodzenia nieznanego. Wszystko to razem powoli działało, jak kropla padająca na kamień i dałoby się zreasumować w tych słowach:

— Wstyd dla ciebie, żyć z takim Gustawem!... Taki Kaliniecki jak ty, z jakimś chłopcem znajdującym się w gaju twego. Tego ci w naszym świecie nigdy nie darują... On cię prowadzi między gburów i hołyszów, którzy ci się kłaniają, bo ty masz pieniądze, z którychby ci radzi obedrzeć. Wolisz z nami pójść!... aż miło żyć w takim eleganckim, wonnem towarzystwie, jak nasze, jak twoje, w którym całe życie jest twojem przeznaczeniem. — I pomału, pomału zaczynał się Kazio oddalać od Gucia. Nie śmiał zerwać z nim, ale już się go żenował.

A teraz wróćmy do towarzystwa, zebranego na imieninach pana Kazimierza.

Z tego, co już rzekliśmy, łatwo pojąć, że towarzystwo było dosyć jednolite, z samej śmietanki towarzystwa, z samych paniczów zebrane. Prócz Gucia jedyną pstrokacizną stanowiło dwóch młodych literatów. Było to wówczas w modzie przypuszczanie takich potulnych literatów do siebie. Panicze naśladowali w tej mierze rodziców swoich, którzy przypuszczali ich do swoich salonów. Było to w modzie jak dawniej mieć błaznów nadwornych, trefnisiów, trzymać małpy, świnki morskie, lub coś podobnego. Tak przynajmniej salony chciały podobnych uważać intruzów i tem ci gorzej dla nich, że się za nich uważać pozwalali.

Już to po prawdzie powiedziawszy te dwa egzemplarze, o których mowa, byli literatami, bo się sami za literatów mieli, i obaj dla siebie samych wielkie mieli poszanowanie. Pan Piotro kłaniał się panu Pawłowi i podziwiał go, a pan Paweł oddawał to sownie panu Piotrowi! obaj byli jak najgłośniejszymi heroldami wzajemnej sławy i wzajemnych talentów. Jeden z nich miał próbkę talentu i ogrom zarozumiałości, którą wypuszczał na świat za pomocą drwiącej ze wszystkich ironii. Drugi nie miał nawet i tej próbki, ale z kolosalną zarozumiałością patrzył na świat cały z wysokości swej pogardy.

Lecz mniejsza o nich; w bliższe nie myślimy wdawać się szczegóły, bo chociaż o przeszło dziesięcioletniej mówimy epoce, gotoweby się ozwać jakie nożyce. Napomknęliśmy o nich, bo jak najmocniej należeli do tej szkoły świata, co naszego Kazia wzięła w obroty. Pan Ferdynand wepchał ich jako antydot na Gucia, podnosząc ich potulność i salonową ogładę naprzeciw surowości i gburowatości gołego medyko-muzyka.

— A przecież, dodawał pan mentor, obadwa także z niczego



powstali, i talentem zdobyli sobie stanowisko, które umieją utrzymać skromnością i zgodnym z nami sposobem zapatrywania się na świat i stosunki dzisiejsze.

Pseudo-literaci, pomagając patronowi, psy wieszali na Guciu, a pochlebając majętnemu paniczowi, schlebiali zarazem wszystkim jego przywarom i namiętnościom.

W chwili, gdy wchodzimy do pana Kazimierza, towarzystwo było już doskonale ożywione. Już parę godzin minęło, odkąd się zebrało, i dosyć rześnie używali darów bożych w postaci jada i napojów. Pan Ferdynand, jako serdeczny przyjaciel solenizanta, gospodaruje za niego i nie szczędzi butelek i kielichów. Przemowa wre żywa, rozstrzelona na rozmaite grona, wesoło przechadzające się z drogiemi cygarami w ustach. Ferdynand przebiega grona, i jako zgrabny entrepreneur słowami, tu i owdzie z nienacka rzeczonymi, rozdaje role: choć drudzy nie wiedzą, że mają jakie do odegrania tego wieczora.

Jeden tylko Gustaw, sposepniały nad wszelki wyraz, stoi przy oknie, oparty czołem o zimną szybę, i zdaje się nie zważać zupełnie na gwar toczących się rozmów. On jeden nic nie pił prawie, i nie umie zdać sobie przyczyny, dla czego mu tak smutno, tak rzewno jak nigdy. Czuje się w usposobieniu tak uroczystem, jakby coś stanowczego odbyć się miało. Jest to usposobienie przeczuciowe może, które nam nieraz daje opatrność w pewnych chwilach życia. Nie daleko od niego w kątku odbywa się odosobniona rozmowa. Na małej sofce siedzi z Kazimierzem hrabia Henryk; on już tam wyraźniejszą ma odegrać rolę. I w pół głosem mówią do siebie, dość głośno przecie, aby się mogli usłyszeć w ogólnym gwarze.

— Śmieszny jesteś, mój Kaziu!... jeszcześ nie wyleczył się z mrzonek sentymentalnych à la Guccio.

— To nic! — odpowiedział Kazio, i fałszywą ambicją wiedziony, wydał usta pogardliwie. — Ale widzisz!... znam ją od dziecka... dobre to i niewinne!

— I ty wierzysz w niewinność!.. tu w mieście... takiej ubogiej dziewczyny!

— No zapewne!... ale przecie!... koniec końców ja do niej przywiązany jestem... i...

— I kochasz ją... to jest, mój drogi, nie obwijając w bawełnę żądasz jej!... nieprawdaż? — To rzekłszy, uśmiechnął się hrabia-praktykant zimnym, cynicznym uśmiechem, na który pan Kazimierz naturalnie takim samym odpowiedział uśmiechem i nie chcąc w tyle zostać, dodał:

— Ładna dziewczyna!...

— I kocha cię!...

— Otóż to, że kocha mnie!...

— Ale oczywiście szaleje za tobą porucznikówna. Dla czegoż nie macie być szczęśliwi? Wszak ci stać majątku na to, byś porucznikównę obsypał darami.

— Nie o to idzie!... ale...

— Udajesz! jak cię kocham, udajesz!.. przecież nie masz głu-

pich jakichś tam skrupułów. — I coś mu szepnął do ucha, tak zapewne dosadnego, że poczerwieniał pan Kazimierz, a oczy się jego zaiskrzyły tym samym wyrazem, jakim pierwwej uśmiechnęły usta — Przecież się nie ożenisz z porucznikówną! — dodał. — W naszym stanie coś takiego niepodobnem. Okryłbys się na wieki śmiesznością.

Ledwie te słowa dokończył hrabia praktykant, a już uczuł jakąś rękę, co mu dosyć ciężko spoczęła na ramieniu. To Guccio mu ją położył bez żenady. Oczy miał iskrzące, snać wszystko słyszał.

— I dla czegożby się nie miał żenić z porucznikówną, jeżeli ją kocha?... Jeżeli to się nazywa śmiesznością u takich jak pan, to rady podobne do pańskich nazywają się u ludzi prawych — łotrostwem.

Hrabia-praktykant którego specyjalnością nie była odwaga i jako u praktykanta porządnego być nią nawet nie mogła, pobladł jeszcze więcej i drżał, ale dobywając ostatki hrabiowskiej buty, wydobyl z dzwoniących zębów :

— Proszę pana!

Na to zerwał się Kazio, któremu po prawdzie szumiało w głowie, bo go przed innymi Ferdynand jak najtroskliwiej pilnował z kieliszkową kolejką.

— Proszę cię, mój Gustawie!.. opamiętaj się!.. i uwolń mnie od takich scen karczemnych. Pan hrabia jest moim gościem i przyjacielem!..

— Nie bój się, Kaziu!.. pan hrabia nie uraża się łatwo. Kaziu!.. serdeczny Kaziu!.. tyś lepszy, niżby oni ciebie mieć chcieli!.. tyś lepszy, niż się chesz sam przedstawić! Jeżeli kochasz naszą Andzię, naszą towarzyszkę!.. odrzuć brudne myśli i pomnij na nasze lata dziecinne! na nasz gaj brzozy, nasze niewinne gniazdo rodzinne!..

— Ha! ha! ha! — ozwał się śmiech podwójny.

— To nader polityczne!..

— I wcale romantyczne!..

To pseudo-literaci, którzy się nieznacznie zbliżyli, ozwali się śmiechem i słowami. Snać zasłyszal Kazimierz, bo choć jeszcze głos Guccio znalazł odbicie w piersi jego, nie tylko że nie okazał wzruszenia, ale tem gniewniejszy na niego i na siebie, skinął rękami pogardliwie i rzekł głośno:

— A tobie co do tego!..

— Chcesz wiedzieć, Kaziu mój, co mnie do tego? — odrzekł Guccio, który w tej chwili wyższem, gorętszem uczuciem przepełniony, zapomniiał gdzie się znajduje. Biedny Guccio w takim towarzystwie musiał się wydać śmiesznym. — Chcesz wiedzieć dla czego? ja ci powiem. Bo i ja ją kocham, mój Kaziu!.. Ale jeżeli ciebie kocha!.. chętnie...

— A już ciż pewnie nie ciebie! — odrzekł pogardliwiej jeszcze Kazio.

A panowie literaci jeszcze w większy śmiech. Ani Piotrowi, ani Pawłowi nie przypadło do małych główek, że się przed nimi odgrywa scena, żywsza i prawdziwsza scena życia, niżby którykolwiek z nich zdołał kiedykolwiek opisać. Tym razem i hrabia-praktykant był odważniejszy, bo jakie takie czuł plecy za sobą; zaśmiał się odważniej,



i uwolniony od ręki Gucia, cofając się ku literackiej rezerwie, wy-  
rzekł szyderczo:

— Scena zazdrości!...

— Scena zazdrości! — powtórzyli i Piotr i Paweł.

— Zazdrość! — zasyczał gniewnym głosem Kazimierz —

Więc o to idzie panu Gustawowi.

Gustawowi zdało się, że mu aż w sercu pękło na te słowa.

— Otóż zapowiadam panu Gustawowi — ciągnął pan Kazi-  
mierz dalej — że będzie moją!...

— Twoją żoną!..., i owszem!...

— Ha! ha! ha! — odpowiedział śmiech szyderczy panicza, prak-  
tykanta i pseudo-literatów!...

Pan Kazimierz miał w tej chwili silne postanowienie, godne  
zewszechmiar edukującej go szkoły świata. Kto wie, jakby się była  
ta scena skończyła, bo Gustaw, mimo całego umiarkowania, uczył  
w sobie gniewny zapal — lecz w tej chwili zagłuszył ich gwar reszty  
towarzystwa, które z Ferdynandem na czele zbliżało się ku nim. Pan  
Ferdynand miał wszystko na oku i rozdawszy role, ciągnął ku przy-  
gotowanej katastrofie.

— Słuchajcie! — rzekł tedy z umyślną przesadą oratorską —  
ale napijcie się pierwej!...

I z podanych przez służbę kielichów sporych wszyscy wypili.

— Ty nie wiesz, Kaziu, że masz propagandę w domu...

— Propagandę! — powtórzyli chórem goście, tem głośniejszym  
im mniej podobno rozumieli słowa tego znaczenie.

Na słowo propaganda pan hrabia-praktykant poźółłki jak stary  
fascykuł, a uszy jego, jakkolwiek sowite z natury, rozszerzyły się do  
rozmiaru jak najwięcej urzędowego.

— Tak jest, właśnie o tem mówiliśmy!... Na czele nowej pro-  
pagandy demagogicznej stoi twój towarzysz, pan Gustaw... jakże się  
zowie... jak jest z domu?...

— On nie jest z domu! — ozwał się szyderczo pan Paweł —  
ale z Gajów! — Gdy mu się ten koncept udał, choć sam nie wiedział  
w jaki sposób, taką nadał się dumą pan Paweł, że od tej już chwili  
zaczął liczyć lata swej wiekopomnej chwały, i odtąd przy każdej  
spo obności głupim śmiertelnikom tę olympijską chwilę... powtarza —  
Czy pamiętacie, kiedy to owego wieczora, i t. d.

Gustaw stał na środku poważny, zamyślony, i nie słyszał i nie  
uważał. Jemu serce bojało za przeszłością tak piękną i za piękniej-  
szymi rojeniami przyszłości.

— Jaka propaganda! — ozwały się głosy ciekawe.

— A jużciż propaganda rewolucyjna. Pan Gustaw z Gajów  
twierdzi, jako zbliża się epoka, której on ma być wcielonym przed-  
stawicielem, w której ulica z swemi szumowinami wzbierze powyż  
wszystkie głowy i zaleje nas wszystkich utopjami swemi komuni-  
stycznymi!

— Do naszych kieszeń zwróconemi! — ozwał się Julek jedyny,  
Julek nieśmiertelny, który nigdy w salonach nie umiera z swą małą  
główką i jeszcze mniejszem sercem,

— Precz z przywilejami! — mówił dalej pan Ferdynand z emfazą — co wedle nowej szkoty ulicznej, najgorszym przywilejem godnym, by go na wieki zniszczyć, jest to przywilej własności!

— Jak to już jeden z podobnych cudzej własności amatorów powiedział: Własność to kradzież. — To wyrzekł Fanfuś drogi!... I wyrzekł bardzo wiele, bo tyle razem zebrawszy, korzystał z swej podróży do Paryża, prócz dwóch fraków jeszcze i kilku par pantalonów, które mu na bulwarach skrojono i zrobiono.

— Precz z ulicą!... precz z takimi szubienicy godnemi zasadami! — ozwały się w głębi głosy choralne, najgrubsze, bo najgłupsze i najpijańsze.

— Nie wiedziałem, że pan Gustaw hołduje takim zasadom! — dodał Kazimierz z pogardliwą żółcią.

— I odbywa schadzki u siebie...

— W moim domu! — jeszcze pogardliwiej dorzucił Kazimierz i pijany i rozszłoszczony.

— Dosyć tego! — krzyknął wreszcie Gustaw, zbudzony z marzeń i chwilowego rozrzewnienia. Głos jego był silny i energiczny, oczy rzucały promienie żywego natchnienia; na ustach usiadła poważna duma, i cały wyprostował się, że się wydał wyższym, większym o całą głowę, od okolającego go towarzystwa przynajmniej. W tej chwili śliczny był Guccio, bo cały iskrzący wyższym jenjalnym prawie zapalem. — Dosyć tego, moi panowie!... Nie sadzcie się na koncepta!... by was głowy nie rozboleły!... Wolicie milczeć, nizeli gwarzyć o tem czego nie rozumiecie... A jeżeli chcecie wiedzieć prawdę... to wam powiem. Jest propaganda!... i wielka propaganda!... ducha, który coraz szerzej rozchodzi się, którego wy nie rozumiecie, który się też bez was obejdzie i wydzwignie nas bez was, którzy jesteście próchnem niepotrzebnem, jeżeli nie jadowitemi grzybami.

— Mój panie Gustawie!... to nadto! — przemówił Kazimierz, nadymając się powagą urażonego gospodarza.

— Nie sierdź się, biedny Kaziu!... — Już kończę! Ja tę całą scenę rozumiem, panie Badaliński!... Ja wam zawadzam w otoczeniu pana Kazimierza Kalinieckiego, którego toczycie jak prawdziwe robactwo zepsucia!... Żal mi cię, Kaziu!... po raz ostatni cię tak nazywam. Ja się oddalę od ciebie i z twego domu jak go nazywasz!... ale lat przeto dziecińczych nie zapomnę! Andzię będę ratował póki mi siły starczą; a dla ciebie, gdy omdlejesz, wyssany krzez tych upiorów moralnych, będę miał zawsze otwarte ręce i serce. Wam zaś na pożegnanie powie źle urodzony Gustaw, nie z domu, ale z Gajów: Wyście źle urodzeni, a jam dobrze urodzony!.. bom ja syn, przywiązany do kraju, a wyście wyrodni!... synów niegodni nazwiska!... Nie tryumfujcie przedwcześnie!... mniejsza o mnie, mniejsza o wielu innych podobnych mnie pracowników!... nie daleka przyszłość wymownie to wypowie i raz na zawsze to rozstrzygnie.

Gustaw wyszedł, a jakie z nim zawrzały krzyki, odgrazania się, a jakie koncepta płaskie, nie warto powtarzać. Dla większej fantazji zabawa przechodziła w hulatykę, a hulatyka w pijatykę. Ten wieczór do reszty wyniszczył wszelkie uczucia w piersiach naszego



Kazimierza. Wszyscy się doskonale popili, a gwar był szalony, piekielny. To szczęście, że stary pan Kaliniecki, po innej stronie domu mieszkający, nic nie słyszał; ale za to przez ścianę hałasy te dochodzić musiały do pani Róży, która się im przysłuchiwała z uśmiechem złowrogim na twarzy. Szaleństwo pijane do tego wreszcie przyszło stopnia, że w rozpasaniu najzupełnijszem przyszedł koncept strzelania do celu.

— Ćwiczmy się!... wrzeszczał pan Ferdynand — byśmy mogli strzelać na ulicę!

— Brawo!... krzyknęli wszyscy — prócz hrabiego-praktykanta. Ten się ułożył najspokojniej na kanapie i cały zadrzymał — prócz uszów!... te u niego nigdy nie drzemały.

A więc na ścianie ostatniego pokoju, przypierającej do pomieszczenia pani Róży, zrobili cel, i strzelali godzin kilka, chybiając po salonowemu, aż nareszcie wszyscy usnęli bohaterskim snem pijaków.

### XIII.

Nazajutrz po imieninach pana Kazimierza, w starej czarnej kamienicy pana Kalinieckiego odbyło się kilka scen nadzwyczaj ciekawych i stanowczych, które w krótkości naszkicujemy. Wszak do zrozumienia charakterów osób w niniejszym szkicu występujących, nazbieraliśmy rysów dosyć. Jeszcze kilka wprowadzimy, które zwykle przypadek, ten najgenjalniejszy powieściarz podaje, i zbliżym się do rozwiązania.

Gustaw nie spał resztę nocy. Część jej przechodził biegając tam i nazad. Ze świtem zabrał się do pakowania rzeczy swoich. Nie wiele miał pracy, bo biedny sierota, nie wiele posiadał: nieco bielizny, parę sukien, więcej książek ot i wszystko. Twarz miał smutną przytem, ale spokojną powagą i rezygnacją. A przecież była chwila, kiedy się oczy jego napęłniły gorącemi łzami. Było to wówczas, gdy porwał w ręce stare, małe skrzypce. Dzieckiem jeszcze grywał na nich. Wyjeżdżając z Kaliniec, zostawił je jak wiemy na pamiątkę staremu gajowemu, opiekunowi lat dziecinnych, którego nie widział już potem. Przed rokiem odebrał z Kaliniec skrzypce zapakowane i kilka słów starego, drżącą ręką skreślonych. To było jego ostatnie błogosławieństwo, ostatnie pożegnanie.

Gdy już był gotów z pakowaniem, i już ruch w kamienicy powstawał coraz głośniejszy, porwał Gustaw za skrzypce i mimowolnie po strunach puścił swe myśli i uczucia. Była to improwizacja cudnej piękności!... Przez godzinę rzewnemi, do serca przemawiającymi tonami, wyśpiewał on swe najtęskniejsze marzenia i myśli najsmutniejsze, i nadzieje marzeniami omylone. To serce jego grało i wodziło ręką po strunach... on sam był nieprzytomny prawie, a ucho jego biegło za myślą... I zastyszało ucho, a myśl odgadła. Na trzecim pięttrze otworzyło się okienko!... Gustaw rzucił skrzypce precz

aż zająkły. Spojrzał przez okno; Anna już ubrana stała w okienku.. Gwałtownym wybiegł krokiem i już był na górze. Andzia go widziała, Andzia go słyszała, i rozmarzona, zaczerwieniona usiadła na sofce. Była to do rozmowy pora najdogodniejsza, bo cała rodzina zchadzała się zwykle w porze obiadowej, a porucznikowa tylko co wyszła do miasta po zwykle dzienne sprawunki.

Gustaw przyskoczył z taką gwałtownością jak nigdy!... i porwał Andzię za rękę i złożył na niej gorący, przeciągły pocałunek. Andzia spojrzała na niego z pod długich rzęsów, i przestraszyła się prawie jego oczów iskrzących.

— Przychodzę pożegnać!...

— Pożegnać? — zawołała Andzia, i serce jej zadrzało szczerym żalem....

— Andziu!.. muszę!.. Andziu!.. daruj pani, że cię tak nazywam! ale w tej chwili stanowczej nie mogę inaczej. Ty mnie znasz... znasz serce moje...

— Znam! — odpowiedziała wahająco...

— I wiesz!... wiesz Andziu droga!..

— Wiem! co wiem?...

— Darmo oczy spuszczasz!.. Wiesz, że cię kocham.... kocham nad życie... kocham.... odkąd cię znam.... kocham miłością niewymowną!.. Andziu! ja cię kocham miłością nie na dzisiaj, nie miłością co przemija! Ja cię kocham miłością na zawsze!.. jak cię nikt kochać nie może!.. bo dla ciebie życie moje!.. dla ciebie krew moja!.. dla ciebie każde bicie serca!... dla ciebie Andziu złota cała przyszłość moja!.. Czy wierzysz temu? — dodał i za obydwie porwał ręce, a tak mocno ścisnął, że z rąk do rąk jakby prądem elektrycznym, poruszone zadrgały wszystkie żyłki, i drżeniem posuwając się prąd elektryczny, dostał się aż do serca. I już serce zadrzało tak silnie jak nigdy, i już się podniosły długie rzęsy, i z oczów dziewczyny wystrzelił promień, jakby odbicie prądu elektrycznego. Dziewczyna doznała po raz pierwszy uczucia tak rozkosznego i bolesnego, że jej się zdało tchu brakować.

I drżenie serca udzielało się piersi dziewczęcej, poruszającej się po raz pierwszy tak silnie, boleśnie i rozkosznie razem. Lecz nagle wstrzymały się i odbiły od przedmiotu, który przy nich spoczywał. Przerwana chwila rozrzewnienia i rozczulenia czy powróci kiedy?... Za późno przybyłeś biedny Gustawie!... sieroto bez imienia, wydziedziczony ze wszelkiego szczęścia jak każdy sierota.

Tam na sercu spoczywał bilecik odebrany przed chwilą. Był to bilecik napisany przez Kazimierza w usposobieniu gorączkowym, na pół z hulatyki rozbudzonego. Były słowa urywane!... krótkie!... ale dobitne!... gorące!... kocham i kocham, sto razy wymówione, pałające zdaje się ogniem pożerczym.... Młoda dziewczyna w tych słowach widziała miłość szaloną, widziała szczęście!.. I przy bilecie jako za-datek przyłączony był śliczny cudny brylantowy pierścionek. Jakże tu nie wierzyć?... wszak pierścionek znaczy zaręczyny. Jakież cudne i dumne snuły się myśli w przewróconej już i tak główce zalotnej porucznikówny! A w bilecie ze łzami, z rozpaczą, na klęczkach, błą-



gał Kazimierz o wzajemność, a w dowód niej o tajemną schadzke... Wieczorem przyjdą bilety do teatru na operę dla całej rodziny... a ona niech czeka na niego! Tak mu poradzili Ferdynand i hrabia praktykant. Czyż mogła co innego odpowiedzieć Anna, jak jednym słowem: czekam! — Za późno przybyłeś, Gustawie! za późno biedny sieroto!...

Daremnie ją błagał, daremnie zaklinał, miłość najserdeczniejszemi malował słowami, i prosił by na niego rok, dwa czekała; a on dla niej wypracuje, wykuje przyszłość najświetniejszą, i otoczy ją wszelkiem poświęceniem, i raj jej zrobi na ziemi. Piękne twe słowa Gustawie! ale za późno, piękniejsze stokroć te, co przemawiają wprost do serca tam pod piersiami z palącego listu, z brylantowego pierścionka... Matka weszła; Gustaw wybiegł jak szalony, rozpaczą gnany. Za godzinę wyniósł się z starego ciemnego domu. A teraz do drugiej spieszymy sceny.

Na pierwszym piętrze było cicho. Wszyscy stąpali na palcach, bo już po całym dworze rozniosła pokojówka, tajemnicze dając znaki, że jasna pani bardzo słaba. Wieść przebiegła garderobę, kuchnię i przedpokój, i w końcu dostała się do starego pana, który i tak zdziwił się już, że wedle codziennego zwyczaju nie odwiedziła go młoda pani na dzień dobry.

— I cóż pani jest? — darmo pytał kamerdynera, który tylko ramionami ruszał.

Nie lepiej się udało z panną garderobianą, która mimo całej zuchwałości i rezolucyjności jaka ją odznaczała, skrzyła jeno perkatym noskiem, oczki swawolne wstydliwie spuściła i z zasznurowanych ust wycedziła ledwie:

— Ja nie wiem, proszę pana.

Poszedł więc stary pan w własnej osobie do młodej pani, lecz i tam się nic nie dowiedział; bo na straży sypialnego pokoju stała garderobiana, i już tym razem rezolutniejszym wyrzekła głosem:

— Nie można! pani przeprasza.

Stary pan wrócił do swej kanapy, prawdziwie zgryziony i niepokojny, bo starowina jak to już wyżej widzieliśmy, choć mu to szczęścia nie przynosiło, kochał zawsze młodą żonę. Poselstwa szły przez godzinę tam i nazad od starego pana do młodej pani; aż narazie wbiegła garderobiana z noskiem do góry i uśmiechniętymi usty, by z nader poważnym dygiem wyrzec:

— Pani prosi, żeby się pan nie fatygował. Pani trochę lepiej, i sama przyjdzie do pana.

Jeszcze minęło pół godziny oczekiwania, gdy przecie ozwało się poszczekiwanie złośliwego Bibi, i za wbiegającym rezolutnie pieskiem weszła młoda pani. Ale jak weszła!... krokiem powolnym, drżąca, blada okropnie, z oczami czerwonemi i opuchniętymi, ale zawsze piękna, w szerokim i eleganckim pudermantlu i z smutnym melancholijnym uśmiechem na twarzy.

— Co tobie moje dziecko? — zawołał mąż biegnąc ku niej.

— Nic! nic... mój drogi! — odpowiedziała pieszczonym głosem.

— Bądź spokojny mężu drogi!... Już przechodzi... już przeszło. — I to rzekłszy, pocałowała w rękę starego męża, który miał łyzy w oczach, co był na prawdę w siódmym niebie.

Nic głupszego nad starego męża. I widząc, że się siania biedaczka osłabiona, usadowił ją jak najstaranniej koło siebie na kanapie, i tak był o nią troskliwy, że tym razem, by jej przyjemność zrobić, zaprosił na kanapę faworyta nawet pieska, który odwdzięczał się najnieznośniejszemi skokami, biegając po kanapie za jakimś świstkiem papieru, który to wypuszczał, to sam sobie aportował.

— Ale cóż ci lubko? — pytał i błagał stary mąż.

Ona nic nie odpowiadała, tylko główkę bladą złożyła z wdziękiem nieporównanym na ramieniu męzowskim.

— Jeżeli mnie kochasz, powiedz! błagam cię!..

— Ja cię kocham bardzo — odpowiedziała najczulej małżonka młoda. I nagle, jakby wewnętrzne przemogło uczucie, spazmatycznym zapłakała łkaniem.

Stary przestraszył się na prawdę, i podwajał pieszczoty i błagania.

Młoda pani ozwała się nagle wśród łkania ciągłego...

— On mnie zabije!..

— Kto taki?..

— On mnie nienawidzi!..

— Ale kto?... na miłość Boga!..

— Chce śmierci mojej!..

— Zlituj się Róziu droga! powiedz kto!..

Młoda pani jakby się opamiętała, obejrzała się w koło siebie, i ocierając oczy wonną batystową chustką, porwała za rękę starego męża.

— Daruj, że nie mogłam wytrzymać!.. powinna byłam milczeć... ale w takiej właśnie chwili...

— W jakiej chwili? — pytał nieszczęśliwy mąż stary, drżąc cały.

— Omal nas nie zabił!..

— Nas?... kogo?... kto?... pytał stary z rozpaczą.

— Nie gniewaj się na niego!.. to już przeszło!.. to twój synowiec!.. Kazimierz!..

— Cóż ci zrobił!.. ja go każę zawołać!.. mów!.. zlituj się!..

— Daj teraz pokój! jak mnie kochasz!.. mówiła młoda pani, i rozczulając się, tuliła twarz młodą do pomarszczonej starca twarzy.

— Ja nie chcę żeby on wiedział!.. że ja się skarżyła. — I po długich jeszcze prośbach zaczęła mu opowiadać wśród łkań i płaczu, że całą noc spać nie mogła, przez okropny hałas i wrzawę, jaka panowała u pana Kazimierza, gdzie pito i hulano całą noc. I dopiero znowu drżąc całą, opowiadała jaki jej był przestrah, gdy usłyszała strzały, i wszystkie padające wprost do ściany nad jej łóżkiem.

Opis cały był nader romantyczny i tragiczny. Pan Zygmunt był na prawdę rozgniewany, chociaż czuł to od dawna instynktownie prawie, że młoda pani nie lubi synowca, choć się nigdy bliżej nad tem nie zastanawiał.



— Jaby się nie była tak bała!... gdyby... nie! — przemówiła tuląc się jeszcze bliżej do męża i urwała.

— Gdyby nie co?

— Bo ja ci nie chciałam dotąd powiedzieć!

I zarumieniona jak dziewczę niewinne, szepnęła mu w ucho drżącym głosem, że ma nadzieję zostać matką. Serdeczna radość przebiegła żywszem krwi uderzeniem przez serce starego męża. Doznał uczucia takiego, jakiego jeszcze nigdy nie przeżył, aż mu piersi ścisnęło, aż mu tchu brakowało!... biedny starzec!... I porwał ją z czułością w pół, ale razem z pewnem uszanowaniem, i ścisnął za ręce i piękną całował twarz!... Stary mąż szalał z radości!... a w tej chwili uczył zarazem gniew, złość i nienawiść do synowca, którego wczoraj jeszcze kochał, a przed chwilą sam w własnej myśli uniewinnił po części. I zaczęła się serdeczna, poufna, w pół cicha pogadanka małżeńska. Stary mąż był tak uradowany i uszczęśliwiony, że nieznośnego pieska, który mu po grzbiecie skakał, bawiąc się papierową gałeczką, własnoręcznie pogłaskał, i nawet rzucając i odbierając aportowaną gałeczkę, pomagał mu do zabawy.

Koniec tej czulej małżeńskiej pogadanki był taki, jakiego sobie życzyła młoda pani.

— Może ci czego potrzeba?... może ci co brakuje? — pytał na ciasto rozmięczony stary mąż.

— Zapewne! chciałabym na pamiątkę tej chwili kupić łańcuch śliczny, który widziałem w nowym sklepie... I... i — dodała po długim wahaniu się — mam trochę długów.

— Nic to! nic! — przemówił czuły małżonek. — Ja cię chcę przekonać, że nie od dzisiaj myślę o twojej przyszłości. — I żywym ruchem ręki porwał za tuż koło niego leżącą szkatułkę i wyjął testament, z którego ona nie czytać nie chciała, ale przecież ukośnym wzrokiem tyle dopatrzyła a uchem szepczącego męża dosłuchała, że się dowiedziała, jako prócz małego przysiółka legowanego synowcowi, jest dziedziczką całych Kaliniec z przyległościami i z kapitałami wszystkimi.

— Ja ciebie nie chcę przeżyć drogi Zygmuncie! — odrzekła skromnie i pokornie pocałowała starca w rękę... Wyznać potrzeba, że swą rolę wzorowo odegrała, to też nie minęła ją nagroda.

— Co do potrzeb twoich i długów, najchętniej wszystko zrobię, choć powiem ci szczerze, że nie mam teraz gotowych pieniędzy... bo te fabryki w Kalińcach... i rachunki... jakie twój ojciec. — Zasepiła się twarz przyszłej młodej matki tak bardzo, że się jej staremu serdecznie przykro zrobiło. — Ale ja mam w domu pieniądze, i na ten raz pożyczę sobie... wiele ci potrzeba!...

Tak był stary rozkwilony spodziewanem ojcostwem, że się nawet nie skrzywił, gdy się dowiedział, że te potrzeby i długi wchodzi w tysiące, i tych tysiączków trzeba będzie kilka wydobyć.

— Idź kochanie do siebie!... ja ci zaraz sam przyniosę. — I jeszcze jedno pocałowanie złożył na białem czole, i nawet pieska pogłaskał na pożegnanie, który też przez wdzięczność zostawił mu

w rękę przyaportowaną gałeczkę, którą pan Zygmunt w zamysleniu położył na stoliku przy tabakierce.

Młoda pani wyszła, ale drzwi przymknawszy, przystała przy nich przez chwilę, i ciekawością wiedzona, przyłożyła oko do dziurki do klucza. Wiedziała to już z doświadczenia, że stary mąż miał w zwyczaju, dawać tak pieniądze, by nikt nie wiedział z kąd je bierze. Nieraz była ciekawą poznać te schowki mężowskie, a tym razem ciekawość jej podwojoną została tą nową ciekawością o jakichś cudzych pieniądzach, co się miały znajdować w rękę mężowskiem. Jakież było jej zadziwienie, gdy ujrzała męża idącego wprost do łóżka, które stało w kącie naprzeciw drzwi. I tam wziął w rękę leżącą na stoliku nocnym księgę wielką w pergamin oprawną, księgę świętą, którą my z Kaliniec doskonale znamy, i którą ona także znała choć nigdy szczególnie na nią nie zwracała uwagi. I otworzył księgę!... Lecz co dalej zrobił już widzieć nie mogła, bo się w jednej chwili stary obrócił od łóżka i księgi, i powolnym krokiem szedł ku drzwiom. Ledwie miała tyle czasu, że wbiegła do swoich pokoi, by się najspokojniej i najniewinniej usadowić na wygodnej sofeczce. I już przyszedł stary mąż, i z czułym uśmiechem na ustach, a z czulszym jeszcze uściskiem oddał drogiej żonie spory zwitek banknotów.

— To on je chowa w tej starej biblii — i to mają być cudze. pomyślała młoda małżonka, a na ustach miała dla męża uśmiech serdeczny, czarujący. Nim odszedł stary, jeszcze ją najczulej błagał, aby się szanowała.

— Bądź spokojna! — dodał — już ja zrobię porządek z Kazimierzem.

— Przepadłeś teraz na zawsze panie Kazimierzu! — pomyślała sobie patrząc tryumfującym wzrokiem za odchodzącym mężem. A gdy odszedł, zamarzyła sobie o... o czymże innem, jeżeli nie o testamentcie!... Było to bardzo lube i słodkie marzenie, po którego idąc torze koniecznym, jakoś nad tem dumać zaczęła, kiedy to się jej dostaną te miłe owoce testamentowe. Nie można tego brać za złe młodej żonie starego męża; marzenia testamentowe już to mają w sobie, że mimowolnie prowadzą do myśli pogrzebowych. A znowu przez zwykłe pobratymstwo myśli, pogrzebowe myśli przywiodły jej na pamięć pana Ferdynanda, którego jej zresztą przypominał zwitek banknotów w rękę jeszcze trzymany, i przywołana garderobiana z zadartym noskiem dostała rozkaz wyszukać i sprowadzić ciocię.

Stary zaś wróciwszy do siebie, najprzód wyprawił kamerdynera po synowca, którego na szczęście nie było w domu. Pan Kazimierz z młodymi przyjaciółmi, jak to mówią po prostu, płukał zęby po wczorajszej hulance, a może także chciał zagłuszyć głos sumienia, który mu wyrzucał list napisany do Anny i te myśli w jakich był napisany, a które mu natrętnie biegały po rozgrzanym mózgu, przywodząc mu na myśl zamówione widzenie się wieczorne.

Nie doczekawszy się synowca, ochłonał stary z pierwszego gniewu, i zasiadłszy na kanapie zaczął marzyć, porwawszy machinalnie w rękę leżący koło tabakiery zwitek papieru, którym jak



widzieliśmy bawił się Bibi, faworyt młodej pani. Błogie były starca marzenia o tem dziecku spodziewanem, które miało mu być pociechą. I wyobrażał sobie jako doczeka widzieć syna dorodnego, który będzie jego chlubą i jego szczęściem. Zostawmy go przy jego błogich marzeniach, niech marzy szczęśliwie pocziwy staruszek. Kto wie jak długo trwać będą te lube marzenia?... i kiedy i jakie wypadnie przebudzenie?... Szczęście to prawdziwe dla nas śmiertelnych, że myśli nasze przebiegają wszelkie czasu przestrzenie, a najbliższa godzina nieprzebytą obsłonią bywa tajemnicą.

#### XIV.

To były sceny ranne; przejdźmy teraz do scen wieczornych. Jedne od drugich tak bliskie, a tak niepodobne do siebie. Któż jest w stanie przewidzieć, że w przeciągu kilku godzin może zajść stanowczy i niezmienny zwrot w losie i przeznaczeniu kilku osób... cóż dziwnego?... Wszakże jedna chwila zmienić czasem może losy narodów!... Więc tedy naprzód odwiedzimy panią Różę.

Prawdziwa Róża siedzi tak wesoła, tak uroczo ochocza, odmłodziła różowemi nadziejami przyszłości. To też jej wszystko wydaje się różowo. Odbywa się u niej właściwie poufała herbatka, przy gazowej lampy jasnym oświeceniu, które tak miłe rzuca światło na cały obrazek, że ten wydaje się jeszcze więcej różowym, jeszcze więcej wesołym.

A ten obrazek składa się z trzech osób, ugrupowanych tak swobodnie, tak serdecznie. Na kanapce miękkiej i nie obszernej siedziała pani Róża i pan Ferdynand; a tuż koło nich, na miękkim fotelu najweselej usposobiona i rozszczębiotana ciotunia droga. Jak im wszystkim miło i błogo, widać to z twarzy uśmiechniętych i zadowolonych. I stara ciocia nie przeszkadza wcale młodej parze. Przeciwnie, jej bytność poważna, uniewinnia niejako i przyzwoliszem czyni młodych ludzi poufałe zbliżenie się do siebie, noszące cechę prawdziwej i serdecznej przyjaźni, której powojny, choćby najmocniej odznaczone, stają się godziwymi w obec trzeciej tak poważnej osoby. A potem droga ciotunia umie się tak doskonale do roli swojej zastawać, że choć jej niby pełno w pokoju, zdaje się znikać zupełnie; a przynajmniej doskonale się obsłania mnóstwem zatrudnień, że prawdziwie po za ich ogromem zdaje się znikać. Ona to herbatę nalewa, to sama pije, biszkoceki wysysa z taką długą i szczerą rozkoszą; to się nawet z taką ledwie nie dziecinną pustotą bawi z lubym Bibi, który dziś jest bardzo miłym pieskiem, pocziwym pieskiem, to go karmi, to pieści, to się droczy i bawi, że koniec końców nawet czasu nie ma spojrzeć na młodą ku sobie zbliżoną parę. A co dziś robi ciocia kochana, to robi z prawdziwym uczuciem, z humorem niesłychanym. W każdym ruchu znać radość wewnętrzną. Wszakże pocziwa ciocia wyratowała dziś pana Ferdynanda od

długów, przyczem nie obeszło się bez sowitego łapowego, które pominałszy moralne znaczenie godziwości czy niegodziwości, zawsze czyni pewną przyjemność kieszeni i sercu.

I młoda para rada z siebie. Ona szczęśliwa, że przyjacielowi zrobiła przysługę; on najszcześniejszy i najwdzięczniejszy pocziwiej przyjaciółce. Cóż dziwnego, że jej tę wdzięczność swoją stara się okazać czułym uściskiem ręki, czulszem jeszcze ucałowaniem tej rączki, którą jak tu nie ścisnąć i nie całować, kiedy taka śliczna, miękka i białutka! I trudnoż nie powtórzyć, i nie powiedzieć po raz setny te wszystkie wyrazy wdzięczności, jakie przepełnione serce dyktuje. A takie wyrazy niepodobna otrąbić głośno, bo to przecie musi urazić skromność tej, która przyjacielowi wyświadczyć chciała przysługę z pocziwego serca. I o ileż to milej szeptać, kiedy to uszko słuchające, takie cudnie różowe i przezroczyste, a tak blisko koło niego jasne, jak pasma złote, a woniejące włosy, i oczko gwiazdźdźdźiste pełne ognia, i ta twarzączka biała aksamitna, i... A choćby jaka chwilowa przyszła pokusa, ukraść całusa, cóż w tem złego!... wdzięczność nigdy zbyt uczynną być nie może!... Dosyć że się bardzo dobrze bawili, a gdy już młoda para wypowiedziała wszystko, co jednemu dyktowało serce przyjaźne i życzliwe, a drugiemu serce wdzięczne, rozmowa stała się ogólną. I tak od serca mówiło wszystko troje, co mieli na sercu. Ciepła i wonna chińska herbata rozświecała umysł, rozweselała serca i rozmowie dodawała swobody i szczerości. I nareszcie dla czegożby nie mieli sobie wszystkiego wypowiedzieć? Znali się tak dobrze, a rozumieli jeszcze lepiej, że tajemnica nie miała miejsca między nimi.

Pierwsza młoda i śliczna pani Róża wypowiedziała całą rozmowę swoją ranną ze starym mężem. A że miała wiele naturalnego dowcipu, którego nabierała niemało i w konwiktach paryskim, i w wyższych salonach warszawskich, więc nic dziwnego, że tak to wszystko umiała doskonale rozpowiadać, aż się wraz z słuchaczami swemi najserdeczniej roześmiała. To przecież nic nie szkodzi staremu mężowi, który nic nie słyszy i siedzi zapewne w swoim pokoju między starą książką jaką i młodem marzeniem, rozbudzonem przez zwierzenie młodej i ślicznej żony.

— Ty ślicznie rozpovídasz — mówiła schlebającym głosem stara ciotunia — jakbym siebie samą młoda widziała...

— Pani droga!... jesteś jedyną! — przemówił pan Ferdynand przewracając oczyma jak najczulej, i białą rączkę przyciskał do ust gorących...

— Powiadam wam, że to była scena arcy-czuła... dramatyczna! — mówiła młoda pani — ja byłam natchniona prawdziwie!...

— Pani jesteś nią zawsze!...

— Pochlebco! — zaśmiała się pani Róża, uderzając pana Ferdynanda po ręce ślicznym piórkowym wachlarzykiem, który trzymała w ręku.

— I stary uwierzył? — ozwała się rubaszniej niż zwykle droga ciotunia. Trzeba zaś wiedzieć, że jej rubaszności nie mało dodawała herbata wonna, której większej jeszcze woni, ba i siły w natchnienie



bogatej, dodawał wonny wschodnich Indyj truneczek, którego ciocia kochana nie żalowała sobie w chwilach swobodnych i wesołych. To było jej najmilsze wytchnienie po całodziennej gonitwie za intrygami i plotkami.

— Ale uwierzył najkompletniej!...

— I najnaiwniej!...

— I ucieszył się jak przystało na starego męża!...

I nowy rzucony śmiech rozszedł się głośno po ciepłym pokoju, aż się dalej echem rozszedł po dalszych pokojach. Uważnemu uchu nie byłoby może uszło, że te echa odbicie wyglądało jakby westchnienie przytłumione. A z kądzęby oni mieli brać zimną uwagę; oni tak szczęśliwi i tak pewni szczęścia swego. I rzecz dziwna, w tej chwili pociemniało w pokoju.

— Ta lampa twoja, moja Róziu, tak ciemno świeci.

— Jakby cień jaki wielki okrył nas — zauważył pan Ferdynand, rozglądając się uważniej nieco.

I w rzeczy samej zdało się, jakby jaki cień olbrzymi, padający od bliskiego przedmiotu jakiego rozciągnął się przez cały pokój. A może to już cień tej chwili stanowczej, nieprzewidzianej, nieuniwonnej, która wkrótce ma uderzyć w przeznaczenie tych ludzi szczęśliwych głoskami uczyty Baltazarowej.

— To się cioci tak zdaje po herbacie. — I wszysej nowym parsknęli śmiechem

— Ale powiedz mi moja Róziu — przerwała ciotunia, dolewając sobie przez zapomnienie jamajskiego trunku. — Jakże się wywiniesz, gdy twoje dzisiejsze zwierzenie okaże się fałszywem? Stary będzie szalał ze złości.

— Czy nie dosyć dla niego chwilowego zadowolenia, z jakim staruszek poczciwy uwierzył. — To słowo staruszek wymówiła pani Róża z prawdziwem *con amore*, serdecznie mistrzowskiem.

— Mamy na to naszego poczciwego lekarza Hugona, który mu to wytłumaczy, wedle wszelkich zasad lekarskich.

— Bodaj pana! — rozśmiała się ciotunia, a za nią drudzy, ale tak szczerze, aż się popłakali z prawdziwej radości.

W tem urwał się nagle śmiech wszystkich, bo zaszło coś nowego, coś niespodziewanego, nadzwyczajnego i niezrozumianego. Cień posępny padł na pokój jeszcze ciemniejszy, i nagle niespodzianie na środek stolika padło coś niewiedzieć zkad. To coś było okragłe, i jako takie zaczęło się kręcić po stoliku pomiędzy talerzyki i filiżanki. Faworyt Bibi porwał się ku temu przedmiotowi, jako ku dobrze sobie znajomemu. Lecz już go uchwycił pan Ferdynand. Rozwinął, rzucił okiem i podał sąsiadce. To była owa kartka nieszczęśliwa pani Róży, podarta w chwili przebaczenia, z którą się tak zawzięcie bawił niegodziwy Bibi. Jakby piorun ogłuszył wszystkich, tak się cicho zrobiło w pokoju przy herbacianym stoliku. Patrzyli po sobie wzrokiem przerażonym, bo od razu zrozumieli wszystko. I w tej chwili ten cień złowrogi znikł z pokoju; pokazało się, że gazowa lampa świeci doskonale.

— To on! — powtórzyli za nią jej goście niemniej cichym głosem.

Nagle pani Róża podniosła palec do ust na znak milczenia i natężyła ucho, a za nią i tamci natężyli. Cicho było, bardzo cicho, a przecież mimo to lekkie zdawało się skrzypnięcie jakby posadzki, źle spojonej, stopą dotkniętej. I ten głos doskonale zrozumiała pani Róża, i zaciskając zęby, aż zbrzydła okropnie — powtórzyła:

— To on!...

— To on! — powtórzyli tamci. I wszystko troje spojrzalo po sobie wzrokiem desperackim. Co czynić, żadne nie wiedziało. Ciotunia dla lepszego konceptu wychyliła co prędzej całej pół wielkiej filiżanki herbacianej, dolawszy przez roztargnienie zapewne wonnego truneczku. Pani Róża stała na środku pokoju jakby skamieniała, istna Nioba. Na twarzy tylko znać było wewnętrzną pracę umysłową, kurczem przechodzącą po niej. Całe życie skoncentrowane było w wytężonym wzroku, który wysyłała za słuchem. Nagle gestem wymownym pokazała, że chce sama zostać, i ledwie dostyszczanym wymówiła szeptem:

— Zostawcie mnie samą.

Pan Ferdynand nie czekał wszakże na to wezwanie. Pobladły cały, trzymając kapelusz w drżącym ręku, już był koło drzwi. Ledwie usłyszał wezwanie, już był za drzwiami pożegnawszy przyjaciółkę wcale lekkim skinieniem głowy. Pani Róża pożegnała go puszczając za nim spojrzenie pogardliwe. Nic tak kobiecie każdej nie oburza, jak tchórzliwość mężczyzny, w jej obronie okazana. Ciotunia nie wahała się także długo; porwała co prędzej szal i kapelusz, i gonila co tchu za panem Ferdynandem.

Pani Róża stała jeszcze chwilę na miejscu w zupełnej nieruchomości, świadczącej o całym natężeniu i zmysłów i wszystkich sił umysłowych. I zasłyszawsza jeszcze jedno dalekie skrzypnięcie; to się drzwi pana Zygmunta zamykały. Usłyszawszy to, na palcach skradającym się krokiem szła przez wszystkie pokoje, jakie ją dzieliły od męża. Ona chciała się dowiedzieć, co on robi w tej chwili. Instynktowe przecucie, jakby burzą chaotyczną szumiało jej w uszy jakieś wróżby złowrogie. Idąc naprzód chciała zebrać myśli, by znaleźć środek ratunku. A więc przedewszystkiem zastanowiła się nad całym zdarzeniem, i prawda cała lotem błyskawicy przemknęła jej przez głowę. Przypomniała sobie wszystko od razu, jak widziała pieska, bawiącego się papierową gałeczką. Któż się mógł spodziewać, że cała może jej przyszłość spoczywa w małym podartym zwitku papierowym. Piesek zostawił ten zwitek u niego.

— On go znalazł, i... przebiegało przez jej głowę raz po raz.

I miała słusność. W chwili tryumfu i zwycięstwa liche kawałki papieru miały ją zgubić. Po jakiej to przyszło drodze, nie potrzebujemy nawet długo tłumaczyć. Pan Zygmunt oddany najmilszym marzeniom, długo się bawił papierowym zwitkiem, zanim rozmyślnie rozwinął go i poznał na podartych kawałkach pismo żonine. żadnej nie mając złej myśli jeszcze, zaczął czytać i znajome nam już wrazy ubodły starego i zazdrośnego męża. Biedny stary mąż!... jakże



przykre było jego obudzenie z błogich marzeń. Szarpany zazdrością jął rozmyślać, i od razu prawie padł na Ferdynanda, chociaż dotąd żadnego nie miał posadzenia. Postanowił przekonać się, i chociaż cierpiał męki piekielne, czekał do wieczora, wiedząc, że o tym czasie bywa najczęściej ciotunia, która znała wszystkie tajemnice żony. Z ich rozmowy spodziewał się dociec prawdy, a w razie potrzeby wejść nawet i zgromić winną słowami gniewu i oburzenia. Wypadek chciał, że więcej znalazł, niż się spodziewał. U żony ujrzał nie tylko ciotunię, ale i Ferdynanda, i z ich rozmowy przekonał się, że haniebnie nadużywano jego poczciwej ufności i szczerych uczuć. Nie wszedł do pokoju, choć go ciągnęło ku temu, ale wstyd było staremu stawać w postaci męża zazdrośnego naprzeciw młokosa. On w tej chwili rozumiał całe swoje położenie, i jakby w stanie jasnowidzenia rozumiał całą niestosowność małżeństwa, w które wstąpił w chwili szalu tem śmieszniejszego, im w późniejszym przyszedł wieku. Ale niemniej przeto zawrzał niepohamowanym gniewem na niewierną, i aż mu usta zadrżały, by wykrzyknąć jedno, ale stanowcze słowo: zemsta!

Powstrzymał się i w tej chwili rzucił między nich tę złowrogą gałkę, a sam szedł co prędzej do siebie. Już przyszedł. Jak usiadł na kanapie? sam nie wiedział, cała krew tylko w gwałtownem zburzeniu całemi gorącemi strumieniami biła mu do głowy. Zdało mu się przez chwilę, że słyszy własny ból, bicie żył wszystkich głośnie i przenikliwe, które mu tonem zarzutu wypowiada dawne myśli, dawne uczucia i na pół zapomniane zdarzenia. Porwał się za głowę... Lecz wróćmy teraz do pani Róży.

Skradając się kocim krokiem, stanęła wreszcie przy drzwiach mężowskich. Zajrzała przez dziurkę od klucza, jak z rana, lecz nie ujrzała, prócz światła, które przytłumione było od lampy, ciemną umbrelą przykrytej. Przyłożyła więc uszy. Siłą woli powstrzymała własny oddech, który się jej konwulsyjnie z piersi dobywał; przytłumiła bicie serca i żył tętnienie. Ona wszystkie nawet myśli zatrzymała w ich biegu wirującym, aby jednym tylko żyć słuchem. To też jej uszu żadno nie uszło poruszenie! Może to był wybryk tylko jej wyobraźni rozpalonej... jej się zdało, że słyszy to rozpaczliwe bicie krwi po żyłach oszukanego męża. Czy też może w tej chwili uczuła choć odrobinękę litości dla biednego starego męża, który jej przed kilką jeszcze godzinami dowiódł, ile ją kocha?... Gdzie tam!... Ona nie ma czasu nad nim się litować, bo się sama lituje nad sobą, przewidując najsmutniejsze następstwa. I nagle usłyszała ruch silniejszy na mężowskiej kanapie. Co to było takiego?... Zdaje się jakby jaki papier szeleścił w drżącym starca rękę, i... tu oczy jej wybiegły na wierzch, a cała poczerwieniała okropnie z ostatniego natężenia, by nie krzyknąć... usłyszała wyraźnie, konwulsyjne, przyspieszone darcie papieru. Myśl straszna, okropna dla niej przebiegła jej przez głowę. Ledwie stoi na nogach, ale słucha dalej... długie było milczenie. Nagle zadrżała znowu, bo słyszy wyraźnie jakiś ruch gwałtowny na kanapie!... Czy może wstaje, by iść do niej... cofnęła się przestraszona. Lecz nie!... on jest jeszcze na kanapie. Ruch gwałtowny na kanapie.

Ruch gwałtowny powtarza się raz, drugi i jeszcze gwałtowniejszy po raz trzeci... I krew jej zastygła w żyłach.. usłyszała długie bolesne... przeciągłe... i nagle urwane stęknienie... Może przecie teraz litość przemówiła!... Ona tylko drży ze strachu i niecierpliwości, by się dowiedzieć, co się tam dzieje.

I ucichło wszystko!.. darmo natężyć ucho; najmniejszego nie słysząc ruchu. Ona słucha dalej i jeszcze czeka!... jak długo to trwało, ona nie wie sama. Lecz już dłużej wytrzymać nie jest wstanie!... już porwała za klamkę... drzwi się otworzyły... nieśmiałym krokiem weszła do pokoju mężowskiego... Cicho w nim, ale okropnie cicho!.. niewymowna przestrasza groza. Ale ona siły ma dosyć; przewyciężyła w sobie, pomalą ostrożnie idzie ku mężowskiej kanapie.

Światło przysłonione mało jasności rozlewa, z daleka nie może widzieć, co się dzieje. Idzie zatem dalej i już jest przy kanapie. Milczenie panuje głębokie!... nie słysząc ani ruchu najmniejszego!.. Najprzód oczy jej uderzyła na rogu kanapy białość jakaś!... to papieru podartego w szmaty. Rzuciła okiem i poznała od razu, po kształcie zagieć papierowych, po nadpisie poznała papier, który tak niedawno jeszcze widziała.

— To testament! — przemknęła myśl łyskawicą... i porwała ją złość niesłychana. — Czyż wszystko ma być stracone!..

To jej dodało odwagi; wszak ona występuje niejako w obronie własności, wydartej tak niespodzianie. Przysuwa się dalej, i w cieniu na drugim rogu kanapy postrzega go leżącego ze schyloną i opartą na poręczu głową..

— Czy spi? — pomyślała — czy może? — dodała i już tym razem nie mogła powstrzymać w pół urwanego wykrzyknienia, które tak dziwnie i strasznie rozbiegło się po pustym i milczącym pokoju. Już jej dalej cierpliwości, już siły nawet nie staje; zgina się jeszcze więcej i porywa męża za rękę, która wyciągnięta naprzód trzymała jeszcze kawał podartego papieru. Ręka ledwie letnia; wypuszczona ze zgrozą, opadła bezwładna.

— Czyż nie żyje! — pomyślała... i w pierwszej chwili niezupełnego zastanowienia się, uczucie radości przemknęło jej piersi. — Nie żyje! uderzenie apoplektyczne, przepowiadane zawsze i oczekiwane gorąco... Jestem wolna! — biega jej tłumnie po głowie. Ale spojrzęła na podarte testamentu szmaty i pierzchy myśli radośne, radość marzenia. Naga rzeczywistość stanęła jej przed oczy i dodała odwagi. Innym razem, możeby się bała stać sama jedna obok trupa. Ale ona teraz stoi naprzeciw wroga, co ją obdarł, co jej odebrał całą przyszłość najpiękniejszą. Wroga umarłego widzieć!... to nie przestrasza. Porywa zatem za lampę!... podnosi!... światło pada całe na twarz męża.

— Już niema wątpienia!... nie żyje!..

Widać to po twarzy niemej, nieruchomej, z lekka tylko ostatnim kurczem skrzywionej. Lampa ciężko nazad postawiona zabrząkła. Ostatnie natężenie zaczyna przechodzić; odzywa się słaba kobieta. Lecz się jeszcze opamiętuję.



— Co tu robić? — sama siebie pyta. Ogląda się na wszystkie strony, i mimowolnie porywa za podarte kawałki papieru i aby może się sama przekonać jeszcze lepiej, lub inną niezrozumianą wiedzioną myślą chowa je za rąbek sukni.

Nagle zaświeciły jej oczy dziwnym blaskiem; to przypomnienie, to myśl nowa zbawienna. Już zapomniała o tej chwili okropnej, zapomniała o mężowskim trupie i choć jej mimowolnie przebiegło przez myśl, że może jeszcze ratunek możliwy, ona szybkim pobiegła krokiem w głąb pokoju... i już jest przy łóżku. Ona przypomniała sobie ranniesze śledzenie przez dziurkę od klucza; przymomniała grubą księgę... i już ją ma w rękę. Drży ręka ostatnią nadzieją!... wszak to jej jedyny ratunek... On tam chowa pieniądze. Zaszleściwały kartki starej księgi!... lecą jak szalone pod jej palcami. Zatrzymała się, natężyła oczy!... widzi wyraźnie papiery bankowe, układane kartka po kartce. I nie są to drobne banknoty! same wielkie wyszczerzają się ku niej cyfry. Uczucie niewymownej radości ścisnęło jej piersi, aż dla ulgi wyleciało westchnienie długie, przeciągłe. I westchnieniu odpowiedziało drugie jakby echo. Ona je usłyszała, zadrżała wprawdzie chwilowym fizycznym przestrachem, ale była za nadto zajęta uczuciem radośnym, by się długo zastanawiała nad tem zjawieniem, które zresztą mogło być złudzeniem tylko. I skwapliwie przewracała kartki... i dobywa z za każdej nowy papier bankowy i z konwulsyjnym pospiechem opycha nimi kieszeni sukni domowej. Twarz się jej uśmiecha, piersi wzdymają, a westchnienie ulgi choć wyleci z ust, to przybiera ton prawie śmiechu przytłumionego.

I nowe echo odpowiedziało westchnieniem zdaje się, zmienionem zupełnie. Ona słyszy, i tym razem ogarnia ją przestrach, a przecież chciwość tej kobiety jest tak wielka, że przemagając własne przerażenie, przewraca dalej kartki i wyjmuje pieniądze ruchem przyspieszonym. Ale nie, to już nie złudzenie. Ciężkie westchnienie odezwało się tuż koło niej!... Włosy jej stanęły do góry, a przecież palce drgające biegają po kartkach starej księgi świętej. W tem uczuła jakby nagle coś ciężkiego spoczęło na jej ramieniu.. Coś ciężkiego, martwego i zimnego, jakby kamień jaki, aż ją dreszcz przestrachu przejął do szpiku.

Nie, to już nie złudzenie!... to prawda, okropna prawda!... Obejrzała się!..., stoi tuż nad nią twarz bladej mężowskiej, ręka jego wpija się jej w suknię, w ramie, ciało, i stara się ją odciągnąć od tej księgi co mu była towarzyszką całego życia. On żyje, patrzy na nią wzrokiem wyteżonym, w tym wzroku przebija się gniew, oburzenie, a przecież z całej widać twarzy, pokurczonej okropnie, z całej postaci drżącej, połamanej, że to jest natężenie ostatnie. On obudził się z zamlenia przedśmiertnego, by może wpaść na zawsze w to omdlenie, któremu niema już końca. I musiało być dziwnem i wielkiem to zajęcie się całego życia czy zbieraniem pieniędzy, czy może pamiętkami, łączącemi się ze starą księgą świętą, kiedy ze śmierci prawie się zbudził aby stanąć w jej obronie. Była to scena okropna! Pani Róża nie mogła jej dalej podołać, i okropny przeraźliwy krzyk wydobył się z jej piersi.

— Niegodziwa! — przemówił głos starca zmieniony do niepoznania, szepczący i charczący. — Okradasz mnie! — To cudze!... rozumiesz!... to jest własność mojego!...

I suchym konającym palcem uderzył po pargaminowych okładkach. Ale już nie mógł dokończyć! Reszta słów znikła w ostatnim charknięciu jękliwem. Tym jakim ostatnim chciał jeszcze skarżyć, obwiniać... i może wypowiedzieć, co mu oddawna ciążyło na piersi; lecz mu się nie udało. Bóg nie chciał tego. Pani Róża wydała drugi przeraźliwy jeszcze krzyk, aż się po całym rozległ domie i nastąpiła cichość zupełna. Na ten krzyk wpadł kamerdyner, wpadła służba. Rozbiegły się światła mnogie po pokoju. Znalezione oboje bez przytomności. Pan Zygmunt leżał rozciągnięty na łóżku, na które upadł. Ona koło niego na ziemi; ale ręka jeco skurezona, bezwładna spoczywała ciągle na jej ramieniu wcisnięta, wpiła w suknie i w ciało.

Zaczęto oboje trzeźwić. Pani Róża przyszła do przytomności dość prędko; Pana Zygmunta służba nie mogła się dotrzeźwić. Pani Róża obejrzała się w koło siebie, i wszystko co przeszło, stanęło jej żywo przed oczy. Już była zupełnie przytomna. Silnym ruchem wyrwała się z pod trzymającej ją skamieniałej ręki mężowskiej, aż w niej zostawiła szmat sukni, i ślady własnej krwi, co wytrysła pod kurczowym umierającego przyciskiem. A zrozumiawszy całe położenie swoje, zawołała co prędzej do służby.

— Po doktorów biegnijcie!... co prędzej!... Wszedłszy przypadkiem do pana zastałam go przy łóżku okropnie zmienionego. Chciałam ratować, lecz mnie siły opuściły, i nie wiem co się dalej działo... dodała.

Nikt oczywiście nie wątpił o prawdzie jej słów, widząc jej zmieszanie. Nawet stary kamerdyner, choć nigdy nie miał serca do niej, uwierzył najzupełniej, i litując się nad nią, uspakajał ją, choć sam rozpaczał za panem. I jakże nie było wierzyć, kiedy tak doskonale udawała rozpacz. Jakby bezprzytomna biegła po pokoju, to się do męża zbliżała załamując ręce, to zaklinała, by co prędzej zwolano lekarzy.

Za krótką chwilę było ich już pełny pokój. Do bogatego spieszą się oni zawsze. Pan Zygmunt leżał nieruchomy, zimny, z twarzą jak marmur białą, jak marmur zimną. Zabrali się panowie lekarze do niego, to z lancetami, to z receptami, to z najrozmaitszemi radami, jak to jest u nich w zwyczaju. Wszyscy zaś udawali wielce zajętych, zafrasowanych, współczujących, chociaż każdy rozmyślał, jakimby tu sposobem co prędzej do własnego dostać się łóżka. Niektórzy dla przyzwoitości zbliżali się do niej, namawiając, aby odeszła, i wmawiając w nią nadzieję, której sami nie mieli. Ale pani Róża odpowiadała im głosem drżącym ale z wyrazem twarzy i oczów pełnym tragicznej decyzji:

— Nie! ja nie pójdę! ja zostanę tu, gdzie mi nakazuje obowiązek.

— Zaczyna kobieta! — mruknął jeden eskulap do drugiego, przekupiony jej wdziękami, podniesionemi jeszcze przez łzy i wyraz żałobny. Co tylko dowodzi, że i najdoświadczonego młoda kobieta wprowadzi w pole.



Siedziała więc w kącie, i zdawała się pilnym wzrokiem śledzić każde poruszenie lekarzy i chirurgów przy łóżku męża. Nie uszło wcale jej uwagi, że cała rada lekarska coraz mocniej głowami kręciła. To też drugim okiem z niemniejszą troskliwością spoglądała na pargaminową księgę, która ją w tej chwili jedyne obchodziła. Patrząc na nią, oczy jej przybierały wyraz niezłomnego postanowienia. — Ona musi być moją! — to była jej myśl jedyna, w czasie daremnych doktorskich usiłowań.

Aż nareszcie przyszła chwila, w której wypowiedzieli eskulapowie, że niema najmniejszego ratunku, że jak się zdaje uderzenie krwi było podwójne. Przy pierwszym może był do ratowania, teraz już niema żadnego. Łkanie pani Róży ozwało się mocne. Pobiegła do ciała mężowskiego, i pełna rozpaczy rzuciła się na nie, zakrywając wszakże najtroskliwiej szerokimi sukni falbanami leżącą tuż księgę pargaminową.

Gdy się to działo na pierwszym piętrze, pan Kazimierz wybiegł właśnie z trzeciopiętrowego pomieszkania, gdzie, jak to już naprzód byliśmy uwiadomieni, cały wieczór przepędził sam na sam z panną Anną. Wybiegł z rozpalonem licem i iskrzącemi oczyma. Anna została w swoim pokoju na pół splekana, jeszcze ręką przykrywała zaplonioną twarz, a drugą cisnęła do piersi, jakby chciała przytrzymać serce tak mocno bijące, że lada chwila zdawało się wyskoczyć. A za każdym biciem zdało się dziewczynie, że słyszy wyraźnie powtarzane sobie słowa.

— Czy dotrzyma słowa?...

Wybiegłszy na schody, usłyszał zgiełk i wrzawę na pierwszym piętrze, która z początku nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. I już chciał iść do swoich pokojów, gdy wybiegający służący zawołał do niego.

— Pan stary nie żyje!...

Kazimierz jednym skokiem już był w pokoju stryja i wszedł właśnie w tej chwili, kiedy szanowne gremjum lekarskie zadecydowało, że żaden ratunek nie pomoże, bo umarły jest już prawdziwie umarłym. Przyznać potrzeba, że rozpacz synowca była szczerą. Rzucił się na ciało stryja z prawdziwem uczuciem, i serce ścisnęło mu się szczerem i prawdziwym żalem. On mimo wad swoich kochał stryja, tego przecie jedynego lat dziecinnych i młodych opiekuna, który mu miejsce ojca zastępował, i był zawsze dla niego dobrym, i może aż nadto pobłażliwym. Pokazuje się, że pan Kazimierz nie miał zupełnie jeszcze zepsutego serca. Ale to serce było miękkie, bez najmniejszego hartu, przystępne każdemu pierwszemu wrażeniu, każdej namowie, każdej chwilowej zachciance. Ludzie z takimi dobrymi ale słabymi sercami, więcej szkodzić i złego uczynić potrafią, niżeli owi ludzie bez serca, zimną tylko głową obdarzeni. I jako w człowieku miękkim żal acz wielki, nie mógł być tak ciężkim. To też po pierwszej chwili przerażenia, jał rzewnemi płakać łzami, jak dziecko, jak kobieta. Pani Róża z dobrze oddanym wyrazem głębokiej ostupiałej rozpaczy, patrzyła na młodego Kazimierza z natężoną uwagą. Zdawała się śledzić każde jego poruszenie, liczyć każdą łzę. I nic w tem dziwnego, dziś

po większej części los jej zależy od młodego dziedzica. Ona go studjuje, i ktoby jej twarzy z uwagą się przypatrywał, byłby dostrzegł parę jaśniejszych łyskawic, co przebiegły przez jej twarz zasepioną. To błyski czy nowej myśli, czy nadziei może?..

Niemniej przeto pani Róża w czasie tej całej sceny wsunęła grubą pargaminową księgę pod pachę, i cisnąc ją jak najmocniej, zdołała doskonale okryć szeroką mantylką. Kamerdyner i eskulap domowy zabrali się do młodego dziedzica i do młodej wdowy, i zdołali w końcu odciągnąć oboje od smutnego widoku. Nie obeszło się to wszakże bez jeszcze jednej, nader czulej sceny. Kazimierz rzucił się na jedną rękę stryjowską, a pani Róża na drugą, by nieboszczyka drogiego pożegnać ostatnim pocałunkiem. A gdy się oboje podnieśli, zdybali się oko w oko. Pan Kazimierz po raz pierwszy od wniścia swego spostrzegł stryjankę, i ujrzał łzy w jej oku, bo pani Róża jakoś się aż do łez przy tym ostatnim pocałunku rozczuliła. I postrzegł rozpacz na jej twarzy, rozpacz prawdziwą. Choć przez krótką chwilę, po raz pierwszy od jej zamezcia przypatrzył się jej pan Kazimierz z większą niż kiedykolwiek uwagą. I żał mu się jej zrobiło, bo naprawdę uwierzył w te tak mocne oznaki rozpaczy. I choć nigdy nie byli z sobą w bliższej jakiegokolwiek komitywie, chciał się zbliżyć do niej. I w tej chwili śnać i pani Róża tę samą myśl miała, bo nagle porwała go za rękę, i z niewymownie żałośnym a serdecznym wyrzekła wyrazem:

— My teraz oboje sieroty!..

Te słowa rozkwiliły do reszty młodego dziedzica. A wyraz jej twarzy był tak cudnie czuły, i przy tych słowach na ustach wybiegł uśmiech tak melancholijnie smutny, że po raz pierwszy przez króciutką chwilę przemknęła przez głowę Kazimierza myśl przelotna:

— Jaka ona piękna!..

Jeszcze go za rękę ścisnęła, i dodawszy głosem pełnym dźwięku:

— Przyjdź pan jutro do mnie. — Skłoniła głowę z lekka i odeszła, prowadzona przez starego lekarza. Stary kamerdyner odprowadził młodego panicza.

## XV.

Mimo szczerzego żalu, jaki przejmował w pierwszej chwili pana Kazimierza, żalu tak zresztą naturalnego, bo po podobnej tak niespodziewanej stracie, najlekkomyślniejszy go poczuje; gdy wrócił do siebie, ciągle mu na myśl przychodziły słowa pięknej i młodej stryjanki:

— Przyjdź pan jutro do mnie!..

Jużto i dźwięczny a rozczulony głos, jakim przemawiała, brzmiał mu mile w uchu. Lecz przedewszystkiem to mu do głowy wracało bez ustanku, dla czego właściwie chce się z nim widzieć. Z tego mimowolnie przychodziło mu na myśl, jakie też nowe zajdą między nim a żoną zmarłego stryja stosunki, tak różne od dawniejszych. A więc mimowolnie jął się zastanawiać, jakie to dawniej były te ich stosunki.



Po prawdzie powiedziawszy, sam sobie odpowiedzieć nie umiał, czy były właściwie złe czy dobre, bo jakoś nigdy mu nie przyszło dłużej myśleć o tem. W pierwszych chwilach, gdy pani Róża, która jak wiemy na wszystkich dzieciach w gniazdeczku rodzinnem nie najlepsze zrobiła wrażenie, zanadto był młodym, by się zastanawiać nad skutkami możliwemi tego zamełcia. Nie koniecznie lubił stryjankę, ale też jej nie nienawidził. Instynktowo tylko przychodziło mu nie raz na myśl, jako zapewne lepiejby było, gdyby się stryj nie był żenił. Pani Róża przez długi czas była dla niego bardzo grzeczną, a nawet czasem nader uprzejmą, aby tem łatwiej zbadać jego usposobienie i postępować wedle niego. Od razu poznała całą słabość jego charakteru. Miała zatem dwie drogi. Albo mieć go domowym sprzymierzeńcem naprzeciw stryja, albo raz na zawsze wyrugować go z łaski, czyli jaśniej powiedziawszy, z testamentu stryja. Sposób pierwszy był niby sumienniejszy i łatwy, ale w takim razie trzeba się było z nim dzielić.

— Nie bądź głupią! — powtarzała jej ciotunia.

Mimo słów ciotuni, byłaby może tego pierwszego sposobu użyła pani Róża, gdyby nie dwa względy. Pierwszym względem była wielka i nierozdzielna przyjaźń kochającej się trójki. W danym razie, może jeszcze trzeba by było dzielić z wszystkimi, a co naigorszej uleź nieraz wpływowi, jaki mieli na młodym Kazimierz Gustaw i Anusia, w których odgadła wnet więcej odznaczoną ku sobie nieprzychylność. Drugim był wzgląd zupełnie kobiecy. Choć Kazimierz był pół dzieckiem jeszcze, przez właściwą sobie kokieteryję, do grzeczności poważniejszej stryjanki, dodawała pani Róża szczyptę zalotności kobiecej, która była nadaremna, bo Kazio patrzył na nią tak obojętnie, jakby na sprzęt, z którym żyć trzeba koniecznie, a jeżeli się w nim budziło jakie uczucie, to ku pięknej towarzysze lat najmłodszych. Tego żadna nie przebaczy kobieta. A więc pani Róża wybrała walkę z Kazimierzem na śmierć lub zwycięstwo, i wzięła po temu jak wiemy świeżo poznanego Ferdynanda.

Chwilowe stosunki uprzejmej grzeczności ustały zupełnie, a Kazimierz roztrzępując się coraz więcej i psując moralnie przez zgubne wpływy pana Ferdynanda, zapomniałby może zupełnie, że w domu jest żona stryjowska, mająca najobszerniejszą władzę, która zresztą nic mu nie zawadzała, bo właśnie dla łatwiejszej jego zguby, pani Róża starała się, by miał zawsze dosyć pieniędzy do tracenia, gdyby nie uwagi jej nieprzyjaźne, Gucia mianowicie, który z razu odgadł jej charakter z jednej strony; a z drugiej strony ta okoliczność, która jego samego nieraz uderzała, że stryjanećka buty mu nieraz szyje u stryja, oskarżając go o niektóre mniejsze lub większe wybryki. Przy życiu wszakże roztrzępanem jakie pędził, to wszystko razem nie robiło tak silnego na nim wrażenia, by stałe sobie wyrobił wyobrażenie o żonie stryja. Jak daliśmy to wyżej do zrozumienia, była mu ona po większej części obojętna, i ledwie czasem z pewnym niesmakiem pomyślał, że niepotrzebnie krzyżuje się z nią na drodze żywota, który w swoim egoistycznym usposobieniu chciałby, by przechodził bez wszelkiej przykrości i zawady. Dodajmy, że część z tego niesmaku spływała także na stryja, który Bóg wie dla czego ożenił się na sta-

rość. Z tego widzimy, że stosunki synowca do stryjanki były tego rodzaju, że teraz dopiero jaśniej się mogły odznaczyć, na dobre czy na złe.

Owoż nad tem to zapewne, podczas gdy pan Kazimierz w swoim pokoju pobieżnie się tylko zastanawiał, pani Róża długo i szeroko myślała, wróciwszy do siebie. I nic dziwnego!... Jej cała przyszłość zależy teraz od sposobu w jaki się wyrobią i określą te nowe stosunki. Ją to gniewa, niecierpliwi, ale niema rady naprzeciw fatalnej konieczności. Już to wróciwszy do siebie przedewszystkiem pargaminową księgę zamknęła w najfatalniejszej kryjówce, jaką tylko miała, zajmawszy jednak wprzód pomiędzy kartki, których przejrzenie w mniejszej daleko połowie tak niefortunnie jak widzieliśmy przerwaniem zostało. Kwerenda ta wywołała weselszy na twarz uśmiech. Snać znalazła czego sobie życzyła i czego się spodziewała. Była to choć szczypta pociechy dla biednej, tak srodze w pole wywiedzionej wdowy. Potem wyprawiła co prędzej służącego za drogą ciotunią, by się z nią poradzić mogła. A tymczasem pani Róża dobyte z za sukienki kawałki podartego testamentu, który jak widzieliśmy schowała przy sobie jakimś pomyslnym instynktowym ruchem. I zaczęła składać te kawałki, a oczy w nie wciskała z takim natężeniem, jakby myślała, że lada chwila pod magnetycznym wpływem jej silnej woli zbiegną się te kawałki i zlepią w całość!... Daremna myśl!... daremne złudzenie. Papier podarty wyszczerza się do niej podartemi nadziejami na zawsze.

— Gdyby jeden dzień później!... a możeby nie był umarł bez tego wzruszenia!... niedołączny starzec!... taką mi uczynił krzywdę! — Takie myśli biegały tłumnie po rozpalonej i zimnej zarazem głowie młodej wdowy. I w tej chwili była wstanie przekląć zmarłego, do którego śmierci że się najwięcej przyłożyła, nie miała ani na myśli ani na sumieniu. I chciała już porwać za te szmaty podarte, już teraz niepotrzebne, które przecie przyniosły milion najmniej straty, by je do gorejącej przyłożyć lampy i spalić. Lecz nagle zatrzymała się. Przez twarz mignęła łyskawica myśli jakiejś. Dziwna to musi być myśl, bo brwi i czoło zmarszczyła najwyższem natężeniem, usta ścisnęła, jakby się bała, by się myśl wewnętrzna głośnem nie dobyte słowem, a oczy roziskrzyły się jakimś złowrogo wesołem światłem. I po chwili natężenie twarzy ustało; tylko do ust przybiegł uśmiech, ale jaki?.. Dziwny to jednakże i tajemniczy układ wewnętrzny człowieka!.. Ten uśmiech był w chwili takiej, tak sobie swobodny, wesoły prawie, a nawet pół zalotny, jakby nim młoda kobieta chciała kogo oczarować. Może pomyślała o Ferdynandzie?... zobaczymy później. Pani Róża zebrała jak najstaranniej podarte kawałki, i niemniej starannie schowała. W tej chwili słychać było ciągły ruch w pokoju zmarłego. To służba zajęta w koło trupa. Na jej twarzy pozostał uśmiech swobodny i zalotny.

Weszła ciotunia... Rzuciła się na łono ukochanej siostrzenicy, i zabierała się już do płaczu. Ale pani Róża przerwała jej tragiczny zapal.

— Niema czasu na komedje! — przemówiła krótko.



— Ależ to tak okropnie!... jak się to stało?... ja go muszę odwiedzić!.. biedna ty! — pletła ciotunia, raz po raz różnych używając tonów, bo nie nie mogła zrozumieć z twarzy pani Róży.

— Obejdzie się bez tych odwiedzin!... obejdzie się bez tej czułości. Testament podarł!..

— Podarł!... on! — krzyknęła ciotunia, i tak skoczyła ku drzwiom, jakby teraz właśnie chciała się rozmówić i to w czyny nader sposób z nieboszczykiem. Ale ją pani Róża wstrzymała, usadowiła koło siebie, i do spokojnego nakłoniła słuchania. Przyłożyło się to do tego najwięcej, że żałowała garderobianę, która także to oczy nacierała, to ustami sznurowała, bo sama nie wiedziała czy płakać, czy śmiać się, to kazała jej dla drogiej ciotuni przyrządzić herbatkę z wonnym jamajskim truneczkiem.

— I cóż będziesz robić teraz? — zapytała wzdychając głośno droga ciotunia, która tym razem wpadła już w zupełną tragiczność.

— Trzeba się ratować!..

I zaczęła się cicha, poufna, tajemna rozmowa, której zdradzać nie chcemy, choćby to łatwo nam przyszło przez siłę wszechwiedomości powieściarskiej, tem więcej, że zapewne dowiemy się później z rezultatów, jaką była ta rozmowa. Ciotunia to słuchała, to popijała herbatkę, dolewając dla zapachu coraz więcej wonnego truneczku, i tylko czasem dała znak mimowolnego zadziwienia i zadowolenia. To znów z patetycznym wyrazem w pół ją porwała, i omal co nie wykrzyknęła do niej słowami, jakimi tak doskonale oddał swoje uczucia ów generał francuzki, podziwiający Napoleona:

— Ty jesteś wielka, jak świat!..

Snać pani Róża odsłania jej ogromne plany, któremi myśli się kierować na przyszłość, by się wydostać na pełne morze z pomiędzy tych skał i mielizn, między które zapędził ją wiatr przeciwny.

— Co to za myśl!.. co to za myśl! — powtarzała ciotunia porywając się za głowę, a raczej za czepek, który się pod wpływem tych wszystkich wstrząśnień jakoś ciągle bakierował. — To coś złe, żeś nie mogła zarwać jakiejś gotówki, którą stary mieć musiał przecie.

— W takiej chwili!.. i nie było czasu!..

Obie panie popatrzyły sobie oko w oko z niezupełnym dowierzaniem. Pokazuje się tedy, że pani Róża nie uznawała rzeczą potrzebną, spowiadać się przed ciotunią na punkcie owej księgi pergaminowej z jej ciekawą a zajmującą treścią.

— Więc z Ferdynandem? — zapytała wreszcie ciotunia próbując dowcipnego uśmiechu.

— A cóż z Ferdynandem! — odpowiedziała młoda wdowa.

I gdy spojrzały na siebie, parsknęły obie szczerym śmiechem.

— Niech sobie nieboraczek idzie do pani Konstancji! — mówiła ciotunia nie bez złośliwego przycisku.

— Niech robi co chce!.. ja teraz nie mam czasu do sentymentów. A potem — dodała pogardliwie:

— To należy do historii starożytnej! — zaśmiała się ciotunia, która wpadała w coraz weselszy humor.

Późno już było bardzo, gdy się panie rozeszły. Ciotunia odjechała do swego pomieszkania, a pani Róża, mimo że się tak późno kładła, kazała pannie garderobianej obudzić się o godzinie dosyć ранnej. Wielcy generałowie nie długo śpiją przed dniem walnej bitwy.

## XVI.

Już siedziała pani Róża w swoim pokoju, gdy wszedł do niej młody Kazimierz. Korciło ją przed chwilą postać po niego, by mu przypomnieć umówione zejście się; tem więc przyjemniejszą była niespodzianka, gdy ujrzała go wchodzącego.

Pani Róża ubrana była w najczarniejsze obszyny, na jakie się w pierwszym razie zdobyć mogła jej garderoba; i ślicznie wyglądała w tej czarnej barwie, która tak jest do twarzy każdej młodej kobiecie. Błądą była, co jeszcze podnosiło białosć jej lic marmurową prawie; oczy miała przyémione, a nad usteczkami małemi unosił się lekki dołek, jakby obłoczek melancholijnego uczucia. Kazimierz spojrział na nią, i w oczach zakręciły mu się łzy, bo żal prawdziwy jest przecie jak wiemy zaraźliwy. Złożył na jej rękę pocałowanie pełne uszanowania. Ona mu się w tej chwili wydała nie tylko piękną, ale godną poszanowania. Pani Róża odpowiedziała lekkim uściskiem ręki, i chcącego usiąść opodal, przysunęła bliżej do siebie.

— Siadaj pan!... nieszczęście nas połączyło!... powtarzam ci panie Kazimierzu, myśmy oboje sieroty.

I znowu się nie obeszło bez łez z obu stron; pan Kazimierz usiadł przy pięknej stryjance z taką nieśmiałością, jak mu się to dawno nie zdarzyło.

— Prosiłam cię panie Kazimierzu, abys przyszedł do mnie — mówiła pani Róża dalej, ale tak poważnie, tak skromnie, a czule zarazem, że na roztrzepanym Kazimierzu ta cała uroczystość tej chwili zrobiła wrażenie, jakiego nie pamięta, by doznał kiedy. — Bo chciałam pomówić tak od serca, przeprosić za nie jedno i pożegnać!...

— Mów pani!... — odpowiedział Kazimierz z przyciskiem prawdziwego uczucia prawie. — Ale za cóż przepraszać?... dla czego pożegnać?...

— Zaczynam od ostatniego panie Kazimierzu!... Pożegnać się musimy!... to przecie pojmujesz! — I to rzekłszy, spojrziała na niego przelotnym wzrokiem, i błądą jej twarz lekki a cudownie piękny poróżnował rumieniec.

Kazimierz po prawdzie powiedziawszy, nie pojął potrzeby pożegnania, ale pojął to tylko, że stryjaneeczka jest śliczną kobietą.

— Pani daruje!... ale ja nie pojmuję..

— Dla tego — mówiła dalej, nie zważając niby na słowa Kazimierza, zawierające pytanie niejako — chciałam cię panie Kazi-



mierz prosić o pozwolenie, pojechania na czas jakiś do Kaliniee. Pogrzebie wyjadę, i czas jakiś!...

— Mnie, o pozwolenie? — zawołał Kazimierz i tym razem szczerem oblał się rumieńcem. — Wszak pani jesteś tu panią, i ja pierwszy gotów spełnić każdy twój rozkaz. — Słowa te wymówił z takim zapalem, że pani Róża widziała się spowodowaną odwziedzić go bardzo przyjaznym acz przelotnym uśmiechem.

— Nie jestem tu panią! — odpowiedziała po chwili z determinacją. — Ja nie mam najmniejszego prawa zostać tu.

— Pani! nie rozumiem! — odpowiedział Kazimierz tym razem na prawdę zdziwiony. — Wszakże... zaczął i urwał, bo nie śmiał mówić dalej w przedmiocie tak drażliwym. Miał zaś na prawdę to przekonanie, do czego się przykładały rozmowy z Ferdynandem i Guciem, którzy oba, choć z zupełnie różnych powodów, to samo mu prawie powtarzali, że stryj testamentem zapisze żonie młodej, jeżeli nie cały, to przynajmniej wielką część majątku.

— Panie Kazimierzu! ja czuję potrzebę pomówić szczerze w tej chwili. Wracam do drugiego, do proźby o przebaczenie, która cię tak zdziwiła. Może by lepiej było przemilczeć, bo cóż cię panie Kazimierzu mogą obchodzić moje wyznania... ale ja chcę... ja muszę!... choćby to mnie kosztowało... przed tobą właśnie...

Te ostatnie słowa wymawiała przerywanie z nadzwyczajnem nateżeniem, i jakby dalej wytrzymać nie mogła, zalkała głośno, a łzy całym strumieniem puściły się z oczu. I w tej chwili z zapomnienia porwała Kazimierza za obie ręce i przycisnęła je do gorącego tak żywo bijącego łona. Kazimierz tak był rozczulony, że omal głośno nie beknął, i coś mu się przy tem tak dziwnego działo, że po prostu języka w gębie zapomniał. Pani Róża opamiętała się pierwsza, ruchem lekkim odsunęła ręce młodzieńca zgłupiałego i co prędzej otarła łzy, które jeszcze na długich rzęsach wisiały jak brylanty.

— Słuchaj mnie panie Kazimierzu!... słuchaj cierpliwie... i nie przerywaj.

Pan Kazimierz milczał i słuchał, jakby był w kościele, czasem tylko spojrzął na mówiącej twarz wymowną, piękne usta i promienne spojrzenie. I zaczęła mu opowiadać z naiwną szczerością, jak ona całe życie nie doznała szczęścia, będąc celem zimnych ojcowskich rachunków. Kazimierz słuchał, a wierzył, a serdecznie się litował.

— Szanowałam twego stryja, bo to był wzór prawości obywatelskiej. ale go kochać nie mogłam. Lecz dogodziłam woli ojca, i potem... myślałam, że znajdę pociechę w przywiązaniu tych trojga lubych dzieci, które ja sama dziecko jeszcze zdybałam po raz pierwszy w ogrodzie Kalinieckim.

Pan Kazimierz mazgał się coraz więcej. Ale jakże się tu nie było rozczułać, kiedy ona tak serdecznie mówi.

— Omyliła mnie nadzieja!... jedna głównie! — Tu pani Róża spuściła oczy, i zdawała się zawahać. — Ty panie Kazimierzu przyj-

— mowałeś zimno moją serdeczną przyjaźń i usunąłeś się odemnie... Znienawidziłeś mnie.

— Ja ciebie? pani!...

— Choć Bóg widzi, że najniewinniej... bo ja właśnie z twojej strony panie Kazimierzu, nie zasłużyłam na to.

— Ależ...

— Dajmy temu pokój!... słuchaj mnie dalej panie Kazimierzu. Nic dziwnego, że i w mojem sercu, właśnie dla tego może, wyrobił się chaos. i namawiana przez ludzi złej wiary, nieraz się niepotrzebnie może poskarzyłam przed twoim stryjem, co mogło serce jego odwrócić od ciebie... To sobie wyrzucam, za to cię przepraszam.

— Pani! czy to warto? — przerwał z takim zapamię, że porwał nawet mówiącą za rękę.

— Muszę skończyć!... spowiedź moja musi być zupełną. Tu mi opowiedziała, że rozgniewana pozawczorajszem strzelaniem do celu, które uważała za chęć umyślną zrobienia jej niezasłużonej przykrości, poszła do męża, i dosyć się żywo przed nim skarżyła. Naturalnie o bajce powiedzianej przed starym mężem, nie powiedziała ani słowa. — Jakież było moje zadziwienie, ciągnęła dalej, a zarazem przerażenie, gdy mi mąż pokazał testament już gotowy, w którym, omijając ciebie panie Kazimierzu, mnie zapisał cały swój majątek.

Mimo całego rozrzewnienia i nastrojenia czulego, nie mógł Kazimierz na te słowa powstrzymać się, by się choć z lekka nie skrzywić. Dostrzegła to pani Róża, i z swej strony omal się powstrzymała od wyraźnego uśmiechu.

— Wówczas dopiero — ciągnęła dalej — otworzyły mi się oczy, i wówczas przyszło mi na myśl, że moje to dziecinne skargi, mogły stać się powodem twojego wydziedziczenia. Zadrżałam, i sama nie wiem prawdziwie jak zaszłam do swego pokoju. Sumienie mówiło głośno do mnie, i wieczorem poszłam do męża Bóg widzi z najszczerszą chęcią prześlągnięcia go... Wierzaj mi panie Kazimierzu, że chęci moje były najczystsze.

— Wierzę... i — przemówił pan Kazimierz nie bez pryncisku niecierpliwości.

— Okropny czekał mnie widok!... Twój stryj walczył ze śmiercią... czy już nie żył... Ja sama nie wiem... cóż mogłam uczynić słaba i przestraszona kobieta... A tuż koło niego na tem samem miejscu, co z rana gdy mi go pokazywał, leżał testament... Krzyknęłam... zemdlałam... wpadł ratunek!... resztę mniej więcej wiesz sam panie Kazimierz!...

— A testament? — nie mógł się powstrzymać Kazimierz, by nie wykrzyknąć głośno.

— Tu jest testament!... przemówiła pani Róża, z pewną patetycznością, i w tej chwili odsoniła chusteczkę. Pod nią leżał testament podarty, ale tak doskonale złożony, że krótką treść jego Kazimierz przeczytał od razu.

— Podarty? — zapytał więcej zdziwiony niż ucieszony.



— Widząc — mówiła dalej młoda wdowa — męża mego nieżywego, przekonana, że żal mój i skrucha już są nadaremne, bo nie już... nie zmienić nie potrafię... Bóg mnie z swej łaski oświecił, i w chwili, gdy wszyscy byli zajęci... porwałam testament...

— Porwałaś pani?

— I zdarłam!...

— Zdarłaś?...

— Ty panie Kazimierzu, jesteś po słuszności dziedzicem całego majątku.

Zerwał się Kazimierz na te słowa, i w chwili zapału zagrały w nim wszystkie uczucia szlachetne, których się nawet człowiek zepsuty całkiem pozbyć nie może.

— To być nie może!... ja tego nie przyjmę!... — Ależ ja sam uznaję...

— To ja odpowiem, że to twój stryj podarł jeszcze.

— Przecież pani nie zechcesz, żebym ja przyjmował.

Pani Róża powstała także, i zbliżając się do niego, z pewną naiwną poufałością złożyła obie ręce na jego ramionach. Łzy rozczulenia miała w oczach, a głos jej był drżący. Pani Róża była prawdziwą artystką.

— Słuchaj panie Kazimierzu! — rzekła do niego — myśmy oboje młodzi, w tym wieku, w którym na drodze myśli i uczuć szlachetnych jedno drugiemu nie ustąpi. Ty przyjmiesz, bom ja to tylko uczyniła co nakazywała słuszność; przyjmiesz, bo ja cię o to proszę!

Kazimierz był rozkwilony, oszołomiony; sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Czuł to tylko, że się jeszcze w życiu nie zdybał z nic szlachetniejszym, a i piękniejszym zarazem, jak ta czarodziejka prawdziwa. Andzia jest śliczna, ale gdzież ta szlachtność?... Ona kocha niby, ale dla tego, by zostać jego żoną. A ta? nie kochała nigdy, przeciwnie miała powody gniewu na niego, a poświęca ogromny majątek przez samą szlachetność.

— Pani jesteś szlachetna, wielką... przebac mi, przebac!... żem cię nieraz posądział!...

— Przebaczam, z serca przebaczam... A więc rzecz skończona. — I to mówiąc, porwała za szmaty papieru i z uśmiechem tak swobodnym, jakby przy codziennem jakimś zajęciu, darła je na coraz mniejsze kawałeczki. Kazimierz chciał ją porwać za rękę, ale ona czarownem główki poruszeniem, dała mu znak zaprzeczenia, i z przyłającym się rzekła uśmiechem:

— Co będę miała, panie Kazimierzu!... to od ciebie tylko!...

— Dobrze!... najdroższa pani!... co moje, to i twoje.

I porwali się oboje za ręce, i na znak tej szlachetnej zgody uścisnęli je serdecznym uściskiem. I niechże teraz kto powie, że się tylko na zimno oszukuje. Gdzie tam?... W tej chwili obojgu się zdało, że są szczerzy, a w rzeczy samej oboje oszukiwali: ona jego, on siebie samego, a po części i ją, bo w chwili najsilniejszego, słusznego uniesienia, przemknęła mu przez głowę wczorajsza scena wieczorna na trzeciem piętrze. To tylko dowodzi, że żadna szkoła drama-

tyczna tego nie nauczy, co szkoła świata, a osobliwie tego świata, co to go wyższym nazywają, dla tego zapewne, że szumowiny są także na wierzchu.

— Przyjmuję!... i wierzę ci zupełnie, panie Kazimierzu! — wyrzekła jeszcze pani Róża, i po krótkiej chwili dodała, ale cichszym nieco głosem. — Szczęśliwam, że los mój od ciebie zależeć będzie.

Oszołomionemu Kazimierzowi zdało się, że prosto do siódmego już zajechał nieba, i chciał jeszcze mówić dalej w tym przedmiocie, lecz pani stryjanka przerwała mu, mówiąc tonem poważnym:

— Nie dziś nam mówić o rzeczach majątkowych. Inne mamy obowiązki! — i wskazała potem ku pokojom, gdzie w pełnej już paradzie leżał pan Zygmunt Kaliniecki, szczęśliwy stokroć, że nic nie widzi i nie słyszy. — Po pogrzebie zobaczymy się!.. A tymczasem módlmy się za duszę naszego nieodżałowanego. Proszę cię o to panie Kazimierzu!... przez te dni zostań sam!... sam panie Kazimierzu — dodała z przyciskiem, a naturalnie pomyślała o trzecim piętrze — sam z serdeczną pamięcią stryja i szczerą za niego modlitwą.

A gdy już odszedł, pani Róża, nauczona tak niedawnem a smutnem doświadczeniem, czeka aż jego kroki przebrzmieją, aż się ostatnie drzwi za nim zamkną. A potem nie mogła wytrzymać, by nie zrobić ruchu, jakby podskoczyć chciała; ruchu na pół radośnego, na pół szyderczego, który choć był niemy, a przecież tak wyraźnie mówił: — A jakżeś ty głupi... mam cię... mam!...

A potem zaraz zamknąwszy drzwi wszystkie, wzięła się do miłego rozrachowania przywłaszczonej sobie spuścizny. Przy końcu porachunku tak była zadowolona, że mimowolnie ucałowała pergaminową książkę i postanowiła zachować ją na pamiątkę, a może przez zwykły wszystkim, a mianowicie poci słabej właściwy przesąd, jako zadatek szczęścia. Niech sobie każdy dobrze tylko przypomni, a pewnie przyjdzie mu na pamięć taki jakiś przedmiocik dobrej wróżby, nazywany po prostu inkluzem.

Kazimierz był w stanie zupełnego oczarowania. Wszystkie zda się pulsa powtarzały mu:

— A ja ją tak znieważałem!... a to kobieta tak szlachetna; anioł prawdziwy!... i... piękna, ale jak piękna!

Wierny przyrzeczeniu, nie wyszedł z domu, mimo że się przedarł do niego bilecik z trzeciego pięttra, wzywający choćby na jedną chwilkę. Po pogrzebie pierwszego i drugiego dnia był w dzień u stryjanezki, a wieczorem u pięknej Andzi. Porucznikowa z całą swą familją nadęli się dumą a nadzieją, że ledwie nie pękli. Był jeszcze Kazimierz trzeciego dnia na trzecim piętrze, ale znacznie krócej, bo chciał jeszcze stryjance coś ważnego powiedzieć. I tak pomału, coraz rzadziej bywał na trzecim piętrze, ale za to coraz częściej odwiedzał szlachetną stryjankę. Biedna Andzia zalewała się łzami, chudła i mizerniała, a porucznikowa najrzęstsze dobywała przekleństwa.

O naszym Guciu pocziwym ani słyhać!... jakby kamień w wodę



wpadł. To pewna, że musiał się z miasta oddalić, boby był przecie dawnego towarzysza odwiedził po tak ciężkiej stracie, a przynajmniej starego opiekuna odprowadził do ostatniego pomieszkania. Jakoż po kilku dniach pomiędzy kolegami Gucia głucha się rozeszła wieść, że tego samego dnia jeszcze, kiedy porzucił dom pana Zygmunta, zdybał się z jakimś cudzoziemcem chorym, jadącym za granicę i wyjechał z nim jako lekarz przyboczny.

## CZEŚĆ TRZECIA.

### P o l a t a c h.

#### XVII.

Minęło lat pięć. Łatwo wymówić!... ale ileż to zmian tak prywatnych jak publicznych jedna godzina, jedna chwila przynieść może. I jakkolwiek nieraz pozornie nie zajdzie żadna widoczna przemiana, większymi zdarzeniami odznaczona, w położeniu i w usposobieniu jednego i tego samego człowieka, uważniejsze zastanowienie przekona nas niezawodnie, że — nie mówiąc już o postarzałej powierzchowności, wiele bardzo zmieniło się w jego całym wewnętrznym tak moralnym jak i umysłowym układzie. U ludzi, jak i u rzeczy każda chwila ubiegła nieznacznie, powoli, konieczne czasu przynosi zmiany. Nasz sielankarz, poczciwy Karpiński, doskonale odmalował tę konieczność natury ludzkiej mówiąc :

. . . . . Nic się nie zmieniło,  
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

To doświadczenie robimy i my, bo konieczność bieżącego już do końca opowiadania naszego, prowadzi nas do Kaliniec, któreśmy porzucili w wiosnie roku i w wiosnie też życia naszych młodzieńczych przyjaciół, którzy ze swego gniazdeczka rodzinnego w świat wychodzili. Teraz jesteśmy wczesnej jesieni, ale już nacięniowanej barwami ku zimie posuwającej się przyrody. I jeżeli się zdybiemy z niemi, ujrzymy zapewne w wczesnej, ale dobrze odznaczonej, bo burzami życia przyspieszonej jesieni.

Na pierwsze spojrzenie od wjazdu nic się w Kalińcach nie zmieniło. Ta sama co dawniej silna bujna wegetacja, tylko nieco zdziczała, zarosła niepotrzebnemi chwastami. Widać zaniedbanie, widać brak ludzkiej ręki. Smutniejszy widok przedstawia sam pałac, po którego powierzchowności poznać, że dawno nie był zamieszkałym, i że brakowało mu bardzo troskliwej właściciela ręki. Cały gmach tu i owdzie z tynku odarty, z opadłemi w wielu miejscach gzymsami, z oknami powybijanemi, najsmutniej pozalepianemi to papierem bibulastym, to brudną szmatą, z dachem podziurawionym w wielu

miejscach aż do przezroczystości, najwymowniej opowiadał dzieje smutnego sieroctwa i zimnej a nieprzyjaznej nawet opieki obcej.

W chwili gdy się do pałacu zbliżamy, znać wszakże w nim jakiś ruch żywszy, widoczny otwieraniem drzwi i okien, to wysunięciem się przez nie jakiejś postaci, to nareszcie dymem, co się dobywa z niektórych kominów, i pokręciwszy się po nad dachami, pomiędzy wysokie drzewa, niknął wreszcie w szarawem tle dnia mglistego. Był to dzień prawdziwie jesienny, niepewny i smutny, które nieraz wcześniej przychodzą, i stanowią konwulsyjne niejako walki silnej jeszcze i jędrnej przyrody, naprzeciw zbliżającej się starości. I pełna życia jeszcze zwycięży nieraz, mgła upadnie rosa, lub się gdzieś na cztery wiatry rozbiegnie, i przyroda zajaśnieje żywymi promieniami słońca, jak za lat swych najmłodszych i najkrzepiejszych. I zwycięży raz drugi i dziesiąty, ale nieubłagane mgły jesiennie póty się coraz gęściej zsuwać będą, aż rozciągną między ziemią a słońcem całun nieprzebyty, który franką dżdżystą naprzód zawisnie, aż wreszcie zwalczoną przyrodę młodą w lodowe zakuje łańcuchy. Smutny był krajobraz, a jeszcze smutniej się wydać musiał temu, który go znał w jego chwilach młodych i szukał tych lubych postaci co go ożywiały.

Lecz wnijdźmy do pałacu. I w środku znać w niejednym kącie zaniedbanie, wyszczerzające się to pajęczyną, to tym powiewem wilgotnym gmachów długo zamkniętych, który przypomina wyziewy grobowych sklepień podziemnych. Znać wszakże świeże usiłowania jakiegoś pospiesznego porządku. Wszakże przed kilką dniami dopiero zjechał po długoletniej niebytności właściciel Kaliniec z niebardzo licznem sług gronem, i w otoczeniu dwóch tylko osób, należących bądź do rodziny, bądź do ściślejszego towarzystwa. Wszakże zaraz je poznamy, bo siedzą właśnie wszystko troje przy pierwszym rannem śniadaniu, w znanej nam bibliotece. Wszystko w niej na swoim miejscu, lecz brakuje pocziwej, szerokiej smutnej nieco twarzy pana Zygmunta, która wraz z całą postacią, szlachetnymi rysami swemi, tak doskonale odpowiadała całej powierzchowności tego pokoju, uczucie powagi wzbudzającego. Księgi stoją jak dawniej w szafach swoich, i mężów zasłużonych twarze jak dawniej patrzą z szaf i podstaw swoich marmurowemi oczyma; środkowy tylko stół uprzątniony zupełnie, widać tylko w kątach porozrzucane niedbale księgi i powiązane papierów zwitki. Stał natomiast stół nakryty do śniadania, cały zastawiony mnogimi do tego przyborami. Na środku kipi potężny samowar, uwieńczony ogromnym srebrnym czajnikiem, który się rozgrzewa buchającą parą.

Przy tym stoliku widzimy trzy osoby siedzące. Na pierwsze wejście możeby się nam cudzemi wydały, lecz wpatrzywszy się bliżej, poznamy je. Jesteśmy między dobrze znajomymi. W samej głębi, w zupełnie odosobnionem krześle poręczowem, niknie utopiony mężczyzna, noszący na sobie ślady przedwczesnej starości, sprowadzonej czy mnogiem nadużyciem zdrowia, czy walką silnych namiętności, czy w skutek długich i zawikłanych słabości. Wysoki wzrostem, wychodzony okropnie, bo wszędzie sterczą kości, nawet na



pożółklej jak pargamin twarzy, ostremi, spieczastemi wąsami odznaczonych, ma coś w sobie angielskiego. Do nadania mu tej powierzchowności przykłada się długi, fałdzisty, szlafrokowy surdut ciemny, i ogromna, po uszy prawie otulająca szyję chustka biała z porządkiem ku oczom wybiegającą, jak stał krochmalnemi kołnierzykami, i całą sztywną i nieruchomą postawą, i ten zgrabnie ściągnięty na głowie tapecik, starannie zebrany z kilkunastu ostatnich włosów, niegdyś jasnych, dziś za pomocą kosmetyku w rudawą barwę wpadających, i nareszcie ten rodzaj czerwonego nakropienia na żółtej twarzy, zwyczajnego skutku ciągłego rozpalenia krwi mocnemi trunkami. I to ostatnie zdanie nasze tem jest podobniejsze, że obok filiżanek, szklanek i talerzyków z zimnemi przysmaczkami, stoi kilka poważnych butelek z wielce szanownemi etykietami, także angielsko-indyjskie pochodzenie zdradzającą. Owoż wpatrzmy się bliżej, a w tym podstarzałym angliku poznamy z niemałym zadziwieniem pana Kazimierza Kalinieckiego, dzisiejszego właściciela Kaliniec z przyległościami. Rzecz ledwie do prawdy podobna, a tymczasem prawdziwa, by się tak bardzo zmienić można w przeciągu lat pięciu. Ale tak było w rzeczy samej. By uwierzyć, trzeba było jeździć za panem Kazimierzem przez lat cztery, które przepędził za granicą, oddany wszelkiej rozpuście, mającej czasem w sobie cechę jakiegoś czy szaleństwa, czy rozpaczy. A tymczasem to nie było nic innego, tylko brak wszelkiej wewnętrznej równowagi, wszelkiej wyższej zasady, a zbytek przedwczesnego znużenia i zupełnego przesylenia. Aby mózg jeszcze używać, potęgował wszystkie swe siły słusznymi sposobami. To też miesiące były u pana Kazimierza latami, a lata całemi lat dziesiątkami.

Naprzeciw niego siedziała kobieta. Tę łatwiej poznajemy, jest to pani Róża, u której lata także przyspieszonym jak się zdaje szły krokiem. Ale przy staranności kobiecej, przy zgrabnie stosowanej sztuce, nie tak znaczne były szczyby, jakie poczynił czas niegrzeszny. Dwie tylko okoliczności zdradzały większą, niżby się rada do niej przyznać zmianę. Pierwszą był rumieniec, może za nadto odznaczony, a który stawał się koniecznym, by swą barwę ciemniejszą osłonić niektóre niegrzeszne po licach smugi, skutki przebiegających tamtędy onych wezbrań namiętnych, które jak rzeki wezbrane wyślabia swe ślady. Drugą okolicznością był wyraz twarzy, który mimo wykrzywień najsztuczniejszych, mimo uśmiechów najzgrabniejszych stracił swą przymilającą się słodycz i tę swobodę aż w naiwność wpadającą, którą celowała pani Róża. Natomiast mimo różu, blanszu i nateżeń najsztuczniejszych, zdawało się, że z po za skóry drga inne życie ruchliwe, niespokojne i namiętne, które przez nieustanną grę swoją wyrobiło wyraz ciągle gniewny, złośliwy nawet, strzelający mianowicie ze spojrzeń, które czasem nabierały zjadliwości, przerażającej prawdziwie. Gdyby zjadliwą trucizną przepelnione grzyby patrzeć mogły, toby niezawodnie takim patrzyły wzrokiem. Wyraz ten oczów najmocniej uwydatniał się, gdy wzrokiem swym obdarzała męża. Bo już ciż każdy się przecie domyślił, że po onej scenie po śmierci pana Zygmunta i po kilku tygodniach dobrze odegranej ko-

medji, pan Zygmunt został mężem kochanej stryjanezki, do czego nie trudno było o kościelne zezwolenie.

Trzecią postacią przy herbacianym stole, był pan Ferdynand, przyjaciel zawsze najserdeczniejszy i pana i pani. Był on w tem małżeństwie sprzętem niejako domowym, zarówno pożytecznym obojgu małżeństwu, bo przez przyzwyczajenie stał się obojgu potrzebnym, a nawet niezbędnym. Podobny stosunek zdarza się często w życiu towarzyskiem, i nie w sobie nie ma dziwnego. Zbytnią gra namiętności, ciąglem używaniem i przesycaniem nadużywana, zastosowana w pewnych towarzystwach, niemających pewnej podstawy wyższej, tworzy wreszcie, jak w onych nizinach, ciąglemi nawozami tłustymi przesyconych, rodzaj gnojnego bagniska, w których wywodzą się płazy potworne niewidzianych rodzajów i kształtów. Takie stosunki domowe, to bywają one płazy w bagniskach moralnego zepsucia. Pan Ferdynand był najmniej zmieniony. Nie wiele się postarzał, twarz była zawsze stereotypowo świeża i przystojna. Jeżeli dawniej objawiała się na niej jaka ruchliwość życia, to dziś znikła zupełnie. Twarz jego stała się istną maską, tak, że patrzący mimowolną dostawał pokusę, zajrzeć za uszy, czy tam nie ujrzy niteczek, maskę na twarzy przytrzymujących. Uśmiech zaś, który po tej twarzy się przemykał z matematyczną jednostajnością, to jakby ruch ust na masce sprężynowy. Miał pewne tępa uśmiechowe, stopniowane trzy razy według reguł gramatykalnych, od których nie odstąpił nigdy i z którymi dobrze mu było na świecie.

Lecz dosyć opisów. Popatrzmy co robia, posłuchajmy co mówią. Pan Kazimierz popija z ogromnej filiżanki herbacianej, do całej wazy podobnej. Pije herbatę, przynajmniej podstawą tego napoju jest bardzo mocno naciągnięta herbata, w niemałej połowie zmieszana z najmocniejszym arakiem na jaki się zdobyć mogła trzcina cukrowa, indyjskiem słońcem wypielegnowana. Szkoda, że kochana ciotunia przed dwoma laty zakończyła pożyteczne swe życie, przecięte niestrawnością i niewstrzeżliwością, które jej podagrę napędziło w to miejsce, w którym to zwykle spoczywa serce, czyli raczej w to miejsce, co jest pod sercem, a co prozaicznie zowie się żołądkiem. Z jakąby ona rozkoszą była spożywała ten cudowny truneczek! Pan Kazimierz pełnemi pije hautsami. A jak tylko ubędzie co w wielkiej filiżance, dolewa zaraz dwie kropel wrzącej herbaty i dwakroć tyle araku z domieszaniem mnóstwa cukru, przez co trunek staje się coraz przyjemniejszym i mocniejszym, a przez to godnym zangielszczonej natury pana Kazimierza. Jeżeliby przypadkiem zapomniał, tę samą usługę czyni mu co prędzej żona lub przyjaciel.

Oboje są na jego usługi, i jak jest od nich kochany znać po tem, że się przesadzają na pańskie dolewania silnego trunku. On ich każdym razem wynagradza pewnym twarzą grymasem, który ma znaczyć uśmiech, i który najdoskonalej karykaturuje wdzięczność. Jaka przysługa taka i wdzięczność. Pani Róża i pan Ferdynand półgębkiem tylko spożywają śniadanie. Oni zdają się siedzieć tak długo przy śniadaniu dlatego tylko, aby dogadzać najdroższemu Kazimierzowi. W chwili gdy wchodzimy, rozmowa z początku dosyć sucha,



zaczynała się ożywiać. To ożywienie znać było na twarzy drgającej pani Róży, której oczy coraz więcej muchomorowego przybierały blasku.

— Ty żartujesz, mój drogi! — mówiła do męża pani Róża. — Przecież na zimę pojedziemy do Paryża znowu.

— Nie pojedziemy!... moja najdroższa! — odpowiedział mąż z prawdziwie angielską flegmą.

— Czy słyszysz panie Ferdynandzie? — przemówiła dalej.

Pan Ferdynand próbował pierwszego tempa, i aż mruknął.

— Ależ mój drogi, musimy pojechać, bo ja tak chcę.

— Nie pojedziemy! — odpowiedział pan Kazimierz i dodał zwrócony do przyjaciela. — Czy słyszysz Ferdynandzie?... czego ona chce.

Nastąpiło ze strony przyjaciela drugie tempo i drugie mruknienie.

— Jedyny do rady! — zauważał mąż.

— To prawda! — zgodziła się żona. — Powiedz mi przyczynę? — badała pani Róża.

— Nie powiem!...

— Ja chcę koniecznie!... — odrzekła tupiąc nogą i porwaną w tej chwili przez męża butelkę z arakiem zatrzymała w pół drogi.

— Chcesz wiedzieć? — zakrzyknął rozgniewany prawie. — Boś mi już większą połowę majątku przetrwonila. Ja nie chcę być gołym, i potem siedzieć gdzieś na cudzej łasce, jak ten biedny Ferdynand, którego męczysz gniewem, a nudzisz miłością, jeżeli nie nudzisz gniewem, a miłością męczysz.

Ferdynand uśmiechnął się na trzy tempa, aż zęby wyszczerzył, i połknął ten żart jak najsmaczniej. I pani Róża próbowała się uśmiechnąć, ale że to była próba nieudana, dowiodły drgające ręce, którymi przychyliła butelkę, i drogiemu mężowi nalala araku półdwojną porcję z pewną złośliwą satysfakcją.

— Więc mi nie powiesz przyczyny?...

— Już powiedziałem!...

— Ty sam przetrwonilesz za kulisami paryskimi i w klubach pijackich.

— Com stracił to było moje.

— Co moje, to i twoje, mówilesz do mnie.

— Bom był głupi. Takie rzeczy mówią się przed ślubem. Nieprawda Ferdynandzie?

— Jesteś potworem!... nieprawda panie Ferdynandzie?...

Ferdynand kolektywnie obojgu nie odpowiedział, jeno ich obdarzył pierwszo tempowym uśmiechem.

— Twój ojciec dobrze mi nadszastał majątku na swoje głupie fabryki.

— Proszę o moim ojcu nie mówić!...

I oboje znowu w gniewie udali się do Ferdynanda, który tym razem przemówił:

— On już umarł! — rzekł głosem wyroczni.

— A jeżeli co stracił — mówiła dalej pani Róża — to jeszcze za życia twego stryja, którego ledwie trzy miesiące przeżył.

— Chwała Bogu!...

— Pan mnie dręczysz!...

— A pani mnie nudzisz!...

— Otoż pojedziemy do Paryża.

— Nie!... ja nie chcę abyś się pani w karty zgrywała, traciła na stroje i na jakieś tajemne wycieczki czy faraonowe, czy roman-sowe, ale zawsze kosztowne. Moja kieszeń nie jest dla pani!... Będziemy siedzieć na wsi. Ja będę jadł i pił, i kwita! a pani sobie romansuj z Ferdynandem.

To już było za nadto na złośliwy humor pani Róży, na jej kwaśne usposobienie. Zerwała się z miejsca, oczy się jej zaiskrzyły, a na ustach osiadło brzydkie skrzywienie szydercze. I zrobiła parę kroków do męża, i stanęła przed nim oparta na stole. Wyraz jej twarzy nie zeszpeciłby portretu Eumenidy.

— Ja moje własne przegrywałam pieniądze!...

— Żadnych nie miałaś!...

— Miałam i znaczne!...

— Bajki!... byłaś goła jak święty turecki!

— A jeżeli przekonam?...

— Przekonać?... a to jak! — odpowiedział Kazimierz i jedno ucho wydobyl z chustkowego obwiniecia.

Nawet pan Ferdynand, który dotąd obdzielał oboje małżonków na równe części swojemi uśmiechami, podniósł się nieco, i na znak wielkiej uwagi podniósł się do trzecio tępowego uśmiechu.

— Nic nie dowiedziesz!... ot zwyczajnie gadasz najdroższa, ze złości!...

— Przekonam!... mój drogi!... i powiem ci przy tej okazji historyjkę, zupełnie ci nieznaną.

Obaj mężczyźni popatrzyli uważniej na mówiącą z niezwykłym zapałem.

— O testamencie ci już raz mówiłam prawdę, przy podobnej sposobności, gdyśmy sobie szczerze wynurzali nasze uczucia. Pamiętam, że naraz trzy buteki araku wywietrzały ci z głowy, gdyś się dowiedział, że to twój stryjaszek podarł testament.

— Stara historja!... i ja byłem dość głupi, że się w stryjance rozkochołem.

— Otóż ta druga historja, to ten pendant tamtej testamentowej. Jam znalazła prócz testamentu pieniądze także i schowałem je, i te pieniądze trwonila na karty, gdyś mi zbrzydł i stałeś się nieznośny.

— Ot, babskie bajeczki!

— Tych pieniędzy było bez mała sto tysięcy!... rozumiesz panie Kazimierzu!... ile byś to był miał pięknych baletniczek!...

— Sto tysięcy! — przemówili mimowolnie obydwaj mężczyźni.

— Gdzieżby być mogły? — dodał Kazimierz pół ciekawie.



— Ot tu! w tej świętej książce! — odpowiedziała jednym tchem, i poskoczyła ku jednej z pułek, i wyciągnęła pergaminową księgę, którą była tam złożyła przed odjazdem jeszcze za granicę. Kazimierz poznał tę księgę, którą dzieckiem tyle razy oglądał. I przez jedną krótką chwilę przemknęła mu przez myśl twarz stryjowska i cała przeszłość młoda. Prawie westchnienie wyrwało mu się z piersi, ale on je jak na anglika przystało, zmienił co prędzej w ziewnienie i popił sporym haustem.

— Tu było sto tysięcy! — przemówiła z roziskrzonymi oczyma i rzuciła książkę na stół. Lecz się książka wyrwała i padła z impetem tuż pod nogi pana Kazimierza. Padając mocno roztworzyła się pergaminowa kompatura, którą był wierzch obciążony, i z po za niej wysunął się jakiś papier zapisany. Pani Róża i pan Ferdynand ledwie zważali na to, ale pan Kazimierz, gdy spojrzął na papier, porwał go z szybkością, niegodną anglika, i rozwinąwszy zaczął czytać z największą uwagą, poznawszy od razu pismo zmarłego stryja. Żona i przyjaciel patrzyli nań z zadziwieniem. Nagle się zerwał, zaśmiał się śmiechem szyderczym i zawołał gwałtowniej niż zwykle:

— Gdzie klucz od prawego skrzydła? — i idąc za obojętnie wskazującą żony ręką, przyskoczył do znajomej już nam szafki w oknie, porwał za klucz, i pokrzepiwszy się pełnym haustem, wyszedł z biblioteki.

— Co to ma znaczyć? — spytała pani Róża Ferdynanda.

— Upił się! — odpowiedział Ferdynand nieporuszając maski.

— Ale ten papier?..

— Upił się! — i w dodatku kiwnął ręką pan Ferdynand.

— I kiedyż się zapije już?..

— To może potrwać.

— Pan jesteś nudny!..

— Zestarzeliśmy się droga pani wszyscy. — I dawszy tę sprytną odpowiedź, otworzył usta do pierwszego tempa. Pani Róża obdarzyła go za tę odpowiedź spojrzeniem tak zjadliwym i tak ostrem, że zapewne masce swej twarzy był winien, iż go ani spaliło ani zraniło.

Pan Kazimierz przez znane już nam pokoje poszedł do onych drzwi, przed którymi widzieliśmy przed laty pana Zygmunta drżącym i wruszonym. Otworzył i wszedł do tajemniczego skrzydła. Lecz za nadto był anglikiem i za nadto miał wiele sztucznego w sobie ognia, aby ta tajemniczość, do tego skrzydła przywiązana, co mu dzieckiem tyle bezsensnych sprawiła nocy, zrobiła dziś na nim jakiegokolwiek wrażenie. Przeszedłszy mały korytarz i jakiś pokój przechodni, znalazł się w wielkim i obszernym pokoju, który też po prawdzie nie odznaczał się niczem tajemniczem, chyba niezwykłą ciemnością. Pochodziła ona z bardzo naturalnej przyczyny. Trzy wielkie okna, na ogród wychodzące, były od dołu do pół zamurowane, światło zatem z góry spadające, nie zdołało oświecić należycie tak wielkiej przestrzeni. Był to zresztą pokój jak każdy inny, obicia na nim ciemne, kosztowne, pokryte pleśnią wilgoci. Były w nim zwyczajne wytworne sprzęty, ale w dziwnym nieładzie porozrzucane, jakby je

tylko co ostatni mieszkaniec tak pozostawił po nagłym i pospiesznym wyniesieniu się. W głębi widać było alkowę z łóżkiem, noszącym ślady takiego samego nieładu. W jednym kącie pokoju był aksamitny niegdyś, wypłowiały klęcznik z wielkim krzyżem hebanowym, w drugim kącie mały stoliczek z mnóstwem fraszek kobiecych niegdyś świecących, dziś pordzewiałych, pajęczyną omszonych. Pan Kazimierz obejrzał się obojętnie, i rzuciwszy raz jeszcze okiem na papier z książki pergaminowej, który przyniósł z sobą, jakby chciał coś jeszcze wyczytać, poszedł wprost do ściany, na której naprzeciw drzwi wchodowych wisiał wielki obraz, przedstawiający do pół postaci kobietę jakąś w naturalnej prawie wielkości odmalowaną. Była to młoda kobieta w czarnym stroju, wielkiej piękności. Malarz ją oddał znać w kwiecie wieku, w kwiecie szczęścia uśmiechniętego, które spozierało z jej ust, swawolnie do pół otwartych, ale czas i wilgoć pokryły koloryt niegdyś świeży tak dziwnie nienaturalną powłoką, że ta postać występowała z ram złoconych w przerażającej martwocie trupa, tem okropniejszej, im nienaturalniejszy był uśmiech jego. Nawet pan Kazimierz cofnął się w pierwszej chwili, ale sam z siebie zaśmiał się szyderczo, i przystąpiwszy bliżej, mruknął przez zęby:

— Czarna pani!...

Snać sobie przypomniał dziecinne, pełne strachów opowiadania. Raz jeszcze zajrzał do papieru, i przesunawszy ręką po ramach, przycisnął w jedną, z ram występującą rzeźbę, i pomału obraz się obrócił, a za nim pojawiła się mała kryjówka. Sięgnął do niej ręką, wyjął dwa zwity papierów, i gdy się usunął, portret czarnej pani zapadłszy nazad na swoje miejsce, zdawał się jeszcze przeraźliwym krzyczeć do niego uśmiechem. Jeden zwitek składał się z kilku tylko większego formatu papierów, a w drugim związane były widocznie same listy. Kazimierz spozierał jeszcze na portret, i przez jedną kłótką chwilę twarz jego obumarała, ożywiła się jakimś dawnym, słodszy, lepszym wyrazem, który się dobył z głębi jego najdawniejszych wspomnień. Wszak znał tyle dzieje rodzinne, że mógł być pewien prawie jako to jest portret jego matki, którą dzieckiem ledwie znał, a dziś zupełnie już zapomniał. Nawet szczere półwestchnienie wyrwało mu się z piersi. Lecz wnet odwrócił się zimny i sztywny jak na anglika przystało, i jał rozwijać papiery, i przeczytywać je pospiesznie i pobieżnie. Nie długo to trwało; wnet bowiem dojsł musiał do przekonania, którego aż tu szukał. Zwinął wnet papiery wszystkie, i razem wrzucił do obszernej kieszeni angielskiego surduta. Zatrząsał się jakby mu się zimno zrobiło, twarz jego pokureczyła się w zmarszczki, złośliwe szyderstwo wypisujące najwyraźniej, i zaśmiał się śmiechem tak przeraźliwym, tak przykrym i nienaturalnym, że wszystkie najdalsze echa śmiać się z nim zdawały, aż sam się przestraszył. Pobiegł ku drzwiom, zatrząsał i pędem prawie stanął nazad w bibliotece przed siedzącymi razem i razem nudzącymi się żoną i przyjacielem. Oboje przestraszyli się na widok tej twarzy bladej, okropnym wyrazem pokrzywionej. Porwał za butelkę, półszklanki ognistego trunku nalał i wypił od razu. A wypiwszy spoj-



rzał na nich wzrokiem, pełnym nienawiści, i jeszcze się zaśmiał dziko, przeraźliwie.

— Tak jest! były pieniądze w księdze! — A wiesz ty czyje to były pieniądze? — dodał po chwili do osłupiałej żony, która ledwie wymówiła :

— Czyje?...

— Ha! ha! ha! zaśmiał się znowu!... to jest śmieszne! bardzo śmieszne!

— Powiedz, żebyśmy i my się śmieli!...

— Tobie? — zaczął, nowe pół szklanki nalał, wypił, i dodał z wyrazem najwyższej pogardy! — Wiesz ty, kto ty jesteś?... Ty jesteś typem, w kobietę wcielonym, tego potworu co zowią światem, upiora co wysłał ze mnie wszystko co było we mnie lepszego! krew i szpik wszystkich mych uczuć młodych.

— Jesteś pijany komedjant! — odpowiedziała żona odpowiadając pogardą za pogardę.

Lecz on już nic nie odrzekł, porwał tylko za klamkę i wyszedł co prędzej, przebiegł przez salę i już był w ogrodzie. Czuł potrzebę przewietrzyć, oziębic głowę pałającą.

## XVIII.

Mgły się rozpięchły i słońce rozlało swe złote promienie na całą odświeżoną przyrodę. I był to dzień jesienny, pogodny i ciepły, przypominający najpiękniejsze dni wiosni. Ślicznie wyglądał ogród kaliniecki w całym przepychu barw jesiennych, falujących po rozłożystych konarach, lśniących jeszcze kroplami mgły porannej. Najpiękniej było w znany nam gaju brzozowym, który po tylu latach odwiedzić bierze nas ochota. Szkoda tylko, że przechodzić potrzeba koło tych smutnych śladów zniszczenia, jakie zostawił po sobie spekulacyjny duch ojca pani Róży. Nic nie zbudował, ale za to wszystko poniszczył. Z onych świetnych planów zostały drzewa powycinane i najsmutniejsze zwaliska kilku pozaczynanych budynków, które nigdy nie dokończone pozawalały się rozmoczone deszczami, i przedstawiały rumowisko bezkształtne, rodzaj glinianego i wapiennego bagniska, z sterczącymi tu i owdzie ulamkami murów obdartych. Lecz odwróćmy oczy od tego smutnego widoku i spieszmy do gaju, by zobaczyć to łube gniazdeczko, z którego widzieliśmy wychodzących w świat te troje pięknych i dobrych dzieci.

W brzozowym gaju nic się nie zmieniło, drzewa tylko rozrosły się i pogrubiły, zarośnięte w kolo młodem pokoleniem, co nie siane i nie pielęgnowane dziko się rozrastało. Ścieżki zarośnięte pokrywały teraz suche liście, szeleszczące za każdym wiatru powiewem. I ławeczka dzieci ulubiona jest jeszcze na swoim miejscu, omszona i osłonięta gałęzmi dzikich krzaków. Cicho i smutno w brzozowym gaju, bo samotnie w nim. Najpiękniejszy krajobraz posepnieje, gdy

niema w nim człowieka, którego bytność jest konieczną do ożywienia niemej przyrody.

Wtem zaszeleściły mocniej suche liście, to chód kroków ludzkich!... I z pomiędzy najgęstszych krzaków, od strony dworowi przeciwniej, dwie wysunęły się postacie. Szybszym krokiem wolniejszą przebiegły przestrzeń, i już są przy ławeczce, mężczyzna i kobieta!... Obejrzeni się długim, wzruszonym wzrokiem, i... silnem zapewne porwani uczuciem, niemym uściskiem dawne przypomnieli sobie pamiątki. Bo to oni, to Anna i Gustaw. Tak jest, to oni, zmienieni wiekiem, ale jak łatwo poznani od razu!... Wiek zmienił zapewne ich twarze młodziutkie i świeże, ale z przeszłości został na nich dawny wyraz, który nie z ciała ale z duszy pochodzi. Zestarzeli może latami, ale nie zestarzeli tak uczuciem, jak trzeci ich towarzyszy, któregośmy opuścili przed chwilą. Twarze obojga spowaźniały; niema na twarzy Andzi swawolnego dziecka uśmiechu, zastąpiła go powaga myśli, łagodzona promieniem uczucia. I na twarzy Gustawa ta sama prawie odmiana, zostało dawniejsze zamyślenie, ale wyraz marzący młodzieńca, zastąpiła swoboda silnego i pewnego siebie męża.

Na obu twarzach znać życia doświadczenie, które nie bez śladów przeszło przez nie, ale łagodzi je i rozświeca promień wiary i rezygnacji.

— Jesteśmy tu, zkądeśmy wyszli! — przemówiła Anna.

— W naszym lubem gniazdeczku rodzinnem.

— Pamiętasz Gustawie coś powiedział w chwili pożegnania. Może się, zjedziemy tu jeszcze, ale czy wrócimy tacy sami jak teraz!...

— Śmieszne marzenie to było młodzieńcze!... Wszystko się zmienić musi z czasem. I my wróciliśmy zmienieni, ale lepsi, bo doświadczeni, ale szczęśliwsi, bo razem już na całe życie!...

— Szczęśliwsi!... dzięki ci mój Gustawio za to pocziwe słowo... które mi dodaje wiary i odwagi.

— Moja Anno! jakeśmy szli, była smutna ciemna mgła; to nasza przeszłość! Patrz jaki dzień pogodny, to nasza przyszłość!...

— Drogi mężu!...

I w czułym uścisku splotły się ich ręce; a po chwili milczenia przemówiła Anna znowu:

— A on!... ten trzeci!... gdzie jest?...

— Nie mów mi o nim! — przerwał Gustaw z pewną gwałtownością!...

— Gustawie mój! patrzmy w dzień pogodny, nie w mgły minionie!... Tyś mnie przebaczył, a więc jemu przebaczyłeś.

— Masz słuszność! tyś kobieta! tyś lepsza!

— On jest nieszczęśliwy! bo bez ratunku; żal mi go!...

— I ja go żałuję!... jak żałuję pięknych wspomnień niepowrotnych.

— Mówiłeś mi, że wrócił do Kaliniec!...

— Jest tu, tak mi mówiono. I dla tego spieszymy się, byśmy go nie zdybali. Chcieliśmy odwiedzić to miejsce święte dla nas, to miejsce, w którym pokochałem cię, żono droga!... A teraz wracajmy



do powozu i jedźmy do naszego miasteczka, gdzie pędzić będziemy życie ciche i spokojne.

— I ja go nie radabym widzieć!... ale jedno jeszcze radabym z duszy!... abym cudem jakim do serca jego skamieniałego zapukało nasze szczerze przekonanie.

— Przebaczenie! — powtórzyli oboje. A Anna z pewnym, prawdziwie kobiecym zapałem przesadnym dodała:

— Oby mu to słowo co nam z głębi serca pochodzi, z tych drzew, co nas dziećmi widziały, zaszumiło do ucha, i padając do serca zmięczyło je o tyle, by choć raz jeszcze w życiu uderzyło spokojne, swobodne, pogodzone z życiem i z Bogiem; oby! — słowa te przerwał śmiech przeciągły, a tak dziki, że oboje zadrżeli, a gdy spojrzeli przed siebie, stał przed nimi Kazimierz, który nadszedł niepostrzeżony, i od chwili słuchał ich rozmowy.

— To on! — zawołali oboje, i choć go już poznali, z przerażeniem patrzali na te straszliwe zmiany jakie w nim zaszły.

Ależ bo okropnie w tej chwili wyglądał. Wychodząc nagle z domu, nie nakrył głowy, tupet więc jego na wszystkie strony rozwiany otaczał głowę jego jakby wijącemi się węzami. Żółtą pargaminową skórę na twarzy pokrywała aż pod same oczy czerwoność nienaturalna, krwawa; a te oczy miały wzrok obłąkany; a na ustach wyszczerzał się nie uśmiech, ale skrzywienie przykute zdaje się do nich, skrzywienie wiecznego szyderstwa. Jakim sposobem tam przyszedł, on pewnie sam tego nie wiedział. Siła mocniejsza nad własną wolę ściągnęła go do gaju brzoźowego. Może myśl jego rozbudzona nowem odkryciem, jakie uczynił, mimowolnie go tu zapędziła. Ale nie!... To wyższa siła!... to wola opatrności, którą my tak chętnie przypadkiem, albo przeznaczeniem nazywamy, przywiodła go tutaj, by raz jeszcze zdybał się z towarzyszami młodości, by w ich widoku ujrzał przeszłość swoją i rozrachował się z własnym sumieniem. Jakie uczucie przemknęło przez piersi jego, Bogu tylko wiadomem być mogło; bo gdy słuchał ich rozmowy, gdy słuchał słów przebaczenia, ręką cisnąć musiał piersi, by nie zaryczały bolesnym jękiem. Lecz on anglik zimny i obojętny, on się chciał śmiać, on chciał szydzić koniecznie. I jeszcze raz się zaśmiał, ale głosem przymuszonym. Tak się śmieje duma upadłego i złamanego.

— Cóż za zdybanie szczególne! — wysyczał po chwili. — Czułe małżeństwo! — dodał dobywając ostatnich tonów szyderczych.

— Kazimierzu! — zawołał surowo Gustaw.

— Gustawie! mężu! — błagała z cicha Anna.

— Słyszałeś słowa nasze!... więc wiesz wszystko.

— A słyszałem!... kochacie się!... to ślicznie!...

— Panie Kazimierzu! — przemówiła Anna — ciebie męczy to przymuszone szydzenie. Opowiem ci dzieje nasze w krótkości; może cię one uspokoją. Po śmierci twego stryja żyliśmy z matką samotni, zapomnieni!... Moja matka złamana niepowodzeniem, nagle umarła. Jam została w nędzy!...

— A ja nie wiedziałem... jam był daleko! — przerwał Gustaw.

— Co szkoła świata zepsuła — ciągnęła Anna dalej — to naprawiła szkoła nędzy. Jam się z próżnych marzeń obudziła, dumne pięknością i próżnemi nadziejami dziewczę umarło. Pracowałam, i praca stała mi się siłą... siłą odrodzenia!... Bóg też mi pobłogosławił i przyprowadził Gustawa.

— Wróciłem niedawno z zagranicy, znalazłem Annę, znalazłem anioła!... który czuwać będzie nad każdym dniem życia mego. Teraz możesz sztydzić Kazimierz!...

Kazimierz milczał. Podczas gdy Anna mówiła, zadrgały mu nieraz usta, i chciał już coś powiedzieć, chciał domówić słowo szydercze, ale nie mógł!... z piersi żaden się mu głos nie dobywał. Dla czego nie mógł!... To są tajemnice, których psycholog nie zrozumie, bo się one kryją w głębi sumienia. I teraz milczał, bo w nim się odbywała walka, której sam może nie pojmował. Natęzał się, by nie zostać zwalonym przez tych dwoje ludzi, ale nie wiedział w jaką uderzyć stronę. Nagle uderzył się w czoło... on sobie przypomniał, co mu trunek i ta rozmowa z głowy wypędziły.

— Że Anna jest dla ciebie aniołem, powiadasz. Ale czy wiesz ty Gustawie, kto ty jesteś?...

— Ja?... nie rozumiem twojego pytania.

— Wierzę!... i ja przed chwilą nie wiedziałem... Tu! — dodał uderzając się po kieszeniach — tu jest cała tajemnica... dziwna. — I znowu zaśmiał się, ale śmiech jego znikł prędko. Znowu zimno rozmarzyło go. — Posłuchajcie! i ja mam wam opowiedzieć. Pamiętacie z lat naszych dzieciennych, owe opowiadania o czarnej pani, co chodziła po prawem skrzydle pałacu.

— Moja matka — przerwała Anna — konając wspominała o niej, i chciała coś powiedziedzieć, ale już nie mogła.

— Ta czarna pani — szepnął dalej Kazimierz przyspieszonym głosem, bo czuł coraz większe rozmarzenie — była moją matką, żoną rodzonego brata mego stryja. Ojciec ożenił się zagranicą i przywoził ją tu. Musiała być śliczna, choć się na mnie okropnie z portretu patrzała. Stryj się w niej rozkochał i ona w nim. Ojciec jeździł za interesami, a gdy wrócił, dowiedział się o wszystkim. Okropna była scena między braćmi, omal do pojedynku nie przyszło. Matka moja dostała spazmów, z których się później wywiązało obłąkanie, i dla tego prawe skrzydło było jak zaklęte, a okna do pół zamurowane. Stryj odjechał w rozpacz, przysięgłszy, że nigdy już nie wróci do kraju. Ojciec uwierzył, i już chciał przebaczyć, gdy się przekonał, że brat i żona pisują listy do siebie. Nie mogę wam to wszystko szczegółowo opowiedzieć... bo słaby jestem... maci mi się w głowie... Dosyć, że ojciec wyjechał także z domu i za granicą przepadł. Głucha wieść niosła, że zginął na okręcie jadącym do Ameryki... Stryj wrócił... miłość trwała dalej... i był znowu syn... Podano o dyspensę... przyszła dyspensą... ale matka moja dostała właśnie obłąkania w skutek wracających ciągle spazmów... i wreszcie nie było jeszcze dowodu legalnego śmierci mego ojca, który nadszedł, lecz już za późno. Matka w chwili obłąkania rozbiła sobie głowę... pani Frazerowa, co ją pilnowała, zdrzemnęła się... ot i wszystko!... prawda, że to piękna historia



rodzinna... Papiery dowodzące mam tu w kieszeni wszystkie... i metrykę syna drugiego, i dyspensę, i czułe listy, i...

— I... — zawołali oboje wzruszeni do żywego tem opowiadaniem...

— I jeszcze nie koniec na tem... Najpocieszniejsze przychodzi na wety. Stryjaszek sumieniem gryziony miał świętą księgę, a w niej składał pieniądze dla drugiego syna... a było tego sto tysięcy... rozumiecie, sto tysięcy! i za komputurkę wsadził to całe opowiadanie. Ale szatan wmieszał kobietę, stryjaneczkę drogą, moją małżonkę lubą, która zastawszy męża konającego, zamiast go ratować, ukradła księgę z pieniędzmi, i opętana drugim szatanem... szatanem gry... wszystko przegrała w Paryżu. Nie mówiłem, że to pocieszna awantura? I tym sposobem... ów sierota został i bez imienia i bez grosza!... Widzisz więc Gustawie, że nie wiesz kto jesteś? bo...

— Bo! — zawołali oboje.

— Bo ty jesteś moim... bratem!...

— Bratem! — krzyknął Gustaw.

— Tu masz papiery wszystkie!... wszystkie dowody! ja ich nie chcę zatrzymywać, bo co one mi szkodzą! — To rzekłszy, wszystkie papiery wyjął z kieszeni i rzucił na ławeczkę...

— Bratem moim! — krzyknął raz jeszcze Gustaw. — Mnie to dawniej serce mówiło. — I rzucił się Kazimierzowi na szyję.

— Bratem naszym! — powtórzyła Anna rozrzuconą, i chciała porwać Kazimierza za rękę. Ale on się cofnął i chciał się zaśmiać, ale go coś ścisnęło za gardło.

— Bratem jesteś! ale gołym!... bo ona przegrała wszystko! — wyrzekł z pół szyderstwem.

— Kaziu! czy mniemasz, że mi idzie o te dowody, że mi idzie o pieniądze! Weź jedno, niech przepadnie jak drugie!... Ale bądź mi bratem!... przygarnij się do mnie, a może na tem gorącym i przywiązaniem sercu i ty się jeszcze rozgrzejesz.

— I to nie komedia! — krzyknął Kazimierz i przez chwilę znikło obłąkanie z oczów, a usta przestały sztydzić.

— Biedny ty! — przemówiła Anna.

— W mojem uczuciu mój Kaziu, jest szczerłość, nie komedia!... Uściskaj mnie. — I znowu rzucił się mu na szyję, i tym razem Kazimierz dał się uściskać.

— Więc są ludzie na świecie!... nie same szatany, jak moja żona i ten Ferdynand! — przemówił w pół cichym głosem. I porwał się za twarz, sam zdziwiony niepospolicie... bo mu się na ręce zostały dwie plamy wilgotne, od dwóch łez! Może to z zimna... a może z uczucia! — Dobrze!... ale słuchaj!... możemy mojej żonie figła zrobić!... Ona się przy świadku przyznała... ona ma mój zapis na Kalińcach, wyrównywiający prawie ukradzionej kwocie. Zabierz Guciu! zabierz... a uszczęśliwisz mnie, bo baba oszaleje ze złości.

— Nie mój Kaziu!... ja nic i nigdy nie wezmę ani grosza od was... ja nic nie potrzebuję, bo dostałem posadę w bliskim miasteczku bardzo dobrą... Nic nie potrzebuję, prócz nazwy twego brata!... tę mi zostaw! i dla tego biorę te papiery, bo to biednej matki spuścizna.

Ale ty mój bracie przyjedź kiedy do mnie, choć na godzinę... My z Anną mamy ci co mamy najdroższego, godzinę prawdziwego, serdecznego uczucia.

— Dziękuję wam... Andziu! Guciu!... dziękuję wam!... Ja muszę wrócić do mego piekła... ja się na aniołów patrzeć nie chcę... Wracam do moich szatanów!... Bądźcie zdrowi!... ja się nawet patrzeć na was nie mogę... Ja staby!... ja pijany!... Słyszysz Guciu, pijany codzień!... Bądźcie zdrowi na zawsze. — To rzekłszy, odwrócił się i pędem poгнаł w stronę pałacu.

— Stracony! — rzekli małżonkowie do siebie, głosem pełnym szczerzego żalu.

— Chodźmy Andziu w naszą stronę!... życiem naszym będziemy błagać za niego.

— Chodźmy Guciu!...

I ręka w rękę odeszli krokiem powolnym, ociążalym przez żal szczerzy... ale się nie chcieli już obejrzeć.

A Kazimierz wpadł do biblioteki cały wzruszony i trzęsący się jak w febrze. Żona i przyjaciel siedzieli jak pierwej, milczący, znużeni i kwaśni. Pan Ferdynand tylko ze zwyczaju próbował wszystkich tempów swoich.

— A wiecie, żem płakał! — krzyknął do nich Kazimierz, i znowu dawnym zaśmiał się śmiechem.

— Pijani płaczą zawsze — odrzekła czuła małżonka.

Przyjaciel usta podniósł na trzy tempa i wyszczerzył zęby. On każdy dowcip małżonków z obowiązku poklaskiwał uśmiechem.

— Masz słusność najdroższa żono! Pijani płaczą i pijani się śmieją... Ale naprzód powiem ci anegdotkę... Wy lubicie anegdotki!... Przygotuj Ferdynandzie swe lube uśmiechy. — I opowiedział im zdybanie swoje, i opowiedział wszystko. A gdy opowiedział, dotrzymał słowa, bo się zaraz upił, ale upił doskonale. Po opowiadaniu Ferdynand nie wiedział, jak ma swe usta ułożyć. Pani Róża po krótkiej medytacji uspokoiła go...

— Możesz się uśmiechnąć panie Ferdynandzie! — rzekła do niego szyderczo. — Jeżeli mój mąż nie gadał andronów, jak pijany zwykle plecie, to tamci są tak głupi, że pewnie żadnego naprzeciw nam nie zrobią kroku. Znam ja takich serdecznych głupców. To najlepsze w tem, że teraz Kazimierz daleko więcej pić będzie i prędzej się zapije...

— A potem! — mruknął Ferdynand.

— A potem, ja pojedę do Paryża.

— A ja?...

— A już ciż ze mną! wszakże mi zawsze kogoś do usługi potrzeba.

Pan Ferdynand ucałował najczulej rączkę pani Róży za to powiedzenie tak czułe.

\* \* \*



— I na tem koniec?...

— A koniec!...

— I cóż dalej!...

— Co dalej, wiedzieć nie mogę... bo ostatnie sceny jakie opowiadałem, to ledwie wczoraj się stało.

— A czemuż pan o kilka lat pierwiej nie zaczął powieści, by dać całkowite zakończenie?...

Za to powiedzenie sprytne, podobny Ferdynandowi, ucałowałem rączki poczciwej przyjaciółki, co mnie słuchała.





# WYKRADZENIE.

(Pierw. wyd. 1875.)

## I.

Byłem jeszcze dzieckiem, gdyśmy z matką pojechali odwiedzić panią Chodkiewiczową, starościnię Zmudzka, jak ją zwykle nazywano. Łatwo pojąć, co to za radość była przez dni kilka, gdy już o zrobionym projekcie uwiadomiony, po całych dniach myślałem, a po całych nocach śniłem o zamierzonej podróży. Pierwsza to podobno w życiu mojem była podróż dalsza niby, bo drugiego dnia dopiero stanąć mieliśmy w Czarnobyłu, gdzie mieszkała pani starościna. Wszystkie dotychczasowe podróże moje ograniczały się na odwiedzinach sąsiedzkich, a te domy wszystkie w sąsiedztwie już mi dobrze były znane, i nic w nich nie było dla mnie nowego. Młodzi czy starzy wszyscy pragniemy nowości, do niej lgniemy ledwie z kolebki wyszedłszy, za nią wzdechamy nad grobem już stojąc. Smutna to i śmieszna nawet przywara człowieczego usposobienia; bo jeszczeż w młodym wieku ta żądza nowości jest dosyć stosowna, ale w wieku podeszłym już nas żadna nie zachęca nowość, bo starzy żadnej w niej roli odegrać nie możemy.

— Jutro jedziemy! powiedziała wreszcie matka, dając służącej dyspozycję, aby wszystko było gotowe; przyczem nie zapomniała i o moich najpiękniejszych sukniach świątecznych, które w mojem wyobrażeniu były tak pyszne, że je nietylko za świąteczne ale za święte nawet miałem. Osobliwie była tam kurтка niebieska, srebrem wyszywana!... O mój Boże! ile to razy przed szufladą, co ją kryła, stałem zadumany i wzdechający, by ją przynajmniej zobaczyć. A wdziac ją! to już było największe szczęście! zdawało mi się w takim razie, że na kilka piędzi wyrośłem, i wielką miałem ochotę patrzeć na wszystkich w koło mnie z góry; lecz niestety próżne to było zachcenie, bo za mały byłem na to jeszcze.

Lecz przepraszam, że zapomniawszy się, rozpowiadam sobie na piękne wrażenia moje chłopiące! Kiedy to jakoś miło zbliżając się

do grobu, przypomnieć sobie owe lata niepowrotne zabaw dziecinnych, pieśzot macierzyńskich i tych wszystkich złudzeń i nadziei, które nam wiek młody złościły, jakby promienie wschodzącego słońca. Każdy mimowolnie, i to nieraz w życiu swoim powtarza za poetą niemieckim: „i jam się w Arkadji urodził.“ Wiek dziecięcy, wiek młody, to prawdziwa Arkadja. Lecz już dosyć tych przypomnień! jeżeli je pozwoliłem sobie umieścić, to chyba dla starszych czytelników; ci mnie przebaczą, bo mnie rozumieją!.. Dosyć, że tę całą noc ostatnią spać nie mogłem, choć w całym domu za sławnego uchodziłem splocha. Pierwszy zerwałem się z łóżka, aby nie stracić żadnego szczegółu z tego naszego wybierania się. Powóz był przed ganek zatoczony; pakowano go; pierwszy w nim siedziałam, zanim jeszcze zaprzężono konie. Myślałem, że się nigdy nie doczekam chwili błogosławionej wyjazdu. Nareszcie wyjechalśmy.

Pierwsze mile drogi były mi znajome, lecz pominawszy najdalej nasze dwumilowe sąsiedztwo, zacząłem podziwiać wszystko, i z otwartą gębą a wytrzeszczonemi oczyma patrzałem na te cuda nowości, w jakie się przebierała okolica w oczach mojej wyobraźni. Śnać już wówczas wyobraźnia znaczne w usposobieniu mojem zajmowała miejsce, bo okolica była ciągle jednakowa, jednostajna, i dla podróżujących należyte nudna. Mieszkaliśmy na głuchem jak to nazywano Polesiu; wieś moja rodzinna otoczona była firanką lasów w około, a nad nią ciągly prawie wznosił się baldakim mgły. Cicho jakos i smutno: ciszę ledwie przerywają baki i komary, co się wnoszą nad częstemi bagniskami, lub dalekie rąbanie echem rozchodzące się po lesie. A przecież mimo to jest jakiś urok niepojęty w tej ciszy, w tym spokoju, w tem oderwaniu od świata; urok nawet w tej jednostajności leśnej, po której wyobraźnia buja sobie wolno i śmiało. Dla mnie jest to zapewne urok okolicy rodzinnej, ale dziś jeszcze nie mogę wjechać do większego lasu bez pewnego mitego uczucia. Z jaką to radością odwiedzałem nieraz później ulubione Polesie moje; i nieraz dziś jeszcze, gdy na zawsze już zapewne oddalony od tych stron moich rodzinnych, przyjdzie mi na myśl owa okolica leśna, zdaje mi się, że aż do mnie przylatuje owa woń żywiczna sosnowych lasów, odmładnia mnie, i jak opjum przez Turków używane wprowadza w cudne marzenia. Wszystkich tych uczuć jako dziecko wówczas nie znałem, a przecież zdało mi się coś nowego widzieć wzdłuż drogi jednostajnymi ciągnącej się lasami. Pomału musieliśmy jechać, bo już to na Polesiu drogi nie najlepsze; mnóstwo grobelek, których nierówne dyle kołyszą się jak klawisze fortepianu, a powozem trzęsą niepospolicie; a gdzie równo, to tam znowu zawadzają korzenie drzew na drogę zachodzące, wielkie osi powozowych nieprzyjaciele. A do tego piasek i to ciągly prawie, tak, że możnaby o drodze polskiej mówiąc powtórzyć, co powiedział podobno biskup Warmiński opisując jedną z swoich podróży:

A za laskiem piasek,  
A za piaskiem lasek.

Jedyną rozmaiłość tej drogi robią chyba długie ale nie głębokie



kałuże, czy jakieś ścieki wód, pospolicie znane w tamtej okolicy pod nazwą brodów. Nazwa ta pochodzi zapewne od brodzenia; dziwna rzecz, dla czego w czasie owej sławnej u nas gorączki etymologicznej, żaden z tych arcykapłanów etymologicznej filozofii języka naszego, nie wyprowadził analogii między brodami wodnymi, a brodami na twarzach ludzkich!...

Pierwszy popas w życiu, choć w poleskiej karczmie, był dla mnie wielkiem zdarzeniem. Pierwszy raz zobaczyłem wówczas belfera żydowskiego, jak małych uczył bachorów. Oczów od niego oderwać nie mogłem, osobliwie patrząc na zawzięte krzywienie się jego chudej, żółtej i wymokłej twarzy. Przed karczmą była wielka kłoda, na której wreszcie usiadłem, a tuż koło kłody ogromna bajura; nie mogłem się nadziwić odwadze małego żydka, który wlaźł do niej i pluśkał się tam z patykiem w rękę jak najswobodniej. Karczma stała sama jedna w lesie; czasem tylko z pomiędzy drzew ją otaczających wysuwał się dym, zwiastujący, że tam niedaleko są pomieszkania ludzkie.

— To jest potażernia! — powiedział arendarz.

Znałem już potażernie, i powinienem się być domyślić, bo nie smutniejszego nad okolicę lasową, która otacza potażernię z bliska. Wszędzie w około leżą jakby trupy najpiękniejsze sosny, odarte z kory, z poobcinanemi gałęziami, bo przy zbytku drzewa biorą tylko korę i gałęzie do preparacji potażowej. Plac otaczający potażernię bywa podobny zupełnie do wielkiego pobojobowiska.

Po popasie przyszedł nocleg; ten mnie już mniej zaintrygował, bo jedna karczma poleska podobna do drugiej, a najwięcej, że po całodziennej podróży byłem spiący. Jedna rzecz tylko zaintrygowała mnie niesposolicie. Jest to używany na Polesiu po karczmach i chatkach nawet rodzaj komin, który na środku izby wisi od powały, jakby pajak w salonie, i jak pajak do oświetlenia izby służy, bo pod tym kominem przyczepiony jest rodzaj rusztu, na którym wieczorem zapalają smolne luczywa. — Jest to szczególne oświetlenie, i nie bez pewnego małowicznego wdzięku. Widząc to w późniejszym wieku, z upodobaniem nie miałem patrzeć nieraz na wszystkie osoby i przedmioty w karczmie, oświetlone tem prawdziwym clair-obscur flamandzkim.

Rano nastąpiło strojenie się, bo już tylko trzy mile mieliśmy do Czarnobyli. Ubrano mnie świątecznie, chociaż nie w kurtkę niebieską jeszcze, lecz wiedziałem, że i na nią przyjdzie kolej, bo była w tłumoku. Przez pierwszą milę podziwiałem sam siebie, ledwie patrząc na okolicę. Przez drugą wszakże milę zaczęły snuć mi się po głowie jakieś myśli poważniejsze, a nawet smutniejsze. Zacząłem się zastanawiać nad tem, że tu trzeba będzie stanąć przed jakąś starą i wielką panią; a nieraz słyszałem, że pani Chodkiewiczowa była nadzwyczaj dumna, jak na Chodkiewiczów i na starościnę przystało, a przytem bardzo surowa i sroga nawet dla niższych od siebie. Mi-mowolnie porywał mnie strach, a osobliwie gdy matka zaczęła mi dawać ostatnie nauki, bym się w zamku zachowywał cicho i skrom-

nie, bym się nie roztrzępywał i z jakim niepotrzebnem nie wyrwał głupstwem, albo też nie śmiał się bez przyczyny: bo jak dobrze mówią:

Poznać głupiego,  
Po śmiechu jego.

— Bo co zamek, to nie dworek szlachecki — mówiła matka dalej — co innego szlachecka rodzina, a wcale co innego Chodkiewiczze, ludzie sławni z rodu i bardzo majątni.

Zaczynało mi się na płacz zbierać.

— Będiesz mógł — dodała matka, widząc zaszępioną twarz jedynaka — bawić się z Józiem.

— Z Józiem! — zawołałem radośnie, i zaczynałem się pocieszać.

— A z Józiem! — powtórzyła matka, i jakoś dziwnie się uśmiechnęła.

Ten uśmiech mocno mnie zaintrygował, ale nie śmiałem się zapytać, bo za moich czasów matki i dla jedynaków bywały surowe, a karność była nie dzisiajsza. Dosyć że byłem niespokojny. Przez ostatnią milę zapomniałem i o niepokoju, i o stracha i o całej podróży. Mimo wieku dziecinnego, nie mogłem patrzeć się na okolicę, którą jechaliśmy, bez podziwu i zachwytu. I musiała to być cudna okolica, kiedy raz ją tylko wówczas widziałem, a tak mi utkwiła w pamięci, że ilekroć przypomnę sobie tę podróż, widzę ją żywo przed oczami, tak jakby to wczoraj było dopiero.

Nagle zaczynał się las przerzedzać, i zjeżdżaliśmy coraż niżej i niżej; a przez rzadką brzeziny franke coś już z dala to błyskało, to migotało się na błękitnem tle nieba, które coraż widomiej się odsłaniało. Zjechaliśmy w dół, i nagle ujrzelśmy ogromną płaszczyznę; po dwóch bokach ciągnęły się pagórki lasami okryte; wzdłuż nich płynęła rzeka, przesuając się pomiędzy wsie i futury. To była Prypeć, jak mi matka powiedziała. Rzeka ta zakręcała się nagle, i nasza droga szła ciągle prawie wzdłuż niej. Po za nią póki oko dosięgało, aż po błękit nieba, ciągnęły się w najrozmaitszych odmianach to wsie zielone, to zieleniejsze nadto łąki, przerywane gdzieś niedziedzi małemi futorkami i pasiekami. Przez tę całą płaszczyznę ciągnęła się druga większa rzeka jeszcze, pocętkowana mnóstwem płynących na niej statków rozmaitej wielkości. To był Dniepr, ulubiona naszych dziejów i naszych poetów rzeka. Po lewej stronie drogi płynęła Prypeć, pełna kęp zielonych i nagłych wirów, a po prawej stronie ciągnął się dalej szereg pagórków, z rozsypanemi po nich gajami cudnie w tej porze roku umajonemi. W końcu, bliżej już Dniepra widać było wyższą górę, samotnie prawie stojącą, z wznoszącemi się na niej murami domostw i kościołów. To był Czarnobyl, miasteczko dosyć handlowne, zwykła rezydencja starej Chodkiewiczowej, odkąd porzuciła Warszawę, w której swoich czasów dosyć znakomitą odgrywała tu rolę.



Jak powiadam, nie mogłem się napatrzeć tej cudnej okolicy, która w tej porze roku, a byliśmy, w czerwcu, była zachwycająca. Dojeżdżaliśmy wreszcie do wyższej góry, i posuwaliśmy się z mniejszą rzeką do większej. Pod górą, na której miasteczko stało, wpadała Prypeć do Dniepru. Miasteczko stało na małym skalistym podniesieniu i o ile sobie przypominam, choć dosyć obszerne, było zwyczajem wszystkich polskich miasteczek należycie brudne i zalane żydami, jedynymi tamtych stron w owe czasy handlarzami. Z miasteczka trzeba było jechać jeszcze wyżej po drodze panującej nad całą okolicą, ku zamkowi, czyli raczej ku temu pomieszkaniu, które pospolicie na mil kilkanaście w około nazywano zamkiem Czarnobyłskim. I dla mnie dziecka jeszcze wydało się to zamkiem ogromnym tem więcej, że coraz więcej miałem obawy, i byłbym chętnie w tej chwili wrócił do skromnego naszego dworku poleskiego z dwoma drewnianymi ganeczkami. Już nawet przestał mnie bawić ten śliczny widok, który tak mnie dotąd zajmował. Zamek i pani Chodkiewiczowa, to były dwa pojęcia, co mi ciążyły na głowie jakby dwa ogromne kamienie.

Zdaje się, że tam musiał być dawniej zamek obszerny i warowny nawet, jak świadczyły ułamki murów, co się jeszcze od strony miasteczka i wjazdu wznosiły popękane i na pół zawalone, ale ustrojone w żywą poleską wegetację. W tym murze została jeszcze brama wielka, ciemna, sklepiona, przez którą gdyśmy wjeżdżali jak to pospolicie mówią, dusza moja była na ramieniu, a serce tłukło mi się w łonie, jak biedny ptaszek w klatce. Przejechawszy przez dziedziniec brukowany, obszerny i zawalony gruzami, stanęliśmy przed domem bez piętra, obszernym, ale nieregularnie zbudowanym, w którym nic nie było ani zamkowego, ani pałacowego nawet; mnie się to wszystko wszakże wydało ogromnem i wspaniałem, i do strachu przybyło wielkie poszanowanie. Za tym domem, ku drugiej stronie góry, nie było już śladów nawet dawnego zamczyska; po jednej stronie był ogród dość obszerny, koło niego zabudowania rozmaite, zapewne gospodarskie, a po drugiej stronie drugi wyjazd przez wrota nowożytniej budowy i sadzona lipami podobno ulica. Wysiedliśmy wreszcie; ja ledwie żywy; a do reszty przestraszył mnie widok dwóch ogromnie wysokich kozaków z długimi plecionymi oseledcami, z których jeden wziął mnie na ręce i z jakimś szyderczym uśmiechem postawił w sieniach. Aż oczy przymknąłem, bo mi się przypomniały jakieś bajki pełne potworów, w które bogata jest wyobraźnia nianiek poleskich. Taki był mój wstęp do zamku pani Chodkiewiczowej starościny Żmudzkiej.

## II.

Kilka godzin minęło, zanim się o tyle mogłem opamiętać, bym zdolał uważniej przypatrywać się temu wszystkiemu nowemu, co się tam moim oczom objawiało. Długi czas i ja sam byłem niewidzialny

prawie, bo schowany za suknię matczyną, z której fałdów nie chciałem wyleźć,

— Dzikiego masz chłopca! — słyszałem tylko głos mówiący, głos dosyć ostry i przykry, ale nie śmiałem popatrzeć w oczy mówiącej, którą przy wnijsciu pocałowałem z rozkazu w rękę, ale jej nie widziałem.

Nie chcąc dłużej czytelników nudzić wrażeniami memi dziecinnymi, przeskoczę tych parę godzin pomieszczenia i trwogi, i opowiem zaraz, jak mi się wydały wnętrza i osoby w zamku zamieszkałe. Wszak i zamek Czarnobyłski, i osoby w nim mieszkające główną odegrały rolę w zdarzeniu, które opowiedzieć zamyslałem.

Nieśmiałość moja przełamana została najprzód dziecinną ciekawością, i coraz szerzej otwierałem oczy, by się wszystkiemu przypatrywać. Już to przedewszystkiem ciekawy byłem widzieć owego Józia, który mnie najwięcej intrygował, a przy którego wspomnieniu matka moja tak dziwnie się uśmiechała. Lecz daremnie wszystkie śledziłem kąty; żadnego nigdzie dziecka nie widziałem. Uderzyło mnie najprzód mnóstwo służby, co się kręciła po wielkich i obszernych domu pokojach, a same kozaki starsze i młodsze. Stara pani Chodkiewiczowa była ciągle już cierpiąca, po części na starość, po części na jakieś osłabienie nóg. Za młodu uchodziła za piękną; ani śladu tego nie było, gdy ją widziałem. Zdawała się być niskiego wzrostu, bo ją wiek zgiął i pochylił; twarz miała szeroką i pomarszczoną, i jak mi się zdawało, ciągle była w złym humorze; do czego pomagał jej głos rozkazujący, dumny i chrypliwy przytem, i spojrzenie wielkich ciemnych oczów pogardliwe i złośliwe nawet. Taką przynajmniej wydała się mnie, chociaż gdy się już odważyłem do niej zbliżyć, pieściła mnie, uśmiechała się łagodniej i łakociami opychała. Z całego domu zajmowała jeden najmniejszy pokój, w którym ledwie cztery osób pomieścić się mogło, tak, że gdy więcej było witytujących, musieli stać we drzwiach i wchodzić do niej kolejno. Pokój ten był zupełnie ciemny; czy bez okna, czyli też okno było zasłonięte. Prócz szczupłości pokoju zmniejszały go jeszcze sprzęty, któremi był zapchany. Główna część tych sprzętów stanowiły kufry, których było kilka, sofa wielka i łóżko. Cała jej przechadzka była od łóżka do sofy. Łóżko jak mówiono, spoczywało także na dwóch kufkach, napelutonych rublami i złotem; a i wszystkie inne kufry miały być pełne sreber, klejnotów i innych precjozów. Uchodziła pani Chodkiewiczowa za osobę bardzo bogatą, rządzą a nawet skąpą; o ile prawdy było w tych skarbach wszystkich, nie wiem i nigdy nie miałem sposobności dowiedzieć się, czy po jej śmierci znaleziono te bejeczne sumy, o które ją posądzano.

Nasłyszawszy się nieraz o jej bogactwach, urąłem sobie w mej dziecinniej wyobraźni jej pomieszczenie jako siedlisko jakiegoś przepychu, do którego przykłady znajdowałem w pamięci nasyconej bajeczkami nianiek poleskich; odczarowanie moje zatem było wielkie na widok rzeczywistości, tak mało zgodnej z utworami fantazji mojej. Przypominam sobie, że się na żaden sposób zgodzić nie mogłem z tem odczarowaniem, i dla tego przychodziła mi chętka wierzyć



w czary jakieś, za pomocą których, jak się to w bajkach trafia, wszystkie najkosztowniejsze sprzęty powszednią przybrały powierzchowność. I wielką miałem nawet ochotę, wziąć za czarownika postać, która się ciągle uwijała i zwracała coraz więcej uwagę moją, a nawet wzbudzała pewien rodzaj zabobonnego strachu.

Był to mężczyzna ogromnej postawy, zbudowany kolosalnie, który stapał swemi nogami szerokimi po pokojach Czarnobylskich z jakąś rubaszną i szyderczą pewnością, jak gdyby wiedział, że mu tego samowolnego stąpania nikt zabronić nie może. Twarz miał szeroką, o rysach wielkich i wydatnych, w których przeważał nos podobny jak mi się wówczas zdawało, do wielkiego ogórka, do prawdziwego nasiennika. I jak ogórek opieczony skwarem słońca, nos ten rozmaite przybrał barwy i wzbogacił się licznymi dość narościami. Oko miał czarne, luskające, i jak mnie się zdawało, nadzwyczaj przenikliwe; włosy były jakieś niezwyklej czerności, bo miał połysk czerwono rudawy; później dopiero dowiedziałem się, że włosy miał farbowane; także same były wąsy z czarniejszym tylko odcieniem, ale tak ogromne, sumiaste i sterczące, a przytem tak dziwnie ruchliwe, że wszystkie włosy zdawały się mieć swoje własne odrębne życie. Przypominałem sobie w tej chwili bajeczkę starej Paraski, co mnie nianęcząc opowiadała o włosach z samych gadzin złożonych, i poprawdzie drżałem ze strachu, oglądając się ciągle za matczyną spodnicą. Wąsy te niesforne lubiał jak zauważałem co chwila podkręcać, a czynił to z gestem tak zamaszystym i groźnym, jakby chciał ręką podniesioną gromić w koło siebie. I przy tej operacji otwierał zwykle usta, przez co pojawiały się ogromne niezwyklej białości zęby. Byłbym przysiągł, że ludzkie ciało zjada jak sztukę mięsa. Najwięcej zaś do strachu mego przykładało się, że ciągle byłem w mniemaniu, jakoby bez ustanku zerkał na mnie swym przenikliwym wzrokiem, w którym zdawało mi się widzieć jakąś szyderczą złośliwość. Może rzeczywiście drwił sobie z mojej twarzy, głupio zapewne wyglądającej ze strachu i zadziwienia; a najprędzej było mu to zwyczajem, rzucać na wszystkie strony spojrzenia badawcze. I w rzeczy samej chodząc z pokoju do pokoju, zdawał się ciągle śledzić czegoś, i zaglądać we wszystkie domu kąty. Do tego obrazku — który tak mi się wbił w pamięć, że przez długie jeszcze potem lata zdawało mi się go widzieć nieraz na jawie, a po nocach śniąc, przerażał mnie aż do krzyku — dodam jeszcze, że głos miał potężny, gruby, do głosu trąby podobny. A używał tego głosu dosyć często, bo co chwila miał coś do rozkazania śmiejącej się służbie dworskiej, to ją napominając, to karcąc dobitnymi słowy. Zajrzałem nawet, że przy takiej sposobności małego kozaczka porwał za ucho i podniósł na łokieć może. To mnie do reszty przekonało, że jest złowrogim czarownikiem; zrejerowałem więc co prędzej pod obronę szalu matczynego.

— Pan pułkownik Kobylecki! — zeprezentowała go pani Chodkiewiczowa matce mojej.

Nie mogło mi się w głowie pomieścić, jakim sposobem pułkownik może być czarownikiem. Było to bowiem w epoce Napoleońskiej.

a wychowany choć na Polesiu, ale w domu szlacheckim, miałem o wojskowych w ogóle, a w szczególności o wyższych oficerach, między którymi pułkownicy główną odgrywali rolę, wysokie bardzo wyobrażenie. Mimowolnie zacząłem mu się bliżej przypatrywać, i w skutek zapewne tej szanownej nazwy, zaczął mi się mniej strasznym wydawać. Ubiór jego był w rzeczy samej na pół wojskowy, a na pół cywilny; miał bowiem, o ile sobie przypominam, czamarkę jasno niebieską z złotem szamarowanymi pętlcami, a na sieraczkowych spodniach były lampasy pąsowe.

— Każ podać śniadanie! — rzekła pani Chodkiewiczowa do pułkownika. — I poprosz młodych hrabiów! — dodała po chwili.

Pułkownik zwrócił się po wojskowemu, i aż zadrżały ściany i okna, tak posuwistym ruszył krokiem podkręcając wąsy. Coraz mniej rozumiałem, bo pojąć nie mogłem, jak stara kobieta, chociażby sto razy była Chodkiewiczową, mogła rozkazywać pułkownikowi? — Bodaj czy to nie ona jest czarownica, zaczynałem myśleć; a biedny pułkownik przez nią zaczarowany.

I rzeczywiście przez cały kilkodniowy nasz pobyt w Czarnobyli, nie mogłem wyrozumieć, jakie jest właściwe stanowisko pana pułkownika w Czarnobyli. Niestety jak się znacznie później dowiedziałem, było to stanowisko nie bardzo zaszczytne dla pułkownika. Prawda, że całe to jego pułkownikostwo było podobno bardzo problematyczne, równie jak i wojsko, do którego należał i wyprawy wojenne, którymi zdobył tę posiadłość. Później w ciągu życia miałem niestety! nieraz sposobność przekonania się, że pan Kobyłecki nie był pierwszym i nie ostatnim tego rodzaju pułkownikiem, który zdobył swój tytuł rozmaitemi posługami nie koniecznie bohaterskimi, bo często gęsto odbywanymi w pańskiej kuchni lub pańskiej sypialni, przy pieczeniu lub przy gotowaniu.

Stanowisko pana pułkownika Kobyłeckiego było tego rodzaju, że dla tego by je czytelnikom moim przedstawić należycie, muszę opowiedzieć anegdotę, o której się jak mówiłem, w późniejszym wieku dowiedziałem, a za której prawdziwość zaręczał mi człowiek bardzo wiarygodny, dobry znajomy Czarnobylskiego dworu.

Owoż zdarzyło się raz, że do Czarnobyli przybyli jacyś huzary rosyjscy na kwaterę, i w miasteczku w piętrowym ratuszu mieszkał sam pan pułkownik huzarów. Pani Chodkiewiczowa lubiła się czasem przejeżdżać, póki całkiem na zdrowiu nie zapadła, i odbywała to zwykle bardzo szumno i z pańska, bo w ogromnej staroświeckiej karcie, z dwoma masztalerzami na przedzie przed szóstką gniazdoszów, i dwoma kozakami z tyłu za powozem; a tuż przy drzwiczkach jechał pan pułkownik Kobyłecki. Jadąc miasteczkiem, zauważyła pani Chodkiewiczowa, że pan Kobyłecki około ratusza zadarł mocno głowę, jakby się czemuś z wielką przypatrywał uwagą. Pani staroscina, jako kobieta choć wielka pani, była także ciekawa i spojrziała w górę. Mars wystąpił na jej twarz, gdy ujrzała w oknie ratuszowym do pomieszczenia huzarskiego pułkownika należącym, twarz



kobietą wcale piękną i młodą. Jakkolwiek bądź była już w wieku, że o palmę piękności nie mogła iść w zapasy, pani Chodkiewiczowa nie lubiała ładnych twarz kobiecych, które jej zapewne przypominały niepowrotną przeszłość; a i wzrok pana Kobyleckiego wcale się jasnej pani nie podobał. Nic nie rzekła, ale w skrzywionym humorze wróciła do zamku, i jak kronika familijna twierdzi, nastąpiło szczodre bardzo rozdawnictwo pletni batogowych pomiędzy nadwornych kozaków. W parę dni później pułkownik huzarski przyszedł do pani starościny. Podano herbatę oczywiście, bośmy się już wówczas zaczęli czajować. Po różnych rozmowach spytała nagle pani Chodkiewiczowa:

— Czy pan pułkownik żonaty?..

— Nie! — odrzekł huzar krótko i węzłowato.

— A któż jest ta dama, którą u pana widziałem w oknie? — pytała dalej starościna słodko kwaśnym głosikiem.

— Ona u mnie, czto u was Kobylecki! — odpowiedział huzar z najzimniejszą krwią.

Naturalnie urwała się konwersacyja, a czytelnicy poznawszy teraz pana pułkownika Kobyleckiego, pozwolą, że ja wrócę nazad do mego opowiadania z pamiętek dziecinnych czerpanego.

W kilka chwil otworzyły się jedne drzwi i weszło przez nie czterech sążnistych kozaków, z dwoma olbrzymiami tacami, z całym przyborem zimnego śniadania, które postawili w pierwszym pokoju. Otworzyły się drugie drzwi i weszło przez nie dwóch młodych ludzi wysokiego bardzo wzrostu, z których jeden głównie matkę moją przywitał, jako dawniej już znajomy. Drugi skłonił się tylko, uśmiechając się z dziwnym jakimś wyrazem pociesznego skrzywienia na twarzy.

Wypatrzyłem na obydwóch ciekawe i badawcze oczy, zrozumiawszy z rozmowy, że to są synowie pani starościny, młodzi Chodkiewiczze. Wkrótce weszła młoda i bardzo przystojna kobieta, z nadzwyczaj słodkim wyrazem na twarzy i z uśmiechem, który zdawał się być tak wesoly i tak o nic niedbający, jakby go żaden smutek wypędzić z niej nie zdołał. Była to młoda pani Chodkiewiczowa, żona pana Aleksandra Chodkiewicza, dawna i wielka mojej matki przyjaciółka. To też obydwie serdecznie się uściśniły, i zaczęły w pół głosem rozmawiać między sobą. Do rozmowy należał także pan Aleksander, którego żona Olesiem nazywała, i co chwila to za rękę porywała, to pogłaskała, to inną jakoś pieśczętą starała się okazać swoje do niego przywiązanie. I w rzeczy samej, jak to już później dowiedziałem się, było to małżeństwo bardzo szczęśliwe, kochające się najczulej. Lecz jestże li co stałego na świecie? Nic podobno, prócz śmierci. I ta wielka miłość zgasła; to przywiązanie małżeńskie, co miało całe życie przetrwać, przerwało się jakoś; przyszło wreszcie do tego, że się czuli małżonkowie rozwiedli. Dorosłym już będąc młodzieńcem, zdybałem oboje: pani Chodkiewiczowa była księżną Galicyń, a pan Aleksander Chodkiewicz, w wieku niekoniecznie do romansowych uczuć stosownym, chodził po świecie obok młodziutkiej i ślicznej żony, której mu wszystka młodzież owczesna zazdrościła.

Lecz pan Aleksander nic sobie z tego nie robił, i był wyższy nad wszelką zazdrość. Szczęśliwy człowiek! i rozumny prócz tego, bo co zazdrość pomoże...

Otóż to nieszczęście pisać na starość pamiętniki czerpane ze wspomnień najpierwszych, wieku dziecinnego sięgających! Następuje konieczny galimatias; wspomnienia dawne mieszą się z nowszemi; rysy zatarte już przez czas sztukuje się późniejszymi, i znika oczywiście prawda historyczna wrażeń!... Mea culpa. Gdzie mnie w tej chwili, którą opisać staram się, przychodzić miały do pustej i tem szczęśliwszej przez to głowy, jakieś zastanowienia głębokie?...

Mnie nawet nie uderzyła piękność pani Chodkiewiczowej. O ile sobie przypominam, najpiękniejszą wedle mego wyobrażenia kobietą, była oczywiście matka moja; prócz chyba kuzyneczki mojej Antosi, która w życiu mojem wielką odegrać miała rolę. O Boże! dziś obydwie już nie żyją, i od jak dawna!... I matka moja i Antosia w grobie!... Najwięcej zajęli mnie po panu Kobyleckim młodzi Chodkiewiczowie; już przed wszystkim dla tego samego, że Chodkiewiczowie, a w naszej okolicy wszelkie mieliśmy uszanowanie dla rodziny Chodkiewiczów. Jeszcze wówczas nie słyszałem podobno o sławnym wojowniku naszym Chodkiewiczu, a byłem przygotowany widzieć w każdym człowieku, co nosi nazwę Chodkiewicza coś wyższego. A im się więcej wpatrywałem, tem mi się więcej oba wydawali szczególniejszymi postaciami.

Już to byli obydwaj nadzwyczaj do siebie podobni, i powierchowność ich cała miała coś w sobie nadzwyczaj szczególnego. Jak już powiedziałem, byli bardzo słusznego wzrostu, ale na wysokich swych postawach, mieli nadzwyczaj nieproporcjonalne małe głowy. Na mniejszych może ciałach, możeby te głowy nie wydawały się tak małemi, ale u nich wzbudzało to mimowolne zadziwienie. Ale czy jest to przesąd czy nie, przyzyczajeni są wszyscy głowy uważać za siedlisko rozumu, który się niby ma uosabiać w mózgu człowieczym; mimowolnie na ich widok przychodziła myśl, że w tych maluczkich głowach nie wiele może pomieścić się mózgu, a zatem szły inne mniej dla nich pochlebne konsekwencje. Uwagę tę później powtarzaną przez wielu innych, co znali pana Aleksandra Chodkiewicza, zrobiłem na razie bez wyciągnięcia wszakże z tego dalszych wniosków. Mnie przeciwnie ta małość głowy uderzała jako odszczególnienie jakieś, i w najlepszej wierze pomyślałem sobie, że to musi być właściwość ludzi znakomitszego pochodzenia. I wierzyłem w to bez dodatku wszelkich uprzedzeń społecznych, które nie istniały wówczas, których ojczyzną Polesie być nie mogło, jak i dziś zapewne nie jest i nigdy nią nie będzie, i które nareszcie wówczas w mojej głowie powstać nie mogły, bo w szlacheckim wychowanym domu, heraldyczną wiarę i herbowne zamiłowanie długo bardzo chowałem.

Moja wiara była tak naiwna, że byłbym nawet uwierzył w inne powiedzenie, które w naszej okolicy pierwiej nieco niematego nabrało rozgłosu. Nie mogę wytrzymać, bym tu nie przytoczył tej anegdoty. Łaskawi czytelnicy musicie mi przebaczyć, bo to nie powieść przecie, ale pamiętniki.



Wiadomą jest rzeczą, że ze wszystkich krajów europejskich, najpożądanym portem spokoju dla emigrantów francuzkich były dawne prowincyje polskie. Emigranci francuzcy uciekając przed gilotyną, pchali się na wyścigi do Polski i do Rosji, i nie było zapewne na Wołyniu i Podolu domu jednego, w którymby nie przebywał jaki emigrant. Przyjmowano ich jak najgościnniej, bo już to zawsze nie mało mieliśmy słabości do wszystkiego, co francuzkie, a cóż dopiero do tych lekkich, ugrzeczniionych skaczących, sypiących komplementa, i umizgających się tak zgrabnie Francuzów, którzy nasze szlachcianki i szlachcianeczki uczyli francuzkiego języka i francuzkich zwyczajów, a naszym paniczom trafiali w samo sedno, swojemi arystokratycznymi andronami. Bo już to przybywali sami markizy, wikonty, jeżeli nie duki, i stare z Montmoransami ba nawet z świętymi pokrewaione barony. Wszakże to jeden z takich baronów miał w zbiorze starych malowideł obraz familijny przedstawiający antenata stojącego przed pojawiającą mu się Matką Przenajświętszą. I z uszanowania wielkiego antenat zdejmował kapelusz; lecz Matka Boska daje mu znak ręką i mówi do niego: *Couvrez vous mon cousin!* (Nakryj głowę mój kuzynku).

Czy wszyscy tak wysokiego byli rodu pomiędzy przybyszami, możnaby wątpić, bo nieraz pomiędzy tymi emigrantami także przybywali egzemplarze, któreby trudno było uważać za edycje bardzo staroświeckie. Emigranci prawdziwi podali myśl dowcipnym rodakom do nowego rodzaju spekulacji; i pomału emigracja stała się rzemiosłem należycie intratnem. Pan Polak zawsze, jak powiada przysłowie, mądry po szkodzie; przyjmował rozmaitych urwiszów, co się udawali za prawdziwych emigrantów, nie żałował im serca, a które im nie szło koniecznie, ani szkatuły, do której miewali wielkie nabożeństwo i czerpali z niej sownicę; a wszakże nie jednemu perukarzowi na markiza przerobionemu, udało się głupią szlachciankę otumanić i zdobyć po niej znakomity posag.

Owóż do jednego z majątniejszych domów na Wołyniu przywalał się taki emigrant, postawy dość pośledniej, mimo ust dumnie wydętych. Długi czas ukrywał swoje nazwisko, mocno jak twierdził zakompromitowane; czasem tylko jakby przez zapomnienie wspominał o rozmaitych włościach swoich po całej Francji rozrzuczonych, a których tyle było, jak jakiś żartowniś zauważał, że cały księżyc na mile kwadratowe podzielony nie wystarczyłby na nie. Później dopiero pod wielkimi zakłęciami wyjawiał jakieś nazwisko, oczywiście wojen krzyżackich sięgające, i do nazwiska przyłączył jakąś awanturę, którejby się nie powstydzili autorowie dzisiejszych melodramatów. Gospodarz domu, szlachcic prostoduszny, a do tego stary i znudzony kawaler, kontent był z gościa, który go usypiał nieskończonemi historjami swemi, łąał potężnie, komponując niestworzone androny, nauczył się nawet maryjasza; żarłocstwem swoim dodawał mu apetytu, za kołnierza nie wylewał, a był przytem potulny, i cierpliwie słuchał, a nawet ekstazjował się nad myśliwskimi łągarstwami, które mu szlachcic w odwet aplikował, powtarzając zawsze jedno i to samo. Ten tedy emigrant nie odznaczał się tak dalece niczem, prócz tem

chyba, że od brody przez uszy i głowę nosił czarną chusteczkę, której ani w dzień ani w nocy nie zrzucił. Szlachcic myślał, że to mu jakaś francuzka choroba dokucza; lecz razu jednego, gdy się Francuz przy imieninach upił należycie i zaczął dokazywać, skacząc i dając susy, jakby całe życie był baletnikiem, nagle spadła mu czarna chusteczka, i po raz pierwszy obecne całe temu szlachcica sąsiedztwo, ujrzało z nie małym zadziwieniem, że francuzkiemu markizowi brakuje obu uszów. Darmo Francuz porwał za chusteczkę i chciał ukryć ten niedostatek szczególnie; nie zdołał pospieszyć; podochoćceni obskoczyli go, przypatrując się jego głowie bezuszej, a niedowiarki palcem nawet dotykali, aby się przekonać, ażali nie ma tam najmniejszego śladu uszów. Jak nie było, tak nie było prócz otworów, które się do nich przepaściście wyszczerzały.

— Nie ma uszów! Jakem sodalis!...

— Jak Boga Kocham! Francuz bez uszów! — powtarzali jeden drugiemu.

A że wszyscy byli pod dobrą datą, a w takim razie nie się w bawełnę nie obwija, wszyscy opadli Francuza, by im opowiedział przyczynę tak szczególnego braku. Francuz wywijał się jak mógł, zastawiając się ogólnikiem, że jest tajemnica oczywiście wielka i ważna, której on wyjawic nie może.

— Cóż to za tajemnica?... ta że my przyjaciele! — krzyczeli mu nie w ucho, ale w miejsce, gdzie ucho być powinno.

— Gadaj! no! gadaj! Francuziku! — powtarzał sam gospodarz, podchmielony sownicie. — Cóż u diabła rozumiem anglezów, bo to konie przecie, a co konie to nie ludzie, a co ogony to nie uszy. Ale człowiek bez uszów! tfu! na uroki! a to pokusa jakaś!

Jak go zaczęli nalegać a dolewać przytem, zmiękł jakoś Francuz, i rzekł do ciekawych:

— No powiem wam całą tajemnicę, ale przysięgnijcie, dajcie słowo honoru, że nikomu jej nie wyjawicie, bo ja na nią przysiądz musiałem.

— Ale słowo honoru! przysięgamy! — zawołali wszyscy.

— Wiedzieć tedy, że u nas we Francji pomiędzy bardzo wielkimi i starożytnymi rodzinami jest taki odwieczny zwyczaj, że pierworodnym synom w dzień ich urodzenia obcinają obie uszy, aby ich nikt i nigdy zamienić nie mógł. Takich rodzin jest tylko pięć w całej Francji. Ja jestem synem pierworodnym trzeciej z kolei rodziny, której siedliskiem jest ojczyzna naszego sławnego Henryka IV.

Dzisiejsi czytelnicy i bez tego zrozumieliby, że Francuz był Gaskończykiem pur sang. Uważni słuchacze popatrzyli na Francuza, pokiwali głowami i odeszli w milczeniu. A choć różnie różni gadali o ucięciu uszów, jako karze za pewne tychże uszów grzechy, zapili wreszcie tę sprawę. Anegdotka została w okolicy jako mirabile pamięci godna, a Francuz po śmierci swego gościnnego pryncypała uczył w Żytomierzu tańcować młodych chłopców. Tajemnica o uciętych uszach została tajemnicą na zawsze. Dowiedziano się tylko o tem przez drugich sumiennych Francuzów, że ów pierworodny syn trzeciej z pięciu pierwszych w Francji rodzin, był na prawdę baletnikiem



przy małej jakiejś scenie prowincjonalnej, który odznaczał się i w prywatnem życiu nadzwyczaj lekkimi skokami

### III.

Co do starszego pana Aleksandra, tyle jeszcze tylko dodam, że mimo głowy małej, był nadzwyczaj uprzejmy, i w całym obejściu się jego widać było wyższą arystokratyczną ogładę, kolor światowy, i to wyższe wychowanie, które koniec końcowi jest jakby dobra pozłota; tak się pięknie świeci, że nie poznać nawet pod tego pod nią kruszczu. Czy mu mała głowa do rozumu przeszkadzała, tego sam przez siebie tak dalece nigdy nie doświadczyłem, bo że się na starość z młodą i ładną kobietą ożenił, to kategorycznie nie przemawia ani za rozumem, ani przeciw rozumowi. Zdania w tej mierze są podzielone; jedni tak, drudzy inaczej twierdzą. To wiem, że pan Aleksander uchodził nawet za uczonego w swoim czasie; a nawet niewyklą jak na Chodkiewicza wybrał sobie gałęź nauki. Miał być znakomitym chemikiem; a nawet pierwszy podobno zważyć potrafił powietrze i promień słoneczny. Zabawnie to zapewne musiało się wydać sławnemu Chodkiewiczów antenatowi, jeżeli zajrzał z tamtego świata, jak jego praprawnuk stara się promień słoneczny do jakiejś złowić chemicznej wagi; ale niemniej przeto ważna to jest dla nauki zasługa. Jakkolwiek bądź, miło to wiedzieć, ile człowiekowi padnie na nos przez dzień cetnarów, funtów, skrupułów czy granów promienia słonecznego — oczywiście, jeżeli człowiek nie ma na głowie czapki z daszkiem.

Mnie daleko więcej zajął drugi Chodkiewicz. Podobniuteńki do tamtego (bodaj nawet czy obydwa nie byli bliźniakami) i postawą, i małą głową, i rysami twarzy nawet, odznaczał się jak już nadmienilem szczególnym tej twarzy wyrazem. Był na niej ciągły i nieustanny uśmiech, ale to uśmiech prawdziwy, uśmiech tak szczerze śmiejący się, że ja patrząc na niego, już się mimowolnie śmiać musiałem. Rysy twarzy jego były nadzwyczaj ruchliwe, nie było na niej najmniejszego spoczynku, a miny i krzywienia się, jakie się przemieniały z dziwną szybkością na jego twarzy, dochodziły prawdziwego mistrzostwa. Dziś o ile sobie go przypominam, przekonany jestem, iżby mu nie wyrównał żaden najświetniejszy grymaser pomiędzy francuzkimi aktorami. W tych grymasach przeważała zawsze strona komiczna. A co mnie najwięcej cieszyło, że skoro mnie ujrzał, widocznie ku mnie zwracał całe bogactwo swej mimiki. Z początku wytrzymywałem to dosyć stoicznie, zaglądając ciekawie z za szalu matki, ale jak mi nagle lysnął grymasem przez całą twarz przeciągniętym, ustami, czołem i brwiami poruszył od razu, nie mogłem już się dłużej wstrzymać i parsknąłem głośnym śmiechem. Za mną rozśmiała się matka, za matką pan Aleksander i żona jego, za nimi starościna, a nakoniec i pułkownik Kobyłecki ryknął śmiechem tak potężnym, że aż wszystkie zadrżały szyby. Patrząc na nas wszyst-

kich śmiejących się, i mimik się rozśmiał, strojąc coraz inne a zawsze pocieszne miny. Pierwsza opamiętała się matka moja.

— To Józio! — szepnęła mi matka do ucha.

Więc to Józio! pomyślałem; i dopieroż wielkie na niego wypatrzyłem oczy. Wszystkie moje wyobrażenia o Józefach i Józjach przewróciły się od razu do góry nogami. Takiego ogromnego mężczyznę Józiem nie mogłem sobie wyobrazić; a przecież w tej jego całej tak pociesznej mimice, widziałem coś Józiovatego.

Wszystkie te myśli, nad którymi zastanawiałem się z całym nateżeniem, na jakie ośmioletni może chłopiec zdobyć się mogłem, przeszkodziły mi do śniadania, od którego mnie odrywały. Mniej daleko jadłem, aniżelibym to uczynił inaczej przy dziecinnem łakomstwie mojem.

— Józiu! — ozwał się głos pani starościny z drugiego pokoju — weź małego, i idź się z nim bawić.

— Jak tu się bawić? — pomyślałem — ja matce ledwie nad kolana wyrósł, a on taki ogromny drałąg.

Józio wszakże nie długo się zastanawiał; gdy usłyszał głos matki, porwał co prędzej garść szynki krajanej, którą zmiatał z zaskakującą szybkością, i zapakowawszy nią gębę, odpowiedział głosem przytłumionym, w którym przeważała piskliwość dziecięcego głosu:

— Zaraz idę mamó!

To rzekłszy porwał za rękę i pociągnął za sobą. A chcąc zapewne dobry dać mi przykład, zaczął podskakiwać, co przy jego figurze tem pocieszniej wyglądało. Ciężkie ozwało się za nami westchnienie matki zapewne. Szedłem za Józiem, ale z nieśmiałością jeszcze, tajemniczem przejęty drżeniem. Bo zaprawdę widziałem w nim coś dziwnego, coś prawdziwie bajecznego. Taki wielki, a taki dziecinnie. Siedziałem po uszy w tej zagadce, która mi się wyszczerzała w kształcie sylogizmu, chociaż na szczęście nie byłem jeszcze obznajomiony z nieubłaganymi rogami sylogistycznymi. — Jeżeli mężczyzna dla czego gada, krzywi się i skacze jak dziecko; a jeżeli dziecko, dla czego taki wielki wyrósł.

To był mój prawdziwie sylogismus cornutus.

— Pójdziemy do garderoby! — rzekł do mnie, połykając resztę szynki. — Doskonała szynka! — dodał poklaskując językiem. — Ale kiedy ją żałują; brat i matka nie tyle, ale ten Kobyłecki!... Czy wiesz, że on dzieci zjada?

— Co? — krzyknąłem z przerażeniem, i teraz dopiero zrozumiałem straszną pułkownika postawę.

— Nie bój się! — odrzekł Józio — nas nie zje! Ja dla niego za wielki, a ciebie nie będzie śmiał zjeść. On tylko chłopskie zjada dzieci.

— Ale że mu pozwalają! — zagadłem uspokojony w połowie tylko.

— Albo on się pyta o pozwolenie!... Wiesz co! — dodał ciszej —



ja ci radzę nie gadać głośno, bo widzisz... on ma taki palec u ręki, co wszystko słyszy, gdzie co mówią, i zaraz mu donosi.

Aż mi włosy na głowie stanęły, wszak wierzyłem w prawdziwość wszystkich takich rzeczy, które się zawsze w bajkach zdarzają. — Na moje szczęście weszliśmy w tej chwili do garderoby, i wnet myśli moje na inny weselszy zwróciły się tor.

W garderobie zamku Czarnobylskiego, która składała się z dwóch obszernych pokoi na ogród wychodzących, dawnym panów polskich zwyczajem mnóstwo było fraucymeru. Narachowałem z dziesięć może panien, które były niby zajęte szyciem, ale jak się zdaje, nie tyle igłą pracowały, ile naturalnym Boga darem, to jest mową, bo dochodząc już do garderoby słyszeliśmy gwar ogromny, co nawet dało Józiovi powód do przytoczenia złośliwego przysłowia, które wówczas po raz pierwszy usłyszałem, a nad którym, czy jest prawdziwe czy nie, zastanawiać się nie chcę.

„Jedna gęś dwie niewieście,

„Będzie jarmark w mieście!“... wyrzekł śmiejąc się.

Prócz panien sukienkowych, było w garderobie kilka dziewcząt mniejszych i większych w stroju wieśniaczym z dworska nieco przykraszonym, które otaczały ogromny komin, w którym naturalnie jak na zamku Świętoroga ogień nigdy nie wygasał. Prząd komina zastawiony był imbrykami i garnuszkami rozmaitej wielkości i kształtu. To była fabryka wiecznie trwająca kawy, a dziewczęta były kapłankami tego ognia, pilnującemi od rana do późnej nocy, by ogień nie wygasł, by fusy nie zbiegły, śmietanka się nie zwarzyła i należycie zmarszczonym, a białym i niepokalanym jak śnieg pokryta była kożuszkami. Ledwieśmy się pojawili na progu garderoby, przywitał nas śmiech powszechny i wesoły.

— Józio! Józio! — zaczęły krzyczeć panny garderobiane, a dziewczęta wiejskie białe tylko wyszczerzały zęby, nie śmiejąc przemówić inaczej.

I panny pozrywały się z miejsc swoich; wszystkie roboty rozleciały się na wszystkie boki, to na ławki, to na ziemię, to pod szafę i przyskoczyły do nas.

— Józio! Józieczku! chodź do mnie! — wołały na niego, kiwając figlarnie pokłutemi od igły palcami.

I Józio leciał to do jednej, to do drugiej, a każda przywitała go plackiem sowitym z nienacka. Widać nawet było, że takie zabawy nie były nowością, bo niektóre z panien miały już przygotowane z chustek pytki, któremi Józio z uśmiechem na ustach doskonale prażyły. Józio się tem zupełnie nie skonfundował, ale odwetował się co siły, machając długimi rękami swemi na wszystkie boki, przyczem i palce nie próżnowały, bo szczypał niemi na prawo i na lewo, co się wlaźło. — Z tego powstał pisk i krzyk niepospolity, a śmiechu co nie miara. Jeszcze nie śmiałem się mieszać do tej zabawy, ale to wszystko, a mianowicie ogromny Józio zaczynali mi się coraz więcej podobać.

Nagle porwał mnie Józio i wprowadził w środek zabawy, której wnet stałem się uczestnikiem, z całym zapalem właściwym memu

wiekowi. Nie zastanawiając się już dalej nad dziwną sprzecznością, jaka istniała między postawą a dziecinnem usposobieniem młodego Chodkiewicza, zacząłem naśladować go w skokach i szastaniu się, których mistrzostwo w duszy podziwiałem. To też bo Józio mimo długiej figury swojej dawał susy niesłychane, padając i podnosząc się z wielką radością całej garderoby. Panny oczywiście były najszcześliwsze, mając doskonałą sposobność zabawienia się, a mianowicie pozorny powód do próżnowania; bo jak się później dowiedziałem, te niewinne rozrywki młodego Chodkiewicza były nie tylko dozwolone, ale nawet matka i brat radzi byli, że choć tym sposobem może się zająć, przyczem jak się zaraz przekonałem, była niby i strona pożyteczna. Następowaty więc jedna po drugiej; główną wszakże między nimi rolę odgrywała ciuciubabka, której i ja wielkim byłem lubownikiem. Naturalnie puste panny tak to urządziły, że Józio ciągle prawie z zawiązanymi uwijał się oczyma, i częściej z piecem się zdybywał, niżeli z uciekającymi, które mu rozmaite wyprawiały figle. Śmiech i hałas do wysokiego dochodziły stopnia, tak że w całym zapewne domu słychać nas było.

— Józiu! Józiu! — zawołał głos kobiecy z drugiego pokoju.

Zauważałem już pierwej, że w drugim pokoju do garderoby także należącym, była jeszcze jedna z garderobian zapewne, miarkując po jej zajęciu, która do zabawy się dotąd nie mieszała. Stała ona dotąd przed wielkim stołem zajęta prasowaniem. Od czasu do czasu brała wodę do ust i przyskała nią jakiś pudermantel swej pani, a syczące po mokrych miejscach przeciągając żelazko, wtórowała nucąc należycie fałszywym i piskliwym głosem znaną piosnkę, która wówczas była rozkoszą wszystkich garderób. Niestety tak to przechodzi wszystko na świecie; wszakże to była piosenka naszego Karpńskiego, która wybiegłszy z czułego serca poety, przeleciawszy wszystkie szlacheckie dwory i dworki, przebrzmiewały już w garderobach pod nazwą świeckiej pieśni, by ją rozróżnić od pieśni nabożnych, jakimi były rozmaite kantyczki. Była to piosenka o Filonie, która, jeżeli mnie pamięć nie myli, zaczynała się od tych słów: „Psy się już uspiły“... Rymował z tem Filon miły, a było coś tam i o jaworze, i o romantycznej schadzce. Owoż ta panna z żelazkiem w rękę, choć przez nos nieco, ale z wielką tkliwością wywodziła te o Filonie romantyczne trele, co przy pryskaniu wody i syczeniu rozpalonego żelaza dziwnie pocieszne sprawiało wrażenie. Jej to nagle ozwał się głos i przerwał naszą zabawę, bo Józio usłyszawszy to zawołanie, pobiegł zaraz do drugiej izby, podskakując i wołając:

— Słucham panny Agnieszki!

Było to widocznie hasło znane do skończenia zabaw, jakoż panny garderobiane pozasiadały nazad w miejsca swoje, wyszukawszy porozrzucane roboty, przy czem zdało mi się widzieć, że z nie bardzo przyjaźnem skrzywieniem się poglądały na pannę Agnieszkę. Niektóre nawet spojrzały po sobie z złośliwym uśmiechem. Nic w tem nie było dziwnego, bo jak się dowiedziałem później, panna Agnieszka była niejako przełożoną w departamencie garderoby, i najstarszą bo nawet stołową panną. Jeżeli była najstarszą, trzeba to rozumieć



w przenośnem znaczeniu, bo inaczej nie byłaby to przyjęła panna Agnieszka nadzwyczaj drażliwa na punkcie chronologicznego wieku swego wyrachowania. Miała się za młodą, i biada której z podwładnych, gdyby miała zrobić jaką niezgrabną aluzję do wieku; nie ostała się pewnie w czarnobylskiej garderobie przed sekaturą panny Agnieszki, która póty ją męczyła i dokuczała, póki ją w końcu nie wykurzyła. Panna Agnieszka poczuwała się do młodości, i młodą być chciała, co zresztą w całej odbijało się powierzchowności. Zaczawszy od romantycznej pieśni o Filonie, wszystko to lubiła, co znamionowało młodość serca i ciała. Ubrana w najżywsze i najjaśniejsze barwy, przewracała oczami, i wzdychała w sposób najtkliwszy, przybrawszy sobie górnotne wyrażenia, które pochwytawszy tu i owdzie, łączyła razem w szyku najpocieszniejszym. Czy była młodą jeszcze w istocie, tego poznać nie mogłem, nie będąc w wieku zdolnym do rozróżniania prawdy od sztuki. Przypominam sobie tylko, że mnie zaimponowała wysokością i chudością swoją, i długością niezwykłą twarzy, po której spuszczały się dłuższe od niej loki, owej barwy niepewnej, kasztanowatej prawie, którą nie wiem z jakiego korpusu arystokratycznego za moich czasów nazywano po dworach szlacheckich lokajską barwą. Uderzyły mnie też cudnie żywe na twarzy rumieńce, które w dziecinnej naiwności mojej miałam za obraz i za znamie młodości. Towarzyski przebąkiwały coś o buraku, ale głośno by tego wypowiedzieć nie śmiały, bo rzecz nie była bezpieczna. Panna Agnieszka była ważną w domu osobą; miała wielkie poważanie u samej pani starościny, przy której była od lat już bardzo wielu. Powiadano sobie nawet po cichu, że pani starościna ma wielkie powody oszczędzania panny Agnieszki, wtajemniczonej w najskrytsze jej życia minionego tajemnice. Z panem pułkownikiem inny był znowu stosunek. Pułkownik mimo całej srogości, z jaką występował na dworze Czarnobylskim, dla garderoby był nadzwyczaj pobłażający i zniżał się nawet do rozmowy uprzejmej z pańkami, a nawet obdarzał je rzadkim na swej twarzy uśmiechem. Nie odbiegał nawet od dawania rad młodszym pańkom, by się na pańskim dworze znaleźć umiały. Pani starościna nie koniecznie znajdowała to potrzebnem podżegana do tego przez pannę Agnieszkę, która jej wizyty pana Kobyłeckiego w najgorszem wystawiała świetle. Wprawdzie panna Agnieszka w pierwszych chwilach poznania swego z panem pułkownikiem, wielce dla niego była grzeczną i uprzejmą, ale poznawszy jego fałsz i krzywy sposób widzenia, zmieniła swoje dlań sentymenta.

— Są teraz jak pies z kotem! — mówiła Marcysia najmłodsza z pańien, która się ujęła mojej w czasie ciuciubabki rozczochranej głowy, i w czasie czesania rozpowiadała te wszystkie szczegóły z wielką zwinnością języka.

— Jedno drugiemu przystawia stołki u jaśnie wielmożnej pani! — mówiła Marcysia dalej.

Wyrwałem się przecie od Marcysi i pobiegłem popatrzeć, co mój towarzysz Józio w drugiej robi izbie. Zostałem go przed panną Agnieszką, w błagającej postawie.

— Ależ proszę panny Agnieszki, bardzo proszę, koniecznie proszę, moja kochana panno Agnieszko! — Serdeczne jego prośby tem były zabawniejsze, że biedak mimo wieku i wzrostu miał wymowę dziecięcą, szeptawą.

Panna Agnieszka zdawała się być nieubłaganą, i nic nie odpowiadała; wszakże przeszkadzało jej do tego ciągle pryskanie wodą, co w mojej dziecinnej wyobraźni nadawało jej podobieństwo do kota.

— Koniecznie chcesz wziąć ślub? — raczyła wreszcie przemówić panna Agnieszka.

— Ślub! ślub! — zawołał Józio podskakując i klaszcząc w dłonie, — ślub z panną Agnieszką!

Wielkie wypatrzyłem oczy, naiwnie wierząc w proste słów znaczenie. Rozumiałem po mojemu ważność ślubu, ale po szlachecku wychowany, w ogromnem rozumieniu o wielkości szlacheckich nazwisk, nie mogłem pojąć, jak może być mowa o ślubie garderobiany z Chodkiewiczem. Byłem kompletnie skandalizowany, a przytem nadzwyczaj ciekawy, co z tego wyniknie. Obrawszy zatem stanowisko na drewnianym stołeczku, patrzałem uważnie na aktorów tej wedle mnie ogromnie ważnej sceny.

— Ależ ja nie mogę!

— Ależ ja proszę!...

Długo jeszcze trwały te prośby i odmówienia, które ja brałem za dobrą monetę, a to tymczasem zupełnie się miało inaczej. Rzeczywiście, jak się to już później od matki mojej dowiedziałem, żenić się, brać ślub, było marzeniem najulubieńszem młodego Chodkiewicza. Nie szło mu ani o treść rzeczy, której zapewne nie rozumiał, ani o osobę, z którą by się miał żenić, ale jak się zdaje o sam akt, o jego może uroczystość, która mu najwyraźniej furą siana do głowy zajechała. Po jakiej drodze przyszedł do tej myśli? jak mu się ona w głowie wyrobiła? jakie przybrała kształty? nikt nie mógł odgadnąć; bo i któż jest w stanie pojąć operację niedoścignętego umysłu, jakim opatrność obdarzyła biednego Józia Chodkiewicza.

Tu miejsce powiedzieć, że to, co powiedziałem dotąd o Józiu, żadna nie jest przesada, ale najzupełniejsza prawda, o której nie jeden jeszcze z żyjących przypomni sobie, bądź że go sam jeszcze żyjącego widział (Józef Chodkiewicz umarł jakoś około r. 1830), bądź że słyszał o nim od ludzi mających bliższe z Chodkiewiczami stosunki. Ja to opowiadam, co po części sam widziałem, a po części z najpewniejszych wiem źródeł.

#### IV.

Józio tedy Chodkiewicz urodził się zdrowem dzieckiem i chował się najlepiej, bez wszelkiego przypadku, któryby mógł stać się powodem tłumaczącym jego późniejsze usposobienie. Nigdy nie chorował, ani też upadł na głowę, lub się potłukł, z czegoby pójść mogło wstrzą-



śnienie mózgu, i wynikająca ztąd dezorganizacja umysłowa. Tyle tylko było w nim różnicy od innych dzieci, że długo bardzo patrzył na otaczające go przedmioty bez wszelkiego wyrazu pojętności wzrokiem błędzącym bez celu, zwierzęcym prawie; długo też trwało, zanim się nauczył mówić. Przychodziło mu z największą trudnością twardsze wymawiać zgłoski, i ta trudność została mu na zawsze, zkąd też pochodziło to jego dziecinne szeplenie. Równie trudno przychodziło mu o pojęcia, które się nadzwyczaj leniwie wyrabiały w jego małej głowie. Fizycznie przytem prosperował najdoskonalej; rósł jak na drożdżach, wyglądał czerstwo i rumiano, skakał i bawił się jak drugie dzieci, a miał przytem apetyt najzdrowszy i humor najlepszy. Gdy wreszcie język mu się rozwinął i pojęcia rozwinęły do pewnego stopnia, jakby w pięcioletniem dziecięciu, tak już zostało na zawsze. Wyrósł i zmężniał; stał się ogromnym mężczyzną; ale wyraz na twarzy pozostał dziecięcy, język dziecięcy i wszystkie pojęcia dziecięce. Nadaremne były wszystkie usiłowania, o które w mającym rodzic Chodkiewiczów nie było trudno. Wożono go po różnych lekarzach, sprowadzono najuczestszych i najslawniejszych medyków, którzy nabrali nie mało pieniędzy; nagadali za to mnóstwo uczonych rozpraw o ciele i o duszy, o mózgu i o nerwach, które wszystkie warte były druku, tyle w nich było głębokich wiadomości, ale Chodkiewiczowi nic nie pomogli. A co więcej nie umieli nawet powiedzieć, jakie mogą być przyczyny tego fenomenu. Przewrócili do góry nogami wszystkie księgi medyczne, dobyli na wierzch wszystkie dawno już pobutwiałe systemata, porównywali wszystkie najdziwniejsze pojawy ze strony psychologicznej, fizycznej, anatomicznej, i Bóg wie jakiej jeszcze, a w końcu przyznali się do Sokratesowskiej niewiadomości. Ażeby przecie coś powiedzieć za grube pieniądze, jakich się nabrali, zadecydowali ostatecznie, że przez pewien błąd organiczny w mózgu, błąd uciekający przed wszelką rozumową analizą, delikatne nerwy i muszkuły mózg składające, przez niejakie rozwolnienie, nie mają należytego hartu i energii, by odbywały działanie myślenia w całej sile. Według nich mózg Chodkiewiczowski wyglądał niby na gitarę rozstrojoną, której wiszące struny pełnego tonu wydać nie mogą. A że tej gitary mózgowej nastroić nie mogli, więc rozjechali się przekonani wszakże, że przez same ich uczone dysertacje, jakkolwiek bezowocne, sztuka medyczna nadzwyczaj się posunęła. To pewna, że z samych korespondencji między medykami o mózgu Chodkiewiczowskim, można było bezpiecznie ułożyć sporą biblioteczkę na gościnny obroczek dla profanów.

Gdy już medycy dali za wygraną, udano się do środków poboznych; gdy ludzie nie pomogli, matka udała się do Boga. Udawała się do miejsc cudownych, jakie tylko były w kraju i za krajem; odbywała ona i drudzy za nią piesze pielgrzymki; bogate szły dary do wszystkich Świętych. Ubogim dawano sute jałmużny; posty zaprowadzono surowe, a jeżeli sama staroscina dla zdrowia pościć nie mogła, pościł dwór cały, pościli komisarze, kozaki, pościli w garderobie i w izbie czeladniej, pościli chłopci po wsiach, modląc się za mózgiem Chodkiewiczowskim, wedle owoczesnych rozumowań i pojęć.

A kiedy i to nie pomogło, udano się do szatana, do złych duchów, i użyto w pomoc wszystkich najdziwaczniejszych guseł, jakie tylko kto sobie mógł przypomnieć. Sprowadzano dziadów i baby, co umieli zamawiać wszelkie słabości; przewracano cmentarze, wykopując kości i szaty nieboszczyków; szukano po nocy ziół cudownych i niewidzianych; wychodzono w północy na drogi rozstajne, wymawiając słowa kabalistyczne. I to się na nic nie przydało; nic nie pomogło nieustanny sejmik guślarski, który z zamku Czarnobyłskiego zrobił rodzaj łysej góry; rozwolnienie mózgu Chodkiewiczowskiego zostało rozwolnieniem na zawsze. Na tym ostatnim wszakże środku zarobiono coś przecie. Gdy się w tę sprawę mózgową wdały gusła i zabobony, wynaleziono przynajmniej mnóstwo przyczyn, z których miał niby pochodzić stan umysłowy młodego Chodkiewicza. Wszystkie te przyczyny były jedna nieprawdopodobniejsza od drugiej, ale były zawsze przyczyny; a po prawdzie dla rodziny Chodkiewiczów na jedno wychodziło, czy mózg Józiowy jest rozwolniony, czy zaczarowany. To pewnikiem zostało, że jest jakaś przyczyna nadnaturalna. A więc utworzyło się pole do wszelkich tajemnic. Zaczęła się gonitwa za tajemnicą; niestworzone wyrastały bajki, rozprowadane i przerabiane przez wszystkich okolicznych plotkarzy, którzy na to sadzili swe niewyczerpane wyobraźnie. A jest to już rzeczą starą jak świat, że łatwiej o sto kłamstw, niżeli o jedną prawdę.

Jakkolwiek mózg Chodkiewiczowski ważnym być może przedmiotem, rozpisałbym się o nim zanadto, gdybym przytoczył wszystkie domniemywania, na tajemniczych zaciekaniach ugruntowane. Dwie tylko główne podniosę wieści, najwięcej w moim czasie na Polesiu akredytowane, które choć się różniły między sobą, miały jakąś przecie wspólną analogję.

Jedni więc twierdzili, że pani Chodkiewiczowa będąc w błogosławionym stanie, siedziała razu jednego samotnie w swoim salonie warszawskim. Słowo to samotnie przy opowiadaniu tych szczegółów, wymawiało się z przyciskiem, bo pani starościna żmudzka wedle poleskich nowiniarzy lubiła zabawy, na których nie brakowało w jej pałacu warszawskim. Tu opowiadający, czego wyraźnie nie opowiedzieli, to wymrugali i dobitnymi ilustrowali giestami. A wszystko to aby obmówić, nie obmawiając niby, i dać do zrozumienia słuchającym, że pani starościna była skłonna do romantyczności.

— Pułkownik Kobyłecki jest następcą wielu przodków! — mówił opowiadający chorąży z dowcipnym uśmiechem.

Tyle zaś było w tem prawdy, że starościna była młoda, lubiła się bawić, a obyczaje owoczesne warszawskie były dosyć lekkie. Młodzieży było wiele w Warszawie; umizganie się było w modzie, a z młodymi jużciż zabawa i rozmowa zabawniejsza, niżeli ze starymi. Lecz tym razem starościna siedziała samotnie, i co się jej rzadko trafiało, była smutna i zadumana. Może jej przyszło na myśl smutne zdarzenie, co obiegało wówczas salony warszawskie, którego przedmiotem był pojedynek. W tym pojedynku zginął tragiczną śmiercią jakiś młody i przystojny oficer, a przyczyna pojedynku osłonią była



tajemnicą, co tem większy dawało powód do najrozmaitszych wieści. Domniemywano się wszakże jakiegoś romantycznego powodu.

Nagle otwierają się podwoje salonu, i rozbudzonem z dumania oczom pani starościny pokazuje się postać kobiety zamaskowanej. Jak ta kobieta weszła przez służbę niepostrzeżona i niewstrzymana, to tajemnica. Jak była przebrana, to także tajemnica. Dla czego na jej widok przestraszyła się starościna, tajemnica. Co maska mówiła do starościny, tajemnica!... Bo nikt przecie nie był w salonie i nie mógł słyszeć, co obie panie mówiły do siebie. Ale że nowiniarze wszystko wiedzą i wszystko słyszą, więc z tej tajemnicy to się odkryło, że maska płakała i wyrzekła okropnie słowa obłąkanemi, jako straciła co miała najdroższego, jako nie już jej nie pozostaje na świecie jak tylko umrzeć, i że ją tylko wstrzymuje niemowlę, które już nie ma ojca. Starościna naturalnie zrobiła słuszną uwagę, że ją to nic nie obchodzi, lecz maska innego była zdania, i żądała od starościny, by ta się zajęła losem jej niemowlęcia, które miało zostać wkrótce podwójną sierotą. Ztąd nastąpiła scena gwałtowna; maska wpada w coraz większe obłąkanie, wylewa potoki łez i wymowy, i w końcu podnosi rękę z palcem do góry i okropnie rzuca przekleństwa. Maski znika bez śladu; starościna mdleje; zamieszanie w pałacu; nikt nic nie wie, co się stało: maski jak nikt nie widział, tak i nikt już nie znalazł; ani słycho o obłąkanej kobiecie i o niemowlęciu; przychodzi wreszcie na świat biedny Józio z swym mózgiem rozwolnionym.

W całym tem zdarzeniu niema związku wielkiego, ale że grunt tajemniczy, pole do epizodów ogromne, więc i dosyć dla nowiniarów; i jest przyczyną choć nie zbyt jasną, ale tem ponętniejszą, dla czego Józio pozostał dzieckiem, choć w mężczyznę wyrósł. Taka była jedna bajeczka. Przystąpmy teraz do drugiej bajeczki.

Było to już po urodzeniu Józia. Do nowo narodzonego przyprowadzono mamkę z dóbr pani starościny. Była to kobieta młoda, zdrowo wyglądająca, i wszyscy Eskulapi zgadzali się na to, że jej pokarm będzie zdrowy i pożywny. Ale czego nikt nie uważył, ani Eskulapi ani profani, ona miała w oczach coś... To coś wymawiał opowiadający cześnik z nadzwyczajnym przyciskiem i mimiką nadzwyczaj wyrazistą. Niewyraźność tego słówka starał się wyświecić i oczami, i palcami i skrzywieniem wiele znaczącym całej twarzy. A że w końcu coś jest bezgraniczne, więc słuchacze ważne stroili miny, kiwając głowami i mrugając oczyma. Każdy z nich miał gotowiuteńkie własne coś, którem dopełniał niewyraźne określenie.

Przeszłość Józiowej mamki miała być taką według pana cześnika. Urodzona na Polesiu, kraju pełnym zabobonów i czarów, miała matkę, którą bardzo kochała. Ale na nieszczęście ta mamka była czarownica, co było niewątpliwem; władza jej bowiem nieczysta, której wpływu doznawały wszystkie krowy okoliczne przez nią zamówione, najdowodniej się objawiła przez pławienie.

— A wiadomo przecie — dodawał Cześnik zażywając tabaczki — że pławienie jest najlepszym kamieniem probierczym do poznania czarownic. Choćbyś im kamień uwiązał do szyi, nie pójda na spód.

Otóż matka Józiowej mamki, choć nie pornęła do głębi Dniepru czy Prypeci, na której ją pławili, ale w skutek — zapewne zimnej kąpieli mimo władzy czarodziejskiej, która tym razem okazała się niedostateczną, zakończyła swój żywot. Córka była w rozpacz tak dalece, że bano się, by nie chciała pójść za mamkę. Rozpacz ta miała w niej pozory obłąkania prawie, tak okropnemi i dziuknemi wyrzekała przekleństwa na ludzi mianowicie, którzy jej matkę zabili. Chęć ta wzmogła się jeszcze później z osobistego powodu.

Kochała parobka, który służył we dworze, i który przyrzekł, że się z nią ożeni. Dla czego się nie ożenił, dla czego dwór był temu przeciwny, to wszystko były tajemnice, których chyba z twarzy opowiadającego cześnika dorozumieć się można było. Dosyć, że w kilka miesięcy po śmierci matki Krystja (tak się nazywała córka czarownicy), w późnej nocy jesiennej, siedziała sama jedna na grobie matki, pochowanej na rozdrożu. Długo żalonym zawodziła głosem, nie zważając na plutę, co deszczem rześystym padała na jej głowę i na wiatr, który targał jej włosy na wszystkie strony. Ona rozpacziała tym razem za kochankiem, którego oddano w rekruty, i który właśnie przed wieczorem w dyby okuty powędrował gdzieś w dalekie strony, daleko aż za Kijów. Jakby w konwulsjach rzucała się pomogile matczynej, okropne rzucając słowa w noc ciemną i burzę jesienną; aż psy zawyły w dalekiej sadybie, aż puszczyk na dzwonnicy żalobnym zajęczał głosem, aż ptak jakiś czarny a ogromny, jakby duch złego jej słowami wywołany, trzykroć przeleciał nad jej głową. Nagle znikł jej głos, łyzy przestały płynąć; Krystja zerwała się na nogi z zaiskrzonymi oczami i zaczęła palcami dziwne jakieś robić znaki. Nie darmo była ona córką czarownicy; nie jedno nauczyła się od matki. Odtąd zaczęła biegać po nocy, najdziksze wyszukując miejsca; wałęsała się po drogach rozstajnych, po cmentarzu, i nawet biegała pod szubienicę w bliskim mieście, na której cygan jakiś wisiał; i ciągle gadała, jakby prowadziła z kim rozmowę, a rozmaite o różnych porach zbierała zioła. Tymczasem została matką, i odtąd już ją nikt nie widział biegającą. Po całych dniach i nocach pieściła i huściła małe dziecię, śpiewając nad niem wszystkie tęskne piosenki poleskie. I po cóż miała chodzić pomiędzy ludzi; wszyscy na wsi i w miasteczku wskazywali na nią palcami, a nawet dziewiczą kosę ucięto jej przed cerkwią na znak sromu; a chłopcy krzyczeli za nią obrzucając błotem i kamykami:

— To córka czarownicy! to kochanka rekruta!...

Lecz że wszystko w świecie przemija, i to się utarło jakoś, i kazano jej iść do dworu na mamkę. Oprzeć się nie można było; Krystja została mamką małego Józia; i dla czegoż nie miała pójść? Jej dziecko umarło tej samej nocy, co poprzedziło pójście do dworu.

— O tej śmierci! — rozpowiadał patetycznie pan cześnik — szeroko Dawid pisał. Różnie różni gadali. To pewna, że najlepsze czary dają się wyprowadzić z niewinnej krwi małego dziecięcia. — To wyrzekłszy cześnik, zwykle przestaniek robił, i patrzył po zamysłonych słuchaczach, ażali rozumieją głęboki i tajemniczy sens tych słów. — Koniec końcowi — mówił cześnik wreszcie — Krystja wy-



karmiła Józia Chodkiewicza zdrowo i szczęśliwie, ale takim, jakim go dzisiaj widzicie. Jakim się to wszystko stało sposobem, Bóg to jeden wie najlepiej.

Słuchacze byli także zadowoleni, czegoż więcej trzeba było! Już to z tego powodu były na Polesiu dwa stronnictwa; jedno wierzowało w opowiadanie pana chorążego, drugie przenosiło bajeczkę cześnikowską. Przy zjazdach nawet, powstawały sprzeczki między dwoma stronnictwami, bo oba przy swoim obstawali. Jeden podkomorzy Baranecki, który miał niewyczerpany rozum i niewyczerpaną piwnicę, umiał godzić zwaśnionych.

— Mocium serce! — mawiał — co wasinziejom szkodzi wierzyć w obie wersje. Chorążego awantura warszawska przysłała pierwej, a cześnika czarnobylska mamka później. Napijmy się mocium serce, i kwita!...

Jakkolwiek kwestja była wielka, ale wymowa pana podkomorzego jeszcze silniejsza. To też zwykle kończyło się na tem, że się oba stronnictwa i chorążowskie i cześnikowskie popiły u podkomorzego doskonale, i kładziono ich pokotem na słomie w najlepszej komitywie, jednego obok drugiego.

Oto jest cała historia o nieszczęśliwym mózgu Józia Chodkiewicza, cierpiącym wedle Eskulapów na jakoweś rozwolnienie. Opowiedziawszy ją, wracam za pozwoleniem czytelników moich do garderoby i do panny Agnieszki, certującej się z młodym paniczem o ślub.

## V.

Józio domagał się od panny Agnieszki ślubu koniecznie. Jak już mówiliśmy, trudno było odgadnąć, jakim sposobem w dziecinny Józia umyśle wkorzeniła się myśl o ślubie z uporem, którym się odznacza u ludzi obłąkanych każda idea fixa. To pewna że było to, jak o tem starsi opowiadali między sobą, jego nieustannem marzeniem, tak, że wedle jego dziecinnego usposobienia, branie ślubu do jego pojęć zastosowane, wydawało mu się najponętniejszą zabawką, miłszą daleko od ciuciubabki, od czterech kątów a piec piąty, od mruczka, i od innych zabawek tego rodzaju, które codzień odbywał w Czarnobylskiej garderobie. Była to niejako strona poetyczna jego usposobienia zresztą dość prozaicznego, jedyna strona uczuciowa, na jaką zdobyć się mógł umysł biednego Józia. Było to może nieświadome ozwanie drzemającego w nim uczucia, które mu szukać kazało w koło siebie jakiejś czulszej sympatji, na jakiej mu brakowało w całym jego otoczeniu. Wszakże biedny i dziecinny Józio w swym stanie a normalnym, nie wiele doznawał sympatji od najbliższych krewnych, dla których niczem innem być nie mógł, jeno przedmiotem zobojętniałej i znudzonej przez czas, raczej obowiązkowej, niżeli serdecznej litości.

Panna Agnieszka długo się drożyła, przyczem nadawała swej twarzy najpocieszniejsze wyrazy, najpocieszniejszej niby skromności i dziewiczej pruderji. Grając oczywistą komedję, bo jużciż wiedziała,

że to komedia tylko, zdawała się brać ją na serio. Może odgrywając rolę w zaimprovizowanej komedji chwilowej, chciała próbować swych sił, by być przygotowaną, gdy przyjdzie tę samą rolę odegrać na prawdę w ważniejszej a prawdziwej życia chwili, jak aktor który odgrywa przed zwierciadłem scenę, w której ma wystąpić na deskach teatralnych. Młodsze koleżanki panny Agnieszki chychotały w drugim pokoju, pokazując sobie z cicha wszystkie jej ruchy, wzdychania i wywracania oczów; czyniły to wszakże pokryjomo, znając w tej mierze niebezpieczną jej drażliwość. Dla mnie dziecka prawdziwego nie wydawało się to komedją zupełnie; to też dechy w sobie zapierałem i z wybaluszonymi siedziałem oczyma, by z tej sceny ciekawej nie stracić ani jednego słowa, ani jednego giestu.

Biedny Józio ukląkł wreszcie, i aż do łez poruszony, zaczął błagać zapłakany głosom. I mnie się na łzy zbierało; omal, że nie ukląknę także. Dumne przesady w jakich byłem wychowany, ustąpiły rozczuleniu; zaczynałem wierzyć w możliwość ślubnego związku Chodkiewicza z garderobianą. Wprawdzie nieraz mnie jeszcze ogarnął strach na myśl, co to będzie, gdy się ta cała rzecz odkryje, a nawet porywał mnie i osobisty lęk, czyli i mnie się co nie oberwie jako świadkowi takiej nadzwyczajnej sceny; ale śnać już wówczas przeważała spiąca w zarodku żyłka powieściarska, lubiąca się w romansowych zawikłaniach. Uważałem, że panna Agnieszka stawiała się coraz mniej srogą; oczami zdawała się mrugać z coraz większym rozrzewnieniem, a usta coraz czulej stulała. Nagle spojrzawszy do drugiego pokoju, przebiegając uważnym okiem wszystkie koleżanki swoje, i skłaniając się ku klęczącemu, rzekła z cicha, przykładając palec do ust:

— Starościcu! bądź tylko ostrożny, a ślub będzie; ślub na prawdę — dodała jeszcze ciszej i z pewnym przyciskiem.

— Będzie ślub! będzie! — zawołał głośno, i podskoczył z wielkiej radości.

Koleżanki panny Agnieszki śnać usłyszały radośne wykrzyknienie, bo się wszystkie ku nam zwróciły, i zaśmiały śmiechem warjownym na całą skalę piskliwych głosów.

— Cyt! — szepnęła panna Agnieszka.

— Ale wiesz Józiu przecie — dodała głośniej ze zmienionym wyrazem, — jaki pierwszy do ślubu warunek?

Józio poskrobał się w głowę; śnać mu ten warunek nie przypadł do smaku, a panna Agnieszka odsunawszy szufladkę, zaczęła przewracać schowane w niej okrawki płótna, materji, nici, jedwabiu, igieł i napastrków; zbiór prawdziwie garderobowy. Rozciekawiony czekałem końca, bo i mnie zaintrygował warunek ślubu; dobrze było zawczasu się o nim dowiedzieć. Mimo dziecinnej naiwności mojej, uderzyła mię różnica w wyrazie twarzy panny Agnieszki, tak odmienna w czasie szeptu i głośnego gadania. Głośno nazwała go Józiem, a po cichu starościcem. Wyznam szczerze, że w tej chwili ta druga nazwa, zastosowana do Józia, zrobiła na mnie komiczne wrażenie. Józio starościec wydało mi się nadzwyczaj śmiesznem. Dobyła wre-



szcie panna Agnieszka z szuflady książeczkę, po której powierzchowności zmiętej i obdartej, przeczułem zaraz elementarz. Nawet zapach elementarza wionął ku mnie; a proszę się nie śmiać, elementarz dla dziecka nabiera pewną woń tajemniczą, tak, że na prawdę nieraz trafiło mi się w dzieciństwie, że nos mój przeczuł pierwszy zbliżanie się straszego elementarza w rękę matki czy nauczyciela.

I Józiovi zadrzała mina na widok elementarza; żal mi się biedaka zrobiło. Odbywanie ślubu małżeńskiego zaczynało mi się przedstawiać w niebardzo korzystnym świetle; warunek elementarza wcale mi się nie podobał.

— Głupi Józio! — pomyślałem — potrzebował tak gorąco domagać się ślubu.

— Idź Józio do elementarza! — ozwały się głosy z drugiej garderoby, wesołemi chychotami przerywane. Panny garderobiane drwiły jeszcze z Józia.

Ten warunek elementarzowy, czego się w owej chwili nie domyślałem, był naumyślnie wymyślony z głowy samej starościny, aby korzystając z ślubnej manji Józia, próbować, czy się nie dadzą wpakować jakie wiadomości do rozwolnionego mózgu młodego Chodkiewicza. Mimo, że codzień przechodzić musiał przez ten warunek, czego dowodził doskonale zużyty elementarz, tak zbrukany, że ledwie już na nim litery przeczytać można było. To ćwiczenie elementarzowe wprowadziło mnie na inny szereg myśli. Wszak i ja się już znałem z tą szanowną podstawą wszelkich nauk i umiejętności. Ale ja już przełamywałem bajeczne trudności chrząszcza brzmiącego w trzcinie; z dumą i nieco pogardliwą litością patrzałem na ogromnego Józia, jak się pocił i jękał nad prostem B, a, — ba. To ba było dla niego szkopułem niepospolitym, bo ubrzało mu się koniecznie B, a, wymówiwszy osobno, złożyć w Adam.

— B, a, powtarzał; Adam! I tak było codzień; jest to ledwie do uwierzenia, ale tak było na prawdę.

Panny w drugiej garderobie aż się kładły od śmiechu; wyznać muszę, że i ja nie mogłem się powstrzymać także, i zaśmiałem się na całe gardło. Korzystając z wrzawy, panna Agnieszka wskazując niby litery drewnianym patyczkiem, schyliła się do Józia, i jak pierwszej przyłożyła palec do ust, z gięstem pełnym znaczenia.

— Cyt! starościcu! nie mów nic nikomu! Będzie ślub, ale nie ze mną!...

— Nie z panną! — zaczął głośno; ale panna Agnieszka co prędzej zamknęła gębę elementarzową wskazówką, a minę zrobiła tak okropnie srogą, że aż ja zadrzałem, a starościec zbladł i osłupiał z zadziwienia oczy w dół spuścił.

— Jakże można być takim nieukiem! — mówiła głośno panna Agnieszka — proszę dobrze sylabizować, bo jak cię Kocham Józio, nie będzie nic ze ślubu.

Posłuszny Józio wziął się znowu do abecadła, ale z Adamem co mu się uparł na języku, nie mógł dać sobie rady. Musiała panna Agnieszka przeskoczyć ten szkopuł, i przekonałem się, że Józio

dzięki ślubnej manji swojej, doszedł aż do litery P. Sylabizując wszakże, ciągle zwracał ciekawe i pytające oczy na swoją nauczycielkę. Panna Agnieszka udawała z początku, że nie rozumie miny pytającej, lecz po chwili obejrzwawszy się, szepnęła:

— Sylabizuj głośno, aby te gawrony tam nie słyszały.

— Fa, fe, fi, fo, fu! sylabizował Józio głośno a zawzięcie, a ucho podsuwał coraz bliżej.

Pokazuje się, że manja ślubowa dowcipu mu nawet dodawała. Już to i ja natężałem uszy niepospolicie; moja choć dziecinna, ale zawsze żywa wyobraźnia nastrojała się do czegoś nadzwyczajnego.

— Będzie ślub... ale nie ze mną!... nic nie mów!... nie ruszaj się, bo nic nie powiem. Proszę głośniej i wyraźniej sylabizować.

— Ga, ge, gi, go, gu! — wrzeszczał Józio.

— Panna śliczna!... — szeptała Agnieszka.

— Ha, he, hi, ho, hu! — huczał Józio całą gębą, a całym uchem słuchał.

— Młoda i dobrego rodu!...

— Kto taki! — wystrzełił Józio, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

— Sylabizuj mi w porządku! — krzyknęła panna Agnieszka, i ucznia swego potężnym potraktowała kłapsem.

— Już więcej nic nie powiem starościcowi, kiedyś taki — dała ciszej.

— Już ani słóweczka nie powiem — błagał przestraszony uczeń.

— Ja! je, ji, jo, ju! — walił dalej.

— Wkrótce będzie ją starościc widział! — szeptała znowu panna Agnieszka.

— Ka, ke, ki, ko, ku! — wymawiał z przyciskiem.

— Ale ani słówka przed nikim, bo starościc zginąłbyś niezawodnie, i panna by zginęła.

Biedny Józio nie należał do odważnych, zadrzał cały.

— La, le, li, lo, lu! — sylabizował przecie z wielką przytomnością nie bardzo przytomnego umysłu, i ukradkiem do ust palec przyłożył.

— Może jeszcze dziś będziecie się widzieć!...

— Ma, me, mi, mo, mu!...

— Ona starościca bardzo kocha.

To już nadto było na starościca; usłyszawszy te słowa, takiego dał susa, że nie tylko elementarz poleciał pod piec, ale i stolik się przewrócił.

— Kocha! — zaczął krzyżeć, i skakał po całym pokoju jak szalony, wylażąc na wszystkie kufry i stoliki.

Panna Agnieszka nie straciła głowy; zaczęła też krzyżeć jeszcze przeraźliwiej, tak że wnet zagłuszyła Józia.

— A to trzeba być nieukiem! oszalał czy co!...

Do powszechnego gwaru przyłączył się śmiech pańien w drugim pokoju, które zda się niczego nie dorozumiewały. Zauważyłem wszakże,



że Marcysia owa młoda garderobiana, co to mi włosy przeczesywała, od niejkiego czasu zdawała się szukać czegoś po pokoju, przeklinając kłębuszek, który się jej wymknął, i w tej kwerendzie ciągle się kręciła koło drzwi do nas prowadzących. Zdało mi się nawet, że parę razy widziałem zwrócone ku nam jej oczy, i dłużej przy drzwiach przycupnęła, niż może jej ściśle było potrzeba.

Józio tymczasem przestał biegać i skakać, i zapewne zmiarkowawszy się, o ile co mógł zmiarkować w swoim usposobieniu, wysyłał przepaszające spojrzenia ku pannie Agnieszce. Zwyczajnie jak u dziecka, ciekawość wszystko przemagała. Ale panna Agnieszka zdawała się na prawdę być rozgniewaną, i nie przedstawiała huczeć i wrzeszczyć.

Józio widząc to, podjął elementarz z ziemi z największą pokorą i nuż chodzić krok w krok za panną Agnieszką, która jak zaperzona biegała z kąta w kąt, rzucając wszakże przytem ukradkowe spojrzenia do drugiej garderoby. Zdało mi się, że przy tej sposobności zdybały się parę razy jej oczy z oczami Marcysi, ciągle ku nam zerkającej; i oba spojrzenia odskakiwały od siebie z niewielce przyjemnym wyrazem. Nie było jak się zdaje sympatji między niemi, i być zaprawdę nie mogło. Marcysia była najmłodsza i najprzystojniejsza, panna Agnieszka najstarsza, i by nie być bardzo niegrzecznym, najmniej ładna w całej garderobie.

— Na, ne, ni, no, nu! — mówił Józio pochlebnyim głosem, biegnąc za rozgniewaną.

— Nic z tego — odpowiedziała Agnieszka.

— Pa, pe, pi, po, pu! — nie ustawał błagać elementarzem i tak skruszonym głosem, że mi serdecznie żal było biednego Józia.

Panna Agnieszka była w tej chwili w najdalszym kącie garderoby, między dwoma olbrzymiemi szafami, między którymi jak mi nagle przyszło na myśl, doskonale byłoby się bawić w schowanego. Tam się odwróciła ku niemu, i znowu palec przyłożyła do ust.

— Nic więcej powiedzieć nie mogę, — rzekła do niego z cicha!  
— będziesz ją widział wkrótce, ale cyt! osobliwie przed wąsaczem.

Moja wyobraźnia była tak nateżona, iż od razu zrozumiałem, jako pod wąsaczem rozumie Kobyłeckiego.

— Dosyć na dzisiaj — wyrzekła głośno, zbliżając się do środka garderoby.

— Ale ślub! — błagał Józio

— Ślub na jutro! — odpowiedziała nauczycielka z pół uśmiechem — może jutro lepiej będziesz sylabizował.

— Ślub! ślub! — zakrzyczały panny w garderobie, prosząc i śmiejąc się razem.

— Ślub! — i ja zaszepotałem nieśmiało, bo byłem nadzwyczaj ciekawy tego aktu ślubnego.

Lecz tym razem ciekawość moja nie była zaspokojona z wielką zgryzotą moją. Aby tej zgryzoty czytelnikom moim oszczędzić i ciekawości ich dogodzić, powiem od razu, co sam się później od Józia

dowiedziałem, że ślub był celem nigdy nieosiągniętym. Po pierwszym tylko obrzędku elementarzewym, następował drugi ważniejszy i przygotowawczy obrządek, który w ten sposób się odbywał, że postulantą Józia kładziono na stołek i aplikowano mu kilkanaście pytek najszczerzej udzielonych. Czy to miało być emblematyczne przygotowanie do przyjemności stanu małżeńskiego? czy może umyślnie wymyślono w Czarnobyłu ten bolesny obrządek, aby wyleczyć Józia od tej fiksacji ślubowej, nie dowiedziałem się nigdy.

Jeszcze trwały błagania i prośby Józia, wstawiania się i śmiechy całej garderoby, gdy nagle usłyszeliśmy turkot powozu.

— Goście przyjechali! — zawołały ciekawe panny; a panna Agnieszka raz jeszcze przyłożyła palec do ust i spojrzała na mnie, i jak się zdaje po raz pierwszy mnie spostrzegła. Przyskoczyła do mnie ze zmarszczonem obliczem, co mnie okropnego strachu nabawiło.

— Ty podsłuchiwałeś malcze! — zawołała na mnie tak groźnie, że zadrżałem cały, i jak winowajca zaczerwieniłem się po uszy.

— Ja nie!... — wyjąknąłem.

Na moje szczęście jak mi się wówczas zdało, nowe zdarzenie wszystkich uwagę zwróciło. Otworzyły się bowiem drzwi od garderoby z łoskotem i wszedł przez nie krokiem posuwistym pan pułkownik z najeżonemi wąsami. Wszystkie dziewczęta wyszczerzały zębki ku niemu z wyrazem schlebiającym, tej najważniejszej w Czarnobyłu potędzie. Pułkownik obdarzył całą garderobę łaskawem spojrzeniem; zdało mi się wszakże, że najlepsza część tego spojrzenia dostała się Marcysi, pannie Agnieszce dostały się same męty tego spojrzenia.

— Czego tak wrzeszczycie przeraźliwie! — zagadał pułkownik potężnym swym głosem; a zwróciwszy się potem do Józia, przemówił do niego głosem mniej już despotycznym:

— Goście przyjechali; może pan staroście przejdzie do bawialnego pokoju.

— Goście! — odpowiedział staroście, i w znak ukontentowania podskoczył sobie.

Po raz pierwszy uderzyło mnie to słowo staroście, i wyznam szczerze, że wydało mi się nader pociesznem. Biedny Józio, jako staroście, była to zaprawdę wielka ironja. I jak w każdej ironji, myśl komiczna trącała o tragiczną. Biedny staroście Józio!...

Opuściliśmy garderobę, poprzedzeni przez pułkownika, i weszliśmy do sali bawialnej; ja poważnie, a Józio z podskokiem tak źle wymierzonym, że nie tylko uderzył się głową o drzwi, ale zaczepiwszy o drzwi upadł jak długi.

## VI.

Przyznam się do winy, że ten upadek starościca przyjąłem głośnym śmiechem, za co, niech to zostanie między nami, matka po-



ciągnęła mnie później doskonale za uszy. Śmiechu mego nikt nie podzielił; przeciwnie dama jakaś, do przybyłych zapewne gości należąca, przyskoczyła do leżącego, i z słodkim bardzo a litościwym uśmiechem podała mu rękę.

— Biedny staroście! — szepnęła po cichu podnosząc go. — Nie pan sobie, nic nie zrobiłeś? — dodała głośniej.

— Guza mam! — odpowiedział Józio płaczącym głosem, wskazując na czoło zaczerwienione doskonale.

— Najlepiej nóż przyłożyć — poradziła grzeczna dama.

Józio poszedł też do stoła, gdzie było zastawione śniadanie, lecz miasto noża, w którego skuteczność nie musiał bardzo wierzyć, wziął się do szynki. Staroście jadł nie po dziecinnemu; apetyt miał stosowny do wrostu swego.

Przystawszy śmiać się ze starościca, zacząłem przypatrywać się nowo przybyłym gościom. Były to dwie panie, czyli raczej obie panny, nazywane jak zauważałem panną chorążanką i panną podkomorzanką. Po znaczeniu podkomorzanka była pierwsza, a chorążanka druga, lecz po starszyźnie wszelkie przy tej było pierwszeństwo. Wysoka, chuda, koścista, z twarzy do kościotrupa podobna, żółtsza od żółtej chusteczki, którą twarz miała przewiniętą; chorążanka choć z dosyć znacznego rodu, ale że uboga i nie ładna, a przytem jak twierdzono, nie zbyt łagodnego charakteru, nigdy jakoś męża znaleźć nie mogła, mimo że jej do tego nie brakowało na ochocie, i teraz nawet, jak twierdził pan Kobyłecki, który jej nie cierpiał; ochota ta nie ostygła, a nawet objawiała się nieraz minami umizgalskimi, które ją jeszcze szpetniejszą wydawały. Mnie się straszną wydawała, osobliwie te jej oczy nadzwyczaj łyskające i świdrowate, w których wedle pana Aleksandra Chodkiewicza nagromadził się gniew 60letniej starej panny, przerażała mnie nadzwyczajnie, i nie wiem dla czego w pamięci mojej dziecinnej została ona na długo jako wyobrażenie upiора, a trzeba wiedzieć, że upiór w bajkach poleskich obszerne zajmuje miejsca. Do złości staropanieńskiej, przyłożył się nie mało musiała gorycz jej przez całe życie podległego w społeczeństwie położenia. Całe swe życie od lat najmłodszych tułać się musiała po cudzych kątach, na obcej żyjąc łasce, bądź jako panna respektowa, bądź jako krewna z miłosierdzia trzymana. Cudzy chleb gdyby najsmaczniejszy, ma swój właściwy jad, który pomatu osiada na sercu i zatruwa je, rozbudzając najczarniejsze myśli, uczucia i namiętności, które tem okropniej i bujniej się rozradzają, im je więcej tłumić należy. Jest to wieczny ogień, który nie mogąc wybuchnąć, wszystko żywe w piersi, co jest dla niego zawsze zamkniętym wulkanem, przetrawi i przepali, a zgasnąć nigdy nie może.

Jedynym odplywem tego wewnętrznego ognia są słowa; nic więc dziwnego, że te słowa stają się z czasem przesiąknięte jadem. To też chorążanka uchodziła za złośliwą osobę; jedynem zajęciem jej życia prozaiczego bez celu była obmowa; a jedyną zemstą możliwą na świat i ludzi wymierzaną były plotki, których posiadała skarb niewyczerpany, i które z rokoszą roznosiła po całej okolicy. Pułkownik Kobyłecki utrzymywał, że jej język jest młynem, który obcą

slawę pytluje na najdrobniejszą mąkę. Teraźniejsze jej położenie nie było także zazdrości godne. Rozmaite koleje przebywszy, stała się przymuszoną towarzyszką panny podkomorzanki, której była daleką krewną, i która dała jej u siebie przytułek, trzymając ją u siebie dla zachowania dekorum, które nie pozwalało, aby panna sama jedna żyła w świecie bez towarzyszki. Podkomorzanka zaś sama była już na tej drodze smutnej starzenia się, co pannie trzydziestoletniej nie dodaje dobrego humoru. To też jak twierdzono, obydwie serdecznie się nie cierpiały, chociaż na pozór były uprzejme dla siebie. Chorążance zawadzał młodszy daleko wiek podkomorzanki i wynikające z niego pretensje podobania się; dla podkomorzanki zaś staropaniństwo chorążanki było wiecznie straszącym przykładem. Bądź jak bądź, obie nie miały wyboru; chorążanka potrzebowała domu i schronienia, a podkomorzanka potrzebowała koniecznie towarzyszki. Znosiły się więc jak mogły, bawiąc się między sobą kwaśno-słodkimi przymówkami.

Podkomorzanka ze znakomitej i zamożnej pochodziła rodziny, i chociaż nieboszczyk podkomorzy (matkę zaś straciła w niemowlęcym jeszcze wieku) wielki hulaka, przyjaciel kart, kuchni i piwnicy nie mało przetracił, a więcej jeszcze przez nieporządek postradał, podkomorzanka odziedziczyła po ojcu przed dziesięciu laty zmarłym, niezły jeszcze mająteczek składający się z pięknej wioski o kilka mil od Czarnobyła odległej. Przyzwyczajona za życia ojca do wystawnego i rozrzutnego życia, majątek ten szlachecki wydawał się za małym; rada była zatem zwiększyć go dobrem zamążpójściem, do czego jej dawało prawo i urodzenie, przyzwyczajenie do panińskiego życia, duma nareszcie, którą w wysokim stopniu posiadała. I dla tego chociaż miała wielu starających się, żaden jakoś nie odpowiadał warunkom, jakie sama sobie założyła. Między starającymi się był nawet podobno przed laty pan pułkownik Kobylecki, lecz nie tylko że mu odmówiła, ale jak pod sekretem mówiła chorążanka, śmiała o nim się wyrazić z wielką pogardliwością:

— Co, ten hołysz?

Tego hołysza nie mógł nigdy pułkownik strawić, a i pani starościna Chodkiewiczowa nie mogła jej tego zapomnąć, że przed nią omal nie straciła usług pułkownikowa. do którego przez lat tyle się przyzwyczała. Z tych powodów nie bardzo miłym była gościem w Czarnobyłu, wszakże nie zważając na to, odwiedzała bardzo często panią starościnę, oświadczając zawsze i głośno nadzwyczajne swoje uszanowanie i przywiązanie do starościny i jej całego domu.

Co do powierzchowności, była ona zupełnem przeciwieństwem chorążanki. Nadzwyczaj małego wzrostu, pękata i pyzata, miała wielką skłonność do otyłości, która coraz więcej przemagała i na jaw się dobywała mimo mnogich sznurówek, do tego tylko prowadzących, że czerstwe jeszcze na jej trzydziestoletniej twarzy rumieńce przechodziły w barwę piwoniową. Była zresztą dosyć przystojna, o ile nią być mogła przy bardzo małym nosku znikającym prawie w pośród tłustych, rumianych i połyskujących policzków, i przy nie mniej małych, choć bardzo żywych oczkach, które prócz tego przy-



mrużała ciągle mizdrząc się nieustannie. Dla dodania sobie wdzięków, uśmiechała się ciągle uśmiechem zalotnym, który był jej nawet do twarzy. Żywa przytem i fertyczna w ruchach, lubiła się dziecińczyć, do czego pomagało szeplenienie naturalne, a ze zwyczaju przesadzone. Ubierała się zawsze bardzo wytwornie, i chociaż trzymała się mody we wszystkim, dotąd jeszcze nie pozbyła się ogona, który nam do kraju sprowadziły mody napoleońskie, a który zaczynał już dobrze wychodzić ze zwyczaju; by prawdę wyznać, ogon ten przy małej figurce nie koniecznie był stosowny. Z tem wszystkim mnie się wydała bardzo przystojną, i z razu trafiła mi do serca, biegnąc starościcowi w pomoc, gdy ten jak mówiliśmy wyżej, upadł na wstępie do bawialnego pokoju. I mnie kilka razy pogłaskała, chwalać dziecinną twarzyczkę moją, co znowu matce mojej jak uważałem, bardzo się podobało.

— Ja pasjami lubię ładne dzieci! — powtarzała razy kilka przeginając głowę, i spojrzała przytem na Józia z słodkim uśmiechem, czego wszakże Józio nie uważał zapewne zajęty połykaniem ogromnych kawałów szynki.

— Podziękuj że Józiu! — ozwał się pułkownik, kończąc właśnie nie wiem którą z kolei szklanek porteru. — Panna podkomorzanka ma pana starościca za dziecko.

Józio zaambarasowany omal się nie udławił, połykając nowy kawał mięsiwa. Uważałem, że pan Aleksander i jego żona spojrzeli po sobie z uśmiechem nieco szyderym, a podkomorzanka jakby sobie przypominała nieszczęście tego wielkiego dziecka, westchnęła z całej siły. Chorążanka znalazła potrzebę zaśmiać się w tej chwili właśnie.

— Cóż tak śmiesznego panna chorążanka znalazła? — zapytała podkomorzanka z cierpkim uśmiechem.

— Coś zapewne dawnego? — uśmiechnęła się podkomorzanka złośliwie.

— A dawnego dosyć! — odpowiedziała chorążanka jeszcze złośliwiej. Przypomniał mi się bal jeden u nieboszczyka kasztelana, na którym tańcowałyśmy obie.

Pani Aleksandrowa Chodkiewiczowa zagadała co prędzej tę sprawę, a chorążanka nie zważając na wściekły wzrok, jakim ją obdarzyła podkomorzanka, poszła na rozmowę do pani starościny, która zasłyszawszy, że coś o Józiu mówią, zawołała nagle:

— Nie obiadaj się Józiu!

Biedny Józio jak prawdziwe dziecko, był obzartuch i przeplacał to nieraz słabością. Podkomorzanka, śnać nie zasłyszwała przestrogi matczynej, bo właśnie podsunęła Józiowi miseczkę z konfiturami, za co się jej Józio odwdzięczył poufałem mrugnięciem oka, i przemówił nawet do niej:

— Jaka pani śliczna! — powiedział śmiejąc się po dziecinnemu.

Podkomorzanka uderzyła go wachlarzem, a starościc odwetował się ogromną galką chleba w sam nos wymierzoną. Ta małańka utarczka zakończyła się serdecznym śmiechem obu wojujących partyj.

Nastąpiła w saloniku chwila milczenia, którą przerywał tylko głos chorążanki rozpowiadającej coś przed starościną. Musiało to być bardzo zabawne, bo starościńska rozśmiała się kilka razy. Starościńska mało oddalając się z domu, lubiła dosyć nowinki, i za nie chorążanka była jako tako w jej łaskach. Wyniesiono wreszcie śniadanie, które już stało na stoliku bez celu żadnego, bo pułkownik wypił ostatnią szklanekę porteru, a Józio zjadł ostatni kawałek szynki.

O czem była rozmowa przy stoliku, już nie pamiętam, bo my z Józkiem zaczęliśmy biegać po pokoju. Widok biegającego Józka bawił mnie niepospolicie, i coraz więcej przypadał mi do gustu starości. Podkomorzanka choć zajęta rozmową z moją matką i z panią Aleksandrową, spoglądała nieraz ku nam i uśmiechała się do nas. Nie wiem, dla czego przyszła mi w tej chwili na pamięć rozmowa w garderobie.

— O kim to panna Agnieszka mówiła? — zapytałem Józka.

— Prawda, że coś mówiła! — odpowiedział Józio i wypatrzył szeroko rozwarte oczy, jakby natężył pamięć swoją.

— Że taka ładna?

— Aha ładna! — powtarzał Józio.

— Ale o kim? — pytałem znowu.

— Aha o kim? — odpowiedział Józio i na twarzy był ciągle wyraz natężenia pamięci.

Rozmowa nasza była dotąd pół głośna.

— Już wiem, już wiem, o kim — krzyknął nagle Józio, i zaczął biegać i skakać, ciągnąc mnie po całym pokoju za sobą.

— Józku! — ozwał się brat i surowym popatrzył na niego wrokiem, przed którym biedny Józio oczy spuścił wstydliwie.

Biedny starości! Opatrzność nie dozwoliła mu być mężczyzną, a ludzie nie pozwalali mu być dzieckiem.

— Chodźmy do ogrodu! — zawołał do mnie. — Tu nie dadzą się nam bawić!...

— Ach do ogrodu! — przemówiła podkomorzanka, i zerwała się. — Ja tak lubię ogród. Ja mam taką passję do przechadzki. To świeże powietrze, te kwiatki, te ptaszeczki śpiewające, to roskosz, to moja passja!... Państwo nie pójdą? A prawda? pani Aleksandrowa nie może podobno wiele chodzić!... Ale ja się przejdę trochę z dziećmi. Ach natura! piękna natura! to moja passja.

Wypowiedziawszy to jednym tchem prawie, i nie czekając na odpowiedź siedzących przy stoliku, porwała za wachlarz i szal ogromny jasno zielony z amarantowemi palmami, który wisiał na kanapie, zawiesiwszy długi swój ogon wedle zwyczaju u paska, podbiegła ku nam.

— Może i ja pójdę! — ozwała się chorążanka z drugiego pokoju. Śnać miała słuch doskonały, mimo wieku i chusteczką przywiązanych uszów.

— Niech się panna chorążanka nie trudzi — odpowiedziała podkomorzanka. Mogło by co szkodzić na romatyzm.



— Adieu! — do widzenia się! — dodał porywając nas obydwóch za rękę. — Przebiegamy nieco, i zaraz wrócimy.

Zanim wyszliśmy, usłyszałem głos pani starościny.

— Olesiu! — mówiła do syna! — zawołaj Kobyłeckiego; niechaj też uważa, żeby sobie co Józio nie zrobił.

Słowa te tak proste nie zrobiły wówczas najmniejszego na mnie wrażenia, aż później dopiero przypomniały mi się w całym swem znaczeniu. Jakkolwiek miałem umysł skłonny do zastanowienia się nad wszystkim, i co już pierwej mówiłem, myśli moje dziecinne poruszone rozmową w garderobie, gonily za jakimś tropem tajemniczym; tym razem za nadto zajęty byłem nadzwyczajnością tych wszystkich nowych wydarzeń, które coraz większem przejmowało mnie zadziwieniem. Ten ogromny Józio z dziecinną wymową i z dziecinnem zachowaniem się, ta otyła panna (a do otyłości przywiązywałem koniecznie wyobrażenia poważne) uderzały moją wyobraźnię tak silnie, że świat cały w Czarnobyli wydawał mi się coraz bajeczniejszym. Nie umiałem to sobie na jasno wytłumaczyć, ale mnie samemu wydało się być jedną z postaci należących do jednej z tych bajek, nieraz mi opowiadanych przez moją starą niankę poleską, które zimowe opowiadanie w ciemny wieczór przy płonącym drzewa kominie, wielką sprawiając rozkosz, rozdmuchały najpierw może tę iskrę wyobraźni, co mi miała wieść przez całe życie błękitnymi ognikami, skacząc przedemną po ścieżkach suchej rzeczywistości. I staremu świecą jeszcze, nie jedną osłaniając przepaść blaskiem marzeń i złudzeń tyśiąca, aż zgasną niebawem może ostatniem marzeniem nigdy nieosiągniętej nadziei, nad ostatnią przepaścią grobu. Nieraz w późniejszych leciech, młodym jeszcze będąc wyrostkiem, choć rzeczywistość zdarła, i to w sposób dosyć szyderyczy fantazyjną obłone, w jakiej się przedstawiał mój pobyt w Czarnobyli, lubiłem nie wiem dla czego marzyć sobie o tym pobycie wśród nudnych nauk, jak o epizodzie jakiegoś wymarzonego życia, którego ułamkowe pamiątki w czasach dzieciństwa niknące, zdają się oblekać szaty fantastyczne pełne cudnego uroku.

Skacząc wbiegliśmy do ogrodu, ja skakałem najswobodniej, bo i wiek i postawa były po temu; mój towarzysz skakał najzawzięciej a podkomorzanka najnieszczęśliwiej przy przeszkodach gorsetu i tuszy. Pamiętam, że ją bardzo żałowałem, patrząc na jej ruchy niezgrabne widząc pot kroplisty na czole, i policzki coraz czerwioncze, i słysząc zadyszenie, które jej mowie przeskadzało. — Anim się spodziewałem, że ta swobodna przechadzka kryje tajemnicę w sobie, w której i ja miałem przeznaczoną sobie rolę, i której dramatyczny węzeł ma się rozwiązać w sposób tragiczno-komiczny.

## VII.

Ogrodu Czarnobylskiego nie przypominam sobie dobrze. To tylko pamiętam, że były w nim ogromne ulice, ale tak zacienione, że

ani słońce, ani deszcz dostaćby się nie mógł do środka. Największa była ulica lipowa, nadzwyczaj szeroka a tak długa, i takim dachem konarów splecionych razem pokryta, że jak mi matka nieraz opowiadała, za świetniejszych czasów dworu Czarnobylskiego wyprawiano tam obiady na trzysta osób przy jednym stole długim. Ulubione to były ulice przodków naszych! ile to dziejów rodzinnych przeszło pod cieniem naszych lip gościnnych; ile przemknęło pod nimi wieków, ile przekroczyło pokoleń od kolebki aż do trumny w spokojnym domowym żywocie naszych przodków! I gdzież się podziały owe stare ulice nasze ogrodowe! Powycinano je, by posadzać jakieś klomby angielskie; aż serce nieraz zaboli patrząc, jak stare drzewa, co się jeszcze w dzieciństwie widziało, zastąpiły jakieś karłowate krzaczki, drogiemi pieniędzmi sprowadzane z zagranicy; obcych klimatów nędzne dzieci, same tęsknią za swoim niebem, i dla nas nie mają swojskiego. Były tam także, o ile sobie przypominam, bukszpanem otoczone kwatery kwiatowe, na których narcyzy wielką odgrywały rolę. Dziś już nikt nie patrzy nawet na narcyzy, i pogardliwie śmieją się dzisiejsi amatorowie flory, przyzwyczajeni do Ameryki i Australii posyłać po godne swego uwielbienia kwiaty, gdy im kto wspomni o narcyzie. Ale za czasów mojego dzieciństwa narcyzy skromne z swą śnieżną i niewinną białością, były najulubieńszymi gośćmi naszych szlacheckich ogrodów; i muszę się sam przyznać do tego barbarzyństwa, że dziś jeszcze witam z radością pierwszy narcyz a ostatni żegnam z tęsknotą prawdziwą, a tem sprawiedliwszą, że dziś już biednego narcyza, który przecież tak znakomitą odbywał rolę pomiędzy półbożkami mytologicznymi, i Owidiuszowi dał powód do jednego z jego piękniejszych utworów poetycznych, coraz więcej wymagania po za sztachety i mury ogrodowe. Z szlacheckich ogrodów usunął się był biedak do ekonomskich ogródków, gdzie sobie skromnie bujał obok jaskieru, tulipana i zakochanego jak Indianin w słońcu słońiecznika, lecz i tam dogania go nieubłagany ostracyzm mody. Znika już pomału z ogródków ekonomskich; już to po prawdzie dodać potrzeba, że i starzy ekonomowie znikają. Biedny narcyzie! już chyba ciebie zdybać tylko w wieśniaczej zagrodzie, dokąd cię wiatr zanieśe przypadkowy i w pamięci kilka takich starych jak ja marzycieli, którzy blaskiem nowego świata nieośnieni, nie mogą zapomnieć o tym starym świecie, którego szczątki w społeczeństwie jak ruiny starych zamków sterczą jeszcze tu i owdzie łysymi i siwymi głowami, co się przechadzają samotnie po różnobarwnym parterze nowego pokolenia.

Lecz już cię muszę porzucić poczciwy narcyzie, bo widzę jak się krzywi czarnooka amatorka droższej nieraz od sukni kamelii, i przejść nagle do podkomorzanki, zupełnie do skromnego kwiatka niepodobnej. Już nie wiem zaprawdę, do czego by ją można było porównać w czasie tych susów i skoków, z jakimi występowała w ogrodzie przed zdumionemi oczyma pisarza pamiętników tych, który wówczas nie był jeszcze pisarzem abecadła nawet. Bo jeżeli twarzą przypominała piwoniję a postać i kibić niejako do karczocha miała podobieństwo, trudnoż przy najbujniejszej wyobraźni wystawić



sobie karczocha z głową piwonii robiącego ćwiczenia gimnastyczne z lekkością dwudziestoczwierofuntowej kuli, gdyby tej przyszła na myśl fantazja skakania sobie. A tymczasem podkomorzanka łączyła wszystkie te niepodobieństwa z dodatkiem jeszcze spojrzenia niby rozkochanej, jakie rzucała na poczciwego Józia. Biedne kwatery kwiatkowe, przez które rykoszetowała panna podkomorzanka odpoczywając w czasie biegu przy zrywaniu kwiatów, do którego na jej wyraźny rozkaz byłem i ja pomocnym. Kwiatki te wszakże nie były przeznaczone na bukiet; podkomorzanka bowiem rzucała tylko niemi za Józiem, który się jej odwzajemniał w braku kwiatów pod ręką, bombami z piasku.

Chwilkę odpoczęliśmy w drugiej ulicy lipowej, w której byliśmy jak za światem, tak tam było cicho i spokojnie. Podkomorzanka wysapawszy się trochę, co aby wyobrazić, należałoby ciągnąć dalej przytoczone porównanie, i dodać karczochowi o piwoniowej głowie miech kowalski, obejrzała się na wszystkie strony, przyczem zdało mi się, że zbyt przyjaźne rzuca spojrzenie na moją małą osóbkę.

— Kto kogo wyprzedzi? — rzekła nagle do Józia.

Na tę propozycję rozśmiałem się najnawniej, za co odebrałem piorunujące spojrzenie. I byłbym zapewne głośniej się śmiał jeszcze, gdybym już wtenczas znał mytologiczną bajkę o Atalancie, którą gruba podkomorzanka naśladować zamysłała. Już to po prawdzie i Józio rozśmiał się potężnie, rzuciwszy spojrzenie szyderskie nieco na postać wyzywającej go damy, przyczem nie omieszkał zmierzyć z upodobaniem swoje własne należycie długie nogi.

— A no dobrze! — odpowiedział Józio, i na znak zgody i przyjaźni potężnym kłapsem obdarzył kark panny podkomorzanki, zaczerwieniony barwą mocno podobny do różowego pekeflejszu.

— Fe panie starościcu? — przemówiła na to podkomorzanka z wstydliwym uśmiechem, któremu w pomoc chciała zapewne dodać i rumieniec wstydlawy, który wszakże nie mógł się udać, jak nie może na piwonii, skromnej róży zakwitnąć barwa.

— Ty mały zostań tu! — mówiła dalej zwrócona ku mnie — i klaśnij trzy razy w rękę, mówiąc raz, dwa, trzy. Za wymówieniem trzy puścimy się naprzód. Metą będzie ten gaik.

Gaikiem był gęsty sad, który zaczynał się za ulicą. Podskoczyłem z radości, że się mnie dostało w udziale tak zaszczytne polecenie, i stanąłem w stosownej pozyturze składając rękę do klaśniania. Dany mi urząd wypełniłem z należytą precyzją, i ledwie zakrzyczałem trzy, puścili się obaj zapaśnicy. Walka ta wyścigowa, jeżeliby można użyć porównania czerpanego z dzisiejszych wyobrażeń Steapl-Chassowych, podobna była do wyścigów wysmukłego angielskiego konia, z ciężkim koniem normańskim, albo arabskiego rumaka z niemieckim fryzem. Podkomorzanka biegła z zadziwiającą odwagą lepszego skutku godną. Lecz są odwagi, którym fatalność dodaje nieraz ciężkie podkomorzanki nogi, by nigdy celu dopiąć nie mogły. Tak się stało z biedną podkomorzanką, która niesłychane robiąc nateżenia biegła ciągle, jeżeli to się biegiem nazywać mogło, podczas gdy Józio dawno już stał u mety o cienistą jabłoń oparty.

Dopóki wyścigi trwały, pozostałem wierny danemu sobie zleceniu, i czekałem na wskazanem mi stanowisku; lecz widząc zwycięstwo tak wyraźnie dokonane, pobiegnę i ja za nimi ku sadowi. Przybyłem w tej chwili pod Jabłoń, kiedy podkomorzanka nielitościwie spocona, zbliżyła się do Józia. Chciała coś mówić, lecz nagle zaczęła oczami przewracać, kilka niewyraźnych dała wykrzyknień, i zamknąwszy oczy padała już. Snać się jej słabo zrobiło. I byłaby upadła, bo Józio śmiejąc się jak prawdziwe dziecko, ani myślał iść w pomoc padającej; trzymał się jak się zdaje, niewymyślonego jeszcze wówczas systemu nieinterwencji. Lecz podkomorzanka miała jeszcze tyle przytomności, że urywanym przemówiła głosem:

— Padam, padam — trzymaj mnie starościcu kochany.

Pocziwy starościc posłuszny wezwaniu, a poruszony może zabiłkąną jaką kropelką dawnej krwi rycerskiej, podtrzymał upadającą. Wyznać szczerze muszę, czy to będzie kogo obchodzić czy nie, że nie zazdrościłem mu zupełnie w tej chwili, ciekawe tylko wypatrzyłem oczy, co z tego będzie dalej. Dla dziecka wszystko jest zabawą, szczęśliwsze w tem od starca, którego wszystko nudzi. A że byłem zmęczony, usiadłem sobie najspokojniej na murawie. Po chwili podkomorzanka otworzyła oczy, i jak mi się zdawało, na wybawiciela rzuciła pełne wdzięczności spojrzenie, co mi się bardzo z jej strony podobało.

— Zmęczyłeś mnie panie starościcu tem bieganiami! — przemówiła wreszcie wzdychając.

Westchnienie było, co łatwo pojąć silne i potężne.

— Panna podkomorzanka chciała sama! odpowiedział — starościc bardzo loicznie.

— Bo!... bo mnie bardzo miło bawić się ze starościcem!..

— Jako? podkomorzanka chce jeszcze biegać?..

— Nie! zostanmy tu! nam tu tak dobrze!

To mówiąc obejrzała się podkomorzanka, lecz mnie zakopanego prawie w wysokiej murawie nie postrzegła.

— A cóż będziemy robić? — pytał starościc.

Coraz więcej podziwiałem loikę Józia, chociaż nie wiedziałem jeszcze na moje szczęście, co jest loika, i nie przeczuwałem, do jakich nielogicznych bezsensów można przyjść po drodze loiki. Jeszcze nie studjowałem niemieckiej filozofii.

— Cóż przyjemniejszego nad rozmowę! mówiła znowu podkomorzanka — a osobiwie z starościcem!

— Ze mną? — zapytał kochany starościc, nie tając zadziwienia swego, które tak naiwnie nie wynurzyłby najmądrzejszy człowiek, chociażby nie jeden mógł się w piersi uderzyć, patrząc na rozmawiających.

— A o czem będziemy rozmawiać? — dodał coraz logiczniejszy Józio.

— Kochany starościc spodziewał się mnie dzisiaj!..

— Ja? jak mamę kocham, nie!..

— I nigdy się mnie pan nie spodziewa? nigdy mnie pan nie wygląda?



Zamyślił się poczciwy Józio: snąć kłamstwa nie chciał powiedzieć.

— I owszem! — wyrzekł wreszcie.

— I dla czego mnie pan wygląda?..

— Bo jak podkomorzanka przyjedzie, mnie nie tak pilnują; ja się mogę najeść przy śniadaniu, a ja szynkę bardzo lubię!

— Sancta simplicitas! — byłbym powiedział, gdybym był już wówczas umiał po łacinie.

Nastąpiło milczenie po tej szczerej Józia odpowiedzi. Podkomorzanka poruszyła ustami, jak gdyby gorzkie zażyła lekarstwo. Józio zaś westchnął.

— Pan wdychasz? — przemówiła podkomorzanka nadzwyczaj słodko, i spojrzała na Józia z pewną figlarnością.

— Nie, proszę pani! — odpowiedział szczery Józio. — To ja się tylko objadłem szynki.

Nie umiałem wówczas ocenić należycie tego jeniałnego dowodu szczerości. Po prawdzie ja sam byłem w błędzie; ja to Józia westchnienie przypisywałem nie objedzeniu się, ale zdudzeniu, które i mnie zaczynało dokuczać.

Nowe milczenie; nowe skrzywienie się podkomorzanki, jakby po rumbarbarum; starościc przestał wdychać, ale za to ziewać począł.

— Czy panna Agnieszka nic nie mówiła? — spytała podkomorzanka nagle.

— Agnieszka? — jak mamę kocham, nie pamiętam. Coś mi mówiła; coś?..

Aż w niebo popatrzył Józio za tem coś, co mu z pamięci wyleciało.

— O mnie może?... indagowała podkomorzanka dalej.

— O podkomorzance? nie! — zapewniał Józio, przykładając ręce do piersi.

— Ale przecie o jakiejś kobiecie mówiła?..

— Aha! mówiła coś!..

I zaczął się palcem stukać w czoło, jakby sobie chciał pamięć rozruszać. Daremna praca! Biedny Józio z swoim niezastużonem przeznaczeniem! nigdy nie zdołał wyszturkać z tej swojej małej główki.

— O kobiecie młodej?..

— Aha! aha!..

— O kobiecie ładnej?..

— Aha!.. coś podobnego!

— Jaki pan grzeczny i uprzejmy! kochany starościc!

— Ja? — zawołał z największym zadziwieniem starościc, nie poczuwający się w tej chwili do żadnej grzeczności.

— Że ta kobieta młoda i ładna przyjedzie!.. dziś jeszcze może!.. nieprawdaż?..

— A tak! coś sobie zaczynam przypominać.

— Że ta kobieta ładna i młoda pana kocha bardzo.

— Jak mamę kocham, prawda!.. Czy panna podkomorzanka słyszała? aha! podkomorzanka musiała się schować w garderobie,

może do szafy? co?... a może taki ma paluszek, co wszystko odgaduje jak u pułkownika.

— Ta kobieta pana kocha! tak jest, kocha pana.

— Pocziwa kobieta!...

— Ona jest panną!... jest wolna! i może pana uszczęśliwić!...

— Proszę kogo? jakże ona mnie uszczęśliwi?

— Będzie pana kochać, pieścić, dbać o wszystkie wygodki.

— Będę miał zawsze szynkę, pierogi z serem i ze śmietaną, co ha? a podplomyki z świeżem masłem, bo ja to bardzo lubię.

— Będzie wszystko, co tylko najlepszego, co tylko pan zażądaśz.

— I gdzież jest ta kobieta? gdzie?...

— Pan się nie domyślasz?

— Jak mamę kocham, nie! proszę mnie nie nudzić, bo ja nie lubię zgadywać.

— Pan chcesz wiedzieć, kto jest ta kobieta młoda i ładna? I panu nie serce nie mówi?

— Alboż serce ma gębę?...

— Tą kobietą jestem ja! — wyrzekła wreszcie podkomorzanka.

— Tą kobietą młoda i ładną! — powtórzył Józio, i przekrzywiwszy główkę małą, zaczął się przypatrywać podkomorzance z wielką uwagą.

Zdaje się, że Józio nie miał jasnego wyobrażenia o młodości i piękności.

— Ja to, ja kocham serdecznie pana starościca — przemówiła podkomorzanka głosem nadzwyczaj czułym, jakby się do płaczu zabierała i porwała Józia za rękę. Józio wypatrzył ogromne oczy, i ciągle niemi mierzył podkomorzanekę. Cała ta rzecz jakoś mu nie szła do głowy.

Nie wiem co mi się stało, ale w tej chwili głośnym parsknąłem śmiechem. Józio usłyszawszy mój śmiech, zaśmiał się także, i obydwa śmieliśmy się jak szaleni. Ale podkomorzanka za to ogromnego postawiła marsa, i jak się zdaje, dopiero teraz mnie postrzegła.

— On nas podsłuchiwał! — zawołała piskliwie. — O mój Boże! wszystko stracone; on wszystko wygada.

— A niech sobie gada zdrów! — cóż to szkodzi? — zauważał Józio.

— Ach ja nieszczęśliwa! — lamentowała podkomorzanka dalej. — Poczekaj mały niecnoto, nauczę ja cię podsłuchiwać.

I przyskoczywszy do mnie, porwała mnie za obie uszy. Naturalnie, ja się rozbeczałem na piękne. Tak to w życiu, rzewny płacz tuż obok najweselszego śmiechu.

— Pamiętaj, żebyś nic nie mówił!...

— Nie powiem! — odpowiedziałem przestraszony.

— Nikomu ani słowa o tem, coś słyszał

— Ja nic nie słyszał; — krzyczałem i płakałem coraz głośniej, bo też podkomorzanka miała silne ręce.

— Bo ci uszy poobrywam.



I kto wie, czyby tego nie zrobiła i nie wykierowała mnie na owego Francuza wielkiego rodu, gdyby się nagle nie zmieniła scena z przybyciem panny Agnieszki, która się nagle między nami pojawiła.

— Zmiłujcie się państwo — zawołała oglądając się bojaźliwie na wszystkie strony. — Jakże można tak na oko rozmawiać. Tu może kto nadejść i będzie bieda. Chodźcie państwo ze mną do sadu: tam się rozmówimy.

— Kiedy ja nie chcę iść! — przerwał Józio, zbliżając się do mnie z wyrazem litości. Dziecinny Józio miał też i serce dziecinne.

— Ale pomówimy tylko... mówiła panna Agnieszka; będzie ślub! rozumiesz Józio?...

— Ślub! ślub! — zawołał Józio poruszony tym słowem tak wiele u niego znaczenia mającym. — No! chodźmy, chodźmy prędzej.

— Ale ten mały słyszał naszą rozmowę — ozwała się podkomorzanka zwrócona do panny Agnieszki.

— Co on tam rozumie! — odpowiedziała garderobiana, patrząc pogardliwie na mnie, — Pamiętaj chłopcze! dodała, żebyś ani słówka nie wydał. Jak powiesz słówko, to cię tak obiję różgami, że ruski rok popamiętasz; a jak będziesz milczał, to dam ci rodzynków.

— A osobliwie przed Kobyleckim ani słowa — napomniała jeszcze podkomorzanka.

— Bo cię gotów połknąć! — dodał Józio śmiejąc się.

I znikli wszystko troje w cienistym sadzie.

— Otóż masz! a potrzeba mi tego było? — medytowałem zostawszy sam, i aby się pocieszyć zawodziłem coraz głośniej.

I jakże płakać nie miałem, kiedy i uszy mnie bolały, a co gorzej jeszcze, bolała mnie ta samotność, bo byłem zawsze wielkim miłośnikiem towarzystwa. Mimo płaczu, zacząłem przecie rozmyślać nad tem wszystkim, co mi się już w tym Czarnobylu zdarzyło. Po prawdzie nie jasne o tem wszystkim miałem wyobrażenie, i nie wiele zrozumiałem tej całej rozmowy, jaka się przy mnie toczyła między Józkiem i podkomorzanką. Najjaśniejszem zaś dla mnie było to, gdy mówili o szynce, pierogach i podpłomykach; na to miłe wspomnienie aż ślinkę połykałem, bo byłem łakomy niepospolicie. Jest to podobno właściwość wspólna wssytkim dzieciom; łakomstwo w dziecku, to może obudzenie się pierwsze w człowieku nigdy nie-nasyconej żądz; tylko że w wieku późniejszym szynka, pierogi i podpłomyki zmieniają się czy to na złoto, czy w zaszczyty, czy na inne przedmioty, ku którym chciwe wyciągamy ręce. Tak mądrze wszakże nie rozumowałem wówczas.

Żeby to znaleźć taką dobrodziejkę, coby mnie chciała dogadzać? pomyślałem tylko. Lecz dla czego oni się boją, by się to wszystko nie odkryło? przyszło mi znowu na myśl. Milczeć czy powiedzieć? zacząłem rozważać; i ani mi się śniło wówczas, że to jest jedno z owych hamletowych pytań, które człowiek tylekroć w życiu sobie zadaje, i od których trafnego rozwiązania nieraz cała przyszłość zależy, ze wszystkimi nieprzewidzianymi zdarzeniami, które z łona

przyszłości wyczaruje takie jedno słówko, bezmyślnie czasem wyrzeczone. Różgi albo rodzynki! brzmiało mi w uszach, i to pytanie wątpliwe zupełnie inną przybrało postać.

Rodzynki passjami lubitem, różek bałem się okropnie. Lecz panna Agnieszka nie będzie śmiała mnie obić, bo mam przecie matkę; a czy dotrzyma słowa względem rodzyneków. A tymczasem język świerzbi, bo już to przyznać muszę, że miałem wielki pociąg do gadatliwości, która później, jak to sami czytelnicy moi poznali zapewne, przeniosła się do pióra.

To be, or not to be! jeszcze nie było zadecydowane w mojej dziecinnej głowie, kiedy nagle usłyszałem szelest jakiś od strony sadu, ale z przeciwnej strony, od tej, w którą poszli moi towarzysze. Zdarzenia w Czarnobylu następowały szybko jedno po drugim; zakłamanie, w które wlałem, gmatwało się coraz więcej.

Szybko jak strzała wyskoczyła z sadu Marcysia, i już podniosła nogę, by wzdłuż ulicy lipowej biedz ku domowi, gdy nagle mnie postrzegła.

— Czy był tu kto? — spytała mnie — i głaszcząc niby uderzyła po twarzą.

— Nie wiem! — odpowiedziałem przymuszając się do płaczu — i rzeczywiście nie wiedziałem, że to była z mojej strony odpowiedź bardzo dowcipna, którejby się i Talejrand pytaniami do muru przycisniony nie powstydział.

— Głupiś! — powiedziała na to panna Marcysia — i śmiejąc się polecała wzdłuż ulicy.

Wyraźnie nie miałem szczęścia w tym Czarnobylu; pamiętam, że czułem się obrażony w dumie szlacheckiego dziecka. Ozwała się nawet we mnie ochota do zemsty. Lecz nie miałem się czasu nad tem zastanawiać, bo znowu usłyszałem jakiś ruch w sadzie, i nagle pojawił się przed oczyma memi pan pułkownik Kobytecki, który postępował krokiem powolnym, obojętnym, jakby wracał z przechadzki. Widok jego przeraził mnie niepospolicie; przeczuwałem, że się zbliża chwila stanowcza, w której moje hamletowe pytanie przyjdzie do decyzji, i dziwne zdarzenia czarnobylskie poprowadzi na jedną z rostajnych dróg, przy których ja miałem być drogoskazem. Przycupnąłem jednakże w trawie, i duchy w sobie zaparłem, bo ostatnia przestroga Józia wzbudzała we mnie wielkie poszanowanie dla pułkownika jako amatora małych dzieci na surowo.

Pułkownik poświstując sobie, gdy się oglądnał, postrzegł mnie przecie.

— To ty mały? sam jeden? — mówił do mnie z wyrazem jak mi się zdało, nie bardzo uprzejmym. — Co tu robisz?...

— Nic nie robię! — odpowiedziałem drżący cały.

— Czy był tu kto? — indagował pułkownik dalej.

Gdybym był już co wiedział wówczas o Hiszpanji, byłbym go niezawodnie wziął za wielkiego inkwizytora. Byłem w wielkim strachu, ale powiedziałem przecie trzymając się zasady przeczenia.

— Nie wiem! — rzekłem tedy.

— Kto tu płakał? — pytał dalej.



— To ja! — odrzekłem, i w dowód tego zacząłem szlochać na nowo.

— Ale tu się i śmiał ktoś!..

— Nie wiem..

— Ja słyszałem, że się tu ktoś śmiał. Powiedz chłopcze prawdę?

— Ja się śmiałem! — odpowiedziałem znowu z wielką nieśmiałością.

— I jeszcze się ktoś drugi śmiał!... ja słyszałem!... Mów kto tu był?

— Panna Marcysia przechodziła tędy — wyrzekłem co prędzej, próbując umknąć innym tropem przed tą gonitwą indagacyjną.

Pułkownik przypatrzył mi się z pod oka, świsnął parę razy, uśmiechnął się, i znów przemówił do mnie:

— Marcysia musiała zapewne chodzić do ogrodnika; ja się o nią nie pytam, ale kto tu był więcej? kto się tu śmiał z tobą?

Jenjalna przyszła mi myśl do głowy, przynajmniej tak mi się zdawało. Chciałem koniecznie zbieć z tropu pułkownika.

— Proszę pana pułkownika — ozwałem się dobrodusznie — pani starościna kazała pana zawołać do siebie, jakeśmy wychodzili do ogrodu.

— Któż to wychodził do ogrodu więcej? — spytał pan Kobylecki, i drwiącą miną spojrział na mnie.

Zglupiałem w tej chwili zupełnie; wszakże sam się złapałem. Lecz jeszcze nie tracąc odwagi, odpowiedziałem jak potrafiłem naj-obojętniej:

— Józio był ze mną!

— I to Józio śmiał się zapewne?..

— A Józio! — I znowu zaśmiałem się, nie wiedząc sam dla czego.

— A z czegożto śmieliście się?..

— Z panny! — zawołałem nierozważnie, i zarumieniony po uszy dodałem co prędzej: — ot tak sobie!

— Z jakiejże to panny śmieliście się? — wypytywał zawzięty pułkownik z żelazną wytrwałością wprost się przebijając.

— Z panny Agnieszki! — powiedziałem, myśląc, że choć tym sposobem obejdę prawdę, którą mnie korciło powiedzieć, i powiedziałbym dawno już, gdyby nie strach.

— A więc i Agnieszka była z podkomorzanką?

Wpadłem jak głupi w samotrzask i wyrwałem się co prędzej, prawdziwy Filip z konopi:

— A była także!..

— Rozumiem, rozumiem! — mruknął pułkownik, i zaczął się, aż mu wszystkie włosy zadrżały w wąsach.

— No teraz moje dziecko, kiedyś się już wygadał, powiedz mi, co oni tu mówili?

Zdziwiłem się niepomału, dowiedziawszy od niego, i przestraszony uciekłem do płaczu.

— Czegóż płaczesz znowu?

— Bo się boję różgi.

— Aha! więc cię różgą straszili, jeżeli co powiesz!

I znowu zaśmiał się, śmiechem jak mi się zdało okropnym, piekielnym, bo już od nianki wiedziałem, że w piekle djabły się śmieją jakimś strasznym śmiechem. Nie było dalej rady; z jednej strony już i tak wygadałem się; z drugiej strony mnie samego jak mówiłem, świerzbiał język. Dosyć, że wygadałem się pomalu ze wszystkim przed pułkownikiem. Już to po prawdzie nie wiele się dowiedział pułkownik odemnie, bo i ja nie wiele wiedziałem, i przestraszony a zmieszany, to trochę co wiedziałem, plótłem bez ładu i sensu wielkiego. Było tam i o pannie młodej i ładnej, i o szynce, i o pierogach, i o pieśczeniu, i o podpłomykach. Pułkownik oparty o drzewo, słuchał najcierpliwiej, i tylko kiwał głową, a uśmiechał się złośliwie.

— A teraz mój maleńki! idź do zamku, i radzę tobie po dobremu, siedź cicho i nikomu nic nie mów! Teraz nic nie rozumiesz, boś jeszcze mały i głupi, ale kiedyś jak będziesz starszy i będziesz miał rozum, a jeżeli mnie twoje oczy nie mylą, mieć go będziesz i zawsze będziesz ciekawy, no to wtenczas pojdziesz, żeś przypadkiem stał się sprężyną w bardzo ważnem zdarzeniu. U mnie tymczasem masz funt cukierków.

To rzekłszy pół serjo, pół z uśmiechem, odszedł pan pułkownik krokiem powolnym i rozważnym wzdłuż ulicy, pogwizdując sobie czasami. W tejsze chwili wyskoczył Józio z sadu, i ciągle dając susy, śmiejąc się wesoło dopędził pułkownika, porwał go w pół i pocałował w oba policzki, najdziwaczniejsze robiąc grymasy. Pułkownik przyjął ten wybryk wesołego humoru starościca z najzimniejszą krwią, i odśmiechnąwszy się mu, i odcałowawszy go, poszedł dalej ku domowi. Józio wrócił do mnie i porwał mnie do góry, i naż skakać ze mną.

— Cieszę się, cieszę, bardzo cieszę — mówił do mnie śpiewającym głosem. Będziemy się w konie bawić; ja lubię konie; tak, sześć koni srokatech! muszą być srokate, bo najpiękniejsze. Rozumiesz! — dodał stawiając mnie na ziemię — ja będę miał sześć koni srokatech; zwoszczyk z brodą, a na przedzie forys! Ale cyt! cyt! jeszcze trzy dni. Cyt!... — I przyłożywszy palec do ust, w ciągłych skokach pobiegł do zamku.

Podkomorzanki i panny Agnieszki nie było; musiały zapewne inną drogą wrócić!... Sam jeden wracałem ulicą lipową, i byłem zamysłony, i to po pierwszy raz w życiu mojem było to zamyslenie głębsze. Słowa pułkownika zrobiły na mnie wrażenie tak wielkie, że nawet nie pamiętałem o przyrzeczonem mi funcie cukierków. O co rzecz szła włościwie, nie rozumiałem i teraz, ale słowa pułkownika dały mi jakieś nowe wyobrażenie o mojej małej osobie, i niewiedzieć dla czego rozbudziły jakieś uczucie dumne. Rozbierałem te słowa pana Kobyłeckiego i rozmyślałem, co to będzie, jak ja będę starszy i mądry? Ani wątpiłem, że będę bardzo mądry, i jeżeli mogę się tak wyrazić, dla bliższej analizy tego, co wówczas czułem, zdało mi się, że nagle podrosłem i kilka mi lat przybyło. Niewdając się w późniejsze rozwiązanie horoskopu, jakim mnie pułkownik obdarzył, to



pewna, że kilka razy w późniejszych latach, gdy po długiej niebytności odwiedzałem strony rodzinne, bogatszy o tyle myśli i uczuć, a uboższy o tyle dziecinnej swobody i spokoju, wjeżdżając w sosnowe Polesia bory, przychodził mi na myśl ten epizod z mego dzieciństwa. I nieraz zastanawiałem się nad tem, jak wcale inne byłyby wynikiłości, gdybym to moje hamletowe pytanie zupełnem był rozstrzygnął milczeniem. Jakiemi też kolejami byłoby poszło to całe zdarzenie, i jakimi wynikłościami byłoby się objawiło w możnej rodzinie, w środek której przypadek rzucił głupie, ciekawe, tchórzliwe i gadatliwe dziecko. Dziś jużby to na jedno wyszło, bo obaj Chodkiewiczze dawno nie żyją, a owe zdarzenia przezemnie opisane byłyby się zeszyły w jednej niezmiennej grobu mecie. I w końcu te moje przemyślenia kończyły się na rezultacie tak prostym i zwykłym, że aż w powszedność wpada. Stara to jak świat bowiem prawda, że z najdrobniejszych przyczyn największe mogą wynikać skutki. A dziś sam się uśmiecham, że tę prawdę aczkolwiek powszednią, ale nieraz historycznie dowiedzioną, zastosowywałem kiedy do tego całego miniaturowego zdarzenia, jakby burze żywiołów i namiętności do rozlanej przypadkiem szklanki wody.

Wszedłszy do sali bawialnej, zastałem już podkomorzankę usadowioną na kanapie najpiękniejszej. Ukradkiem patrzyłem na nią z ciekawością, lecz nic nie dostrzegłem prócz wielkiej uprzejmości, z jaką starała się przypodobać rodzinie całej Chodkiewiczów. Józio w sali jadalnej, do której drzwi były otwarte, wyprawiał hece, związawszy sześć prętów brzoźowych, które miały wystawiać owe sześć koni srokatech, co mu tak wlaży do głowy. W skutek myśli poważniejszych, które we mnie rozbudziły słowa pułkownika, nie poszedłem do sali jadalnej, by dzielić jego zabawę, jakkolwiek mnie to korciło, ale przysiadłem się koło matki; czułem to instynktowo, że najbezpieczniej pod jej zostawać opieką i nie mięszać się dalej w tę całą sprawę, której się coraz więcej bałem, choć nie rozumiałem zupełnie.

Chorażanka nosem kręcąc, jak gdyby coś na gwałt wywahać chciała, szastała się po pokoju, badawcze na wszystko rzucając spojrzenia. Od czasu do czasu puszczała kilka słów ucinkowych, zdradzających złe jakieś usposobienie. Jest to jak się później przekonałem, rodzaj staropanieńskiej zemsty, która z czasem rozciąga się na cały świat, na winnych i niewinnych, i którą wypada im przebaczyć, nie tylko przez miłosierdzie chrześcijańskie, ale i przez słusność; bo jużciż jak dotąd położenie starej panny w społeczeństwie nie jest wesołem i zazdrości godnem; wszakże i najśodsze mleko skwaśnieje i zburzy się przez długie stanie.

— Kochana podkomorzanka, zmęczona czegoś bardzo! — ozwała się chorażanka z przekąsem.

— Chyba w oczach kochanej chorażanki — odpowiedziała podkomorzanka z równym przekąsem. — Kochana chorażanka ma bardzo wiele imaginacji.

— Kochana podkomorzanka podobno młodsza odemnie, to więcej daleko musi mieć jeszcze imaginacji młodzieńczych.

— Możeby się podkomorzanka napiła wody z sokiem — ozwał się głos starościny z drugiego pokoju.

— Dziękuję bardzo łaskawej pani staroście; ja nie jestem zmęczona; to są zwykle urojenia panny chorążanki naszej.

— Możeby lepiej z lodem? — ozwała się chorążanka znowu.

— Lód najlepiej przykładać do głowy; to najlepsze lekarstwo na choroby imaginacyjne — odcięła się podkomorzanka.

I obie popatrzyły na siebie spojrzeniem prawdziwie bazyliżkowem.

— Co tam Józio tak dziś w konie się bawi? — zaczęła znowu chorążanka stojąc we drzwiach. — Czy się wybierasz gdzie wyjechać panie starościcu?...

— Pojadę, oj pojadę — odpowiedział Józio podskakując wesoło — sześciami srokatej kołmi.

— To ci ich chyba panna podkomorzanka pożyczyc! — rzekła znowu chorążanka — bo nikt podobno w okolicy takich niema srokaczów.

Starościec nic na to nie odpowiedział, tylko przyłożywszy palec do ust, zaczął coraz głośniejszemu uganiać po sali jadalnej.

— Co to? Józio wybiera się w podróż? — odezwała się pani starościna z drugiego pokoju.

Lecz się urwała ta rozmowa, bo podkomorzanka powstała, szybkim dosyć krokiem pobięła do pani starościny, i zajęła ją opowiadaniem o swoich koniach srokatych, z czego tyle się dowiedziałem, że nieboszczyk podkomorzy miał wielkie upodobanie w koniach barwy srokatej, i zostawił córce stadninę srokatą. Starościna jak słyszałem później, była wielką amatorką, to też ją podkomorzanka zajęła tym dyskursem aż do obiadu. Lecz chorążanka była ciągle w jakimś usposobieniu wojennem, które jej spokoju nie dawało, i nagle przeniosła się ku mnie, zapytując ni z tego, ni z owego:

— Czegóż tak posmutniałaś mój maleńki — przemówiła do mnie, głaszcząc mi po twarzy. — Może ci się co stało na spacerze? powiedz nam! może ci co zrobili? Biedne dziecko ma oczy zapłakane.

Jeżeli w tych wszystkich zaczepkach miała plan jaki, nie udał się jej zupełnie, bo ja tylko rumieńcem odpowiedziałem, a matka moja zajęta była eichą rozmową z panią Aleksandrową. Chorążanka niezadowolona widocznie zaczęła mścić się na tabakierce, którą co chwili to otwierała, to zamykała, nudząc Aleksandra Chodkiewicza ciąglem a zawsze uroczystym ceremonjalnym ofiarowaniem mu tabaki. Ja nie wiem dla czego byłem w strachu. Jak to już powiedziałem, przeczuwałem jakąś tajemnicę i bałem się tem więcej o jej odkrycie, że zdało mi się, jakobym i ja do tego należał koniecznie. I pamiętam, że mi niewiedzieć dla czego żal było Józia.

Zeszedł wreszcie czas przedbiadowy. Pojawił się pan pułkownik Kobylecki z uśmiechniętą twarzą, a wąsami jeszcze wyżej rozburzonymi, i podano wreszcie do stołu. Przy obiedzie naturalnie zapomniałem o bożym świecie, ale bo też jedzenie było sute i prawdziwie pańskie. Zdanie moje zdawał się dzielić Józio także, który wszystkie potrawy jadł dwa razy zaprawdę, bo i oczami i gębą połykał. Ja siedziałem koło Józia przez niego do stołu pociągnięty, a że podko-



morzanka twierdziła, że pasjami dzieci lubi, więc usiadła koło mnie z drugiej strony. Nie wiem czy dzieci lubiła na prawdę, ale to zauważyłem, że miała apetyt świetny. W jedzeniu mogła była koncert dawać, i jeść nawet, jak to mówią przed królem. Już to i o sąsiadach nie zapominała, to też i mnie się od niej nie jeden smaczny dostał kasek, ale głównie podsuwała starościcowi co mogła; za to Józio z wielką poglądał na nią sympatją. Pułkownik siedział naprzeciw nas koło chorążanki, i uważałem, że często ku nam spoglądał, co we mnie zawsze dreszcz wzbudzało. I między nimi zdawała się panować wielka sympatja, ale więcej kieliszkowa, bo idąc za moim narowem uważania wszystkiego, widziałem, że się u nich kieliszki piorunem mijały. Gdyśmy wreszcie po dwóch godzinach wstali od stołu, staroście i podkomorzanka ledwie sapali, w czym i ja im towarzyszyłem; pułkownik był w różowym humorze, a oczy mu się łyszczały ogromnie; u chorążanki zaś postrzegłem nos czerwony należycie, co nawet dało powód starościcowi do konceptu, który jak sobie przypominam bardzo mi się podobał.

— Panna chorążanka ma gila! — krzyknął nagle.

— A gdzie? — spytałem naiwnie.

Staroście wskazał mi nos jej zaczerwieniony. Gdym po długim namyśle koncept ten zrozumiał, bo z początku zaprawdę miałem nos chorążanki za rodzaj klatki, powziąłem wielkie poszanowanie dla Józiowego rozumu. Wkrótce po objedzie odjechała podkomorzanka z swoją towarzyszką, owemi sławnymi sroczkami, które staroście admiraował strasznie, a które mnie wydały się zupełnie brzydkimi. Po ich odjeździe, wysmiano na piękne obie panie. Przez ciąg życia mego przekonałem się, że to tak zwykle bywa, osobliwie na wsi, gdzie dla braku przedmiotów do rozmowy, najmiłszą bo niewyczerpaną jest o kochanem sąsiedztwie. To też ledwie usta złożyą najśłodszy, pożegnawczy, prawdziwie judaszowski pocałunek na policzkach sąsiada czy sąsiadki, też same usta zaczynają zabijać ich słowami na piękne. I wiem, że sam wyjeżdżając albo wychodząc z kąd, z prawdziwym zawsze strachem rozmyślałem o sobie. Co też tam o mnie gadają? Pani Aleksandrowa, zwyczajnie jak młoda i roztrzepana, a przytem światowym dowcipem obdarzona, najwięcej dogadywała. Były tam i głośnie i ciche uwagi, które się mojej młodej nie trzymały głowy; pamiętam tylko, że długo gadano o nienawiści, jaką mają ku sobie nawzajem obie stare panny.

— Nic dziwnego! — mówiła młoda Chodkiewiczowa — jest to zazdrość współzawodnictwa rzemieślniczego. Obie gonią, namiętnie za mężem. A właśnie dla tego żyją z sobą, że się nie cierpią; aby się nudzić i męczyć nawzajem.

## VIII.

Bawiliśmy dni kilka w Czarnobyłu, z których nie wiele mi zostało w pamięci. Bawiliśmy się z Józkiem po całych dniach. Staroście

zdawał się czasem być zamyślony, ciągle przykładł palec do ust, bawił się w konie, a mnie po cicho szeptał czasem:

— Co to będzie! co to będzie?

Łamałem sobie głowę nad tem, co to będzie, chociaż tej tajemnicy jakiegś bałem się niepospolicie; bo uważałem, żeśmy oba byli strzeżeni przez pułkownika, który jak cień laził za nami. Dostrzegłem i to, że w całym domu zdawało się panować jakieś tajemnicze zajęcie; wszyscy coś szeptali, a najwięcej pułkownik z panią starością.

To tylko jeszcze z tego czasu przypominam sobie, i dla tego tylko przytaczam w krótkości, że łączy się z faktem historycznym, a jako zdarzenie prawdziwe, mało komu jest znane. Rozmawiano wiele o jakimś polowaniu, które niedługo miało nastąpić. Z początku nie wiele mnie obchodziła ta rozmowa, ale jakież było zadziwienie i przerażenie moje, gdy się dowiedziałem, że to ma być polowanie na ludzi. Tak jest w rzeczy samej, na ludzi! I takie odbywało się w r. 1813 razy kilka w okolicach Polesia.

Po odwołaniu Napoleona z wyprawy moskiewskiej, pozostawały w tyle obu wojsk tłumy maroderów, tak francuzkich jak i rosyjskich, którzy przebiegając kraj zniszczony przez przechód wojska, rzucili się potem na boki, szukając okolic mniej spustoszonych, i tam potworzyli liczne i niebezpieczne bandy rozbójnicze. Najswobodniej im było w lasach poleskich, gdzie się mogli najłatwiej ukrywać, i borami przechodzić niepostrzeżenie z okolicy do okolicy. Cały kraj ogołocony był z wojska, któremby można było to złe poskromić od razu, a bandy rozbójnicze stawały się coraz zuchwalsze i niebezpieczniejsze. Obozowały zwykle w jakim lesie przypierającym do wsi znaczniejszej, i takim postępowały trybem: o zmroku najczęściej przychodził żebrak odbarty do dworu, i bardzo krótko a kategorycznie rozmawiał z dziedkiem.

— Dziś do północy, ma być do lasu dostawione tyle wołów, owiec, baranów i t. d., i tyle gotowych pieniędzy.

Jeżeli dziedziec nie usłuchał tej grzecznej insynuacji, mógł być pewien, że mu dwór i budynki gospodarskie spalono jednej z następnych nocy, a prócz tego samowolnie zabrano trzody pasące się pomiędzy leśnemi łąkami. Nie było więc sposobu sprzeciwiania się takim wezwaniom. Postrach był wielki, skargi do rządu ciągle, a złe to tak brało górę, że zaprowadzono wreszcie polowania na te bandy wyraźne. Obywatele zjeżdżali się do jednego z dworów szlacheckich, ze strzelcami swymi i szlachtą czynszową, której było mnóstwo na Polesiu; wszyscy uzbrojeni. Za pomocą wiejskich szpiegów, wiedziano mniej więcej, gdzie się takie bandy przechowują; często też zdradzał ich dym wznoszący się po nad lasy i bory, który wychodził z ich ognisk obozowych. Polowanie odbywało się zupełnie po myśliwsku; otaczano knieję jedną po drugiej, i trzebiono ją. Ktokolwiek zdybany w niej, jeżeli się za pierwszym wezwaniem nie poddał i nie usprawiedliwił wierzytelnie z swego przebywania lasu, wystawiał się na kule pierwszego lepszego strzelca, który miał prawo strzelać do niego. Polowania te okropne, ale konieczne, kończyły się nieraz na



kilku trupach. O takim to polowaniu, które się odbyło w okolicy Czaronbyła, rozmawiano wówczas. Zdarzały się epizody nadzwyczaj dramatyczne, mogące służyć za tło niejednej ciekawej powiastki: sam wiem o niektórych, i przytoczę je w dalszym ciągu moich pamiętników.

A teraz wracam do katastrofy, która miała zakończyć mój pobyt w Czarnobyłu.

Było to jakoś w przeddzień naszego wyjazdu. Józio był nadzwyczaj tego dnia wesóły. Śpiewał, tańcował i skakał tak zawzięcie, że mimowolnie wszystkich uwaga na niego była zwróconą. Różnych używano środków, aby wybadać przyczynę takiego usposobienia; domyślano się zapewne czegoś, ale żadnej nie miano pewności. Ale Józio mimo swej słabości umysłowej, wykręcał się z psychologicznie zadziwiającą zgrabnością, tak, że brat nieraz wymawiał matce i pułkownikowi, którzy najwięcej wybadywali go i z nieufnością przypatrywali się tym ruchom, że go niepotrzebnie Bóg wie o co posadzają i nudzą. Bo i po prawdzie cała podstawa tej nieufności, było tych kilka słów, które przezemnie popodchwytował pułkownik, a z których nie wiele się dało wyciągnąć. Już i staroscina zaczynała się uspokajać, ale pułkownik ciągle kiwał głową, powtarzając, że się coś święci koniecznie.

Dnia tego tedy, miało się już ku wieczorowi. Wszyscy byli zgromadzeni w jadalnej sali, której okna na zachód wychodzące, ładny bardzo przedstawiały rzut oka na miasteczko i na obie rzeki w dali niknące. Nawet staroscina przeciw zwyczajowi, wyszła do sali i usiadła na przygotowanym dla niej miękkim siedzeniu. Rozmowa toczyła się swobodna, i zdawało się, że wszyscy zapomnieli o tych kilkunastu nieufnościach. Józio zamilkł nagle, i z godzinę może najspokojniej i najciszej stał w oknie, z oczami zwróconemi ku słońcu, którego promienie coraz dłuższe padały na posadzkę sali. Ta niezwykła spokojność jego tak długo trwająca, uderzyła wreszcie wszystkich.

— Co tobie Józiu? — spytała go matka.

— Nic mam! nic! — odpowiedział z roztargnieniem, i oka nie zwrócił od okna, do którego jakby przyrósł.

Niebo zaczerwieniło się na zachodzie, ostatnie słońca promienie ozłociły wody obu rzek. Nagle Józio podskoczył jak szalony, i kłasnął w obie dłonie.

— Już zachodzi! już zachodzi! — zaczął krzyczeć radośnym krzykiem prawdziwego dziecka. — Już zachodzi! — krzyczał coraz radośniej, i powtarzał swoje płąsy i klaskania.

Wszyscy zrozumieli, że ta radość nadzwyczajna musi mieć swoją przyczynę, i w tej chwili byli przekonani, że rzeczywiście, jak twierdził pułkownik, coś się święci. Staroscina podniosła się z ciężkością i posunęła się ku oknu.

— Józiu! — powiedziała do niego czułym głosem. — Jeżeli mnie kochasz, powiedz mi, dla czego się tak cieszysz zachodem słońca. Jak mię kochasz, powiedz !..

Biedny starościc mimo swego umysłowego upośledzenia, a może właśnie dla niego, szczerze kochał matkę przywiązaniem niewyrozumowanym dzieckiem.

— Nic mam! nie! — odpowiedział. — Józio szczęśliwy, że słońce zachodzi.

Odwrócił się, a spojrzawszy na wzrok matki pełen czułości, rozplakał się nagle, rzucił się do matki, ucałował ją razy kilka i wybiegł z pokoju.

— Co to jest? — przemówiła matka rozczulona i niespokojna, oglądając się na wszystkich.

I Bóg wie, dla czego wszystkim przykro się zrobiło. W tem na dziedzińcu owzał się tentent konia, kozak dworski przeleciał cwałem po przed okna sali. — Po chwili wbiegł pułkownik.

— Dobrze mówiłem — zawołał podkręcając potężne wąsy — że się coś święci, i nie darmo kazałem pilnować na wszystkich szlakach. Tajemnica cała wkrótce się odkryje.

Wszyscy patrzali ciekawie na pułkownika; aż tu otworzyły się znowu drzwi, i wbiegła Marcysia, mówiąc pół na serjo, pół ze śmiechem.

— Panny Agnieszki niema! gdzieś się podziała.

— Jezus Maryja! cóż to ma znaczyć? — wołała starościna.

— Starościc wybiegł laskiem tam za bramę! — zawołał kozak jakiś wbiegając do pokoju.

— Agnieszka! Józio? — pytała starościna zegnając się z przestachu.

— Aha! rozumiem! nie daleko zajdą — przemówił tryumfalnie pułkownik. — Dzięki temu malcowi, domyślałem się wszystkiego, i wszystko przewidziane. Brawo! brawo! kapitalna będzie awantura! Niech pani starościna będzie spokojna.

— Ale powiedz mi przecie Kobyłesiu!...

Kobyłecki przystąpił do starościny, i przez chwilę szeptał jej coś do ucha. Twarz starościny w czasie tego cichego zwierzenia zmieniła się do niepoznania. Wyraz trwogi i rozrzewnienia ustąpił, a natomiast odbiła się na niej jakaś radość złośliwa, walcząca zdaje się z gniewem namiętym i wyrazem pańskiej dumy.

— Dobrze! dobrze! Kobyłesiu! sto dukatów masz u mnie! za kaźden raz dukata, spieszże się.

— Przybędę w czas, bądź pani starościna spokojna; tam już czekają moi doskonale ukryci.

To rzekłszy wybiegł z sali, i wkrótce widzieliśmy, jak sam na koniu pocwałował na czele kilkunastu kozaków.

— Cóż to takiego? — spytał pan Aleksander, zbliżając się do matki.

— To Józia nam wykradają! — odpowiedziała starościna uśmiechając się złośliwie — a tobie parę milionów!...

— Wykradają! kto? dla czego?...

— Dla tych paru milionów! Ach dałabym chętnie pół miliona, żebym mogła być sama świadkiem tej sceny. Ale starościc nie radość. Pohamujcie waszą niecierpliwość, bo wnet dowiecie się o wszystkim.



To zakrawywało na tragedję, a skończy się komedją, z tragicznem a niespodziewanem zakończeniem dla niektórych osób. Ach! żebym ja to mogła widzieć?

Najpierwszym pojawem rowiązania tej zagadki, był sam Józio, bohater wykradzenia zamierzonego, który szedł dziedzińcem w smutnej bardzo postawie, a za nim dwóch kozaków postępowało z znakami pozornemi wielkiego uszanowania. Zawrócili biedaka z drogi, na którą puścił się z taką radością.

Matka przywitała go głośnym śmiechem.

— Józiu! — rzekła do niego — jaki ty głupi!..

— Ale mamó! mnie tu szynki i pierogów żałują.

Mniej więcej wszyscy już domyślaliśmy się, o co rzecz właściwie idzie. Niemniej przeto, wielką miała słusność pani starościna, że warto było być świakiem tej sceny. Scena zaś ta, jak to potem z upodobaniem opowiadał pułkownik, odbyła się w ten sposób.

Podkomorzanka żadna męża, a jeszcze więcej dwóch czy trzech miljonów, których przedstawicielem był Józio, za pomocą panny Agnieszki, której znaczne dożywocie przyobiecała, zrobiła plan wykraść Józia Chodkiewicza i stać się jego żoną. Planik był nie zły; zamiętowanie dziecinne Józia do ślubu pomogło im; przygotowali go do tego pomału, i namówili przyrzeczeniami rozmaitemi. O zachodzie słońca miał Józio wyjść przez gaik na drogę, do majątku podkomorzanki wiodącą; swoją drogą miała wyjść panna Agnieszka. W pewnym miejscu miał już powóz czekać, z owemi sławnemi sroczkami. Godzina tegiego galopu, i byłiby na dworze podkomorzanki, gdzie już czekał na nich umówiony ksiądz z ślubnemi obrączkami. A po ślubie trudna rada; połowa Chodkiewiczowskiego majątku przechodziła w ręce podkomorzanki. Wszystko było doskonale ukartowane, a tak tajemniczo, że nawet chorążanka nic nie wiedziała, tylko się czegoś instynktowym węchem domyślała. Ale pułkownik miał jakieś posądzenia, pobudzone zapewne przez Marcysi nienawiść do panny Agnieszki. Moje słowa poprowadziły go na trop bliższy; a resztę dokończyła jego czujność i przezorne środki jakich użył.

O naznaczonej godzinie podkomorzanka przyjechała z chorążanką, której teraz dopiero cały plan odkryto, i czekali na miejscu umówionem. Nagle z lasku wypadli zasadzeni kozacy i zatrzymali powóz. Po chwili przyprowadzono i pannę Agnieszkę, która innemi ścieżkami przysła. Wkrótce nadjechał i pan pułkownik, i z jak najuprzejmiejszym uśmiechem kazał wyciągnąć podkomorzankę z powozu. Daremne były jej krzyki, przekleństwa i błagania. Znalazł się gdzieś zaraz dywanik, na którym bez ceremonji rozciągnięto podkomorzankę, i pan pułkownik z serdecznem ukontentowaniem obdarzył ją stoma odlewaniem różgami. Taką porcję zaaplikowano pannie Agnieszce; prócz tego straciła doskonałe miejsce pierwszej panny w garderobie Czarnobylskiej, zastąpione wkrótce przez pannę Marcysię.

Chorążanka stała najspokojniej w powozie, i aż się kładła od serdecznego śmiechu, widząc przyjaciółkę w takiej niespodzianej tarapacie.

— No teraz i ona męża nigdy nie dostanie! — pomyślała sobie zapewne.

Tak się skończyło to nieudane wykradzenie. Już potem nikt nie konkurował o biednego Józia, który też nie długo pamiętał o tej całej katastrofie.

— Ależ przynajmniej mój Kobytesiu! szczerze potraktowałaś podkomorzanek? — spytała starościna.

— Pani starościna może być pewną, że w jej usługach nie braknie mi nigdy na szczerości — odpowiedział pułkownik. A oczy jego łyskały złośliwym tryumfem. Miał on, jak się sam do tego przyznawał, wyraźną antypatję do starych panien.

— Co to za świat teraz! — dodała starościna miasto sensu moralnego. — Dawniej mężczyźni panny wykradali, a teraz kobiety zaczynają kawalerów wykradać.

Na wyjeździe pułkownik wsunął mi do ręki funt doskonałych cukierków.

Długi czas żywiło się tem zdarzeniem całe Polesie; a nawet w lat kilka później niepomalu zadziwiłem się, zdybawszy się z przysłowiem, którego pochodzenie odgadłem zaraz:

— Wyszedł jak podkomorzanka na konkurach — mówił sędzia Baranowski o panu G., który cały majątek stracił na spekulacjach handlowych.



# PALEC BOŻY.

(Pierw. wyd. 1859.)

## I.

W całej Zawalni nie było porządniejszej chałupy i porządniejszego obejścia, jak chałupa i obejście całe Jędrucha Hładysza. Nie był on najbogatszym we wsi, bo byli zamożniejsi daleko od niego. W całym sąsiedztwie po wszystkich wsiach okolicznych, a nawet w najbliższem miasteczku Hastowie sławna była Zawalnia z dobrego bytu włościan. Już to tak z dawien dawna bywało, że ludzie mówili, jako Boże błogosławieństwo mieszka w tej wiosce. Prowda to wielka i stara jak świat, że bez Bożego błogosławieństwa nic się nie nada na tej ziemi. Było to błogosławieństwo w ogromnym obszarze, jaki do tej wioski należał; a był to czarnoziem prawdziwie podolski. Niczego nie brakowało; był i kamień i woda, glina na cegłę, i choć to rzadkość na Podolu, lasu podostatkiem. Lecz największem Boga błogosławieństwem, była zachowana z dawnych czasów lepszych pracowitość i bogobojność. Ludzie z Zawalni Boga kochali, to też i Bóg ich kochał, i nie opuścił nigdy. A dał im też rodzinę dziedziców wioski poczciwą i serdeczną, która od niepamiętnych czasów mieszkała tam na wzgórzu w murowanym dworze. Zawalsecy, synowie po ojcu byli dziedzicami wioski, a każdy z nich kochał poczciwych chłopków, którzy go też nawzajem kochali jak dzieci ojca. I tak od wieku dobrze się działo panu i wieśniakowi. Bo tak to zawsze bywa; w tej tylko wsi prawdziwie szczęście i swoboda, gdzie panuje ten serdeczny stosunek między dworem i chatami. Na naszej ziemi, jak się daleko ona rozciąga, czy na niej z ruska czy z mazurska gadają, czy Boga chwalą w cerkwi czy w kościele, taki stosunek przez długie lat setki, które człowiek ledwie zrachować zdoła, był świętym obyczajem. I było szczęście, póki się ludzie dawnego trzymali obyczaju. Każda wioska była jak gdyby wspólnem gniazdem rodzinnem. We dworze i przy kościele czy przy cerkwi, mieszkali dziedzic i ksiądz jako starsi bracia, opiekunowie i przyjaciele; w potrzebie oni poma-

gali i radą i ratunkiem, i słowem dla duszy, i ziarnem dla ciała. A po chatach w koło dworu rozrzuconych jak kureczęta w koło koszy, młodszy mieszkali bracia, gotowi zawsze w czas gorący pilnej roboty pójść panu i księdzu w pomoc. Wszak czy żałoba, kłótnia czy zgoda, czy bieda jaka na serce padła, czy słabość na ciało, pomorek na bydło, lub jaka plaga niebieska na ziemię, pełni ufności szli do dziedzica we dworze, lub do dobrodzieja w księżym dworku. I długo tak u nas bywało, bardzo długo. Teraz się wiele zmieniło! Że na gorsze, spytajcie każdego czy pana w pałacu, czy wieśniaka w ubogiej chacie — niech przyłoży rękę do piersi, i niech przyzna sam! Oj jak mi Bóg miły, każdy powie, że prawda, każdy ktokolwiek ma sumienie.

A czyja wina?... Otóż to nieszczęście, że każdy stara się dowiedzieć koniecznie czyja wina? A na co tego!.. Jeżeli tak źle jak jest teraz, to zwrócić się trzeba do pana Boga w niebiesiech, i ukłęknać do serdecznego pacierza, i prosić go, by lepiej było. A jak się człek szczerze wymodli i wypłacze wszystką gorycz, co mu się tam kwasi w piersiach, to się już sam stanie lepszy, i pomyśli wtenczas: A na co mi wiedzieć, kto winny? Wszyscyśmy winni, bośmy przestali trzymać się najdawniejszego zakonu naszej świętej religji: Kochaj Boga i kochaj bliźniego!.. Miłość ta serdeczna, to jakby święty ogień, co przepali wszelkie niepocziwe myśli, poprawi nas, i zwróci ku dawnym obyczajom!

Lecz nie o tem mowa! Rozgadałem się! ot zwyczajnie jak się to zdarza staremu gadule, który już wiele przeżył i przebył, nie jedno przepłakał, i nie jedno co minęło schował do swojej pamięci. jak się chowa na cmentarz tych, co się kochało i opłakało. Może wam kiedyś więcej opowiem o tej rzeczy, i wytłumaczę, skąd przyszły te nieszczęśliwe zmiany na naszej z wieku błogosławionej ziemi. I opowiem wam jako starszy brat młodszym braciom, jakim sposobem te terazniejsze przemiany na gorsze, tak wyprowadzić, by właśnie wyszły na lepsze. Bo Bóg łaskaw dał człowiekowi takie zdolności, że nie ma takiego zielska zjadliwego, takiej trzciny, z którejby nie można wydobyc zbawienego lekarstwa. A może nie jedno wam powiem w tej jeszcze powiatce, co wam wskaże drogę, którą iść potrzeba, aby nie zbłądzić. Bo pan Bóg dał ludziom niektórym zdolność układać słowa swoje czy w mowie czy w piśmie, aby je układał nie na próżne szczekanie jak to pies robi, ale na pożytek tych braci swoich, którzy nie mieli sposobności i czasu pobierać nauk, czytać stare księgi i zastanawiać się nad niemi, by z nich wyciągnąć co najlepszego i najpożyteczniejszego. Lecz teraz wróćmy do Zawalni i do Jędrucha Hładysza, o którym chcę wam opowiedzieć, jak to pan Bóg niewidocznie kieruje ludzkim przeznaczeniem.

Jędruch Hładysz jak mówiłem, nie był najbogatszym we wsi. Bo w Zawalni pomiędzy wieśniakami tamtejszymi były daleko bogatsze rodziny Biłych, Zahornych i Bubysów. Ale były to wszystko rodziny, co już później przez szczęśliwe wypadki do większego przyszły mienia. Rodzina Hładyszów w Zawalni była najdawniejsza, bo jak diak opowiadał, to u księdza parocha przy cerkwi były stare



metryki, co się jeszcze z tatarskich czasów zostały, i w nich już zapisane były Hładysze jako starsi bracia. Bogiem a prawdą nie wiele to znaczy, czy człowiek pochodzi z takiej czy owakiej familji, czy ma tam het za sobą więcej czy mniej dziadów i pradziadów, bo człowiek tyle tylko znaczy, co przez siebie samego dobrego zrobił na tym świecie, i czem zasłużył, aby ludzie o nim pamiętali, a pan Bóg go umieścił w swoim niebieskiem królestwie. Co warta najstarsza grusza, jak zacznie rodzić kwaśne i gorzkie gruszki? Ale to ludzie i często dbają więcej o to, czem tam był jego ojciec albo dziad, niżeli czem oni sami są na tej ziemi. Ta to dbałość o dawność rodu najwięcej po pańskich dworach zamieszkuje, chociaż już teraz i panowie nie tyle na to uważają. Trzeba też prawdę powiedzieć, że mniej to u nich dziwić powinno, bo takie wielkie i zasłużone nazwisko, jakiego wielkiego wojownika, co swój kraj od napaści nieprzyjaciół obronił, albo takiego co w własnym kraju służył swoją głową w radzie, i niejedne mądre a poczciwe zostawił po sobie nauki i przestrogi, któremi się jeszcze kierują wnuki — takie nazwiska zostają sławne na długo, bo je na pamiątkę powpisywano do starych ksiąg. Ale cóż powiedzieć o tej próżności, z jaką teraz w naszych czasach puszą u nas i chłopkowie nasi po wsiach? Grzeszna to i głupia próżność. A Bóg widzi, że ją można zdybać w niejednej wiosce. Wszyscy pracują koło jednej ziemi, i ten lepszy, kto lepiej tę naszą poczciwą uprawia ziemię; a tymczasem zdarza się często, że Iwan patrzy krzywo na Dmytra, bo Iwana ojciec i dziad byli majątnymi; albo znowu Dmytro pomiata Fedkiem, bo pola ma o dwa morgi więcej, i więcej dobytku w stajni i w oborze; tak jak znowu Fedko z góry patrzy na Pańka, bo Fedko ma własną chałupę i grunt, a Pańko w obcej chacie na komornem siedzi tylko. I szatan się śmieje, aż się za boki trzyma z radości, bo próżność i pycha zaprowadzą człowieka do największych występków. Próżność i pycha, jak się w człowieku rozrosną, taką podwójną i poczwórą nawet skorupą otoczą jego serce, że jakby kamienia na roli plugiem nie przeorzesz, tak i skorupy nie przebijesz, ani słowem ani płaczem.

Otóż to było nieszczęście Jędrucha Hładysza, że się strasznie nadymał, jakby pęcherz wiatrem napelniony, z tej dawności rodu swego. Był ci bardzo pracowity i żadnych złych nie miał nałogów; zgodny, niekłótnliwy, chwalony a nawet szanowany był powszechnie. Ale gdy w święto czy w niedzielę, gdy do cerkwi czy do karczmy ubrał się w swoją długą siermięgę ciemno siwą, z kapturem na tyle, obszywaną w około pasowemi jak ówikłowy burak sznurkami, a na podgoloną z przodu czuprynę zasadził wysoką na półtora łokcia czapkę z czarnych baranków, z tyłu podwiązaną wstążkami takiejże co sznurki barwy, i wysoką palicę czereśniową wziął do ręki — to wtenczas taki szedł wyprostowany, jakby kij połknął, i z taką powolną postępowal dumą jakby on sam jeden był w całej wsi, i ledwie się komu kiwnieniem głowy pokiwał.

Miał on czterech braci, wszyscy byli gospodarzami; każdy z nich miał swój grunt i swoją chatę, ale choć byli starsi od Jędrucha, żaden z nich tak się nie nadymał. Już takim był od dziecka,

ī zawsze chciał się pomiędzy innymi odznaczyć, choćby lepszym rze-  
mykiem na pasie, choćby jaskrawą chustką na szyi, choćby świecą-  
cym guzikiem tombakowym u koszuli. Z początku ta jego chęć od-  
znaczenia się obracała mu się na dobre, bo to właśnie w tem szatań-  
ska sztuczka, że jak kogo chce uchwycić, to mu rzuci do serca takie  
nasienie, że zrazu aż miło, tak się pięknem zazieleni liściem, i zda  
się wyrośnie w pełny i pożyteczny kłos. Ale gdzie tam! liście im  
starsze, tem więcej w łopuch i pokrzywę przechodzą, a zamiast kłosu  
to wyrośnie kolczasty bodiak. Więc tedy Jędruch więcej od drugich  
pracował, aby ludzie gadali. I był zawsze bardzo porządny w całym  
życiu swoim. Jak wszedł do karczmy między dziewczki, to sobie  
nigdy nie pozwolił nieprzyzwoitego żartu, i dbał o siebie, by miał  
czyste zawsze szmacie na sobie, i buty wysmarowane tak doskonale,  
że się w nich można było wpatrywać jakby w lustro jakie; i nigdy  
nie na nim nie było podartego, albo poplamionego; ani też kiedy się  
upił, jak to się drugim trafiało, zrobił jaką burdę.

Gdy był starszym i wyszedł na gospodarza, bo się już był  
i ożenił, to dla chęci wyniesienia się nad innych, więcej pracował  
jak dawniej, i jeszcze więcej starał się być porządnym i zapobiegli-  
wym. Ta to cnoty niby! niema co mówić, ale w niczem przesadzać  
się nie godzi. On pracował dla tego, żeby być bogatszym od drugich,  
a porządek i zapobiegliwość przechodziły pomału w skąpstwo takie,  
że sam sobie żałował jadła i napoju, które przecie pan Bóg na to  
stworzył, by ich człowiek wedle miary używał. Jędrucha gniewało,  
że choć jak mu się zdawało, jest on z najpierwszej we wsi rodziny,  
są przecie od niego bogatsi, i Biłowie i Zahornowie, i Bubysy. Otóż  
chciał być koniecznie najbogatszym w całej wsi.

Lecz czas już wejść do jego chaty. Tam go bliżej poznamy  
i zrozumiemy wszystko, co tu dotąd ogólnemi powiedziałem słowy.  
I tam dopiero jaśniej się okaże, do jakich to błędów i nieszczęść  
może zaprowadzić człowieka jedna z początku mała i nie wiele zna-  
cząca wada, jeżeli się jej zawczasu nie pozbędzie. To tak zupełnie,  
kiedy na roli najlepiej zasianej zacznie wyrastać niepotrzebne zielsko.  
Jak w czas nie wypielesz, to ci pęcz niepocziwy najlepsze przygłu-  
szy i zdusi ziarno.

## II.

Wieś opiszemy później przy sposobności. Teraz dosyć będzie  
wiedzieć, że chałupa Jędrucha stała na maleńkiem wzgórzu, które  
wychodziło tyle naprzód, że z daleka i z różnych stron widać było  
tę chatę. A tak była paradna, że przejeżdżający nieraz myśleli, że  
to dworek szlachecki. Bo choć słomą pokryta, była atoli wyższa od  
drugich, a zawsze gładko i czysto pobielona, z wylepioną w około na  
zółto przyspą. Komin murowany sterczał wysoko na boku, co wysta-  
wał na wzgórzu; było aż trzy okien, a od zagrody było cztery po  
jednej stronie drzwi, a dwa po drugiej. I ogrodzenie gęsto plecione



było porządne bardzo i wysokie, środkiem była wcale nie chłopska brama, bo z deszczek zbita, a tak wysoka, że ją widać prawie było z całej wsi. Nie mało go ta brama kosztowała, i nie mało się ludzie z niego nadrwili, ale Jędruchowi aż dusza z radości rosła, gdy popatrzał z daleka na swoją bramę; tylko we dworze lepsza była brama, a księżowskie wrota do zajazdu były z pięcia plecione.

Dziedzińczyk zawsze czysto zamieciony był obszerny. Do chaty przyczepione było długie przepierzenie niższe nieco, plecione, gliną obrzucone i pobielone także; tam była stajenka na krowy w dole, a na górze grzędy dla kur, których Jędruch miał bardzo wiele, i w kącie skład na mierzwiastą słomę do podściółki. Prócz tego bokiem stały jeszcze dwie szopki, jedna na konie, a druga szczelnie zamknięta służyła za spichlerzyk i tok do mlócenia. Za szopami oddzielone drzewami od nich było gumienko, w którym rok rocznie bywało po sześć i po dziesięć czasem małych stertek ze zbożem i sianem. Lecz najpiękniejszą obojścia całego ozdoba, był sad za chatą, największy w całej wsi, w której jak to zwykle bywa na Podolu, sady i drzewa wielką były rzadkością. Znać to już bardzo mieszkać musiał jaki staranny gospodarz i sadownik wielki, bo wszystkie drzewa były porządnie sadzone, i prócz mniejszych nieco śliw, które w końcu sadu gęściej były skupione i kilku niższych ale rozłożystszych za to wiśni i czereśni, było kilka grusz i jabłoni, tak wysokich i szeroko rozgałęzionych, że przy największym skwarze słonecznym można było w ich cieniu odpocząć jakby pod dachem. I widać było wielką przy drzewach staranność; każdy pień i każda gałązka tak były czyste, że nie znać było na nich ani tego mchu, co nieraz narasta, ani tych robaczkliwych narości, które pozostają przez zaniedbanie.

A teraz wejdźmy do środka chaty. Choć to był dzień powszedni, i jeszcze słońko parę godzin miało przed sobą, zanim zajdzie na spoczynek, w chacie zgromadzeni byli wszyscy mieszkańcy, czy że dnia tego żadnej nie było pilnej roboty, czy że jakaś ważna okoliczność sprowadziła wszystkich tam obecnych.

Przez całą szerokość izby był stół długi, z ławkami przed nim o ściany opartymi. W jednym kącie stołu tego, właśnie przed obrazkiem zakopconym Przenajświętszej Panny, otoczonym w koło wiankami święconymi i palmowemi różgami siedział sam Jędruch. Był to człowiek silnie zbudowany, nie tyle wysoki ile barczysty i krępy; znać po twarzy gładkiej i rumianej, po ciemnych a gęstych włosach, po żywych jasnych oczach, że jest jeszcze w sile wieku, niestarganej ni pracą ni rozpustnem życiem. Twarz jego byłaby nawet ładna, gdyby nie gołe brwi nad oczami, które coś przykrego i twardego jej nadawały, i gdyby nie usta wązko ściśnione, które szczelnem zamknięciem swoim zdawały się znamionować brak szczerości. Siedział z głową nieco spuszczoną, opartą na rękach obydwóch, których palce z jakąś niecierpliwością kręciły się po gęstej czuprynie. Oczy miał w stół wlepione. Naprzeciw niego siedziała oparta o stół kobieta, i patrzyła w niego z wyrazem nieśmiałym i lęklwym. Była to żona Jędrucha. Czy była młoda jeszcze czy stara, czy była kiedy piękną? tego nie poznać z twarzy ogorzalej i spracowanej; oczy tylko siwe

miała wielkie, pełne i ładne. Lecz i w tych oczach choć było więcej młodości, widać było ten sam wyraz jakiejś dziwnej trwożliwości.

O piec piekarniany, w którym zaiskrzyły się czasem z popiołu resztki niedopalonych węgla, stał oparty stary człowiek, z grzbietem nieco pochylonym i długą, choć rzadką brodą w większej połowie szpakowatą. Zdawał się być jeszcze silny i kościsty, mimo twarzy licznymi zmarszczkami pokrytej. Z tą twarzą starą w dziwnej sprzeczności były oczy wielkie siwe, podobne do oczów Jędruchowej, nadzwyczajnie ruchawe i biegające ciągle, jakby nigdy na jednym nie mogły spocząć miejscu. I przy ustach jego był jakiś uśmiech o jakie trzydzieści lat młodszy od całej twarzy, uśmiech nie tyle wesoły, ile niedbały i lekkomyślny. I w tej chwili nawet, chociaż widocznie twarz cała staruszka skrzywiona była jakąś przykrą myślą, uśmiech ten trzymał się ust ciągle, tylko że było w nim coś złośliwego, a nawet drwiącego, gdy spozryzał na Jędrucha.

Było jeszcze w izbie dwie osób: dziewczynka może ośmioletnia, i chłopczyk starszy o jakie dwa czy trzy lata. Patrząc na dziewczynkę, nikt się nie mógł pomylić, każdy poznał od razu, że to córka Jędruchostwa, bo do obojga była podobną. Po ojcu miała okrągłą i rumianą twarzyczkę, jakby jabłuszko jakie, a po matce były znowu włoski mięciutki i jasne jakby len, i oczka niebieskawe, które z pewną ciekawością sprytnie rzucała na wszystkich. Siedziała sobie na ziemi ubitej i gliną posmarowanej zamiast podłogi, i bawiła się kawałkami patyczków czysto obciosanych, które w różne figury układała. Jak mówiłem, patrzyła od czasu do czasu ciekawie na wszystkich, ale najwięcej jednakże na chłopca, który w kącie między piecem i ścianą tak stał wcisnięty, jakby chciał żeby go nie uważano. Twarzyczkę miał chudą, znędzniałą przez pracę przedwczesną; ale jej rysy pociągłe były ładne, i widać było na niej wielką łagodność, która głównie wyglądała z oczów ciemno błękitnych, i odbijała się na ustach maleńkich, bardzo zgrabnie wykrojonych. Łagodności tej wyrazu zetrzeć nawet z twarzy chłopaka nie mógł widoczny smutek, który mu skurczył usta i oczy przyemił jakąś mgłą mokrą, która lada chwila mogła przejść w płacz rzewny. Chłopczyk najczęściej i najsmutniej patrzył na staruszkę o piec opartego; i tylko uśmiechnął się tak słodko, że aż chwyciło za serce, gdy mała ku niemu spojrziała dziewczynka, wzywając go różnemi migami do wesołości.

Długi czas było cicho w izbie. Znać wszyscy mają nad czem rozmyślać. Nagle Jędruch podniósł czoło, brwi ścisnął jeszcze mocniej, że jeszcze groźniej zdawały się najerzać. Usta wydał naprzód, i pięścią uderzył w stół.

— No kobieto! — wyrzekł zwrócony do żony — powiedzże mu już raz... i niech się to skończy!

— Tyś przecie gospodarzem Jędruchu! — odpowiedziała Jędruchowa cichym i nieśmiałym głosem.

— Ależ to twój ojciec!

— Ojciec! — powtórzyła Jędruchowa tak cicho, jakby to echo, co to czasem ostatnie odbija słowo między górami i lasami.



— Ojciec! ojciec! — powtórzył także staruszek, i zacisnąwszy zęby gniewnie, drwiąco spojrzął na Jędrucha... Taże ojciec! niepraważ Jędrucha?

Jędruch spuścił oczy i zamilkł przez krótką chwilę, ale wnet się zerwał z ławki tak gwałtownie, że dziewczynka przestraszona skoczyła z ziemi i pobiegła schować się za matkę. I spojrzawszy w okno zawołał:

— Słońce już nisko!... Jeżeli chcecie stary zejść do miasteczka...

— I nocować w lesie! — przerwał stary; — żeby mnie wilki zjadły.

— Nie mówcie takich rzeczy! — miękkiem głosem zagadła Jędruchowa.

— Gdzie teraz wilki? — ozwał się na to Jędruch i zaśmiał się, ale śmiech jego nie szedł mu widocznie z serca.

— Ot i lepiejby było! — mruknął stary — skończyłoby się od razu!... Wybyście Jędrucha nie bardzo płakali za mną.

Jędruch skrzywił się i oczy odwrócił, ale tem gniewniej nacisnął brwi. Nagle uderzył w stół i krzyknął do żony:

— Czego ta smarkata płacze!

Matka przytuliła córkę co prędzej, aby ojciec nie widział łez, które dziewczynie jak groch duże spadały po białych jak mleko licach.

— Marynka nie płacze — odpowiedziała mężowi.

Ale dziewczynka wyrwała się matce i splakaną twarz obróciwszy do ojca, wskazała na chłopaka:

— Bo Jurko płacze! — wymawiała żałosnym głosem.

— A ty nic dobrego — wrzasnął Jędruch, rad że ma na kogo wyrzucić złość, co mu w piersi kipiała. — Ty próżniaku!... czego tu stoisz i szpiegujesz, co my gadamy. Dam ja ci tu słuchać, co do ciebie nie należy, i płakać czarci wiedzą czego.

— Dobrze mówicie Jędruchu! — zagadł znowu stary z drwinami i uporem. — Jeszcze tylko czartów nam tu potrzeba.

Jędruch nie uważając na słowa starego, podniósł pięście i podskoczył do Jurka.

— Jędruchu! dajcie pokój! chłopca niema czego bić. on temu nie winien, że ma głupie serce; nie każdy ma takie serce mądre jak wasze. I ja miałem dawniej głupie serce.

— Wasylu ustąpcie się! — krzyczał coraz głośniejszym głosem Jędruch i wyciągnął rękę, aby odepchnąć starego Wasyla, który Jurka zastaniał.

I kto wie, co by się było stało, bo Jędruch jak był w gniewie, to na nic nie zważał. Ale właśnie gdy już porywał Wasyla za płótniankę, by go na bok odsunąć, otworzyły się drzwi od chaty, i wszedł przez nie człowiek dziwnej postaci.

Prawda że dziwnie wyglądał, bo go pan Bóg stworzył jak drugich ludzi prostym, wysmukłym i wysokim, ale przypadek znać nieszczęśliwy pokrzywił go okropnie. Na samym środku krzyżów był tak przełamany, że się wydawał o połowę niższy, a głowa z długą szyją i chudymi piersiami sterczała daleko przed nim, jakby ciało

węza lub gadziny. I nogi miał czy pokręcone czy połamane, bo wygięte były od kolan naprzód, i ledwie mógł się na nich utrzymać, zaganiając jak pijany, albo jak kaczka na wszystkie boki. Ludzie na wsi, co go od dziecka znali, rozmaicie gadali o tem nieszczęśliwym pokręceniu ciała i nóg. Jedni szeptali po cichu między sobą, że to go tak pokręcił czart, z którym on za młodu różne miał praktyki — i to tak jednej nocy, kiedy wracał z cmentarza, gdzie chodził na jakieś djabelskie schadzki. Drudzy, a osobliwie kobiety gadały, że spadł po prostu z drabiny, po której laźł w nocy. A i tu rozchodziły się zdania, bo wedle jednych laźł on na strych za pościem słoniny, co wisiał u sąsiada, a podług drugich skradał się do czarnobrewej mołodycy sąsiada. Co by nie było, to pewna, że go tej nocy znaleziono w własnej chacie krzyczącego z bolu w niebogłosy. Bóg to sam raczy wiedzieć, jakim się on tam sposobem mógł dostać w takim stanie.

Jedna twarz tylko została u niego, jak ją pan Bóg stworzył. A choć twarz była bardzo chuda, schorowana i nadzwyczajnie żółta, jakby ulepiona z świec kościelnych, widać przecie było na niej boskiej roboty ślady. Bo z oczów patrzała spokojna łagodność i dobroduszość; zdawało się, że przez nie można było zaglądnąć het aż do serca poczciwego. A na ustach miał taki jakiś uśmiech serdeczny, że patrząc na niego, gdyby człek nie wiem jaki ciężar miał na sercu, musiał się koniecznie rozweselić.

— Dziaček! — zawołali wszyscy prócz Jędrucha, który postrzegłszy wchodzącego, cofnął się czem prędzej, i podniesione pięści spuścił w dół.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się dziaček głosem tak cienkim i śpiewnym, że już po nim miarkować można było, jakim musi dyszkantem spiewać w cerkwi.

— Na wieki! — odpowiedział Jędruch którego brwi ściągnięte rozsunały się jakby cudem, co oczom jego łagodniejszy nadało wyraz.

— Na wieki! — powtórzyli drudzy, i uśmiechnęli się uprzejmie do dziačka; Marynka nawet i Jurko weselej popatrzyli przez łyż jeszcze wyschnięte, jak gdyby słońce wyszło z po za chmur.

Bo dziačka wszyscy lubili we wsi, nie zważając na jego postać pokrzywioną, i na różne duby, które jak mówiliśmy rozpowiadano o nim. I jakże go nie było lubić, kiedy dziaček nie dosyć, że spiewał w cerkwi i jak jeszcze spiewał, ale prócz tego grał na basie tak wybornie, że nogi choćby z kamienia puszczały się do tańca. A prócz tego w razie potrzeby był on i szewcem doskonałym, i jeżeli tylko czas miał wolny, chętnie sąsiadom, kumom i przyjaciołom latał wielkie podolskie czoboty, a latał mocno i zgrabnie jak żaden szewc z okolicy. I nie był chciwy, przyjął co mu dano w nagrodę, choćby tylko: Boże zapłać! I jeszcze w dodatku gospodarzowi albo gospodyni, co przypadłszy do niego wyzuli buty i czekali zanim połata, rozpowiadał takie dziwne rzeczy, że słuchający języka w gębie zapominali.

Bo trzeba wiedzieć, że nasz dziaček był piśmienny człowiek, nie tylko czytał po polsku i po rusku, ale i pisał takimi wielkimi



literami, żeby i małe dziecko, co się dopiero uczyć zaczyna, potrafiło wysylabizować.

— Pomagajże Boże! — mówił dalej dziaćek zwrócony do wszystkich. — A i wy tu Bazyli! — dodał, i po spokojnej i wesołej twarzy przebiegło coś, jakby mała smutku chmurka. — To do brze! — kończył po chwili i do Jędrucha się zwrócił. — Książd proboszcz czeka na was; chce coś z wami pomówić!

Do innych właściwości dziaćka i to należało, że się sadził na dobrą mowę polską, i wszystkie imiona ruskie przerabiał na polskie.

— Ze mną? teraz koniecznie? bo ja...

— A teraz! i kazał mi was prosić, abyście zaraz przyszli.

To słowo prosić udobruchało Jędrucha, jakoś zaczął się zbierać co prędzej.

Dziwna zmiana zaszła na wszystkich twarzach. Słowa dziaćka zrobiły nadzwyczajne wrażenie na starym, na Jędruchowej i na dzieciach. Coś im weselszego z duszy wyskoczyło na twarzy, jakby jakie radośne spodziewanie.

I gdy Jędruch się odwrócił, kobieta jego co prędzej spojrzała na dziaćka, i oczami tak wyraźnie a tak ciekawie zapytała, że najgłębszy nawet musiałby zrozumieć to pytanie. A dziaćek przecie nie był w ciemię bity. Więc tedy jak mógł najwyraźniej, odpowiedział na pytanie; bo się naprzód uśmiechnął na pół wesoło, na pół smutno, jakby chciał powiedzieć, że jest spodziewanie, ale niepewne jeszcze. A potem podniósł oczy do góry, czem już przecie najwyraźniej powiedział, że to spodziewanie jest w rękę Boga miłosiernego.

— No chodźmy! — ozwał się Jędruch zasadzając czapkę i biorąc palicę do ręki. A gdy już był przy drzwiach, odwrócił się i widocznie pasował się sam z sobą, by znowu nie wybuchnąć gwałtownością na widok rozweselonych twarzy. — A tymczasem! — rzekł zaciskając zęby — nim ja przyjdę... niech się to skończy! rozumiesz kobieto.

— Dajcie no pokój! — przerwał dziaćek — nie zabawicie przecie długo; to wróciwszy dokończycie. — I porwawszy za siermięgę, wyciągnął Jędrucha za drzwi.

Gdy już wyszli, Jędruchowa ciężko odetchnęła, jakby jej kamień spadł z piersi.

— Może Bóg da! — wyrzekła, patrząc żałośnie na starego ojca.

— Chyba nie znacie męża! — odpowiedział ojciec. — Prędzej żandarm na granicy dałby się uprosić; twardszy on od naszego kamienia.

— Może przecie dobrodziej...

Stary Wasyl nic na to już nie powiedział, tylko głową kiwnął. A dzieci tymczasem nową nadzieją rozruszane, już zapomniały o łzach, które wyschły bez śladu. Marynka wesoło skacząc podbiegła do chłopca.

— Jurku! — zawołała chichocząc się — chodźmy na dziedziniec!

— Ja muszę pójść do stajni — odpowiedział Jurko i serdecznie się odśmiechnął Marynce.

— To ja z tobą do stajni! posadzisz mnie na wilczka.

I ręka w rękę wybiegły dzieci wesoło uśmiechnięte. Zwyczajnie dzieci! co one wiedzą o życiu?

### III.

My tymczasem pójdziemy za dziaczką i Jędruchem, którzy powolnym krokiem schodzą ścieżką z góry. Choć to na płaskim i równym jakby step Podolu, wieś sama Zawalnia miała bardzo ładne położenie. Jak się to często zdarza na Podolu, szeroka równina rozpekała się nagle w jar głęboki, do którego ludzie lubią się kupić z mieszkaniem swemi, bo w takim jarze zwykle płynie albo rzeczka, albo błyszczy stawek, pomrugując do słońca albo do księżyca swą wodą lekko pozmarszczaną. W takim jarze bezpieczniej od wiatrów, co tam na płaskim dmuchają stepie, a więc jakoś i cieplej i zaciszniej, i drzewko się łatwiej w sadzie przyjmie, zazieleni prędzej, zakwitnie wcześniej, i lepszy a smakowitszy wyda owoc. To też nieraz na łąkach śnieg leży jeszcze i gospodarz ze strachem podnosi białą poduszkę śniegową, aby zajrzeć, jak tam pod nią wygląda ozima nadzieja; a w parowie głębokim, choć szumią głośniejsze spadające z śniegowych zasp potoki, zaczyna się już zielenić od strony południowej. i gospodynie po urwiskach nad chatami zawieszonych, ubijają ryskami grządki ogrodowe.

Takim był właśnie jar głęboki i na różne strony popękany, w jakim leżała Zawalnia. Węższy z jednej strony, rozszerzał się z równiną stepową, że człek jadący ledwie się postrzegł, gdy już jar zostawił za sobą, i przed sobą nie widział prócz okiem nieprzejrzanej płaszczyny. Od węższej strony, łączką tak zieloną i tak śliczną, jakby ją pan Bóg zasłał aksamitnym kobiercem w różne kwiaty tkany, płynął sobie strumyczek cicho pomrukując. Czasem tylko głośniejsze zaszumił, gdy na zakręcie zdybał się z wystającymi korzeniami wierzb tu i owdzie na brzegach strumienia zasadzonych. I długo się kręcił swobodnie na wszystkie boki, to w prawo, to wlewo; tu podmulając krzemienistą ścianę parowu, tam prawie niknąc w trawie wysokiej. Nagle złapany grobelką rozlał się szerzej stawkiem małym, i jakby żałując dawnej swobody mrucał żałośnie, spadając łotokiem na koło młyńskie. Uciekał też dalej co tchu, ale już dawnej żywości młodej nie mógł odzyskać. To też jak starowina coraz gnuśniej się ruszał, coraz więcej odpoczywał, aż wreszcie na różne wszedłszy mielizny, w bagnistej łączce kończył swoje życie, na wielką uciechę dzikich kaczek, bekasów, kulonów, czajek i rozmaitego ptactwa wędrownego, które szukało sobie żeru pomiędzy kępki zielone, w rudawem błocie.

Nie wielki to był krajobraz, ale pełny tego prostego uroku sielskiego, którego Bóg łaskaw nie poskapił naszej ziemi kochanej. Najpiękniejsza strona parowu była właśnie, do której szedł połamany dziaczek z towarzyszem swoim. Była to strona jaru na południe wy-



stawiona, a choć na niej mniejsza tylko ilość chatek była rozrzucona, cudnie tam wszystko wyglądało: jakby w jednym wielkim ogrodzie. Bo i chaty na tej stronie niknęły w rozłożystych sadach swoich, i tam na prawo białe tylko komin obszernego dworu pańskiego sterczał nad wielkim i rozległym ogrodem, który jedną stroną spuszczał się w dół i łączył z wierzbami, które rosty to samopas, to splecione razem po nad łączką bagnistą.

Ale najpiękniej wyglądało w samym środku. Tam stał mały co większy od chat chłopskich dworek białutki parocha miejscowego, koło którego po jednej i drugiej stronie wznosiły się stare grusze i jabłonie grubością swą i rozłożystością swych konarów sławne na całą okolicę. A przed ganeczkiem księżego dworu, który stał nad samem prawie urwiskiem stromego w tem miejscu jaru, jakby ogromne schody pokopane były szkarpy, zieloną darnią wyłożone, i przez córki dobrodzieja zasadzone niby żywemi płotkami, agrestowemi, porzeczkowemi i malinowemi krzakami, z po za których wyglądały ciekawie jedne piękniejsze od drugich kwiatki rozmaite. Dworek przeto cały, białutki i czyściutki, wyglądał prawdziwie jakby zawieszony w zielonym wianuszku. Tuż przy księżym dworku ścieżką tylko oddalony i małym płotkiem, przez który drewniany prowadził przełaz, stała skromna cerkiewka, z skromniejszą jeszcze przytuloną do niej dzwonnica. I prawdziwie te cztery dzwonki w niej zawieszone, różnej wielkości, wyglądały nibyto dziatki hałaśliwe pod strzechą z dranic jakby pod rańtuchem matczynym obok starej babuni, co z pokrzywionej nieco kopułki spoglądała czule na nich, i błogosławiła ich ciągle złocistym krzyżem swoim. Otóż w całym parowie najpiękniej i najzieleniej było koło starej cerkiewki. Bo tuż koło niej na murawie tak bujnej i tak zielonej, że ją ledwie naznaczyły dwie skromne ścieżki jedna ode wsi, a druga od dworku księżego, wyrosły szeroko i wysoko a wolno i swobodnie dwie lipy tak ogromne i rozłożyste, że je więcej mili widać było z daleka, a obcy co ich nie znał, przysiągłby, że tam cały gaj rośnie zielony. Najstarsi ludzie pamiętają te lipy takie śliczne i takie bujne, jak są dzisiaj, a dziadkowie starych ludzi we wsi nie raz rozpowiadali, jako jeszcze od ojców i dziadów słyszeli swoich, że te lipy przed dawnymi jeszcze wiekami rosty takie same. To też te lipy szanowali wszyscy ludzie we wsi, jakby świętość jaką, jakoby znak łaski i błogosławieństwa bożego, jakby własność gromadzka, dziadka i babkę całej gromadki w Zawalni.

I czy w święto, czy niedzielę, jak ludzie szli do cerkwi, to zdjawszy czapkę lub kapelusz słomiany, każdy gdy na zieloną wszedł murawę, zrobił na piersi jeden krzyż święty do domu bożego, co ludzie postawili, a drugi krzyż do tych dwóch lip zielonych, jakby do bożej także świątyni, którą tam sam Bóg wystawił. A młodsze dziewczątka i chłopaki, wyszedłszy z dusznej cerkiewki przed końcem służby bożej, zasiadali rzędami w koło lip ukochanych, i przez dach zielony patrząc w niebo, słuchając ptactwa co tam pomiędzy liściem świergotało, kończyli w lubem jakimś zadumaniu nabożeństwo swoje. Ojcowie i matki, wychodząc z cerkwi też radzi byli temu, bo idąc niby po dziatki swoje, choć przez krótką chwilą postali w zielonym

cieniu, i miło im jakoś było rozpatrzeć się w koło siebie, na te aż ku ziemi zginające się gałęzie. I jakoś im było lżej i pobożniej na sercu, gdy już ztamtąd wracali.

A te dwie lipy zielone tak się jakoś zrosły z życiem cerkiewki i dzwonnicy, że najpiękniejszymi gałęziami swemi przyginały się aż na dach cerkiewki, i oplatały wiszące dzwonki. To też gdy zaśpiewały dzwonki na służbę bożą, a z cerkiewki ozwały się śpiewy pobożne księdza i starszych braci, i całej gromady, wnet też i gałęzie zaszumiały, i jedne od drugich poruszone, cichem mrucczeniem zdawały się wtórować całej gromadzie w nabożeństwie i modlitwie.

Po za cerkiewką, po za lipami, wznosił się pagórek zielony, najwyższe miejsce w całym parowie. Niewielki to był pagórek, i po przez lipy nie wiele z niego widać było, a przecież to przez gałęzie, to po za boki cerkiewki dostrzedz można było regularne otoczenie z samych młodych topoli, które tam jakoś nie bardzo bujały, a z pomiędzy nich wyglądały proste krzyże, z świecą gdzieniedzie blaską napisową. To był wiejski cmentarzyk, który stał najwyżej, jakby umyślnie dla tego, aby wszyscy ludzie ze wsi mogli go widzieć, a patrząc na niego, nie zapominali o śmiertelnem przeznaczeniu swojem; próżnem swem na ziemi nie puszyli się przeznaczeniem, o Bogu swym jako jedynem źródle i dobra i szczęścia pamiętali, a też czasem westchnęli za tych wszystkich pomarłych, co tam po trudach życia spokojnie się pokładli, między którymi byli przecie sami dobrze znajomi całej wsi; bo niema przecie ani jednej chaty, z którejby tam nie poszli na ostatnią podróż to ojcowie, to matki, to drogie dzieci, to lube siostrzyczki i braciszki, to kumy i swaty nareszcie, z którymi się żyło, gwarzyło i bawiło za życia w przyjaźni i uczciwości.

Widoczek ten niewielki, lecz śliczny, najlepiej się wydawał ze środka parowu, tam na maleńkiej grobelce przy młynku. I tam Bóg łaskaw nie żałował zieloności: po obu stronach grobelki rosto kilka wierzb, które zwyczajem swoim parły się gwałtem ku wodzie, i ku niej spuszczały swe gałązki zielone, jakby kosy rozpuszczone młodych dziewic wiejskich, co przedślubne zawodzą piosenki. A nawet za łotokiem tam ku łączce bagnistej, wyrósł, Bóg wie jakim sposobem, bo ręką chyba boską posiany, ziarnkami jakie z jego woli chyba świętej ptaki przyniosły, albo wiatr zaniósł w swojej chuście mglistej i dżdżystej — wyrósł cały gaik olchowy. Gaik ten był radością i chlubą całej gromady, a podziwieniem obcych chłopków, co tamtędy przejeżdżali. Bo jak jest cała szeroka okolica od Zawalni na prawo i na lewo po za Hostów, i tam het dalej po za kordon cesarski, to na całej tej części Podola ani słycho o żadnej olszy.

Nie darmo powiedzieliśmy, że od grobli i młynka najpiękniejszy był widok na całą Zawalnię i na ten cały jarek, który dla poczciwych wieśniaków był ich całym światkiem, niewielkim zapewne, ale drogim, bo swoim własnym. Tam na końcu grobli naprzeciw samych drzwi do młynka, stała wierzba tak pochyło przygięta, że wyglądała jakby ławka postawiona tam umyślnie do odpoczynku. I za ławkę też ją nieraz ludzie używali. Nieraz czy to rankiem, czy wieczorem, idąc w pole czy wracając z niego, niejeden wieśniak zatrzymał się



na grobelce, czy chciał czy nie chciał, i usiadł choćby na chwilę na wygiętej wierzbie, bo już to każdego przechodzącego stary młynarz musiał przywitać i zaczepić. Żeby niewiedzieć jaka pluta albo zamieć, zdawało się prawdziwie, że Semen Biły siedzi gdzieś zaczajony, i ledwie się kto pokaże na końcu grobelki, już i on we drzwiach stoi. Semen Biłego, który dobrze się tak nazywał, bo i siwizna i mąka, z którą miał do czynienia, białym go czyniły od stóp do głowy — wszyscy go we wsi lubili, bo już to podobno nie było w całej Zawalni weselszego i gadatliwszego człowieka. Ludzie go nigdy nie pamiętali inaczej, jeno śmiejącym się, a że był strasznie ciekawy i wszystkich wypytywał, a miał też nie z jednym do czynienia, bo do młynka w Zawalni przyjeżdżali z różnych stron: więc wiele bardzo wiedział, i jak się chętnie pytał, tak też chętnie drugim rozповідаł. A trzepał tak prędko, że słusznie ludzie mówili: „Naszego Semenę język prędzej miele, niżeli jego młyn.“

Otóż jak wam mówiłem, nic piękniejszego nie było, jak cały widok który się człowiekowi przed okiem rozciągał, gdy usiadł sobie na tej wierzbie pochylonej. Bo gdzie okiem zajrzał, czy przed siebie na stawek i dalej na łączkę strumieniem przerznietą, czy po za siebie na gaik olchowy i łąkę bagnistą kwiatami zaslaną, czy na tę stronę jaru, którą tylko co opisałimy, czy nawet na drugą stronę, na której chata koło chaty stały wszystkie porządne ze swemi obejściami czystymi i sadowem otoczeniem i grządkami, co się po nad nie wyżej jeszcze w górę pięły — wszędzie tak było lubo, spokojnie, że chyba bezbożnik nie spojrzalby ku niebu i pomyślałby o Bogu, które te wszystkie tworzy dla człowieka cuda.

Wy co mnie czytać będziecie, nie będziecie się gniewać, że wam tak długo i obszernie opisałem proste wiejskie położenie Zawalni. Bo ja przecie ten obrazek z życia naszego ludu wiejskiego nie piszę dla mieszczan, którzy wołają swoje malowane w teatrze drzewa i domy na płótnie, niżeli najpiękniejszą okolicę z prawdziwymi drzewami, domami, ludźmi nieprzebieranymi i pomalowanymi jak na komedyi, ale takimi jakich pan Bóg posadził na tej ziemi. Ja piszę dla mieszkańców naszych wsi cichych i spokojnych, a ci najlepiej rozumieją piękności swojej wioski rodzinnej. I każdy człowiek poczciwy niech przyzna, czy gdziekolwiek go Opatrzność osadzi, czy w górach, czy na płaszczyźnie, czy nad wielką wodą, czy w wielkim lesie, czy na suchym stepie pomiędzy piaskami, czy na tłustej ziemi podolskiej pomiędzy łąkami: czy to miejsce, do którego od dziecka przyrósł, nie ma dla niego tak cudownego powabu, żeby się z nikim na świecie za nie nie mieniał. Bo czyliż jest na naszej ziemi choćby jedna taka wioska, któraby nie miała, ta stawu, ta rzeczulki, tamta gaju, inna rozdołu zielonego, z jednym lub dwoma nad nim zawieszonymi drzewkami, a choćby kilka wierzb samotnych na wygonie, a choćby krzyża prostego na drodze rozstajnej, bez drzewka nawet z bujną tylko zielonością kopca granicznego? A te choćby tak skromne piękności, jakże są miłe tym, co się porodzili w tych wioskach i tam zamieszkali; bo najpustsza okolica, piasek najjałowszy, drogim się staje temu, który się nań patrzył od dziecka małego, po

nim pierwsze próbował kroki, i do swojej ziemi rodzinnej przywykł i pracą swojną, i potem, i łzami, któremi ją nieraz polał i temi grobami nareszcie, w które pochował co miał najdroższego? I drzewo bez uczucia, i zwierzę bezrozumne przylega serdecznie do swej własnej grudki, do śmieciska swego, a cóż dopiero człek, Boże stworzenie, obdarzony i uczuciem i rozumem! Ziemia rodzinna ma swój własny oddech, który by człowiek był zdrow i czerstwy, koniecznie jest potrzebny. Kto swojej ziemi rodzinnej nie kocha, komu ta ziemia, na której się urodził i wyrósł, nie wyda się najpiękniejszą, ten pewnie nie kocha ni Boga ni ludzi, na tego niechaj się nie spuszcza ni żona ni przyjaciel.

I dla tego choćby już twarz sama nie zdradzała tego chłodu wewnętrznego, co w piersi Jędrucha Hładysza wiał, jakby w piwnicy jakiej, dosyć było popatrzeć, jak on obojętnie szedł przez grobelkę, i ani się nawet obejrzał na te wszystkie cuda bożej ręki. Dziwna rzecz przecie, Jędruch i młodszy i doradniejszy, łatwiejby przecie powinien rozumieć piękności tego widoku, bo zdrowe i rzeskie ciało prędzej jakoś przyjmuje wszystkie wrażenia, co na nie biją od świata zewnętrznego. A u nich dwóch przeciwnie się działo; połamany chorowity dziaćzek, jak stanął na grobli, choć może przeszedł przez nią nie sto, nie tysiąc razy, nie mógł wytrzymać, by się nie obejrzeć. I wyprostował się biedaczysko, o ile mógł tylko i szyję wyciągał, a głowę podniósł z całym natężeniem, i pociągnął całą siłą powietrze w swoje chude i połamane piersi, aby choć odetchnąć tym zapachem, który rozchodził się po całym jarze. Cudny bo też był to zapach! zapach wiosny, gdyż właśnie z końcem maja zaczyna się nasz obrazek! Wszystkie sady i wszystkie drzewa zakwitły, i w śnieżnych swych obłonach wyglądały prawdziwie jak młode niewinne dziewczątka wiejskie, w białych koszulkach. I ze wszystkich tych drzew, z każdego listka, z każdego kwiatuszka na nich, i z kory wierzbowej, i z olchowych liści, i z wody, która tu i owdzie zielonością zakwitła, i z łąki bagnistej nawet, po której pływały żółte jak szafran woniejące jak kadzidło kwiatki, i z trawek na łące, i z ziemi świeżo zoranej i skopanej — zewsząd dobywał się ten najmilszy zapach wiosni, co zda się człowieka do nowego życia budzi. Bo ta woń wiosny, jest to oddech całej boskiej przyrody, to są cząstki życia, którego jest tyle, że się zewsząd dobywa. I człowiek też, gdy wciąż w siebie ten oddech, to mu się w piersi nowe rozbudzi życie, i lepsze myśli, lepsze uczucia dobywają się z niego, jakby świeże listków i kwiatów pączki. Człowiek lepszym się staje na wiosnę, i większą w sobie czuje miłość do tego, co go w koło otacza, i do tego, który się nań z góry patrzy. Biedny, brzydki i połamany dziaćzek uśmiechnął się tak wesoło i przyjemnie, że aż wyładniał i odmłodniał, a Jędruch brwi tylko ściągnął, i oczy w zamyśleniu ciężkiem spuścił ku ziemi. Dla czego taka między ludźmi jednej wsi różnica? Dla czego taka wielka różnica między wszystkimi ludźmi na świecie? Dla czego nieraz w czarnem i brzydkim ciele mieszka czyste serce i biała dusza, a w białem i pięknem, serce brudne, a dusza czarna!



Semen Biły swoim zwyczajem wyściubił głowę z młyna, która zamączona, że aż na groblę wymknęła się z niej chmurka mąki. Nie wyszedł wszakże cały, że miał do czynienia, czy z innej przyczyny jakiej. Już to byłby chętnie pogoworzył z dziaczkiem, bo oni obydwaj najlepiej do siebie we wsi przypadali i wesołością i poczciwością, i zbieraniem ciekawych plotek; oni we dwóch pewnie najwięcej we wsi wiedzieli. Ale za to znowu Jędrucha stary młynarz najmniej lubił; człek tak otwarty nie będzie nigdy kochał człowieka zamkniętego w sobie. Już to tak pan Bóg zrobił, że pies kota nie cierpi nigdy. Nie mógł przecie wytrzymać, by dziaczka choć słowem jednym nie zaczepić.

— Kumie! — rzekł do niego — a gdzie to pan Bóg pro-wadzi?...

Kumami byli sobie oka, kumami też byli całej wsi.

— Do naszego Dobrodzieja idziemy.

Nic więcej do siebie nie powiedzieli, ale tak spojrzeli sobie oko w oko, że gdy już Jędruch z dziaczkiem odeszli, po uśmiechu na twarzy Semena poznać można było, że się zrozumieli doskonale. Semen wracając do młyna, już wiedział doskonale o co rzecz idzie, i pierwszemu co mu by się przemknął przez grobelkę, już mógł roz-powiedzieć, po co Jędruch został powołany przez księdza.

Za groblą na boku przy drodze stała wiejska karczemka, przy-parta o scenę jaru tak szczelnie, że korzenie drzew co rosły na gó-rze sterczące z ziemi, dotykała jej komina, a trawa na pochyłości zawieszona, łączyła się prawie z słomianem dachu pokryciem. Ję-druch z dziaczkiem wrócili się z drogi na lewo od karczmy. To też nie będziemy jej tym razem bliżej opisywać, chociaż ona w życiu mieszkańców Zawalni bardzo ważne zajmuje miejsce, jak zwyczajnie karczemka w każdej wiosce. Wypadnie nam zapewne zajść kiedy do niej, to też w swoim czasie opiszemy ją obszerniej, i poznamy się bliżej z jej mieszkańcami.

Teraz nam iść wypada za dziaczkiem i Jędruchem, którzy w milczeniu poszli na lewo małą ścieżką, która szła do góry pomię-dzy cerkwią a księżem obejściem. Ścieżka dochodziła aż do przełazu, a przeszedłszy płotek i kawałek sadu, wchodziło się przez drugi prze-łaz, na dziedzińczyk, przez który tylnymi drzwiami wchodziło się do skiężego pomieszkania.

#### IV.

Dziedzińczyk był nie wielki — ale czysty i wymieciony; snać w nim było staranność księżej rodziny. Nie będziemy opisywać in-nych zabudowań gospodarskich, które stały naokoło, wszystkie bie-lutkie i porządne, i ocienione starami gruszami i jabłoniami. Było coś poważnego i miłego w tym porządku i cichości, jaka tu panowała. Wchodząc tu człowiek mimowoli musiał pomyśleć, że w tem obejściu gospodarskiem, jeżeli nie mieszka dostatek wielki, to pewnie mieści

się uczciwość, gospodarność i spokój domowy, ugruntowany na zgodzie rodzinnej, i na tej ufności w dobrego Boga, która jedynie pewne daje szczęście na ziemi.

Ten sam porządek panował w dworku dobrodzieja. Nie było tam bogactwa, ani przepychu, sprzęty wszystkie były proste, tanie i wygodne. Na dębowych stołach i stolkach, i prostych kanapkach nie było świecącego pokostu; długie tylko używanie i staranne obejście się pokrywało je tym pokostem ciemnym, poważnym, miłym dla oka, i miłym dla serca, bo na widok tych sprzętów staroświeckich przychodzi patrzącemu zaraz na myśl całe ciche i spokojne życie zgodnej rodziny, która w tem pomieszkaniu jakoby w gnieździe swojem przeżyła z pokolenia w pokolenie i wspólną radość i wspólne lzy.

Dobrodziej przechadzał się sam po niewielkiej izbie, która na ów ganeczek przez nas opisany wychodziła. Była to najważniejsza izba w całym dworku, bo stanowiła razem i kancelarję dobrodzieja i pokój jadalny, i pokój do wspólnej zabawy dla rodziny, i dla gości łaskawych. Szafka z papierami w jednym kącie i stoliczek przy niej z księgami pobożnymi i rubrykowanymi zeszytami metrykalnemi, na środku stół dębowy podłużny zaokrąglony po rogach, a po drugiej stronie kominek obszerny i piec kaflowy stojący w sąsiedztwie, a tuż koło nich wygodniejsza i miększa sofeczka perkałem różnobarwnym obita, i kilka przy niej obszerniejszych krzeseł poręczowych, zdradzały to potrójne izby przeznaczenie. Ksiądz Onufry Bazylewicz był już od lat niepamiętnych pasterzem skromnych wiejskich owieczek swoich. Urodził się w tym samym domku, gdzie jego ojciec przed lat trzydzieście z górą był parochem; tu się ożenił, i tu sam już czterdziesty roczek pełnił świątobliwie obowiązki swoje. Sliczny to był staruszek, bo już siedmdziesiąt przeminął. Widok jego lubem uczuciem chwycił za serce; dosyć było popatrzeć na niego, by go poznać od razu, pokochać serdecznie i mieć w nim ufność zupełną. Siwy jak gołąb, miał jak na wiek swój gęste jeszcze włosy, które z tyłu głowy spadały długimi splotami, jak nam malują czasem starych patryarchów naszych. Rysy twarzy były wielkie wyraziste; wiek je poszanował. w nagrodę zapewne za uczciwe szanowanie zdrowia cielesnego i dusznego; bo nie wiek to człowieka tyle garbi, marszczy, ile jego złe namiętności i myśli. To też twarz starca wyglądała czerstwa jeszcze, nawet rumieniec pokrywał lica jasne i białe, a choć mu już usta nieco zapadały, to zwiększało tylko wyraz łagodnego uśmiechu, który z dawien dawna przylgnał do tych ust. Oczy miał siwe zastosowane do tej twarzy i jasną barwą swoją i jasnym wzrokiem, który otwarcie i pogodnie patrzył na świat i ludzi. Wielka także była łagodność w tych oczach, ale spojrzenie ich pewne, nie chwiejące się żadną wątpliwością zwiastowało, że te oczy umieją popatrzeć poważnie jak przystało na sługę bożego, i gdy potrzeba, surowo nawet jak przynależy temu, co przestrzegać powinien w imieniu Boga praw jego, których jest głosicielem. Slicznie odbijała ta cała biała i jasna głowa od czarnej długiej szaty księżej, która czysto i schludnie otulała jego postać wysoką, kościstą, pełną naturalnej powagi i wiekiem nie pochyłoną jeszcze.



Jak mówiłem, dobrodziej był sam w izbie i chodził po niej powolnym krokiem. Twarz jego była spokojna jak zawsze, czasem tylko gdy się zbliżył do jednego kąta, stawał na chwilę i spoglądał na krzyż czarny z mosiężnym wizerunkiem Zbawiciela, który stał na małym stolczku; a nad nim na ścianie wisiał obraz snąc bardzo dawny, poczerwiałły wiekiem; z ciemnego tła wystawały tylko dwie twarze kobiety i dziecięcia rozczulające prostym wyrazem, który stary jakiś malarz nie naśladował z innego obrazu, ale snąc dobył prosto ze swojego wiary i pobożnością przepelnionego serca. To była Matka Boska, i jej boskie cudowne Dziecię. Pod obrazem wisiała lampa szklanna lekko okopcona, która gorzała zwykle w piątek i sobotę. Owoż w tym kąciku stawał czasem stary ksiądz, i z wyrazem niejakiego zamyslenia popatrzył przez chwilę to na twarz ukrzyżowanego Zbawiciela, to w oblicze Boskiej rodzicielki. W tych twarzach Boskich szukał może otuchy myśli, jakimi był widocznie zajęty, że się lada chwilę otworzą.

Jakoż otworzyły się właśnie i wszedł przez nie nasz znajomy Jędruch Hładysz. I dziaćzek posuwał się za nim, ale nagle gdzieś z bocznych drzwi wybiegło dwoje dzieci małych, chłopczyk i dziewczynka, istne aniołki z niewinnymi twarzyczkami, złotymi włoskami i jak pogodne niebo jasnymi oczkami. To były wnuczeta starego księdza. I dziaćzka pociągnęły za długie poly kapoty tak mocno, że biedak ledwie się mógł utrzymać na swoich pokręconych nogach. Uśmiechnął się do nich serdecznie. Bo go dzieci serdecznie kochały, już to dziaćzek był ulubieńcem całej księżej rodziny, i byłby mógł bezpiecznie całe swoje życie przepędzić wygodnie w domu księżym; ale dziaćzek — i to była jego jedna wada — mimo że jego całe kalcetwo zdawało się wzywać do spokoju, lubił ruch i miał ducha nieco niespokojnego; jak to mówią, nigdy nie lubił miejsca zagrzać. Tomcio i Halka porwali go za ręce, i uśmiechając się a tuląc do niego, pociągnęły za sobą. Dziaćzek trochę się tylko pochylił i obie główki ucałował; pocziwy, wszystkich kochał ludzi, a pomiędzy nimi największej dzieci miłował, zaś najdroższą mu była rodzina dobrodzieja; a tych dwoje wnucząt jego, to już jakoś miłował najserdeczniej. Te dwa małe aniołki były sierotami, podwójnymi sierotami, bo matki i ojca już nie miały; i biedny dziaćzek nieraz całując białe ich ciało uronił też i łez kilka, przypomniawszy sobie, że i on też od lat najmłodszych sierotą był na tym świecie. Poszedł więc za dziećmi, głaszcząc to jendo to drugie, i wiedział naprzód, że go posadzą w małym alkierzyku dziecinnym i same usiądą mu na kolanach, i patrząc w jego oczy ciekawe, słuchać będą, jak on im bajeczki rozpowiadać będzie. Jemu jednemu dobrodziej pozwalał rozpowiadać bajeczki ukochanym wnuczętom, bo zawsze im coś opowiadał z pisma świętego, chociaż pozwalał sobie nieraz dawać zastosowania z życia zwykłego. To właśnie robiło, że dla Tomcia i Halci bajeczki dziaćzka były najciekawsze.

Jędruch Hładysz wszedłszy do izby i stanąwszy przed Dobrodziejem, pochylił nieco głowy, ale starał się zawsze o to, aby nie bardzo nisko, bo Jędruchowi jak, to już daliśmy do zrozumienia,

próżność i pycha siedziały w karku, że mu ten jakoś sztywniał, gdy przyszło do ukłonów. W cerkwi tylko to się niżej już nieco pokłonił bo to przecie przed Bogiem, to już i najdumniejszemu nie wstyd się upokorzyć, chociaż i to nie była w nim prawdziwa pokora, jeno tylko wypełnienie zwyczajnego obrządku. Ale przed księdzem, choć on słowo boże głosi, w jego własnym pomieszkaniu, to znowu co innego. W swojej chacie każdy ksiądz jest tak dobrze człowiek, jak on w swojej jest jednym z najzamożniejszych gospodarzy w Zawalni, i od dziadka pradziadka posiadaczem dwuparowego zaprzęgu i podwójnego gruntu. — O głupia próżność człowiecza! a jak Bóg sprawiedliwy zeche mu przygiąć dumnego karku, cóż mu pomoże, że Hładysze w Zawalni i wójtowali i przysiężnymi bywali; co mu pomoże i grunt podwójny i podwójna uprzęź.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wyrzekł zimnym i obojętnym głosem.

Nawet te słowa chrześcijańskiego przywitania, które w całym kraju szerokim, czy na nim ruską czy polską mową gadają, znaczą braterstwo, zgodę i gościnność chrześcijańską; nawet te ciepłe słowa nie rozgrzały dumnego człowieka.

— Na wieki wieków amen! — odpowiedział ksiądz serdecznym głosem, i rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie ku świętemu kącikowi, zbliżył się do Jędrucha z łagodnym i poważnym uśmiechem.

— Jak się mają u was w domu? — pytał dalej patrząc mu w oczy.

Spojrzenie to było łagodne, ale było coś w niem tak poważnego, że Jędruch spuścił oczy w podłogę.

— Zdrowi! zdrowi, proszę jegomości! — odpowiedział półgębkiem i obojętnie.

— Chwała Bogu! — rzekł na to Dobrodziej z prynciskiem, i dodał pytając jeszcze. — I żona i dziecko zdrowe?

— A żona i dziecko!... chwała Bogu! — dodał tym razem mimowolnie.

— A stary Wasyl jak się ma?

To pytanie Jędruchowi się nie podobało, bo zrozumiał doskanale do czego dąży, więc też podniósł oczy z pewnym uporem i odpowiedział krnąbrnym głosem:

— A jak się ma mieć? on zawsze zdrów!

— Wasyl już stary człowiek! a u starych ludzi zdrowie, to jak nasze babskie lato; nie długo trwa i niepewne.

— Jak u kogo? Wasyl to już ma taką twardą naturę, proszę Jegomości, że jak to mówią, i pałką by go nie dobił. I nie dziwota, żre za czterech, jak koń, a za jednego nawet pracować nie chce.

— Wstydićbyś się powinien Jędruchu, takie słowa gadać o człowieku, o bliźnim.

— Ja tylko prawdę mówię. Ludzie wiedzą w całej wsi, jaki to stary niezdara. Wylegiwałby się tylko, albo włóczył od chałupy do chałupy, czy mu co jeść nie dadzą; to znowu zalezie do karczmy,



i przy kwaterce z kumoszkami i włóczęgami przesiedzi cały Boży dzień. Próźniaczysko i darmojad! to cała rzecz!

— Będziesz szanował ojca i matkę! powiada pismo Boże.

— On mi nie ojciec, ani krewny nawet.

— Ale twojej żony!

— Także nie ojciec rodzony, tylko ojczym.

— Wiem o tem! — przemówił ksiądz, a wyraz twarzy, spojrzenie i głos stał się surowym. — Ale Jędruchu powinienbyś pamiętać, że choć ojczym tylko, był dla twojej żony prawdziwym ojcem, gdy ona została sierotą. Dzieckiem była jeszcze, gdy ją matka nagle odumarała; a Wasyl się już nie ożenił, ale pilnował sierocego gruntu i sierocej chaty, i gospodarował i pracował dla sieroty, aż ją przecie wychował, i jeszcze mienia przysporzył, bo i parę krówek dokupił, i dwie srokate kobyły, które się potem tak u was szczęśliwie rozrodziły, że dziś macie sześcioro koni. A gdyście się ożenili z waszą kobietą, to ojczym oddał wam wszystko w porządku, i grunt zagospodarowany, i dobytek niezły, i tę chatę, w której mieszkacie.

— Ja miałem też własną chatę! — przerwał Jędruch z niecierpliwością.

— Ale że gorsza i za daleko było od niej do waszych gruntów, odnajęliście ją w komorne. Ale zawsze Wasyl obszedł się z wami po Bożemu.

— To jego była powinność.

— Wiem o tem że powinność! ale wy Jędruchu macie już doświadczenie, i wiecie jak mało takich znaleźć można ojczymów. Ot ten dziaček biedny, komu on winien, że zeszedł był na nędzę, i długo się tulać musiał po świecie, jeżeli nie ojczymowi swemu? A i ty sam Jędruchu miałeś ojczyma, i przez niego to twoja chata tak wyglądała, że wolałeś się przenieść do żoniny.

— To też Wasylowi ja nigdy niczego nie żałowałam. Miał u mnie i czem się pożywić, i w co odziać i obuć.

— Tak było! to prawda! ale teraz!...

— Teraz! teraz!

Jędruchowi aż żyła nabiegła na czole z namiętnej złości. Nie śmiał on ją ukazać księdzu wyraźnie, ale też nie mógł przenieść na siebie, aby choć jako tako nie dać do zrozumienia, że nikomu nie wolno mieszać się w jego domowe sprawy. Więc brwi ścisnął i śmielej niż dotąd wpatrzywszy się w twarz księdzu, która i w nim mimowolnie wzbudzała poważanie, przemówił z większym jeszcze, zachwałym prawie uporem:

— Ja wiem, że Dobrodziej mnie zawołali, aby mi dawać nauki co do tego niezdary Wasyla. Proszę Dobrodzieja, ja zdaje mi się wszystko robię, co uczciwemu człowiekowi i dobremu chrześcianinowi robić należy; chodzę do cerkwi, i Dobrodziej wie sam najlepiej, że należę do braci starszych, i na szkołę daję, i nie żałuję do skarbonki i rok rocznie za duszę moich rodziców Dobrodziej sam śpiewa dwa żałobne nabożeństwa, i jak była ta straszna słabość przed parą laty, to przecie nie żałowałam na szpital. To przecie i Bogu służę, i ludziom krzywdy nie czynię.

— I chwalisz się Jędruchu! — dodał ksiądz jeszcze surowiej — wolałbyś mniej czynić dla oka ludzkiego, a więcej pamiętać o oku Bożem. Ludzi łatwo oszukać, ale żeby człowiek chował jak najmocniej, to pan Bóg przejrzy serce aż do ostatniego zakątka.

— Przecież ja nie mam co mówić! ani czego się wstydzić!

— Słuchaj Jędruchu! ja ciebie znam od dziecka, i znam ciebie lepiej może, niż ty samego siebie znasz. Nie jesteś złym człowiekiem i wierzę nawet, że nie jedno co czynisz dla ludzkiego oka, to nawet ci z serca pochodzi.

— Pewnie! proszę Dobrodzieja! — przerwał Jędruch, któremu ta pochwała niepospolicie pochlebiała.

— Ale jedną masz wodę... jesteś dumny!

— Już ci ja się nie mam czego wstydzić!

— Oj powinieneś się wstydzić dumy swojej, jako grzechu najgorszego. Bo pokora mój Jędruchu, to największa cnota, której nas sam Bóg nauczył, gdy Synowi swemu w ubogiej stajence pomiędzy prostymi pastuchami dał się urodzić. Duma mój Jędruchu, to wielki grzech, wielka wada i wielkie nieszczęście dla człowieka. Grzech, bo Bóg nakazuje być pokornym, wada i nieszczęście bo z dumy i próżności płyną wszystkie inne przywary ludzkie; duma to jak wiatr suchy marcowy, co wysuszy wszystkie choćby najzieleniejsze zboże, że z niego żadnego już nie będzie ziarna; w dumnym człowieku serce stanie się kamieniem twardym i zimnym; dumny człowiek przestanie kochać drugich, a więc i drudzy jego kochać przestaną, A jestże większe nieszczęście jak nie mieć ludzkiej miłości; za ludzką miłością idzie i boska miłość. Kogo ludzie przestaną kochać, tego i Bóg kochać nie będzie. A jeżeli dumnego pan Bóg zechce nawidzić! jednym palca skinieniem odbierze mu to wszystko, co jego dumę stanowi, cóż mu wtenczas zostanie, na czym się oprze, jeżeli nie znajdzie na ziemi ani miłości, ani litości ludzkiej, a do rozgniewanego Boga nie będzie się śmiał udać o przebaczenie? I przebaczenia tego nie osiągnie, tylko długą i bardzo długą i szczerą pokorą. Jeżeli człowiek był pokorny przez całe życie, to mu ta pokora jest miła, bo przez nią powiada i przyznaje, że my wszyscy przed Bogiem jesteśmy grzeszni i maluczcy, choć między sobą jesteśmy równi wszyscy, bo wszyscy jednakowo przychodzimy na świat w łzach i cierpieniach, wszyscy żyć musimy w trudach i niejednym bólu, i wszyscy umierać musimy, i do tej wreszcie matki ziemi powrócić, czyśmy byli bogaci czy ubodzy. Ale jakże to przykro będzie człowiekowi dumnemu stać się pokornym w obec tych wszystkich bliźnich swoich, którymi pogardzał i pomijał pierwej.

Jędruch mimowolnie spuszczał głowę coraz niżej. Słowa starego księdza chociaż przykro go dotykały, ale wślizgały mu się przecie do piersi i do serca. I słowa pocziwe, i głos łagodny a poważny staruszka robiły na nim wrażenie. Gdyby nie duma. Lecz to jest właśnie przekleństwo dumy, że człek próżny i pyszny, choć uznając prawdę nauk i przestróg mu dawanych, duma mu nie pozwoli przyznać się do tego. Zdaje mu się, że to go poniży i przed sobą samym i przed drugimi. Wielka też odbywała się w Jędruchu walka. Od-



zywały się lepsze uczucia, podobne jak dobrze powiedział stary ksiądz do zielonej trawki ozimej; ale suchy wiatr dumny buczał po nad niemi, i nie dał im się podnieść, i powarzył na proch i popiół. Po chwili milczącej tej walki, odezwał się Jędruch z pewną wreszcie nieśmiałością:

— I to wszystko proszę Dobrodzieja dla tego Wasyla!

— A dla Wasyla mój Jędruchu! bo to któż winien, jeżeli nie duma twoja? Przez dumę wstydziliś się zawsze, że pracy Wasyla winien byłś dobre zachowanie dobytku i mienia twojej żony. Przez dumę wstydzisz się Wasyla.

— Niech sądziedzi powiedzą, jaki on próżniak.

— Czyliż nie dosyć się napracował?

— Ja nie żądam od niego ciężkiej pracy, ale przecież.

— Nie Jędruchu, ty się tu właśnie wstydzisz własnej dumy. Widok Wasyla, którego uważasz jako sługę twego, oburza ciebie, a więc radbyś się go pozbyć i zapomnieć o nim nawet. A duma nie pozwala ci uważać go jako bliźniego krewnego.

— Który wszędzie na mnie narzeka.

— Ja znam Wasyla! on jest prędko, lekkomyślny nawet, i wierzę, że nieraz narzeka. A dla czego? Bo go serce boli, że ty Jędruchu żoninego ojca traktowałeś zawsze jak cudzego, jak najmyta, sługę.

— Miał przecie u mnie wygody wszystkie i ja mu nic nie żałowałem; ale teraz kiedy on mnie obmawia wszędzie, i w gospodarstwie nic pomódz nie chce..

— Wyprawiasz go z torbami w świat, by poszedł na żebrzy. Jędruchu! Jędruchu! a jak Wasyl poszedłszy w świat, żyjąc tem życiem próżniaka co tylko ludziom oczy drze, i z ludzkiego chce żyć miłosierdzia, jak ten Wasyl straci wstyd, a ze wstydem straci wszystką wiarę i wszystkie cnoty, i broń Boże rozłajdaczy się!

— A cóż ja temu będę winien!

— Więc nie będziesz miał na sumieniu, żeś go na takie życie żebracze wypędził?

— Ja mu złych rad i złych przykładów nie dawałem.

— Ale zostawszy żebrakiem, wypędzony z domu, który lat tyle za własny uważał, z wioski, w której się urodził, co krok zdybywać będzie złe rady i złe przykłady.

— Ja proszę Dobrodzieja nie życzę mu tego, Bóg widzi! ale to już u nas taki obyczaj! to nie ja go wymyśliłem.

— Jaki obyczaj? — nie bez oburzenia zawołał ksiądz.

— A tak u nas zawsze bywało, że jak już człowiek stary, na nic się nie zda w chałupie, ani sobie, ani swoim krewnym, ani ludziom drugim, i staje się tylko ciężarem... no to taki starowina bierze torby na plecy i idzie między ludzi, którzy żebraka nie opuszczają i dadzą mu i chleb, i nocleg i grosza nie pożałują.

— I to jest obyczaj uczciwy!

— Proszę Dobrodzieja! ta to już taki obyczaj ludzki!

— Ale nie obyczaj Boski.

— W naszej wsi zdarzyło się to nieraz.

Na te słowa smutno się w sercu zrobiło staremu księdzu, bo wiedział on dobrze, że taki zwyczaj barbarzyński panował pomiędzy wieśniakami naszymi. I szybki rzuciwszy wzrok na Boskie wizerunki odwrócił się znowu do Jędrucha, i nowej nabrawszy otuchy, rzekł do niego głosem podniesionym, głosem jakby Bożego natchnienia:

— Zdarza się różnie na świecie! Ale Jędruchu, chcesz wiedzieć jak się zdarzać powinno, choć za mną!

To rzekłszy, dał mu znak ręką i otworzył drzwi prowadzące do drugich izb swojego dworku.

## V.

Już w czasie rozmowy z Jędruchem długiej, zasłyszal stary ksiądz ruch głośniejszy w izbie sąsiedniej, i zrozumiawszy go, przyszedł mu na myśl ostatni środek, którego chciał użyć, aby przełamać upor Jędrucha zatwardziały.

W drugiej izbie była sypialnia większej części rodziny księżej, i razem izba rodzinna, w której po skończonych zajęciach zbierali się wszyscy, jeżeli głowa rodziny był zajęty w swej kancelarji. I była to właśnie godzina podwieczorku, na który schodzili się do tej izby wszyscy członkowie rodziny.

Prócz znanych nam już wnucząt, były w tej izbie cztery córki księdza Onufrego, z których najstarsza była wdową także, i miała dwie dorastające córeczki po lat piętnaście do szesnastu. Trzy młodsze księdza Bazyliewicza córki były pannami jeszcze, chociaż już przeszły wiek pierwszej młodości; często się to bardzo trafia u córek naszych księży ruskich, które nie mają posagów, nie tak łatwo mężów znaleźć mogą. W całej rodzinie, mianowicie pomiędzy siostrami panowało wielkie podobieństwo familijne do ojca; też same rysy wydatne, też sama poczciwość i otwartość na twarzach, które wiejskie słońce opaliło zapewne, ale nie odebrało czerstwej świeżości, świadczącej o życiu pracowitem i spokojnem. I było też boże błogosławieństwo w tej rodzinie poczciwego księdza, nader licznej, bo prócz córek i wnuków po zmarłym synie najstarszym, miał on jeszcze trzech synów ulubieńców starszych sióstr, którzy już w stolicy móżną pracą i wytrwałością do wyższych dobijali się szkół. Całe rođenjeństwo kochało się serdecznie. Wdowa i trzy jej siostry zajmowały się dość obszernem gospodarstwem, które przy bożej łasce i staranności utrzymywały dom cały skromnie ale uczciwie. Ta święta zgoda, to wzajemne przywiązywanie odbijało się na wszystkich twarzach, uśmiechniętych tą zdrową wiejską ochotną wesołością, jaką nadaje czyste sumienie, życie pracowite i bogobojne godzenie się z położeniem, które całej rodzinie Opatrzność przeznaczyła.

Była to zresztą godzina przedwieczorowa, godzina spokoju choć chwilowego po pracy, godzina wesołego zejścia się całej rodziny.



Najmłodsza z córek i najprzystojniejsza między niemi krajała właśnie z ogromnego bochenka chleba spore kromki, smarując każdą powidłami domowego wyrobu, które sad księży dostarczał obficie. Tomcio i Halka siedząc ciągle na kolanach dziaczka, którego tu sprowadzili sobie, by im bajeczki opowiadał, słuchając uszami uważnymi opowiadań jego ciekawych, oczęta na pół zamyślane na pół pożądlive zwracały ku cioci, a raczej ku powidłom, które im bardzo do dziecinnego przypadały smaku. Lecz prócz tych młodszych członków księżej rodziny, było jeszcze dwie kobiety znacznie starszych, które nam kilką słowami opisać wypada.

Jedna z nich wdowa po księdzu, mimo włosów zupełnie już siwych, które gładko miała zaczesane, wyglądała jeszcze bardzo zdrowo i czerstwo. Na twarzy ogorzalej od pracy i słońca i pomarszczonej przez wiek i nie jedno smutne życia przejście, jakich doznała w biednym i tyle razy żalobą pokrytym dworku księżym — nie poznać już dawnych rysów, któreby mogły świadczyć o dawnej urodzie: ale za to w oczach wielkich siwych, było całe jeszcze silne życie, i była nawet piękność, która do najpóźniejszego zostaje wieku, piękność słodkiego i poczciwego wyrazu. Dobrodziejka zachowała nawet wielką żywość ruchów, której właśnie dowodziła krzątając się wraz z wnuczkami swemi jasnowłosemi koło kominka, na którym przy niewielkim ogniu parzył się garnuszek śmietanki i niewielki imbryczek kawy. Był to podwieczorek przeznaczony dla drugiej staruszki, siedzącej w najciemniejszym izby kąciku na szerokim wygodnem krześle. Była to staruszka, której Opatrzność dała dożyć wieku nadwyzczaj późnego. Zgarbiona trzęsąca się cała, oczami wybladłemi patrzyła przed siebie tym wzrokiem osłabionym i niepewnym, który dowodzi zarówno osłabienie sił fizycznych, jako i upadek władz umysłowych. Czasem tylko gdy jej oczy przypadkiem padły na małe dzieci dobywał się z nich pojętniejszy wyraz, który łączył się z dziecinnym prawie uśmiechem poruszającym jej usta sine i zapadłe. Cała rodzina księdza nazywała ją babcią, chociaż właściwie daleką bardzo była tylko krewną. Jeszcze za życia księdza Onufrego mieszkała ona w księżym dworku, i zmarły dobrodziej nazywał ją ciocią; była ona bowiem krewną jego brata, który u niego mieszkał bez potomstwa zmarłej żony. Ksiądz Bazylewicz wziął ją po ojcu w spuściznie, i nazwał ją babcią szanując w niej nie tyle powinowactwo dalekie, ile wiek późny i to jej samotne zupełnie i opuszczone położenie. Ona prócz rodziny księżej nie miała żadnych krewnych bliskich i już sama w swej przez wiek skołatanej pamięci nie mogła sobie przypomnieć, czyli i gdzie na bożym świecie żyją ludzie, którychby swojemi nazwać mogła. Ona tyle już przeżyła i zdarzeń i ludzi, że nic dziwnego, że się jej pamięć poplątała jakby nić, która im dłużej snuta, tem się łatwiej zaplącze i zawikła. Czuciem tylko instynktowem możnaby powiedzieć przywiązana była do tego dworku i do tej rodziny, której losy blisko wieku całego dzieliła.

Gdy się drzwi otworzyły, i wszedł przez nie dobrodziej, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu zdziwione nieco niezwyczajnem o tem czasie przyjściem jego. I oczy staruszki pobiegły ku drzwiom: mimo

osłabionego wzroku czy to słuchem lepszym, czy wewnętrznem uczuciem którego tajemnica niezbadana w Boskim jest ręku, poznawała ona wszystkich członków rodziny, skoro się tylko do niej zbliżali. I teraz poznała starego dobrodzieja od razu, bo go jak zwykle przywitała kiwnieniem weselszem głowy i wyciągnięciem trzęsącej się ręki. Ci co ją bliżej znali, rozumieli wszystkie jej znaki i wszystkie poruszenia, bo staruszka rzadko bardzo odzywała się. Nieraz minęły dnie całe zanim kto słowo od niej usłyszał, i tylko po żywszem spojrzeniu oczów poznać było można, czy rozumie co się w koło niej mówi. Jeżeli się kiedy jej usta poruszyły, to najwięcej do cichego szeptu jakiegoś, którym czy sama do siebie przemawiała, czy może modlitewką jaką, co jej z dawnych czasów w pamięci pozostała, rozmawiała z Bogiem.

Stary ksiądz uśmiechnął się do staruszki, przybliżył do niej z uszanowaniem, i wyciągniętą rękę ucałował z prawdziwym uczuciem. Staruszka jak zwykle w takim razie, spuściła twarz ku jego głowie, i usta jej poruszyły się miernym ruchem. Bóg jeden wiedział zapewne najlepiej, czy to był pocałunek, modlitwa, czy błogosławieństwo.

Tomcio i Halka, a za niemi i starsze dziewczątka podskoczyły ku dziadziowi, i nie dały mu póty spokoju, póki ich nie pogłaskał i nie obcałował. I córki i żona zwróciły się ku niemu, by go przywitać choć uśmiechem, w którym malowała się serdeczna zgoda tej rodziny i patriarchalne poszanowanie, jakie mieli wszyscy dla głowy rodziny. Stary wszystkim się uśmiechnął i nawet dziewczka, który z swej ławeczki chciał się zerwać, przytrzymał za rękę z przyjacielską poufnością, i rzekł do niego:

— Siedź sobie! siedź! póki nie zjesz podwieczorku.

Jakoż w tej chwili najmłodsza z pańien podała dziaczkowi sporą kromkę chleba razowego z nieskąpym kawałem sera.

— Dobrze że was wszystkich zastałem! — mówił ksiądz dalej i nagle obrócił się ku drzwiom.

Nasz Jędruch stał jeszcze tam i sam nie wiedział co ma z sobą zrobić, ani też mógł zrozumieć, po co go dobrodziej przyprowadził z sobą.

— Chodźcie bliżej Jędrucha! — ozwał się ksiądz do niego. Wszak znacie dobrze moją staruszkę, moje dzieci i wnuki.

Jędruch skłonił się z niejakiem pomieszaniem, bo uprzejmość księdza pochlebiała niemało jego dumie, to znowu z drugiej strony nie mógł sobie zdać sprawy z tego, dla czego teraz właśnie, po rozmowie jaką miał z dobrodziejem, widok licznej rodziny księżej zrobił na nim dziwne jakieś wrażenie, jakby wstydu mimowolnego.

— Niech będzie pochwalony! — przemówił wreszcie Jędruch, i pokłonił się wszystkim.

Dobrodziejka i jej córki popatrzyły na Jędrucha, a na wszystkich twarzach odbijała się ciekawość i jakieś smutne uczucie. Wszystkie znały dobrze stosunki Jędrucha, którego Bogiem a prawdą niekoniecznie lubiły za tę jego dumę, i zapewne wiedziały także po co go ksiądz powołał do siebie.



— Jędruchu! — przemówił ksiądz po chwili, i zbliżywszy się do niego, popatrzył na niego serdecznym wzrokiem, i rękę położył na jego ramieniu. — Ot zaprosilem cię do tej izby, abyś się przypatrzył mojej rodzinie całej... liczna dzięki Bogu i szczerze się wszyscy Kochamy.

Wnuczki wisiały ustami zawieszona na rękach staruszka. Jędruch spuszczał oczy w dół; czuł, że mu gorąco się na twarzy zrobiło; poczerwieniał mimo chęci, choć się tego wstydzil, i gniewało go to nie mało.

— I jest nas jeszcze więcej — mówił dalej stary ksiądz, a głos jego tak był słodki, że mu widocznie prosto z serca wychodził. — Mam tam jeszcze trzech chłopców, co biedują jak mogą w mieście, by wyjść na ludzi. Czwartego pan Bóg wziął, i tylko po nim i po jego biedaczce, która go nie długo przeżyła, zostało nam tych dwoje sierotek. A oto jeszcze starsze sierotki, co mi po zięciu zostały.

Stara babcia w kącie od czasu do czasu, jak głos obcy Jędrucha usłyszała, wygięła się naprzód, jakby się chciała bliżej przypatrzeć i przysłuchać. I słysząc mówiącego księdza, coraz więcej okazywała natężonej uwagi, co już i potem głównie poznała dobrodziejka z nie-małym zadziwieniem, że się ozwała kilka razy lekkim krząknieniem. To bywało nieraz oznaką, że się chce odezwać słowem jakim.

— Wy znacie Jędruchu najlepiej, boście z ojca i dziada tutejsi — ciągnął ksiądz dalej — że waszego księdza dworek skromny, i pole nie wielkie, i dochody także nie zbyt znaczne. A przecież dzięki Bogu, nie skarzymy się, i weselimy, tem co Bóg daje, i jakoś nam wystarcza. A wiecie Jędruchu, z kąd to pochodzi?

Jędruch oczy spuszczał i odwracał się jak mógł, bo zaczynał już przeczuwać, do czego ta cała rozmowa prowadzi.

— Oto ztąd mój Jędruchu, że mieszka z nami łaska Boża i Boże błogosławieństwo, które w każdej znajdziesz chacie, gdzie w rodzinie mieszka zgoda i miłość. Nie prawdaż Jędruchu? — dodał po chwili, widząc uparte milczenie Jędrucha.

— Ta że to tak — odrzekł zmieszany Jędruch. — Nie ma co mówić! święte wasze słowa Dobrodzieju!

— Oby te słowa padły ci Jędruchu do serca — i położywszy obie ręce na ramionach jego, spojrzął mu teraz do oczów na pół podniesionych. Wszak rozumiecie mnie Jędruchu!...

— To ja rozumiem! tylko że...

— Jędruchu! wy nie macie złego serca! popatrzcie na wszystkich moich... i oni oczami to samo do ciebie gadają, co ja mówię słowami.

I prawdę mówił dobrodziej. Wszystkie oczy były ku Jędruchowi zwrócone, z wyraźną prośbą i błaganiem. Staruszka ruszała się także na swoim miejscu, jakby rozumiała o co rzecz idzie, i blade swe oczy utkwiała w Jędrucha, i znowu odkrząknęła. Dzieczek trzymając w rękę w pół zjedzoną kromkę chleba, miał oczy pełne łez. Prawda, że mu to się zawsze prawie trafiało, gdy dobrodziej przemawiał.

— Dziękuję wam Dobrodzieju! — przemówił Jędruch i skłonił się księdzu do kolan prawie, nie z prawdziwej konieczności pokory,

ale aby lepiej ukryć pomięszanie, które jakkolwiek wielkie, nie mogło przełamać jego dumnej i krnąbrnej natury. — Ale wy Dobrodzieju i wasze dzieci, i wasze wnuki, to co innego, to wszystko swoje... ale Wasyl! to co innego! to obcy!... i...

— Obcy! — zawołał ksiądz głośniejszym głosem, i cały się wyprostował, aż mu zdaje się jakby cudem przybyło powagi. — Obcy! — powtórzył raz jeszcze, i wzięwszy Jędrucha za rękę, pociągnął go za sobą do środka pokoju. I podniósłszy wyciągnięte palce wskazał na staruszkę siedzącą w kącie.

Był to znak wymowny i bardzo dobrze rozumiały Jędruchowi, który od ojca i dziada swego dobrze wiedział, że staruszka była księżej rodzinie zupełnie obcą, i że ją tylko nieboszczyk jeszcze wziął do domu swego z miłosierdzia. Zrozumiał dobrze, bo pobladł, zrozumiał, bo aż głowę zacisnął — ale wołał udać, że nie rozumie, by nie ustąpić swej grzesznej dumie. I nastąpiło w izbie milczenie, a Jędruch usiłował tylko wyciągnąć rękę swoją, którą dobrodziej trzymał dotąd.

I stał się nagle cud prawdziwy; przynajmniej w rodzinie dobrodzieja miano to potem zawsze za cud, a dziaczek wiele razy sobie to później przypominał, co prędzej robił najpobożniej znak krzyża świętego na piersiach swoich. Staruszka zgrzybiała zaczęła się coraz mocniej ruszać na miejscu swoim, i głośniejszym krząknieniem dawszy znak raz jeszcze, wyciągnęła ręce chude, pomarszczone i trzęsące się ku jasnowłosym dziewczętom, które co prędzej przyskoczyły do niej. Tu dziwo! podniosła się z krzesła swego, i oparłszy na rękach jej podanych, postąpiła kilka kroków na środek pokoju. To się jej już bardzo dawno nie trafiło, bo ją przenosili prawie z łózka na krzesło i nazad. I co to za myśl jej przyszła do głowy, nikt prawdziwie zrozumieć nie mógł, bo wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że nie zważała nawet na rozmowy wszelkie z obcymi, po większej części niezrozumiałe dla niej. A tym razem nie tylko wstała z siedzenia swego o własnej prawie mocy, ale oczy jej zabłyśły takim pojęciem, jakiego dawno już, bardzo dawno w nich nie było.

I postąpiwszy dalej stanęła wreszcie na parę kroków od Jędrucha, który przerażony sam nie wiedząc dla czego, tak się mocno w tył zachnął, że aż wyrwał rękę swoją z rąk dobrodzieja. I przemówiła staruszka do Jędrucha. Głos jej był drżący, połamany, nie głośny, ale każde słowo wychodziło z jej ust powolne, wyraźne i dobitne.

— Tak jest, obca! — mówiła do Jędrucha — obca zupełnie całemu domowi i całej rodzinie. I daleko więcej obca w księżym dworku, niżeli Wasyl w twojej chacie, Jędruchu.

Wszyscy słuchali zdumieni, i nikt nawet słowa przemówić nie był w stanie. Nie byłże to prawdziwy cud, że staruszka, która ledwie zdawała się słuchać, co mówią w koło niej, o której dawno myślano, że pamięć już zupełnie straciła — tak dobrze pojęła o co rzecz szła, i zachowała nawet w pamięci imię Wasyla, i jego stosunek cały do Jędrucha?! Był to prawdziwie cud Boży, którym Opatrzność chciała uderzyć w serce Jędrucha, by je zmiękczyć; ostatnia to była łaska dla krnąbrnego grzesznika. Kilka słów przypadkiem usłyszanych i na pół zrozumianych, tak żywo uderzyły staruszkę, że na chwilę roz



budziła się jej pamięć zastygła, i jak czasem we śnie żywym przypomnialy się dawne zdarzenia, których sobie człek na jawie przypomnieć nie potrafi.

— Bo Wasyl wychował przynajmniej twoją żonę, która jest matką twego dziecka — mówiła staruszka dalej. — A moja krewna... i jaka krewna daleka...

Tu się staruszka zatrzymała, chcąc równie przypomnieć sobie, w jakim to stopniu było to pokrewieństwo. Lecz czy nie mogła sobie przypomnieć, czy nie wiedziała tego koniecznej potrzeby, przerwała sama sobie, i przestawszy chwilę tak kończyła:

— Ona przeszła tylko przez ten dom bez potomstwa, i wniosła tylko żalobę do niego.

Odetchnęła zmęczona staruszka, i oczami śledziła za każdym ruchem Jędrzeja, który cofał się i srożej marszczył; widać, że go coraz więcej pan Bóg opuszcza, a zły duch w swoje bierze panowanie.

— Jędruchu! ty nie wypędzisz Wasyla z chaty swojej! — mówiła staruszka znowu.

— Ja! nie nie mogę! — odpowiedział Jędruch przerywanym głosem. — To domowa rzecz! — mruknął i już był przy drzwiach.

— A jeżeli go wypędzisz! — dodała jeszcze staruszka, a głos jej stary niezwykłym natężeniem podniesiony, okropnie się wydawał, jakby gdzieś z pod ziemi wychodził. — A jeżeli go wypędzisz! — powtórzyła staruszka raz jeszcze — dotknie cię palec Boży!

I jakby mu to widomie chciała pokazać, wyciągnęła ku niemu suchy swój i kościsty palec.

Zadrżał Jędruch, jakby go febra strzęsła, ale duma i złość przeważały w nim. I staruszka zadrżała zmęczona nadzwyczajnym wzruszeniem; nogi zaczęły się slaniać pod nią, oczy zamykały się powoli. Wszyscy ją obskoczyli i odprowadzili do krzesła, gdzie upadła osłabiona i omdlona, aż po chwili oddech równy uspokoił wszystkich. Staruszka usnęła spokojnie; a gdy się przebudzi, o tej chwili cudownego obudzenia się nie będzie zapewne pamiętała, jakby o śnie jakim.

Wszyscy byli tak staruszką zajęci, że nie zważali prawie na nagłe wyjście Jędrucha. Jeden tylko ksiądz spojrział za nim wzrokiem bardzo smutnym. Działek zrozumiał zapewne ten wzrok swojego dobrodzieja, bo wybiegł za Jędruchem, nie żałując swych krzywych nóg, w nadziei, że się może jeszcze opamięta.

## VI.

Jędruch wyleciał z księzego dworku prawie nieprzytomny. Uciekał jak oparzony, co z ciepłej wybiegnie łaźni, jakby się bał, aby nie pędzono za nim. Poczciwy działek jak mógł wyciągał swoje nogi pokrzywione, i sztychulał niemi, co mu tylko sił i tchu stawało.

— Jędrzeju! słuchajcieno panie Jędrzeju! — wołał za nim pochlebającym głosem.

Daremne wołanie. Jędruch może i nie słyszał, bo tylko coś ręką kiwnął, i wysoką czapkę zacisnął sobie na uszy. I byłby go zapewne nie dognał, bo Jędruch już był na drugim końcu grobli, towarzyszony zdziwionem spojrzeniem starego młynarza; a dziatek ledwie dobiegł do krzywej wierzby. Nie zatrzymał się nawet, choć młynarz wybiegł na groblę, i nie mogąc powstrzymać ciekawości swojej, porwał dziateczka za długą połę, pytając:

— A co tam? a jak tam? czy Wasyl?...

Dziateczek wyrwał połę coprędzej, głową kiwnął smutnie, i biegł dalej. Jędruch był już na ścieżce, co szła pod górę, i małym a ciasnym wężozikiem zwracała się ku jego własnej chacie. Lecz nagle musiał się zatrzymać, bo na samej drodze w miejscu najciaśniejszem stanęła mu w drodze jakaś postać ludzka tak dziwnie wyglądająca, że wypada ją nam opisać. Powiem tylko wam naprzód, że Jędruch ujrawszy tę postać wzdrygnął się widocznie, i zadrżał na całym cieie. Musiał ją znać, bo ta postać położyła mu poufale rękę na ramieniu, jakby mu nie pozwałała iść dalej.

Na pierwsze spojrzenie, po samej twarzy trudno było poznać, czy to była postać mężczyzny czy kobiety; twarz bowiem nie miała ani włoska na sobie jak u kobiety, ale za to na głowie jak u mężczyzny były włosy bardzo krótkie, stojące jak szczecina, w wielu miejscach popalone, popiołem zamazane, z przyklepionymi tu i owdzie kawalkami słomy, w wielu też miejscach sterczało z pomiędzy włosów nagie ciała poczerwienione dawnymi ranami zapewne. Ani też można było jej pleci z rysów twarzy tak chudej, zapadłej i wyschniętej na sterczących kościach, że się prawdziwie podobną wydawała do trupiej główki. Ledwie tylko życie odbijało się na tej twarzy o grubych żyłach, co sterczały po obu bokach czoła tak niskiego, że je ledwie widzieć można było pomiędzy brwiami ciemnymi nastrożpionymi wysoko i tuż nad niemi rosnącym już włosem najeżonym. Więcej życia było na ustach grubych i tak szeroko rozwartych, że wyszczerzały się przez nie zęby białe jak kości na polu wyblichowane, a długie i ostre, jakby kły u jakiego zwierzęcia. Ale najżywiej iskrzyły się dwoje oczów tak czarnych jak węgiel najczarniejszy, a tak były wielkie, wysadzone na wierzch, i tak jakoś dziwnie i błędnie biegały na wszystkie strony, że mimowolnie lęk jakiś brał człowieka.

Z tego miarkować możecie, że twarz była doskonale brzydką. Dodać do tego, że ta głowa sterczała na długiej, żylastej i strasznie chudej szyi, co jej dawało podobieństwo do gadziny niby. A to wszystko i głowa i szyja trzymało się znowu ciała straszliwie też chudego i tak krótkiego, jakby u dziewięcioletniego dziecka; piersi i brzucha to ledwie znak był jaki; tem dłuższe za to były nogi z ogromnemi wychodzonemi jak łopaty stopami, a jeszcze dłuższe ręce, bo aż po kolana sięgały.

Ala jeszcze nie powiedziałem wam, czy to mężczyzna czy kobieta, bo już to z twarzy nie poznać tego. Ale i z ubrania nie wiele poznać, bo bosa i brudne nogi aż po kostki przykryte były płótnianką z długim stanem, coby tak chłopiec jak i dziewczka nosić mogły. Już to płótnianka choć niby biała kiedyś była, ale tak cała



pokryta smugami wilgotnemi i plamami rozmaitej farby, że można było przysiądz, jako nie widziała od lat wielu wody, prócz deszczowej chyba. Najbrudniejsza była płótnianka od spodu, bo aż po kolana zalepiona błotem, z rozmaitych dróg zapewne zbieranem, bo i z glinki, i z czarnej ziemi; a że się już na samym spodzie przez starość postrzępiła, to w okolisko kawałki błota wisiały wyschnięte stukając o siebie, jak to nieraz bywa na wiosnę u tłustych, a długiem futrem pokrytych baranów. Przez grubą i równie jak płótnianka brudną koszulę przeglądały piersi wklęsłe, chude i tak ogorzale przez słońce, że równały się garbarskiej barwie skóry. A więc i z sukien niktby płci nie poznał, gdyby ją nie zdradzały drobne na szyi koralki z zawieszonym na nich krzyżykiem mosiężnym.

Jakoż w rzeczy samej była to kobieta, znana doskonale w całej wsi. Nazywali ją durną Ksenią, albo też niemową. I w rzeczy samej nieszczęśliwe to stworzenie było nieme, co zaś do tej durnoty, którą jej przyczepili do nazwiska, rzecz się miała inaczej. Z pewnych względów dyła ona durną niezaprzeczenie, już przez same kalectwo swoje, które przymuszało ją do dzikiego krzyku, do ciągłych ruchów rękami, któremi swój krzyk tłumaczyła, i do ciągłego a żywego przewracania oczów, które jej całej twarzy już i tak doskonale brzydkiej nadawało wyraz przykry i obłąkany prawie. I w tem to tylko znaczeniu przewano ją durną, bo w innych względach dawała ona nieraz dowody szczególnej przenikliwości, która często jest udziałem ludzi niemogących mówić, jakby już Bóg chciał wynagrodzić kalectwo. Ta jej przenikliwość była tego rodzaju, że nie raz, gdy się człowiekowi popatrzyła w oczy, to w lot zdawała się chwytać myśli jego. Byli nawet ludzie we wsi, którzy jej ledwie nie przypisywali coś nadprzyrodzonego. Dzieci, ba nawet i starsi, to nie raz powtarzali, że durna Ksenia jest czarownicą. Przykładało się do tego najwięcej, że nie mając żadnego prawie stałego pomieszkania, łażąc ciągle z kąta w kąt, co znowu dla swojej ciekawości więcej jeszcze niż dla potrzeby czyniła, wszystko prawie pierwej wiedziała od drugich, i nie jednego domyśliła się przez swą przenikliwość. Dla tego często żyjąc na wolnem powietrzu, tak się z niem znała doskonale, że i drukowany kalendarz nie byłby lepiej w stanie przepowiadać zmiany powietrza. Nie raz się trafiło, że jeszcze słońeczko grzało doskonale na niebie, a ona leciała już co tchu z pola wymachując rękami jakby ptak jaki, i jak ptak przed burzą wydając krzyki przeraźliwe. To już w takim razie wszyscy wiedzieli, że będzie burza.

Nikt zaś temu tak ślepo nie wierzył, że ona więcej wie od drugich, jak nasz dziaczek, który jak był bogobojny człek, tak znowu był skłonny do wielu przesądów. I choć serce miał mocne, i nie odstąpiłby chorego lub nieszczęśliwego, gdyby nawet łączyło się z tem jakie niebezpieczeństwo, to przecie durnej Kseni unikał o ile mógł, a nawet Bogiem a prawdą pod noc to byłby przed nią uciekał za sto gór. To też i teraz chociaż tak szczerze chciał dogonić Jędrucha, gdy nagle minąwszy grobelkę, ujrzał go stojącego na ścieżce na

przeciw Kseni, zatrzymał się na dole i sam z sobą się radził, czy ma iść dalej czy nie.

Ksenia tymczasem stanawszy naprzeciw Jędrucha, jak mówiłem wam, rękę mu położyła na ramieniu i długi czas patrzyła mu oko w oko, a tak jakoś przenikliwie i ostro, że mimo chęci spuścił Jędruch oczy swoje, jakby go złe sumienie trapiło. Nagle zakrzyknęła Ksenia tak dziko i przeraźliwie, że się Jędruch cofnął, a dziaczek zaczął nawet tyłkiem chyłkiem ku grobli wracać. Ksenia krzyknęła drugi raz i rękami i oczami dawała Jędruchowi różne znaki, które widać go niecierpliwiły, bo dał jej znak naprzód, by mu zeszła z drogi, a potem nawet chciał ją odepchnąć. To znowu Kseni nie przypadło do smaku, bo krzyknęła po raz trzeci, ale tak jękliwie i głosem zawodzącym, że dziaczek podstąpił parę kroków naprzód, jakby jej chciał biedz na ratunek, który tym mu się potrzebniejszym wydawał, gdy ujrzał, jak Jędruch znudzony i zgniewany w groźny sposób podniósł rękę. Chociaż dziaczek i bał się trochę Kseni, i nie lubił koniecznie jej towarzystwa, ale się zwykle więcej nad nią litował od drugich, którzy jej nie jedną pakość wyrządzali. Już to w rzeczy samej było się nad kim litować! bo Ksenia była na prawdę nieszczęśliwym stworzeniem.

Już to samo, prócz kalectwa było jej nieszczęściem największem, że ją ludzie we wsi nie lubili, chociaż właściwie słusznego do tego nie było powodu; Ksenia bowiem samo chcąc nie zachodziła nikomu w drogę, ani też komu umyślną przynosiła szkodę. Ale już takie to najczęściej bywa przeznaczenie kaleki, że nie mają jakoś miłości ludzkiej. Może to z tego pochodzi, że ludzie zwykli uważać takie kalectwo, jako już naznaczone od Boga, chociaż to nie zawsze jest rzeczą prawdziwą.

Bądź co bądź, jakkolwiek ludzie w Zawalni mieli serca poczciwe, co nawet weszło w przysłowie, że jak kogo chcieli pochwalić, to mówili: „to człek z Zawalni być musi“ — to jakoś Kseni jednej wyraźnie nie lubowali. Gotowi byli jej pomódz, jakoż nie było nigdy przypadku, aby jej kto co odmówił, gdy przyszła do chaty; bądź aby łyżkę strawy dostać, albo wypożyczyć co dla siebie. Dać dali Kseni, ale unikali jej towarzystwa. Ksenia wiedziała dobrze o tej ludzkiej nieprzyjaźni, ale się przez to nie mściła na nikim, tylko czasem usiadłszy na miedzy w polu, albo pod płotem za jaką stodółką, gorzko zapłakała nad dolą swoją.

Już to po prawdzie od małego dziecka była nieszczęśliwa. Rodziców obojga nie znała prawie; matkę to sobie przypominała jak sen tylko, a o ojcu nic nie wiedziała, bo i ludzie nie wiedzieli, co jej także nie mało szkodziło. Matka jej była bliską nawet krewną Jędruchowej matki, i za młodu żyły między sobą jak swojaczki. Miała ona nawet kawałek gruntu i chatę na wsi, co spadała na nią i na matkę Jędruchową. Trzeba nieszczęścia, że jakieś przechodziło wojsko przez Zawalnię, i nawet dni tam kilka zostało. A gdy wymaszerowało ze wsi, nagle i Hładyszowa Marunia jak ją nazywali, znikła z niej. Widziano zaraz, że to ją pociągnęła miłość za jakimś wojakiem, i był z tego wielki wstyd dla całej wsi. Gdzie się podziała



i co się z nią działo, nikt nie wiedział. Nagle pojawiła się we wsi, obdarta, blada i tak zmieniona, żeby ją może rodzona matka poznać nie mogła. I w brudnym podartym rąntuchu przyniosła małe dziecko, co już przez dopust boży, na skaranie grzechów matczynych, od urodzenia było niemową. Ludzie też gadali, że słuszna to kara, by dziecko jakiegoś obcego wojska, za którym się włóczyła Marucha, urodziło się nieme. Smutne ona miała życie, gdy do wsi wróciła, bo się nikt do niej przyznać nie chciał, i ludzie unikali jakby jakiej zarazy; nawet chłopcy biegali za nią szydząc i krzyząc:

— Oto idzie żołnierka!

Nawet własnego nie miała kąta, bo ta połówka gruntu, która do niej należała, już dawno przeszła w posiadanie Jędrucha. I choć zapewne miała słusność za sobą, nie śmiała się nawet upomnieć, tak była własnym wstydem przygnębiona. A najczęściej to już tak bywa, że jak się człek o swoje nie upomni, to mu samo pewnie do rąk nie przyjdzie. Bogiem a prawdą, krzywdę tę miał na sumieniu Jędruch, bo on to cały grunt trzymał po śmierci matki swojej, której jak to wam już opowiadałem, była jedna połowa. Marucha rada była, że choć mogła jako komornica znaleźć przytułek we własnej chacie. Lecz nie długo przynajmniej cierpiała, bo jakoś w parę lat po swoim powrocie do Zawalni, zaniemogła na jakąś słabość, męczyła się kilka miesięcy, i w jesieni skończyła. Nie miała wprawdzie czego żałować, bo szczęśliwej za życia doli nie doznała, a przecież ciężko jej przychodziło umierać, bo się trzeba było rozstać z tą biedną dzieciną, która ledwie co od ziemi podrosła. A choć to dziecko przypomniało jej wstyd i zakatę, jaką ojciec sprowadził na nią, matka przecie zawsze jest matką. W jej smutnem opuszczeniu dziecko to było jej całą pociechą, to też kochała je z całego serca. Co biedna przecierpiała, gdy się już raz przekonała, że dziecku mowy brakuje. Bóg to jeden wiedział, i te wszystkie łzy matczyne, jakie przelała, porachował jej zapewne tam w niebie na splacenie grzechów żywota. A co serce matczyne wycierpieć musiało, gdy w ostatniej skonaniam chwili pomyślała o sieroctwie córki? tego żadne słowo ludzkie ani opowiedzieć, ani opisać nie jest w stanie. Rzewnemi zalewając się łzami tuliła dziecię do siebie i całowała, i modliła się łzami, i błogosławiła, Bogu je polecając.

— Co z tobą się stanie biedna sieroto! — ciągle powtarzała.

Dziecko nie mogło odpowiedzieć mową, i nie wiele rozumiało, ale widząc matkę płaczącą, odpowiadało czem umiało, łzami i całowaniem serdecznem. A kiedy już matka umarła, dziecko przycupnęło koło nieżywej, myśląc, że spi sobie, i samo biedactwo usnęło złożonywszy główkę na zimnej już piersi matczynej. Dziecko nie rozumiało śmierci, to też gdy nieboszczkę wynosili z chaty, dzikiemi krzyczało głosami, że je na gwałt musieli ludzie zamknąć w komórce. Zapomniała pomału mała dziewczynka żalu swego, ale dwie przecie rzeczy pamiętała zawsze; grób matczyny, który jej miłośnierni ludzie pokazali, i do których chodziła ciągle, i żal do ludzi gniewny, że jej matkę wynieśli z domu. I później nawet, gdy już starszą była, choć już sobie przypomnieć dobrze twarzy matczynej nie potrafiła,

to przecie pamiętała, że jedną przed laty miała matkę, która ją tak serdecznie pieściła. Gdy przyszły na nią ciężkie życia chwile, a miała ich nie mało, biegła niemowa na grób matki, który sobie znaczyła to kwiatkiem to kawałkiem murawy, a choćby patykiem jakim lub kamyczkiem, i rzewnie się nad nim splotała, aż się jej łzej na sercu zrobiło. I choć już później rozumiała, że każdy człek co się rodzi, umrzeć musi i wrócić do ziemi matki, przecież tego żalu do ludzi nie mogła wyrwać z serca swego. Prawda, że nie miała za co się przywiązać do ludzi, którzy nic jej dobrego nie zrobili, przeciwnie, na niej niewinnej karali przewinienie matki, i grzeszne pochodzenie.

Biedny jest los na świecie każdej sieroty, ale sto i więcej razy biedniejsze było życie nieszczęśliwej niemowy. Czas jakiś po śmierci matki cierpieli ją ludzie jeszcze w chacie, gorzko jej wyrzucając każdy kawałek chleba. Nie dla tego koniecznie, by jej tego kawałka żalowali, ale już od dziecka, jakby przekleństwo, zgroza jakaś oddalała od niej ludzi.

— Od Boga naznaczona! — mówili o niej, i zatem idąc grzesznem mniemaniem, uważali ją jakby wyklętą.

Nie lubiona od wszystkich, i szturkana ciągle, cóż dziwnego, że i niemowa nikogo pokochać nie mogła, a nawet w sercu jeszcze małego dziecka wyrobiła się jakaś złość do wszystkich ludzi. Nie miała ona złego serca z natury, ale jak każde dziecko opuszczone, była psotnicą, dziką i niesforną; a co najgorzej, że się przyzwyczaiła do próżniactwa, bo rada była zawsze uciec z chaty, gdzie ją łajano i bito, i biegać sobie po polach i łąkach, tam jej przynajmniej ni trawa, ni kwiatki złego nigdy nie powiedziały słowa. Te też gdy już więcej nieco podrosła, wypędzili ją z chaty mówiąc:

— Możesz już sama pracować dla siebie, idź między ludzi.

Kazali jej iść między ludzi, kiedy ona między nimi nie miała ani jednego żywego człowieka, co by miał litość nad nią.

Ani jednej łzy sierota nie uroniła; wyszła z chaty, i byłaby może gdzie z głodu i zimna zginęła, bo nie chciała do żadnej zapukać chaty. Ale się przecie Bóg nad nią zlitował. Ksiądz Bazylewicz, który już nie raz litował się nad biedną sierotą, i nie jedne mądre a pocziwe słowo ludziom powiedział o tej niestusznej złości, jaką mieli naprzeciw niewinnemu dziecku, kazał ją wyszukać i wziął do siebie. To były najszczęśliwsze dni w jej życiu, i jeżeli nie została całkiem złą i zepsutą, winna to była dwóm latom, jakie przepędziła w księżym dworku. Ksiądz pocziwy o ile tylko miał czasu, zajmował się nią, i tyle przynajmniej z nauk jego zostało jej w głowie, że poznała Boga, i modlić się nauczyła choć nie słowami, to myślą i westchnieniem. Aby zaś próżnowaniu się nie oddawała, kazał jej dobrodziej paść gąski na wygonie. I byłaby tam mogła pozostać, bo dobrodziej choć nie zawsze był kontent z jej dzikiej i upartej natury, byłby ją pewnie nie wypędził. Ale cóż kiedy przemogła jej zła dola, czyli raczej by prawdę powiedzieć, bo my wszystkie własne winy, aby się oczyścić, najchętniej zrzucamy na przeznaczenie, przemogły pierwsze złe wrażenia, które pocziwe księdza nauki, ani przykłady dobre w jego domu, zupełnie zniszczyć nie mogły.



Już była wyrosła z dziecka i dziewczeczki w dziewczynę, a że jak ją wam opisałem, urody nie miała, i ludzie zawsze krzywo na nią patrzyli, więc choć nie raz na wygonie pełno było dziewcząt młodszych i starszych wszystkie ją unikały, a nawet niejednem zelżywym przykrzywiały się słowem. I serce ją za to bolało, i wielka brała złość, obudziła się zatem w niej chęć zemsty. A że była starsza i mocniejsza od dziewcząt i chłopców, co paśli to gęsi to trzody na wygonie, bywało nie raz, jak się które z nich jej wykrzywi, porwie je i dobrze obje patykiem, co go miała w rękę. Dzieci za to rzucały na nią to błotem, to kamykami, i dokuczały jak tylko mogły. I tak się zdarzyło, że gdy razu jednego przyszło do bójkki, i krzyk powstał wielki, wybiegły na wygon kobiety przestraszone o dzieci swoje, i niemowę więcej może otłukły, niż ona zasłużyła i niż się godziło. Niemowa zbita nie uroniła ani jednej łzy, tylko straszny i dzikim krzykiem odpowiadała na bicie. A choć w tym krzyku nie było ani jednego słowa wyraźnego, wszyscy zrozumieli i byłiby na to przysięgli, że ona okropnie przeklina. I baby i dzieci uciekały przed tym krzykiem, a niemowa w tym gniewie i złości zapomniawszy na dobrodziejstwa księdza przekleła na prawdę i siebie i życie swoje, i wszystkich ludzi, porzuciwszy gęsi na wygonie, pabiegła jak szalona het w pole.

Tu się już nowe dla niej zaczęło życie, zupełnie tułackie, o którym z pewnością nie wiedzieli ludzie w Zawalni. Gdzie się obracała przez dni kilkanaście, gdzie nocowała i czem się żywiła, nikt wiedzieć nie mógł, tylko ją nie raz o różnych godzinach to w dzień to w nocy widziano chodzącą w koło wsi, przemykającą tu i owdzie pomiędzy wiejskie zagrody. Ztąd to powstało wówczas po raz pierwszy to posądzenie czarów i zamawiania, które ją miało prześladować całe życie.

— Bo jużeiż — gwarzyły kobiety pomiędzy sobą — po cóż by jak óma jaka snuła się po nocy, jeżeli nie w jakiej złej myśli i djabelskiej.

I jak na toż zdarzyło się tak, że jedna z tych kobiet, co należała do tej bójkki na wygonie, tego samego wieczora nagle zachorowała, i do trzech dni już nie żyła. Daremnie i felczer z miasteczka i sam dobrodziej tłumaczyli ludziom, że to była pleura, której ta kobieta dostała może właśnie w skutek tego gniewu i zgrzania się mocnego; nikt temu w całej wsi wierzyć nie chciał.

— To ta niemowa jej zamówiła! to czarownica! nie darmo ją pan Bóg nazaczył — był głos ogólny w całej Zawalni.

I zdanie to już zostało. W kilkanaście jakoś dni znikła zupełnie niemowa, i długi bardzo czas nie widziano jej we wsi. Głucha tylko wieść chodziła po wsi, że ona poszła do miasteczka na służbę; inni znowu twierdzili, że ją w różnych wsiach widzieli, a byli i tacy, którzy utrzymywali, że wałęsa się od wsi do wsi, od odpustu do odpustu jako żebraczka. Wszakże pastuszki nocujący z końmi na łące, przysięgali się, jako widzieli w nocy na górze jakąś postać, w białej płache, która się uwijała to tam, to sam, a nawet powietrzem leciała,

aż nareszcie znikła na cmentarzu, i dopiero gdy księżyc wyszedł z za chmury, i właśnie kury zapiwały na północ we wsi, zobaczyli znowu tę postać na środku cmentarza, i poznali twarz niemowy. I ogromnie się przestraszyli, bo zaczęła strasznie machać rękami, i rosła tak wielka, że aż strach, i coraz większa i wyższa, aż się nareszcie gdzieś w górze rozplynęła.

Biedna niemowa; z tej całej gadaniny we wsi i bajki przestraszonych pastuszków, tyle było prawdy, że jak uciekła z wygonu, kręciła się kilkanaście dni koło wsi, bo jakkolwiek nie zażyła ona w niej szczęścia, ale taka to już natura człowieka, że się przywiązuje do tego kawałka ziemi, na którym wyrósł i długo mieszkał, choćby na nim wyplakał wszystkie najserdeczniejsze łzy swoje. Niemowie żał było porzucić wioskę, którą uważała jakby rodzinną, i w której leżał grób tej jednej istoty, która ją kochała i pieściła. Że to było w lecie, więc łatwo jej było przesiedzieć i przenocować czy to w debrze jakiej, czy w lesie nareszcie, a było i we wsi i po pasiekach co stały na uboczu dosyć sadów, aby z nich sobie w nocy trocha owoców milczkiem wykraść na codzienne pożywienie. Niemowa była przyzwyczajona zresztą do głodu i niedostatku od dzieciństwa.

Lecz długo zostać tak nie mogło, więc nareszcie postanowiła udać się na służbę w cudzinę; i prawdę mówili, że była i w miasteczku i po wsiach, bo się w rozmaite najmywała służby, ale chociaż wiernie pracowała przez czas umówiony, i wszyscy byli kontenci i z jej pracowitości, i z jej osobliwie siły i wytrwałości mężkiej prawie, nigdzie jakoś miejsca zagrać nie lubiała. Ale nieprawdę ludzie mówili, że ją widzieli zebrzącą, bo chociaż wiele w sobie miała złego, taką już miała hardą duszę, że wolałaby raczej z głodu umrzeć, niżeli wyciągnąć rękę. To prawda, że nieraz, jak sobie grosz jaki zapracowała, to potem i tydzień i drugi wałęsała się od wsi do wsi, bez celu, ot tak aby sobie popróznować; a że w obcych miejscach nie wzbudzała takiego wstępu co w Zawalni, w niejednej chacie dali jej wiązkę słomy na nocleg i łyżkę ciepłej strawy, za co ona czy chcieli czy nie chcieli, choć parę drobnych pieniędzy zostawiła za zapłatę. Wiele by to można opowiadać o tych jej wędrownościach po okolicy, ale już i tak niecierpliwicie się zapewne, że was ciągle trzymam na jednym miejscu, jakby wóz, co ugrzązł w błocie. To więc tylko powiem jeszcze, że różne przyjmując służby, nie raz aby się nając do zyskowniejszej pracy, przebiegała za chłopca, i szła za pługiem, albo nawet młóciła, lub też koni doglądała. A może czyniła to biedaczka dla tego, bo jako kobieta to wszystkich prawie odstraszała swoją powierzchownością, a jako chłopiec to przecie mniej brzydko wyglądała. I od tego to czasu zostało, że włosy nosiła zawsze krótko po mężku ucięte.

Co zaś do tych dziwów, jakie pastuszkowie opowiadali, to i w tem jak w każdej bajce było coś prawdy. Biedna niemowa nie myślała pewnie nigdy, że ją posadzą będą jako lata w powietrzu istną czarownicą, za to, że choćby była o kilka mil najęta w służbę, to przynajmniej w niedzielę biegła ścieżkami, manowcami, przez lasy i bagna, aby choć przez jedną godzinę małą ukląć na grobie matki,



i tam wyskarzyć i wypłakać wszystko to, co słowami wygadać nie potrafiła, a co się bólu i smutku nagromadziło w jej sercu. I jakoś źlej jej było wracać do pracy i pomiędzy ludzi obojętnych, jeżeli choć raz w tydzień ucałowała tę mogilkę matczyną, i modlitwą wyskarżyła wszystkie zale swoje. Bo już to niemowa, choć ją mieli za czarownicę, i choć jak mówiłem, wiele miała złego w sobie, była rzetelnie nabożną. Nie wiele tam ona wiedziała o świętych prawdach naszej wiary, ale to dobrze z nauk dobrodzieja pamiętała, że jest tam na górze nad nami Bóg dobry, który czuwa nad nami, do którego modlić się trzeba, i wierzyć mu należy całą duszą, że czy źle czy dobrze się człeku dzieje, wszystko jest wpływem jego najwyższej mądrości; on bowiem jeden wie najlepiej co czyni, a człowiek, to jak ten podróznik, błądzi manowcami, sam nie wie którędy i dokąd.

Lecz się wreszcie sprzykrzyło to życie biednej niemowie, i taka ją tęsknota wzięła do swojej wioski, że choć wiedziała, co ją czeka od ludzi nieprzyjaźnych, wróciła do niej, postanowiwszy znieść wszystko, i gorzko pracować na kawałek chleba. Do księdza wrócić nie chciała. Rodzina dobrodzieja i bodaj czy nie sam dobrodziej przypisywali to jej naturze niewdzięcznej i złośliwej a upartej, a tymczasem nie taka była przyczyna. Niemowa zrażona pogardą ludzką miała wstyd fałszywy, zdało się jej, że jak inni ludzie, tak i ksiądz Bazylewicz jej już nigdy nie przebaczą, a sumienie własne mówiło jej najwyraźniej, że się źle odplaciła temu, który ją lat parę hodował, ubierał, a co więcej nawet, i na drogę dobrą naprowadzał.

Nie tak to jej łatwo przyszło znaleźć jaki przytułek w Zawalni, ale znać Bóg, który widział aż do gruntu serce niemowy, chciał jej przynajmniej wynagrodzić to szczere przywiązanie do matczynego grobu. Chodziła długo od chaty do chaty, ofiarując usługi swoje, choćby tylko za strawę. Lecz wszędzie jej odmówiono, zamykając drzwi przed nią jak przed zapowietrzoną. Zmęczona i splekana przechodziła koło chaty, w której małym niegdyś dzieckiem mieszkała z matką jeszcze. Przed chatą siedziała kobieta, którą ledwie znała niemowa, chociaż w rzeczy samej była to krewna naszego Hładysza, a zatem i jej własna. O tej kobiecie i o chacie tej będę miał sposobność później opowiedzieć; tyle więc tylko na ten raz dodam, że ta kobieta, choć sama uboga i komornica tylko w cudzej chacie, przywołała niemowę do siebie i dała jej przytułek u siebie. Niemowa odtąd przy niej mieszkała, i wiernie jej we wszelkiej pomagała pracy. Jakoś z czasem utarł się i ten powszechny ku niej wstręt, i chociaż ludzie zawsze od niej stronili i cudne rozpowiadali baję o jej sztukach czarodziejskich, to przynajmniej dawali jej spokój, widząc pracującą nieraz w czasie żniw to na pańskim to na księżem polu. Bo niemowa gdzie tylko mogła, to się zajmowała, a co zarobiła, to oddawała w ręce tej poczciwej kobiety, która się nad nią zlitowała.

Taką tedy była niemowa, która jak opowiedziałem, stanęła Jędruchowi na drodze. Już to trzeba wiedzieć, że ze wszystkich może ludzi w wsi Jędruch ją najwięcej nie cierpiał, i rzecz to była naturalna, bo człowiek dumny ze swego bogactwa, zawsze będzie pogardzać biednym i ubogim, a do tego jakże go nie miało gniewać,

że niemowa przyznawała się do jakiegoś z nim pokrewieństwa, czego nawet nie mógł zaprzeczyć. Prawda że i niemowa oddawała mu pogardę za pogardę, i nienawiść za nienawiść, i gdzie go tylko zdybała, to go pewnie zaczepiła, i jak mogła najwyraźniej znakami mu pokazywała, co czuje dla niego.

Tak było i tym razem. Stanąwszy uparcie Hładyszowi w drodze, zaczęła mu palcami i rękami dziwnie jakieś pokazywać znaki. Hładysz chciał ją odepchnąć, ale ona porwała go tak silnie za ramię, że się aż zatrząsł Jędruch, już to Bogiem a prawdą, ze strachu. Strach ten udzielił się i naszemu poczciwemu dziaczkowi, który stał nieruchomy na miejscu, i za nic w świecie nie byłby się do nich zbliżył. Ale za to z uwagą przypatrywał się znakom, jakie wymachiwała rękoma, bo jak już mówiliśmy, dziaczek tę jedną miał słabość, że wierzył w jakieś tajemne czary, któremi miała władać niemowa; a więc tem był ciekawszy wiedzieć, co ona chce od Jędrucha.

Niemowa ręką wskazała naprzód stronę, gdzie stała chata Jędrucha, i pochyliła się jakby do modlitwy. Dziaczek zrozumiał zaraz, że niemowa prosi także za starym Wasylem. I Jędruch musiał zrozumieć, bo krzyknął gniewnym głosem:

— Idź precz, pilnuj swego!

Niemowa nie ruszyła się z miejsca, tylko rękami błagała, a potem wyciągnęła ręce jakby do żebrania, a po twarzy przeciągała jakby chciała pokazać głód i nędzę, którą żebrak nieraz znosić musi.

— Idź precz! — krzyczał coraz gniewniej Jędruch — idź precz ty... czarownico!

To było już nadto na niemowę. Nic ją tak nie oburzało i do tak strasznego nie przyprowadzało gniewu, jak gdy ją kto nazwał czarownicą. Wyprostowała się zatem nagle, tak że dziaczkowi wydała się dwa razy wyższą, a oczami tak jakoś groźnie i strasznie wypatrzyła się, że dziaczek co prędzej znak krzyża zrobił i zamruczał modlitewkę. I wyciągnęła rękę, podniosła palec ku niebu, i potrząsała nim trzy razy tak groźnie, że się i dziaczek zatrząsł niepomafu. Była to groźba, wezwanie pomsty nieba, przekleństwo; tak przynajmniej dziaczek rozumiał.

Nadto już tego było Jędruchowi; tu go wszelka opuściła cierpliwość, porwał niemowę całą siłą, potrząsł nią w strasznym gniewie i tak silnie potracił, że aż się pochyliła, a głową uderzyła tak mocno o sterczący kół z płota, że aż na czole zacerwieniło się kilka kropel krwi. Korzystając z wolniejszego w tej chwili miejsca, poskoczył Jędruch naprzód ku chacie swojej.

A niemowa podniosła się, i dziaczek przysięgał nawet, że widział, jak się jej krótkie włosy podniosły i najeżyły okropnie, spojrziała za odchodzącym, i krzyknęła za nim krzykiem niewyraźnym, ale przeraźliwym. Złość jej i natężenie tak były mocne, że w rzeczy samej można było prawie zrozumieć słowa, jakie tym krzykiem wydać z siebie chciała.

— Bóg skarże! Bóg skarże! Bóg skarże! — zdało się dziaczkowi, że usłyszał wyraźnie; to też się tak przestraszył, że zapo-



mniawszy o wszystkim, obrócił się nazad i uciekł przez groblę aż pod piękne lipy cerkiewne. Niemowa przelazszy przez plot, znikła pomiędzy sadami.

## VII.

Jędruch nie oglądając się, wbiegł zadyszany i zły do chaty. To co zobaczył, nie przyłożyło się do lepszego usposobienia. Nie tylko bowiem zastał jeszcze w chacie Wasyla, o którym się spodziewał, że może przez ten czas już wyjdzie, i przez to uwolni go od przykrych klótni domowych, ale zastał całą rodzinę skupioną razem i trzymał ją w serdecznem porozumieniu. Wasyl siedział przy stole na ławie z Jędruchową razem, i trzymał na rękę małą Marynkę, tulącą się staremu do piersi; Jurko zaś stał także oparty prawie cały o Wasyla i ładną swą twarzyczkę położył mu na piersi. Na wszystkich twarzach i we wszystkich oczach był smutek i jakieś serdeczne rozrzewnienie, które czasem tylko rozświecił lekki uśmiech nadziei. Bo jakkolwiek znali oni dobrze Jędrucha i jego serce zimne i nieużyte, przecież z drugiej strony znali także dobrze poczciwego księdza, i tak wierzyli w jego wymowę, którą w cerkwi szanować się nauczyli, że zdało się im niepodobieństwem, aby nie przełamał oporu Jędrucha. Lecz ledwie spojrzeli na twarz wchodzącego, stracili od razu wszelką nadzieję.

Twarz Jędrucha okropnie wyglądała; błądy był jak chusta, a wargi tak mu drgały, że w pierwszej chwili słowa wyrzec nie potrafił. Ręce tylko ścisnął, i wyciągniętymi naprzód siebie pięściami zdawał się grozić siedzącym. Na ten widok przestraszeni rozskoczyli się. Jędruchowa przyzwyczajona do bojaźni i posłuszeństwa, odsunęła się od ojezyna co żywiej. Jurko przerażony takiego dał susa od ławy, że się aż oparł o piec, i jak pierwej wcisnął się w kącik przypieckowy. Wasyla twarz, która póki był sam z rodziną Jędrucha, przybrała jakieś zawsze rozczerzenie, nagle sposepniała, a oczy jego spojrzały na wchodzącego wzrokiem zimnym, obojętnym, a nawet złośliwym. Jedna Marynka ufając może przywiązaniu ojca, a może nie rozumiejąc w dziecinnem pojęciu tego wszystkiego, co się działo w koło niej, została u starego na kolanach, i tylko rączkami objęła jego szyję.

Jędruch poskoczył naprzód, i zatrzymał się przez chwilę, bo sam nie wiedział, na kim ma najprzód złość swą wyrzucić. Już chciał biegnąć do stołu, gdy na nieszczęście, Jurka zastał koło przypiecka. Biedny Jurko! na nim się najprzód zmello. Porwał chłopca z całej siły za uszy, i tak pociągnął, że aż chłopiec upadł na kolana i z bólu i ze strachu.

— Próżniaku! — krzyknął zadyszany głosem, i wlekąc go przez izbę, z całą siłą wyrzucił za drzwi.

To było zanedo dla Marynki, której Jurko był najulubieńszym towarzyszem w całym domie, ba nawet w całej wsi. Skoczyła z kolan starego, i cała zapyrzona z krzykiem pobiegła Jurkowi na ratunek.

To było jej szczęście, że tak małym była jeszcze pędrakiem, bo się jakoś ojcju pomiędzy nogi prawie przemknęła, i wybiegła na podwórze za ulubionym Jurkiem, który trzymając się za zakrwawione ucho, ze łzami w oczach smutny i skalany szedł ku stajenkom. Jędruch zostawszy się sam na sam z żoną i Wasylem, przyskoczył dopiero do stołu, i pięścią całą uderzył weń.

— Mówiłem ci kobieto, abys go wyprawiła nim wrócę. Poczekaj!.. nauczę ja ciebie!

— Nie macie czego się tak srożyć Jędruchu! — odezwał się na to Wasyl! — Ja to nie chciałem pójść. — I to mówiąc, śmiało i złośliwie popatrzył Jędruchowi w oczy.

— Jak to! ty nie chciałeś! kiedy ja kazał.

— Chciałem się z wami pożegnać Jędruchu! — odpowiedział znowu Wasyl, i zaśmiał się drwiąco ustami i wzrokiem. — Może przecie — cedził dalej słówko po słówku powoli — już się więcej nie zobaczymy.

— Gdzie są torby? — krzyknął Jędruch do żony, nie zważając czy udając, że nie zważa na Wasylowe ozwanie się.

Jędruchowa opamiętała się jakoś tymczasem i z nieśmiałością podnosząc oczy, rzekła do męża:

— Ja myślałam, że Dobrodziej przecie...

— Ja wiem — przerwał jej co prędzej Jędruch — że wy się wszyscy ponamawiali na mnie! i ty kobieto, co nie dbasz o moje dobro, i ten krzywy połamany djak, i ten młynarz, co się na mnie krzywo patrzy i mnie unika, i ta nawet!..

Nie miał czasu dokończyć, bo jakby słowami jego wywołana, przemknęła postać niemowy po przed okienka chaty, i ozwał się znowu ten sam co pierwiej krzyk przeraźliwy, przeklinający.

Na ten krzyk zadrżała Jędruchowa, która mając z natury usposobienie słabe, bała się niemowy więcej jeszcze, niż inni we wsi. Jędrucha zaś taka na ten krzyk porwała wściekłość, że w pierwszej chwili pobiegł ku oknu, jakby ją mógł tamteży dosięgnąć, lecz już tylko ujrzał, jak jej płótnianka długa przemykała pomiędzy drzewa sadu, i raz jeszcze łysnąwszy na wysokim płocie, co obejście Hładysza dzieliło od sąsiedzkiego, znikła jakby widmo jakie. I tylko z daleka doleciał jej śmiech przykry i drwiący.

— Przeklęta czarownica! — krzyknął Jędruch i odwrócił się od okna, cały czerwony jak rak od gniewu.

— Jakże możesz myśleć Jędruchu! — przemówiła do niego żona nieśmiałym głosem — aby z tą dziewczyną nieszczęśliwą, którą zły duch opętał, my byli w znowie, a tem mniej jeszcze nasz kochany Dobrodziej, którego znasz przecie święte i poczciwe serce. Czy już zapomniałeś, kiedy nasza Marynka była chora!..

Przypomnienie to ułagodziło potrosze Jędrucha, bo jakkolwiek był gwałtowny, jeżeli miał jeszcze jakie w sercu uczucie ludzkie, to było niem przywiązanie ojcowskie do jedynaczki. Z mniejszą też gwałtownością odpowiedział żonie:

— Ja na Dobrodzieja nic nie gadam. Ale po co on się miesza



do tego, co się u nas w domu dzieje. W swoim domu każdy jest panem!

Jędruchowa we wszystkim kobieta bardzo słaba i uległa, w jednej tylko rzeczy miała nieco więcej siły, a tem była jej wiara i przekonanie religijne, więc też śmieiej niż zwykle ozwała się na słowa męzowskie:

— Mieszka się mój mężu, bo on jest pana Boga zastępcą na tej ziemi, a Boskie oko wszędzie zajrzy, i Boska wola wszyskiem na świecie kierować może.

— Dosyć tego! — ozwał się znowu Jędruch. — Na co ta próżna gadanina, którą mnie naumyślnie niecierpliwisz, aby jak zła pokusa przyprowadzać mnie do gniewu. Ja nic złego nie robię; i tobie już to samo mówiłem, co dziś księdzu naszemu powiedziałem, że nie ja pierwszy i nie ja ostatni wyprawiam starego, co już w domu jest do niczego, aby się udawał za chlebem do ludzkiego miłosierdzia, kiedy sam pracą nie może na ten chleb zarobić.

— Czyż nam Bóg nie pobłogosławił dosyć chlebem, abyśmy?...

— Kobiето przestań! ostatni ci raz mówię; gdzie są torby dla Wasyla?

I znowu z wybuchem gwałtowności zbliżył się do stołu, i wyciągnął ręce, jakby chciał żonę wywlec z po za niego. Jędruchowa przestraszona tym ruchem, nie śmiała się już więcej sprzeciwiać, i wyszedłszy z po za stołu, poszła do komory. W izbie zostali Jędruch i Wasyl. Jędruch odwrócił się ku oknu, nie chcąc może zdybać się ze spojrzeniem Wasyla. Nagle odwrócił się, bo uczuł jakieś lekkie dotknięcie; to Wasyl położył mu rękę na ramieniu.

— Czego chcecie? — przemówił do niego. — Daremnie byście gadali, co się stało, to się już odstać nie może.

— Ja też wam Jędruchu daremnie gadać nie będę, bo wiem, że i kamień, co tam sterczy nad rzeką, nie jest twardszy od waszego serca. Ja zaraz pójdę; pójdę Jędruchu! I teraz choćbyście zmienili waszą wolę, choćbyście mnie na klęczkach prosili, to bym się już na was nie mógł patrzeć dobrem okiem, ani mieć dobrego serca dla was. A jak człowiek do człowieka straci raz serce, to nie dobrze, by pod jedną mieszkali strzechą; bo pomiędzy nich łatwo może stanąć trzeci... tak trzeci!

— Trzeci, jak trzeci?

— Nie wiecie Jędruchu, jaki trzeci? Oto czart kusiciel, który może przywieść do złej myśli i do grzechu.

— Cóż to? wy mnie grozicie!

— Ja wam nie grożę, bo teraz nie ma miejsca w mojem sercu na złą myśl; w niem teraz żal tylko, i wielki żal.

— Żal! do mnie?

— O tem nawet teraz nie myślę; ale ja w tej chacie mieszkam od młodego chłopca; ja jeszcze tu był parobkiem, kiedy żył pierwszy mąż mojej nieboszczki; ja tu gospodarował jakie lat trzydzieści, ja tu wychował jak własną córkę waszą żonę, i Bóg widzi najlepiej, żem ją chował i kochał jakby była własna krew moja, i starałem się

o jej dobro więcej jak o własne. Cóż dziwnego, jeżeli myślałem, że w tej samej chacie, w której niema kołka, coby moja nie wbiła ręka, że w niej stare lata przepędzę, póki mnie pan Bóg nie powoła do siebie?

Jędruch po pierwszych zaraz słowach spuścił oczy w dół, i choć zęby zaciskał, jakby się chciał gniewać, czuł przecie, że mu nie było jakoś do gniewu. Człowiek jest zawsze człowiekiem, i choćby był najgorszy, to ma przecie w swojej piersi tego nieprzekupionego sędziego, który mu zawsze prawdę gada, a tym sędzią jest własne sumienie.

— Tak! — mówił Wasyl dalej — nie żal do was dusi mi teraz piersi, ale żal za tą chatą, za tem obejściem cafem, za tym sadem, w którym nie jedno zasadziłem drzewko.

Ciche i przytłumione łkanie ozwało się. To Jędruchowa stała we drzwiach, co do komory prowadziły. Słyszając słowa ojczyrna, którego od malutkiego dziecka przyzwyczaiła się uważać jakby ojca własnego, nie mogła się wstrzymać od łez, co ją już przez cały dzień dusiły i na sercu kamieniem ciężyły. Nie chcąc, by jej płacz słyszano, i bojąc się gniewu męża biedaczka, zacisnęła usta, i przyłożyła do nich... przyłożyła dwie torby z werciny uszyte, moteczkami związane, zwyczajne torby żebrackie. I gdy jej oczy padły na te torby, jeszcze się jej ciężej zrobiło na sercu, bo te torby przeznaczone dla ojca starego, i sama je własnymi rękami na rozkaz męża uszyć musiała. Bóg to jeden widział, jak nie było w nich szwu jednego, coby go nie zwilżyły łzy poczciwej i biednej kobiety; Bóg też łzy te porachuje kiedyś, i nie jeden jej grzech ludzki zmyje niemi na czysto. Trzymała biedaczka torby z całej siły przy ustach, a ciężko jej było, bo ona w komorze wyszukała dwa najpiękniejsze chleby, i po jednym do każdej wpuściła z gorącą od serca pochodzącą modlitwą, by się te chleby, jak one siedm, co o nich pismo święte powiada, że tysiąca ludzi nakarmiły, nigdy nie skończyły, i nigdy ich w torbach starego żebraka nie zabrakło. Czy to przytłumione jej łkanie nie usłyszeli w izbie, czy usłyszeć nie chcieli, dosyć, że Wasyl mówił dalej:

— Żal mi to wszystko przecie, żal mi żegnać jakby dawnych znajomych, krewnych, jakby własne dzieci... żal, jakby umierać i być pochowanym, a żyć jeszcze. Żal ciężki żegnać, by już nigdy nie zobaczyć.

— Dla czego? Wszak możecie nieraz w waszych wędrowkach zajść do naszej wioski, i zajrzeć do nas w gościnę — przemówił wreszcie Jędruch łagodniejszym już daleko głosem.

— Wróćcie nazad! — krzyknął głośnie Wasyl, i oczy jego co się były rozświeciły łzą rozczulenia, zabłysły gniewem, bo po żalu serdecznym przybiegła mu do serca pamięć krzywdy uczynionej. — Wróćcie nazad! — powtórzył. — Po co wracać! Nie Jędruchu, nie żądajcie i nie proście Boga, bym ja kiedy wrócił. I owszem módlcie się, byśmy się już na tej ziemi nie zdybali nigdy.

I spojrzeli sobie oko w oko, i zobaczyli prawdę, która wystrzeliła z nich. A tą prawdą była nienawiść. Bo jeżeli pokrzywdzony nie nawidzi tego co go skrzywdził, to i pokrzywdziciel musi nienawidzieć pokrzywdzonego, którego widok i przypomnienie nawet jest mu wie-



cznym wyrzutem sumienia. I ta nienawiść krzywdziciela jest może słuszniejsza i stosowniejsza do natury ludzkiej, jak nienawiść pokrzywdzonego; bo jak człowiek tego zawsze najwięcej kocha, komu dobrze uczyni, tak tego ścierpieć nie może, komu źle zrobił. Tym razem spojrzenie starego Wasyla silniejsze było daleko od wzroku młodszego Jędrucha; to też mimowolnie zadrżał Jędruch, i oczy spuścił na nowo.

A Jędruchowa bojąc się, by nie przyszło do nowej kłótni, zbliżyła się do nich, i stanęła między nimi trzymając torby w rękę. Wasyl uchwycił za nie, a Jędruch odwróciwszy się, aby je może nie widzieć, rzekł tylko:

— A chleb dałaś?

— Dałam — odpowiedziała biedna kobieta dusząc się od płaczu.

Wasyl zadrżał cały, i porwał się ręką do torb, jakby chciał chleb z nich wyjąć, lecz wnet się zatrzymał, i przewieszając torby przez plecy, mruknął z cicha:

— Chleb mogę przyjąć, wszak to od niej!

I z torbami poszedł do pieca, i tam z przypiecka zdjął grubą i wysoką łaskę, i starą obdartą czapkę, a zasadziwszy ją stał na środku izby wczorajszy jeszcze gospodarz jako istny żebrak.

— Bywajcie zdrowi! — rzekł zwracając się ku drzwiom.

— Bóg z wami tatuniu! — wyjęknęła kobieta, i nie mogąc już dłużej wytrzymać, głośnym zaczęła zawodzić płaczem.

Jędruch milczał; nie chciał się gniewać, więc wołał nic nie mówić.

— Jeszcze jedno! — rzekł Wasyl, i stojąc już przy drzwiach, odwrócił się raz jeszcze. — Jędruchu, jeżeli chcecie, bym zupełnie rozstał się z wami bez żalu i gniewu, to posłuchajcie jedno jeszcze.

— Słucham — odpowiedział Jędruch nie podnosząc oczu.

— Miejcie zawsze dobre serce dla Jurka! to biedny sierota i wasz krewny.

— Alboż mu to co brakuje? — zagadł Jędruch przytłumionym głosem.

— Ja tego nie mówię, i sprzeczać się z wami nie chcę, bo się nie chcę rozchodzić w gniewie. Że nie możecie się z chłopcem inaczej obchodzić, to nie wasza wina; to już nie w waszej naturze. Ale wy wiecie sami, że chłopiec cichy, dobry i pracowity, służy wam wiernie; pamiętajcie o jego także przyszłości.

— Wasylu! i ja nie chcę się już więcej sprzeciwiać, i nie chcę żegnać się z wami w złości, ale proszę was nie mieszajcie się w to, co do was nie należy. Jurkowi ja krzywdy nie robię, i robić mu jej nie myślę. A jego przyszłość was nie powinna obchodzić.

— Obchodzi mnie! bo ten chłopiec, choć sam na cudzej żyje łasce, i dla mnie jest ani krewnym, ani powinowatym, miał zawsze dla mnie serce najlepsze, jakby syna rodzonego. I ja, Bóg widzi kocham go jakby syna własnego.

— Wiem ja o tem! — mruknął Jędruch pod nosem — wyście wszyscy razem zawsze naprzeciw mnie trzymali.

— Krzywdy mu nie robicie! — mówił Wasyl dalej, jakby słów

Jędruchowych nie slyszal — wiem o tem. I powiadacie, że mu krzywdy nie zrobicie. Bóg świadkiem, chciałbym temu wierzyć, a nawet z przyjaźnią myślą bym od was odchodził. Ale! może to tak jakoś w takiej godzinie, gdy człowieka coś rozrusza mocno, przychodzą do głowy przeczucia, i człowiek wiele, bardzo wiele przewiduje. Jędruchu, przyrzeknijcie mi, że o Jurku zawsze pamiętać będziecie, a jak mnie żywego widzicie, choć wychodzę żebrakiem z waszego domu, będę wam błogosławić i modlić się za was.

— Wasylu ja was proszę! przestańcie raz, bo nie ręczę za siebie... Ja nie chcę tego, aby ktokolwiek dawał mi nauki i rady.

— Dobrze! więc już idę! tylko ostatnie wam to słowo jeszcze powiem. Moją krzywdę wam chętnie przebaczam, ale krzywdy Jurkowej nie przebaczę nigdy, jak mi Bóg przy śmierci potrzebny.

— Śmiecie mi jeszcze grozić! — krzyknął Jędruch wpadając znowu w dawną gwałtowność.

— Nie grozę wam, ale przestrzegam! Sieroca krzywda to największe przekleństwo. Nie wyrzekajcie się Boskich przykazań, a Bóg was nie opuści i obroni od wszelkich grób ludzkich. Bądźcie zdrowi.

To rzekł szybko wyszedł i drzwi zamknął za sobą.

Przez cały ciąg tej rozmowy, Jędruchowa stała w kącie nie mogąc się utulić z płaczu i żalu. Widząc wychodzącego odrzekła za nim niewyraźnym głosem:

— Bądźcie zdrowi tatuniu! Bóg z wami.

Zakryła oczy rękoma i cicho było w izbie. Jędruch przeszedł się kilka razy po niej z zachmurzonym czołem. potem wszedł do komory i wyniosłszy siekiere poszedł do stodółki, gdzie właśnie naprawiał coś przy wozie, i nowe obciesywał sprychy.

Wasyl tymczasem szybkim krokiem przebiegł dziedzińczyk, i za wrotami zwrócił się do ścieżki, co szła pomiędzy opłotki ku górze. Nie oglądał się stary po za siebie, aby nie patrzeć na tę całą zagrodę, którą mu tak przykro było opuścić. Wolał spojrzeć na górę ku słońcu, aby się przekonać, jak wiele dnia ma jeszcze przed sobą. Słońce było już nad samym zachodem, i w same prawie oczy jego świeciło ostatnimi promieniami swemi, które przedłużone padały po przez drzewa, i odbijając się po małych okienkach chatek niskich, opromieniały się cudnie pięknem różowem światłem. Sporym krokiem szedł Wasyl po ścieżce, a oczy w ziemię spuścił, aby się ani na bok nie popatrzeć, ani po za siebie. Czuł to, że gdyby się tylko popatrzył, i ujrzał to wszystko tak dobrze sobie znajome, toby mu już zabrakło odwagi. A Bóg widział najlepiej, jak się stary Wasyl długo zbierał na tę odwagę, by w ostatniej chwili nie zawstydić się płaczem przed Jędruchem.

Ścieżka pięła się coraz wyżej pomiędzy płoty, sady i chaty, aż nagle gdy się już na najwyższy wydrapał pagórek, zawróciła się, i zieloną miedzą pomiędzy zasiane zbożem role przechodząc, łączyła się z drogą, co wiodła do bliskiego miasteczka Hostowa. I tam właśnie między ścieżką a zielonemi polami na małym pagórku stał prosty krzyż drewniany, o którym różne rozpowiadano stare rzeczy.



Nie ma wioski żadnej może, w którejby nie łączyły się do takiego krzyża jakie stare podania. Otóż i o tym krzyżu za wsią, na Petrowem polu, jak się to miejsce od wieku nazywało, różne krążyły podania. Jedni mówili po prostu, że krzyż ten postawiono przed wiekami na pamiątkę jakiegoś jubileuszu, a drudzy utrzymywali, że dawno temu bardzo te wszystkie pola i role należały do jakiegoś Petra, który był taki złośnik, jakiego jeszcze nigdy nie bywało, ani przed tem, ani potem. Ten Petro miał żonę, kobietę nieszczęśliwą, którą katował i bił jak psa od rana do wieczora; otóż Petrowa jak raz z chaty wybiegła, już więcej nie wróciła, i dopiero ją ludzie znaleźli powieszoną na sporym dębczaku, co stał sobie samotny na polu Petrowem. I prawda, że za krzyżem stał dębczak zielony i rozłożysty, który Bóg wie jakim sposobem sam jeden dostał się na środek prawie roli pustej i nagiej. Po śmierci tedy żony Petro się opamiętał, i z wielkiego żalu za nieboszczką powiesił się na tem samem drzewie, a gromada na pamiątkę tego zdarzenia wystawić miała ten krzyż.

Wasył zbliżywszy się do tego krzyża, ogromną uczuł chętkę, obrócić się, aby się raz jeszcze przypatrzeć rodzinnej wiosce. I prawda, że z żadnego miejsca tak pięknie się nie wydawała cała Zawalnia, jak od Petrowego krzyża. I stanąwszy na mogiłce pod krzyżem, odwrócił się, ale nie miał czasu popatrzeć się, bo ledwie podniósł oczy, postrzegł z za dębczaka wychodzących: dziewczka, niemowę i Jurka trzymającego Marynkę za rękę. Więc tylko kaleka, niemowa i dwoje dzieci znaleźli się w całej wsi, co chcieli pożegnać biednego starego Wasyła, który cały swój wiek przepędził w tej wiosce, i przez długie lata był szanowanym powszechnie gospodarzem. Tak bywa na całym świecie; tak z ludźmi jak z sprzętami, póty je szanują, póki są na coś przydatne i użyteczne; natury ludzkiej nie zmienić!

Co nie zrobiło pożegnanie z chatą własną, to zrobił widok tych czworga ludzi, co tam czekali, aby go pożegnać; łyzy gwałtem cisnęły się do oczów Wasyłowi, i nawet nie wstrzymywał ich, bo przed dobrymi ludźmi niema się czego wstydzić; sercem najłatwiej serce zrozumieć. Wyciągnął Wasył ręce i wszystko czworo rzucito się ku niemu, i we wszystkich oczach zaświeciły się łzy, prawdziwie drogie kamienie, bo się cudnie lśniły przy odbijających się w nich promieniach słońca zachodzącego.

Niemowa pierwsza pociągnęła starego za rękaw, i wyjąwszy z za pazuchy kawałek czarnego chleba, podała mu go ukradkiem. Biedna niemowa oddała, co tylko dać mogła; ten kawałek chleba był jej całodziennem może pożywieniem.

A dziaćek pociągnął Wasyła za drugi rękaw, i dobywszy z za kapoty jakiś małeńki zwitek szmatką obleczony, po cichu wśliznął mu go do ręki, a do ucha szepnął:

— To od Dobrodzieja.

Wasył spojrzął mu w oczy, i mimo łez uśmiechnąć się musiał, gdy zobaczył jak dziaćek odwracał oczy. Dobrze Wasył odgadł od razu pocziwe serce dziaćka. Nie od księdza był ten zwitek, ale sam dziaćek miał tam w kuferku od dawna zawiniętych w starą

szmatę parę srebrniaczków, i przyniósł je, by dać staremu Wasylowi na drogę.

A Jurko spuścił oczy i zawstydził się jakby młoda dziewczynka a całując Wasyla w rękę, wepchnął mu do niej mały nożyk, w świecąca blachę osadzony. To było Jurka całe mienie i cała jego rozkosz, bo już nie raz tym nożykiem wystrugał jaką figurkę niekształtną, patyczek, albo dudkę nawet dla siebie; a co mu było jeszcze milej, dla Marynki. A przecie dawał Jurko z całego serca, i gdy się Wasyl nachylił, powiedział mu na ucho:

— Ostry ojcie! będzie dobrze chleb nim krajać.

Marynka przez cały ten czas to płakała, to się znowu uśmiechała, a rączki wyciągała do starego. To też widząc, że się Wasyl schylił do Jurka, uchwyciła się co prędzej jego szyi, tak że Wasyl gdy się podniósł i ją musiał podnieść z sobą. I dziecko nie wiele rozumiejące jeszcze, ale mające już poczciwe po matce serduszko, płacząc zaczęło ścisnąć i całować starego.

— Dziadziu! — szepnęła z cicha — jak kochacie Marynkę, to weźmiecie.

I wrzuciła mu za pazuchę maleńki krzyżyk mosiężny, co go była od Dobrodzieja dostała. Poczciwe dziecko! dawało także z całego serca, choć tym krzyżykiem nie mało się nacieszyła, i nawet dumną nim była, raz że taki piękny i świecący, a potem że go od samego księdza dostała.

Wasyl stary dłużej nie mógł wytrzymać, lzy mu się ciurkiem puściły, i biedak jak dziecko zabeczał na cały głos; a gdy się nieco utulił, przycisnąwszy dzieci do siebie, tak się do wszystkich odezwał:

— Przyjmuję od was, bo wiem, że mi z serca dajecie. Niech wam Bóg nagrodzi, żeście starego nie zapomnieli i ostudzili mu to pożegnanie. Pieniądze twoje dziaczkę zachowam póki będę mógł, chyba że mnie słabość przymusi je naruszyć. Twój krzyżyk Marynko nosić będę na piersi, póki tylko niemi dychać nie przestanę. Twoim nożykiem Jurko krajać będę każdy kawałek chleba, jaki tylko do ust wezmę. A twój kawałek chleba poczciwa niemowo!...

Tu przerwał mowę, i nożykiem Jurka pokrajawszy ów kęs na pięć kawałków, wziął sobie jeden, a cztery rozdawszy, dodał ze łzami, które padały jak groch duży na ten chleb czarny:

— Zjedzmy na pożegnanie, aby nam wszystkim szczęście przyniósł.

I wszyscy zjedli ten chleb w milczeniu tak uroczystem i z takim nabożeństwem, jakby się w kościele dzielili Bożym chlebem.

Takie było ich pożegnanie przy Petrowem krzyżu, przy świetle zachodzącego słońca. I raz tylko jeszcze spojrzął Wasyl na wieś, która nigdy mu się tak piękną nie wydała. Potem odchodząc już, wziął dziaczkę na bok i powiedział mu:

— A uważajcie tam na biednego Jurka. Ja jego kocham jak syna. Niech mu Jędruch krzywdy nie robi, bo w takim razie!... — Tu tak popatrzył groźnie, że przestraszony dziaczek przerwał mu co prędzej mówiąc:



— Dobrze panie Bazyli, ja będę o nim pamiętał, ale na miłość Boga nie miejcie złych myśli.

— Bóg widzi, że nie chciałbym je mieć, i jak mogę odpędzam złego ducha, co mnie kusi, ale niech się strzeże Jędruch, by go sam na mnie i na siebie nie wywołał.

To rzekłszy szybkim krokiem skoczył na miedzę, i znikł za pagórkami.

Dziaczek i wszyscy za nim, ukłękli przy krzyżu, by zmówić modlitewkę za odchodzącym, i smutni w milczeniu wrócili do wioski.

## VIII.

Stara to prawda, że czas i woda płynie bez ustanku i płyną szybko, choć tego oko ludzkie nie widzi i nie uważa. Jak kropla po kropli w strumieniu czy rzece, tak chwila po chwili, godzina po godzinie w życiu ludzkim pędzą napród niepostrzeżone i nierachowane; ale w końcu rzeka wpadnie w morze bezgraniczne, a życie ludzkie w to morze zagrobowe, co się zwie wiecznością. I czy bystrzejszym czy leniwszym gonią pędem, po przestrzeni dopiero, którą płynęła rzeka i biegło życie, porachować można odległość od źródła aż do morza, od kolebki aż do grobu.

Nie nowina to: niejeden to przedemną powiedział, i ja sam podobno nie raz i nie dwa powtórzyłem tę starą jak świat piosnkę o ubiegającym czasie. Równie jak w pałacu bogacza, tak i w chacie ubogiego wieśniaka znana jest ta chyżość czasu; i prędzej nawet zda się płynąć pracowitemu chłopkowi, jakkolwiek każda życia jego godzina wlece się na pozór powolną, bo obciążoną nieustającą nigdy pracą.

Otóż i w Zawalni mnogie przepłynęły lata od onej chwili, gdy biedny Wasyl wypędzony przez Jędrucha, puścił się w świat z żebraczemi torbami. Minęło od tego czasu lat przeszło dziesięć, które opisywać wam szczegółowo nie myślę. Jedni pomarli, drudzy porodzili się; dzwon cerkiewki prześpiewał nie jedną nutę żalobną czy weselną, ale się przez to we wsi się nie zmieniło. Sady, łąki i gaje zieleniły się jak dawniej, i jak dawniej płynęła rzeczulka ciągle zywą wodą, poważne bociany przechadzali się po szerokim wygonie, a ponad pola kwiatami zasłane, skowronki spiewały swe nuty wesołe, które zdają się być dziękczynnem pieniem ziemi za dary nieba. I w życiu tych osób, jakie wprowadziłem do obrazku mego, nic się nie zmieniło. Jedni postarzeliz się, drudzy wyrosli; jednym przybyło nieco zmarszczków i włosów siwych; drugim wdzięków i urody: ot i wszystko.

A więc tedy po latach przeszło dziesięciu, wracamy do Zawalni, aby zobaczyć co się dzieje z Jędruchem i jego rodziną, co z sędziwym dobrodziejem i z dziaczką pocziwym, co nareście z naszą biedną niemową. Lecz tym razem wprowadzę was w inne miejsce, gdzie dotąd nie byliśmy jeszcze.

Po tej samej stronie, gdzie była chata Jędrucha, na samym końcu wioski oddalona nieco od drugich, stała na pół zawalona chalupa. Wszystko koło niej było zaniedbane, znać dawno w niej zapobiegliwego nie było gospodarza. Chata ta lepsze musiała pamiętać czasy, bo i obejście było obszerne, i otaczał ją sad niemały; ale jedna połowa chaty zawaliła się i sterczała tylko popękaniem ścianami, płot otaczający zagrodę poupadał, a sad zdziczał zielkiem i pokrzywą zarósł. Komin dawniej murowany, gruzem przysiadł do strzechy rozczochranej i łysej potrosze, jak się to nieraz daje widzieć na głowie zaniedbanej starca. I wszedłszy do środka, to samo zewsząd wyszczerzało się zaniedbanie; zewsząd wyglądała nędza. Jedna tylko była izba zamieszkała, której ściany dawno nie bielone, wilgoć pomnażały brudno ciemnymi barwami. Okna po większej części powybijane, szmatami były pozapychane, piec nawet zamazany mnogimi poprawkami, popękany i podziurawiony, pochylił się na jeden bok i co chwila zdawał się grozić upadkiem. I graty w izbie zdradzały ubóstwo i niedostatek; stół niewielki, co się ledwie na trzech krzwyłych trzymał nogach, parę ławek chropawych równie niepewnych jak stary stół, i parę deszczek na czterech kijach w ziemię wbitych zasłanych słomą i podartą werciną miasto postania! to było całe biednej izby przystrojenie.

A chata ta była przecie własnością jednego z najbogatszych wieśniaków wsi Zawalni; była to chata naszego Jędrucha Hładysza, o której już mimochodem wspominaliśmy. Ale że ma była nieprzydatna, bo zamieszkał inną dogodniejszą, bo bliższą środka wsi położoną, a o starą chatę nie dbał, choć to była jego chata rodzinna, i gniazdo niejako całej rodziny Hładyszów. Tak to bywa często jak u możnych tak i u niskich, że to tylko troskliwie pielęgnują, co im wyraźny przynosi pożytek; a pamiątki bezużyteczne zaniedbują wcale. Dla tej to podobno przyczyny, gdy zjedziesz kawał świata, to się przekonasz i po miastach i po wsiach, że więcej jest pysznych domów i pałaców, niżeli starannie utrzymywanych cmentarzy, bo dom można podzielić na pokoje i za grubego pieniądze oddając pojedynczo; a do cmentarza wynoszą się nieużyteczne już trupy, pamiątki przeszłości, która się na nic nie przyda, bo nie wróci więcej.

To nieszanowanie dawnego gniazda wypływało bardzo naturalnie z usposobienia Jędruchowego. Jego głupia duma oto tylko dbała, aby pozornie błyszczyć pomiędzy swymi równymi i dla tego nad potrzebęłożył mimo wrodzonego skąpstwa na przystrojenie chaty, w której mieszkał jak to już mówiliśmy, opisując pyszne wrota wjezdne. A co tu nadto wyłożył, to odbijał niejako skąpiąc na utrzymanie starej chaty; a nie miał tyle w piersi gorącego czucia, by potrafił mieć jakie przywiązanie do chaty ojców swoich; ba nawet nie rozumiał, jak go nisko w oczach lepszych ludzi stawał ten brak pamiętania. A przecie nie jeden ze starszych ludzi, co to dawne pamiętali czasy, gdy przechodził koło tej starej chaty Jędruchowej, co ją dotąd Hładyszową zwano, przypomniawszy sobie dawniejsze jej wyglądanie, smutnie kiwnął głową, i mruknął pod nosem niezbyt pochlebne zdanie o jej terażniejszym właścicielu. Jędruch zaś, któremu



jak go już poznaliśmy w każdej rzeczy, szło nie o prawdę, ale o pozór, mawiał nieraz z tego powodu:

— Jabyłm już dawno rozebrał starą chatę, bo mi coś przykro patrzeć, jak się już ta starzyzna wali, i potem mnie się ona na nic nie przyda, chyba że mnie jeszcze na niepotrzebne wyprowadzi wydatki. Ale cóż mam robić! nie chcę wypędzić starej Orpyny, co tam zamieszkała. Niech sobie mieszka starucha póki żyje.

Słowa te były kłamliwe w gruncie. Mieszkała tam wprawdzie stara Orpyna, ale nie darmo, jak się niby domyślać należało ze słów Jędrucha. Ona za komorne musiała dzień i noc prawie przez rok cały prażyć dla Jędrucha, tak że jej ledwie starczyło czasu okopać i zasiać parę grządek za chatą dla własnej potrzeby. A przecież ta Orpyna była Jędruchowi po rodzonym ojcu, bo po siostrze ojcowskiej bardzo bliską krewną. I jakim on dla niej był dobrodziejem to później się jeszcze dowiemy. Szczęście to było prawdziwe dla Orpyny. że litością uwiedziona przyjęła do chaty, jak to już wam powiedziałem biedną niemowę, bo ta jej pomagała rzetelnie we wszystkim w domu i za domem pracowała nieraz gorzko, aby starej i schorowanej kobiecie przynieść jaki taki zarobek, który się im obu nadawał bardzo na to ich biedne utrzymanie.

Otóż jak już mówiłem, wprowadzłm was kochani czytelnicy do tej chaty po latach przeszło dziesięciu. Był to znowu dzień wiosenny, ale się jakoś na niebie zaciągnęło, i padał ciepły a gęsty deszczyk, prawdziwe błogosławieństwo na zasiewy ozime. Miało się już ku wieczorowi, chociaż ze dwie godziny brakowało do zachodu, w izbie ciemno było prawie, do czego prócz mocno zachmurzonego nieba przykładał się najwięcej brak szyb u okien zastąpionych szmatami. Mimo ciemności siedziała stara Orpyna przy jednej szybie, co się została, i szybko a pilnie przedła cienkie i równe nitki z grubo nałożonych pakoszków, furcząc wrzecionem. Była to kobiecina niewielkiego wzrostu a tak chuda, wyschnięta, żółta i pomarszczona na twarzy, że się daleko starszą wydawała, niżeli nią była w istocie. Nie lata temu były winne, ale jak to mówią tarapata; bo już to biedna Orpyna nie zaznała szczęścia na tej ziemi. W oczach tylko jedynie znać było więcej życia bo oczy były młodsze od twarzy i chudogędnym i pocziwym. Aż żał ścisnął człowieka patrząc na te oczy barwy niebieskiej tak jasne i tak przezroczyste, że przez nie, zda się aż do głębi serca przejrzeć było można, żał ścisnął prawdziwy, widząc jak się poczerwieniły w około częścią przez pracę ciągłą, a częściej przez łzy może. I teraz nawet, choć zdawała się być zatopiona w pracy, niewymowny smutek wyglądał z jej oczów, a po drgających powiekach można się było domyśleć, że wszelkiemi siłami wstrzymuje łzy, co jej gwałtem się dobywają.

W drugim kącie izby, przy wałącym się piecu stała znana nam niemowa. Pilnowała ona ognia, który świeżo rozłożyła nakładając chrust nazbierany, i przy którym w skromnym garku miała się wazyć zapewne przystawiona wieczerza. Podmuchawszy ogień, który się jakoś zajmować nie chciał, odbiegała znowu do małej dzieżki,

w której miesiła ciemne jak ziemia ciasto razowe na chleb zapewne. Mimo podwójnego zajęcia zwracała się nieraz ku sztaruszcze wpatrując się pilnie w coraz smutniejszy wyraz oczu. Widać było, że postrzegła dobrze i rozumiała ten smutek starej Orpyny, bo mimowolnie wrywały się z jej piersi westchnienia, któremi jedynie mogła wytłumaczyć szczerze współczucie swoje. I nagle przyskoczyła niemowa do starej Orpyny, i niemogąc przemówić słowy, jak mogła najwymowniej przemówiła czulem i błagającym spojrzeniem, jakby ją prosiła, by się smutkowi tak bardzo nie poddawała. Orpyna znając pocziwe serce niemowy, zrozumiała to, bo pogłaskawszy ręką jej twarz brzydką, rzekła do niej głosem, który z chudych i zapadłych piersi dobywał się zachrypnięty i schorowany.

— Nie troskaj się o mnie pocziwa dziewczyno!... Mnie nic nie brakuje!...

Ale niemowa szybkim ruchem przyłożyła swe ręce do oczów, jakby staruszkę zapytać chciała, dla czego się łzy cisną do oczów.

— Ja nie płaczę, odpowiedziała stara. A może i lepiejby było, gdybym się wyplakała — mówiła po chwili dalej — bo może ze łzami spłynąłby ten ciężar, co dusi piersi moje jakimś mimowolnym przecuciem!...

Oczy niemowy przestraszone tak wyraźnie zapytały, że Orpyna dodała znowu:

— Tak moja biedna Haluńko!.. mam jakieś ciężkie przecucie!

Niemowa spojrzała w górę jakby do nieba po pociechę i po wiarę.

— Módlę się moje dziecko, modlę i przepraszam pana Boga za to przecucie, ale cóż robić!... kiedy go nie mogę z piersi mojej wymodlić. A me przecucia sam Bóg mi zesłał, abym się przygotowała łatwiej do jakiegoś nieprawdziwego nieszczęścia.

Nagle przerwała sobie staruszka i podniosłszy się, zdawała się słuchać czegoś.

— Czy słyszysz? — przemówiła, i upuściwszy wrzeciono, obie ręce przycisnęła do serca.

Biedna kobieta byłaby w tej chwili przysięgła, że się zbliża już do niej to przecute nieszczęście. I w rzeczy samej nie darmo natężyła oczy. Po zmoczonej ścieżce, co wiodła ode wsi, słychać było wyraźnie przyspieszone stąpanie bosych nóg. Obie kobiety milcząc z bijącym sercem patrzyły ku drzwom.

Nie jeden człowiek uczony wiele się zastanawiał i wiele pięknych spisał myśli, ale żaden jasno nie wytłumaczył, co to jest przecucie? i z kąd nieraz tak nagle przychodzi do spokojnego serca jakby chmurka, co ni ztąd ni zowąd wypłyne na pogodne niebo. A przecież każdy prawie człowiek doznał nieraz w życiu to ściśnienie nagłe w piersi, to uderzenie gwałtowne serca, które wyraźniej od słów najwymowniejszych powiada mu, że biegnie już ku niemu wieść jakaś nieszczęśliwa, lub smutne zbliża się zdarzenie. Tak i chmurka taka mała, taka jasna i przezroczysta, że przez nią błękitnie przebija niebo, nagle grubieje, żółknie i poczernieje i łyskawica przemknie, i gradem sypnie, i piorunem strzeli wśród dnia najpogodniejszego.



Zwykle to ludzie, co wiele już przecierpieli, podlegają takim nagłym przecuciom. I nic w tem dziwnego; bo w sercu, co już nieraz bolało, łatwiej obudzi się obawę niżeli nadzieję; a już tak zawsze bywa na świecie, że łatwiej o złe niżeli o dobre.

Drzwi chaty skrzypnęły, i wbiegł przez nie szybkim krokiem młody chłopak. Wysmukły to był chłopak, jasnooki i jasnowłosy, z twarzą urodziwą, chociaż mocno ogorzała, i ustami jak korał rumianemi, nad któremi miękki jeszcze i niewielki porastał wąsik jasny. W całym układzie twarzy, w oczach i na ustach odbijała się wyraźnie prawdziwa i niezem jeszcze niezspsuta poczciwość serca.

Na widok młodego chłopca krzyknęły obydwie kobiety jakby przestraszone, i poskoczyły ku niemu z trudnym do opisania wyrazem czulego przywiązania. I nie marna była przestraschu przyczyna, bo i z ruchów i z twarzy chłopaka poznać było można, że się coś stało niezwykłego i smutnego zarazem. Miał on płótniankę na sobie, a pod pachą małe zawiniątko, na kiju zaś, który trzymał jedną ręką, przez prawe ramię zawieszona była para butów. Na głowie miał kapeluszek słomiany, który gdy zdjął i rzucił na ławkę, obie kobiety jeszcze przeraźliwiej krzyknęły, bo przestrasch zmienił się w pewność. Biedny chłopak miał jedno oko podbite, a na czole bielszem od twarzy, wysokiem i gładkiem jakby płyta kamienna lub kawałek czystego papieru, były ślady ledwie co przyschniętej krwi i sińce poczerwieniałe, jakby od uderzenia niedawnego. Orpyna zrozumiała wszystko, przybiegła do chłopaka, porwała za głowę i przycisnęła ją do piersi z uczuciem, na jakie się tylko serce matki zdobyć może, i długo wstrzymywane łzy jak groch duże, a rześiste jak ten deszcz na dworze, padały na jasne włosy i zbolałe czoło młodego chłopaka. Aż mu się łzej zrobiło, bo łzy kochającej matki dla przywiązania dziecka mają siłę uzdrawiającą, co pocieszy i wyleczy. Niemowa stała koło nich z załamanemi rękami; oczy tylko zaszły łzami gadały za nią.

— Synu! synu! mój ty Jurku! — mówiła matka przerywanym głosem.

Był to w rzeczy samej ów znajomy nam Jurko, który u Jędrucha służył za poganiacza i parobka, a który z chłopca i pacholęcia wyrósł przez lat dziesięć na dorodnego młodzieńca, liczącego już przeszło lat dwadzieścia.

Jurko nie mógł zaraz matce odpowiedzieć, bo mu przeszkadzały łzy które mu się także puściły, i wołał w pierwszej chwili odcałować kochaną matkę.

— Wygonił mnie z domu! — wyrzekł wreszcie chłopak — obiwszy wprzód, i powiedział, abym się mu nigdy nie pokazywał na oczy.

— Wygonił! obił!.. za cóż?.. — zawołała matka, a oczy jej zaiskrzyły się niezwykłym gniewem.

I niemowa wydała krzyk gniewu i oburzenia przeraźliwy.

Jurko zaraz nie odpowiedział, ale oczy spuścił w dół, i mocno się zarumienił. Wszakże była to zapewno dostateczna odpowiedź dla matki, która zrozumiała to spuszczenie oczów i ten rumieniec; to

też copędzej porwała znowu syna za głowę i jeła go ścisnąć, całowac i pieścić jakby małe dziecko.

— Rozumiem!... rozumiem! — rzekła po chwili. — Dumny, niepoczciwy człowiek! — dodała. Czemu on tak dmie, cóż on lepszego od ciebie? że nie masz własnej zagrody, ani własnego pola? ale za to masz pracowite ręce i poczciwe serce.

— U niego tylko dostatki coś warte!

Niemowa poszła tymczasem nazad do swej roboty, i zdawała się być nią zajęta, ale ktoby się był uważniej w nią patrzył, byłby dostrzegł w oczach wyraz tak groźny i tak złowrogi, że zaprawdę można się było przestraszyć; usta zaś zacisnęła z całej siły, jakby się bała, by krzykiem gwałtownym nie zdradzała tego gniewu, co w jej piersi kipiał na dawno znienawidzonego Jędrucha.

— A Marynka? — zapytała nagle matka.

— Marynka! — w pół cichym głosem ozwał się Jurko, i dokończył aż nadto wyrazistem westchnieniem.

— Marynka jest tu! — ozwał się niespodzianie głos pełny i dźwięczny tuż za nimi.

We drzwiach, które wchodzący Jurko zostawił otwarte, stała dziewczyna młodzianka a tak już piękna, że bez przesady można ją było porównać, jak to już niejednen powiedział poeta, co miłośne układał wiersze, do rumianej zorzy, gdy wschodzi na niebie. Mimo wieku bardzo jeszcze młodzianckiego, bo ledwie jej minęło lat szesnaście, Marynka Hładyszowa wyrosła wysmukła, piękna i zgrabna jakby biała brzołka w gaju; i jak u brzozy długie ku ziemi spadające gałęzie, tak u niej spływały z głowy włosy, w długie i grube kosy splecione. I nie darmo mówiłem, że do zorzy była podobna, bo na jej ślicznej główce schodziły się te wszystkie najpiękniejsze barwy, które rozchodzą się po niebie przed wschodem słońca. Na liczku białszym od najbłedszego obłoczka, co się nieraz przed świtem jakby mgła unosi na wschodzie, był rumieniec tak krasny jak różowe zaranie na niebie; a błękit czysty na niebie, to były jej oczy jasne; a żywe ich spojrzenie i jasne połyskujące na głowie włosy, to prawdziwe promyki, co różową zorzę złotemi oświecają rąbkami. Tak była piękna, że choć była w zwykłym stroju podolskiej wieśniaczki, każdy kto ją zobaczył, ledwie nie uwierzył, że to tylko przebranie. Bo już to zwykle między ludźmi taki panuje przesąd, że piękność należy tylko do pomieszkań bogatych, a prostego ludu nie może być własnością. Tymczasem kto zna nasz kraj, kto przewędrował z uwagą serca i myśli nasze Podole, Wołyń, Ukrainę, przyzna, że często zdarzyło mu się zdybać prawdziwe piękności i pomiędzy córkami ludu, jakich w innych krajach niema. Prawda że piękne jak zorza wdzięki ich, mijają równie prędko jak zorza; bo je skwar słońca wypali, praca zaś i niedostatek pokurczy, pokrzywi i poniszczy.

Mógłbym jeszcze opisując Marynkę podać słów kilka o jej ślicznych i niezwykle małych ustach; lecz tuż się otwierają te usteczka czerwone jak kwiat dzikiej róży, od których jeszcze cudnie odbijają drobne a bielsze od kości najbielszej zębki. Postuchajmy, co będzie



mówić a dowiemy się może, czy i serce Marynki tak jest piękne, jak jej cała powierzchowność.

— Marynka jest tu! — powtórzyła dziewczyna wchodząc do izby, i choć w tej chwili twarz jej była zasmucona, na usta wybiegł uśmiech, który ją rozweselił, jakby promień słońca, co się z za czarnych wydobędzie chmur.

Wszyscy krzyknęli pełni zadziwienia. Najwięcej zadziwionym był Jurko, i pół przestraszony jeszcze, a pół uśmiechnięty i uradowany widokiem lubej, przyskoczył do niej, porwał za rękę, i rzekł do niej czułym głosem:

— Ty tu Marynko?... co to znaczy? jakim sposobem mogłaś się wyrwać z domu? — Mówiąc to chłopak, mimo wielu przyczyn do niepokoju, uśmiechnął się radośnie.

— Ojciec poszli do karczmy — odpowiedziała dziewczyna — bo się tam miała zejść starszyczna, co to ma radzić o wyborze nowego wójta. Jak się macie, matko? — dodała, i przybiegłszy do starej Orpyny, pocałowała ją w rękę z uszanowaniem. Potem zwróciła się do niemowy, przywitała ją tak serdecznym i przyjaznym uściskiem, aż się rozjaśniała choć na chwilę zachmurzona jej twarz.

Stara Orpyna pocałowała dziewczkę w czoło, i mimowolnie uśmiechnięta powtórzyła jej słowa ostatnie:

— Matko!... Daj Boże! — dodała w pół cicho.

Otoż ja przybiegłam na chwileczkę, bo mi serce ledwie nie pękło z żalu, widząc jak ojciec wybili i wypędzili biednego Jurka.

— I dla czego? — zagadła Orpyna z pół uśmiechem.

— Dla czego! — odrzekła dziewczyna cichszym głosem i zarumieniła się cała aż pod same oczy i po uszy jak to mówią. — Dla czego! — powtórzyła i śmieiej podnosząc oczy dodała z całą szczerą naiwnością niezepsutej dziewczyny: — Bo my się kochamy z Jurkiem oboje!

W tych słowach były zamknięte wszystkie dzieje tej młodej pary. Kochali się odkąd się znali, kochali się od dzieciństwa, kochali pierwiej jeszcze niżeli zrozumieć mogli, co to jest miłość prawdziwa; niżeli zdołali rozróżnić miłość rodzinną brata i siostry, od miłości stokroć silniejszej i gorętszej, jaka łączy serca dwojga kochanków. Do tego serdecznego przywiązania tak się od małych dzieci przyzwyczaili, jak się nauczyli mówić i chodzić, bez myśli i bez zastanowienia się nad tem. Aniby też pojąć byli w stanie, jakby się obejść mogli bez tej miłości, i żyć nie kochając się wzajem całą duszą.

Pierwszy raz głębiej zastanowili się nad przywiązaniem swoim, gdy razu jednego w cerkiewce rodzinnej widzieli obrządek ślubny jednej młodej pary im obojgu znajomej. Wychodząc z cerkwi w jednej chwili spojrzeli na siebie wzrokiem naiwnie niewinnym, i lekko zarumienieni choć sami nie wiedzieli dla czego, rzekli do siebie z czułym uśmiechem:

— I my tak kiedyś będziemy wychodzić z cerkwi.

Na te słowa serca uderzyły im żywiej, i od tej chwili uważali siebie jako zaręczonych już na całe życie. Wydało im się zaś to zu-

pełnie naturalnem, ani też wątpili o przyszłości swojej. Nawet im na myśl nie przyszło, aby mogły zajść jakie trudności. Wprawdzie Jurek nie miał własnej chałupy, ale miał ręce pracowite, miał zdrowie i taką poczciwą pilność, że sam Jędruch przyznawał to sam przed sobą i przed drugim nawet, że na Jurka może się spuścić jak na siebie samego. Cóż mógł mieć Jędruch naprzeciw takiego zięcia, który był nawet jego krewniakiem? Czyż to pierwszyna, żeby pracowity parobek zenił się z córką gospodarza? W życiu naszych wieśniaków pracowitość to większa część mienia; chałupę ogień spali, grad wytłucze pola zbożem zasiane, pomorek zabierze bydełko, ale jeżeli człowiekowi zostanie zdrowie i chęć szczerą do pracy, wnet sobie i chatę odbuduje, i bydełko sprawi, i pola swe na nowo obrobi. Z całą tedy ufnością zwierzyli się najprzód młodzi samej Jędruchowej, która serdecznie ukochała poczciwego Jurka. Jędruchowa z razu mocno się ucieszyła, bo lepszego nie życzyła sobie zięcia, lecz później, gdy zaczęła rozmyślać nad usposobieniem swego męża, wielkie miała powątpiewanie. Radziła zatem młodym, aby jeszcze cierpliwie czekali, póki ona nie znajdzie sposobnej pory, w której przymówiłaby do ojca.

— Starajcie się, aby się ojciec przed czasem nie dowiedział o niczem — mówiła do nich.

Na cierpliwości młodym nie brakowało, bo nasz chłopiec od dziecka nawyka do wielkiej cierpliwości; to jego największa cnota, bo cnota z potrzeby. Ale ostrożność dla kochanków czy w pałacu czy w chacie, to najtrudniejsza cnota. To też zdarzyło się razu jednego, że Jędruch nie domyślając się niczego, zeszedł kochanków, jak z sobą rozmawiali w szczerości serca o swoim kochaniu i o swojej przyszłości. Znając usposobienie dumne Jędrucha, łatwo pojmicie, w jaki gniew wpadł on wściekły. Darmo się wdawa w to Jędruchowa; żonę okrutnie wyburczał, córce różgami pogroził, jak sobie tej głupiej miłości nie wybije z głowy, a Jurka obił i z domu wypędził.

— Taki hołysz ma być zięciem moim — krzyczał zawzięcie. -- Nigdy! nigdy! wolałbym, żeby moja córka w grobie była. Taki hołysz śmie starać się o rękę najbogatszej może we wsi dziewczyny, córki mojej, który będę może wójtem.

I tem się więcej gniewał, im mu w duszy było przykrzej, że się musi obejść teraz bez tak pracowitego parobka. Ale nawet względ na własną korzyść nie zdołał przełamać śmiesznej jego dumy.

— Bo my się kochamy — mówiła dalej dziewczyna do Orpyny — i nigdy kochać nie przystaniemy. Nieprawdaż Jurku?..

— Póki żywi będziemy! — odpowiedział Jurko, i uściskał kochaną Marynkę.

A matka przycisnęła ich oboje do serca swego, i wszyscy popłakali się; nawet niemowa biedna, która nigdy nie wiedziała, co to kochać i być kochaną, zawodziła głośnym płaczem. Ale choć rozczulona, pięściami groziła w tę stronę, gdzie stała chata Jędruchowa, tym sposobem tłumacząc złość swoją na niego.

— Otóż przybiegłam do was matko i do ciebie mój biedny Jurku na chwileczkę, aby ci powiedzieć, że choćby mnie ojciec miał



zabić, i choćbym sama miała sobie śmierć zadać, nie przestanę ciebie kochać, i innego nie będę żoną. — Gdy to mówiła, jeszcze była słiczniejsza zapalem szczerym, który się jej rumienił na twarzy, a z oczów cudnie błyskał. I miejmy nadzieję — mówiła dalej Marynka. — Matka korzystając z wolnej chwili, gdy ojciec poszedł na naradę do karczmy, pobiegła do dobrodzieja i do dziedzica, by się za nami wstawił.

Orpyna jako stara i do nieszczęść przyzwyczajona, nieznacznie pokiwała głową, na znak powątpiewania. Ale młodym najłatwiej o nadzieję; bo też wnet pocieszyli się, i jeszcze długą chwilę gawędzili między sobą śmiejąc się, żartując, i cudowne sobie rojąc szczęście w przyszłości, gdy już będą na wieki połączeni. Daj Boże aby się im biedakom ziściło to piękne rojenie.

— Czas mi biedz do domu! — ozwała się nareszcie Marynka; już się zmierzchać zaczyna.

Jeszcze chwileczkę pogwarzyli jedną i drugą; i już się ciemno robiło, gdy Maryna pożegnawszy Orpynę wybiegła z chaty lekkim jak łania krokiem; Jurko wyszedł także, by ją choć troszeczkę odprowadzić.

Obie kobiety wróciły do roboty, i przez długą chwilę zupełnie trwało milczenie. Orpyna modliła się w duszy za szczęściem syna; niemowa mruzczała gniewnie pod nosem, przekleństa zapewne na dumnego Jędrucha.

Nagle ozwał się zdala głos jakiś, podobny zupełnie do nawoływania przepiórki, ale dziwnie jakoś przeciągły i donośny. Orpyna nie zważała nawet na ten głos, ale niemowa podniosła głowę i wyteżyła oczy i uszy naprzód z nadzwyczajną uwagą. Głos przepiórki po krótkiej chwili ozwał się po raz drugi, bliższy i donośniejszy. Orpyna podniosła wprawdzie głowę, ale zanadto była zamysłona, by się dłużej nad tym głosem zastanowić chciała. Nie tak niemowa; ta bowiem obejrzała się, a widząc, że Orpyna zajęta robotą, co prędzej obtarła ręce ciastem zamazane i zaczęła się kręcić po izbie, jakby czego szukała. I znowu po raz trzeci ozwał się głos przepiórki, ale tak blisko, jak gdyby przepióreczka tuż za drzwiami śpiewała.

— Czy słyszysz! — zagadła tym razem Orpyna zdziwiona nieco. — Zkąd się wzięła przepiórka tak blisko chaty?

Lecz posłuchawszy chwilę, gdy się już więcej nic nie ozwało, wróciła nazad rękami do roboty, a myślami do tych na pół smutnych na pół weselných nieco rojeń o przyszłości syna. Niemowa tymczasem wyjęła z za pieca jakąś wercinę, i pokręciwszy się jeszcze trochę, poszła ku drzwiom.

— Gdzie idziesz o tej porze? — zapytała Orpyna z niejakim zdziwieniem.

Niemowa pokazała jej na migi, że zabrakło chrustu, i że idzie go nazbierać przy połamanych opłotkach, i wybiegła co prędzej. Orpyna nadto była zajęta myślami swemi, aby się nawet zastanowiła nad tem powiedzeniem.

Młodzi kochankowie biegli tymczasem, trzymając się za ręce,

i nawet nie mówili do siebie, bo obojgu za nadto było pełno i w myśli i w sercu. Większą połowę przebywszy drogi prowadzącej do chaty Jędruchowej, rozeszli się, pożegnawszy się czułym słowem i jeszcze czulszym uściskiem.

Jurko wracał do domu wolniejszym już krokiem i nieraz się obzierał, póki mógł tylko zajrzeć jeszcze przemykającą pomiędzy opłotki postać kochanej Maryny. Póki ją widział, jakoś mu było weselej, ale teraz, gdy już sam został, ścisnęło mu się serce boleśnie; nadzieje obudzone słowami kochanki wydały mu się coraz niepewniejsze, i mimowolna obawa drżała mu w piersiach. W tej właśnie chwili usłyszał pierwsze ozwanie się przepiórki, które go nie uderzyło, lecz przy drugim podniósł spuszczone ku ziemi czoło i zaczął się przysłuchiwać z niejakiem zadziwieniem. Gdy się głos przepiórki ozwał po raz trzeci, stanął Jurko jak wryty, i zaczął się rozglądać na wszystkie strony. Za nadto był przyzwyczajony do rozmaitych głosów, jakie się odzywają na polach i łąkach naszych, aby nie poznał od razu, że to nie głos prawdziwej przepiórki, ale naśladowany przez człowieka.

— To jakiś znak! — mruknął sam do siebie, i co prędzej dziwnem przecuciem gnany, pogonił w tę stronę, z kąd się głos przepiórki ozwał po raz ostatni.

O kilka kroków od starej zawalonej chaty, stały trzy stare wierzby na pół uschnięte. Ztamtąd to zdało się Jurkowi, że ozwał się głos przepiórki ostatni, tam więc zszedł milczkiem i chyłkiem. Gdy już schowany za drzewa sadu sąsiedzkiego, które aż na ścieżkę wystawały, o kilka zbliżył się kroków, po za gałęzie wierzbowe aż ku ziemi nachylone mignęły mu się dwie postacie, które poznać z razu nie mógł. Lecz zasłyszał wyraźnie bystrem swem uchem słowa wyrzeczone z cicha:

— Jutro jak wszystko usnie, w starej pasiece... i przynieś. — Reszty nie dosłyszał, ale głos wydał mu się znajomy. Chciał się więcej jeszcze zbliżyć, lecz zatrzymał się, bo nagle jedna z tych postaci ludzkich mignęła mu się tylko i przepadła na ścieżce, która ztamtąd wąwozem w dół się spuszczała. Druga postać wyszła z po za wierzb, i idąc po pod płot przełamany, zaczęła zbierać suchy chrust rozrzucony wszędzie. Jurko poznał od razu niemowę i jeszcze się tem więcej zadziwił. Lecz kto był ten drugi, bo tyle zdawało mu się zrozumieć po głosie, że to był mężczyzna — na żaden sposób odgadnąć nie mógł.

Wróciwszy do chaty, udał, że nic nie wie, ale postanowił sobie pójść nazajutrz w nocy do starej pasieki. Dziwny jakiś niepokój opanovał go i nie dał mu spać całą noc. Nie mógł sobie wybić z głowy tej myśli, że ta nocna schadzka coś okropnego wróży.

## IX.

Teraz wypada nam zajść do karczmy, gdzie jak wiemy, miała się odbyć narada nad wyborem nowego wójta. Karczma jak to widzieliśmy, stała zaraz za groblą oparta prawie o ściany parowu. Powierzchności nie będę wam opisywał szczegółowo, bo taką była



jak zwykle: każdej karczmy w naszym kraju, wszystkie dobrze znane. Były oczywiście drewniane słupki na przedzie, z których dwa narożne szerzej od siebie rozstawione, stanowiły wjazd do stajni ciągnącej się przez całą długość karczmy. Zajazd ten wprawdzie był zupełnie bezużytecznym, bo karczma w Zawalni nie stała na takim trakcie, aby miewała gości popasających lub noclegujących. Za pamięci najstarszych ludzi we wsi, nie było takiego przypadku, aby kto do niej zajechał, i tylko w podaniu żyła wieść dawna o jakimś państwie bardzo bogatym, które nie tylko zajechało kilku powozami na nocleg do karczmy w Zawalni, ale bawili tam ze trzy dni dla przyczyn niewiadomych. Reb Mojsie, jak go nazywali we wsi, a właściwie Moszko Wolfowicz arendarz w Zawalni z ojca i dziada, nadwyczaj się szczyił tem podaniem, i opowiadając szeroko o tem państwie, dodawał zawsze, że jego ojcu Wolfowi Ickowiczowi opowiadało sam dziadek Moszko Icek Aronowicz, za którego czasów to wielkie zdarzenie miało miejsce, jako ci państwo tak długo dla tego bawili, że nie mogli się odjeść gugla i ryby nadziewanej, które to przysmaki Sura żona Icka umiała piec i przyrządzać jak nikt w świecie.

Może to i prawda była, ale w czasie, o którym mówimy, sam też Reb Mojsie musiał się już wyrzec nadziei, by się to tak świetnie dla jego karczmy zdarzenie powtórzyło kiedy, bo nawet przeciwną bramę wyjezdną zupełnie zatarasował zbożem, które tam składał, i przed którym był nawet mały toczek do mlócenia. Drugą połowę zaś stajni, odgrodziwszy od toku i gumna dziurawym płotkiem, przeznaczył Reb Mojsie na wszelkie domowe zwierzęta, które tam żyły razem w zgodzie potopowej, jak to było w onej arce Noego, co się jedna wyratowała, kiedy świat za grzechy jego został ukarany zupełnie. Prócz gęsi, kaczek i kur, krzątających się po błotnistym gnoju, który zapełniał tę część stajni karczemnej, były w osobnej zagrodce nigdy nie zamkniętej cieleta, a tuż koło nich trzy krówki nigdy nie przywiązanych, które też korzystając z tego, walały się po całej stajni, rozpedzając drób przestraszony i pożądlive wyciągając łby ku wabiącym snopom po drugiej stronie zagrody. Najpoważniejszym i najpocziwszym w tym zbiorze stworzeniem był koń, jedyny koń jakiego posiadał Reb Mojsie, i którym szczyliła się niepomalu cała Moszka rodzina. Już to dla tego że był spokojnym głównie, i że wiek wcale poważny i chudość niepospolita, nie pozwalały mu się ruszać bardzo żywo. Dodam jeszcze, że on jeden pomiędzy wszystkimi dwunożnymi i czworonożnymi stajni mieszkańcami, był przywiązany do żłobu. Może dodawały mu powagi dawnej świetności pamiętki, o których świadczyły jego wzrost niepospolity i kształt głowy wcale nie szpetny. Niejedne i ciekawe musiał on przechodzić koleje, zanim czy z miejskiego wierzchowca, czy powozowego konia, wożąc po kolei fiakrowe taradajki, gnój i cegły, zeszedł na żydowskiego konia. O pocziwości zaś jego najlepiej mogłyby świadczyć wszystkie kury Mojsiowe, które buszowały mu nieustannie pod nosem po żłobie, szukając zapomnianych ziarenek owsa. Do tej pocziwości przykładała się niemało i ta okoliczność, że hnidy

jak go i wieśniacy w Zawalni i własne Mojsiowe dziatki nazywali, że hnidu był zupełnie ślepy, bo na obie oczy i natrętnych gości nie miłą obecność oznajmiał zwykle tylko ruszaniem uszów i kiwaniem ogona, który powiedzmy dla uzupełnienia obrazku, wyglądał w skutek wieku i mnogich trudów podobniuteńki do starego wytartego futerka. Prócz tych żywych stworzeń była jeszcze w stajni mała bryczka o bokach obdartych, na kołach z których każde jak ich było cztery, innej były miary, zeszyły się bowiem z rozmaitych to wozów to wózków, stosownie do tego jak je gdzie wydurzył Reb Mojsie. Wózek też ten rzadko był używany, chyba na jaki jarmarczek ważniejszy i dalszy, bo Reb Mojsie nie lubił opuszczać Zawalni, w której miał dla siebie przez rok cały jarmark zyskowy: a potem żałując hnidego, bliższe podróże odbywał piechotą, a miał też nogi niepospolicie długie. Wózek też za to inne oddawał usługi, bo się nie tylko po nim przewracały bachory Mojsiowe, ale i nieraz można były słyszeć na nim kury gdakaniem głośnym zwiastujące, że się znieśli w słomie jego jakby w gnieździe. Bokiem do słupów od wjazdu postawionych, były drzwi prowadzące do samej karczmy.

Jej wnętrze, jak po wszystkich karczmach, składało się najprzód z wielkiej izby niebielonej nigdy i brudnej na oko; bo i po ścianach i po zakopczonej powale i po podłodze, wszędzie było kurzu, brudu, przyczem i błota co nie miara. Zresztą były dwa stoły długie przy dwóch ścianach, a za niemi i przed niemi ławki gładko wysiedziane, tu i owdzie kiwające się nieco. Był i piec ogromny z jeszcze większym przypiekiem i małą ławeczką przed nim, ulubionem siedzeniem w zimie. Była w kącie szafa drewniana krzywo stojąca dla braku czwartej nogi, zapełniona już to naczyniem glinianem, wyszczerbionem na wszystkie boki, już to rozmaitemi gratami, resztkami dawniejszych sprzętów, które tylko żyd potrafi schować i nawet zużytkować czasem. W drugim rogu od okna był zwykły wykrój w ścianie i szynkfas przed nią zapełniony brzuchatemi butelkami, kieliszkami i szklaneczkami różnej miary, a nareszcie różnej wielkości cynowemi miarami, w które nalewali trunki żyd czy żydówka szynkujący z alkierza. Nad ladą szynkwasu wbity był patyk przedarty środkiem, który wieczorem służył za świecznik. Koło szynkwasu były drzwi do alkierza, gdzie się mieściły łóżka i bety całej rodziny, i gdzie po drugiej stronie pieca była mała kuchenka. W samym kącie było dwoje drzwi; jedne w podłodze do piwnicy, drugie w ścianie prowadziły do jeszcze mniejszego alkierza ciemnego z zapyłonym okienkiem, zawalonego to worami to kupami rozmaitych jarzyn. Alkierzyk ten wszakże nie był składem jedynie. Ożywiały go najprzód mnogie myszy, z którymi bury kot na jednym worku zaczajony, nie mógł sobie dać rady, a prócz tego, pod okienkiem, stał stoliczek, kulawy i niemniej kulawych stolków para, co dowodziło, że i tu czasem zachodzili goście znakomitsi zapewne, albo może mający potrzebę tajemnego rozmówienia się z Moszkiem albo między sobą. Ludzie, co dobrze znali Moszka, powiadali nawet, że on w tym alkierzyku chowa pieniądze swoje, ale gdzie? to tego niktby nie zgadł, bo Moszko nie głupi; jeżeli schował, to nie do szufady, ale może



w wór z mąką, albo do dziezki między pierze, a może też i zakopał, bo w tym alkierzyku niema podłogi. To pewna, że tam nieraz się Moszko zamykał i po kilka godzin bawił. Ryfka jego żona wprowadzie mówiła, że się on tam modli, ale na to starsi ludzie kiwali głowami bardzo wątpliwie.

Jak tedy wygląda w karczmie Moszkowej, już wiemy jakbyśmy tam byli. Chyba już wam tylko powiem kilka słów o Moszku i jego żonie Ryfce. Co do powierzchowności, Moszko był sobie bardzo wysoki, ale tylko nogami, które miał tak długie, jak się zwykle u ludzi nie trafiają, reszta ciała była krótka, prócz nosa jednakże, który na chuderlawej i kościstej twarzy sterczał i wisiał bardzo długo, co mu dawało podobieństwo do ptaka. Oczy miał czarne niewielkie, ale tak żywe i ruchawe, jakby dwa świderki, któremi chciał się do każdego myśli najgłębszej doświrować. Pejsy miał także długie bardzo i czarniutkie równie jak włosy krótko obcięte pod jarmurką brudną i obdartą. Ryfka zaś mogłaby uchodzić za bardzo przystojną, gdyby nie jej otyłość niezwykła, i nie brudne zaniedbanie tak na twarzy, jak i w ubraniu obdartem. Rysy miała, jak to się u żydówek trafia, bardzo regularne, nieco pociągłe, cechując pochodzenie wschodnie; oczy były czarne wielkie i naprzód wydane, z wyrazem zaczajonej na każdą wiadomość ciekawości. Oboje byli jeszcze w sile wieku, chociaż już siedem bachorków rozmaitego wieku zaludniało alkierz, przypiecek i stajnię, ale to dziwić nie powinno, bo jak się to często u żydów trafia, Ryfka miała lat trzynaście a Moszko piętnaście, gdy się pobrali.

Tyle o ich powierzchowności. A do środka, któż był w stanie dobrze zajrzeć? We środku jak i po wierzchu u Moszka i Ryfki wyglądało wszystko po żydowsku. Jużciż oboje żadnego zarobku nie odrzucili, a jeżeli inaczej nie można było zarobić, to i okpili, gdy się udało. Okpić u żyda, to nie grzech przecie, byle sobie zaraz potem ręce obmył. Reb Mojsie był w tym względzie wielkim jak to mówią husytą: on się ściśle trzymał każdego swej zabobonnej religii przepisu, to też za nicby nie zapomniał obmyć ręce po każdym szachrajstwie, albo idąc do alkierza, nie dotknąć palcem przykazania na odrzwiach przybitego i nie wycmoknąć przytem pocałowania bezmyślnego. Prócz tych konieczności żydowskiej natury, Moszko nie był zupełnie złym człowiekiem, i różnił się o wiele od terazniejszych żydów, dla których nic nie ma świętego, choćby kogo ze skóry obdrzeć. Moszek należał do dawniejszego pokolenia żydowskiego na ziemi naszej, co to zupełnie bez szachrajstwa żyć nie mogli, ale mieli pewne przywiązanie i do ziemi, na której mieszkali, i do dziedziców wsi, w której od dziada pradziada arendę trzymali, i do chłopków nawet, którym przez kilka pokoleń szynkowali. Reb Mojsie urodził się w Zawalni, w większem mieście nigdy nie mieszkał, to też pozostał takim jakim był jego ojciec i dziad. Chłopków Zawalnickich lubił na prawdę, i oni go lubili. Nie wytrzymał zapewne, jeżeli mu się zdarzył handelek jaki z Iwanem, aby u niego tanio nie kupił, a drogo nie sprzedał, lub żeby gdy sobie Iwan jeden i drugi pohula, kredką nie przypisać kwaterki a nawet i kwarty jednej i drugiej. Ale jak Iwan do niego przyszedł w potrzebie, to mu pomógł napra-

wdę; i choć wziął zapewne procent większy, niż prawo przepisuje, ale go przecie taką nie obdarł lichwą, jak to jest dziś w zwyczaju. Trafiąco się nawet, że pożyczał czy zboże czy pieniądze bez procentu zupełnie, i w takim razie mówił najnawniej:

— No wiesz co Iwanie! ja nie chcę procentu! bo ty biedny! Ny! ja sy to na wódce jakoś odwetuję.

A kiedy mu raz dobrodziej powiedział z uśmiechem, że jego kredka jakoś więcej jak dubeltowo pisze, a to się przecie nie godzi.

— Proszę pana księdza dobrodzieja — odpowiedział żydek — ja ich chcę tym poprawić, aby tak dużo nie pili. Jak mały rachunek, to oni dalej piją, a jak wielki, to się poskrobia i przestają.

W rzeczy samej przy całym żydowskim szachrajstwie, Moszko miał w sobie rodzaj dobrodusznosci, i wielkiej niegodziwości nie byłby w stanie popełnić. A do Zawalnickich ludzi to miał nawet słabość wyraźną; byłby gotów bić się do upadłego, gdyby kto złe słowo na nich powiedział. Nawet zdarzyło się razu jednego, że jakiemuś wędrownemu krawcowi, choć był także żydem, tak tego gębę zamalował, aż mu wyleciało dwa zęby, których już potem biedny krawiec nie mógł przysztukować. A to za to, że krawiec dumny z doświadczeń, jakie nabył wędrując po świecie, powiedział na chłopów Zawalnickich, że dawno nie widział tak głupich gojów. I nie tylko dwa zęby stracił, ale Moszko odebrał mu stary żupan, co go miał łątać, i zaraz za drzwi wypędził.

Ryfka była także podobna do męża w tym względzie; ale przecie nieco gorsza od niego. Osobliwie zawzięcie była chciwą na motki, i w tej mierze baby Zawalnickie okpiwała okrutnie. Pożyczała im potajemnie pieniądze, a gdy przyszło do razrachunku, odbierała motkami i zaklinając się na wszystkie świętości żydowskie i chrześcijańskie tak zawsze umiała wyrachować, że biedne baby nic nie zrozumiały, że Ryfka motki darmo do domu znosiła.

Moszko robił jej nawet raz wymówki z tego powodu. Ale Ryfka odpowiedziała mu z najzimniejszą krwią:

— Bist di a miszigen, oder wus!... co to motki. Motki to z ziemi rosna co roku. Woni będą mieli za rok nowych motków, bo woni mają ziemię. Co to im szkodzi? A ja nie mam ziemi!...

Moszko poskrobał się w plecy na ten argument, ale przecieź pobiegł do becзки, co stała przy kuchni i umył ręce za żonę.

Lecz czas już nam podobno wejść do zgromadzenia i słuchać jak tam ludzie z Zawalni radzą o wyborze wójta.

Otóż tedy przy jednym stole oczywiście, co był bliżej szynkfasu i przez to samo zawsze był uważany za lepsze miejsce — usiadła sama starszyczna. Było ich tam z piętnastu, sami najbogatsi gospodarze i najznakomitsi we wsi, już to z urodzenia swego, już to że dawniej byli na wiejskich urządach, bądź wójtami, bądź przysiężnymi a wreszcie starszymi braćmi cerkiewnymi. Przy drugim stole, który był dłuższy i wygodniejszy, ale mniejsze daleko miał znaczenie, siedziało ich ze trzydziestu. Sami także gospodarze, ale zwyczajnie do niższego już rzędu należeli, bo i młodszy i uboższy, i ani urzędem



ani urodzeniem nie odznaczeni. To też choć tam gadali żywo między sobą, ale ciszej przecie niż przy tamtym stole i ciągle się zwracali do niego, nastawiając uszy, by usłyszeć, co tam zacna starszyczna gada. Parobków nie było, bo oni przecież do takiej narady należeć nie mogą. Nie było też bab, i bardzo naturalnie; tożby była piękna rada, gdyby zaczęły baby wrzeszczeć, a pleść ni w pięć ni w dziewięć. Kręciła się wprawdzie jedna baba po izbie, ale ta była stróżka karczemna, która żydom wodę nosiła i bachory niańczyła; a do tego tak była głucha, że choć jej strzelaj w ucho, to nie usłyszała.

W chwili, kiedy wprowadzam do Reb Mojsia, już może z godzinę trwało zgromadzenie. Poznać to po tem, że rozmowy coraz głośniejsze jak przy jednym tak przy drugim stole; a na obu stołach stoją małe fiaszeczki z wódką i kilka blaszanych miarek z wierzchu wielkich a środkiem małych, bo dno wysoko osadzone, o których wszakże pod chajrem zapewnia Reb Mojsie, że są rzetelnymi półkwatkami. Prawda, że się stosują doskonale do tych buteleczek, które że mieszczą półkwarty w sobie, gotów Moszko przysiądz na Munes i na Boga.

Moszko i Ryfka ciągle biegają w koło stołów, i ledwie która fiaszeczka próżna, wnet nową przynoszą, choć nie słycać, by kto kazał dawać. Przecież nie Moszko traktuje? Ale z obecnych nikt się o to nie pyta; znać oczywiście, że gospodarze Zawalnieccy dobrze wiedzą, co to ma znaczyć. Wpatrzywszy się bliżej, i my podobno domyślimy się, co to znaczy. Bo za każdą nową buteleczką, co na stół przychodzi, gdy Moszko biegnie do lady i na drewnianym odzwierku nowe pisze kreski, możemy zauważać, że jeden głównie z gospodarzy siedzących przy starszym stole, ciągle okiem zyrka za żydem i za jego kreskami. Naturalnie to on, a nie kto inny płacić będzie tę wódkę. Ale cóż to znaczy, że gospodarz dla wszystkich taki hojny? Przypatrzmy się mu bliżej, a domyślimy się.

Tym gospodarzem nie jest kto inny, jeno nasz znajomy Jędruch Hładysz. A choć siedzi przy starszym stole, tak się koło niego umieścił na samym rogu, że zarówno do jednego jak do drugiego stołu może się obracać i może tu i tam mówić. A że Jędruch do tego uśmiecha się na wszystkie strony, i bardzo uprzejmie mimo dumy swojej przemawia do uboższych nawet gospodarzy, to już i całą tajemnicę łatwo odgadniemy. Oto po prostu powiedziawszy, Jędruch Hładysz ma wielką ochotę zostać wójtem w Zawalni. A że wie, że go ludzie nie bardzo kochają dla niego samego, więc stara się o to, aby go pokochali chociażby dla wódki, którą im nie skąpiąc bez ustanku każe podoność. — A choć tam przy jednym stole nie jeden się krzywo popatrzy na naszego Jędrucha, to przecie wódka Moszkowa ma swoje znaczenie. A trzeba wiedzieć, że do wielkich zalet Moszka i ta należy, że choć tam czasem doleje do gorzałki trochę wody, to przecie nie tyle co drudzy arendarze w okolicy. Nawet w Horłowie sławna jest wódka Moszkowa z Zawalni. Więc też coraz weselsze widać twarze, i tylko posłuchawszy bliżej przy młodszym stole można się dowiedzieć, że w rozmowie odzywają się coraz lepsze o Jędruchu zdania. Złe to zapewne, że zdania ludzkie tak

łatwo się zmieniają, i to jeszcze dla kilku kieliszków wódki darmo danej. I zapewne lepiejby było na świecie, gdyby każdy człowiek został, jak na męczyznę przystoi, stale przy zdaniu swoim, a osobliwie aby swego przekonania wewnętrznego nie przedawał za nic, choćby za co najdroższego. Bo ileż to przez to staje się nieraz złego. Wiele to razy na wsi gorzko żałują, że wybrali na wójta czy na przysiężnego, tego lub owego, czy tam przez wzgląd na jakieś kumostwo, czy że serdecznie traktował, chociaż w duszy każdy myślał, że to człowiek nie wiele wart. To też nieraz potem i ten co pierwiej traktował wódką, potem traktował najgorzej czy przy wybieraniu podatków, czy przy rekrutacji, czy przy szarwarkach, czy przy tylu innych sposobnościach, w których wójt może zalać człowiekowi gorącego sadła za skórę. Dla tego też najlepiej nie oglądać się ani na słodkie słowa, ani na dobrą wódkę, i obrać prawdziwie poczciwego człowieka. Lecz podobno daremne to moje gadanie. Jak świat światem tak bywało zawsze, że człek zdanie swoje przeda czy tak czy siak; chłopak za kwaterkę wódki, a bogacz za kieskę złota, za miejsce intratne, ba nawet za kawałek orderowej wstążki. Oj źle to! bardzo źle!...

Lecz wróćmy do naszego opowiadania. Więc tedy przy młodszym stole zdania coraz więcej skłaniają się do naszego Jędrucha.

— Prawda, że nos nosi do góry! — półgłosem mówił jeden do drugiego.

— Jakby był najpierwszy między nami.

— Jakby już nie było ani bogatszych, ani rozumniejszych?

— Już to on nie głupi!...

— Ma głowę bestyja!...

— Nie ma co mówić!

— Taże prawda!...

— Będzie umiał stanąć za nami!...

— I młody przecie taj żwawy!... A ten nasz Iwan, to już bardzo stary i ciężki.

Tak gadali przy młodszym stole. Słuchając to, uśmiechał się Moszko, który dla własnej korzyści pomagał Jędruchowi, ile tylko mógł. Bo Jędruch znając wpływy wielkie Moszka, przyrzekł mu dać rebuchem dwuletnią cieliczkę i korzec pszenicy.

— To wielki głów! — szeptał do młodszych gospodarzy, ale takim głosem, że Jędruch na rogu siedzący, słyszał go doskonale. — Wun i z mandaterem i z krejsamtem da sobie radę.

— Ba! a dziedzic!...

— Ach! dziedzic!... hy! co to teraz znaczy!... Wy tego nie rozumiecie? wszystkiego teraz prowizorja? I mandater prowizorja! i kreisamt prowizorja! i dziedzic prowizorja!...

Każdy zrozumie z tego, że się rzecz działa w lat parę po roku 1848.

To słowo prowizorja, ogromne zrobiło wrażenie, bo go nikt nie rozumiał. To też zaczęli wszyscy przy młodszym stole strasznie skrobać się w głowę.



Lecz przenieśmy się do starszego stołu. Tam położenie Jędrucha Hładysza było po części lepsze, a po części gorsze. Aby to zrozumieć, muszę wam przypomnieć, co już na początku mego opowiadania mówiłem, że w Zawalni cztery były najznakomitsze pomiędzy wieśniakami familje: Biłych, Zahornych, Bubysów i Hładyszów. Rodzina Biłych była może najuboższa, ale najwięcej we wsi szanowana, bo już za pamięci wszystkich młodszych i starszych, trzech Biłych jeden po drugim wójtowali w Zawalni. A co więcej nadto, najzaszrońniejsi musieli to przyznać, że był to tak jakoś od wieku ród najpocześniejszy. Póki pamięć ludzi Zawalskich sięgała, nie było przypadku, by się jaki Biły dopuścił jakiej niepoczciwości; to też Biłych dziedzice zawsze przedewszystkiemi odznaczała, a starego Iwana Biłego, który był dotąd od lat już blisko dziesięciu wójtem, dobrodziej szanował jakby równego, i zawsze siadać go prosił.

Rodzina Zahornych była najbogatszą; stąd też pochodziło jej wielkie znaczenie we wsi. Ale za to z drugiej strony najmniej była rozrodzona; biorąc zatem niewielu gospodarzy, przez to samo mniejszy miała wpływ w gminie, i w wyborze wójta stanowczo przeważać nie mogła.

Bubysów stosunek we wsi był w swoim rodzaju wcale szczególny. Choć także nie liczni, i mało co bogatsi od Biłych, mieli wszakże wielkie wpływy w gminie z innych zupełnie powodów. Miano ich w pewnych względach za najrozumniejszych. Trzech Bubysów byli dawnymi deputatami, i w każdej sprawie chodzili do cyrkułu, i umieli się tam sprawić najlepiej. Jeden z nich nawet za dawniejszych czasów, kiedy nastąpiła pregrawacyja, i komisya zjechawszy sprawę nie po myśli wieśniaków rozsądziła, chodził aż do samego Wiednia i z cesarzem dwa razy rozmawiał. Po prawdzie powiedziawszy, Bubysów nie koniecznie kochano we wsi, ale bano ich się po trosze, bo oni mieli wielki głos w cyrkułe. Trzeba zaś wiedzieć, że tym właśnie razem chcieli koniecznie swojego Fedka Bubysa wysadzić na wójtostwo.

Więc tedy Biłowie mieli swego Iwana, którego przy wójtostwie utrzymać chcieli, Bubysy swego, a Zahornowie sprzyjali Biłym najwięcej, lecz się wręcz Bubysom sprzeciwiali. Wszyscy zaś razem przeciwni byli Hładyszom, głównie zaś Jędruchowi, który dumą swoją odstręczał każdego od siebie. Z tego więc powodu sprawa Jędrucha stała najgorzej.

Lecz miał i on swoje i wielkie stronnictwo, bo znowu wiedzieć trzeba, rodziną Hładyszów była najliczniejsza we wsi, a przez to spokrewniona i pokumana ze wszystkimi. Samych gospodarzy Hładyszów było dziesięciu we wsi, a Jędruch jedenasty. Biłych było ośmu tylko, ale trzech Zahornych z niemi trzymało; a i czterech Bubysów w razie potrzeby stanęłoby ze swemi głosami naprzeciw Hładyszom.

I tak tedy siedziało wszystkich dwudziestu sześciu gospodarzy przy starszym stole, a na samym środku najstarszy i najpoważniejszy Iwan Biły, wójt dotychczasowy, siwy jak gołąb, ale jeszcze czerstwy i rumiany na twarzy. Choć i przy tym stole Jędruch hojnie gospo-

darzy częstował, przecież nie sama jego wódka przychodziła na stół, bo i Iwan Biły jako wójt, i Deńko Zahorny jako najbogatszy i przysiężny do tego, i Fedko nareszcie Biły jako starający się o wójtostwo, częstowali nie mało ze swojej strony. Choć wszyscy wiedzieli, że się zeszedli dla wyboru wójta, z początku przecie gadali sobie przy pierwszym i trzecim jeszcze kieliszku o rzeczach zupełnie obcych. To o pogodzie pięknej, co tego roku sprzyjała jak nigdy, to o zbiorach tegorocznych, to znowu Mikoła Zahorny opowiadał wiele o Lwowie, z kąd niedawno wrócił, bo się był najął z dwoma furami pod pańskie zboże. Ale jakoś przy czwartym kieliszku, który wszyscy wypili na zdrowie wójta, podniósł się trochę z ławki starowina i odezwał się do gospodarzy, którzy też i przy jednym i przy drugim stole ucichli zupełnie :

— Dziękuję wam mili ludzie! dziękuję bardzo. Ale dosyć już podobno tej napitki i próżnego rozhoworu, wypada nam panowie poradzić się około wyboru na wójta.

Na te słowa, gdy już stary umilkł, zaczęli odzywać się różni różnie, ale tak wszyscy razem, że z początku trudno było rozpoznać i zrozumieć, czego kto chce.

— Na co nam nowego wójta! — ozwał się jeden Zahorny. — My waszeci panie Iwanie prosimy, abyś nam dalej wójtował.

— A prosimy wołali Biłowie.

A tu znowu między Bubysami aż trzech naraz przemówiło, podnosząc zasługi i zdolności Fedka Bubysa.

— W krejsamcie mówili wszyscy, że niema w całej gromadzie zdatniejszego od niego.

— Co prawda to nie grzech! — kilka głosów krzyknęło przy młodszym stole.

— Alboć naszemu Jędruchowi Hładyszowi czy brakuje co? — zakrzyknęli Hładyszowie, i zawtórowało jeszcze głośniej kilkanaście głosów przy drugim stole, do którego właśnie Reb Mojsie przyniósł nowy transport wódki.

— My taki za Iwanem trzymamy! — odzywało się także nie mało głosów pomiędzy młodszymi gospodarzami.

— Jaki on jest, to już wiemy, a jaki będzie drugi, tego nie wiemy! — wrzasnął Mikoła Zahorny takim głosem, że go mógł użyć zamiast trąby na polowaniu, i wszystkich zahukał.

Znowu podniósł się stary Iwan, potrząsł siwymi włosami, a rękę podniósł na znak, że chce mówić. I znowu nastąpiło milczenie w karczmie, nieprzymierzając jakby w kościele. Bo też podobno w całej gromadzie prócz dobrodzieja chyba, stary wójt miał największe poszanowanie.

— Dziękuję wam poczciwi ludzie, i dziękuję całej gromadzie, za wasze dobre słowa i dobre chęci; a najwięcej dziękuję Panu Bogu najwyższemu, że mnie dozwolił zasłużyć na nie, i doczekać także miłego z waszej strony gadania. Służyłem wam dobrzy ludzie wiernie jakim mógł przez dziesięć lat, i co robiłem, to pewnie z serca robiłem, póki człowiek miał jeszcze siły. Zdaje mi się uczyniłem wszystko, co tylko uczynić byłem powinien.



— Pewnie! pewnie! — powstał wrzask ogólny. — Zostańcie wójtem, prosimy! prosimy!

Gdy się nieco uciszyło, stary wójt mówił dalej.

— Ale człowiek tyle robi ile może; nad siły brać na siebie nie godzi się, bo i sobie zaszkozić może i drugim nie dogodzi. Ja jestem stary, i czas mi już odpocząć, póki do ostatniego człek nie legnie spoczynku. Gospodarstwo zdałem na wnuków, i was kochani ludzie serdecznie proszę, abyście mnie uwolnili, bo ja nie czuję się już przy dawnych siłach.

— Wasza wola! — ozwało się kilka szczerze smutnych głosów.

— Kiedy tak, to Fedko Biłyi byłby nam najdogodniejszy! — krzyknęli jedni!..

— My wolim Jędrucha! — krzyknęli inni. I wielki powstał gwar przy obydwu stołach; że jeden drugiego nie rozumiał, ba nawet nie słyszał; zupełnie jak w onej wieży babilońskiej, co to Pan Bóg bezbożnym robotnikom pomieszał języki.

Jędruch krząknął, potracił się kieliszkiem z sąsiadami najbliższymi, i nieznacznie kiwał na Reb Mojsia, który zrozumiał go zapewne, bo tuż za nim Ryfka z głuchą babą przynieśli parę konewek piwa, i jęli nalewać przy obydwu stołach do szklanek, które sam Moszko ustawiał za pomocą najstarszego bachora. A poczekawszy chwileczkę, gdy się nieco uciszyło, bo jaki taki nakrzyczawszy się do woli, sięgnął po pełną szklankę, by gardło zapewne odmoczyć, Jędruch zaczął gadać głosem silnym:

— Panowie gromada! wszyscy my też podobno jedno myślimy, że najmilszym i najlepszymby dla nas wójtem był nasz dawny wójt, którego czy stary, czy młody chłop, czy baba kocha i szanuje. Ale kiedy już jego taka wola, by na stare lata odpoczął, nie godzi się nam napierać na niego i na dalsze wyciągać trudy. Czyż nie dosyć się gromadzie zasłużył, by miał prawo do odpoczynku. Więc zostaje nam tylko życzyć mu, aby żył długo między nami, i dla przyszłego wójta był przykładem, jak to gromadzie służyć należy. Wypijmy panowie gromada tem piwkiem zdrowie zacnego starego wójta.

— Niech nam żyje jak najdłużej stary nasz wójt poczciwy! — krzyknęli wszyscy tak głośno, że pewnie słyhać było aż na drugim końcu wsi.

I wszyscy rozczulili się, wszystkim podobała się bardzo przemowa Jędrucha. O! bo Jędruch nie był głupi. To też gdy Mojsie nalał świeżego piwa i tym sposobem porządek przywrócił, Jędruch ciągnął dalej:

— Jeżeli nam tedy przychodzi pomyśleć o nowym wójcie, ja najprzód muszę podziękować tym ludziom poczciwym, co mnie podają na ten urząd. I zapewne gdyby taka wola gromady była, przyjąłbym na siebie tę służbę gromadzką, od której się nikt wymówić nie ma prawa. Chociaż są zasłużeńsi odemnie i zdolniejsi, przy łasce Boskiej starałbym się gromadzie służyć wiernie i uczciwie jak przystało na wójta i gospodarza, co rozumie potrzeby wszystkie gromadzkie. Bo już to dobro gromady każdemu przed wszystkim na sercu być powinno. Ale nie na mnie jednego padają głosy. Słyszałem drugich,

co się odezwali za Fedkiem Bubysem. Że nasz Fedko jest poczciwy człowiek, doskonały gospodarz i człowiek obeznany i doświadczony, to ja sam wiem najlepiej, i byłbym szelmą nie człowiekiem poczciwym, żebym tego nie powiedział. Ale kiedy już mamy się dobrze naradzić, to godziłoby się gromadzie przedstawić wszystkich ludzi zasłużonych, aby gromada miała w czem wybierać. Jabym wam tedy panowie gospodarze jeszcze jedno powiedział nazwisko. Przecież nie godzi się zapomnieć o naszym przysiężnym, o Dańku Zahornym, który nie mało ma zasługi w gromadzie.

Na tem skończył swoją przemowę. Że nie głupi Jędruch, to zaprawdę nie głupi!... Żeby i do miejskiej szkoły chodził, i przy najpierwszej kancelarji służył, nie mógłby wymyśleć lepszego konceptu. Podając jeszcze jedno nazwisko, tem samem podzielił głosy zgromadzonych gospodarzy. Dopieroż to rozpoczął się wrzask i krzyk przy obydwu stołach. Część jedna Biłych krzyczała za Zahornym, część druga wróciła się za Bubysem, a Hładysze jak jeden człowiek trzymali się Jędrucha. Przy młodszym zaś stole, takie gadanie Jędrucha za innym, strasznie się podobało, i gdy Ryfka po raz trzeci piwo nalewać zaczęła, najwięcej się tam odzywało głosów za Jędruchem; były to głosy choć nie najznakomitsze w gromadzie, ale najmocniejsze, bo najmłodsze. I już łatwo było można przewidzieć, że to mądre przemówienie Jędrucha skłoni na jego stronę ogromną większość. Czuł to Jędruch i ledwie mógł przenieść na siebie, aby nie okazać na twarzy wewnętrznej radości.

W tej chwili zbliżył się Reb Mojsie, i skulony we czworo, by go nie widziano, szepnął coś Jędruchowi na ucho. Mało to kto uważał, że niejaki zdziwienie wystąpiło na twarzy Jędrucha, ale się to dziwnem wydało, że w takiej ważnej chwili Jędruch wstał i oddalił się od stołu. Jakoż ciekawie popatrzyli na niego, gdy tuż za Moszkciem wszedł do alkierza, i nawet drzwi skrzyknęły do drugiego alkierzyka.

Nie przestano przeto w izbie krzyczeć i radzić. Jędruch choć sam wyszedł, ale zostało pięciu, którzy bodaj czy nie wymowniej za nim przemawiali od wszystkich Hładyszów i od wszystkich jego krewnych kumów, którzy za nim gadali.

Lecz zostawmy gospodarzy radzących i pijących w wielkiej izbie, i pójdźmy za Jędruchem do ostatniego alkierza; bo to przecie rzecz ciekawa, co go mogło odwołać w takiej chwili.

## X.

W alkierzyku drugim przy stoliczku pod oknem, siedział więcej od godziny mężczyzna, którego przedewszystkiem opisać, i z którym was poznać należy. Opisawszy jak wyglądał powierzchownie, będzie go można poznać całego, bo był to jeden z tych ludzi, których raz zobaczywszy, człowiek przejrzy na wskrós jak to powiadają, i pozna od razu wszystkie ich błędy i zalety, wszystko dobre czy złe. Takie twarze i postacie zdarzają się często u ludzi prostych, których wy-



myślne nie wykrzywiło wychowanie, a wyższe stosunki towarzyskie nie nauczyły ukrywać myśli i uczuć swoich, ani też układać twarzy w taki sposób, że człek patrzący, żeby oczy wypatrzył, nie pozna, czy tam pod spodem tej twarzy zimno czy gorąco.

Patrząc na jego figurę nie wielką, albo barczystą i krępą, na te ręce żyłaste, wielką siłę zdradzające, na nogi potężne i szerokie w stopach, jakby do chodzenia częstego przeznaczone, ledwiebys od razu nie odgadł, że to leśny albo leśniczy; bo nawet w całej jego postawie wielkie było podobieństwo do sporego pniaka grubą obrósniętego korą. Toż samo znamionowała jego twarz ogorzała, na której równie jak i na rękach skóra gruba i pomarszczona podobniuteńka była do kory dębowej. A miał ci też wasy ogromne do dwóch mioteł podobne, brodę nie wielką ale gęstą i równie jak włosy siwiejące już na głowie tak najeżoną i rozczochraną, że patrzącemu mimowoli przypominał się gruby mech, którym nieraz obrasta kora na starych drzewach. Zresztą siedziały na tej twarzy oczy wielkie, siwe i wysadzone na wierzch, na których człowiek choćby chciał, nie mógłby się omylić; był w nich wyraz dobroduszości oczywistej, ale wybałuszenie ich cebulowate, równie jak i czoło niskie i ściśnięte zdradzało nie wielką pojętność; jednym słowem było w całym wyrazie coś głupowatego. Mimo to przy ustach ogromnych, snać przyzwyczajonych do hukania w lesie, był uśmiech jakiś pół przebiegły, który dowodził znowu, że w zwykłych swego przeszłego życia stosunkach, nie dałby się tak łatwo wywieść w pole, a nawet — kto wie — czy przy różnych sągowych handlach i transportach nie umiały postępować z korzyścią dla siebie.

W rzeczy samej siedzący przy stoliku, był nadleśnym przy lasach Zawalnieckich. Chłopi z Zawalni nazywali go nawet panem leśniczym, który to tytuł pan Grzegorz przyjmował z wielkiem upodobaniem, i mógł zresztą przyjmować, bo dziedzic Zawalni do niewielkich lasów swoich nie trzymał leśniczego, wierząc w to, że prosty nadleśny wystarczy, by w nich ład utrzymywał. Więc tedy Hrycko, jak się zwał dawniej, urodzony w Zawalni, był najprzód pobereźnikiem, później leśnym, aż nareszcie po śmierci swego poprzednika, starego sługi dworskiego, który czas jakiś leśniczował, został nadleśnym. Zostawszy nim, z Hrycka przemienił się na Grzegorza, i przebrał się nieco, by się odróżnić od prostego chłopca. Ubiór jego był trochę, jak to mówią z kiepska po węgiersku; wierzchnią suknię bowiem stanowiła siermięga ciemna, ale przykrojona na kapotę niby, a niby na surdut; szarawary jeszcze więcej były z pańska, bo je zapewne od dziedzica dostał w darze; toż samo i obuwie na pasach nie musiało pochodzić od szewca, który w Hastowie w czasie jarmarku wywieszał na sprzedaż proste chłopskie buty; czapka to już wcale nie była chłopska; był to bowiem rodzaj kaszkietu z daszkiem połamanym, na którym barwy sukna wszakże najmědrszy nie odgadnie.

Otóż mamy całego nadleśnego, jakbyśmy na niego patrzali. A przecież zapomnieliśmy jeszcze dwa ważne nadmienienie szczegóły; zapomnieliśmy palicę i nos pana Grzegorza. A o obydwóch warto

choć słów parę powiedzieć. Palica była wprawdzie prosta z grubej olchy ucięta, ale jej pochodzenia niktby nie poznał, bo cała od góry do dołu była pokarbowana na wszystkie strony. To był rejestr pana nadleśnego, który nie będąc piśmiennym, różnemi karbami znaczył na lasce kwity sagów wyciętych, karbował różnemi znakami zębry, z których pochodziły sagi, i gdzie i komu zostały wydane. Jakkolwiek nie uczony i wielu rzeczach głupi nawet, miał pan Grzegorz pamięć niepospolitą, i z swej laski dziedzicowi dyktował lasowe rachunki, jakby je czytał z książki. I w chacie swojej miał cały zbiór takich lasek, które zmieniał wedle czasu i potrzeby. Że zaś, jak to bywa i w książkach rachunkowych, rozmaicie się zdarza, i często gęsto nie zchodzą się jakoś kwity dochodu i rozchodu, więc pan Grzegorz dla własnej pamięci i dla własnego użytku, aby się kiedy przed dziedzicem nie poszkapić, miał znowu w chacie rejestr inny dla siebie samego, karbowany, w komorze na belku. Był to dla niego rejestr bardzo pożyteczny, bo w nim zapisane były wszystkie jego rachunki z Reb Mojsiem, oraz i innemi kumami przyjaciółmi ze wsi, którym p. Grzegorz rozmaitemi najczęściej środkami pozwalał korzystać z lasu Zawalnickiego. A że często i niejednemu pozwalał korzystać, to znowu dowodził nos p. Grzegorza, po którym trudno było poznać, jak go Pan Bóg najprzód stworzył, bo mu się jakoś rozrósł i rozepchał przez tabakę, którą dla leśniczowskiej powagi zażywał potężnie z brzozowej tabakierki, i prócz tego poczerwieniał i tak jakoś grubemi porósł pryszczami, że stał się z czasem podobny do owego grzyba, co to po lesie rośnie niepoczciwy, i co go muchomorem nazywają. Był to skutek wielkiego zamięłowania Grzegorzowego w trunkach, mianowicie w gorzałce i miodzie — bo już to piwem pogardzał straszliwie.

— To tylko mieszcuchy i szwaby piją — mawiał zwykle. Po prawdzie powiedziawszy, jest to zamięłowanie w nadleśnym bardzo naturalne i konieczne prawie. Bo najprzód jak się może obejść człowiek uczciwy bez trunku mocnego, kiedy ciągle jest wystawiony na rosę, na deszcz, albo na zimno; umarłby człowiek inaczej. I na świeżem powietrzu nawet się człek nie upije; taż to nareszcie jedyny środek na wilgoć, boć inaczej by człek gościca dostał. A potem jak się tu oprzeć, kiedy oprócz pienkowego, co ma każda fura przywieść, znajdzie się jeszcze za pazuchą i buteleczka gorzałki dla pana nadleśnego. I tak się jakoś pomału człek przyzwyczai, że aż się to obróci w drugą naturę. A że roczna płaca i wszelkie dochody zwyczajne nie wystarczają, więc nieraz się pan Grzegorz brał do różnych, jak mówiłem, potajemnych handelków. To też dziedzic Zawalski, człek dobry i żartobliwy, mawiał nieraz do Grzegorza z uśmiechem:

— Oj Grzesiu! Grzesiu! na twojej palicy pokarbowane są moje dochody z lasu, a na twoim nosie Pan Bóg sam karbuje dochody, jakie ty pociągasz z mojego lasu.

Grześ się na to przysięgnął i zaklinał, ale dziedzic wiedział czego się ma trzymać, i patrzyał przez szpary, bo już taka była jego natura; a potem znał on Grzegorza dobrze, i wiedział, że prócz tej słabości do wódki, która go czasem na złą drogę prowadziła, był zresztą



bardzo sumiennym, lasu doglądał szczerze, i pilnował od wszelkiej swawolnej szkody. To też dziedzic, a był to człowiek dawnego obyczaju, nie wierzący we wszystkie nowości, mawiał nieraz do sąsiadów, którzy jako ludzie postępowi radzili mu, aby przyjął raz przeciw uczonego leśniczego :

— Mądry leśniczy będzie mnie kraść mądrze, i swoim rozumem potrafi mnie zamydlić, a sobie zbierze pełną sakwę, wróci do swego kraju, i będzie jeszcze drwił ze mnie. Mój Grzesio boi się mnie, i choć parę polanek ukradnie, to mi to odwetuje pilnując lasu od drugich złodziei. A ma mnie kto kraść, to wolę, by mnie swój kraść, nie obcy.

Owoż tedy pan nadleśny siedział już od godziny przeszło w alkierzyku, i tym razem był w najdoskonalszym humorze, bo przed nim stał dzbanuszek polewany i spora szklanica, a w dzbanuszku był miodek, który Reb Mojsie trzymał dla lepszych gości swoich. Łatwo zrozumiecie, że dla niego pan nadleśny był najlepszym gościem, bo najpotrzebniejszym. Szanował go też niepospolicie i nadskakiwał mu ciągle, mówiąc do niego nieustannie :

— Panie Grzegorzu! Panie nadleśniczy! wy macie wielki rozum.

Pan Grzegorz lubił bardzo, gdy jego rozum chwalono. Już to taka natura ludzka, że każdy człowiek lubi gadać o tem, czego nie ma. Ale pan Grzegorz próżnemi słowami nie lubił się długo bawić :

— Ot głupstwo Mojsiuniu! człowiek ma głowę mocną to prawda, ale człowiek ma gardło także.

— Może wódeczki? prawdziwej jansurew!

— Głupstwa gadasz Mojsiuniu! niech tam sobie oni piją w izbie prostą wódkę. Jak zechcę pić wódkę, to sam sobie zapłacę; ale ja dziś...

— Jak to pan Grzegorz dziś chce pić na kredyt! — przemówił żydek pół serjo, pół z uśmiechem.

— Nie udawaj durnia Moszku, bo ci to nie do twarzy. Ja nie piję miodu na kredyt.

— To pan Grzegorz chce innego miodów; doskonałego mam miodzie! Ale wun drogi!

— A mnie co do tego! powiadam ci, że ja miodu nie piję na kredyt, ale...

— Darmo! — przerwał Reb Mojsze, kończąc zaczęta nadleśnego mowę. I uśmiechnął się z prawdziwie żydowską przebiegłością.

— No! no! nie nudź! ale dawaj!

— A jak będzie!...

— Niby to nie wiesz jak będzie?...

I popatrzyli się obydwaj na siebie, i mieli obydwaj ochotę roześmiać się głośno, ale się zrozumieli.

— Kiedyż ja mam przyjechać do leśniczówki?

— Ja pozajutro będę saży wydawać... to tak wieczorkiem Mojsiuniu, może się co znajdzie dla ciebie.

Reb Mojsze poglaskał się po brodzie i pejsach, wybiegł z alkierzyka, i wnet wrócił z dzbankiem i szklanką.

— Niech pan leśniczy siedzi tu sam tymczasem, bo ja im muszę służyć tam w pierwszej izbie.

— No! no! idź sobie!

I zostawszy sam pan Grzegorz, rozparł się wygodnie, i popijając miodek z upodobaniem, trochę słuchał, co tam w izbie chłopci gwarzą, trochę zażył tabaki, a trochę drzemał. Żydek od czasu do czasu przybiegał do niego.

— No cóż tam u nich słyszeć?... kto tam będzie wójtem?...

— A któżby tam miał być, jeżeli nie Jędruch... już mu zapisałem trzy ryńskie srebra na mego tablice.

— A wiele razy umyłeś ręce?

— Pan Grzegorz lubi sobie pożartować.

— Mniejsza o to! Ale ten bestyja Hładysz jeszcze nie jest wójtem! O nie! — dodał i zamyślił się nieco.

— Jak to nie?... albo co?...

— Ja z nim muszę pierwaj pogadać. Przyszlijno go do mnie. Jak się ze mną rozmówi, to dopiero będę widział, czy on może być wójtem.

— Co to znaczy? aj waj! powiedz mi panie leśniczy?

— Mojsiuniu! nie trzeba być ciekawym. Ja raz przez ciekawość wsadziłem rękę do starego dębczaka, co miał wielką dziurę wydrażoną, to mnie tak osy obskoczyły, że potem chodził przez tydzień zapuchnięty aż strach.

— To woni pewnie pana leśniczego i w nos pokąsali — powiedział na to Moszko z drwiącym uśmiechem.

Na szczęście pan Grzegorz nie zrozumiał tego konceptu i powtórzył tylko, aby Jędrucha cichaczem do niego przyprowadzić. Po wyjściu Moszka pan nadleśny odchrząknął, pełną szklanicę miodu wypił duszkiem, oczy jeszcze szerzej otworzył i potarł się po brodzie. Widać, że się gotuje na ważną rozmowę. A gdy wszedł Jędruch, kazał Moszkowi podać drugi dzbanuszek miodu.

— Siadajcieno Jędruchu! — rzekł do niego.

— Cóż tam kumie powiecie? — zapytał Jędruch.

Nie podobało się panu nadleśnemu to poufałe powiedzenie.

— Kumie! kumie! — mruknął zażywając tabakę. — A gdzie my się to tak bardzo pokumali?

— Gniewacie się za to panie Grzegorzu? przecież!...

— No! no!... mniejsza o to! co nie było, to się może stać jeszcze!... Ale teraz napijemy się.

I wypili oba po pełnej szklance miodu, pocmokali oba, ale jakoś do rozmowy nie przyszło.

— Dobry miód! — przemówił Jędruch po niejakiem czasie.

— A dobry! — powiedział Grzegorz.

I znowu milczeli oba. Grzegorz zapychał nos tabaką, szukając w niej zapewne konceptu.

— No! wy wiecie przecie — zaczął wreszcie — po co ja was zawołałem.

— Ja? — odpowiedział Jędruch, i zaczął się patrzeć w pole, jakby nie rozumiał o co idzie. — A jakże mam wiedzieć?



I znowu milczenie!... i znowu po szklance wypili.

— Myślicie podobno, że zostaniecie wójttem!

— Ha! jak człowieka wybiorą, to przecie człowiek potrafi być wójttem.

— Niema co mówić! ale trzeba wiedzieć, co tam na to dziedzic powie!...

Jędruch spuścił oczy z powały, i szybko a ciekawie spojrział na Grzegorza, ale tym razem pan nadleśny oczy swoje podniósł do powały.

— A co dziedzicowi do tego. Teraz się obejdzie bez dziedzica.

— Ta zapewne? ta to niby dziedzic nie ma żadnego prawa, ale dziedzic zawsze dziedzicem. Dziedzica słowo wiele znaczy i w gromadzie i nawet w urzędzie.

— Cóż dziedzic może mieć przeciw mnie?

— Kto to może wiedzieć! — przedcedził pan nadleśny przez zęby, popił miódkiem, zażył tabaki, i zaczął sobie pogwizdywać.

— Może wy co wiecie panie Grzegorzu?

Pan Grzegorz nic nie odpowiedział, ale gwizdał coraz mocniej.

Jędruch się zaczął niepokoić na prawdę.

— Powiedzżeno panie leśniczy!...

Pan leśniczy spojrział na Jędrucha z widocznym ukontentowaniem, że dumnego chłopca upokorzył nieco, i po chwili rzekł od niechcienia:

— Ja znam naszego dziedzica, i wy go znacie, że u niego słowo jedno powiedziane w czas, może wiele zaszkodzić albo wiele pomódz.

— Któżby mi chciał szkodzić?

— Ale nie każdy chce pomódz.

I znowu nastąpiło milczenie. Obydwa patrzali ukradkiem na siebie, bo obydwaj rozumieli się doskonale, ale ani jeden, ani drugi nie chciał robić początku i szczerze wystąpić z tem, co myśli. Nadleśnemu stała w tem na zawadzie powaga leśniczowska, a Jędruchowi jego znana nam duma.

— Już to trzeba prawdę powiedzieć, nasz dziedzic jest bardzo dobry człowiek, i bardzo łaskawy na mnie. Nieraz gada ze mną po szczerości, jakby z równym sobie, i wypytuje mnie to o to, to o owo; co tam ludzie mówią we wsi którzy gospodarze są szczerzy do dworu, a którzy nie? I wierzy temu, co ja powiem, bo się przekonał, że ja zawsze z dworem trzymam. Różni różnie gadali, i cóż nam to pomogło? Dwór zawsze dworem, pan panem; a jak bieda, to nikt nie pomoże, tylko dwór! Nieprawdaż Jędruchu? — dodał w końcu głosem niecierpliwym.

Daremnie wszakże przemawiał. Jędruch uparł się, aby ani słóweczka nie mruknąć, bo wiedział, że w końcu nadleśny wystrzelił tem, co ma na sercu. Jędruch nie głupi! Wiedział on dobrze, że nadleśny prawdę mówi, bo jak dawny sluga pański miał łaskę u dziedzica, którą jako stary kawaler lubił gawędzić z nadleśnym i słuchać plotki, jakie mu ten donosił. Rozumiał tedy, że Grzegorz może mu pomódz i może mu zaszkodzić, ale z drugiej strony wiedział, o co idzie nadleśnemu, a więc wolał czekać, aż sam nadleśny z ostatniem.

wyjedzie słowem. Grzegorz czekał jeszcze chwilę, aż nareszcie niecierpliwiło go to uparte milczenie Jędrucha. Uderzył tedy niecierpliwie o stół, aż szklanki zabrzękły, i zakrzyknął ostrym głosem:

— Słuchajcie Jędruchu! nie udawajcie durnia przedemną. Wy wiecie, czego ja od was chcę...

— Przysięgam Bogu!...

— Nie przysięgaj do stu czartów! A jeżeli nie chcesz wiedzieć, to ja idę prosto do dworu, i zobaczymy czy zostaniesz wójtem. — To rzekłszy zacisnął czapkę na głowę, i porwał za palicę stojącą przy ścianie.

— A teraz w złość wpadacie! — przemówił Jędruch z uśmiechem, i porwał nadleśnego za rękę. — Powiedzcie szczerze, czego żądacie odemnie panie leśniczy, a może się jakoś porozumiemy.

— Przecież już wam mówiłem, jeszcze roku przeszłego w czasie praznika na Pokrowę.

— Taże mówiliście coś!... coś! — I podniósł oczy w powąłę, jakby chciał sobie przypomnieć.

— O waszej Marynie! przecież pamiętacie...

— Ta ja myślał, że to zwyczajnie jak na prazniku mówi się to i owo, a przespawszy się człowiek, nie pamięta.

— Ot pleciecie panie Jędruchu! Ja wam wtenczas mówił nie na żart, i teraz to samo powtarzam... Dajcie mi waszą dziewczkę za żonę.

— Ja wam odpowiedział na to, że Marynka za młoda.

— Już teraz o rok przecie starsza.

— I wy nie młodszy o ten rok.

— I cóż z tego?

— Ja tylko sobie tak myślę, że może ona dla was za młoda, a wy może za stary dla niej.

— Głupstwa gadacie Jędruchu! wy jakieś targi zakładacie ze mną. Wolicie powiedzieć jednym słowem! Chcecie czy nie chcecie mi dać waszą dziewczkę?

— Ja wam przecie nie odmówił!... tylko że wasze lata, i lata mojej Marynki, to się jakoś nie schodzą, i nie wiem czy Marynka...

— Dajcie mi pokój z takim durnem gadaniem. Kręcicie jak szewc skórą! Zdalibyście się na miejskiego brechuna, co to i na czarno i na biało przekręca prawdę. Tak czy nie? mówcie krótko.

— Przecież się nie pali! Mamy dosyć czasu!

— Więc mam iść do dworu bez ostatniego słowa?

— Ja pogadam ze żoną i z Marynką!

— Jeszcze czego nie stało! chyba ją chcecie wydać za waszego parobka?

— Za Jurka! — krzyknął Jędruch w gniewie — za tego hołysza! Wypędziłem go już het z chaty.

— Wiem o tem! Ale ja wam powiem, czego wy nie wiecie. Wasza żona, jakem przechodził koło waszej chaty, rozmawiała z córką na podwórzu, i słyszałem jak się wybierała pójść do dworu, prosić o wstawienie się dziedzica za Jurkiem.



— Onaby śmiała!...

— I zapewne już jest we dworze! Jak ja nie pójdę, to ona gotowa dziedzica uprosić.

— Ja nigdy nie pozwolę.

— Ba? a wójtostwo gdzie będzie?

— Idźcie panie leśniczy do dworu.

— Pójdę zaraz! ale dajcie słowo!

— Idźcie tylko! ja przecie was szanuję panie leśniczy. Gdzież-bym ja wam odmówił.

— Dacie mi Marynkę czy nie?

— Dam! macie rękę; ale spieszcie się, i przemówcie za mną u dziedzica.

— Już ja wszystko zrobię! Moją będzie wasza dziewczka; wy zostaniecie wójttem, a na Jurka mam także sposób!

— Jaki? Oj żeby się go to pozbyć ze wsi.

— Pozbędziemy się! Ja wam powiem na ucho, że będzie teraz rekrutacja! Dziedzicowi nagadam na Jurka i wypcham go do wojska.

Uderzyli się w łapy raz i drugi z całej siły, aż klasło po całej karczmie i rozeszli się. Jędruch wrócił do pierwszej izby, a pan nadleśny wymknął się z alkierza przez drzwi, które prosto do stajni prowadziły.

W izbie karczemnej gwar tymczasem coraz był większy. Reb Mojsze podawał ciągle piwo panom gospodarzom, którzy też coraz więcej rozgrzewać się zaczęli. W nieobecności Jędrucha wszyscy Hładysze nie przestawali przemawiać za nim, chwając to jego gospodarność, to przywiązanie do gromady, to dobre jego imię tak we we dworze, jak i w cyrkule. Wprawdzie i Biłowie i Bubysy przemawiali za swojemi, a nawet i Zahornowie odzywali się za przysiężnym, ale przy starszym stole wszystkie głosy coraz więcej przychyłały się za Jędruchem, do czego nie mało pomagało i piwo Moszkowe podprawiane wódką cichaczem; i sam Reb Mojsze, który szedł od jednego do drugiego i z żydowskim swym dowcipem umiał każdemu coś przemówić o Jędruchu. Na to nadszedł sam Jędruch. Skoro go ujrzeli, cały prawie stół młodszy krzyknął pełnemi głosami:

— Ot nasz wójt nowy! Wasze zdrowie panie Jędruchu!

— Fedko Bubys wójttem!

— Daszko Zahorny wójttem! — krzyczało kilkanaście głosów, co siła — ale gdzież oni starczyć mogli młodym piersiom z drugiego stołu. Zahukani musieli zamilknąć. Ale ustąpić nie chcieli przeciwnicy Jędrucha, więc zaczęli ustawać, i nuż pięściami tłuc w stół, a nawet grozić drugim.

— Panowie gromadzie! — perswadował Reb Mojsze, biegając w około stołu — całkiem świeżego utoczonego piwa, musuje jakby wun było marcowe.

A do Jędrucha wróciwszy szepnął mu do ucha:

— Pamiętajcie panie wójcie, że przybyło znowu dziesięć garn-ców piwa.

Jędruch kiwnął głową, a Reb Mojsze pobiegł do alkierza, i wsadziwszy ręce do beczki z wodą, obmył je co prędzej. Wszystko to

wszakże nie wiele pomogło, krzyk i pogróżki trwały ciągle, i kto wie na czemby się skończyło, bo po prawdzie wszyscy mieli już w głowach. Ale stary wójt powstał nagle z miejsca swego, i kiwając ręką zaczął mówić:

— Panowie gromada! uciszcie się trocha! My tu nie na kłótnię przyszedli, ale na radę, jak przystało na uczciwych gospodarzy. Wyście zawsze wierzyli staremu Iwanowi, posłuchajcież i teraz.

Chociaż krzyk trwał jeszcze przy pierwszych starego Iwana słowach, coraz przecie więcej ucichało przy końcu, bo jak już wiemy, Iwan miał w gromadzie wielkie poważanie. Już to niech sobie kto mówi co chce, zawsze przecie prawdą zostanie, że prawdziwa poczciwość i prawdziwy a zdrowy rozum, wszędzie mają uznanie. Żeby tam człowiek jak najwięcej był dumny, a butny, to przecie głowę uchylili przed poczciwą zasługą. Więc tedy Iwan, gdy się wszystko uciszyło, mówił dalej:

— Stara to gadka, i we wsi i na dworze znana, że gromada to wielki człowiek. Wola gromady każdemu powinna być święta! Przeciw tej woli ani jeden ani dziesięciu występować nie mają prawa. A sami przecie widzicie, że daleko większa liczba głosów jest za Jędruchem Hładyszem. Widać, że taka wola gromady; znać, że taka jest wola boska. Nie kłómy się więc, i idźmy wszyscy w zgodzie za większością. I ja nie mam przeciw temu, aby Jędruch Hładysz został wójtem po mnie.

— Kiedy pan wójt tak mówicie! — ozwał się Fedko Bubys.

— My staremu Iwanowi jak ojcu wierzymy! — dodał Daszko Zahorny.

— Niechże będzie Jędruch Hładysz wójtem! — ozwało się wiele głosów przeciwnych.

— Jeszcze jedno słowo! — mówił znowu stary Iwan. — Gromada tedy jest za Jędruchem, ale prócz gromady jest jeszcze we wsi dziedzic!

— Owa! dziedzic! — ozwało się kilka Hładyszów.

— O! nie zapominajmy, że nasz dziedzic był z dawien dawna dobrym dla nas panem; on nas zawsze kochał i nam pomagał; pamiętajmy, że to już cały ród dziedziców naszych od wieku wiele czynił dla gromady Zawalnieckiej.

— Ta prawda! poczciwy to ród! — ozwało się wielu.

— Godzi się tedy — kończył stary Iwan — abyśmy się z naszym dziedzicem poradzili względem wyboru nowego wójta.

— Chodźmy do dworu — krzyknęli wszyscy prawie.

— Dziś już późno! ale jutro pójdzie rano starszyczna do dworu i przedstawi dziedzicowi, co gromada uradziła. Dziedzic wie najlepiej, co dla nas może być dobrego, a co złego.

— Dobrze mówi! niech żyje stary nasz Iwan! — rozległy się krzyki.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wbiegł do karczmy sążnisty kozak w barwach dworskich.

— To ze dworu! — szepotali ciekawie między sobą.



Kozak tymczasem uchyliwszy nieco czapki, pozdrowił uprzejmie gospodarzy, i zaczął się przepychać pomiędzy nich.

— Jest tu Jędruch Hładysz? — zapytał kupiących się gospodarzy.

— Czego chcecie? — zapytał Jędruch blednąc i czerwieniejąc.

— Dziedzic mnie przysłał, abyscie mogli zaraz pójść do dworu. Dziedzic chce z wami pomówić.

Wszyscy wypatrzyli oczy, a gdy Jędruch z kozakiem wyszli, jaki taki odzywał się do sąsiada:

— Kumie? uważaliście jak kozak grzecznie mówił do naszego Jędrucha? Widać że dwór jest za nim.

I wszyscy tem mocniej tego byli przekonania, że nie kto inny zostanie wójtem, jeno Jędruch Hładysz.

## XI.

A kiedy już znamy w Zawalni i chaty wieśniaków, i dworek księży, i karczemkę, wypada nam się zapoznać jeszcze z samym dworem. I przy tej sposobności, gdy zajedziem do dworu, najlepiej się dowiemy naocznie, jak stoi sprawa Jędrucha o wójtostwo, a prócz tego, co może nas więcej obchodzić, jaki los wypadnie dla biednej i pięknej Marynki; czy się jej dostanie za męża młody i kochany Jurko, czy stary i nieznośny Grzegorz nadleśny.

O samym dworze jako o budynku, nie wiele da się powiedzieć. Wprawdzie było we wsi i w okolicy całej podanie, że na wzgórzu, gdzie dzisiejszy stał dwór, było niegdyś zamczysko warowne, z którego wszakże żadnego prawie nie było śladu. Prócz chyba ogromnego szpichlerza z cegły świeżej, który stał na podmurowaniu bardzo wysokiem z grubych kamieni poczerniałych już zupełnie, tu i owdzie starym mchem zarosłych, i połączonych zkamieniałem przez czas wapnem. Podmurowanie to miało być wedle podania kawałkiem starej baszty zamkowej, czego dowodzić się zdawały dwie pod niem wielkie, głębokie i sklepione piwnice, które były wielce pożądane dla panów Zawalskich dziedziców odwiecznych Zawalni; w nich bowiem od najdawniejszych czasów spoczywały ogromne beczki, dawniej węgrzynem starym zapełnione; dziś po większej części rozsypane, lub przerobione na kufy z wódką. Niżej u stóp wzgórza była gorzelnia i wołownia, postawione przed kilkadziesiąt laty z ogromnych kamieni które musiały pochodzić z gruzów starego zamczyska. To pewna, że z dawnych także czasów została całemu dworzysku nazwa Gubernii, jako mieszkania zapewne gubernatorów, co niegdyś rządźili w Zawalskiem starostwie.

Dwór późniejszy, do którego teraz wejść mamy, nie odpowiadał zupełnie nazwie Gubernii. Był to folwarczny raczej budynek, niżeli dwór okazały, nie zbyt wielki i nieregularny, z przylepioną znacznie później oficynką długą i kiszkowatą, którą przystawiali i przydłużali pomału panowie Zawalscy, sławni od wieku z gościnności swojej, dla

przybywających gości. Wszystko to razem wyglądało bardzo porządnie, czysto obielone i pokryte dachem gontowym na czerwono pomalowanym. Dziedziniec przed dworem był obszerny i nadzwyczaj czysty z studnią na środku murowaną o wielkiem kole do wyciągania wiader obwiniętem łańcuchem nadzwyczajnej długości. Od oficyn aż do spichlerza ciągnęły się zabudowania folwarczne, murowane, które równie jak i dwór odznaczały się szczególną czystością i wielkim porządkiem. Wjazd do dziedzińca stanowiła brama murowana, do której prowadziła śliczna i szeroka ulica topolowa. Całe obejście zaś dworskie, jak to często zdybać można na Podolu, miasto płota lub częstokoła otoczone było szerokim rowem, na którym po nad drewniane barierki zwieszały się zielone wieńce z woniejących krzewów tak zwanego Livium. Najpiękniejszą ozdobą dworu w Zawalni, był sad obszerny, ciągnący się aż do zielonego wygonu, o którym mówiliśmy; łączył się z nim ogród odznaczający się kilku kwiatowemi kwaterami na staroświecki sposób sporządzonemi, które otaczały dwie równoległe szerokie ulice, z samych lip starszych, pamiętających zapewne dawnego zamczyska świetne czasy.

Ot i wszystko. Chyba dodamy, że na spichlerzu, póki pamięć najstarszych ludzi zasięgała, było zawsze gniazdo, do którego rok rocznie przylatywały na wiosnę bociany. Nie będę też się rozpisywał nad wewnętrznem przystrojeniem dworu. Pokojów nie było wiele, ani też odznaczały się wielką wykwintnością, ale jak z wierzchu tak i we środku wszystko było czyste i chędogie; sprzęty zaś były proste, ale mocne, i kształtami swemi przypominały rzeczy dawniejsze, kiedy to ludzie więcej uważali na trwałość i wygodę, anizeli na wytworność. Ale za to pan Jacek Zawalski, terażniejszy dziedzic Zawalni, gdy się obejrzał po swoich stołach, stołkach, szafach i innych sprzętach, to jakby patrzył na starych znajomych, z których każdy rozpowiadał mu dawne pamiętki i po ojcu i po matce, po dziatku i po babce. A jak mu zadzwonił zegar ustawiony na staroświeckiem biurku, i co godzina uderzył karantem odwiecznym, który mu śpiewał jakiegoś staroświeckiego tańca polskiego, to go ta muzyka i to dzwonenie za serce chwytaly; bo mu się zdało, że słyszy głos matki, gdy chłopcu małemu śpiewała pieśni pobożne, prostych uczyła modlitewek i nieraz przy tem samym biurku rozpowiadała własne lata dziecinne przeskakane przy głosie tegoż samego zegara.

Pierwszy zaraz pokój, gdy się z sieni wchodziło, był zarazem najglówniejszym pokojem. W nim bowiem pan Jacek siedział dzień cały, w nim się lubił wieczorem przechadzać w dnie dżdżyste, bo był najobszerniejszy; w nim też jadał, i miał kancelarję swoją przy starem biurku pod starym zegarem, w nim miał co najdroższego, bo się ze ścian patrzyły na niego malowane w obrazach twarze i ojca i matki, i kilka dawniejszych jeszcze dziadów jego rodu; w nim narazcie był kominek, przy którym najmilej mu było w dnie jesienne siedzieć w spokojnem rozmyślaniu, kurząc luleczkę na długim cybuszku, patrzeć w trzaskające główienki, i niejedną samotną i smutną życia chwilę przedumać i przemodlić.

Bo pan Jacek Zawalski był to sobie człowiek dawnego obyczaju



a więc pobożny, i w życiu swoim regularny, jak ten jego zegar stary. A że już nie młody wcale, i nigdy się nie żenił, więc też nie bardzo skłaniał się do roztrzepanego życia dzisiejszego, i często samotnie pędził życie, bo wolał żyć z pamiętkami lepszych ludzi, niżeli z dzisiejszymi ludźmi, którzy starego nie rozumieli, i których też on sam nie chciał, ani mógł dobrze zrozumieć.

Otoż w chwili, gdy wchodzimy do tej wielkiej izby, pan Jacek przechadzał się szerokimi po niej krokami; najłatwiej też możemy mu się przypatrzeć. Średniego wzrostu, krępy, barczysty, żywością ruchów i spojrzeń wydawał się znacznie młodszym, niżeli był w istocie. I oczy choć niewielkie, ale tak były ruchliwe i pełne życia, jakby u młodego jeszcze człowieka; włosy zaś miał krótko podstrzyżone, równie jak i wąsy gęste jeszcze i ledwie tu i owdzie szpakowaczną przebijające. Najstarszą miał twarz; nie tylko bowiem mnóstwo miał na niej zmarszczków, ale i cera jej była powleczone żółtością w brudny aż kolor przechodzącą, co pochodziło z jego właściwego do popędliwości i zbytnej zgryźliwości skłonnego usposobienia.

Już to w tej mierze pan Jacek dziwnego, jak to mówią był nabożeństwa. Serce miał najlepsze i najpocziwsze, a nawet miękkie z natury. Muchy by nie zabił, a skrzywienia i płaczu nie zniósłby za żadne skarby świata; wolałby raczej ostatni grosz z własnej dać kieszeni. Ale pozór miał srog i surowy; gadał ostro i kłótliwie, bo mu się zdało, że wypada mieć taki pozór nieprzystępny, aby ludzie go mazgajem nie nazywali. Wprawdzie nikogo tem nie oszukał, bo go wszyscy doskonale znali. Cała z nim sztuka była w tem, aby przeczekać, aż się wygdiera i wykrzyczy. Im zaś więcej gderał i krzyczał tem pewnie więcej starał się to nagrodzić. Z razu burknął na każdego, a że w samej rzeczy był prędk i nie kontent z dzisiejszego świata, więc się kłócić lubił, a nie cierpiał by mu się sprzeciwiać. Swoi we wsi, to już go znali na palcach. Bywało nieraz gdy przyjdzie uboższy gospodarz i pokłoniwszy się, poprosi o ziarno na zasiew, albo na przednowek, lub też nawet o nieco grosza gotowego, to on zrazu w krzyk:

— A cóż to do pięciu djabłów! czy to u mnie studnia niewyczerpana! — wrzeszczy na całe gardło. — Czy nie macie cyrkułu? he? co? do pięciu djabłów! Ta że ty taki dziś pan jak i ja? — nie może? — sąsiad mój i dziedzic także! do pięciu djabłów. Idź sobie! pókiś cały! Nie dam! Nic nie dam! rozumiesz?

Więc chłopiec za drzwi jak najpokorniej. Pan Jacek ledwie minutę się wysapał, wygląda przez okno, a jeżeli proszącego chłopka nie zobaczy przy drzwiach lub na dziedzińcu, to wybiega jak oparzony mrużąc do siebie.

— A to dureń! już poszedł! czy zwarzował do pięciu djabłów?

Ale chłopiec oczywiście nie głupi pójść, tylko się umyślnie przyczaił za studnię, albo za bramę, i uśmiecha się w duszy, bo zna pocziwego paniska. A gdy go już postrzegł, to obces na niego, i porwie go a ciągnie aż do izby.

— Cóż to głupcze do pięciu djabłów! uciekasz odemnie? he!

co! Cóż to ja jem ludzi do pięciu djabłów? Chciałeś trzy korce hreczki? nieprawdaż?

— Proszę jegomości!..

— Głupi! do pięciu djabłów: ja nie ksiądz, byś mnie jegomością nazywał.

— Proszę pana porucznika!

To była słaba strona pana Jacka. Wszyscy go musieli tak nazywać, bo też w rzeczy samej porucznikował raz w życiu, a było to jakoś w roku dziewiątym.

— Ja tylko prosił o dwa korce!

— O głupi! o bałwanie! o ty się zemną będziesz sprzeczał, do pięciu djabłów! A co to za osioł! a to mudio? Siedź mi cicho, bo niech mnie pięć djabłów porwie. Ty mnie znasz? ze mną niema żartów!

— Dobrze panie poruczniku!

— No masz tu stary trutniu kwitek na trzy korce hreczki... Ale idź sobie do pięciu djabłów, a prędzej zabieraj hreczkę, i ruszaj bym ciebie więcej nie widział. A nie całujże mnie w łapę osła!... co to ja mnich czy co, do pięciu djabłów.

Tak samo postępował z dziadami także, co po żebrach chodzili. Żadnego nie wypuścił bez szczodrego datku, ale musiał pierwej nafukać się i naburczyć do woli. Wszystkie dziady i żebraki z okolicy znali go już doskonale.

— Djabłami naklnie — mówili ludzie — ale boskiem miłosierdziem obdarzy.

Cała to bywała komedja, gdy się czasem pojawił zupełnie obcy żebrak. Zburczany, nakłęty, nie wiedząc co to znaczy, uciekał dziadek co prędzej za bramę, taj na ulicę. A pan Jacek wybiega, zyrkiem i tu i tam, a dziada niema. Otóż dopiero wrzeszczał, otóż się gniewał.

— A to osła głowa, do pięciu djabłów!

I nie mógł sobie dać rady, i póty wybiegłszy za bramę wołał a nawet posyłał parobków, póki żebrak zastraszony nie powrócił.

— Cóż to uciekasz mi z domu jak złodziej! he! co? do pięciu djabłów! czy masz mnie za jakiego szoldrę!... za prusaka? he! co?...

Niemców w ogóle i prusaków przed innemi nie cierpiał pan Jacek straszliwie. I skończyło się na tem, że żebraka obdarzył, nakarmił, tem więcej i tem lepiej, im się mocniej nakłął i nagniewał.

A przecież mimo usposobienia tak w gruncie miękkiego, miewał swoje uprzedzenia, i umiał się nawet oprzeć na swoim, na czas przynajmniej dłuższy, a to głównie gdy się przypadkiem stał z jakim nowym zwyczajem, nowym wynalazkiem, albo też jakim zdaniem nowem, które się sprzeciwiało jego wyobrażeniom. Kto go znał dobrze, strzegł się wmieszać do rozmowy coś podobnego, gdy przyszedł w jakim interesie, bo w takim razie, choć go to samego bolało serdecznie, odmówił niezawodnie.

Aby już pana Jacka zupełnie opisać, więc dodam jeszcze, że nosił na sobie czamarę sukienną w zimie, płócienną w lecie, i zima



czy lato rogatą czapkę granatową z siwym barankiem; miał do tego na nogach buty palone i szerokie szarawary polskim obyczajem do cholew chowane.

Więc tedy jak mówiłem, pan Jacek chodzi sobie po pokoju, krokiem wymierzonym; luleczka oczywiście w ustach; puszcza dynek w regularne kółka, pykając ustami i od czasu do czasu spluwając przez zęby. Już to taki jego zwyczaj. — Koło biórka na krześle poręczowem siedzi rozparty młody jeszcze człowiek, którego cała powierzchowność w wielkiej zostaje sprzeczności z postawą staro-ego pana Zawalskiego. Jest to bowiem blondynek młodzieńki, wysokiego wzrostu, wysmukły i tak delikatny, że zda się lada wiaterek może go powalić. Twarz ładniutką, równie delikatną, pokrywa ledwie pierwszy puch włosów miękkich, które darmo młodzieniec na wąsy wyciągnąć usiłuje. Wyraz twarzy szlachetny i poczciwy razem, ale w oczach promienistych i na ustach drgających pełnem życiem odbija się jakiś możnaby powiedzieć gorączkowy i niespokojny zapal. Ubiór młodego człowieka wcale nie wiejski, pełen wymyślnej wytworności, przypomina nieco miejskie żurnalowe postacie. W rękę trzyma długie i grube cygaro, którego dym wonny ale mocny, aż mu lży do oczów wypędza i piersi mimowolnym kaszlem podnosi.

Między drzwiami i kominem przy ścianie stoi po jednej stronie nasza znajoma Jędruchowa, a po drugiej dziaczek, którego biedna i nieśmiała kobieta uprosiła, aby z nią poszedł do dworu.

— Wszystko to bardzo piękne! co wy mi tam gadacie! — mówił pan Jacek — Ale cóż do pięciu djabłów mnie do tego. Cóż to ja faktor wasz? ha! co?

— Cóż za wyraz! — ozwał się młody człowiek, i wydał usta pogardliwie.

— Żebyś milczał mój Włodziu! to byłoby bardzo dobrze! A jeszcze lepiej, żebyś mi do pięciu djabłów nie smrodził pod nosem temi waszemi cygarami.

— Prawdziwy trabukos.

— Ażebyście pękli do pięciu djabłów! trzeba być wściekłymi durniami, żeby sobie pod nos pchać taki smród, psuć płuca, oczy, i palić usta!

— A wie też stryjaszek, ile takie cygaro kosztuje?

— Głupis do pięciu djabłów... jeżeli kupujesz takie drogie cygara. Goły jak bizun!... a ubiera się jak komediant, i pali jakies hiszpańskie trabuki!... Oj buki! — buki by się zdały wam!..

— Jużciż stryjaszekowi stać na to!..

— He! co? do pięciu djabłów!... Wacpan panie Włodzimierzu na mój majątek rachujesz: jeszcze nie umarł!..

— Ale fe stryjaszku! przed chłopami!

— Jak to chłopie? co to chłopie do pięciu djabłów! otóż macie demokratów dzisiejszych. To u was chłop nie człowiek! he! co? A pańszczyznę także nam odebrali z wielkiej demokracji, boście głowy do pozłoty! — próżniaki do pięciu djabłów!... czytacie same głupie książki jakichciś niemieckich filozofów, czy jak ich tam nazywasz!... ażeby im raz karki pokręciło.

— To wszystko dobre stryjaszku najdroższy, ale oni czekają!.. A kazać chłopom czekać, to podobno nie demokratyczny, ale arystokratyczny obyczaj.

— Strasznieś głupi panie Włodzimierzu! Szkoda tych pieniędzy, co mnie kosztuje twoje wychowanie.

— Za które ci zawsze kochany stryjaszku bardzo jestem wdzięczny.

— A zaraz wdzięczny! u was do pięciu djabłów wszystko zaraz płacić trzeba, choćby próżną waszą wdzięcznością!.. Bajdy, bajdy! do pięciu djabłów i kwita!.. No! ale czegoż wy jeszcze stolicie? — przerwał sam sobie nagle, i stanął przed Jędruchową.

— Ta proszę jęgomości!..

— Głupiaś, do pięciu djabłów!

— Do kogo mam się udać, jeżeli nie do pana porucznika? Pan przecie naszym dziedzicem, naszym dobrodziejem!

— Niewolnicze dusze; — mruknął młodzieniec pod nosem.

— Już powiedziałem raz, że się w takie rzeczy wdawać nie chcę. Cóż to ja swat wasz? he? co?

— Żeby przecie pan był łaskaw przemówić u mojego..

— On ojcem przecie i gospodarzem, rozumie przecie do pięciu djabłów, że on ma prawo rozrządzać córką swoją.

— I przymusić jak niewolnicę! — przerwał pan Włodzimierz pół głosem. — O barbaria! barbaria!

— Milcz proszę ciebie, ty głupi cywilizatorze!

— Proszę pana porucznika? — odezwał się dziaček. — Przepraszam, że się w to wdaję.

— A zapewne? po co się wdawać nie w swoją rzecz? — fuknął znowu pan Jacek, ale mniej burzliwie jak zwykle, bo już to dziaček bardzo lubił.

— Bo to widzi pan porucznik! — mówił dziaček dalej — to już u nas w Zawalni taki obyczaj od dziada i pradziada, że my w każdej potrzebie udajemy się do dworu. Tak to bywało za ś. p pana brygadjera ojca pana porucznika.

Dziaček nie głupi; wiedział co mówić. Nie miłszego nie było na świecie dla pana Jacka, jak wspomnienie o ojcu, którego kochał jak ojca, a szanował niepospolicie jako brygadjera. To też na to powiedzenie dziaček krząknął, ustami dymek głośniej puścił, co było u niego dowodem wielce dobrego humoru. Pan Włodzimierz przeciwnie, przyjaciel nowości, a nieprzyjaciel przeszłości, którą nazywał starogrątnością, przekręcając wyraz starożytności, na słowo dziaček zaszydził drwiącym uśmiechem i mruknieniem szydlercem. Ujrzał to i słyszał pan Jacek, ale że był w dobrym już humorze, więc tylko ruszył ramionami i splunął pogardliwie. Dziaček zaś ciągnął dalej.

— Więc też i Jędruchowa kuma moja! bo to proszę p. porucznika my podwójni kumowie, bo matka moja jeszcze, co to ją zwali kowalichą, trzymała do chrztu córkę Jędruchowej, i znowu ja trzymałem do chrztu córkę Jędruchowej, tę właśnie Marynkę, względem której my tu przyszedli do pana porucznika.



Pan Jacek krzyknął znowu, bo lubił gawędzenie wszelkiego rodzaju.

— A! a! — ziewnął potężnie pan Włodzimierz, którego znowu wszystko na świecie nudziło, a chłopskie gadulstwo najwięcej.

— Głupiś! do pięciu djabłów! — mruknął stryjaszek zwracając się do synowca. Dziaćzek jakby nie nie słyszał, mówił znowu.

— Taj sobie kuma pomyślała, że już to nikt nie pomoże po Bogu, jako pan porucznik. Tak samo i mnie mówił i radził kumie nasz dobrodziej.

Znowu krząknienie i ziewnienie: bo stryj wielce szanował swego parocha, a synowiec przeciwnie pogardzał wszelkimi obzadkami.

— Więc też kuma przyszła prosić pana porucznika. Bo już to nikt nie potrafi przemówić Jędruchowi do rozumu i do serca jak nasz pan porucznik. Bo i cóż on może mieć naprzeciw Jurka?

— On taki poczciwy i pracowity! — wmieszała się sama Jędruchowa — on robi za dwóch parobków.

— Zapewne to dobrze! — mruzczał porucznik.

— I jakoś mu wszystko z ręki idzie; jak on posieje, to pewnie zejdzie najpiękniej.

— Głupie zabobony! — mruknął synowiec.

— I na cóż lepszego szukać zięcia! — ciągnęła dalej matka Marynki.

Na te słowa porucznik splunął i zaczął pogwizdywać z cicha, co bywało u pana Jacka dowodem zamyslenia i kłopotania, które przeraziło dziaćzka.

— Zięcia! zięcia! — przemówił pan Jacek — Ojciec, do pięciu djabłów wie najlepiej, kto mu za zięcia najlepszy.

Przestraszony dziaćzek chcąc poprawić sprawę, zagadał co-prędzej.

— I młodzi serdecznie się kochają!

— Głupstwo do pięciu djabłów! — mruknął i gwiznął stary kawaler.

— Kochają się? — zagadł pan Włodzimierz, i oczy jego żywiej zalśniły.

— Jak dwa hołubki!... proszę panicza! — przemówiła Jędruchowa z uczuciem kobiety i matki, chcącej córce nieba przychylić.

— Kochany stryjaszku, nie sprzeciwiaj się!... kiedy to ich szczęście stanąć może. — To rzekłszy pan Włodzimierz, zerwał się z siedzenia swego, i przystąpił do stryja z oblesnym wyrazem na twarzy.

— Głupiś wacpan! strasznie głupi do pięciu djabłów. Wacpanu romanse w głowie. Widzę, że ci nie wywietrzała jeszcze z głowy ta niemka czy czeszka!... Pięknie się nazywa!... Habliczek do pięciu djabłów.

I pan Jacek coraz gwałtowniej pogwizdywał. Pan Włodzimierz zaś zadumał się na te słowa stryjaszka.

— Jak się nazywa, to się nazywa! — wyrzekł synowiec z całą

gwałtownością swojego usposobienia namiętnego. — Panna dobrze wychowana, córka poczciwego człowieka!.. Zresztą stryjasek zna w tej mierze moje przekonanie i niezmiennie postanowienie!..

— Ciekawym bardzo, do pięciu djabłów.

— Będzie moją żoną!

— Zobaczmy! mój ty romansowy paniczku! Zawalski dziedzic mojego majątku nie ożeni się z jakąś Habliczkówną, córką jakiegoś tam cudzoziemca. Dostyc już dla nas, że nieboszczyk Ignacy wprowadził nam do familji jakąś francuzicę.

— To była matka moja! — zawołał synowiec gwałtownie z wyrazem prawdziwego uczucia i szlachetnego oburzenia.

Pan Jacek uczuł sam zapewne najlepiej, że się wyrwał niepotrzebnie, to też zamilkł, i coraz prędzej zaczął biegać po izbie. I pan Włodzimierz rzucił się nazad na krzesło. I oba milcząc zawzięcie puszczali dym na pokój. Dziaček poskrobał się w głowę, i poznał po niewczasie, że baka strzelił, wspominając o miłości Jurka i Marynki. Korzystając z milczenia jakie nastąpiło, wypada nam powiedzieć słów kilka o stryju i synowcu.

Pan Jacek dla tej lub dla owej przyczyny nie żenił się nigdy, i dla tego niechętnie słuchał, gdy mu kto o miłości mówił. Może i on kochał kiedy, i kochał nieszczęśliwie. Bądź co bądź zostawszy starym kawalerem, ztetryczał nieco, i tem więcej w samotności swojej przywiązał się do dawnych pamiątek i dawnych obyczajów. Miał brata młodszego pana Ignacego, o którym przed chwilą wspominał, którego kochał serdecznie, mimo że usposobienia braci nie zgadzały się w niczem. Pan Ignacy, człowiek ducha niespokojnego, całe prawie życie swoje przepodróżował. Najdłużej bawił w Paryżu tak ulubionym przez Polaków, i z tej stolicy świata, jak ją chętnie nazywamy, straciwszy tam cały majątek, przywiózł żonę piękną francuzkę, ale nie majątną. Co się pan Jacek nagniewał, co się nafukał i nagwiźdał, a ile piątek djabłów wywołał po cichu, to aż strach. Ale mimo to, przyjął brata i bratowę najserdeczniej, umieścił u siebie, i dzielił się z niemi majątkiem swoim po bratersku. A jak się Włodzimierz urodził, postanowił się tem więcej nie żenić nigdy. Włodzimierz był dobrym i pełnym szlachetności młodzieńcem, ale w usposobieniu swoim podobniuteńki był do ojca i matki, pod której okiem pierwsze przepędzał lata. Żywy i roztropny jak ojciec, lekkomyślny i sentymentalny jak matka, przylgnął do obyczajów, zdań i wyobrażeń cudzoziemskich, z których też późniejsze jego w stolicy wychowanie wyleczyć nie mogło. Wszakże i tam pomiędzy rówieśnikami swymi znalazł to samo zobojętnienie dla przeżytej wedle zdania młodszych pokoleń staroświecczyny, i ten sam popęd do wszelkich nowości.

Młodziutkim był jeszcze dorostkiem, gdy umarła matka, która się nigdy przyzwyczaić nie mogła ani do polskich obyczajów, ani do polskiego powietrza; wkrótce też po niej umarł pan Ignacy z prawdziwej tęsknoty za żoną, którą kochał namiętnie.

Pan Jacek umierającemu bratu przyrzekł na święte słowo chrześcianina i polskiego szlachcica, że nigdy Włodzia nie opuści. Łatwo mu to przyszło przyrzec, bo się najczulej przywiązał do synowca,



którego sam więcej może od rodziców psuć i pieścić. Choć mu było bardzo przykro, oddał go na dobre wychowanie do miasta, bo taka była wola zmarłych rodziców. Włodzimierz miał wiele talentów, ale pilności niewiele; ztąd poszło, że mnóstwo rzeczy umiał, ale żadnej tak gruntownie, aby mógł jakikolwiek rozpocząć zawód. Bujając po świecie, naczytałwszy się mnóstwo romansów francuzkich, rozkochał się na prawdę w paniencie ładnej, obdarzonej najlepszymi zaletami, której wszakże jedyną a najniemilszą w oczach pana Jacka było wadą, że się nazywa Habczyk i jest córką cudzoziemca. Łatwo pojąć, co się działo z p. Jackiem, gdy Włodzimierz przyjechawszy na czas dłuższy do Zawalni, oświadczył najwyraźniej, że się z nikim innym nie ożeni, tylko z swoją najdroższą Wilhelminą.

— Przeciw woli stryja zenić się nie chcę — mówił do pana Jacka — bo pamiętam dobrze, że przy łóżku śmiertelnem ojca przysięgał mi, że stryja będę słuchał i szanował jak ojca rodzzonego, i jak ojcu będę posłusznym. Ale jeżeli stryj nie da zezwolenia swego, nie ożenię się nigdy.

Staremu na te słowa na płacz się zbierało, bo kochał synowca serdecznie, i pan Włodzimierz był ostatni z rodu Zawalskich.

— I pojedę do Ameryki, zaciągnę się do pierwszego lepszego wojska, i dam się zabić!..

Pan Jacek aż się za głowę brał z rozpacz. Znał to od siebie, że Władziowi nic nie jest w stanie odmówić, ale jakże tu Habczykównę wprowadzić do rodziny i pokrewnić się z cudzoziemcem. I jużby prędzej darował, że mu ciągle głowę kłopotał przemianą gospodarstwa na nową metodę, zaprowadzeniem żniwiarek, młocarni i drenowania.

— A to kara boska do pięciu djabłów z tem waszem nowatorstwem — mruzczał stary, ale już przecie w głowie układał, jakby tu synowcowi dogodzić, a nawet godził się już na młocarnię. Młocarnia, żniwiarka, to jeszcze nic, ale czeszkę w dom!... to było nad siły pana Jacka.

Łatwo pojąć zatem, w jaki wpadł humor, gdy przez niezgrabne ozwanie się dziewczeczka, odnowiła się stara kłótnia z synowcem o pannę Habczyk. — Zrozumieli to choć późno, dziaćka i Jędruchowa, i niewiedząc co robić i co mówić, spojrzeli po sobie. A jeszczeby im smutniej było na sercu, gdyby wiedzieli, że pan Jacek miał inne powody, dla których nie sprzyjał wcale połączeniu Jurka z Marynką. Milczenie w izbie przerwało wejście nadleśnego Grzegorza, który rześko pokłoniwszy się, starym wyrzekł zwyczajem:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedział pan Jacek. — Pewnie z karczmy? — dodał uśmiechając się w weselszym już humorze.

Bo pan Jacek Grzesiowi najlepiej może ze wszystkich sprzyjał. Znał go od małego chłopca, i przyzwyczaił się do niego, a prztem aby prawdę powiedzieć, stary kawaler miał tę wadę, że lubił gawędę i plotki; w tym zaś względzie nasz nadleśny był niewyczerpanym. Co nie wiedział to zebrał przynajmniej.

— A z karczmy proszę pana porucznika!

— To już pewnie nalałeś pałkę?

— A gdzie tam!... Ja tylko słuchał, co się tam dzieje w karczmie! ta to tam rewerencyja, aż strach!

— Albo co?

— Ta wybierają nowego wójta!

— I jakże, za kim tam ciągną najwięcej?

— Różnie to tam gaworzą! mówią tam i o Hładyszu Jędruchu — ale to będzie zależeć od pana porucznika. Oni bez woli dworu nie śmieją przecie wybierać wójta.

— No! no! do pięciu djabłów! — przemówił weselej i chrząknął potężnie. — Słyszycie kobieto! mówią o waszym mężu.

— A wiem! proszę pana porucznika! mój dawno pragnie zostać wójtem.

— I dla tego? — ozwał się dziaček — tak dmie teraz, i sprzeciwia się. By Marynka nie została żoną Jurka!

— No! no! cicho! do pięciu djabłów.... A jakże tam Grzesiu? wiesz co! he? — Tu krzyknął, spojrział na leśnego, lecz nagle obejrzwawszy się, urwał. — A kiedyś nie pił! — dodał pan Jacek po chwili — to chodź ze mną; dam ci kieliszek wódki!

I wszedł do drugiego pokoiku, w którym była szafeczka, z której pan Jacek własną zawsze ręką rozdawał wódkę chłopkom, krórczy do niego przychodzili. Jędruchowa i dziaček smutnie popatrzyli na siebie, bo zmiarkowali, że dziedzić chce coś pogadać z nadleśnym tajemnie, aby oni nie słyszeli. A przytem domyślali się po części, o czem to będzie mowa, i tego właśnie bali się najwięcej. A nawet słyhać było, że pan Jacek mocno pokrząkiwał, a Grzegorz coś ciągle z cicha przemawiał.

Pan Włodzimierz, który się był przez chwilę zamyslił, zerwał się nagle, i wzięła go szczerą litość, gdy popatrzył na smutne twarze stojących przy kominku. A że poczciwie miał serce mimo wielu przywar swoich, więc się zbliżył do nich i przemówił z cicha:

— Nie bójcie się! Stryjaszek pofuka sobie trocha, ale nie odmówi na koniec. Marynka wasza będzie żoną tego Jurka, co go tak, lubicie!... A ja!... dodał i uśmiechnął się — także się ożenię z tą którą kocham.

— Święteby to były słowa panicza! — mówiła Jędruchowa.

— Kiedy bo panicz nie wie — dodał jeszcze ciszej dziaček i przysztuchował do pana Włodzimierza bliźniutko. — O ten nadleśny ubrdał sobie w głowie, aby się ożenić, i pan porucznik, który go lubi i sprzyja mu podobno, i zrobi wójtem Jędrucha, a Jędruch da mu Marynkę.

— Komu? — zawołał Włodzimierz.

— Ta że temu nadleśnemu!

— Co! — krzyknął Włodzimierz na cały głos. — Temu staremu miałyby się dostać taka młoda i ładna dziewczyna? — Nigdy! — nigdy!... to się stać nie może.

— A dla czegoż nie? od pięciu djabłów! — przemówił pan Jacek, który te słowa usłyszał, i wyszedł z drugiej izby z czołem jak nigdy zachmurzonym.



— Jakto! proszę stryjaszka! a tożby było barbarzyństwo godne starych wieków, wydawać takie młode dziewczę za starego, brzydkiego niezdare, za takiego...

Biedni Marynka i Jurko! — To wstawienie się pana Włodzimierza do reszty popsuło waszą sprawę.

— Co to stary do pięciu djabłów! Alboż to stary nie może się już żenić!...

— A naturalnie że nie, bo sam głupstwo by popełnił, a młód dziewczynę uczynił nieszczęśliwą!

— Co młode! to głupie! — do pięciu djabłów. Otoż toż i ja się jeszcze mogę ożenić! do pięciu djabłów.

Pan Włodzimierz na te słowa w śmiech, aż się wziął za boki.

— A ja młodszy przecie od pana porucznika! — wtrącił pół głosem nadlesny, i na jego od trunku poczerwienioną twarz wystąpił uśmiech szyderczego tryumfu. I pan Jacek poczerwieniał ale z gniewu, który w tej chwili na prawdę go opanował.

— Na złość wacpanu! ożenię się do pięciu djabłów! tylko że nie wezmę żadnej czeszki, ani żadnej urzędniczki.

— I owszem, i owszem! — odpowiedział synowiec, i śmiał się coraz głośniej.

— No tedy do pięciu djabłów moja kobieto! Jak się zdaje, to wasz człowiek zostanie wójtem. Grzesiu, a poszlij no do karczmy! niech tu przyjdzie Jędruch do mnie. Jako wójt tedy do pięciu djabłów nie może córki wydać za tego Jurka, co to nie ma ani domu, gdzieby żonę zaprowadzić.

— Proszę pana porucznika, kiedy Marynka...

— A kiedy już tak koniecznie Marynkę chcesz wydać za męża, no to masz tu nadlesnego, któremu już wasz człowiek przyrzekł! No to przecie nadlesny już!... i ma porządną leśniczówkę, i jest przecie do pięciu djabłów!...

— Stary dureń! kiedy się chce żenić! — wyrwał się synowiec z całą namiętnością.

Nowa rozpoczęła się sprzeczka między stryjem a synowcem, której już wam nie chcę powtarzać. Biedna Jędruchowa płakała w kącie, a i dziewczkowi łzy się w oczach kręciły.

Tymczasem nadszedł Jędruch. Pan Włodzimierz ze złości wybiegł z pokoju, a pan Jacek nakławszy do mnóstwa djabłów, i nagadawszy się co nie miara, wyprawił wszystkich z tem, że Jędruch Hładysz będzie wójtem, a Marynka pójdzie za Grzegorza nadlesnego. Wracając ze dworu Jędruch, nałajał się żony niemało, a i do dzia-czka przemówił z złością i drwinami:

— Nic się wasze wdanie nie pomogło. Lepiejbyście zrobili, gdybyście własnego nosa pilnowali.

Nadlesny z wielkiej radości ręce zacierał.

— Pamiętajcie Jędruchu! — odpowiedział dzia-czek — że dwoje ludzi zrobicie nieszczęśliwymi jedno, z nich wasza córka! a drugie biedny ukrzywdzony sierota! A staremu Wasylowi przyrzekliście przecie, że Jurkowi krzywdy nie zrobicie!...

— Co mnie Wasyl obchodzi! ten żebrak i pijanica! już dawno musiał zgnieć. — Krzyczał Jędruch i drżał ze złości.

— Ale Bóg żyje! — rzekł jeszcze dziaczek, i przeżegnał się pobożnie.

Jędruch z Grzegorzem śmiejąc się, poszli do karczmy. Dziaczek odprowadził zapłakaną Jędruchowę do chaty.

## XII.

Het już za wsią niedaleko wielkiego boru, którego część należała do Zawalni, którego środkiem szła tak zwana sucha granica, dzieląca naszą prowincję od państwa rosyjskiego, na dolinie tak w około wzgórzami otoczonej, żeby ją raczej jarem nazwać można, było miejsce mocno krzakami zarosłe, co się zwało starą pasieką. Każde dziecko na wsi znało to miejsce, w którym rzeczywiście przed mnogimi laty była pańska pasieka, przeniesiona później w lepsze, dogodniejsze i bliższe miejsce. Z dawnej pasieki prócz nazwy został jeszcze kształt zarosli czworoboczny, ślady rowu, który te boki otaczał, dwie lipy stare, z których już tylko jedna połowa zieleniła się jeszcze po trosze, druga zaś spróchniała po większej części, świeciła nieraz w nocy jakby kocie lub sowie oczy. Były też i pomiędzy krzakami, co te miejsce starej pasieki otaczały, rzadkie już pozostałości dawnego płotu, złożone to z pala na pół w ziemię wbitego, to z kawałków trzeszczącego pod nogami chrustu. We środku też na jednym rogu o rów i krzaki oparty, wznosił się kawał przezroczystej szatry, pozostałej zapewne z budy dawnego pasiecznika. Miarkując po spustoszeniu i opuszczeniu tego samotnego miejsca, trudno było zrozumieć, jakim sposobem utrzymuje się na szatrze ten rodzaj pokrycia słomianego i te boki tu i owdzie plecione; jakim sposobem nareszcie w samym kąciku jakby resztki legowiska dawnego pasiecznika, leżała kupa słomy mierzwiastej zapewne, ale barwą żółtawą widocznie młodziej od całego otoczenia.

Obojętny przeszedłby koło tych śladów i ledwieby na nie zwrócił uwagę. Ale wieśniacy Zawalniccy umieli to inaczej wytłumaczyć i nie jedną ciekawą historyjkę umieli opowiadać o starej pasiece. A te opowiadania dla każdego były inne. Dla ludzi zabobonnych, co to chętnie wierzą w jakieś zjawiska nadprzyrodzone, to nie pruchno starej lipy świeciło jakby kocie albo sowie oczy, ale to świeciły prawdziwe oczy, ale nie ludzkie, jeno szatańskie; bo w pustej pasiece przemieszkiwał zły duch, który tam pilnuje skarbów zakopanych przez jakiegoś starego pasiecznika, co je tam nazbierał przekradając towary, i dla tego też ta słoma od lat niepamiętnych leży zawsze w kącie szatry i nigdy nie gnije, bo jej od wilgoci strzeże piekielny ogień, co bucha ze złego ducha. Byli nawet tacy odważni, czy raczej tak zawzięci tych skarbów pożądlivi, że próbowali czy im się nie uda podejść czujność złego ducha, i wydobyć skarby zakopane. Ba! ale ledwie który się zbliżył do starej pasieki, wnet się taki zrywał wi-



cher, że nie tylko czapkę i kożuch zrywało niezwyciężoną siłą, ale i włosy podnosiło do góry, jakby za nie ciągnęła w powietrze jakaś moc nadprzyrodzona. To też najczęściej zuchwalsi uciekali po tej pierwszej próbie. Ale był jeden, co tyle miał odwagi, że choć drżał i od wichru i od strachu, wszedł przecie do środka. No i cóż! z początku szło mu bardzo dobrze, bo wszystko się uciszyło, i znać usnął zły duch, bo te błyszczące jego ślepie nie świeciły od starej lipy. Ale kiedy się tak skradał coraz dalej ten zuch nad zuchy, nagle jak mu zacznie coś świstać koło uszów, a za każdym świśnięciem jak go zacznie coś walić, to po głowie, to po twarzy, to po bokach, aż mu się w oczach więcej rozświeciło świeczek, niżeli ich widział kiedykolwiek w życiu. A więc biedak w nogi; ale mu i to nie pomogło, bo to licho lepsze miało od niego nogi, bo też go bez miłosierdzia goniło, a już co ręce, to dalibóg twardsze od cepów dziesięciu, coby niemi walili silne chłopy. Ledwie się opamiętał przy figurze pana Juzusa, co tam stała od Chastowa; tam go przecie licho opuściło, ale nie było ni czapki i czupryny, a kożuszyna poszedł w kawałki; zaś sińców to i garbarz, co bycze skóry garbuje, tychby się nie dora- chował.

Tak przynajmniej ludzie opowiadali. Co tam w tem prawdy, ja nie powiem, bo ludzie poczciwi wiecie najlepiej, że niema wioseczki, która nie miałaby swojej bajeczki!... ba żebyć to jeszcze jedna. Działek choć sam tchórz nie mały, tłumaczył to wszystko wedle słów samego dobrodzieja, co był wielkim nieprzyjacielem takich bajecznych i nadnaturalnych opowieści. Więc tedy rzecz się miała tak po prostu.

Prócz niedogodności miejsca na pasiekę, nieboszczyk jeszcze ojciec pana Jacka Zawalskiego pan brygadjer, dla tego także przeniósł pasiekę ztamtąd, że to był zwykły przesmyk tych, co to przez kordon przekradali to towary, to zaś głównie bakun rosyjski, który jak wiadomo najlepiej, pachnie najprzyjemniej dla podolskiego włościanina. I prawda, że to miejsce jakby stworzone do tego, bo od pasieki ciągnęły się krzaki coraz wyższe aż na róg samego lasu; a w tem miejscu las był najgęstszy, na którym sterczały dwa słupy graniczne, świecąc sobie nawzajem orłami. A mimo wielkiej gęstwiny, żeby zdaje się zwierze nie zdołało przez nią przemknąć, przecie tu i owdzie wikłały się jedne w drugą wążutkie ścieżki ledwie dostrzeżone. To też taki chłopek w workiem bakunu lub innych towarów na plecach, ledwie tylko przeskoczył jakby koza dzika przez ten pas graniczny, już znikł w ciasnej gęstwinie. A choćby się kto za nim zapędził, to on majaczył po krętych ścieżkach lepiej od zajaca, co tumani myśliwca i psa w błąd wprowadza. Wnet się też dostał do krzaczków, a krzaczkami do pasieki. A już od czasu, jak są pasieki takie nadgraniczne na świecie, to można przysiąc, że pasiecznik za pan brat z każdym przemytnikiem. I po prawdzie cóż ma robić? Sam mieszkając na pustkowiu, gdyby się sprzeciwił takim przemytnikom, to obiliby go, że ruski rok popamiętałby. A jeżeli jednym okiem zaśnie a drugie przymróży, to będzie miał zawsze świeży bakun do fajeczki; czasem mu i nowa złotówka wleci do kaletki, nie rachując już w to, ile to on się wódki napije. Prócz tego w pa-

siece zawsze się znajdzie doskonałe miejsce na schowek. Bo choć potem wpadną rewizory, to przecie każdego ula nie będą przetrząsać; a pomiędzy pełnemi, będzie sobie nieraz stał próżny, i nie odezwie się przed rewizorem, że zamiast pszczoł i miodu, ma w sobie wonne bakunisko.

Ztąd tedy nieraz przychodziło do awantur, ba i do bójek przy tej pasiece, co czyniło nie mało nieprzyjemności dziedzicowi, bo choć ten nie koniecznie wierzył zakłębom swego pasiecznika, przecież nie mógł pozwalać, by mu įkrzywdę robili rewizorzy i przewracali pasiekę do góry nogami. Ale choć pasieka poszła precz, to przesmyk został przesmykiem, i bakunowi paczkarze mieli zawsze największe upodobanie w tej gęstwinie i tych krzaczkach. Ztąd poszło znowu, że gdy przyszli legry, jak ich nazywają na Podolu, po rewizorach, ci zaczęli zasiadać na paczkarzy w starej pasiece. Wprawdzie i to nie wiele pomagało, bo zawsze prawie zasiadający odchodzili z długimi nosami, a znowu w zimie to z dobrze czerwonymi nosami, i zawsze daremniuteńko. A gdy już minął ich czas, i odeszli z nocnego legowiska, zaraz zaszepotało coś w krzakach, i jeden lub drugi paczkarz szydzącem patrząc okiem za odchodzącymi, wpadał z swoim workiem, i tak go doskonale schował w krzaki albo w dół umyślnie wydrapany pod słomą, że się nieraz trafiło, jako jedną i drugą noc przedrzymali legry nie wiedząc o tem, na kilku workach bakunu, aż przyszła sposobna chwila, by go w boży dzień przynieść do wsi.

Opisawszy tedy to miejsce starą pasieką zwane, udamy się teraz do niego, bo przypominacie zapewne, jak to tego samego dnia, który opisałem w poprzednich rozdziałach, Jurko odprowadziwszy Marynkę, usłyszał przypadkiem, jak ktoś mówił do niemowy:

— Jutro jak wszystko uśnie... do starej pasieki!... i przynieść!...

Jurko też jakby go co tknęło nagle postanowił przyjść także na miejsce umówione, aby się dowiedzieć, co to tam za tajemna ma się odbywać umowa. Czy on przyjdzie czy nie, tego naprzód nie wiemy, ale my na każdy przypadek możemy zajrzeć choćby i trochę wcześniej do starej pasieki.

Wejście do niej nie było też zbyt łatwe, bo rowy były tak gęsto krzakami w około obrosłe, że dobrze się trzeba było podrapać na rękach i na twarzy, zanim się człowiek do środka wśliznął. Chyba że tacy, co tam częściej gościli, wiedzieli tajemne przesmyki, co tylko na oko wydawały się tak bardzo ciasne. Lecz mniejsza o to; jakeśmy weszli, to weszli, dosyć jesteśmy we środku. Już może godzina minęła od zmroku, i dobrze już ciemno, a nawet ciemniej niżby być powinno o tej porze. Ale przed zachodem słońca jeszcze nagromadziły się chmury, i póty się ścisnęły do kupy, grubiały i ciemniały, aż wreszcie choć oko wykol, nic nie widać; ani gwiazdeczki na niebie, ani na dwa kroki przed sobą na ziemi. A choć od czasu do czasu świsnie wiatr tam od pola i lasu i gwiznie preraźliwiej wzdłuż jarów, i podniesie się nawet wichrowym tumanem w górę, nietylko nie rozpędza chmur na niebie, ale zdaje się je zbliżać w jeszcze grubsze i ciemniejsze kłęby. W pasiece naturalnie jeszcze ciemniej, i dla krzaków i dla cienia, jakie pada od niedalekiego lasu.



Nie więc dziwnego, że na pierwszą chwilę, gdyby kto z nami wszedł do środka, nicby nie ujrzał, nic zupełnie. Cicho i ciemno jakby pod sklepieniem jakim. Ale ktoby to dowierzał temu; wszak wiemy, że w starej pasiece dziwne rzeczy dziać się zwykły. To też dłużej zabawiwszy, naprzód uderzyłby w oczy!... O nie w oczy! ale w nos uderzyłby zapach, co przecie nie od ziemi, nie od lasu, i nie od nieba pochodzi... zapach poprostu bakunowy, ten mocny, dymny, w nosie kręcący zapach. I wpatrzywszy się lepiej w ciemność, można oczami zajrzeć, że coś świeci niby. To te oczy pewnie sowy lub kota; czy ślepie złego ducha!... Nie zdaje się, bo oczów jest dwoje, a to wyraźnie jedno tylko silniej lśni się światelko, i te widać nie przy lipach, ale tam w kąciku, gdzie leży nagromadzona słoma.

Lecz na cóż mam dłużej utrzymywać w niepewności. Ot wolę powiedzieć od razu, że tam na słomie leżał na prawdę ktoś i kurzył sobie luleczkę króciutką nabitą doskonale mokrym bakunem. Był to mężczyzna już nie młody, co widać po zmarszczkach na twarzy i chorobliwie opuchniętej pod oczami zaczerwienionemi okropnie; przy tej twarzy widać źle porośniętą brodę z kasztanowatych niegdyś, dziś posiwiałych już nieco włosów, okropnie zaniedbaną, rozczochraną i zbrudzoną. Na głowie też sterczą także same włosy w kołtun prawie zbite przez zaniedbanie. Oczy ten człowiek ma najbrzydsze, bo choć ich barwę jaśniejszą wiek przyćmił jeszcze i wszelkiego żywszego wyrazu pozbawił, ale i powieki tak są poczerwienione, i białka oczów pokryte naprężonemi żyłkami czerwonymi, a do tego zciągnięcie brwi tak przykre i tak gwałtownie przymuszone, że cały wyraz tych oczów wydaje się okropny, i jakoś tak złowrogi, jak gdyby ta czerwoność była na prawdę czerwonością krwi, jaką można dostrzedz czasem u dzikich zwierząt. Cały jego ubiór wieśniaczy zwiastuje nędzę i zaniedbanie. Płótnianka na nim obdarta i odwiecznemi plamami zawalana, także sama pod nią koszula, tak poszarpana, że przedzejby ją można było użyć do łapania raków, niżeli do ubrania ciała ludzkiego. Koło niego na słomie leżą dwie torby w łachman prawie rozstrzępione, i kij długi z przyczepionym doń cienkim i kilkakroć powiązanym sznurkiem, co mu służy miasto batoga, aby się opędzał od psów; wszystko to razem daje nam wyobrażenie o tym człowieku, że musi być nie tylko żebrakiem, ale nawet włóczęgą, któremu w sercu nie wiele już ludzkiej poczciwości.

Wpatrzywszy się bliżej w niego, poznamy zapewne w końcu, czego się już czytelnicy moi zapewne domyślili, naszego znajomego Wasyla. Ale jakże okrótnie zmieniony. Chociaż i dawniej nie miał bardzo miłego wyrazu na twarzy, coby to trafił do serca; ale też nie było w niej nic bardzo przykrego. Był to dawniej wyraz smutku i zaniedbania, pochodzących z wewnętrznego żalu, jaki mógł mieć i słusznie do Jędrucha. Widać było dawniej to tylko, że w skutek domowych kłótni i nieprzyjemności rozpróżniaczył się, i niemając miłego zajęcia w domu rozwałęsał się i stał się obojętny na wiele takich rzeczy, co go pierwiej serdecznie obchodziły. Dziś to już co innego. Smutek i żal zmienił się w złość i gniew, co w nim kipią nieustannie. Zaniedbanie i obojętność zostały, ale prócz tego zrodziła

się w duszy zawziętość i chęć zemsty za wszystko złe mu wyrządzone. Waleśanie się jego i chęć do próżniactwa zmieniły się w ciągłą włóczęgę, bez wytchnięcia i bez celu. A wiecie dobrzy ludzie, którzy cicho i spokojnie siedzicie w chacie i pracujecie na własnym kawałku ziemi, co to jest włóczęga i jak okropnie przynosi skutki. Włóczęga, gdy naprzód przez żebraninę straci wszelkie pocziwsze uczucie i przyzwyczai się do lekkiego chleba, już nigdy się do pracy nie wezmie, i woli nieraz znosić głód i pragnienie, niżeli przyłożyć rękę do jakiej roboty. Taki włóczęga stanie się każdemu ciężarem, bo każdy próżniaka znieść nie może. Więc też aby się pozbyć go, rzuci mu jak psu niechętnie kawałek chleba do torby, lub jaki groszyk miedziany. I włóczęga straciwszy wszelkie uczucie szlachetniejsze przyjmować będzie ten dar, warcząc pod nosem na niechętnego dawcę jako zły pies. I nie długo zechce mu się znosić głód i pragnienie; ale natomiast, gdy mu jedno i drugie dokuczy, zakipi mu gniewne uczucie w sercu, a w głowie zaświeci grzeszna myśl. Chodząc od chaty do chaty, od wsi do wsi, nie zabawiwszy nigdzie tyle — bo zabawić nie może — by się mógł przywiązać po ludzku, czy do ziemi czy do człowieka; coraz więcej będzie nienawidzić ludzi, i gniewne uczucie przechodzić będzie w zawziętość, a grzeszna myśl coraz więcej skłaniać się będzie do zbrodni.

Tak się działo z naszym Wasylem. Gdy wyszedł ze wsi swej rodzinnej, którą znał i kochał od dziecka, żał mu było za nią serdecznie; tęsknił za wsią, tęsknił za Jędruchową, za Marynką, za Jurkiem, którego jak wiemy, tak bardzo lubił; tęsknił za pocziwym dziaczkim, i za tą biedną niemową, co go tak serdecznie żegnali. Miał zatem żal do Jędrucha, który go wypędził; lecz żal ten był umiarkowany tą właśnie jego niedbałą naturą, i przez wzgląd na jego kobietę, córkę i parobka, których kochał, przebaczał mu prawie.

Ale im dłużej był oddalony, im dłużej musiał się włóczyć, tem mu było przykrzej, tem większy uczuwał żal do Jędrucha. Pierwszych lat zaglądał czasami do Zawalni, ale to jeszcze było gorzej dla niego. Ludzie znajomi od niego się odzwyczaili, jako na żebraka niechętnie patrzyli, to też w Zawalni nikt go radośnie nie przywitał, ani też bardzo zatrzymywał. Najwięcej obojętnym był dla niego Jędruch, i ledwie mu godzin parę dał u siebie odpocząć. Jędruchowa biedna nie śmiała mu okazać całego współczucia; Marynka była durnem jeszcze dzieckiem. Jeden Jurko witał go z radością i łzami, ale i ten nie śmiał całego serca okazać, bo go Jędruch pędził z chaty, a Wasyl widział dobrze, jak nim pomiata i poszturkuje. To też każdym razem wynosił Wasyl z Zawalni więcej jeszcze złości wewnętrznej, która się w nim gotowała przez czas włóczęgi coraz większa i coraz gorsza. Potem już przestał bywać w Zawalni, przynajmniej nie pokazywał się tam ludziom, tylko się z boku po jarmarczku okolicznych dowiadywał, albo czasem milczkiem chyłkiem przyszedł w nocy i rozmówił się z niemową o tem, co chciał wiedzieć.

I tak tedy pomału Wasyl upadał coraz niżej; stawał się po tej drodze, którą wam wyżej opisałem, coraz większym próżniakiem, włóczęgą i złym człowiekiem. Nieraz gdy mu bieda dokuczyła, przy-



chodzący mu do głowy myśli zbrodnicze. O mój Boże!... czyż to nie próżniactwu i włóczędztwu winien nie jeden, że wyjdzie na złodzieja, na podpalacza i rabusia. Dla tego czy bieda czy nie, czy na swoim czy na cudzym, pracujcie ludzie dobrzy, pracujcie póki możecie, bo Pan Bóg dał pracę jako najdzielniejszą broń naprzeciw napaści złego ducha, który nie przyjdzie do orzącego na roli, do siejącego na skibie, do młócacego w stodole, bo tam Bóg jest koło niego i jego święci aniołowie; ale przyjdzie do karczemki, przyjdzie na jarmarczek, przyjdzie, gdy się w łóżku czy w cieniu rozłożysz dłużej niż potrzeba, i tamci będzie słodko przemawiał do ucha chwając życie próżniaczce. Człowiek pracowity to Bogu; próżniak i włóczęga, to djabłu oddany. Wasyl poskramiał jak mógł myśli zbrodnicze, bo Wasyl nie był w gruncie złym człowiekiem, ale choć paskudną jaką myśl gdyby pokusę odpędził od siebie, to przez to samo wzmagala się jego zawziętość do Jędrucha. Wszakże to (tak nieraz mówił sam do siebie) przez niego, przyszedłem i do nędzy i do złych myśli!

Bogiem też i prawdą, nikt nie był winien moralnemu upadkowi Wasyla, jeno Jędruch Hładysz, w swej głupiej dumie i nieużytej chciwości. Zapewne każdy człek na świecie sam siebie pilnować powinien, i słuchać wszystkich przepisów bożych i ludzkich, jakich się od dziecka nauczył, a mianowicie w żadnym razie, choćby miał w biedzie przepaść, nie odstępować tych pięknych i świętych przykazań Boga, z którymi człowiek najprościejszy może przejść uczciwie świat cały. Ale człowiek jest słabe stworzenie, i wystawion na rozmaite pokusy, dla tego strzeżmy się, byśmy go przez naszą winę nie popędzili na złą drogę. Kto drugiemu krzywdę czyni, podwójne zło, i podwójny grzech popełnia, bo nie tylko że cudza krzywda jest szkaradnym grzechem, a więc właśnie nim obciąża sumienie, ale co gorzej nieraz krzywda wyrządzona, drugiego napędzi i najudzi na złą drogę, a więc i jego grzechy późniejsze na własnym mieć będzie sumieniu. Ze złego zawsze złe tylko pójść może, jak ze złego nasienia zły tylko plon być może. A więc nie siej nigdy złego nasienia, czy to na własne pole, czy na obce, skoro wiesz, że nasienie jest nic warte!...

Lecz wróćmy do Wasyla, jak teraz leży na słomie w starej pasiece. Przypatrzmy się bliżej, a zobaczymy, co może najwięcej przyłożyło się do jego zguby. Już to nie darmo ma tak rozpalone oczy w około, i białka tak czerwone, jakby krwią nakrapiane. Nie z samej to nędzy przyszło, i nie z samej włóczęgi. Patrzmy co robi.

Przewrócony na słomie pykał sobie długo z krótkiej luleczki, aż go nareszcie czy palenie bakunu, czy daremne oczekiwanie znudzić musiało. A więc się naprzód podniósł na słomie, i zaczął z cicha mówić sam do siebie. Głos jego był przyciśnięty nieustanną dusznością, co go czyniło nadzwyczaj przykrym i chrypliwym.

— Nie przychodzi!... a żeby cię!... noc krótka!... teraz byłoby najlepiej, bo ciemno jak w piecu i wiatr przeciąga. Oj śliczny wiatr!... aż miło! — I zaiskrzyły mu się oczy krwawym błyskiem. I znowu chrypił sam do siebie! — A ta przekłeta niemowa! ja tu

czekam! aż mnie ledwie djabli nie wezmę! to nudno tak czekać!... ba! zapomniałem.

Tu się rozśmiał sam do siebie, i prędkim ruchem sięgnął do torb swoich. I wyciągnął — a na ustach rozbiegał się jeszcze radośniejszy uśmiech, aż mimowolnie plasnął niemi, jakby co smakował — wyciągnął kawałek suchego i zaśniedziałego chleba, kawałeczek bardzo mały, ale za to wyciągnął jeszcze daleko większą flaszkę; chleba kawałkiem rzucił z niejaką pogardą, ale za to flaszkę podniósł obu rękami z wielkiem zamiłowaniem, i jak przyłożył do ust, to z pół kwadransa słyhać tylko było gardłowe polykanie...

— Tyle mego szczęścia! — powiedział odkładając flaszkę i kłócąc nią, aby się przekonać, jak wiele nadpił. — Jeszcze większa połowa! teraz łatwiej czekać! głupi byłbym żebym się frasował!... albo co? he!... żeby mnie tam sumienie gryźć miało...

To powiedziawszy kiwając się z niejakim upodobaniem, zaczął dalej pykać z fajeczki, którą próbował przez ten czas nieustannie, by mu nie zgasła.

Teraz już wiemy, z kąd pochodziła ta czerwonosć w oczach. Wasyl się rozpił na swojej włóczędzie, i to go zgubiło do reszty. Jak zaczął w wódec szukać najprzód pociechy, zalewać czas, z którym nie wiedział co zrobić, i smutek swój, i nędzę swoją i przykre myśli swoje, tak w końcu zalał nią i lepsze uczucia swoje, zalał i sumienie. A że jak zwykle każdy pijak coraz więcej pić musi, więc też i Wasyl coraz się więcej biorąc do wódki, przyprowadził do tego, że nigdy prawie zupełnej nie miał przytomności. W tym stanie ciągłego i sztucznego rozpalenia, wszystkie jego myśli rozpały się coraz więcej, tak, że w końcu jak u człowieka, co ma obłąkanie głowy, najdziksze wyobrażenia stały mu się zwykłą i naturalną myślą. Tym sposobem zawziętość do Jędrucha spotęgowała się u niego aż do koniecznej chęci zemsty. I tak po pijanemu przyzwyczaił się do tej myśli, że gotówby zabić człowieka, co chciałby mu dowodzić całą niesprawiedliwość zemsty. W jego pijanej fantazji zdało się, że sam Bóg nie może się gniewać na niego za zemstę tak słuszną. A osobliwie teraz, gdy się dowiedział wczoraj właśnie od niemowy, że Jędruch wybił Jurka i wypędził z domu.

— Poczekał psiawiaro! nauczę ja ciebie! — mówił sam do siebie, niecierpliwiąc się coraz więcej, i od czasu do czasu zalewając tę niecierpliwość nowym wódki lykiem.

I znowu czas jakiś pykał z fajeczki w cichości. Czujne mimo to miał ucho, bo wnet usłyszał, że coś załomotało między krzakami. To niemowa weszła krokiem ostrożnym. Brzydka twarz niemowy dziwnie jakoś była zmieniona. Znać było na niej, jakby się sprzeczne kłóciły uczucia; był na niej bowiem niepokój i pomieszanie, a z oczów przecie strzelał czasem wyraz złośliwy, podobny prawie do krwawego odbłasku w spojzeniu Wasyla.

— Przecież przyszła!... czekam już tak dawno! A tu trzeba się spieszyć... bo noc krótka!...

Na te słowa pospiesznie wymówione, niemowa żadnego nie dała



po sobie znaku; jakby ich nie dosłyszała, stała naprzeciw Wasyla nieruchoma, z oczami w ziemię wciśniętymi.

— Cóż u czorta! czy mnie rozumiesz? czy co? podajże mi coś mi przynieść przyrzekła.

Niemowa nie podniosła oczów, tylko głową kiwnęła w sposób przeczący.

— A żebyś przepadła!... Nie przyniesiaś! dla czego? cóż ci nowego do głowy przyszło? Może się tam co zmieniło? Mówże przecie.

Niemowa podniosła głowę pomału i smutne rzuciła spojrzenie. Potem zaczęła powoli i wyraźnie dawać rozmaite znaki to palcami, to całymi rękami, i twarzą nawet, przyczem wyraz na niej stawał się coraz wymowniejszy. Wasyl przypatrywał się znakom z natężoną uwagą, i coraz niespokojniej ruszał się na słomie, coraz gniewniej patrzyła oczy jego.

— Został wójtem!... winszuję!... zobaczymy! — mruzczał sam do siebie z zaciśniętymi zębami. — Hulacie tam w karczmie! cała ci wieś winszuje!... dobrze!... dobrze!... i Wasyl ci powinszuje!... o powinszuje tak, że popamiętasz długo!... długo!... a Jurko?...

Niemowa jeszcze smutniejszą twarz zrobiła i nowe rozpoczęła znaki, których z początku Wasyl zdawał się nie rozumieć, lecz nagle zerwał się na równe nogi.

— Co? mego Jurka?... poczekajcie! a to Jędruch.. Dawajże mi kobieto co prędzej!... muszę biegnąć...

Niemowa złożyła ręce, jakby go błagać i zaklinać chciała...

— Czego ty mnie niecierpliwisz? A żebyś tej chwili przepadła przeklęta niemowo!... Dawaj bo cię obję!... Daremne są twoje prośby! żeby cała się tu wieś zesza, żeby sam Jędruch padł tu przedemną na kolana i całował mnie po tych nogach pokaleczonych, które wychodziłem przez niego. Żeby sam Pan Bóg zeszedł!... No dajesz czy nie?

Niemowa przycisnęła jedną rękę do piersi, jakby chciała coś przytrzymać, aby jej nie odebrano, a twarz i oczy podniosła ku niebu; drugiej ręki palec wzniosła także z ruchem dziwnie uroczystym. Najmniej obeznany z jej mową zrozumiałby od razu, że ona gniew zapamiętały Wasyla chce powstrzymać myślą o Bogu dobrotliwym, który wszystkim ludziom nakazał przebaczenie. Ale Wasyla i to nie poruszyło; przeciwnie rozśmiał się śmiechem tak szyderym i przykrym, że biedna niemowa zadrżała ze zgrozy.

— Bóg!... Bóg daleko! — wrzeszczał chrapliwym swoim głosem — Jurko ma przepaść! a Jędruch panować! Nie! nigdy!...

I zauważywszy ruch niemowy, rękę do piersi cisnącej, snać go zrozumiał, bo się nagle rzucił do niej i chciał porwać za trzymającą rękę. Lecz niemowa szybkim skokiem cofnęła się przed nim. Wasyl zazgrzytał zębami jak dzikie zwierzę.

— Głupia! głupia!... Jak nie dasz zaraz, to Jędruch na tem pewnie nie zarobi. Idę zaraz i zabiję go w własnym domu temi rękami, zabiję spiącego.

Mówiąc to Wasyl tak okropnie wyglądał, że każdy byłby uwierzył w prawdę jego postanowienia. Niemowa uwierzyła znać także, bo szybkim ruchem ręki wyciągnęła z za pazuchy i podała mu małe jakieś zawiniątko szmatami osłonięne. Porwał je Wasyl z radością i śmiechem pół głośnym, którego nie mógł powstrzymać. I prędko rozwinął, jakby się chciał przekonać. Ze środka szmatek lysnęło coś nakształt tego światła pruchnowego na starej lipie. Znać było w szmatach to, czego szukał, bo co prędzej obwinął nazad, schował za koszulę i torbę pospiesznie przewiesił przez plecy, a kij wziął w rękę. Lecz nagle jakby sobie jeszcze co przypomniał, dobył flaszkę wódki, i łyknąwszy z niej potężnie, zwrócił się do niemowy.

— Łyknij i ty, to nie będziesz stała tak głupia i tak przestraszona!... I ja dawniej byłem tak głupi, ale dziś wybiłem sobie z głowy!... dziś się nie stracham tak łatwo; a jak mi dawne myśli przychodzą do głowy, to je odganiam tą pocziwą wódeczką! Niema jak wódeczka!... no napij się!... Nie chcesz! mniejsza o to! ale pamiętaj, abyś nikomu potem nie powiedziała, ani słóweczka!... ani znaku żadnego!... bo niech mnie djabli wezmą!... zdusiłbym cię jak psa!...

To rzekłszy raz jeszcze zajrzał do flaszki i szybkim krokiem wyszedł z starej pasieki. Niemowa też poszła za nim z bardzo smutnym i niepewnym wyrazem na twarzy.

Po dobrej dopiero chwili słyhać było jakiś krok przyspieszony, i przedzierający się przez krzaki wbiegł Jurko. Lecz jak wiemy, nikogo już nie zastał. Sam sobie był winien, jeżeli tak późno przyszedł. Chociaż po prawdzie powiedziałwszy, nie zupełna przy nim była wina, i zaraz wam to wytłumaczę, jak się to stało.

Już to od rana myślał o tem i pamiętał Jurko, by pójść na to miejsce tak tajemnie umówione, chociaż biedaczysko nie mało miał zgryzoty. Przed południem jeszcze rozeszło się po całej wsi, że najstarsi gospodarze byli u dziedzica, i że po wspólnej naradzie Jędruch Hładysz został wójtem.

— Biedny ty mój Jurku miły! — rzekła matka do syna. — To już teraz niema nadziei nawet.

— Oj biedny! — szepnął Jurko sam do siebie.

Ledwie się o tem dowiedzieli od sąsiadów, kiedy nadbiegła zaszapana do starej chaty sama Jędruchowa, i nie tylko potwierdziła wiadomość o wyborze Jędrucha na wójta, ale wiele jeszcze smutniejszych powiedziała rzeczy. A najprzód doniosła im o wczorajszem gadaniu z dziedzicem; jako daremne były próśby jej i dziaczka, i wstawienie się panicza, któremu to Pan Bóg niech stokrotnie nagrodzi.

— I czegom się bała strasznie, to się stało — mówiła Jędruchowa dalej. — Jędruch mi dziś wyraźnie powiedział, że Grzegorz leśny będzie mężem Marynki.

I matka i syn załamali ręce w rozpacz, i jęknęli boleśnie.

— A Marynka? — zapytał Jurko z bolesnym strachem.

— Marynka biedna zalewa się łzami! — odpowiedziała matka, i sama rzewnie zapłakała.



— Czemu przynajmniej z wami nie przysła, abym mógł ją choć raz widzieć jeszcze! — mówił Jurko polykając łzy, co mu się gwałtem cisnęły.

— Marynce ojciec kazał pójść do siostry swojej, co mieszka na leśnej Wulce na cały dzień, aby się z tobą nie widziała, i także nic nie powiedziała, bo mój ty biedny Jurko jeszcze nie wszystko!...

— Nie wszystko! — zakrzyknęła matka Jurkowa.

— Słysząc, że ma być rekrutacja! i to już podobno dziś czy jutro!... i Jędruch przysiągł, że Jurko pójdzie na żołnierza, aby sobie wybił Marynkę z głowy!

— Boże mój! — zaczęła zawodzić stara Orypyna.

— To i lepiej! — mówił Jurko — wolę pójść na żołnierza! może gdzie umrę lub zginę!

— Jurku! synu! kochanie! nie mów tak!

— Jurku!... ty masz matkę przecie.

— Ale Marynkę muszę widzieć jeszcze.

— To też posłuchaj mnie Jurku!... ja dla tego tu przybiegła, bo mój z gospodarzami poszli jeszcze do dobrodzieja. Na każdy przypadek, aby ciebie dziś nie porwali jeszcze, bo jutro to my przecie wyprosimy u dziedzica, aby się za tobą wstawił, trzeba żebyś się ukrył. Ot biegnij sobie na pole, taj tam do gaju okrągłego jak idzie ścieżka do leśnej Wulki. A przed zmierzchem, to Marynka będzie wracać od ciotki!... i biedaczka będzie sama jedna szła; to i lepiej byś ją odprowadził do wsi. Rozumiesz Jurku!

— Ale żeby go wasz nie uchwycił!

— Nie bójcie się kumo tego. Dziś oni wszyscy do późna będą w karczmie u naszego Mojsia. Jędruch powiedział, że taki da im traktament, jakiego jeszcze nie pamiętają w Zawalni, ażeby ludzie nie gadali, że on skąpy. Ta wziął nawet do siebie ze skrzyni cały worek z rublami i talarami.

Stara Orypyna jeszcze zawodziła, ale Jurko choć chwilowo był pocieszony, i łatwo pojąć, że przystał na to, co mu radziła Jędruchowa. Cały dzień przeleżał w okrągłym gaju, a jak tylko zaczęło się zmierzchać, wyglądał póty z za brzozy narożnej aż wreszcie ujrzał swoją lubą Marynkę, jak szła smutna przez ścieżkę. A więc co prędzej wyszedł naprzeciw niej i zaczął odprowadzać. — Teraz rozumiecie już, dla czego tak późno przyszedł do starej pasieki. Wszak nie jeden z was był młody, i trafiło mu się zapewne, że sam jeden szedł drożyną z swoją narzeczoną. Drożyna była krótka, ale jak zaczęli gadać między sobą, tak się jakoś przedłużyła. Tak też było i z Jurkiem. Zaczął on odprowadzać Marynkę, to prawda, ale łatwiej było zacząć, niżeli ukończyć.

Bo zaraz z samego początku, Marynka była jakoś zmęczona, więc tedy usiedli sobie w gaju okrągłym pod śliczną białą brzożką, na murawie zielonej. I siedzieli tam dopóty, dopóki choć cokolwiek jeszcze było światła na niebie, jakie to na wiosnę długo jeszcze na niem błyszczą po zachodzie. A gdy wstali już, to tak jakoś szli powoli, i tyle razy się zatrzymywali, że już późno było, gdy Marynka stanęła przy ogrodzie ojcowskim nad przełazem, co tamtędy prowa-

dził dla skrócenia drogi. A gdy już tam stanęli, więc się trzeba było żegnać. A czy to tak łatwo się pożegnać, kiedy się człowiek ma żegnać na zawsze? Biedny Jurko! Biedna Marynka!... I jakże długo nie mieli między sobą gadać, kiedy to może ostatnia ich pogadanka, i kiedy tym razem bezpiecznie przynajmniej mogli z sobą pogadać, bo ojca, jak wiedzieli, nie było w domu jeszcze. Wszakże nawet słychać było gwar pijących w karczynie.

A o czemże gadali? Na co to tłumaczyć!... kto sam tego nie rozumie, czy raczej nie pamięta z lat swych młodych, temu i sto słów nie wystarczy. A kto sam pamięta taką rozmowę za młodu, temu słów nie potrzeba. On je lepsze i piękniejsze w sercu swoim nosi. Ot zwyczajnie z początku swobodniej gadali, bo przypominali, co tylko zapamiętali jeszcze od lat dzieciennych, kiedy bywało skacząc i biegając bawili się z sobą. Słodkie to i lubie przypomnienia. A starsi! choć to tak niedawno! to przecie także nie jedno pamiętali, że nikt na świecie tak się jeszcze nie kochał, jak Jurko kochał Marynkę, a Marynka Jurka. A to słowo kocham, to jakieś takie dziwne słowo, takie jakieś ma w sobie rzeczy tajemne, że choćby je sto razy powiedział, i sto razy usłyszał, kochankom wyda się coraz nowsze, coraz piękniejsze, coraz więcej za serce chwytające. I mówili o tem, jakby byli szczęśliwi, gdyby mogli być szczęśliwi! Biedne dzieci! A gdy się przyszło żegnać, to już słów zabrakło zapewne. Ale za to były łzy, i jakie łzy, i wiele łez. To płakali i ściskali się.. to ściskali się i płakali. I nie mogli się pożegnać.

— Jurku!... Marynko!... kocham cię!... i do śmierci kochać nie przestanę! — mówili bez końca, a łzy to się im już potokiem lały, jakby się ich serca w rzekę łez przemieniły. To szczęście, że nadeszła Jędruchowa i zabrała córkę!..

Jurko tedy dla tego tak późno przyszedł do pasieki. Przypomniawszy sobie wczorajszą rozmowę tajemną, przykro mu było, że się niczego dowiedzieć nie mógł. Ale zwyczajnie jako zakochany zamyslał się, i szedł do swej chaty pomału. Nagle stanął, wyciągnął się, i twarz jego miała wyraz zdziwiony.

— Co to! — mruknął do siebie — burza niesie ku mnie jakiś dziwny zapach... jakby spalenizny.

### XIII.

W rzeczy samej od niejakiego czasu wzrastał się wiatr coraz większy. Ciemne obłoki przemykały po niebie lotem ptaków olbrzymich o ciemnych skrzydłach. Od boru dalekiego dochodził szum liści i konarów szalonym ruchem burzy tam i sam miotanych. Bliżej po polach, niwach i sadach huczał, świstał i łomotał wiatr w sposób okropny. A tak był gwałtowny jego powiew, że idącemu naprzeciw Jurkowi dech zapierało; a czasami gdy rozhukany wicher porwał z sobą tumany kurzu i podniósł słupem do góry, całej musiał użyć siły swojej, aby się utrzymać na nogach, aby go nie porwał wściekły



wir wichrowy. Nieczuły z początku na tę burzę żywiołów, szedł Jurko prosto przed siebie; bo myśli jego były zajęte okropniejszą burzą, jaka wrzała w jego piersiach.

— Porzucić Marynkę!... porzucić na zawsze! — huczało mu w piersiach i głowie stokroć okropniej od szalonego burzy huku. Zbudził się dopiero, gdy jak mówiliśmy w pośród rozmaitych woni, co mu wiatr przynosił od boru, od łąki, od pola zbożem zasianego, od sadów owocowych, zdało mu się, iż uczył przenikliwą woń świeżej spalenizny. Zatrzymał się nagle. Nie mylił się, nie!... zapach spalenizny wzmagał się coraz więcej.

— To się gdzieś pali niedaleko! — przemknęło mu przez głowę. I ogarnął go jakiś strach niepojęty, przeczuwający coś. Nie wszakże w tem dziwnego!... Czy może być co straszniejszego dla biednego wieśniaka nad pożar, który od razu może zniszczyć cały jego dobytek w ziarnie, w chudobie i w skromnych budynkach jego, całe to mienie, zdobyte w pocie czoła długimi latami pracy. Nikt też może lepiej od naszego wieśniaka nie rozumie całej okropności pożaru na wsi, pożaru, który najczęściej wszystko bezkarnie pochłonać może, bo ostrożności i przygotowania do ratunku są zwykle bardzo małe na wsi. W tym względzie wielka jest dotąd niedbałość naszego chłopaka, który mimo mnogich i surowych nakazów, rzadko kiedy ma w swej chacie potrzebne ku temu narzędzia. Ale też za to jakże chętnie biegną choćby najdalszemu sąsiadowi drudzy wieśniacy w pomoc? I biedz powinni tem prędzej i tem chętniej, bo jeżeli nie powinność, to własne dobro ich tam gonić będzie. Jeżeli by nie mieli współczucia dla nieszczęścia, którego obojętność rozumieją bardzo dobrze, pamiętać zawsze powinni, iż to nieszczęście jednego przy lada mocniejszym wietrze stać się może nieszczęściem wszystkich, bo zniszczeniem całej wioski.

Lecz prócz tego tak naturalnego uczucia, obudził się w sercu Jurka jakiś niepokój jeszcze silniejszy, którego sobie wytłumaczyć nie potrafił. Gdzie się pali? huczało mu dziwnym głosem po głowie. I przestraszony parobczak zaczął pędzić co prędzej dolinką, aby stanąć na górze. Zanim zdołał dobieść do najwyższego pagórka, na którym była mogiłka i stał znajomy nam krzyż na Petrowem polu, ujrzał nagle, jak się przed nim ciemność nieba chmurami obłoniętego rozświeciła jakąś nagłą jasnością, którą wiatr zdawał się to podnosić do góry, to do ziemi rzucać, to rozrywać na wszystkie strony drobnymi iskrami, które do lyskawic podobne przemykały po ciemnem niebie.

— To się u nas pali we wsi! — krzyknęły mimowolnie usta przerażonego Jurka, i serce jego okropnie zadrżało. Bo przecucie niejasne dotąd, nabierało coraz więcej znaczenia, coraz więcej wyrazu. W tej stronie właśnie, z której pojawiła się mu luna, stoi chałupa Jędrucha Hładysza. Tam mieszka jego Marynka najdroższa. Tejże samej chwili przypomniała mu się wczoraj usłyszana rozmowa. I wszystko stanęło mu przed myślą tak jasne, jakby był świadkiem całej rozmowy umówionej między niemową i Wasylem.

Pędził biedny młodzieniec z całej siły. I z ostatniem oddechu nateżeniem stanął na pagórku przy krzyżu Petrowym. Wyrwał mu

się z piersi przerwany wykrzyknik. Nie było już żadnej wątpliwości. To Jędrucha Hładysza obejście pali się. Łyskawica przebiegła mu przez głowę, pożegnanie z Wasylem ostatnie na tem samem miejscu.

— To Wasyl podpalił! — stało mu jasno w głowie.

Skoczył jak szalony naprzód, i kilka prawie tylko zrobiwszy skoków, zbliżył się do miejsca pożaru. Okropny przedstawił mu się widok. Ogień wszczęty jak się zdawało od strony pola w przeszłorocznej jeszcze zboża stercie, wiatrem, który dał nielitościwie, rozdmuchany, niesiony tysiącami iskier, które sypały się z lecących po powietrzu snopków i okłotów palących się, preniósł się już na stodółkę, o którą przypierały szopka, stajenka i o kilka kroków dalej sama chata. Widok tem był okropniejszy, że prócz trzeszczącej w ogniu słomy, prócz huku burzy, co wrzała ciągle, cicho było w chacie, cicho było w całej wsi. Wszyscy spali pierwszym snem ujęci; dzieło zniszczenia postępowało sobie naprzód niczem niewstrzymane. A płomień wzmagał się coraz większy. Za każdym krokiem biednego Jurka zdało mu się, że pożar już wszystko obejmuje, nawet chatę, w której ukochana Marynka spi snem ujęta, obejmuje już w swoje ramiona. I w rzeczy samej płomień wichrem porywany, rozlewał się ognistym potokiem nie tylko po nad całym obejściem Jędrucha, ale zdało się nawet, że się przelewa dalej, przez parów, przez góry, aż na drugą stronę, gdy nagle przeciwnym prądem nieustalonego jeszcze wiatru porwany wracał nazad, i przestraszony Jurko nie widział nic już przed sobą z obejścia Jędruchowego, tylko jedno wielkie ogniste morze. A tu jeszcze ma przed sobą ze trzysta kroków, jeszcze ze dwieście, jeszcze ze sto przynajmniej. Co przecierpiał biedny Jurko przez tych chwil kilka, to żadne słowo oddać nie potrafi. I prócz niego spią wszyscy; prócz niego nikt nie spieszy na pomoc tej biednej rodzinie, która ginie z mieniem i z duszami bez ratunku.

Jeszcze miał ze sto kroków, kiedy zasłyszal pierwszy głos jakiś. To od cerkwi zadzwoniły dwony na gwałt. Poczciwy dziaček mimo krzywych nóg, pierwszy jakoś zdażył do dzwonnicy, by znajomym całej wsi głosem dać znak ludziom o nieszczęściu, jakie Bóg zesłał na jednego z nich. Jeszcze miał z pięćdziesiąt kroków może, kiedy usłyszał przecie tam i sam po wsi odzywające się głosy. To dzwonienie dziačka rozbudziło ludzi we wsi, i spieszą już na ratunek. Lecz czy zdołają zdażyć w czas? Wszakże Jurko sam już może za późno przybędzie. Jeszcze był kilka kroków od chaty i zdało mu się, że coś się mignęło na dziedzińcu! Ledwie mógł zajrzeć, a przecież byłby przysiągł, że to jakieś ludzkie stworzenie. I usłyszał jakby stukanie jakieś do okien chaty, i głos jakiś przeraźliwy dziki i niewyraźny. Byłby przysiągł, że to głos niemowy!...

Już był przy samem obejściu Jędrucha. Lecz oślepiiony blaskiem ognia i iskrami co mu się sypią krociami, ledwie zdołał patrzeć przed siebie. Sterta i stogi już się spaliły; płomień ogarnął już stodółkę, stajenkę i szopkę, i już strzecha chaty samej w kilku pali się miejscach, a płomień to się wyżej unosząc, to spadając niżej, rzuca się już ku drzwiom i ku oknom chaty.



A od cerkwi dzwonią ciągle na gwałt dzwony jęczącym zda się głosem.

— Ratujcie! ratujcie! — odzywają się głosy coraz bliższe. Jurko na nic nie zważa, nic nie słyszy; już jest na dziedzińcu. Zastaniając oczy, schylony ku ziemi, by się łatwiej ustrzedz od płomieni, skoczył do drzwiom chaty. Już się pała, niema przejścia, płomień spadł już z dachu do środka i przez drzwi buchnął ku niemu. Biegnie ku jednemu oknu, biegnie ku drugiemu, znowu bucha płomień ku niemu. A ze środka odzywają się głosy kobiece żałośnie, zawodzące rozpaczliwie; to Jędruchowa i Marynka zgubione bez ratunku, bo już je płomień otoczył zewsząd jakby ognista powódź.

Dzwony cerkiewne dzwonią nieustannie. Głosy biegnących na ratunek odzywają się coraz bliższe. Ludzie gonią ze wszystkich stron, niosąc, co kto porwać mógł w ręce: to wiadro, by wodą gasić, to siekiere, lub żerdkę długą z hakiem, by rozdzierać pałacy się dach. Lecz cóż to już teraz pomoże? A tam z tamtej strony, drogą od dworu coś zatętniało, i tętni już na grobelce, tętni coraz bliżej; to na koniach cwałują stary porucznik Zawalski, jego synowiec Włodzimierz, a za nimi wszyscy stajenni i parobcy.

— Bierzcie się zwawo! do pięciu djabłów! — krzyczy stary porucznik, i zeskakuje z konia w środek zgromadzonych wieśniaków.

— W imię Boga!... ratujcie biedne kobiety! — woła inny głos. To głos zacnego księdza, który przybiegł na pogorzeliisko. A leciał stary dobrodziej tak pospiesznie, że czapki nawet zapomniał; siwe włosy wiatrem rozrywane unosiły się jakby skrzydła gołębie po nad głową sędziwego staruszka.

— Za mną! za mną! — krzyczał do wieśniaków pan Włodzimierz, który także zeskoczył z konia, i niezważając na niebezpieczeństwo pobiegł ku dziedzińcowi.

— Paniczu! zatrzymajcie się! — wołał dziaczek, który także nadbiegł, zostawiwszy chłopca jakiegoś na dzwonnicy.

— Włodziu! do pięciu djabłów!... zuch chłopak! — krzyczał porucznik na poły przestraszony, na poły ucieszony śmiałością synowca.

— Ludzka to już rada nie pomoże! — odzywały się głosy pomiędzy wieśniakami.

— To chyba na pewną śmierć by człowiek szedł! — odzywali się inni.

Niebezpieczeństwo było w rzeczy samej wielkie, ale może się też większem jeszcze wydwało dla tego, że to szło o Jędrucha. A każdy sobie mimowolnie przypomniawszy nieużytość jego i dumę. Bogiem a prawdą, Jędruch nie miał przyjaciół, to cała była rzecz! Po straceniu łaski bożej, niema większego nieszcześcia, jak stracić miłość ludzką. Wówczas to już człowiek zgubiony.

— Wstydźcie się ludzie! — krzyczał pan Włodzimierz.

— Do pięciu djabłów! Sto rękich za każdą duszę; dwieście reńskich! do pięciu djabłów! — wołał stary porucznik.

— Próbujcie! proszę was... Bóg na was patrzy! — błagał dobrodziej podnosząc wzywające ręce do góry.

I przecie kilku młodszych skoczyło za panem Włodzimierzem, ale w tej chwili wiatr znowu powiał z siłą i płomienisty potok przemknął dziedzińcem aż po samej ziemi; aż trzaski pałace porwane wiatrem z ziemi, pomknęły słupem w górę. Wszyscy odskoczyli, odpezdzeni piekącym w oczy płomieniem.

— Niema ratunku! — krzyk powstał ogólny.

I tak się zdawało w samej rzeczy. Płomień tak się rozszerzył w koło obejścia Jędruchowego, że nic już nie było widać, tylko, jak mówiliśmy, morze ogniste. A do całej okropności przykładał się głos bydła ryczącego w stajence, trzeszczeniu pałających się krokiew na dachu, przerywane czasem łomotem upadającego belku, a od czasu do czasu odzywał się jeszcze coraz cichszy, coraz więcej przytłumiony głos wołający ratunku ze środka.

Wszystko to cośmy tak długo opowiadać musieli, stało się w kilku chwilach, i wszyscy jeszcze widzieli, jak Jurko biegł od pałających się drzwi, do pałających się sieni, i nagle owiany nowym potokiem płomienistym, znikł zupełnie z oczu patrzących.

— Biedny Jurko! — mruknął dziaczek.

— To jakiś tęgi chłopak! do pięciu djabłów! — zawołał porucznik.

— A to ten sam! co mu stryjaszek wczoraj odebrał kochankę, aby ją oddać temu pijanicy leśnemu: — ozwał się pan Włodzimierz, uwiadomiony o tem od przytomnych chłopków.

— Patrzcie! patrzcie! — zawołało nagle kilka głosów — to on! to on!... I palcami wskazywali róg jeden dziedzińca.

Wszystkich oczy zwróciły się za wskazującymi palcami, i ujrzano w rzeczy samej Jurka wychodzącego z pomiędzy płomieni prawie. Okropnie wyglądał, bo i włosy i odzież miał przysmaloną i dymiącą się jeszcze, ale niósł na rękę Marynkę, którą całą i zdrową jeszcze zupełnie złożył na murawie tuż koło stojących ludzi. Wszyscy też jakby namówieni wykrzyknęli radośnie.

— Tęgi chłopak!... zuch prawdziwy!

— A matka! — wołała Marynka — drżąca ze strachu!

— Idę po nią! — wyrzekł Jurko — ale kto chce pójść ze mną, bo tam jeszcze jest jedna dusza do wyratowania.

— Ja idę! — zawołał pan Włodzimierz i jak rzekł tak zrobił. Już oba wskoczyli w środek płomieni.

— Bravo Władziu! do pięciu djabłów — zawołał porucznik.

— Niech mu to Bóg nagrodzi! — dodał dobrodziej wznosząc ku niebu modlące się ręce, usta i oczy.

Kilka chwil ciężkiego oczekiwania minęło, gdy ujrzano wreszcie obu młodzieńców, chłopca i panicza połączonych w pocziwem usiłowaniu, jak się pojawili nagle występując z pomiędzy ognia, który rozchodził się coraz szerzej i coraz płomienistej. Jurko niósł Jędruchową, a pan Włodzimierz niemową mocno popaloną, na twarzy i rękach. I Jędruchowa miała także ślady popalenia, ale w skutek wielkiego przestrawienia była jakby odurzona i dopiero po chwili przyjsć mogła do siebie. Wszyscy patrzyli z zadziwieniem na niemową, nie wiedząc, zkąd ona się tu wzięła.



— Co tu robi ona? — mruzczał sam do siebie Reb Mojsie, który także przybiegł na miejsce pożaru, i patrząc na niemowę, mocno kiwał głową.

Byność niemowy jest dla nas łatwiej zrozumiała. Przewidując złe myśli Wasyla, poszła jak wiemy za nim, trzymając się wszakże z daleka. I dla tego przyszła już także pod chatę Jędruchową, gdy ogień był podłożony. Żał się jej zrobiło Jędruchowej i Marynki, przelazwszy więc płotek wbiegła na dziedziniec, próbując, czy nie będzie mogła ich przestrzedz i wyratować. I Bóg też pobłogosławił jej dobrym chęciom, i pozwolił jej choć w części naprawić to złe, do którego się przyczyniła. Wszedłszy na dziedziniec z innej strony, zobaczyła od razu, że od przodu chaty nie ma już żadnego ratunku. Postrzegłszy zatem Jurka latającego środkiem ognia, jakby w obłędzie, pobiegła ku niemu, i udało się im obojgu wpaść tyłem do komory i wyratować Jędruchową i Marynkę. Gdy już wyszli z chaty siły opuściły niemowę, której płomień buchnął w samą twarz, dla tego Jurko uprowadził ich tymczasem oboje i posadził pod drzewem koło opłotku, aż dopiero wyniosłszy Marynkę, wrócił po nich z panem Włodzimierzem.

Wszyscy otaczali tymczasem leżącą Jędruchową, przy której Marynka klęczała płacząc, zawodząc i całując nieprzytomną matkę. Niedługo to trwało, gdyż nagle zerwała się Jędruchowa na równe nogi, oczami na pół obłąkanemi powiodła w koło siebie i przeraźliwym krzyknęła głosem.

— A mój gdzie? a Jędruch?

— Gdzie ojciec? — zapłakała Marynka, i oglądnęła się także za nim.

I wszyscy się oglądnęli; lecz go nigdzie widzieć nie można było. W czasie całego rozruchu tak się stało, że nikt o nim nie pamiętał.

— W chacie go nie było! — przemówił Jurko.

— Wróciwszy z karczmy — krzyczała Jędruchowa załamując ręce — poszedł jak widziałam przez okienko do stodoły. — Ratujcie go dobrzy ludzie!

Wprawdzie na ochocie nie brakowało, ale gdy się ludzie popatrzyli na stodołę, każdego jakby zimną wodą oblał. Cała stodoła od dołu do góry otoczona ogniem, wyglądała jakby jeden słup płomienny.

— Trzeba tam poszedł!... Trzeba chyba zwarzjować! I jeszcze za kim?... — tak mruzceli ludzie między sobą.

— O! o! dla niego już niema ratunku! — przemówił nadlesny, który niedawno dopiero nadszedł, i to jak się zdawało na nie bardzo pewnych nogach. — I wójtostwo mu nie pomoże! — dodał z uśmiechem patrząc na Reb Mojsia, który stał z założonemi rękami i rozdziawioną gębą. — A jeszcze dosadziliście mu na odejściu Reb Mojsie!

— A prawda! — mówili gospodarze niektórzy, którzy byli w karczmie. — Jeszcześmy go nigdy nie widzieli tak pijanego.

Słowa leśnego usłyszał pan porucznik i popatrzył niechętnie na niego.

— Wolałbyś był wcześniej przyjść i brać się do ratunku do

pięciu djabłów! Ale ty sam podobno ratunku potrzebujesz, bo się ledwie na nogach trzymasz.

— Chwała Bogu! — przemówił znowu lesny równie jak nogi niepewnym językiem — że choć Marynka wyratowana.

— Ale nie dla ciebie ponos do pięciu djabłów!

— Ratujcie dobrzy ludzie! — zawodziła dalej Jędruchowa.

Lecz się ludzie bali ruszać! Jurko przeżegnał się tylko, spojrzął raz jeszcze na Marynkę, jakby ją chciał pożegnać ostatnim czułym oczów wyrazem, i nic nie mówiąc, pobiegł prosto ku palącej się stodole. Wszyscy zakrzyknęli jednym prawie głosem przerażenia i przestachu. Nie było człowieka jednego, któryby go już nie oddał na przepaść. Ależ bo okropny był widok palącej się stodoły! Nie dosyć, że cała była ogarnięta ogniem, który wiatrem kręcony tańcował w koło niej od dołu do góry bałwanami płomienistemi, które coraz większe, coraz straszniejsze wybiegały ze środka, podsycane złożoną tam słomą. Ale już w jednym i drugim miejscu dach się zapadł i płomień buchała ztamtąd, jakby z dziury pieca cegielnego. I było nawet słyhać wyraźnie, jak od czasu do czasu wśród trzeszczącego głosu płomieni odzywał się huk donośniejszy; to krokwie i belki dachu, które w pół przepalone, padały do środka.

Jędruchowa i Marynka tak były przerażone, że słówka wymówić nie były w stanie. I cóż miały przemówić. I Jędruch i Jurko w najwyższym są niebezpieczeństwie; obaj oni drodzy. Biedna Marynka sama nie śmie się zastanowić nad myślą swoją! z jednej strony idzie jej o ojca, z drugiej o kochanka!... Lecz modlić się mogą; a więc padły obie na kolana. I dzieciak ukląkł tuż za niemi, patrząc przestraszonymi oczyma na ten pożar okropny.

— Chyba Bóg ich wyratuje! — mruczał sam do siebie.

— I wyratuje! — zawołał dobrodziej, który te słowa swego djaka usłyszał, jakby napełniony silną wiarą i nadzieją.

Dobrze powiedział dobrodziej! Bóg ich wyratował! Już się nawet nikt nie spodziewał ich widzieć, bo tylko na jednym jeszcze rogu dach się trzymał, gdy nagle ujrzano wybiegającego Jurka ze środka płomieni i trzymającego na barkach Jędrucha. Na obu w wielu miejscach płomieniem paliła się odzież, oba wyglądali okropnie, nie do ludzi podobni, nie do węglarzy, nie do kominiarzy, ale raczej do djabłów, jak to ich nam malują. Jędruch zdawał się już prawie nieżywy, bo prócz znaków spaleniźny na włosach, na brwiach, na twarzy i na rękach, płynęła mu krew z głowy i z ręki prawej, która wisiała bezwładna. I Jurko ledwie już stapał, tak okropnie był popalony na całym ciele i zmęczony straszliwie. Żeby im ludzie nie przyszli co prędzej w pomoc, byłby upadł z ciężarem swoim. Ale się wszyscy do nich porwali, na rękach unieśli, i złożywszy na trawie wzięli się do wszelkiego ratunku, jaki tylko wymyślić mogli.

W czasie ogólnego zamieszania nikt prawie nie uważał, jak się znowu z po za stodoły przemknęła postać jakaś ludzka czołgająca się prawie po ziemi w kierunku do tylnej części palącej się chałupy.



— Czy widziałeś — zapytał leśny żyda. — A to co za djabeł tłucze się po ogniu?

— Mnie się wydaje, że to nie djabeł żaden, ale wón choć człowiek, to taki zły jak djabeł!... to Wasyl! mnie się wydaje.

— A on coby tu robił?

— Ny!... ja nie wiem! ale ja mam już mego myśli.

— Ale w sam czas wyniósł Jurko naszego wójta!

— Niedługiego czasu będzie wun wójtem podobno.

W tej chwili z trzaskiem największym zapadła się chałupa i reszta stodoły; tysiące iskry sypnęło się ku niebu i pociemniało nagle, bo już nie było żywiołu dla płomieni. Całe mienie bogatego Jędrucha leżało już w popiele, spalone i zniszczone. Po nad zgłiszcza tu i owdzie tylko podnosił się płomyk błękitny, a ku niebu miasto płomieni, wznosiły się kłęby dymu smrodliwego, równie prawie ciemne, jak te na nim chmury. I choć to zapewne który z sąsiadów żałował Jędrucha, ale przecież wszyscy w duszy cieszyli się, że na tem przynajmniej skończyło się nieszczęście. Gdyby wiatr nie był dał prosto na wygon i stawek, większa część wsi mogła pójść z dymem.

Lecz wróćmy do tej kupy ludzi, co stoi schylona nad leżącymi Jurkiem i Jędruchem. Obaj jeszcze nieprzytomni. Jędruchowa i Marynka kłęczą pomiędzy nimi zapłakane, zwracając się to tu, to tam i całując obydwoch po rękach, a najczulszemi nazywając słowy. — Pierwszy Jurko przyszedł do siebie, chociaż tak był osłabiony, że się jeszcze nie mógł podnieść. Marynka nie mogła wytrzymać, by go nie porwać za obie ręce i ucałować je raz jeszcze najserdeczniej, zalewając się łzami. Jurko tylko mógł popatrzeć na nią wzrokiem czułości, i w oczach jego zaświeciły dwie łzy, czyste zaprawdę od najczystszej wody, bo je wycisnęła szlachetna radość. I wszyscy co się na nich patrzyli, byli rozczuleni. Niejeden nawet z wieśniaków obtarł sobie łzy z oczów rękawem płótnianki.

— Chwała Bogu! przyszedł do siebie — mówił dobrodziej serdecznie ucieszony.

— Walny z ciebie chłopiec do pięciu djabłów! — zawołał pan porucznik.

A pan Włodzimierz nic nie powiedział, ale schyliwszy się do Jurka ucałował go serdecznie, po bratersku. Dzieczek zaś nie mogąc się docisnąć do twarzy ukochanego chłopca, to go przynajmniej z tyłu głaskał po karku, jakby matki pieszczącą ręką.

— Przyszedł! przyszedł do siebie! — krzyknęła Jędruchowa radośnie.

W rzeczy samej i Jędruch otworzył oczy w tej chwili. Obejrzał się najprzód w koło siebie okiem obłąkanem prawie, jakby nie mógł zrozumieć, co się z nim stało. Potem gdy popatrzył przed siebie, zajęknął boleśnie. On nie tyle z bólu zajęknął, ale mu żal serce ścisnął, jakby w kleszcze na widok zniszczenia całej zagrody. On co wczoraj tak był jeszcze dumny swoim mieniem, dziś uboższy może od najuboższego. Ale i ból cierpiał okropny. Prócz bowiem rany, jaką miał na głowie od spadającej nań głowni, co mu skórę aż do

kości wypaliła, ręka jego prawa była zgruchotana zupełnie przez kawał belka, co mu z dachu spadł na nią. W tej chwili pierwszy raz w życiu może przełamana była duma Jędrucha, i dwie lzy zaświeciły mu w oku.. dwie lzy bardzo gorzkie. W tej chwili cichość ogólną przerwał znowu dzwonek kościelny, który zaczął tętnić pomalą, w równych ustępach jakimś dziwnie smutnym głosem. Przytomni spojrzeli to ku sobie, to ku cerkwi, nie mogąc zrozumieć tego głosu, który zdawał się zwiastować czyjeś konanie.

— To moja stara krewna kona! — zawołał dobrodziej, i ukląkł na ziemi, by zmówić krótką modlitewkę. Za dobrodziejem wszyscy klęknęli.

— Wieczne odpoczywanie! — zaszemrało pomiędzy obecnymi.

— Kona! — wyjęknął Jędruch. — Palec Boży! — dodał ciszej.

Jędruch przypomniał sobie teraz zapewne ową chwilę, gdy starszuszka zagroziła mu karą Bożą za jego nieuczynność naprzeciw ojczyma żoninemu. I nie minęła go kara Boża!... Spuścił oczy Jędruch, poruszał usta do modlitewki tak podobno szczerzej, jak nigdy, a potem palcem zdrowej ręki i spojrzeniem powołał do siebie Marykę i Jurka. A gdy uklękli przed nim oboje, pocałował ich w czoło, i słabym ale wyraźnym rzekł głosem:

— Niech was Bóg błogosławi dzieci moje!...

— Jak to panie wójcie? — zagadł leśny Grzegorz — a ze mną co będzie?

— Nie bądź głupi do pięciu djabłów! — krzyknął pan porucznik.

— Nie dla psa kiełbasa! Precz ty stary trutniu!... I ja was błogosławię moje dzieci!

— Co wam w głowie panie leśny! — szepnął mu Reb Mojsie. — Gdzie wun może być wójtem, wun nawet już nie będzie gospodarzem z tym połamanym rękiem i popalonym chalupem.

— Masz słuszenie Moszku! ot i dobrze się stało!...

— A ty opoju idź mi do pięciu djabłów!.. pilnuj lasu, i nagotuj mi materiał, aby do jesieni była gotową i chalupa i stodoła i wszystko, byśmy mieli gdzie obchodzić wesele, na które wszyscy się het zapraszamy.

— I ja i ja także kochany stryjaszku?

— Aha!... i ty Włodziu! ty jesteś szalona pałka do pięciu djabłów! ale dobry chłopiec!... A może macie wy na prawdę więcej rozumu do pięciu djabłów od starych. Koniec końców! kupię już, kupię ci i młocarnię i nawet żniwiarkę, ale w jesieni musi być drugie wesele. Rozumiesz chłopcze; żeń się tam już z swoją szwabką, czy czeszka! — co mam robić!

Synowie serdecznie uściskał stryja poczciwego; dzieciak płakał jak bóbr z radości wielkiej, a pono wszyscy płakali, bo im jakoś pościskały się serca, trochę z żalu, trochę z radości. Ot zwyczajnie jak w życiu, że człek czasem sam nie wie, dla czego zapłakał.

Gdy się to działo, parobcy robili co mogli, żeby ze stajenki i obory powydobywać konie i bydelko; jakoż choć nie wszystko, ale wyratowali przecie kilka sztuk. Gdy się tam krzątają, nagle powstał między nimi krzyk wielki.



— Co to? co to? — krzyczą różne głosy.

To Wasyla znaleźli, w pół spalonego, już nieżywego; leżał on koło komory spalonej, a jedna ręka spoczywała na skrzyni Jędruchowej, co stała w komorze. Podpaliwszy chciał jeszcze okraść Jędrucha. Znaleźli też koło niego próżną już flaszkę z wódki; a na piersiach za pazuchą było jeszcze kilka paczek siarników, których użył zapewne do podpalenia.

Niemowa gdy usłyszała, jak o Wasylu zaczęli rozpowiadać, krzyknęła głosem tak przeraźliwym, aż wszyscy na nią popatrzyli, i niejednemu może stanęło jasno na myśli, że to był głos sumienia, który się jej mimowolnie wydobył z piersi.

Jeden Reb Mojsie wiedział najlepiej, czego się ma trzymać, bo dobrze przypomniał sobie, że niemowa dniem wprzód kupowała siarniki u niego. Ale nie chciał już nic mówić, wszak niemowa dobrze i tak była skarana. W skutek płomienia, co jej w twarz buchnął, ociemniała nieszczęśliwa zupełnie. Niema i ślepa! okropne kalectwo! Ale i nad nią Bóg się zlitował, spuszczać miłosierdzie swoje do serc ludzkich.

Cóż więcej mam wam powiedzieć. Jak wyrzekł pan porucznik, tak się stało. W jesieni stało obejście Jędruchowe gotowe nowiuteńkie, i w jesieni odbyły się dwa wesela, pana Włodzimierza i poczciwego Jurka. Jędruch, jak dobrze powiedział Reb Mojsio, nie tylko wójtować, ale i gospodarować nie mógł. Został kaleką na całe życie, i Bogu dziękował, że mu w Jurku takiego tęgiego dał zięcia i gospodarza.





# CMENTARZ WIEJSKI.

(Pierw. wyd. 1871.)

## I.

Śliczny był wieczór jesienny. Słońce najpiękniejszymi i najcieplejszymi promieniami zdawało się żegnać z ziemią, na ten dzień, a może i na cały rok. Mimo ciszy wszakże żadnym wiatrem nieprzerwanej, mimo tego prawdziwie letniego ciepła, mimo promieni słonecznych tak jasnych i czystych, było coś w całej przyrodzie, co zwiastowało ostatnie dni piękne, dni pożegnania, po których wkrótce ma nastąpić długie i smętne obumarcie przyrody. Rzeczy można — i każdy to doświadczył, że w całej przyrodzie z woni ziemi i z woni powietrza, ze śpiewu nawet ptaków rzadko się odzywających, z tej nawet ciszy przedwieczornej, tak różnej od wesołego gwaru wiosennych i letnich wieczorów — wiało jakieś smutne przeczucie! Darmo się ludzi i ciepłym słońca promieniem i ciepłym wiatru powiewem; darmoby nawet oczy zamykać przed barwami gajów jesiennymi, by szmerem liści pozostałych wiosenne wyczarować marzenia. I liść w pół uschły tak nie szmerze, jak szemrał na wiosnę, i powiew wiatru ma swą woń odrębną i głos odrębny. To konanie przyrody odbywa się, mimo wszelkich złudnych pozorów, tak widomie, jak każde konanie. I z najcudniejszych marzeń, wśród pogody najcudniejszej, nagle budzi dreszcz zimny, przecuciowy, którym zdrzą zarazem ciało i dusza. A myśl wówczas tęsknieje, coraz ciemniejsze przybiera barwy, i serce ściska się żalem niepojętym.

Czy doświadczyliście tego kiedy? — Ja doświadczam każdej jesieni. Z pierwszym liściem zeschniętym, co zaszeleści pod nogami, przybiega pierwsza myśl żalobna, i codzień więcej pod nogami szeleszczących liści, i codzień więcej w głowie myśli roztęsknionych. Na wiosnę myśl i uczucie przybierają barwy nadziei; w jesieni wszystko się obleka w barwy wspomnień.

## II.

Taki był dzień, takie było usposobienie moje w czasie podróży niedawnej w okolicę dobrze mi znaną, bo w niej wśród mnóstwa rówieśników przeżyłem najweselsze, bo najmłodsze życia chwile. Gdzie okiem rzuciłem, wszystko było mi tak dobrze znajome — i łąki kwieciste, i gaje zielone te same; te same stawki i strumyki co dawniej!... I dwory! wszystkie mi znane doskonale; a ludzie co w nich mieszkali, żyli już tylko w wspomnieniach moich! Darmo w pamięci mej przesuwalem jakby ziarnka różańca wszystkie znane mi dawnych krewnych, przyjaciół i rówieśników nazwiska, przykute tylu wspomnieniami do tych miejsc; nazwiska te żyły jeszcze tu i owdzie, ludźmi innego pokolenia przedstawione; ale oni, moi serdeczni! zaglegli już dawno rozrzucone po świecie mogiły!... I myśl moja pobiegła na te mogiły szukać tej przeszłości niepowrotnej!

Jechałem do wioski dobrze mi znanej, do dworu, z którego każdego kąta śmiały się do mnie wspomnienia, myśli i uczuć minionych, których tam tyle roztrwonilem. Jechałem odwiedzić wnuka, wnuka jednego z moich najserdeczniejszych druhów, który mnie o lat kilka młodszego od siebie, po raz pierwszy wprowadził w to dawne swobodne życie bez wczoraj i bez jutra, bo żadną jeszcze ciężką myślą nie brzemiennie. Wnuka tego, młokosa salonowego, który z góry patrzył na starych ludzi i stare sprzęty — prawie nie znałem; nierad jechałem w dom, o którym wiedziałem, że zupełnie przemieniony, bo wszystkie nawet jego dawne pozostałości pamiątkowe nowy dziedzic złożył w lamusie starych i nieużytecznych gratów. Wiedziałem, że dawna gościnność szerokich i wygodnych siedzeń poręczowych, obszer-nych kielichów i najobszerniejszego serca, zastąpiła ciasnota modna kruchych mebelków dzisiejszych małych kieliszczków z kwaiżkiem po francuzku przewanych, i najciaśniejszych serc cyframi kuponów zapchanych. To też co chwila zatrzymywałem się w miejscach lepiej mi znanych, aby jak najpóźniej przybyć do różowego dworu, jak go przed laty czterdziestu przewaliśmy z dziadkiem dzisiejszego dziedzica, dla cudnie i prawdziwie różowych chwil, jakie w nim oba przeżyliśmy. Bo obaśmy tam się po raz pierwszy rozkochali. Ale cicho! co wam przyjdzie z wspomnień starego bazarza, a jeszcze do tego z wspomnień miłosnych, tak przystających do dzisiejszego wieku, jak kwiat do kożucha, jakby stara karabela do modnego fraczka.

Jakoż przepraszam was, czytelnicy moi, za ten długi przedwstępny epizod; ale jeżeli już poznaliście starego bazarza z innych jego opowiadań, toście mu powinni przebaczyć, bo jeżeli z nich wionie ku wam kiedy ciepło serdeczne, to pewnie ciepło tego źródła żywych i gorących wspomnień przeszłości, które w jego piersi nie zamarło dotąd. Opowiedziałem wam jeno to moje usposobienie w owym wieczorze jesiennym, usposobienie istotnie jesiennie, bo rozmarzone tęsknotą za tem, co przeminęło i nigdy nie wróci.

Dojeżdżałem przed samym zachodem słońca do wioski dobrze mi znanej. Ledwie poznałem chaty, dawniej tak schłodne i białe



żywemi opłotkami okolone, dziś brudne, obdarte, bez ogrodzeń, i do upadku się chyłące; ale za to miejsce dawnej strzechy słomianej, pod którą nieraz hasaliśmy rzeźkiego mazura po całych nocach, wznosi się teraz gmach wielki, na poły miejska kamienica, na poły dom fabryczny; z kolumnadami oderwanymi zdaje się do dawnych świątyń, przykryty płaskim, metalowym dachem. Wioskę starego szlachcica polskiego, którego znałem przed laty, a którego grobu jużby pewnie nie znalazł, bo tam gdzieś spoczął na dalekiej i długiej po obczyźnie wędrownce — nabył jakiś spekulant niemiecki, i wyciska ostatnie soki z ziemi polskiej, którąby chciał całą przyswoić i chłopka polskiego, płacząc krokodyłowemi pełnemi kłamstw łzami nad jego losem i przeznaczeniem, tak nieszczęśliwym w społeczeństwie polkiem. Odwróciłem oczy od płaczu i od chatek biednych, by się rozpatrzeć w dobrze znanej okolicy. Nie wiele się zmieniło; ta sama co dawniej jednostajność i rzechy można posępność krajobrazu. Z pod rzadkiej zieloności dobywają się wydmy piaszczyste, nagie, jakby żebra nagiemi kośćmi świecące. W okolo płasko, po równinie skąpe i rzadkie gaje porozrzucane; jedyną okolicy ozdobę i jej ożywienie stanowiła rzeczulka, która przez grunta piaszczyste krętym przemykając biegiem, tu i owdzie osłoniła się karłowatemi krzaczkami olchowemi. Na widok tej okolicy, jeszcze posępniejsze, jeszcze więcej jesienne myśli zaległy mi głowę, i z tem większą tęsknotą cofnąłem się w przeszłość tyłu pamiątkowemi mogiłami zasianą.

### III.

Mimowolnie za pędem myśli idąc, zwróciłem oczy w stronę znajomego mi cmentarza wiejskiego, który, jak sobie doskonale przypominałem z dawnych czasów, srodze zaniedbany, nagi prawie, w lekkiej pochyłości żółtym piaskiem odznaczonej, spuszczał się aż do samej rzeczulki, która nieraz na wiosnę oplukiwała boki nierówne cmentarza, porywając ze sobą nie jedną grudkę od mogił oderwaną. Patrzę! i oczom nie wierzę! Gdzież mi się podział cmentarzyk znajomy? To małe wzgórze cmentarne zmieniło się w istny ogród, którego drzewa przy resztkach zieloności jaśnieją całym bogactwem jesiennych barw. Ogród prawdziwy, żywym płotem otoczony, po którym wiszą jakby girlandy pełne liści i kwiecica nie zupełnie jeszcze opadłego. Na zwrocie drogi postrzegłem z pomiędzy drzew dobywające się skromne krzyże cmentarne, to stary i nagi cmentarz jakby cudem w ogród przemieniony. Taka zmiana, choć lat kilkanaście przeminętych, odkąd nie byłem w tej okolicy, mogły ją łatwo dokonać, wydała mi się niemniej dziwną!... Wiedziałem bowiem z doświadczenia, że po wioskach naszej bujnej ziemi to zaniedbanie miejsc na mieszkanie umarłych przeznaczonych, jest ogólnym prawie obyczajem, smutne niestety dającym wyobrażenie o naszej małej dbałości w tej mierze. Niedbałość ta jest u nas powszechną prawie wadą ludu naszego! Zkąd ona pochodzi?... Gdybyśmy się chcieli głębiej zasta-

nowić, przyszlibyśmy może do tego smutnego przekonania, że wina jej nie tyle spoczywa w charakterze i usposobieniu biednego ludu naszego, ile raczej w jego zaniedbaniu umysłowem, które dotąd jeszcze mimo wielu usiłowań, jest u nas na porządku dziennym. Zaniedbanie to, prześladowające lud nasz za jego żywota ciężkiego, przeciąga się i po śmierci. Nieprzychylny do wyższych wymagań, jakie daje wykształcenie wyższe umysłowe, niedbały o wygodę za życia, które mu idzie ciężko i bez wszelkiej przyjemności po nagim stepie jego codziennego zajęcia, dla czegożby miał dbać o tę mogiłę swą, w której spocznie na zawsze! Równie zaniedbanym jest grób jego, jak był nim żywot cały. Dla naszego ludu biednego i ciemnego jeszcze grób jest odetchnieniem i spoczynkiem bez obudzenia!... Za życia spoczywał na twardem, wszelkiej wygodzie i wdzięku pozbawionem postaniu, dla czegoż miałby żądać miększego, wygodniejszego i wdzięczniejszego postania po śmierci?

Chłopek polski, zmęczony ciężką pracą całego żywota, gdy raz umrze, rodzina zapłacze dla zwyczaju, zaśpiewa kilka nut żałobnych i pochowawszy dziś, jutro o nim zapomni; bo czyliż warto nawet dłuższej pamięci takie życie ciężkie? Krzyż mu daje dla zwyczaju religijnego, ale nie dla pamięci, bo u ludu biednego i uciśnionego, religja pamiątek nie może się wyrobić tak łatwo. U ludów tylko szczęśliwszych, wyrabia się ta religja pamiątkowa, która groby przodków okala wdzięcznem otoczeniem! bo to się tylko pamięta, co warto pamiętać. Mogę się mylić, ale takie mniej więcej są podobno przyczyny tego pośmiertnego zaniedbania, które wszędzie po wsiach naszych zdybać można. Wychodzimy coraz więcej z tego zaniedbania; poprawiamy się w tej mierze i powinniśmy się poprawiać, bo ta innym ludom właściwa religja cmentarnych pamiątek, jest jednym węzłem więcej, który lud każdy wiąże do ziemi, w której jego przodkowie spoczywają, i wiąże do własnej przeszłości, która przecie niewymowniej grobami przemawia.

Myśli te nieraz snuły mi się po głowie, i nieraz serdecznym smutkiem patrzałem na to cmentarne zaniedbanie, które zawsze jest dowodem pewnego moralnego zubożenia, tej — można powiedzieć — najszkodliwszej każdego ludu choroby społecznej. Z tem większą przyjemnością ujrzałem taką zmianę, której, pamiętając co było dawniej, nie spodziewałem się wcale. Wszakże to mi każdy przyzna, że bez zastanowienia wszelkiego, porządnie utrzymywany cmentarz daje mimowolnie pochlebne wyobrażenie o wiejskiej osadzie, do której należy. Zmiana ta przedstawiała się coraz korzystniej oczom moim. Wyjechawszy na mały pagórek, ujrzałem cmentarz z tego boku właśnie, który dawniej o owej — jak mówiłem, zbiegającej ku strumieniowi pochyłości, najwięcej był zaniedbany. Tam właśnie najwięcej zadano sobie pracy. Pochyłość podniesiona, i silnie zbitym ziemi wałem podniesiona tama powstrzymywała wszelki kapryśny zapęd wody.

Widok cmentarza tego, choć doskonale się stosował do szeregów moich myśli posępniejszych, jakimi rozpamiętywałem wspomnienia przeszłości, myśli te nagle jaśniejszemi oblekłem barwami. Zdało mi się zaprawdę, że tu jakaś tęsknota za przeszłością, co mi przed chwilą



boleśnie ścisnęła serce, straciła swą przykrość. Widok tego tak porządnego cmentarza, zdawał się kończyć pomalą to tęskne usposobienie moje. Wrażenie to było bardzo naturalne. Nie wiem, czy się kiedy zastanowił nad różnorodnością wrażeń, jakie wzbudza widok cmentarza w rozmaitych życia epokach. Na młodym cmentarzu żadnego prawie nie robi wrażenia, chyba krótkie i przelotne, jakby widok czegoś niewidzianego, niezrozumianego. Młody w ogóle śmierci nie rozumie jeszcze, bo o niej nie myślał nigdy. Co młodego, pełnego życia i nadziei obchodzi śmierć? próżne bez znaczenia słowo, przebrzmi mu koło ucha bez echa!.. to jakby jadącemu po gładkim gościńcu kto zaczął opowiadać o niebezpieczeństwie podróży po dalekim nieznanym morzu. Inne są uczucia starszego! Ten już nie nad jednym zapłakał grobem, nie jedną drogą pochował istotę; już on ze znaczeniem śmierci obeznany. Droga jego żywota zasadzona tyłu mogiłami, coraz się więcej zbliża do tej ostatniej własnej mogiły. Pierwej przyszłość była mu przestworem bezgranicznym, teraz jest nim przeszłość!.. a widnokrąg przed nim coraz ciśniejszy! a ostatni kres widnokregu starzeje krzyżami cmentarnymi. Widok cmentarza każdego rozbudza w nim rozpamiętywanie śmierci; i mimowolnie oko starego błądzi pomiędzy cmentarne pomniki, jakby szukało miejsca na własną mogiłę.

Może tu spocznie kiedyś? — przychodzi mimowolnie do głowy.

Instykt zachowawczy, właściwy każdemu człowiekowi, wzdryga się na tę myśl mimowolnie. Ale konieczność nieunikniona przymusza go niejako do dłuższego zastanowienia się nad tą myślą!..

Jakże tu smutno! jak tu nago na tym cmentarzu! — pomyśli, widząc samotny opuszczony cmentarz!

Tu pod temi zielonemi drzewami! obok tych krzewów kwiecistych byłoby milej spocząć! — pomyśli na widok cmentarza porządniejszego.

Jest to może śmieszne, ale prawdziwe!.. I dla tego widok tego pięknego cmentarza wiejskiego jaśniejsze nieco rozlał barwy na tęskne marzenia, jakimi witałem tę znaną mi okolicę, pełną wspomnień dla mnie!..

#### IV.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca padało na drzewa cmentarne, ozlając ich wierzchołki i krzyże cmentarne otoczone z góry jakby wieńcem promiennym.

Wjeżdżałem właśnie w uliczkę kilku wierzbami odznaczoną, która dzieliła cmentarz od wioski, gdzie jak sobie przypominałem, stała waląca się brama cmentarna, zawsze otwarta, z powalonymi o ziemię podziurawionymi wrotami. Teraz rów szeroki otaczał cmentarz od strony wioski, a w samym środku z błyszczącym na górze krzyżem ubrylantowanym promieniami słońca, stała brama murowana, z porządnymi sztachetowemi wrotami na oścież w tej chwili otwartemi.

Nagle z kościółka wiejskiego, którego krzyż święcony wznosił się po nad wiejskie chaty obdarte, powolnym i poważnym głosem

zatętniał dzwonek. Był to z początku głos samotnej małej sygnaturki, któremu wnet zawtórowały inne dzwony kościelne smutnym tonem, jakby chór towarzyszące głównemu głosowi śpiewnemu. Mógł to być wieczorny anioł pański? ale w śpiewie dzwonów było coś więcej żałobnego i ponurego. Zbliżając się do bramy cmentarnej, ujrzałem we środku kupkę niewielką ludzi, i zajaśniało kilka świateł walczących o jasność z promieniami coraz okazalszemi zachodzącego słońca.

To był pogrzeb! Wrażenia wszystkie usposobiły mnie dziwnie do tego smutnego obrzędu. Pogrzeb stosował się najzupełniej do zadumania, jakie właśnie przeżyłem; wszakże i ja przed chwilą grzebałem w uroczystym marzeniu mojem, tyle przebrzmiałych mogiłami pokrytych wspomnień przeszłości.

Zeskoczyłem z bryczki, i przeżegnawszy się pobożnie, z odkrytą głową wszedłem na cmentarz. Na samym wstępie wznosił się krzyż wysoki dębowy, z żelaznym wieńcem cierniowym. Skłoniłem się z poszanowaniem przed tym krzyżem!.. O! znanym mi jest i krzyż ten dębowy, i wieńiec cierniowy!.. I krzyż i wieńiec dźwigałem nieraz przez ciąg żywota mego, dźwigałem na wspólkę z tyłu druhami którzy szczęśliwsi, bo już spoczęli na zawsze!

Za krzyżem pomiędzy drzewa rozchodziły się jakby w ogrodzie duże ścieżki, istne ulice ogrodowe, przy których tu i owdzie rosły kwiaty i krzyże mogilne. Na boku w miejscu nieco otwartem, na którem wznosiło się kilkanaście mogiłek, z małemi krzyżami drewnianemi pe większej części bez napisów, ale nie bez porządnego otoczenia zielonej murawy, posadzanych w około kwiatków i wianuszków na nich pozawieszanych, stała mała kupka ludzi, a przed niemi grób wykopany, i trumna prosta drewniana z desek niepomalowanych zbita. Nad trumną stał ksiądz, przy nim organista z wodą święconą; jakiś jegomość porządnie ubrany z waszecia, i co mnie mocno zdziwiło — bardzo szczupłe grono wieśniaków. Znając usposobienie naszych wieśniaków, wiedziałem, że pogrzeb każdy jest dla nich obowiązkowym prawie obrzędem, na który gromadzą się zwykle znajomi i niezajomi nieboszczyka. Po za drzewami jeno, dalej nieco i po za płotem cmentarnym, ujrzałem kupkami stojące kobiety i dzieci, na których twarzach nie widać było prócz prostej ciekawości niejako, żadnego współczucia. Wszakże i między stojącymi nad grobem przeważał wyraz twarzy zimny i obojętny. Nie wiem, dla czego ścisnęło mi się serce. Nic tak starego nie boli, jak widok obojętności nad trumną zmarłego. Mimowolnie scenę tę ostatnią stosuję do siebie, i zadrży w głowie myśl smutna i przykra.

— I ja tak może leżeć będę!.., bez łyzy w oczach tych, co się patrzyć będą na grób, który ma mnie pochłonać!..

Jestto ostatni egoizm człowieka, aby płakano po nim!.. Ksiądz zanucił pieśń ostatnią.. pokropił trumnę wodą święconą, której krople oświecone promieniami słońca, zaiskrzyły się przez chwilę i zgasy!.. Trumna zsunęła się na dół: grabarz skoczył do dołu, pociągnął powróż!.. Głuchy łoskot rozległ się po deskach trumny!.. to ziemia, co spadała na nią!.. Kilka skąpych grudek padło z rąk obecnych!.. Kobiety, wieśniacy i chłopaki patrzali obojętnie z za



drzew, i nie zbliżył się żaden, by zmarłego uczcić tą ostatnią posługą zasypania go na zawsze. Ta dziwna obojętność zabolala mnie aż w głębi piersi.

To chyba jakiś zupełnie obcy!... nieznajomy!... pomyślałem sobie!... ale i w takim razie...

Szmer coraz głośniejszy spadającej ziemi, przerwał wątek mych myśli. Trumny już widać nie było; mogiła coraz wyżej rosła!... i już było po wszystkim. Obecni zwrócili się do odejścia. Na ostatnie pożegnanie padł ostatni purpurowy promień słońca; przemknął przeletnym pasmem przez świeży grób!... zabłysnął jeszcze krzyż w ręku księdza!... I już było po wszystkim!... tak, po wszystkim!... smutno, bardzo smutno mi się zrobiło!... Ciekawi z po za drzew i krzaków wychodzili z cmentarza obojętni, gwarni, jak po skończonem jakim widowisku.

— Więc po wszystkim! — mruknąłem sam do siebie, i z pewnym wyrzutem spojrząłem za odchodzącymi.

## V.

Nie, jeszcze nie było po wszystkim!... Gdy tak patrzę przed siebie, pomiędzy liście przemknął się jeszcze ostatni ułamek promienny, i jeszcze coś zaświeciło przedemną. zadrzałem!... bo zaświeciło dwie łez wielkich i pełnych na twarzy jakiegoś staruszka, którego dotąd nie uważałem; bo stał z tyłu oparty, o mały pomniczek z krzyżem murowany, zbliżony najwięcej do świeżego grobu. Dwie te łzy wydobyte z pod siwych jak mleko rzęsów staruszka, grubiały, wypełniały się, i zbiegając po głębokich twarzy zmarszczkach, znikły w siwych jego wąsach. Wpatrzyłem się z uwagą w staruszka; te łzy jego wzbudziły we mnie szczerą do niego sympatję, która się jeszcze zwiększyła, gdym się staruszkowi z większą przypatrzył uwagą.

Musiał być bardzo stary ale wieku na pewno rozpoznać nie można. Do pewnych granic wieku dochodząc, są jeszcze pewne znamiona, po których z niejakim prawdopodobieństwem można lata odgadywać. Ale u staruszków, co te granice przechodzą, nikną te znamiona. Nie jednemu się to zdarzyć musiało widzieć staruszków, ojca i syna jakby braci rodzonych, dwa gatunki równie siwe. Ojciec setki dobiega, syn ośmdziesiątki, oba wydają się być równowiekowi.

Twarz staruszka była nadzwyczaj miła i poważna razem. Szczególna swoboda, nie rezygnacyi, ale naturalnej słodyczy, rozlana na tej twarzy przezroczyście białej. Wyras twarzy i wielkich oczów siwych, i ust tak poczciwe na polu uśmiechniętych, był tak serdeczny że zdawało się na prawdę, że całe serce i cała dusza staruszka wyszła z wewnątrz na jaw, by im bliżej było do Boga i do Nieba. Włosy na głowie miał rzadkie ale długie i równie białe, z śnieżną białością jak brwi, tak i wąsy. Średniego wzrostu, chudy był staruszek i kościsty, ale nie zgięty wiekiem trzymał się prosto i dobrze

a w oczach było jeszcze dosyć życia czerstwego, bo widocznie nie zepsutego moralnemi zdrożnościami.

Ubrany w płótniankę długą kapotowego kroju, sznurkowem szamerowaniem, co go odróżniało od prostego wieśniaka; w dłoni żylastej trzymał kij sękaty dosyć gruby i kapelusz słomiany, domowej roboty o szerokich kresach. Gdy już wszyscy odeszli, ukląkł przy świeżym grobie, i przeżegnawszy się pobożnie, zaczął pół głosem szeptać paciorek. Mimowolnie i ja ukląknęłam po drugiej stronie grobu i wielkie uczulem poszanowanie dla niego. Podnieśliśmy się razem oba i wtenczas dopiero ujrzał mnie staruszek. Wpatrzył się we mnie z uwagą, nie ciekawości, ale współczucia. Z jego ocz trysnął ku mnie widomie wyraz rozbudzonej ku mnie sympatji; a na usta wystąpił pół uśmiech tak jakoś serdeczny, dobroduszny i poczciwy, że miałem na prawdę ochotę poskoczyć i uściskać go. Musiał to zrozumieć sercem, bo się jeszcze słodziej uśmiechnął ku mnie, i z przyjaźną życzliwością skłonił ku mnie głowę. Pospieszyłem ku niemu, i szliśmy oba z cmentarza razem, jakby dwa dawni znajomi. Gdyśmy już byli u bramy, obrócił się raz jeszcze, przeżegnał i westchnąwszy rzekł:

— Znalazł już spokój przecie! którego nie miał za życia biedny człowiek.

— To podobno o każdym powiedzieć można, który już raz w grobie spocznie.

— Zapewne!... ale smutniejszy niż zwyczajnie był los nieboszczyka.

— On był tutejszy? — zapytałem.

— Stary Walek? tu się urodził, i prócz lat kilku spędzonych na Wiśle, nie oddalał się z naszej wioski.

— Ja myślałem, że to był obcy!...

Staruszek się smutno uśmiechnął.

— Rozumiem — odrzekł. — Zdziwiło pana, że tak nieliczne grono towarzyszyło trumnie.

— W rzeczy samej!

— Widzi pan! on już był za stary, aby młode pokolenie chciało go znać i uważać za swego.

Zrobiłem mimowolnie gest zadziwienia.

— Pan się dziwi! tymczasem tak to bywa. Dla dzisiejszego pokolenia jego żywot dawny, był nieznany prawie. Ci co z nim żyli, dawno już pomarli, a ci co tu leżą, to o nim od ojców swych słyszeli; dla wnuków zaś snuł się on po świecie jakby cień zagrobowy.

— Czy był tak stary?

— Młodszy odemnie!... miał osmdziesiąt siedm.

Wpatrzyłem się zdziwiony na staruszkę.

— Tak panie dobry! — przemówił staruszek z słodkim uśmiechem. — Na świętego Jana skończyłem dziewięćdziesiąt.

Z mimowolnem uszanowaniem skłoniłem głowę przed starcem.

— Właśnie też wiek — rzekłem — powinien wzbudzać prócz poszanowania współczucie młodych.

— Tak nas uczyli! tak może być powinno! A potem z niebo-



szczykiem, to znowu inna była rzecz! Na starym Walku ciążyło jakby przekleństwo jakie! a może to była i słuszną karą, chociaż ciężko odpokutowana, i długo, bardzo długo sflacana wielką pocziwością. We wsi uchodził on za warjata.

— Za warjata?

— Szalonym Walkiem nazywały go dzieci, nazywali i ojcowie nierozważni. On był tylko nieszczęśliwy! Za dziwactwo uważali ludzie, że lat ostatnich trzydzieści przeżył sam jeden tu na tym cmentarzu. Ale ja pana nudzę! — dodał wahającym się głosem, widząc podjeżdżającą po mnie bryczkę.

— Nie, mój staruszk! nic nie mam pilnego! — odrzekłem, widząc w spojrzeniu staruszka widoczną do gawędy ochotę.

I zwróciłem się w tej chwili ku cmentarzowi, który rzeczywiście wyglądał od wchodu, jakby ogród prawdziwy.

— Co za dziwna zmiana!... zawołałem. — Jak tu było nago i brzydko dawniej...

— Pan tu byłeś dawniej?...

— Znam doskonale tę okolice, i pamiętam dobrze ten cmentarzyk, tak okropnie zaniedbany dawniej.

— Dzieje tego cmentarza łączą się właśnie najściślej z życiem szalonego Walka.. On szalony! — dodał z gorzkim uśmiechem — bo nie mając serca przychylnego między żywymi, pokochał tak bardzo to ostatnie umarłych pomieszkowanie. Tu w tym cmentarzu pewnie starego Walka mieści się grzech i jego długa i ciężka a serdeczna pokuta.

— Mój staruszk!... zajęliście mnie nadzwyczajnie tem coście powiedzieli. Może mi zechcecie opowiedzieć jeszcze ten cały żywot zmarłego.

— Żywot mego biednego Walka... bardzo chętnie! ale...

— Mnie nic nie nagli!... we wsi musi być karczemka, w którejbym mógł przenocować.

— A jest panie ztąd niedaleko!... i porządniejsza od chat wieśniaczych; bo nasz dziedzic więcej dba o swą arędę, niżli o swych chłopków!...

— Chodźmy staruszk!...

## VI.

Poszliśmy przez wieś; bryczka jechała pomału za nami. Słusznie mówił staruszek; karczma była obszerna i porządnie utrzymywana, co stanowiło nawet przykrą sprzeczność z obdartymi chałupami.

W pierwszej izbie siedziało grono wieśniaków. Spora fiaszka wódki stała przed nimi. Żywa toczyła się gawęda. Kusy jakiś człeczyna, zakrawający trochę na żyda i kuternoga do tego, uwijał się pomiędzy chłopkami, przemawiając do nich łamaną polszczyzną. Oczy jego bure i przebiegłe, latały w koło z wyrazem obrzydliwej nietałonej cheiwości.

— Pijcie !... gospodarzowie!... — odzywał się od czasu do czasu — to tajn fudka!... na mój słowo!...

Mimowolnie wzdrygnąłem się na widok tej figury. Staruszek musiał to zauważyć, bo pół-głosem przemówił do mnie:

— Czyż nie tak malowali djabła ojcowie nasi!..

— Masz słuszną staruszkę!... prawdziwe to szatany, wysłannicy piekielnego między nami zepsucia...

— Pijcie gospodarzowie!.. — mówił karczmarz dalej. — Warto pić po dzisiejszym pogrzebie.

— My na nim nie byli — ozwał się jeden chłopiec.

— Z dalekaśmy tylko patrzali.

— A któżby tam chodził na pogrzeb warjata!.. — mówili drudzy.

— Pijcie gospodarzowie!.. już on nie będzie na was krzyczał, że pijecie mego doskonałego fudka!..

— My też go nie słuchali! — ozwał się jeden z młodszych gospodarzy, łykając tęgi haust.

— Ot, warjat i kwita! — dodał jeden ze starszych gospodarzy. Umarł!.. nie należy już o nim gadać!.. To tam mój ojciec nieboszczyk różne mi rzeczy opowiadał o starym Walku, ale to jakieś nie dzisiejsze rzeczy!.. ja nawet dobrze nie pamiętam. To pewna, że mu tam coś w głowie brakowało.

— Warjat!... warjat oczywisty! — zawołali inni chórem, nalewając wódkę.

— Ot i mowa pogrzebowa! — przemówiłem z cicha do mego towarzysza.

— Biedny mój Walek! — odpowiedział staruszek. — I po śmierci to samo prześladowa go przekleństwo.

W tej chwili szynkarz ujrzał nas, a zarazem zobaczył przez okno zajeżdżającą bryczkę. Zdjął co prędzej myckę haftowaną, którą miał na głowie, i kłaniał się z prawdziwie podłą uniżonością...

— Tu proszę pana grafa do alkierza!..

— I pan Janek przyszedł z panem grafem! — mówił szynkarz dalej z wielką zwinnością języka. — Pan Janek umie bardzo dobrze rozpowiadać... on panu grafowi opowie wiele ciekawych rzeczy!..

— Daj pokój Hans! — przemówił staruszek z powagą. — Ten pan obejdziesz się bez twoich rekomendacji i twoich pochlebstw.

— Ja przepraszam! — mówił niewstrzymany Hans — ja bardzo szanuję pana Janka!..

A przy stole, między kieliszkiem a kieliszkiem zasłyszałem szeptańców:

— Stary organista złapał sobie jakiegoś panka... będzie mu tam plótł o nieboszczyku warjacie.

— Im podobno obydwom! — dodał inny pokazując ze znaczeniem na głowę.

— I staruszek musiał zasłyszeć to szeptanie, bo spojrzął na mnie z miłym uśmiechem, w którym wszakże żadnej nie było goryczy.

— Proszę do alkierza! — mówił znowu niemczyk. — Tam będzie wygodniej jasnemu grafowi, a chłopom powiem, aby siedzieli cicho. Mam bardzo dobrego portera! — ciągnął dalej. — Prawdziwy,



doskonaly porter! — dodał, dostrzegłszy jak mu się zdawało, wyraz niewiary na twarzy mojej. — Nasz dziedzic pan baron Mopke ma prawdziwie echt angielski fabrik w swoim palacu. A dla pana Janka mam jeszcze ten miodek, co to go kupilem po nieboszczyk tutejszy ksiądz.

Aby się pozbyć gadatliwego szynkarza, weszliśmy co prędzej do alkierza i kazałem podać miodu. Miód był wcale nie zły.

— To jeszcze sycenia własnego nieboszczyka księdza proboszcza tutejszego. Zaczny to był ksiądz!.. on ostatni znał dobrze naszego nieboszczyka i umiał go cenić należycie.

Hans zamknął drzwi wedle przyrzeczenia swego i napłóciłszy jeszcze mnóstwo próżnych słów, wyniósł się do pierwszej izby, zachęcając ciągle panów gospodarzów do swojej fain fudki. W pierwszej izbie działo się gwarnie i wesoło, i zasłyszeliśmy jeszcze nieraz wspomnienie o szalonym Walku. Im więcej wódki wychodziło, tem złośliwsze były pijących uwagi o nieboszczyku.

— I czego on tak ciągle siedział przy cmentarzu? — zapytał jeden z pijących w półczkawki.

— Dla czego?.. głupie pytanie!... szukał rozumu swego, który tam zgubił.

Na tę uwagę powstał śmiech głośny, któremu towarzyszyło dzwonięcie kieliszków.

— Który tam zgubił! — powtórzył mój staruszek, patrząc w podniesioną miodu szklanke w pewnem zadumaniu. — Lecz jest w tem szczypta przekręconej prawdy, jak zwykle w każdym zdaniu ludzi obojętnych!..

— Jeżeli zatem macie ochotę? — przemówiłem — słucham was.

— Ja dobrze pamiętam, choć to dawno... bardzo dawno!.. zaczął staruszek, ciągle zamysłony jeszcze. — A co opowiem, święta będzie prawda, i chętnie opowiem, aby pamięć mego pocziwego Walka oczyścić z tych wszystkich niedorzecznych dodatków, któremi nieboszczyka obciążyla głupota i obojętność ludzka. Tu napił się starowina, i jakby z marzeń zbudzony, uśmiechnął się do mnie. — Ja was panie dobry naprzód przepraszam, jeżeli znudzę, bo choć starać się będę jak najkrócej opowiadać, to staremu ciężko przychodzi, przerwać gdy się raz rozgawędzi.

I zaczął opowiadanie swoje, które starać się będę powtórzyć dosłownie ze wszystkimi zwrotami i właściwościami opowiadającego, które właśnie stanowiły całą charakterystykę opowiadanego przedmiotu.

— Muszę wam panie naprzód powiedzieć słów kilka o sobie, byście znali opowiadającego i wierzyli mu. Zowią mnie tu we wsi Jankiem organistą, starym organistą, a najczęściej starym Jankiem po prostu, tak jak nieboszczyka nazywali szalonym Walkiem. — W wyobrażeniach tego pokolenia, co nas tak nazywa, niewielka — wierzcie mi panowie — zachodzi między nami obydwoma różnica. Stary Janek i szalony Walek, to ludzie nie ich świata, nie należący już do ich koła.

Nie bez słuszności zowią mnie organistą. Byłem nim przez lat czterdzieści z górą, jak przedemną byli organistami mój dziad i mój

ojciec. Warzecha nasze rodzinne nazwanie, ale, że już tak od dziada do wnuka byliśmy przy kościele i organach, to o nazwisku nikt nie pamiętał. Jacek organista, Tomasz organista, i Janek organista!.. tak tylko nas nazywali w naszej rodzinie. Ja byłem ostatni. Ostatni!.. powtórzył staruszek z żalosem westchnieniem — bo się też na mnie kończy rodzina Warzechów organistów. Mnie Bóg nie dał być ojcem, bo też i żony nie miałem. Mógłbym ją mieć!.. ale inna była wola boska!.. Lat temu panie sześćdziesiąt, w sam dzień świętej Zofii miał być ślub mój, z tą, którą całym sercem ukochałem. Była nią Zosia, taka śliczna i luba, jak majowy poranek!.. Do naszej wsi zawitało nieszczęście!.. morowa zaraza... Na dwa dni przed ślubem zachorowała nagle moja biedna Zosia!.. dzień przed ślubem leżała już w dziewiczym wianku w ciasnej trumience. Boże mój wielki!.. pamiętam jakby to się dzisiaj stało, i dziś jeszcze mam łzy w starych oczach, choć ich już tyle za mą Zosią wypłakałem. Owoż, kochany panie, trzeba wam wiedzieć, że Zosia była rodzoną siostrą nieboszczyka Walka, który był jej jedynym i starszym bratem. I dla tego właśnie ja wszystko wiem najlepiej o pocziwym Walku, świeć tam Boże nad jego duszą.

Nieboszczyka Walka ojciec, stary sołtys, jak go we wsi nazywano, był to wielki bywalec. Za młodu jeszcze służywał wojskowo z nieboszczykiem chorążym, który był naszym dziedzicem za polskich jeszcze czasów; a trzeba panu wiedzieć, że ja te czasy zapamiętam jeszcze chłopcem, wyrostkiem, ba nawet młodzieniaszkiem!.. Ale to do rzeczy nie należy!.. Pan chorąży nie darmo nosił ten tytuł; był to człowiek wojenny, i całe życie swe przepędził w obozach. Pan chorąży tedy polubił jakoś Walkowego ojca, któremu było na imię Stach, a nazwa rodzinna Derkał, i brał go z sobą na wojaczkę. Jak tam im szło i gdzie wywali, nie moja rzecz opowiadać, bo i czasoby nie starczyło — chociaż Bogiem a prawdą szkoda wielka, bo stary sołtys choć już wiekiem zgarbiony i jakoś trochę nie domagał, miał pamięć doskonałą, nam młokosom nieraz rozpowiadał różne rzeczy... a dalipan bardzo ciekawie i ślicznie rozpowiadał!.. Bywało jak nam zacznie prawić, to nam w piersiach młodych serce zacznie dygotać, i porywa jakaś tęsknota za tym światem dalekim, na którym tyle się dziwnych dzieje rzeczy.

Gdy już Stanisław osiadł na rodzinnej miedzy, a miał ci chatę porządną i grunt dawny sołtysowski, z kawałkiem lasu i cudownej łąki, po której nieraz hasałem z Zosią!.. Ale przepraszam... muszę się bardzo pilnować, abym nie wracał do własnego życia i jęgomosci nie nudził. Więc gdy się osiedlił Stanisław i ożenił z córką kmiecia bogatego z tej oto sąsiedniej wioski, co tam za rzeczką kilka chat bieleje, a sołtysował nam we wsi, był ci wzorowym gospodarzem. pocziwym mężem i ojcem, a najlepszym sąsiadem. Może był zanadto surowy!.. i może ta to zbyt surowość wyrobiła ten opór i zawziętość ogromną, jaką się Walek odznaczał. Ale ja nie śmiem o tem sądzić, a Bóg to już tam dawno rozsądzić musiał, i po sprawiedliwości swej wielkiej ocenić!.. Ot zwyczajnie, jako człek wojskowy lubił porządek, i w każdej rzeczy, czy to w chacie przy do-



mowych zajęciach, czy na robocie w polu, dbał o ordynek największy, a każde przewinienie w tej mierze srodze go gniewało, i w takim razie szczodry był w łajaniu i w karaniu. Walek jego jednak, miał w gruncie serce najpocziwsze, bo ja go przecie od dziecka znałem małego, i mogę śmiało poświadczyc, że gotów był potrzebnemu ostatnią z siebie dać koszulę; a jak kto z serca do niego zagadał, to Walek gotów był ze skóry dla niego wyskoczyć. Ale miał wielki upor!.. i złością a gniewem nikt sobie rady z nim dać nie mógł. Bogiem a prawdą, byłci on jak kozioł prawdziwy!.. jak jemu tak, to on siak!.. ale zawsze inak!.. niż go nakłoniono. To już była jego wada, bodaj czy nie z krwi gorącej pochodząca, jeżeli to prawda być może, że człowiek już z urodzenia wady swe na świat przynosi.

Dosyć, że choć ojciec serdecznie kochał syna, i również serdecznie był kochany, takie nieraz w chacie były niepokoje, że ktoby obcy do niej wszedł nagle, myślałby, że największa między ojcem a synem panuje nienawiść. Póki jeszcze matka żyła, pocziwa z kościami kobieta, wielka gospodyni, a tak już przywykła do rygoru mężowskiego, że jego wola dla niej ledwie się bożej woli nie równała, to jakoś ona umiała upor synowski zmiękczyć, jeżeli nie prośbą, to łzami. A dla też matczynych Walek gotów był w ogień skoczyć. Lecz Stanisławowa w lat kilka po urodzeniu Zosi umarła, a stary po jej śmierci stał się jeszcze surowszym. Reszta łagodności jego z nią razem poszła do grobu. Miejsce jej zastępowała Zosia, o ile tylko mogła serdecznym wpływem, jaki wywierała i na ojca i na brata. Ja sam widziałem, jak nieraz, gdy już Walkowi żyła na czole się napreżyła, a był to u niego znak gniewnego wybuchu, jedno spojrzenie na brata rzucone, uspokajało go po części, i w takim razie choćby jak się uniósł to czempredziej zacisnął zęby, by mu się głupie słowo nie wyrwało, uciekał z chaty i gdzie w kącie stodoły spłakał swą zawziętość. Zosia była istnym aniołkiem na ziemi, póki nie została aniołem w Niebie!.. Po śmierci Zosi, jeszcze gorzej było. Stary softys stetryczał do reszty, Walek rozpaczał jak szalony, ale ubrało mu się koniecznie, że surowość ojca przyłożyła się do śmierci Zosinej.

— Biedna Zosia, — mówił nieraz do mnie, — ciężkie jej było życie przy starym!.. uciekła pod ziemię!..

Daremne było moje gadanie!.. Uparcie trzymał się Walek przy zdaniu swoim. Tutaj wspomnieć muszę o jednej okoliczności, która właściwie łączy się z całym biednego Walka losem późniejszym, i wpływ wywarła stanowczy na całe jego życie.

## VII.

— Trzeba panu wiedzieć, że gdy Stanisław po śmierci chorążego o którym zapomniałem powiedzieć, że jak żył tak umarł na wojaczce — mieczem wojował i od miecza zginął, osiadł na swej ojcowiznie, żyła jeszcze natenczas jego matka staruszka, ślepa już zupełnie.

Stary sołtys czcił ją jak świętą i przed nią był potulny jakby chłopak młody, jakby dziecko jeszcze.

— Ojcowie na ziemi!... mawiał stary sołtys — to Bóg na ziemi dla dzieci; a kto ich nie szanuje, to gorszy od lutra i wart szubienicy.

Jak staruszka umarła, Stanisław pochował ją przy mogile ojcowskiej, i obu rodzicom postawił wspólny krzyż kamienny, który stoi do dzisiejszego dnia. Jak ich szanował i czcił za życia, taką też cześć oddawał po śmierci. Sam własną ręką posadzał przy grobie rodziców parę brzózek, z których już tylko jedna płacze swemi zielonemi liśćmi nad krzyżem, a druga już uschła i posiał kwiatki które pielęgnował najstaranniej i odnawiał co roku. W lecie grób rodziców starego sołtysa, to był prawdziwy ogródek, a jak we wszystkim — co już mówiłem, lubił porządek największy, tak i tam dbałość jego była wielka. Codzień wieczorem chodził na cmentarz pilnować, czy mu co w rodzicielskim ogródku nie zepsuto, i choć jakby był zmęczony całodzienną pracą, to nieraz aż do północy można go było widzieć kąpiącego, sadzącego i polewającego na cmentarzu. Co niedzielę nawet, choć bardzo przestrzegał święta, poprawiał w tym cmentarnym ogródku, jeżeli było co do poprawienia. A zdarzało się to nieraz, bo i za naszych dawniejszych jak i za pana późniejszych już czasów, cmentarzyk nasz był mocno zaniedbany, więc też nieraz jeżeli nie ludzie, to zwierzęta czyniły w nim szkodę. Prócz tego co niedziela i co święto stary sołtys zabrawszy żonę i dzieci, szedł nad grób rodziców, klękał przy nim pobożnie i modlił się serdeczne, szczere łzy nieraz wylewając, a w końcu śpiewał pieśni nabożne i żałobne. Trzeba zaś wiedzieć, pozwoli pan, że tu zrobię uwagę na mojem starem doświadczeniu opartą — że za naszych czasów, na naszej ziemi daleko więcej było pieśni nabożnych cudnych, słowami serdecznymi i nutami prostymi pełnymi wdzięku, z serca także zda się prosto płynąciami. Dziś przebrzmiały pieśni nabożne, albo się bardzo rzadko odzywają, ale za to mnóstwo jest piosnek światowych; piękne także, niema co powiedzieć — bo nieraz pełne uczuć pocziwych!... ale czy nam dziś lepiej?..

Kiwnął głową stary organista, zamyślił się nieco, i po chwili mówił dalej, uśmiechając się dobrodusznie!

— Ale tym sposobem nigdy nie skończę i pana łaskawego do brze wynudzę. Ale gawędzenie, to już taki narów starych ludzi.

— Mówcie staruszkę jak się wam podoba! — odpowiedziałem uśmiechając się mimowoli. — I ja do starszych należę, a potem gawędzenie należy niejako do mego zawodu.

— Do waszego zawodu panie? — zapytał staruszek z niejakim zadziwieniem.

— A tak mój przyjacielu! — bo ja jestem powieściarz.

— Piszecie powieści! — zawołał staruszek, i oczy jego zabłysły wyrazem radości prawie. — A to się doskonale zdarzyło!... Więc wy panie spiszecie może kiedy to, co wam tu opowiem?

— Was by to cieszyło? — zapytałem.

— A jużci!... i bardzo!... bo nieraz ja sobie myślałem, że to



całe zdarzenie, choć zapewne bardzo maluczkie, warte, by o niem ludzie nasi wiedzieli. Jak to będzie w książce, ludzie prości będą czytać może, a gdy przeczytają, to zaczerpią może naukę, bo smutne biednego Walka przeznaczenie powinno posłużyć innym za przykład.

## VIII.

Staruszek mówił dalej:

— Gdy dzieci podrosły, a sołtysowa umarła, i choć już mało było miejsca przy grobach rodzicielskich, smutny wdowiec postarał się przecie o to, by ją przy nich pochowano; żądał słusznie stary, aby syn w staranności około mogiłek dziadów i matek zastępował jego miejsce.

— I ja tam w tym ogródku cmentarnym legnę kiedyś! — mówił do syna.

Więc mu nakazał swoim zwyczajem groźnie a surowo, aby pielegnował te groby. Walek byłby zapewne to uczynił z dobrej chęci własnej, bo matkę nieboszczkę kochał bardzo i serdecznie opłakiwał, gdyby może ojciec łagodniejszym sposobem był przemówił do niego. Ale już to było w gwałtownej Walka naturze, że każdy nakaz surowy wzbudzał w nim upor i ducha przeciwności. Dziś już w to nie wierzą, i może mają słuszną ludźmi mądrzy i uczeni, ale ja stary człowiek powiadam zawsze, że nad uchem i sercem człowieka czyha zły duch, bies czy szatan, szepeząc nieustannie swe złośliwe nauki. Takiego biesa miał Walek przy sobie i nie umiał się mu oprzeć, bo nie miał w sobie tej prostej wiary, która potrafi serdeczną modlitwą odpędzić i zwyciężyć biesa. Choć to u nas na wsi nie dochodziły tak bardzo te wszystkie nauki nowe, co w owym czasie zawzięły się na nasze nieszczęście i naszą zgubę szerzyć po kraju naszym, ale niejedna trucizna wymknęła się już i wtenczas z pałaców pańskich do chat biedniejszych. My tu w naszej wsi mieliśmy tę zamorską zarazę we dworze naszym. Stary chorąży umarł w stanie kawalerskim i przez lat wiele nie było dziedzica, jeno przemieszkował we dworze jakiś pełnomocnik, wystawiony tu z opieki sierocińskiej nad małoletnim ciotecznym jakimś wnukiem nieboszczyka chorążego. Przybył wreszcie nowy dziedzic; pan szambelanik, jak go zwano wychowany gdzieś za morzem, i z nim razem przybyło całe jakieś towarzystwo cudaków zamorskich, którzy wszysej nieludzkim gadali językiem, i drwili sobie z naszej prostoty. Te głupie chłopcy! mówili wszyscy od dziedzica zacząwszy... pełni starych zabobonów i przesądów. — Prawda, że we dworze nie było ni zabobonów ni przesądów, ni też przestrzegano uczciwych naszych obyczajów. Ba nawet z szambelanicem przyjechała jakaś Włoszka podobno, jak nam mówiono, w której czarnych jak węgiel oczach palił się ogień prawdziwie piekielny. Ba, nietylko w oczach, ale i w głosie siedział djabeł, bo kogo okiem nie skusiła, to go czarowała głosem. I przyszło nawet do tego, że ta kobieta, mająca nadzwyczajną władzę nad szambelanicem, choć

nie była jego ślubną żoną, wywodziła nieraz jakieś bezbożne trele w naszym kościółku na chórze. Starzy w takich razach uciekali z domu Bożego, a ja przy moich organach, bo już wtenczas zastępowałem miejsce starego ojca mego, drżałem z przestרחu i grozy, i tylko się tem ratowałem od szatana, żem zamykał oczy i uszy, a starałem się przez cały czas myśleć o Bogu, a czasem o mojej Zosi! Ale młodszym te trele kunsztowne przypadają do smaku, a Walek mianowicie nie mógł się dosyć nasłuchać tego szatańskiego śpiewu, nie mógł się dosyć napatrzeć na piekielne oczy czarne... Ja tam o tem myśleć nie lubię, bo najbezpieczniej myśli poczciwej nie zastanawiać się nad szatańskimi sztuczkami, ale dziś to powiem wam panie na ucho, że mnie się zdawało, że ta Włoszka opętała mego biednego Walka. Chciał on w owym czasie koniecznie pójść na służbę do dworu, zkąd nawet razy kilka przysyłano po niego, namawiając, aby został nadwornym pajukiem czy jakimś takim lokajem, jak już wówczas zaczynało nazywać ludzi do osobistych usług przy Signorze, tak nazywano tę szatańską Włoszkę. Ale stary sołtys się temu oparł w taką wpadł wściekłość, że zaklął się nawet, jako własnymi rekoma raczej zadusi rodzzonego syna, niżby mu pozwolił iść w służbę dworską, między tych kusych biesów zamorskich.

Odtąd też coraz gorszy był stosunek ojca z synem. Walek nieaz ojcu na złość robił. Jak więc mówiłem, złe nauki i złe przykłady s zły ze dworu i zatruwały choć pomału, ale ciągle proste umysły wieśniacze. Razu jednego sołtys zabrawszy syna i kilku ze starszych gospodarzy, poszedł do dworu do szambelanica. I ja tam byłem między nimi i nigdy nie zapomnę, jak zastaliśmy szambelanica i jego towarzystwo. Choć to już było o zmroku prawie, szambelanic z całym swem towarzystwem był przy obiedzie. Wrzawa panowała straszliwa w sali; wszyscy razem krzyczeli i śpiewali. Signora, dziś się wstydzę, gdy sobie przypominam — zabaczywszy wstyd kobiecy, siedziała z szambelanicem bez ceremonji i czerwona jak upiorzyca, piła wino z wielkiego i długiego kielicha.

Śmiech przywitał nas ogólny. Signora spojrzawszy ku nam, jeszcze czerwienią się stała, i wskazując palcem na Walka, coś zaczęła gadać do szambelanica jakąś mową zakazaną — jeszcze podobno mniej zrozumiała od niemieckiej.

Stary sołtys jako bywalec, nie dał się zbić z toru, i wniósł w imienin gminy groźbę, aby dwór przyłożył się do reperacji cmentarza, mianowicie do wysypania wału i tamy od rzeczki, która z jednej strony coraz więcej podmula go i jest niebezpieczeństwo, że przy lada większej wodzie może porwać z sobą część cmentarza i porwać z sobą groby w tej stronie leżące.

— A cóż to szkodzi!... — zakrzyknął szambelanic głosem zachrypniętym.

— Tam przecie leżą umarli... i mogą z wodą popłynąć!...

— A to niech sobie płyną!... Jacy wy durnie! ciało po śmierci czy robaki roztoczą, czy raki lub ryby pojedzą, to na jedno wyjdzie, ciało to gnój.



— Ale w tem ciele były dusze... zaczął dalej mówić stary sołtys, lecz mu przerwał szambelaniec.

— Strasznieś głupi chłopie!... powiadam tobie! ciało to gnój, a dusza to para!...

— Ależ proszę jasnego pana!... próbował mówić jeszcze Stanisław.

— Nie ma duszy — wrzasnął szambelaniec — to wymysł popów którzy z was drwią i za nos wodzą!...

— Widzisz tę butelkę! — mówił dalej dziedzic, jak mi się zdało nieco już podpiły i porwał pełną jeszcze butelkę. — To jak człowiek ujrzy!...

To mówiąc, duszkiem wypił butelkę, i dodał:

— A teraz już niema duszy!... przecz z niepożytecznem ciałem.

I butelką rzucił o ziemię, aż się w tysiąc czerepków rozbiła. A towarzystwo całe zaryczało dzikim śmiechem prawdziwych potępieńców, a czarna Włoszka, pokusa, objęła dziedzica za szyję i ucałowała go przy nas wszystkich.

Sołtys chciał jeszcze mówić, ale szambelaniec zerwał się gniewny i huknął: — Precz chłopcy!.. przeszkadzacie mi do strawności waszemi głupimi facjatami!... Precz bo każę was psami wyszczuć!...

Gdyśmy wyszli zasmuceni i zrażeni do największego stopnia, milczeliśmy wszyscy, bo Bogiem i prawdą prócz smutku wstyd nam było, wstyd za naszego dziedzica, jeden Walek nie miał smutku w oczach. Zbliżył się do ucha mego i szepnął:

— Słyszałeś, co mówi dziedzic o człowieku i butelce? Jest w tem wiele prawdy!

Zgromiłem go po przyjacielsku, i tym razem na tem się skończyło.

## IX.

— W powrocie, gdy mu ojciec nakazał mieć staranie około rodzinnych mogilek, nie mógł wytrzymać, aby nie mruknąć sobie pod nosem: jak butelka już próżna!... nie warto tyle kolo nich zachodu. — Stary sołtys na szczęście nie usłyszał dobrze słów, jeno się ogromnie rozgniewał za to niechętne mruczenie. Popatrzył na niego groźnem okiem, i rzekł tylko: nie będziesz ty miał Bożego błogosławieństwa.

I w nieszczęśliwą powiedział godzinę!... Biedny Walek!... Lecz by to wszystko skrócić, co już pana nudzić zaczyna, powiem, że odtąd jakby co obcego stało między ojcem i synem. Ojciec coraz był gniewniejszy, a syn coraz upartszy. A ciągle były sprzeczki o te nieszczęśliwe mogilki. Nieraz stary, gdy przyszedł na cmentarz i zastał tam wielkie zaniedbanie, a nawet i szkodę, wpadł w gniew okrutny i strasznemi słowy łajał syna; a ten jeżeli się nie trzymał uparcie, to się tylko uśmiechał złośliwie i szyderczo.

— On mnie to na złość robi!... na złość rodzonemu ojcu... taki syn gorszy od żyda!

— Stary już zdzieciniał! — mrucał Walek.

Czy Walek rzeczywiście robił na złość, ja tam tego utrzymywać nie będę z pewnością, ale też sumiennie zaprzeczyćbym nie mógł, bo w owym czasie gwałtowność Walka dochodziła do najwyższego stopnia. — Zosia robiła wszystko możliwe, by obu łagodzić; to też nieraz sama przededniem wstawiała i szła na cmentarz, aby tam porządek zrobić z ogródkiem a czasem do późnej nocy kopała i sadziła, aby ojcu zrobić przyjemność. A gdy się ojciec uśmiechnął, Zosia najszcześliwsza chwaliła Walka, że tak starannie chodzi około rodzinnych mogilek. Pocziwe kochane dziecko!...

Po jej śmierci coraz gwałtowniejsze bywały kłótnie w chacie starego softysa, a prawie zawsze o ten cmentarz nieszczęśliwy!... Groby rodzinne bywały coraz więcej zaniedbane. I Walek coraz mniej dbał o wolę ojca. W tym czasie był on najwinniejszy. Naprzód rozpróżniaczył się mocno, i często jeżeli nie po całych dniach, to po całych nocach przesiadywał we dworze, gdzie się zaprzyjaźnił z całym tałałajstwem służbowem. Ba nawet dobrze pamiętam, że w owym czasie zdybał nieraz dobrze podpitego. Ojcu bywało coraz zuchwalej opowiadał, z czego przychodziło w chacie do zająć coraz smutniejszych. Bywały i dla Walka dni opamiętania. I czasem zaczął sam sobie czynić wyrzuty i spłakał się łzami prawie dziecinnymi a ojca szczerze przeproszał i serdecznie się korzył przed nim. Gdybyż w takim razie stary był przyjął upokorzenie syna łagodniejszem usposobieniem, możeby i Walek przyszedł do zupełnego opamiętania się, i Walka życie inny, szczęśliwszy przybrało kierunek.

Trzeba było jeszcze nieszczęścia, że się Walek nagle rozkochał w jednej dworskiej dziewczce, o której w całej gminie najgorsze było zdanie. Ja tam o ludziach sądzić nie chcę, bo sąd słuszny jednemu tylko Bogu dany, ale zdaje mi się, że nie bez słuszności o niej gadano. Kasia rzeczywiście była ładna dziewczyna, a z chłopcami miała taką śmiałość, że nie darmo ludzie mówili, jako była w szkole tej zamorskiej Signory. Dosyć, że Walkowi coś do łba strzeliło, i chciał się z Kasią żenić koniecznie. Ojciec długo o niczem nie wiedział, aż razu jednego Walek zaczerwieniony od trunku, nie wyspany po całej nocy przepędzonej z dworskimi, przyszedł do ojca i rzekł mu:

— Ja się chcę żenić!...

Ojciec popytrzył na syna, i w pierwszej chwili mocno się ucieszył, bo już to dawno było jego życzeniem, aby jeszcze syna przed śmiercią ożenić i pocziwą jaką do domu wprowadzić gospodynią, a może i wnuka lub wnuczki doczekać. Więc też z razu odpowiedział:

— I owszem!... żeń się synu!... trzebaby tylko poszukać!...

— Ja już znalazłem!...

— Bez mojej wiedzy? — zagadł stary i oczy groźne swoim zwyczajem na syna wypatrzył.

— Przecież ja dla siebie biorę żonę, nie dla was!



Stary z wielkiego zadziwienia osłupiał, bo jeszcze nigdy może tak mu się syn nie stawiał zuchwale.

— Ja się żenię z Kasią!...

— Z jaką Kasią?...

— Córką starego Piotra, co dawniej za furmana służywał...

— Z tą dworską wyszczekaną? — wrzasnął stary.

Stary się zerwał i zatrząsał cały.

— Nie!... nie!... póki ja żyję, to nie wprowadzisz do domu takiej synowy! To ladaco miałoby zastąpić twoją matką poczciwą i Zosię moją kochaną... Nigdy!...

— Ja się przecie z nią ożenię! — odpowiedział Walek z wzmagającą się zuchwałością.

— A nawet gdybym umarł, a ty się chciał z nią ożenić, to cię będzie prześladować moje przekleństwo.

— Ja się przecie z Kasią ożenię! — powtórzył uparty Walek.

Stary skurczywszy pięście, rzucił się na syna. Walek miał przecie tyle upamiętania, że wybiegł z chaty. Na szczęście ja nadzedłem i jakoś trochę uspokoiłem starego. Mówiłem też i z Walkiem, chcąc go przyprowadzić do rozwagi, i choć mi uparcie odpowiedział, przekonałem się, że nie był on przywiązany do dziewczyny, ile wpływały na niego obce namowy i własny upór.

I byłby się niezawodnie ożenił, gdyby nie zaszło zdarzenie, które stanowczo wpłynęło na dalsze losy Walka.

## X.

Był to dzień Zaduszny. Jesień była śliczna. Takiej jesieni drugiej nie pamiętam podobno przez całe życie moje. Na tydzień przed Bożem Narodzeniem bydło chodziło jeszcze w polu, i orano pole na jare zasiewy. Pogoda w ten dzień była taka, jak sobie przypominam, żeśmy wszyscy byli w kościele w płótnianych kapotach. Stary sołtys w ten dzień zwykł był dawać na mszę świętą za duszę ojca, matki, żony i córki, a prosto z kościoła szedł na cmentarz, by się pomodlić i rzewnie wyplakać nad grobami drogich mu zmarłych. Przyszedł stary sołtys do kościoła, ale sam jeden. Po raz pierwszy się trafiło, że Walek nie towarzyszył ojcu, bo już to w ten dzień jeden łagodniał zwykle w swoim zawziętym uporze i modlił się szczerze wraz z ojcem w kościele i na rodzinnych mogiłkach. Mnie aż mrowie przeszło, gdy m starego ujrzał, jak sam jeden wszedł do kościoła, błądy okropnie. Widocznie się przymuszał do spokoju, ale oczy jego paliły się gorączkowym ogniem. W piersiach zabolęło mnie nagle jakieś okropne przeczucie. Wszakże już zrana doszły mnie smutne słuchy, że Walek po srogiej kłótni, odbytej dniem wprzód z ojcem, z powodu tej dziewczki niepoczciwej, hulał całą noc w karczmie z dworską służbą i z Kasią. Widziano ich do dnia, jak oboje pijani zataczając się wałęsali po wsi, i mówiono nawet, że wyszli razem w stronę cmentarza. Odbyło się całe nabożeństwo spokojnie. Stary

sołtys przez całe nabożeństwo klęczał, a co się z nim działo, ja tylko mogłem się domyślać, patrząc na jego twarz sędziwą, raz po raz to czerwoną okropnie, to strasznie bladą. Po odprawionem nabożeństwie powstał stary sołtys, wyprostował się, i raz jeszcze obejrzał w koło siebie. Walka nie było. — Złożył kilka złotych do skarbonki kościelnej i wyszedł wreszcie z kościoła krokiem mierzonym, lecz jak zauważyłem, drżał cały. Kilku starszych gospodarzy chciało mu towarzyszyć, ale on się do nich odwrócił i rzekł głosem strasznie zmienionym: dziękuję wam!... zostańcie!... ja sam pójdę.

— Sam!... sam!... sam! — dziwnym głosem powtórzył trzy razy, i szedł ku cmentarzowi.

O kilka kroków szedłem z cicha za nim, bom się bał samego zostawić. Czy mnie widział, nie wiem. Przyszliśmy na cmentarz. Stary zbliżył się do mogilek, zadrżał, wzdrygnął się i krzyknął przeraźliwie. Przybiegłem copędzej i aż mi włosy powstały do góry, gdy ujrzałem cały ogródek mogilny poniszczony okropnie. Wszystkie kwiaty były podeptane lub powyrywane i porzucane, a krzyż wywrócony. Widocznie to nie był przypadek, ale umyślne dzieło.

— Świętokradstwo! — krzyknął stary żałościwie, i chwilę stał w osłupieniu.

Zdawał się zbierać myśli swoje, i nie mógł pojąć czasu jakiegoś, co się tutaj stało. Porywał z ziemi kwiaty podeptane i cisnął je do piersi, a wyraz jego twarzy był pełen rozpacz.

— Kto to zrobił? — krzyknął nareszcie głosem groźnym, w którym się jeszcze ozwała dawna jego siła. — Kto to zrobił?... kto? — powtarzał trzy razy.

Cicho było wokoło. Nagle jakby w odpowiedź na to zapytanie, ozwał się za płotem cmentarnym śmiech przeciągły i szyderczy. Był to śmiech okropny. Ja poznałem ten śmiejący się głos, i biedny ojciec poznał. Obrócił się, i ja się obróciłem. Za płotem cmentarnym wyszczerzały się dwie twarze czerwone, pałające, wykrzywione. To były twarze Walka i tej niegodziwej dziewczki. Mnie się zdaje, że stary już nawet nie widział dobrze tych twarzy, bo jego oczy zaczęły się straszliwie przewracać. Oddychał ciężko, jakby mu tchu brakowało, jakby chciał łapać świeże powietrze, nagle rozkrzyżował ręce, podniósł się do góry z wyrazem okropnej czy rozpacz, czy groźby, i upadł jak długi na podeptaną murówkę, na powyrywane kwiaty. Przyskoczyłem do niego; piersiami tylko robił, a oczy białkami się wywróciły na wierzch. Sto lat będę żył, a nigdy nie zapomnę tej strasznej chwili.

Kona!... krzyknąłem, odchodząc sam od przytomności. W tej chwili przybiegł syn. Walek okropnie wyglądał. Było w jego oczach coś dzikiego, powiedziałbym — że było coś szatańskiego. Na widok ojca leżącego i drgającego przy grobie rodziców na potarganych kwiatkach, włosy mu stanęły do góry. I jeszcze raz zaśmiał się dziko. Nie mówiąc ani słowa do niego, porwałem starego i on go porwał, i nieśliśmy go do chaty. Zdaleka widzieliśmy, jak od cmentarza uciekała ta niepoczciwa pokusa, śmiejąc się głosem pijanym.



Gdyśmy starego złożyli w chacie na jego tapczanie, był on już zupełnie nieprzytomny.

— Walku! — przemówiłem do syna z cicha a serdecznie.

— Daj mi pókój!... ja opętany! — I jął ojca nacierać i wodą z dzbanka oblewać.

Stary otworzył oczy i zaczął się niemi rozpatrywać. Spojrzał na syna na wpół nieprzytomny jeszcze. Czy go poznał, ja nie wiem z pewnością; ale zdaje się, że pomału wróciła przytomność, bo patrząc na Walka, oczy mu wybiegły na wierzch z wyrazem okropnym. Poruszył ustami, jakby chciał coś przemówić, ale nie mógł; mowę mu już odjęło. I lepiej może, bo słowami wyraźnemi to z ust ojcowskich nie wyleciało, czem przemawiały oczy nadto wyraźnie. Ręce tylko skurczone wyciągnął ku synowi, groźne, odpychające. Straszny to był widok tego niemałego gniewu, oburzenia, przekleństwa może. Kilka kurczowych wstrząśnień przebiegło staremu po twarzy i całym ciele, potem wyciągnął się, zadrzał, chciał się jeszcze podnieść, zesztyniał i upadł na łożo!... Już nie żył stary sołtys.

Okropnie wyglądał Walek w tej chwili. Cierpienie jego musiało być wielkie, ale walczył widocznie naprzeciw niemu dumą, uporem i zawziętością.

— Walku! — przemówiłem do niego głosem czułym, i objąłem go za szyję jak brata. Brat mojej nieodżałowanej Zosi był moim bratem.

Biednego Walka twarz skrzywiła się jakby do płaczu. Gdyby był zapłakał szczerze, możeby wszystko było poszło inaczej. Ale on nie mógł płakać, a może i nie chciał. Szatańska duma przemogła w nim. Kurczowy śmiech przebiegł po jego twarzy.

— Ja jestem przeklęty! — powiedział do mnie głosem przytłumionym.

— Przeklęty! — powtórzył. — To głupstwo, to przesady! — Przeklęty! — dodał — i lepiej!... Jestem wolny.

To rzekłszy wybiegł z chaty. Biegał jak się później dowiedziałem, gdyby szalony po polach. Kaśka, istna pokusa szatańska, zbliżała się do niego kilka razy, ale on i od niej uciekał, a gdy się natrętnie ku niemu zbliżyła, odrzucił ją tak silnie, że upadła na ziemię, miotając na niego przekleństwa. I znowu przybiegał do chaty, stawał we drzwiach, i patrzył na trupa ojcowskiego; chciał już się zbliżyć, ale jakby jaka niewidoma siła odpychała go, uciekał do progu i znowu biegał po polach.

Wreszcie przydybałem go na pozór spokojniejszego.

— Walku! — przemówiłem do niego — trzeba pomyśleć o pogrzebie.

— A trzeba! — odpowiedział oziębło.

— Trzebaby pójść do księdza i starać się o pozwolenie, aby nieboszczyka pochować około ojców, koło żony i córki...

— A to na co?...

— Nieboszczyk tego sobie zawsze życzył.

— On o tem nigdy nie mówił!...

— Bo uważał to za rzecz naturalną, że go pochować każesz

przy tych grobach, co mu były tak drogie, i które tak serdecznie pielęgnował...

— I mnie zawsze męczył!

— Walku!... kochany Walku!...

— Próżna butelka!... na nic się już nie przyda...

— Jeżeli chcesz, to pójdę do księdza...

— Nie potrzeba!... tam już niema miejsca!... i ja nie chcę... nie chcę tego miejsca!... o!... nie chcę!... już inne wynalazłem miejsce...

Nie chciałem mu się sprzeciwiać, bo myślałem, że widok tych grobów przez niego znieważonych, zanadto go rozdrażnia. Niech się przynajmniej uspokoi!... myślałem sobie; i nie chciałem nareszcie, by się ludzie domyślali o prawdziwej przyczynie śmierci starego sołtysa, a rozgniewany Walek mógłby się sam wygadać. Więc milczałem, rad temu, że jego niepokój brali ludzie za dowód żalu wielkiego po ojcu.

Poszedł sam do księdza i do grabarza, i dopiero przed samym pogrzebem dowiedziałem się, jakie miejsce obrał na grób ojcowski. Zdziwiłem się i posmutniałem, ujrawszy, że obrał najgorsze miejsce na całym cmentarzu, chociaż w rzeczy samej najwolnijsze i najotwartzsze. Było to właśnie to samo miejsce, które nieboszczyk chciał zabezpieczyć naprzeciw wodzie, i w tym celu, jak to już wam opowiadałem, udawał się do dworu.

Dla czego te a nie inne miejsce obrał, nie umiałbym z pewnością powiedzieć. By to na złość umarłemu uczynił, nie chce mi się wierzyć, bo nadto widocznie ciężka dręczyła go zgryzota. Ta walka z dumą i uporem, jaka się w nim odbywała, prawdziwa walka dobrego i złego ducha, aniola z szatanem, przyprowadzała go o rodzaj szaleństwa. Chodził i mówił nieraz jak prawdziwy warjat, i jestem tego prawie pewien, że on o tem, co w tym czasie robił, nie miał zdrowego wyobrażenia. Biedny Walek, on sam nie wiedział, co czyni. Po pogrzebie nie był spokojniejszy, chociaż wziął się z pewną zawziętością do gospodarstwa. Na grobie starego sołtysa, nic z Walekiem nie mówiąc o tem, postarałem się, by postawiono piękny krzyż drewniany, ładnie pomalowany ze stosownym napisem. Przy wkopaniu krzyża był Walek obecny. Błady, niemy, patrzył długo na grób ojca, ale usta jego nie poruszyły się do modlitwy. Biedny Walek nie mógł ani płakać ani się modlić.

Że przecież jakaś dziwna w nim zaszła zmiana, z tego mogłem zmiarkować, że od tej strasznej chwili na cmentarzu, Kaśki dworskiej na oczy nie chciał widzieć. Przybiegała ona nieraz do chaty, ale on drzwi przed nią zamykał, albo sam z chaty uciekał. Razu jednego przyszła niepoczciwa pokusa i nie chciała się ustąpić.

— Ja już tu zostanę!... Walku przyrzekłeś się ze mną ożenić!...

— Idźże sobie! — mówił do niej, przymuszając się do spokoju.

— Otóż bo nie pójdę.

Walek kilka razy jeszcze przemówił do niej spokojnie; prosił się jej nawet. Aż w końcu znać mu zabrakło cierpliwości, skoczył nagle, porwał w pół i jak piórko wyniósł za chatę, a sam stanął we drzwiach.



— Słuchaj dobrze!... co ci powiem — rzekł do niej, a spojrzenie oczu i głos jego były straszliwe. — Ja się z tobą nigdy nie ożenię. A jak mi raz jeszcze przyjdiesz do chaty — przysięgam ci — że cię zabiję. Wiem, co mnie za to czeka, ale to mnie nie wstrzyma. Uduśzę cię własnymi rękami!... A jak mnie stracą to i lepiej!... Przez ciebie życie moje całe stracone!... idź precz! niech cię nigdy nie widzę.

Dziewka przestraszona uciekła, i już więcej do chaty nie zaglądała. Wkrótce też poznała się z jakimś urwisem dworskim, i powędrowali oboje w świat, pokradłszy różne rzeczy we dworze. Już jej od tego czasu nigdy nie widziałem.

Walek stawał się chwilami spokojniejszy i za łaską Bożą byłby może zupełnie przyszedł do siebie i do opamiętania, gdyby nie to, że jeszcze często bardzo oddawał się truukom. Chciał widocznie zalać trunkiem pamięć i sumienie. Nieraz się strasznie upił, i po pijanemu okropności gadał; ale pamięci i sumienia nie mógł zapić, a Boża kara już wisiała nad nim!... Okropna kara!... Biedny Walek!

## XI.

Stary Janek ciągnął dalej. — Tak trwało przez całą zimę. Bywałem codziennie u Walka, który przyjmował mnie zawsze po przyjacielsku i nieraz zdawało się, że chce mi coś powiedzieć... Może chciał się wypowiedzieć, wypłakać na mojej piersi, ale wówczas był jeszcze pod wpływem tego opętania, jak sam mówił o tem. Razu jednego, a był to jeden z ostatnich pięknych dni jesieni, gdy się wcześniej niż zwykle od niego wybierałem, zapytał mnie: dokąd się spieszę?

— Wstąpię na cmentarz!... odpowiedziałem mu naumyślnie, chcąc go namówić, by poszedł na grób ojcowski. Nic nie odpowiedział, ale spojrzał na mnie dziwnym jakby pytającym wzrokiem. — Może pójdziesz ze mną? — zapytałem tonem prawie obojętnym.

Zerwał się i zbliżył do ściany, na której wisiała jego czapka, lecz nagle stanął, przez twarz przebiegł wyraz drwiący prawie, i rzekł do mnie z ostrym i zuchwałym przyciskiem:

— A mnie to po co?... Nie przypominaj mi cmentarza!... nie wywołuj djabła!...

Tego dnia, jak się później dowiedziałem, pił całą dobę.

Zima była bardzo zawałna. W samo Boże Narodzenie jak padły śniegi, to leżały aż do marca, a tak wysoko, że po sadach małe drzewiny jakby zasypane sterczały samymi tylko wierzchołkami, które obgryzały zające. Ale za to w końcu marca jakoś, jak nagle przygrzało wiosenne słońeczko i wiatr przyszedł południowy, śniegi gdy zaczęły tajać nagle i gwałtownie, w całej naszej okolicy powódź była prawdziwa; dolina cała była pod wodą, a nasza rzeczka wzbierała tak mocno, jak nie zapamiętali ludzie, toczyła się okropnymi batwanami. Wszystkie łąki nadrzeczne były pod wodą, i coraz bliżej

dochodziły do wioski naszej, której część, jak pan wie zapewne, niżej rozłożona, przypiera o łąkę gromadzką.

Było kilka dni okropnych, bo już woda dochodziła do samych chat i porywała całemi kawałami ogrody i sady, prowadząc z sobą drzewa i ploty. Najgorszy wir był koło cmentarza, bo tam właśnie na skręcie rzeki, gdy raz już woda tamtędy wagę wzięła — jak to już mówiłem — podmulała cały bok prawie. Tam właśnie na samym koniuszku cmentarza stały ogromne wierzby wznoszące się po nad rzeką, która przy większej wodzie oplukiwała zawsze część korzeni z ziemi sterzających. O kilka kroków od nich stał grób starego sołtysa, pochowanego tam z woli syna.

Był to właśnie dzień trzeci powodzi. Woda rozszalała się do najwyższego stopnia, wiatr dał przeraźliwie i taki był szum i huk w powietrzu, że najodważniejsi drżeli. Myśmy byli zgromadzeni w kościele, cała wieś zesła się i wszyscy gorąco się modlili do Boga o jego święte miłosierdzie. Gdyśmy już odśpiewali po mszy: od głodu ognia i t. d. i wyszli z kościoła, zkaąd widać jak na talerzu te wierzby cmentarne, o których mówiłem, nagle zawyło w powietrzu przeraźliwie; z sercami bijącemi słyszeliśmy jak bałwany uderzały o urwisko cmentarne. Nagle... patrzmy... i w pierwszej chwili zdało nam się, że to złudzenie, że to oczy tak źle widzą; poruszały się wierzchołki wierzb, ale tak mocno, jakby niemi targała siła nadludzka. I zaczęły się słaniać i chylić coraz więcej!... Tchu nam w piersiach zabrakło! Wielkie wypatrzyliśmy oczy!... jeszcze jeden huk i łomot straszliwy!... i ogromne wierzby znikły, jakby ich tam nigdy nie było. Ozwał się jęk przeraźliwy. To cała wieś przerażona jęknęła i zapłakała za temi starymi drzewami, które najstarszym i najmłodszym pokoleniom miłą były pamiątką. Obejrzałem się, bo w środku tego jęku zdało mi się usłyszeć odrębny jakiś krzyk, tak przeraźliwie rozpaczliwy, że zagłuszył jęczące całej wsi głosy.

To Walek krzyknął. Na schodzie kościelnym stał bladej skóry stokroć od ściany, o którą się opierał. Oczy jego wypatrzone, osłupiałe paliły się prawdziwem zaleśnięciem, a pięść wcisnął w kapotę, i widać było, jak nią dławił piersi swoje.

— Cmentarz woda uniesie!... — rozległ się krzyk przeraźliwy.

Wszyscy pomóżd mogli natężenie wszystkich, naprzeciw siły rozhułkanego żywiołu!..

Na ten krzyk mimowolnie zwróciłem się ku Walkowi i zbliżyłem do niego... ale szczerze się przyznaję, że bałem się przystąpić, tak okropnie i straszliwie wyglądał w tej chwili.

— Bieźmy ratować cmentarz: — ozwało się kilka głosów.

— Patrzcie, jak się ziemia obsypuje coraz dalej! — krzyczeli inni.

— Biedni nasi!... zawodziły kobiety — woda ich uniesie!...

— Bieźmy ratować!... powstał krzyk coraz powszechniejszy.

— Czy słyszysz Walku?... przemówiłem wreszcie, przystępując do niego. — Chodźmy i my!...



— Precz... precz! — zakrzyczał wyciągając pięść ściśniętą ku mnie tak blisko, że mi czoła prawie dotykał..

— Woda porywa umarłych! — ozwały się nowe krzyki.

— Czy słyszysz Walku?... — przemówilem powtórnie.

— A niech ich porywa... i mnie z niemi!... mnie potępionego i przekłętogo! — krzyknął dzikim, nieludzkim prawie głosem i zeskoczywszy ze stopni kościoła, pobiegł ku wsi pędem szalonym.

Już wszyscy ruszali ku cmentarzowi, gdy nagle kilku chłopków nadbiegło zadyszanych, wrzeszcząc płaczkliwie:

— Woda zalewa już chaty tam na dole...

— Moja żona!... moje dzieci!... moja matka!.. zakrzyknęło kilka głosów zrozpaczonych.

— Bieźmy ratować! — ozwał się głos powszechny.

I wszyscy pobiegli ku dalszym chatom. Trzeba było zapomnieć o umarłych, aby ratować żywych.

Nastało dwa dni okropnych. Dziś jeszcze wspominają o nich ze strachem i zgrozą, chociaż już dziś prócz mnie nikt we wsi nie żyje, coby był przeżył i widział sam te sądne dni. Pozawczoraj było nas dwóch, cośmy je pamiętali. Biedny Walek już w ziemi.

Rozhukana rzeka, ciągnąc za sobą ziemię i drzewa, pozalewała ogrody i wcisnęła się do kilkunastu chat, a tak była wysoka, że się przez okienka przelewała. Dwoje niemowląt biednych z kołyskami uniosła z sobą przez wywalone drzwi i znikły bez wieści. W jednym najciaśniejszem miejscu, ogromne wierzby cmentarne zrobiły naturalną tamę, i tam też woda najwięcej poczyniła szkody. Lecz wierzby nie długo się utrzymały, woda je porwała dalej.

Cała wieś jakby jeden człowiek, wzięła się do ratunku, i prócz dwóch niemowląt, nikt przynajmniej życia nie utracił. Ale szkody były ogromne; kilku gospodarzy poszło z torbami. Okropnie było patrzeć, jak woda unosiła chaty, łany i biedne przeraźliwie ryczące bydło. Krówki nadaremnie pasowały się z bałwanami, zwracając rozpaczliwe i żałośne spojrzenia ku stajenkom, które woda uniosła także. I dla zniszczonych gospodarzy nie było później żadnej pomocy, bo jak się tylko powódź zaczęła, Szambelanic z Signorą i z całą dworską hałastrą wyjechali, i już więcej do wsi nie wrócili. Szambelanic przeniósł się do innego majątku. I to podobno była największa korzyść powodzi; pozbyliśmy się przynajmniej raz na zawsze złego przykładu i zepsucia.

Przez te dni byłem zajęty ogromnie, bo człowiek robił i pracował co mógł, robił co był powinien. Walka przez te dni nie widziałem, chociaż nieraz się za nim oglądałem. Co on przez ten czas robił, dotąd nie wiem z pewnością, bo go nawet w karczmie nie widziano. Zdaje się, że przez ten czas biegał jak szalony to po polach to po lesie i zapewne dla odpoczynku musiał nieraz wstępować do karczemki, co stała w lesie na drogach rozstajnych. Ludzie bowiem co go na drugi dzień widzieli pod wieczór, wracającego do wsi, rozpowiadali potem, że szedł prawie nieprzytomny, zataczając się i coś ciągle mruczając pod nosem. Bogdajby był nie wrócił jeszcze tego dnia do chaty swojej, gdzie go czekała okropna kara Boża. Jak

wrócił do chaty, i co się mu zdarzyło, ja sam nie wiedziałem; później dopiero dowiedziałem się z jego opowiadania.

Już tedy dobry zmrok zapadł, gdy wrócił drugiego dnia do swojej chaty.

— Nie nie pamiętam!... — mówił do mnie znacznie później — obudziłem się w własnej izbie o świcie prawie! leżałem w izbie na podłodze niedaleko drzwi.

Nie mówiłem panu podobno, że i sołtysowa chata stała w dolnej części, ale na wyższym nieco podniesieniu. Ogród stał nawet wyżej nieco; a chata była obrócona ku rzece. Ze drzwi wchodowych schodziło się w dół ścieżeczką ku drodze, która ze wsi prowadziła po pod rzekę, przez łąki do tej części gruntów, jakie po drugiej stronie rzeki nad nią się rozciągały.

Przez te dwa dni kilka razy byłem w chacie Walka, ale woda zalawszy drożynę w największej swej wysokości, nie znalazła pagórka całego i tylko dochodziła coś do progu chaty.

O ile tedy zrozumiałem z Walkowego opowiadania, a wiele domyśleć się musiałem, bo Walka opowiadanie było urywane... i w jakiej to chwili!... o mój Boże!... gdy się rankiem obudził i zaczął się opamiętywać, pomału dopiero przychodził do zupełnej świadomości minionych rzeczy. W pierwszej chwili przypomniał tylko sobie, że była ogromna powódź.

— Chciałem zobaczyć, jakie szkody porobiła woda w mojem obejściu, i wyszedłem na dwór, mówił do mnie.

Woda coraz więcej spadała, i czasami tylko jeszcze pokrywała pagórek, na którym chata stała, resztki piany, podrzucając aż do drzwi prawie. Tu i owdzie po rozhukanej wodzie widać było płynące rozmaite przedmioty, które coraz leniwiej się kołysały, i które podsunąwszy na brzeg, zostawiała na nim.

Nagle zdawało mu się, że widzi jakby człowieka walczącego z bałwanami wody. Nagle coś wystawało niewyraźnego, to jakby kawał sukni, to jakby ręka!... Zdawało mu się nawet, że po wodzie rozbiegały się jakieś długie włosy, od głowy się oddzielające.

Przedmiot ten coraz więcej zbliżał się do brzegu. Nagle fala jedna podsunęła się dalej nieco i cofnęła nazad, a ten przedmiot do człowieka podobny, osiadł na piasku już pierwej przez wodę naniezionym, osiadł na piasku przed samym progiem sołtysowej chaty. Walek zrobił naprzód krok jeden!... popatrzył, zakrzyknął tak przeraźliwie, że krzyk ten zasłyszano aż w środku wsi. W tej chwili musiał też stracić przytomność.

Już było parę godzin po wschodzie słońca, kiedy wiedziony jakimś niespokojnym uczuciem, poszedłem do sołtysowej chaty. W chacie było pusto. Zajrzałem do drzwi wchodowych, i ujrzałem Walka leżącego przed progiem, a tuż koło niego jakieś ciało ludzkie na pół już zepsute z resztkami ciała na kościach. Okropnie wyglądało to ciało wydarte grobowi. Lecz mimo zapsucia całego, mimo okropnej sined nabrzmiałej, robactwem oplugawionej barwy, twarz poznałem



od razu. To był trup zmarłego sołtysa, ojca Walkowego. Woda urwawszy część cmentarza, porwała z trumną sołtysa, która w śród fal rozlecieć się musiała, a ciało trupa przyniosła pod próg chaty. Woda przyniosła! Oj nie woda to, ale palec Opatrzności!... Korzmy się przed Nią. To sam Bóg chciał ukarać Walka, i ukarał go też okropnie.

Co się ze mną działo w tej chwili, ja opisać nie potrafię. Ja sam omal nie straciłem przytomności. O drzwi się oprzeć musiałem, aby nie upaść. Ale westchnąłem szczerze do Boga i Bóg użyczył mi siły!

## XII.

Krótkimi już słowy ukończę opowiadanie moje. Biednego Walka złożyłem na tapczanie, i co prędzej posłałem do najbliższego miasteczka po felczera, którego nawet i po dworach używano. Nadaremnie starałem się otrzeźwić Walka. I felczer przyjechał, a Walek leżał jakby bez duszy. Felczer puścił mu krew, ale krew pokazała się tylko kilka gęstymi kroplami. Ja tymczasem zwołałem ludzi, pobiegłem do księdza i trupa co go woda przyniosła, pochowaliśmy znowu, ale tym razem zakopaliśmy go tuż przy grobie rodziców żony i córki.

Drugiego dnia po trzeciem puszczeniu krwi, Walek otworzył oczy... ale cóż z tego?..; oczy były zupełnie obłąkane, a ciało piekła ogromna gorączka. Zdawało się i felczerowi i lekarzowi, którego ksiądz sprowadził z dalszego miasta, że już nigdy nie wyjdzie z obłąkania. Ale śnać Bóg, co zesłał karę na niego, chciał mu zostawić czas i sposobność do poprawy.

Po sześciu tygodniach raz nad ranem, gdy siedziałem smutny koło niego, otworzył ze snu oczy, spojrzał na mnie, i śnać mnie poznał, bo westchnął, ale bardzo boleśnie i przyciągnął mnie do siebie; po długiej chwili jakby namysłu jakiego, zaczął płakać jak małe dziecko. Łzy jego gorące jak ukrop padały na twarz moją. Musiał sobie od razu przypomnieć wszystko, bo spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, i przyłożył palec do ust, jakby mnie prosił, bym mu serce nie rozraniał rozmową o tem, co się stało. Pomału bardzo przychodził do zdrowia. Był ciągle spokojny, czasami tylko zdawał się myśleć głęboko bardzo, i w takich razach darmo było przemawiać do niego.

Gdy się wreszcie podniósł i przez kilka dni przechadzał po izbie, nagle kiwnął ku mnie, i porwawszy czapkę, wyszedł przez drzwi wchodowe. Tu zaraz ukląkł i długo modlił się i płakał, potem rzekł:

— Chodź za mną!...

Poszedł prosto na cmentarz. Nic się mnie nie pytał; śnać się domyślał, że ja wyrzuconego trupa złożyłem na święconej ziemi przy tych, co mu byli najdróżsi. Ujrzał nowy krzyż. O parę kroków od

mogilek ukląkł i znowu się modlił i znowu płakał. We drzwiach cmentarza usiadł, by odpocząć i tam mi dopiero opowiadał urywanemi słowy, i tak skończył:

— Co się ze mną stało w tej chwili, nie umiem ci opowiedzieć. Zdało mi się, że coś pękło we mnie. Dzięki Bogu! to pękła niec szatańska, co mnie była opętała całego. To rzekłszy, wstał, obrócił się do cmentarza i dziwnie smutnym wyrzekł głosem: — Żegnam was na długo!... na bardzo długo!...

I zaraz zaczął rozmaite przygotowania; przedemną nie chciał się wytłumaczyć, mówił tylko:

— Ja muszę pójść ztąd precz!... Zobaczymy się może, jeżeli Bóg zechce!... jeżeli mi Bóg przebaczy.

I sprzedał wszystko co posiadał, i swój grunt soltysowski i chatę i dobytek. Zostawił u księdza sto złotych z prośbą, aby dopóki nie wróci, w dzień Zaduszny odprawianem było nabożeństwo za dusze dziada, babki, ojca i siostry...

— Bądź zdrow!... powiedział mi uściskawszy czule, i z kosturem w rękę a torbeczką z bielizną i chlebem przez plecy, puścił się na wędrowną, której celu wówczas nie domyślałem się wcale.

Żadnej o nim nie mieliśmy pewnej wiadomości. Raz tylko głucha wieść przebiegła do wsi, że jakiś flisak posiwiały przed czasem co pływał z galarami Wisłą, zdybawszy wieśniaka z naszych stron wypytywał go o wieś naszą. Domyślałem się, że to mógł być nasz Walek, ale pewności nie było żadnej. I tak minęło lat dziesięć z okładem.

Raz wieczorem w niedzielę, wyszedłszy z kościoła po niesporach, jakby mię coś tknęło, poszedłem na cmentarz. Patrząc.. przy znanych mi dobrze mogiłkach, klęczy jakiś człowiek z wielkim kosturem w rękę i torbą przez plecy. Przeczucie przemknęło mi przez głowę. Podbiegłem do klęczącego. To Walek... mocno zmieniony, zestarzały, z wyrazem okropnego bólu na twarzy. I on mnie poznał od razu i powitał serdecznie. O swoich wędrowniach nie chciał mówić.

— Co miałem pieniędzy, mówił, rozdałem między ubogich. Bez wszelkiej pomocy zacząłem pracować. Bóg błogosławił, bo wiedział dla czego pracuję. Jako flisak byłem i sługą, i najmitą i własnym wreszcie panem, objechawszy dalekie strony i miasta. Teraz wróciłem bo mam do spełnienia wielki obowiązek!..

W torbie miał sporą kieskę złota własnym trudem zapracowanego. I zaraz wziął się do cmentarza. Za jego pieniądze podniesiona tama silna od rzeki, i te drzewa posadzone, i te ścieżki i kwiaty i parkan w około. Sam przytem sadił, kopał i jak ostatni wyrobnik pracował. A gdy już wszystko było skończone, resztę pieniędzy oddał księdzu jako fundusz przyszły do cmentarnych reparacji, sobie nic nie zostawiając. Tem żył, co pracą rąk własnych zarobił; a zawsze tyle robił, że jeszcze i uboższym dawał, i mógł pielęgnować ogródek przy rodzinnych mogiłkach. Ze większą częścią czasu wolnego przepędzał na cmentarzu, od ludzi uciekał i mało się kiedy do



nich odzywał, okrzyczano go warjatem. Nie był nim nigdy, ale miał rzeczywiście chwile rozpacz, obłąkaniu się równające.

Gdy już przeczuwał, że umrze, prosił mnie, by mu tutejszej szkółki nauczyciel przyprowadził dzieci. A ujrawszy je, rzekł do nich:

— Szanujcie groby ojców waszych: jeżeli chcecie mieć błogosławieństwo Boże!... Kto swych ojców w grobie nie szanuje, tego i ludzie i własne dzieci za życia szanować nie będą!...

To były ostatnie słowa biednego Walka.

\* \* \*

Skończywszy opowiadanie Janka starego, niech nam będzie jeszcze wolno powtórzyć ostatnie słowa Walka:

— Szanujcie groby ojców waszych!...

— Kto nie szanuje przeszłości, ten nie wart przyszłości!...





# FOLBLUTY.

(Pierw. wyd. 1860.)

Co są folbluty, dziś przecie wie każdy. Dbanie o pełność i czystość krwi, przenieśliśmy z siebie na koni, z dworów naszych do stajen. O rodowód własny przestaliśmy się troszczyć, ale za to wiemy doskonale z jakich antentów pochodzą klacze i ogiery nasze. Szlachcic niejeden ledwie wie dzisiaj, czy się pieczętuje Starzą czy Nałęczem, Ostoją czy Warmią, ale niech tylko posiada choć dwoje chabetów, będzie miał pełne kieszenie wierzytelnych poświadczeń genealogicznych o pochodzeniu koni swoich, ba nawet o nadziejach przyszłego tychże potomstwa. A co to za rozkosz, co za radość, co za duma, gdy się w stadninie wyrodzą długonogie, jasnokościste zwierzęta, by mógł przecie przed sąsiadami pochwalić się, że ma konie angielskiego pochodzenia! Miewaliśmy dawniej konie dziarskie, ogniste, konie własnej polskiej rasy, na których jeździliśmy dzielnie i dzielnie wrogów bili; dziś jak zaczęliśmy krzyżować obcemi rasami, trenować zawzięcie, odziewać w kocowe sukienki, pończochy i kamasze nawet: mamy kapitalne bieguny, do bitki niekoniecznie, ale za to do szybkiej rejterady wielce przydatne. Pótyśmy poprawiali rasę końską, pókiśmy nie przeszli w zabranych prowincjach w horbonosy rosyjskie, a w Galicji w jakieś kościste stworzenia prawdziwie jak mówi przysłowie, ni do stroju ni do łoju.

Lecz dosyć tych uwag, za które i tak boję się, bym na się nie zwrócił krzyków i hałasów co niemiara. Chciałem tylko opowiedzieć państwu zdarzenie wielce prawdziwe. Gdzie to było, naprawdę opisywać nie myślę, bo i do czegoż to prowadzi?... Dosyć, że to było na wsi, co się naszym swojskim wyczajem ciągnęła dymnami chatami rozrzucona po nad potokiem czy stawem, zielonemi sadami ubarwiona.

I był w niej dwór oczywiście; wznosił się na pagórku wieńcem topoli otoczony, cieniem starych lip rozłożystych pokryty. Był to jak się u nas często trafia stary dwór szlachecki, niewielki ale wygodny, który wielu pokoleniom wystarczał, póki go nie obdarzono kolumnadą

i rozlicznymi przyczepkami, aż się z wygodnego dworu stał pałacem niewygodnym.

We dworze panuje od rana ruch ogromny. Pan Jan Kanty dziedzic wioski chodzi po pokojach tam i nazad, mocno zaprzątnięty głębokimi myślami, które mu się pod mycką turecką fałdują na czole. Co chwila biegną od dworu do stajni adjutanty w żokiejskich strojach, a pan domu głosem dobitnym i stanowczym rozdaje rozkazy.

— Słuchajno gapiu! — rzekł właśnie donośnym głosem do jednego ze stajennych żokejów, istnego anglika chudością swej kościistej figury, choć się zwał Iwasiem i urodził się w pańskiej wiosce, tam za stawem w kmiecej chacie.

Gap się wyprostował i słuchał słów pańskich z największą uwagą.

— Jak mi się będą konie źle prezentować — mówił pan dalej — to będą batogi.

— Niech się jasny pan graf spuści na mnie — odrzekł Iwas na Johna przerobiony.

— A Ibrahima podciągaj ciągle, aby dawał lansady.

John nic na to nie odpowiedział, jeno uśmiechnął się, bo wiedział dobrze, że to idzie o tylną nogę prawą, na którą Ibrahim, choć Ibrahim, utykał należycie.

W tem zaturkotało coś na dziedzińcu.

— Już jadą! — ozwał się Jan Kanty z cicha, i wbiegł do sypialnego pokoju, gdzie czekał na niego ukamaszowany lokaj. Po chwili pan domu był już ubrany w rajtfrak jak najmocniej angielski, i wywijał giętkim szpicrutem aż miło. Chciał już wyjść z pokoju, gdy wbiegła małżonka pana Kantego, malutka, niziutka i wcale przystojna brunetka, mimo rannej jeszcze doby jak najprzykładniej ukrynolinowana. Uśmiechnęła się do męża jak najuprzejmiej, za co znowu mąż odwetował się pocałowaniem ręki, pełnem gracji i elegancji.

— Na dziedzińcu już pełno! — rzekła pani. — Mnóstwo figur zabawnych, prawdziwe karykatury.

— Mniejsza o nie!... byle kupców było dosyć.

— I właśnie chciałam się ciebie spytać, co mam robić z tymi sąsiadami, którzy się zjeżdżają?

— Jak to?...

— Czy trzeba im dać śniadanie?...

— A pfe!... a toż na co?... To przecie nie są goście, ale kupcy.

— Zapewne!... jednakże mniemam, że gościnnieść...

— Pas si bête! — odpowiedział pan Kanty z uśmiechem, który widocznie miał pretensję do dowcipu.

— Ale jeżeli przyjedzie...

— Pan Artur?... a to co innego!... będziesz go umiała przyjąć ma chère!...

I oboje uśmiechnęli się. Pan Artur, powiedzmy mimochodem, był przyjacielem domu, przyjacielem najserdeczniejszym.

Aby dalej państwa nie nudzić wstępniemi przygotowaniami, powiem tedy coprędzej i w krótkości, że w kwadrans później na



dziedzińcu odbywał się akt nadzwyczaj uroczysty i wielce ważny dla pana domu. Na obszernym ganku pałacowym stał stolik, a na stoliku kałamarz, piaseczniczka i papier do pisania. Przed stolikiem siedział z miną poważną nizki i pucułowaty jegomość; figura tuzinkowa, ale z wyrazem urzędowym na twarzy. Był to rzeczywiście uproszony do tego aktu urzędnik z bliskiego miasteczka. Prócz samego gospodarza, przechadzało się po ganku i po dziedzińcu kilku mężczyzn. To sąsiedzi pana Kantego; wszyscy wydają się mocno zajęci i zatopieni, jak widać po wyrazach twarzy i ruchach, w głębokiej rozprawie. I głęboką była; wszakże mówią ci panowie o koniach. Najwydatniejszym między nimi był wysoki, wysmukły, młody i przystojny mężczyzna z bakenbartami w półksiężyc zaokrąglonemi. Był to wspomniany już pan Artur, który najpoufalej rozmawiał z gospodarzem domu, i przed chwilą lekki i znaczący rzucił ukłon ku oknom pałacowym, gdzie właśnie przemknęło coś białego.

Niedaleko ganku stało jeszcze jedno grono ciasno skupione a brodate. Byli to żydkowie z głowami odkrytymi, którzy coś gwarzyli z cicha między sobą. Nie muszą to być najmniej ważni goście, miarkując po tem, że pan Kanty w własnej osobie raczył się do nich zbliżyć i obdarzyć przywitalnym uśmiechem, a nawet parą słowami wymruczonymi od niechcenia.

— Jak myślisz panie Arturze? — ozwał się w pół cicho pan Ignacy, niezbyt przystojny ale za to doskonale chudy, a znany w całej okolicy jako nowiniarz niepospolity, głęboki polityk i nieledwie człowiek stanu, gdyby się okoliczności były po temu złożyły; mówiono nawet do ucha, że koresponduje z wieloma publicznymi znakomitościami.

— Jak myślisz? — powtórzył pan Ignacy raz drugi. Już to powtarzanie słów własnych, które miał zawsze za arcyważne, było właściwością pana Ignacego. — Czy się uda panu Kantemu?... czy uda? — ciągnął dalej.

— To od szczęścia zależeć będzie! — odpowiedział pan Artur z uśmiechem wiele znaczącym.

— Masz rację! masz rację!... i od ślepoty panów kupców...

— Żeby nie dostrzegli ślepoty u koni.

Uśmiechnęli się obaj przyjaciele pana Kantego; a że byli przyjaciółmi, każdyby łatwo zrozumiał, widząc, jak przed chwilą ściskali pana Kantego i zapewniali pod słowem honoru, że się mu licytacja koni doskonale uda i udać musi, mając wzgląd na doskonałość i prawdziwość rasy w całej pana Kantego stadninie...

— Stare i wygłodzone chabety!... chabety! — doszepnął pan Ignacy panu Arturowi.

Wiemy już tedy, że się miała odbyć licytacja na konie ze stajni pana Kantego; a jeślibyśmy jeszcze nie wiedzieli, poznalibyśmy w tej chwili, bo właśnie w rączych podskokach prezentował się prowadzony przez Johna skaro-gniady koń ogromny, a prócz barwy podobniuteńki do konia apokaliptycznego kościstością, chudością aż do przezroczywości posuniętą, i powagą wieku wcale dojrzałego.

Pucółowaty urzędnik odkrząknął, spojrział w notatkę na stoliku leżącą i zaczął głosem donośnym, przenikliwym, prawdziwie urzędowym:

— Ibrahim Pasza! ogier skaro-gniady, czystej krwi angielskiej po ojcu Ibrahimie i matce Lala-Rook!... urodzony w Anglii; ma lat trzynaście.

Te ostatnie słowa wyrzekł bez zająknięcia i najnaiwniej, bo naturalnie nie wiedział tego, co się uśmiechem szyderczym odmalaowało na twarzy dyplomatycznego pana Ignacego, że, by wiek prawdziwy szacownego Ibrahima z największem prawdopodobieństwem oznaczyć, należałoby podobno cyfrę podaną nie od lewego, ale od prawego czytać.

— Cena! — krzyknął jeszcze przenikliwiej — tysiąc dwieście reńskich w monecie konwencyjnej.

Zapauzował, krząknął raz jeszcze i dodał:

— Po raz pierwszy!.. kto da więcej!..

Sąsiedzy pospuszczali oczy w dół; pan Artur pokręcił wazą, a milczenie zapanowało takie, jakby w zgromadzeniu najczystszych Metodystów, medytujących o nieśmiertelności duszy.

— Kik! kik! — szepnęli żydzi z cicha, i wodzący między nimi rej rudowłosy Mortko sławny handlarz jarmarkowy, zbliżył się parę kroków i kolegom pokazał prawą nogę tylną. Szwanek koński nie uszedł przed okiem znawcy prawdziwego.

— Tysiąc dwieście reńskich w monecie konwencyjnej! po raz pierwszy! — krzyknął urzędnik po raz drugi, i gdy niewzruszone trwało milczenie, zajrzał panu Kantemu w oczy. Pan Kanty udawał zucha i pokazywał minę mało dbającą; wzrok jego wszakże był podzielony. Jednem okiem patrzył się na Ibrahima, który ledziej puszczony przez zanglizowanego Johna utykał widocznie na prawą nogę tylną; drugim zaś spoglądał za panem Arturem, który właśnie co zniknął po za furtką ogrodową.

— Po raz pierwszy! — zawołał urzędnik raz jeszcze.

Daremny był wydatek rozrzutny nawet urzędowego głosu; cicho było jakby posiał makjem, i milczenie glucho trwało ciągle. Na twarzy Morika odbił się uśmiech szyderczy, tym razem zaraźliwy, bo za nim drudzy uśmiechnęli się żydkowie.

— Kto da więcej? — krzyczał urzędnik dalej.

Jan Kanty zaciął przez chwilę zęby i wzrok niespokojny rzucił w stronę żydów.

Cicho było ciągle. Tego już pan Kanty (herbu Ostoja) dłużej wytrzymać nie mógł, wydał więc usta dumnie i pogardliwie, i nadeptym ozwał się głosem:

— John!.. odprowadzić konia do stajni!..

Znikł John i koń z nim. Dopiero teraz sąsiedzy podnieśli głowy, prócz pana Artura, który snąc jako prawdziwy amator parkowej zieloności, bawił dotąd w ogrodzie. I wszyscy zaczęli chwalić Ibrahima, wmawiając w niego zalety i wdzięki, jakich nigdy nie posiadał zany Ibrahim.

— Co za nogi, czyste i kapitalne! — mówił jeden.



— Durnie! nie znają się! durnie! — wtrącił pan Ignacy.

A żydzi spojrzeli tylko po sobie i uśmiechnęli się pogardliwie. John tymczasem drugiego wyprowadził konia. Była to kasztanowata klacz z białą gwiazdką na czole. Budowa ciała i nogi mianowicie były czysto angielskie; przyłączył się tylko do nich szpat zupełnie polski. Ta sama co pierwej odbyła się komedja, z odmieniami tylko nazwiskami.

— Miss Pamela! — wywoływał urzędnik głosem, który coraz więcej zyskiwał donośności. — Klacz czystej krwi angielskiej, w Polsce urodzona, po ojcu Beautyfall, a matce lady Jane, lat dwanaście.

Co do tej ostatniej własności, trzeba było mieć wiarę nader silną, by nie mieć najmniejszego powątpiewania. Sąsiedy osobiwie popatrzyli ukradkiem tylko na siebie; wszakże Miss Pamelę znają od dawna. Żydzi zaś coraz widoczniej kiwają głowami; oniby chętnie i pochodzenie angielskie i ojca i matkę oddali za cztery nogi dobre.

— Tysiąc dwieście reńskich w monecie konwencyjnej!... kto da więcej?... po raz pierwszy!...

Powtórzył swoje wywoływania jak pierwej, raz drugi i trzeci, ale nadaremnie. Milczenie panowało głucho; zakompromitowało to dyplomatycznego pana Ignacego niepospolicie, to też dla kontenansu zagwizdał z cicha jakąś nutę niepewną. A Mortko przystąpił do klaczy, obejrzał, pokiwał głową, i Iwaś zjohnowany przysięgał później, że widział na własne oczy, jak odchodząc splunął najwyraźniej.

Pan Kanty wszelkich używał natężeń, aby nie stracić fantazji, i złość swą obsłaniał jak mógł pogardliwym uśmiechem.

— Odprowadzić do stajni! — krzyknął wreszeie.

Znikła Miss Pamela, a natomiast pojawił się koń trzeci.

Tym razem jak twierdził inwentarz urzędnika, był to wałach, zawsze krwi czystej angielskiej, źrebięciem sprowadzony z Anglii: Grandisson po ojcu Grandissonie, a matce Arabelli. Lat tylko jedenaście, ale za to jedenaście setek oceniony, bo koń kursowy. Przeszedł się Grandisson najdaremniej w świecie; Mortka oczy spoczęły z wyrazem bardzo niedowierzającym na bokach konia w nieco podejrzany sposób zapadniętych. Nic nie pomógł głos wywołującego aż do przenikliwego falsetu podniesiony; kupca ani rusz zwabić.

— Odprowadzić! — zagrzemiał tym razem pan Kanty z ledwie utajonem zgrzytaniem zębów.

I powtórzyła się historia razy jeszcze cztery, z równym jak dotąd sukcesem. Wszystkie konie wyprowadzane miały i ojca i matkę i piękne nazwiska i ceny ogromne, ale kupca znaleźć na żaden sposób możebny nie mogły. Były to konie aż do kalectwa prawie strenowane, poniszczane przez wyścigi, do pracy niezdatne; należycie za to stare; doskonałe jako zbytek kosztujący niezmiernie właściciela, ale na pożytek nijaki niestety. Pan Ignacy wygwizdał już wszystkie swe najdyplomatyczniejsze arje, a Mortko i drudzy starozakonni nie taili już nawet swych szyderych spojrzeń i pomrukiwań nawet. Mortka najwięcej jak się zdaje bawiło wyliczanie antenatów, to też nie mógł wytrzymać, by nie wyszeptać razy kilka dosyć głośno:

— To z wielkiej famylji!...

— Zaprowadzić do stajni! — pana Kantego odzywało się coraz groźniej.

Aż na końcu pojawił się koń brudno-kasztanowaty najmniej stary wedle inwentarza, bo liczył tylko lat dziesięć, a że te miał, z pewnością utrzymywał pan Ignacy najmocniej.

— Musi być prawda! — mówił — bo przecież ja to słyszę od lat już ośmiu.

Był to zresztą koń ze wszystkich pokazywanych najpraktyczniejszy może, bo najmniej angielski i najmniej trenowany, ale w oczach wedle mrugania Mortkowego wiele znaczącego, miał jakąś powłokę mglistą nie wiele na przyszłość obiecującą. I zawołał urzędnik głosem nieco już w chrypkę przechodzącym:

— Dżengiskan! — rzekł krótko bez wymienienia rodziców, i coś tam dodał o krzyżowanej rasie, wieku i cenie nader umiarkowanej, bo tylko dziewięćset reńskich wynoszącej.

Sąsiedzi się zbliżyli, wiedząc bowiem, że to już koń ostatni, radziby byli bardzo kupcowi, coby tego jednego przynajmniej konia zapłacił właścicielowi. Było to uczucie czysto sąsiedzkie; przyłączyło się do niego wszakże przekonanie o namiętnej pasji pana Kantego do wszelkiej gierki. Djabełka mianowicie był lubownikiem niepospolitym, a że miał zawsze prawie nieszczęście, o tem sąsiedzi wiedzieli najlepiej. Pan Ignacy wyszedł nawet tym razem z swego systemu dyplomatycznego i wyrzekł głośno:

— Kapitalny koń!...

I Mortko najdłużej przypatrywał się temu koniowi, co uśmiech wywołało weselszy nieco na zasepione usta pana Kantego. Ale kto znał dobrze Mortka, którego spryt w całej okolicy dobrze był znany, nie wiele sobie obiecywał po spojrzeniu oczów jego drwiącem szyderstwem roziskrzonych. Zbliżył się wreszcie do pana Kantego i zdejmując jarmurkę zapytał z wyrazem najpoważniejszym i pełnym uszanowania:

— To on sam Dżengiskan się nazywa? — zapytał Mortko.

— A Dżengiskan!...

— Ale ojca nie ma on... tak jak tamte inne angiłki?

— A nie ma?... nie zapisany! — odpowiedział pan Kanty z poczynającą niecierpliwością.

— I matki on nie ma!...

— Nie zapisana!... i cóż z tego?...

Na te słowa twarz Mortka przybrała wyraz smutku aż do komiczności skarykaturowanego. Kiwnął głową, cmoknął ustami, i rzekł wreszcie:

— Ach!... ni ojca ni matki!... to sierota!... biedny sierota! ach!...

Słowa te były wyrzeczone z taką siłą komiczną, i tak doskonale ilustrowały to pompatyczne wymienianie nazwisk ojców i matek końskich, że mimowolnie sąsiedzi parsknęli śmiechem, pan Ignacy aż chustkę przyłożył do twarzy, by nos niby utrzeć. Panu Kantemu tak zaświerzbiała ręka, że się ledwie mógł powstrzymać, by ją nie podniósł na kpiarza żyda.



Na tem skończyła się tym razem niefortunna licytacja folblutów. Wrócili wszystkie do stajni, by stać się dla właściciela dalszą wzykatorją wyciągającą z jego dochodów wszystkie soki.

Pan Artur tymczasem przy wonnej herbatce siedział obok pani domu, zatopiony w rozmowie nader eterycznej o... dajmy na to... o nieśmiertelności duszy. Gdy się dowiedział o nieszczęsnym rezultacie licytacji, zaproponował przez przyjaźń kochanemu sąsiadowi i przyjacielowi facjendę na własną, niemniej angielską stadninę, starszą tylko nieco i jeszcze więcej skaleczałą. Z facjendy przyszło do djabelka, i pan Kanty radował się niepomału, gdy domowego przyjaciela ubrał w swoje konie, przegrawszy je wprawdzie, ale .. po cenach bajecznych.





# PAN KAPITAN.

(Pierw. wyd. 1860)

Jesteśmy znowu na wsi, na tej naszej pięknej wsi!... Bo czyż jest u nas gdzie na ziemi polskiej wieś brzydka, dla nas przynajmniej, co mamy serce przywiązane do ziemi ojczyściej. Wszędzie jest to czyste i wonne powietrze wiejskie, co piersi do pełnego życia roz-piera; i nie ma okolicy dość wydziedziczonej, w którejby nie było zieloności, kwiatów i jeżeli nie rzeczki, stawku, to choćby studzienki, wiankiem wierzb otoczonych. I wszędzie się znajdzie łączka, wszę-dzie pola, których bujny plon rozwesela oczy wszelkimi odcieniami barwy zielonej.

I wszędzie po wsiach naszych znajdziesz jeszcze dworki szla-ckie większe czy mniejsze, a w nich mieszka dawna gościnność, która się ozwie koniecznie, chociaż ją ciągle ogranicza nacisk oko-liczności, obcych ludzi i obcych obyczajów. I mimo że ten nacisk cięży niezmiernie na naszych dworkach wiejskich, znajdziesz w nich podziśdzień jeszcze odbłysek dawnych obyczajów, dawnej w rubasność nawet wpadającej wesołości i tej pocziwej nareszcie szczeroty naszej, szorstkiej nieraz, ale milej sercu. Jednem słowem, zdybiesz jeszcze w dworkach szlacheckich najwięcej polskości, za którą długobys mu-siał wędrować po miastach i miasteczkach naszych, gdzie już się wszystko o siebie tak otarło i ogładziło, że jak posadzki tak i charak-tery ludzkie doskonale upoliturowane, zarówno stały się śliskimi. Czy nieostrożnym chodem po śliskiej posadzce, czy nierozważnem zaufaniem w gładziutkie człowieka usposobienie — możesz zarówno smutny szwank ponieść. Tam zwichni ci się noga, a tu zwichną najpiękniejsze złudzenia twoje.

Na wsi więcej zapewne szorstkości i chropowatości, ale też i prawdy więcej. Zachowały się tam jeszcze możnaby powiedzieć da-wniejsze więcej odznaczone zarysy charakterystyczne, krzyżowaniem obczyzny nie starte. Im większe zarysy, tem większe są cienie. To też nigdzie już, tylko po wsiach zdybać można charaktery silnie od-

znaczone, prawdziwe oryginały jak to zowią, których takie bogactwo posiadaliśmy dawniej.

Otóż aby odetchnąć nieco po jednostajności miejskiej, suchej za prawdę jakby przestrzeń puszczy saharskiej, wyruszamy z czytelnikami naszymi miejskimi na wieś nieco, ot tak sobie na krótkie wakacje. I zamyślamy wynaleść sobie koniecznie jaki charakter choć nieco oryginalniejszy od zwykłych, charakter prawdziwy, żywy, po ścieżkach zwykłego życia stąpający, nie zaś udany, teatralnym chodem kroczący po deskach scenicznych.

Jesteśmy tedy we dworze niewielkim. Krótki, by nie nudny opis nie zawadzi. Okolica nie szczególna, więcej płaska, tu i owdzie tylko małemi wyniosłościami odznaczona; przechód podgórze w Po-dole. Na jednej z tych wyniosłości stoi ów dwór szlachecki; niżej z parowu nie wielkiego sterczą wierzchołki drzew, tu i owdzie kłębi się dym, a nawet wyjrzy dach słomiany; to jest wieś sama, która ciągnie się coraz niżej, aż znika wreszcie po za tą większą już wyniosłością zieloną, krzyżem i drzewami uwieńczoną, która w całej okolicy zasługuje już na nazwę góry. Za tą górą niewidzialną ztąd, szumią wody większej rzeki naszej, która dotąd wolno sobie płynęła, lecz wnet ją już ujarzmi domyślna ręka człowieka. Po drugiej stronie ciągną się w różnych kształtach pokrajane i piętrzące się jedne nad drugimi pola sławne z swej urodzajności. Z pomiędzy nich krętym wąwozem wymyka się zieleńsza od nich łączka, do której przypierają ostatnie drzewa dworskiej zagrody. I na samem pograniczu jest prze-laz w porządnym płocie, jest ścieżka porządnie wydeptana, i jest nareszcie studzienka ze starym naszym wiecznie skrzypiącym żurawiem; a w koło niej wznosi się kilka wierzb starych, pochylających mimowolnie swe zielone ramiona ku zwierciadlanej studni szybie.

Sam dwór firanką wysokich topoli otoczony, z dawnej zdaje się ekonomskiej siedziby przerobiony, nosi na sobie ślady rozmaitych przerobień i przyczepek najróżnorodniejszych. Wyższe i niższe warstwy zabudowania dworskiego lepszy dach jak najdziwaczniej połamany i długi ganek na małych folwarkach z dwoma bocznymi po schodach wiodącymi wchodami. Wszystko to razem nieregularne, nieestetyczne może dla smaku bardzo wytwornego, na obcych wzorach zepsutego — ale piękne właśnie swą prostotą i niewymowną siel-skością, i mimowolnie chwyta za serce rozlanem na całym zabudo-waniu piętnem prawdziwie polskiego a porządnego dworu szlacheckiego. Już to porządkiem a czystością odznacza się nasz dwór; śnać mieszkają w nim staranni gospodarz i gospodyni; bo i dziedzińczyk wymięciony i kłębik na środku zielony odznacza się wielką starannością i ścieżki po nim są wygracowane i sam dwór aż miło. Zajechawszy tak w lecie, gdy cię doleci woń bzów, róż i jaśminów, i z klombu i z ogrodu, co się z dworem aż do łączki rozciąga, przejmie mimowolnie jakieś uczucie błogie, spokojne, które wnet utuli najburzliwsze serce. I człowiek zamarzy i pomyśli w duszy, jak mało do szczęścia potrzeba i jakby to miło i lubo było żyć w takim wiejskiem ustroniu z dala od tej wrzawy miejskiej i tego



ciągłego niepokoju dusz i nóg, jaki panuje w kamienicach i ulicach miejskich.

Gdzie ta okolica, wieś i dwór, darmobyście państwo śledzili, bo zapobiegając wszystkim domysłom szczerze wyznajemy, jako żadnej odrębnej nie mieliśmy na myśli miejscowości. Ot tak sobie, gdy mowa o wsi, zbierając rys po rysie różne miłe przypomnienia, sam się sklecił obrazek czlacheckiej zagrody, w której umieszczamy pana Augusta.

Kto był pan August?.. i to do rzeczy nie należy. Był to sobie szlachcic poczciwy całą gębą, szlachcic dobrego rodu — czy Ostoja czy Rawicz — mniejsza o to. A jakim był zresztą, może się też państwo dowiedzie z samego obrazu.

Prócz pana Augusta była jeszcze pani Augustowa, kobieta w sile wieku, na której twarzy widne jeszcze są rysy wielkiej niegdys piękności; zniknąć nie mogły, bo je utrzymuje szlachetność duszy i dobroć serca, żywo a dobitnie przemawiające uśmiechem słodkim ust, wyrazem na twarzy śnieżnej prawie białości i wzrokiem niebieskich oczów pełnym łagodności.

Sam pan August, to postać koścista, chuda i ruchliwa, o twarzy sniadej i pociągłej; po czole często fałdującem się i po spojrzeniu oczów żywo w koło biegającym łatwo poznać umysł żywy, niespokojny, do tworzenia rozmaitych planów pochopny; pewne wszakże ściśnienie ust zdawało się znamionować wytrwałość i zamiłowanie w porządku.

Był jeszcze i synek; chłopię dziewięcioletnie, jasnowłosy i jasnooki błdynek, o miękkich i zaokrąglonych rysach; równie też miękkie miał ruchy wszystkie. Musi to być niepospolity pieścizoszek ojca i matki.

Była to pora obiadowa. W wielkim i obszernym pokoju nakrywa służący do stołu. Śnać to pokój gospodarstwa w codziennem życiu najulubieńszy, bo oboje w nim siedzą, każde inaczej zajęte. Pan domu chodzi po pokoju w lekkim zamyśleniu. Pani domu ma swą kanapkę w kącie przy oknie, i tam siedzi zajęta jakąś robotką kobiecą; u jej stóp na małym taboreciku siedzi mały Miecio. Oboje małżonek i małżonka zaglądają od czasu do czasu przez okno, i to właśnie okno jest zapewne powodem, że sobie ten właśnie pokój na całodzienne siedzenie obrali. Okno to bowiem na szeroki dziedziniec wystawione, najobszerniejszy ma widok przed sobą. Pan August widzi przez nie swe zabudowania gospodarskie, i liczyć nawet może konie i było drugą bramą na paszę lub do pójła pędzone. Pani Augustowa zaś z swego rogu ma najpiękniejszy widok, jaki mieć można w tej okolicy; po przez frankę topolową bowiem i po przez wystające z parowu drzewa widać ów krzyż na górze, i w sienie odległości jakies zarysy niewyraźne, w błękicie nieba niknące.

Tym razem oboje zatopieni byli w głębszem zamyśleniu. I nic dziwnego!.. Myśleli oboje o ukochanym jedynaku, którego wypadało już tego roku oddać gdzieś do szkół, a więc rozłączyć się po raz pierwszy w życiu z najdroższem dzieckiem. Zamyślenie to musiało być mocne, bo nie słyszeli turkotu kół, który choć nierównym od-

głosem, zbliżał się widocznie. Ale mały chłopiec uważniejsze miał ucho. Zerwał się z siedzenia i stanawszy na taboreciku spięty na palcach wyjrzał przez okno.... Nagle klasnął w dłonie i zakrzyknął z wyrazem przestachu i przerażenia :

— Kapitan jedzie !..

To rzekłszy zeskoczył z taboretu i jał zmykać ku drzwiom do innych pokoi prowadzącym, nie zważając na to nawet, że służący skończywszy nakrycie stołu, wynosił się właśnie z wagą do kuchni.

— Kapitan !.. powtórzyła matka z niemniejszym przestachem, i puściła się także ku drzwiom wprost za synem.

— Kapitan !.. a czy go licho nadało !.. zawołał pan domu, i w pierwszej chwili puścił się także ku drzwiom, chcąc, jak się zdaje, dzielić powszechną rejteradę. Lecz wnet stanął, uśmiechnął się i rzekł do żony, która wraz z dzieckiem była już przy kłamce : — Niema co mówić, ale nazwisko naszego kapitana wzbudza popłoch niepospolity. Jeżeli tak nieprzyjaciele zmykali w czasie wojny, to musiał on być bohaterem niepospolitym ; wielce pożądanym obrońcą kraju... Lecz cóż robić moja Zosiu !.. trzeba się poddać konieczności.. jak gdy przychodzi gorzkie wypić lekarstwo..

— Ja wolę rumbardum !.. tak płacziwym głośnym parsknęli śmiechem.

— Może byśmy się mogli schować !.. przemówiła pani Augustowa.

— Nakryty stół zdradzi nas !.. a potem, nudny czy nie nudny, każdy gość jest gościem. Nareszcie to nasz stary wiarus !..

— Masz słuszność Augusto !.. odpowiedziała żona z westchnieniem rezygnacji. — Ja zaraz wrócę, ty go tymczasem przyjm sam....

— Mam iść na pierwszy ogień !.. śmiejąc się mówił gospodarz — nic ty na tem moja Zosiu nie zarobisz, kapitan w tej mierze jest nie wyzerpany.

— Uciekajmy mammo !.. bo już słyszę jego chód !.. rzekł syn do matki.

I oboje znikli w tej chwili, kiedy przez drzwi wchodowe wchodził pan kapitan.

Lecz któż jest ten kapitan taki straszny, że przed nim uciekają. Kto on jest ?.. odsłoni nam zapewne treść szkicu naszego. Powiemy tu tylko naprędce, że należy on do tych właśnie, o których wspominaliśmy wyżej, oryginalnych zakamieniałości, jakie jeszcze po wsiach naszych zdybać można. Zacznijmy od powierzchowności. Wchodzi wzrostu miernego, chudy, nie młody, zawiędniały, ale ostro i sztywnie trzymający się mężczyzna. Twarz pociągła, pomarańczowa, o wielkich mocno wyciętych rysach ; odznacza się między niemi nos potężny, kabłąkowaty nieco i coraz ciekawiej zagląający ku brodzie, oczy w głębokich obwódkach rzęsiestymi brwiami ocienione, siwe mdłą jakąś i mglistą powłoką zdają się być osłonięne. Włosy niegdyś ciemne, dosyć jeszcze gęste i mocno już szpakowaciec zaczynają ; usta nieco wklęsłe i mocno zacisnięte i broda naprzód wydana uzupełnia portret pana kapitana, do którego dodać tylko należy, że



krok jego powolny i wymierzony, a cała postawa tak bezwarunkowo sztywna, że mimowolnie przypomina powiedziane, co w przysłowie zmieniło się prawie: „jakby kij połknął.“

Mimo ślicznej pory letniej ma pan kapitan na sobie powierzech innych sukien paletot sukieny, o którego kroju a nawet i barwie pierwiastkowej trudno by przyszło co pewnego zawyrokować. Co w nim nie zmieniło spełnienie, to mu odebrały łąty, tu i owdzie aplikowane bez symetrii i z niewielkim doborem odcieni kolorowych. Jakkolwiek suknia ta była stara, widać było ogromną koło niej staranność; snać czyszczona była do ostatniej nitki, bo się cała świeciła niezwykłym i nienaturalnym blaskiem. Wszedłszy — dodajmy, że miał czapkę również bez pewnego kształtu i pewnej barwy — zanim się przywitał, zaczął się oglądać za miejscem, gdzieby mógł złożyć swoje efekta, dla których kapitan miał poszanowanie bałwochwalcze.

— Jak się masz kapitanie?.. darmo przemówił gospodarz głosem jak mógł wydobyć najuprzejmiejszym.

Kapitan nic nie odpowiedział, tylko się ciągle oglądał. W pierwszej chwili najdłużej spoczywał wzrok jego na stole obiadowym jako najobszerniejszym, a więc najdogodniejszym, ale tam miejsca nie było zupełnie. Aż nareszcie z pewnem zadowoleniem ujrzał stoliczek przed sofką pokryty różnemi przyborami do roboty, jaką się pani domu przed chwilą zajmowała. Na tym stoliku leżały rozmaite jedwabie, różnobarwne paciorki, kawał nareszcie aksamitu, na którym pani Augustowa haftowała jakieś pracowite dzieło do parafialnego kościoła.

To wcale kapitana nie obeszło. Jego paletot daleko większe miał u niego znacznie. A więc bez długiego namysłu z najzimniejszą krwią przystąpił do stoliczka. Ręką zrzucił na ziemię wszystko co na nim leżało, i złożył na nim najstaranniej ułożony paletot. Tak był z tego względu znany pan kapitan, że to postępowanie żadnego w panu Augustcie nie wzbudziło zadziwienia. Uśmiechnął się tylko mimowolnie, patrząc jak się po całym pokoju rozsypały paciorki, jedwab poplątany zamotał w koło taboreta, a aksamit w padł najfatalniej do spluwaczki.

— Zrobiłeś kapitanie przystługę żonie mojej! — rzekł tylko i palcem w skazał tańczące po podłodze paciorki.

Kapitan spojrzął za niemi wzrokiem najzupełniejszej obojętności.

— Te kobiety!.. to wszędzie... muszą się rozkładać... z swojemi gratami! Witam pana!.. wyrzekł i uroczyście podał gospodarzowi swą długą i żylastą rękę.

Głos mówiącego był powolności niesłychanej; słowo za słowem cedziło się jakby kropla za kroplą w takt wyrachowany przeciągły i monotony. W mowie kapitana było coś tak nudnego i soporyficznego, że mógłby zaatakować najsilniejsze nerwy, do tego potrzeba, że do każdej rozmowy stawał jak najuroczyściej w pozyturze: na lewej nodze się opierał, prawą wyciągał naprzód i uderzając nią powolnie o podłogę, dawał niejako takt słowom swoim. Rękę zaś wyciągał prawą, długi i kościsty palec środkowy wyskakiwał naprzód, i do każdej rozmowy swej dodawał najpowolniejszą i najjednostaj-

niejszą mimikę tego palca, który ruchem krążącym wywijał coś w powietrzu o parę cali od nosa tego, do którego przemawiał. Najwymowniejsze opisanie blady tylko może dać obraz tego nudziarstwa, jakim się w rozmowie i w całym życiu odznaczał pan kapitan. Trzebaby go widzieć ruszającego się ze wszystkimi ruchami i gestami, aby mieć pełne o nim wyobrażenie, i zdać sobie sprawę zupełną z tego przestרחu, jaki wzbudzał w koło siebie. Lecz słuchajmy dalszej rozmowy, i spiszmy dzieje tej jego wizyty a państwa Augustowstwa.

— Zkąd pan kapitan przybywa? — spytał pan August najgrzeczniej, polykając westchnienie, co mu się na gwałt dobywało.

— No!... bo uważasz! — odpowiedział kręcąc palcem i tupając nogą — już ciż!... widzisz!... że to od tego nudziarza Adasia..

Nudziarz Adaś był sobie wesoły i żywy obywatel, którego naturalnie kapitan nudził jak i drugih swoim zwyczajem.

— Cóż on złego popełnił?...

— Złego?... hm!... no uważasz!... złego!... obiadu mi nie dał!..

Znudziłibyśmy słowo po słowie wraz z przestankami przytaczając jego całe opowiadanie. Powiemy więc w krótkości, co mu się zdarzyło u pana Adama. Pomiedzy innymi nudziarskimi nałogami kapitana był i ten, że nigdy z drugimi nie jadał Bawiąc dni kilka w jednym domu stawał się przeto nieznośnym, ambarasując niepospolicie biedną gospodynię. Żeby mu sto razy powtarzano, o której godzinie obiad, lub nawet zmieniano dla niego godzinę obiadu, nie to wcale nie pomagało. Kapitan nigdy nie był gotów, gdy mu dawano znać. A cóż robił?... W tem sztuka nudzić, nie nie robiąc. On był w stanie pół dnia golić brodę, dwie godziny obcinać paznokcie, a gdy wpadł na składanie i przekładanie tych parę koszul i chustek od nosa jakie posiadał, to już było coś nieskończonego. Przekładał, rozkładał, składał i gładził po całych dniach, póki z bielizny czystej i gładkiej, nie zrobił brudnej i pomiętej.

— Obiad już gotów!... waza na stole!... państwo czekają! — powtarzali mu posłaniec po posłańcu.

To był groch o ścianę rzucały.

— Nie mogę przyjść teraz!... niech mi tam schowają!... tylko żeby co dobrego. Niech tam wybiorą lepsze kawałki.

W tym względzie egoizm jego dochodził do rozmiarów olbrzymich zaprawdę.

Trzeba było więc chować dla niego jedzenie, odgrzewać bez końca. Póki on bawił w jakim domu, w kuchni ogień nie wygasał nigdy jak w zamku Świętoroga, a w końcu trzeba się było wystawić na ciągle utyskiwania :

— A to skrzeple!... a to przepalone!... a to przysmrodzone!..

Tak samo czas długi postępował sobie u pana Adama, który szlachcic prawdziwy, a więc gościnnie, najszczerzej znosił starego kapitana, właśnie dla tego że stary i kapitan do tego, jak najcierpliwiej, chociaż w duszy przeklinał go niezawodnie najrzęściej. Ale tak mu już w końcu dokuczył, narzekając na potrawy przygrzewane, co naturalnie robiło pani domu najwyższą przykrość, że w końcu postanowił przełamać starego nudziarza.



— Jak nie przyjdzie na obiad, nie chować mu! — zdecydował stanowczo.

I tak się stało. Razu jednego gdy wynudziwszy trzy czwarte części dnia wszystkich w domu, kazał sobie podać obiad schowany: odpowiedziano mu, że nic się nie zostało.

Kapitan mruzczał niepospolicie, tupał nogą i palcem kiwał, ale nie nie pomogło; musiał głód znosić. Po herbacie wieczornej raczej rozdrażniony niżeli nasycony, położył się spać, ale zaraz nazajutrz wyruszył z domu pana Adama, i dlatego nazwał go nudziarzem.

Długo jeszcze trwało, zanim pan August dowiedział się z kądem konie. Swojemi nigdy nie jeździł; nie dla tego, by ich nie miał. Przeciwnie, posiadał zawsze parę kobył i tyleż źrebiąt, ale nie mając stałego pomieszkania, odsyłał je do znajomych na zieloną paszę, lub na zimowle. Odkarmione zaś przedawał.

— Taże!... uważasz!... ten nudziarz!... dał mi... ten Adam... ale jakie chabety!... to sztuka!... uważasz!... prawdziwa sztuka... żem się tu dowlóki!... Odpraw je!... i powiedz, niech sobie jadą... ja tam zaraz wyjdę...

Trzeba było dopiero gdzieś ulokować starego kapitana...

— Będziesz stał w mojej kancelarji!...

— A dobrze!... żeby tylko wygodnie!... uważasz!... i żeby bezpiecznie!... bo to widzisz... czasem się trafia... że sami ludzie!... żeby tedy co nie zginęło...

Nawet się nie rozgniewał i ledwie uśmiechnął pan August, bo z tej strony znany był powszechnie pan kapitan, że się w mowie przed nikim nie żenował, a o rzeczy swoje bał się ciągle, choć zaprawdę wszystkie graty jego nie były tego warte, i ledwieby się znalazł kto taki, coby się na nie złakomił.

Długa to jeszcze była robota, zanim się kapitan z paletotem swoim przeniósł do kancelarji. Trzeba było oczywiście paletot składać najuważniej, na to, by go znowu rozłożyć i złożyć w kancelarji. To jeszcze szczęście, że gospodarz wyratował swój stół założony rachunkami i papierami: omal co wszystkie nie spadły na ziemię, aby miejsca pozostawić paletotowej świętości.

— No a teraz!... choć na obiad!...

— Zaraz!... bo uważasz... muszę porządek zrobić!... przez drogę to się tak wszystko roztrzęsie.

Pan August ruszył ramionami i już chciał odejść, gdy go kapitan nową nawrócił przemową:

— A uważasz panie Auguste!... czego się spieszysz!... bo widzisz, chciałem się zapytać...

— Spiesz się tylko kapitanie!...

Dobrze ci tak panie Auguste, żeś przerwał kapitanowi, bo ten wstrzymany w zwykłym kroku, zakółkował zupełnie jak zając na miedzy, i po długich tupaniach, krzäkaniach, kręceniach palcem i próżnych słowach ledwie wycedził:

— Jak się też ma... uważasz tedy... bo to widzisz... że jest to koń... rasa uważasz ogromna... jakiej ty nie masz...

— Twój koń zdrów najzupełniej! — prosperuje doskonale.

Do wielu innych arcyprzyjemnych właściwości pana kapitana i to należało, że miewał nieraz i konie i woły nawet, ale nigdy nie trzymał ich u siebie. Obdarzał on niemi znajomych swoich, temu konie, temu woły, by mu je wykarmiali i wyhodowali, póki mu się nie zdarzyła sposobność spieniężyć je zyskownie. Już to godzi się jeszcze zauważyć, że tego u siebie nie miał on już od dawna. I nie było mu tego potrzeba, wszakże on w każdym domu obcym, który uszczęśliwiał bytnością swoją był zupełnie jak u siebie. Jak dawne wędrowne narody, pan kapitan prznosił swój namiot z miejsca na miejsce, i bawił w każdym, póki go te wyżywiały. Główną jego rezydencją było bliskie miasteczko większe; tam wracał po dłuższych wiejskich wycieczkach. Ale i w mieście własnego wyłączonego nie miał mieszkania. Albo on głupi najmywać i płacić! Wszakże daleko praktyczniejszej trzymał się drogi. Jak wędrując po okolicy prznosił się z dworu do dworu, tak też i w mieście miał domy najemne, do których wpadał nieraz bez ceremonji jak istna bomba, i zamieszkiwał najlepszy pokój, wnosząc doń prócz swojej osoby, swój paletot i swoje parę kawałków bielizny.

Chodził on dawniej posesjami jak to mówią, miewał przeto stałą siedzibę, ale zaprzestał krótkce własnej gospodarki. Prócz tego że wyrachował, jako jest taniej cudzym żyć kosztem, niżeli własnym, ustąpił możnaby powiedzieć z placu walki dla braku walczących. Żaden parobek, sługa czy gumienny nie zdołał wytrzymać z jego nudziarstwem, które jak łatwo sobie wyobrazić, przy gospodarstwie najświetniej się objawiało. Wszyscy zmykali z jego służby, a nawet wieść okoliczna nosiła, że i wieśniacy porzucali swe chaty rodzinne, i wymykali się milczkiem. Trafło się nawet podobno, że przy jednej dzierżawie doskonale wyszedł kapitan; dziedzic bowiem dwa razy więcej mu zapłacił niżeli wziął czynszu dzierżawnego, bojąc się, by mu się wioska nie wydłudniła.

Wyszedł wreszcie biedny pan August spocony i zmęczony, rzuciwszy smutne dosyć spojrzenie za siebie. Znając nawyczki pana kapitana prawdziwie sans façon, obawiał się o porządek w kancelarji. A już to była słaba jego strona; lubił w kancelarji swej mianowicie ład jak najkompletniejszy, posunięty aż do drobiazgowej trocha pedanterji. Z po za drzwi jeszcze zawołał do kapitana:

— A jeżelibyś wyszedł przypadkiem kapitanie, nie zamykaj drzwi od kancelarji, bo może mi wypadnie jaki interes.

Kapitan nic na to nie odpowiedział, bo już się zajął ważniejszą daleko sprawą: czyścił cybuszek.. a był to cybuszek historyczny niejako, bo go już miał niezliczone lat mnóstwo. Nikt go bez cybuszka tego nie pamiętał, tak dalece, że można było myśleć, jako już na świat przyszedł z tym cybuszkiem. A był to cybuszek nie długi, ale za to zakręcany dwa razy, by go mógł wygodniej schować do najmniejszej kieszeni. Więc tedy rozkręcił, kawałki położył przed siebie i wszystkie niemal pióra pana Augusta najsymetryczniej ułożone zużył, zasmoliwszy je wonnym sokiem tytoniowym. Poczem — ale to poczem trwało bardzo długo — dmuchnąwszy w cybuszek z zadowoleniem, udarł kawałek pierwszego lepszego papieru. Był to tym



razem zaczęty raport tygodniowy; łatwo pojąć, jak miłą była ta niespodzianka dla porządek lubiącego pana Augusta. Papierem obwinął cybuszek, założył nań fajeczkę, i udał się wprost do biórka, w którym wiedział, że gospodarz trzyma tytoń! Naturalnie kapitan nie był głupi, własny wypalać tytoń. Biórko było zamknięte, ale kapitan znał się z tym zamkiem, jak się to często trafia na wsi, niekoniecznie wzorowym; póty więc przy nim majstrował, póki się biórko na gwałt nie rozwarło. Uszczęśliwiony zwycięstwem, nałożył dobrym tytoniem pana Augusta i fajkę i kapciuk i kieszenie i jał sobie pykać w najlepsze. Regularne kłęby dymu siniego wychodziły mu z ust powoli i systematycznie, zachowując mniej więcej takie samo tempo, jak w rozmowie między słowem a słowem.

Zapaliwszy luleczkę wziął się dopiero do drugiej wielce ważnej roboty. Rozsunął papiery na stole, przyczem nie jedna notatka pana Augusta najstaranniej ułożona poleciała pod stół, i zabrał się do zawiniątka swego, które tymczasem położono na sofce. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że nie ma wielkiej roboty przy małym zawiniątku, w którym prócz jednej krawatki, dwóch czy trzech koszul i tyleż chustek do nosa nie więcej nie było. Ale gdzie tam!... jak już mówiliśmy, on był w stanie po całych godzinach jedną i tę samą sztukę bielizny składać, rozkładać i w nowe wprowadzać fałdy, by je znowu gładzić i wygładzić.

I ktożby się spodziewał, że to jego w tym względzie nudziarstwo pójdzie mu kiedy w istotny pożytek i wyratuje go choć chwilowo z niemałego niebezpieczeństwa! A tymczasem tak było. Miał on w życiu swoim wypadek bardzo przykry, o którym później powiemy słów kilka, a który sprowadził na niego prześladowanie dość przykre i długie. Nie wdając się w bliższe szczegóły wystarczy powiedzieć, że niesłusznie był posądzony; niesłusznie, bo jakkolwiek był nudziarzem kolosalnym, nie mniej przeto był człowiekiem prawnym, mającym nawet w pewnych względach szlachetne zalety. Gdzie?.. jak?.. i po co?.. mniejsza o to!.. dosyć że przyszedł rozkaz aresztowania go. Niełatwe zadanie! to jakby aresztować wiatr w polu. Jak tu aresztować człowieka wiecznie się włączącego od komina do komina; tu był, tu już go niema!.. Owóz w takiej wędrówce wypadło mu koniecznie podpaść koniki w małym miasteczku. Właśnie siedział w jak najrozkoszniejszej nieruchomości, puszczając z luleczki dymowe kręgi, kółka i zygzaki, gdy się nagle drzwi otworzyły, i z szczękiem a brzękiem weszło dwóch żandarmów. Że go wówczas właśnie szukali wszędzie, mieli i ci żandarmi polecenie w tej mierze i dodany do niego mniej więcej dokładny opis jego powierzchowności. Żandarmy przechodząc przez miasteczko zajrzeli go jadącego, i mając posądzenie, że to jest właśnie ten przez nich poszukiwany inkulpat, weszli do niego... Zbliżywszy się do niego, posądzenie ich się zwiększyło; dosyć, że mu rzekli bez dalszej ceremonii:

— Prosimy z sobą!.. mamy rozkaz aresztować pana i odstawić do miasta.

Kapitan puścił tym razem potężniejszy nieco kłębek dymu prze-

ciwnikom w nos, i nie wyszedłszy zupełnie z zwykłej swej flegmy, rzekł powolnie i poważnie:

— A dobrze!.. tylko uważacie panowie, spakuję się..

I dobywszy nieodstępnie zawiniątko zaczął po swojemu to pakowanie. Jaki to sposób, już wiemy; więc jak byśmy go widzieli wyciągającego chustkę do nosa, i przekładającego ją razy dziesięć tam i nazad, albo też jak gonił w koszuli rozwiniętej za dawnymi fałdami. Żandarmy w służbowej pozyturze stali tymczasem nieruchomi z haubicami na głowach a karabinami w rękach, i długo patrzali się na to pakowanie, z jakim się pewnie nie zdybali jeszcze nigdy. Jakoż wyraz zadziwienia niepospolitego wystąpił na obu twarzach. To zadziwienie przechodziło pomału w niejaki ambaras, wzmagający się coraz więcej. Kapitan ani uważał na nich; on właśnie po raz może dwudziesty krawatkę układał, by sprzączka broń Boże bielizny o szwank jaki nie przypawiała. Nareszcie spojrzeli obaj żandarmy na siebie z wyrazem zawstydenia prawie. Kapitan zaimponował im swoją flegmą. Coś sobie szepnęli do ucha i milczkiem wynieśli się z izby. Poważna flegma kapitana przekonała ich, że się w osobie pomylili, i że jest niewinny.

— Bo gdzież by był wstanie pakować się z taką zimną krwią i tak systematycznie, gdyby był winien!

Kapitan na nich pierwiej nie zważał, tak i teraz najobojętniej przyjął ich oddalenie się, skończył pakowanie, kazał zaprządz i jak najspokojniej wyjechał sobie z miasteczka.

Lecz wróćmy do dalszej historii o pobytku kapitana w domu pana Augusta.

Między fajką i pakowaniem pojawiał się służący razy kilka z doniesieniem, że już obiad na stole, a państwo czekają. Odpowiedział jak zwykle.

— Zaraz!.. zaraz!.. niech mi tam schowają..

To też skończyło się na tem, że gospodarstwo zjedli obiad sami, a dla kapitana zostawić kazali.

Gdy już całkiem prawie ułożył zawiniątko, rozmyślał właśnie, jakby je można raz jeszcze przełożyć, przeszła mu nagle myśl do głowy, myśl śnać bardzo szczęśliwa, bo się lekko uśmiech zadowolenia wyrysował na jego ustach.

Powstał, wyjął z zawiniątka jakiś przedmiot, schował go do kieszeni, zasadził czapkę na głowę i jak najpoważniej wyszedł z pokoju. Ale wychodząc niepomny na przestrożę gospodarza, kancelarję zamknął na klucz i schował go do kieszeni. Co mu tam o niewygodę; wszakże tam w kancelarji spoczywa paletot i zawiniątko, niewarte razem dziesięciu reńskich!

Nie dosyć na tem; wychodząc z kancelarji, by wyjść na dziedziniec, trzeba było trzy czy cztery przechodzić pokoje. Kapitan zamknął każde drzwi z osobna dla większej pewności, wzięwszy klucz ostatni do kieszeni, pół domu zostawił w stanie niejako obleżenia czyli raczej w niewoli.

To uczyniwszy pociągnął prostym traktem na folwark. Pan Kazimierz siedział właśnie przy oknie, długie spisując rejestra dla



swego pryncypała, i choć niezbyt z natury trwożliwy, zadrżał widząc kapitana sunącego ku niemu krokiem wymierzonym. Już to jak mówiliśmy, było to uczucie, które nasz kapitan wzbudzał powszechnie.

Ale pan Kazimierz miał serce na swoim miejscu, i jeden z tych tęgich i niezłomnych charakterów, którym tylko sprzyjających brakuje nie raz sposobności, by się pojawiły w całym świetle swoim. Sam i szlachcic i Polak, i syn byłego oficera walecznego, jakże nie miał poszanować starego kapitana. W pół westchnął, w pół się zasmucił, widząc z jak ważną miną sunie na folwark kapitan, i z całą rezygnacją przygotował się na ten ciężki życia kwadrans. Dodajmy zresztą, że pan Kazimierz choć jeszcze bardzo młody, był już przyzwyczajony do ciężkich przejść życia. Niewesołą przeżył on szkołę życia. Sierota po ojcu, długo szedł w zapasy z zawistnym losem na małej dzierżawie. Prawdziwy szlachcic, i to szlachcic lepszego rodu, za dumny, by się skarżyć lub czyjejkolwiek wzywać pomocy, nie jedno przecierpiał w milczeniu, i ostatniem silnej woli nateżeniem trzymał się tej nad wszystko mu drogiej niepodległości. Lecz prócz dumny, miał prawdziwą szlachetność duszy. Za jej pomocą rozumiał, że nie położenie mniej lub więcej świetne hańbi człowieka, ale jego czyny własne; pojął, że w tem życiu walk nieustannych najprawdziwszą niepodległością jest ta którą się własnej zawdzięcza pracy. Wziąwszy raz niezłomne postanowienie, choć może Bóg tylko jeden widział, co sam w sobie przecierpiał, poszedł w służbę. I to prawdziwem było jego szczęściem i nagrodą, którą mu sama dała Opatrzność, że tak dobrze w swej pierwszej trafił służbie. Pracy było wiele, ale gospodarstwo oboje obdarzeni poczciwymi sercami, umieli mu dowieść postępowaniem swoim, że nie tylko należycie oceniają jego charakter, ale pamiętają zarazem o jego przyszłości. Oboje obchodzili się z nim jako z młodszym, biedniejszym, ale bratem zawsze. Rzadkie to są wypadki w życiu dzisiejszem, i dla tego właśnie, choć w tym obrazku pan Kazimierz przemknie się wam przez chwilę tylko, podnieśliśmy ten piękny rys naszego świata wiejskiego.

Rozfałdował czoło, uśmiechem pokrył wewnętrzne niezadowolenie, i podskoczył naprzeciw wchodzącego — z uprzejmością gościowi winną, i uszanowaniem staremu wiarusowi należnem.

Kapitan się nie odkłonił. On zawsze tak mocno jest zajęty ważnością siebie samego i własnych spraw, że na drugich ledwie zważał. W tej mierze jego małobajająca obojętność dla wszystkich prolongowała się zaprawdę do nieskończoności.

— Słuchajno panie Kazimierzu! — zagał kapitan z punktu wtórując sobie jak zwykle tupaniem nogi i kiwaniem palca od ręki — uważasz tedy, trzeba, żebyś był bardzo pilnym, bo to... uważasz nie lada sprawa. I dla tego uważasz... muszę ci użyzyć rad niejakich.

Pan Kazimierz zdziwione wypatrzył oczy, bo przemowy tej tak właśnie nie zrozumiał, jak my jej dotąd nie rozumiemy. Ale nie chciał pytać, bo wiedział z doświadczenia, że to do niczego nie prowadzi, chyba żeby przedłużyć jeszcze tę nudną pogadankę.

— I właśnie — ciągnął dalej kapitan — przywiozłem ci tu...

bo to bardzo przydatne... tylko uważasz... trzeba wiedzieć, jak i kiedy używać.

To rzekłszy, dobył z kieszeni topkę soli. Zadziwienie pana Kazimierza dochodziło do punktu kulminacyjnego.

Nie będziemy dłużej nudzić czytelników naszych przytoczeniem tej całej blisko godzinę trwającej rozmowy. Szło więc kapitanowi o konia, którego dochowywał się jak zawsze kosztem cudzym. Koń ten był oddany pod szczególną pieczęć pana Kazimierza, który tedy najcierpliwiej musiał wysłuchać dysertacji o przyrodzie konia, co mu jest pomocnem, co szkodliwem. Dawał mu w tej mierze do najwyższej drobiazgowości doprowadzone rady dyetetyczne, w których ta przywieziona topka soli miała oczywiście przeważną odegrać rolę.

— Tylko uważaj! — zakończył kapitan — abyś się z tą topką soli ostrożnie obchodził... Jedna topka może na bardzo długo wystarczyć. Proszę cię tylko, pilnuj, by się kto nie podzielił moją solą, bo ona tylko dla mego konia.

Podczas gdy kapitan nudził biednego Kazimierza higieną końską, w domu panuje rwetes okropny. Gospodarz domu potrzebuje wejść do kancelarji, to zwykła godzinka rachunków; gospodyni potrzebuje znowu mnóstwa rzeczy z pokoi o kancelarję przytykających. Daremny szturm przypuszczają; pokoje szczelnie zamknięte.

— A to miły gość! — krzyczy gospodarz.

Gospodyni choć się niby śmieje, niemniej jest zniecierpliwiona.

Ludzie się także niecierpliwia, bo biegają za kapitanem na wszystkie strony, a jak na nieszczęście ktoś powiedział, że widział kapitana wędrującego do miasteczka, co mu się rzeczywiście zwykle trafiało. A i kucharz niecierpliwiał się ledwie nie najgorzej, bo nie może odstąpić kuchni, i musi pilnować grzejących się dla kapitana potraw.

— Czego nadto, tego za wiele! — ozwał się znowu gospodarz — on mnie to już nie pierwszy raz uczynił.

I prawda!... scena ta zamykania pokoi mimo próśb gospodarza, odbywała się za każdą bytnością kapitana.

— Ale poczekaj! — zakończył gospodarz, i jak był stanowczy we wszystkim co czynił, nie wahając się długo, wydał rozmaite rozkazy.

Za godzinę gdy nadszedł kapitan, jakże był zadziwiony, gdy wszystkie drzwi przez niego zamknięte, mimo, że klucz w jego własnej dotąd spoczywa kieszeni, zastał na oścież otwarte. I jeszcze mocniej wybałuszzył oczy, gdy się przekonał, że we wszystkich pokojach poodbijane zamki, klamki i wszelkie zasuwki.

Zakiwał głową, i w pierwszej chwili języka zapomniał w gębie, gdy mu gospodarz bez gniewu, a nawet z rubasznym powiedział uśmiechem:

— Już teraz kapitanie kochany zamykać nie będziesz pokoi. Wiele razy przyjedziesz do mnie, tyle razy zamki będą poodbijane.

— Ale mój paletot i moje zawiniątko?...

— Za całość twych drogich efektów zareczam ci kapitanie!...



— Dobrze to mówić... zaręczam... zaręczam!... ale zdarzają się wypadki rozmaite... uważasz tedy... których ja sam doświadczyłem.

Nic nie pomogło wszelkie nudzenie pana kapitana; póki nie wyjechał wszystkie drzwi stały otworem. I gospodarz dotrzymał słowa; operacja ta powtarzała się, ile razy kapitan przyjechał. To też za to kapitan pojechawszy potem do najbliższego sąsiada, nie miał nic pilniejszego jak rozpowiadać:

— Uważacie państwo!... smutna to rzecz... ale ja zaręczam, że biednemu panu Augustowi coś tak niby...

I palcem wycinając rozmaite gesta koło głowy, dawał niby do zrozumienia, jakoby z głową pana Augusta nie było bardzo bezpnie.

Na tych kilku rysach możnaby poprzestać, bo z nich występuje już dosyć jasno nieznośne naszego kapitana usposobienie. Lecz takich rysów jest takie mnóstwo, że niezawadnie nie spisać ich na wołowej skórze. Dokończmy przynajmniej tę wizytę u państwa Augustowstwa, którą opisywać zaczęliśmy.

Następkawszy się nie mało na dziwne fantazje gospodarza, zdecydował się wreszcie kapitan zasiać do przygrzanego obiadu. Przy każdej takiej sposobności, nie szczędził najrozwickiej rozpowiadanych i najnudniejszych krytyk swoich, stosowanych nie tylko do kucharza, ale i do gospodyni samej, która musiała słuchać ich najcierpliwiej i w milczeniu, bo każde słowo odpowiedzi działało na kapitana, jak nowe nakręcenie zegarka z repetycjami, dłużej tylko trwało to nieznośne i jednostajne repetowanie.

Po objedzie znikł na chwilę kapitan, lecz wnet się znowu pojawił i zbliżył do samej pani domu, z miną ważniejszą niż zwykle i papierkiem podługowatym w rękę.

— Proszę no pani! — zaczął, i z coraz większym przyciskiem zaczął tupać i palcem kręcić.

— Co pan kapitan każe? — zapytała biedna gospodyni ze strachem.

— Uważa pani!... bo to kobiety najlepiej rozumieją...

I palcem wskazał na papierek w rękę.

— Jabym pani prosił!... tylko żeby mi nic nie zginęło...

— O cóż idzie kapitanowi?...

— To jest uważasz pani! — mówił dalej uderzając ręką po papierku — to jest... spis brudów moich.

Zapłonila się mimowolnie biedna gospodyni.

— Niech pan odeszle to do garderoby! — rzekła do niego.

— Bo!... kiedy to widzi pani!... czasem guzików brakuje... toby trzeba...

— Ale już dobrze!... dobrze!... proszę tylko odesłać...

Był to groch o ścianę. Kapitana nie wstrzymać, gdy sobie coś wygadać postanowi.

— I widzi pani!... czasem niby łateczki trzeba... więc uważa pani!...

I na gwałt podawał jej ten nieszczęśliwy spis brudów. Pan

August, który dotąd chodził po pokoju, chcąc żonę uwolnić od nudnego nagabywania, zbliżył się co prędzej.

— Dobrze już mój kapitanie... oddaj mi rejestrzyk... ja sam się nim zajmę..

I chciał mu kartkę wyrwać z ręki, ale gdzie tam! Prędzej kulę wstrzymasz w biegu, niżeli kapitana przełamiesz w uporze. Pani Augustowa musiała sama przyjąć spis brudów kapitańskich, nasłuchawszy się poprzednio sownie długiej i nudnej dysertacji, w tym samym guście rozwlekłym.

Z tego nudziarstwa jest pan kapitan tak sławny, że trzebaby chyba cztery tomy spisać, aby wszystkie podobnego rodzaju przytoczyć przykłady. Jest postrachem całej okolicy, a przecież przyjmują go wszędzie.

Jeszcze jeden rys krótki rzucimy, rys prawdziwy, aby dać wyobrażenie zupełne o zacnym kapitanie.

Wspomnieliśmy już poprzednio kilka słów o tem, że miał nie-szczęście być posądzonym o zbrodnię. I w rzeczy samej zabił człowieka, własnego służącego, który się porwał na niego. Broniąc się takim toporkiem góralskim, uderzył napastnika razy kilka; jakoż zraniony umarł po dniach kilku. Z powodu tego był długi czas więziony, zanim się rzeczy wyjaśniły. I że się nie wyjaśniły prędzej, sam sobie był winien, przewlekając protokoły nudziarstwem swoim. Nadaremnie n. p. sędziego go wypytywał o szczegóły dotyczące się sprawy; on z najzimniejszą krwią tupiąc nogą i kiwając palcem, plótł rozmaite androny i wywodził skargi to na wilgoć w pomieszkaniu, to na inne niedogodności w więzieniu. Wszystkich sędziów tak wynudził i wymęczył, że każdy rad był, gdy mógł choć na czas jaki odsunąć od siebie ten kielich goryczy.

Lecz nie samych tylko sędziów wynudził. Arcydziełem nudziarstwa był fakt następujący. Dla szczupłości miejsca, czy dla innych przyczyn, umieszczono w tej samej izbie więziennej, gdzie mieszkał kapitan, dwóch czy trzech prostych o jakieś przestępstwa obwinionych chłopków. Tak ich solennie wynudził, że po kilku dniach biedni chłopki udali się do sędziego, oświadczając mu, że chętnie odsiedzą podwójną i potrójną kożę.

— Tylko niech od nas wezmą tego nudnego pana! -- błagali najszczerzej.

Sławne na całą okolicę były oświadczenia kapitana. Mieszkała niedaleko wdówka bogata, jeszcze w sile wieku i wcale przystojna. Kapitanowi nagle przyszło na myśl, że byłoby to wcale nie głupią rzeczą dostać na starość bogatą żonkę, spokojny i dostatni kącik, a co może więcej nad wszystko, kogoś takiego, któregooby sobie mógł nudzić ciągle i nieustannie. Że zaś kapitan jest energiczny już jako kapitan, więc nie odwlekając pojechał do wdówki. Było to jakoś przed obiadkiem, dla nabrania fantazji jadł kapitan za czterech, a oświadczyły odłożył na poobiedzie. Tymczasem po obiedzie przyszła czarna kawa, i kapitan z wdową znaleźli się sam na sam. Sposobność nie lada. Oświadczyć się trzeba, lecz od czego zacząć?...



— Więc tedy!... prosiłbym pani! — zaczął kapitan z studenckim uśmiechem — uważa pani... o kawałek papieru!

Bóg go tam raczy wiedzieć, na co mu było trzeba papieru; może tak dla kontenansu, aby coś trzymać w ręku. Wdowa znając ekscentryczności kapitańskie, choć nieco zdziwiona, przyniosła mu papier do pisania.

— Jużto uważasz pani... bo to zawsze... ja mniemam, że tak naprzykład lepszy byłby jakoś... tak nieco miększy papier!...

Wdowa śmiech połknęła i podała numer Gazety Lwowskiej, który się jej nawinął... kapitan przyjął ten papier z widocznym zadowoleniem, ale snać jeszcze mu się nie zebrało na koncept do oświadczenia, bo ciągle stał w niepewnej pozyturze przed wdową, i zawsze dla kontenansu zapewne, zaczął papier miętosić w ręce jednej, a drugą trzeć go, jakby go chciał jeszcze miększym uczynić.

Nareszcie krząknął razy kilka, tupnął nogą i miasto kiwania palcem, trąc ciągle papier trzymany w ręku, tak zaczął:

— Uważasz pani!... są chwile w życiu!... tak jest, chwile stanowcze... w których żadna już siła nie wstrzyma...

Tu tarł papierem coraz zawzięciej, by uzupełnić przestanek mimowolny, bo po raz pierwszy w życiu oświadczał się na serjo.

— Uczucia! tak uczucia uważa pani!... i serce... i szczęście... pani mnie rozumie... szczęście domowe.

Wdowa jako żywa nie rozumiała ani słowa, tylko ją mimika kapitana z papierem śmieszyła niepospolicie. Lecz nie było tym razem osądzonem, aby się kapitan o wiele jaśniej wytłumaczył. Dodał jeszcze kilka wyrazów urywanych, wedle niego bardzo zapewne zrozumiałych:

— Uważa pani!... ja także mam serce... a pani także!... więc tedy... pani mnie już rozumie... miłość wzajemna... szacunek... pożyście!...

Tu czy wątku mu zabrakło, czy inna przyczyna, nagle cofnął się żywiej niż zwykle, potarł jeszcze papierem, i prędzej niż miał w zwyczaju wyrzekł:

— Niech pani się rozmyśli... ja wnet wrócę.

To rzekłszy wyszedł przyspieszonym krokiem, i poszedł do siebie... spać zapewne...

Wdowa rzuciła się na sofę śmiejąc jak szalona; lecz gdy się naśmiała, było już jej zanadto tego kapitańskiego sansfaçon, więc korzystając z chwili kazała zaprzadź i umknęła z własnego domu. Kapitan odbywszy szczęśliwie swoją drzemkę czy co takiego, gdy wrócił po odpowiedź, nie zastał bogdanki, która nie miała nic pilniejszego, jak rozpowiedzieć tę całą historję oświadczenia z papierem w ręku, przerwanych tak nagle i w chwili tak stanowczej. Łatwo pojąć, jaki w całym sąsiedztwie powstał śmiech homeryczny.

I myślicie państwo, że kapitan został na starość takim nudziarzem? Gdzie tam!... był nim od lat najmłodszych. Jakoś na dokończenie jeszcze ostatni rys z czasów młodszych. Jakkolwiek nudziarz i egoista, niedbający o nikogo, tylko o siebie, niemniej przeto kapitan był tęgim żołnierzem. Sławny był w całym wojsku z swojej

zimnej krwi i z męskiej odwagi. Dla niego huk armat, świst kul w koło niego przebiegających, był niczem. Bojaźni, znużenia choćby chwilowego nie rozumiał wcale.

I trafiło się razu jednego w czasie kampanji, że pułk konnicy, w którym kapitan dowodził szwadronem jednym, stał w asekuracji armat. Takie stanie na jednym miejscu należy do najnieprzyjemniejszych przejść wojennych, bo tu nieprzyjacielskie baterje walą bez ustanku w cel nieruchomy, kule wyrwają co chwila nowych ludzi z szeregu, a tu się ani ruszyć nie można, i trzeba patrzeć na to wszystko z tą myślą, co się koniecznie nawija, że lada chwila, za pierwszym bęcnięciem dział nieprzyjacielskich, które widać doskonale, przyjdzie kula świeża i uderzy w patrzącego i myślącego, jak przedostatnia tylko co sąsiada przez pół przerwała.

Owoż tedy ogień był piekielny. Trzy baterje waliły w jeden punkt, grając szatańskim chórem. Stojący w asekuracji padali, wyrwani całemi szeregami. Ogień nareszcie nieprzyjacielski wzmógł się do tego stopnia, że pułkownik zakomenderował ruch na prawo czy na lewo w tej samej linii, ale który mógł choć cokolwiek oddalić asekuracyjny oddział z dyrekcji strzałowej. Szereg po szeregu przesuwały się; na samem skrzydle został tylko nasz kapitan. Kiwnął ręką na żołnierza stojącego na skrzydle, który był mu zwykłym ordynansem, i zląwszy z flegmą z konia, przemówił do niego z najzimniejszą krwią, jakby sobie z nim w pokoju rozmawiał. Maciek biedny oglądał się mimowolnie, i byłby chętnie pociągnął za kolegami, bo w to właśnie miejsce gdzie stali obaj, sypały się kule gradem prawdziwym.

— Jużem ci mówił — zaczął kapitan — żeś głupi... zawsze mi tak pakujesz samowarek koło mantelzaku, że mnie gniecie.

Miał bowiem kapitan samowarek, który go w czasie kampanji nie odstępował.

Maciek zaczął bełkotać, co niby na to wyglądało, że on później błąd swój poprawi. Gdzie tam! nic to Maciusiowi nie pomogło. Musiał konia rozsiodłać, wszystko poprawić, i nazad osiodłać, i obaj stali przez ten czas w najokropniejszym ogniu armatnim. Kapitan, jakby go te strzały padające w koło niego nic nie obchodziły, dawał przez ten czas ze zwykłym swem nudziarstwem instrukcje Maćkowi, jak się najlepiej ma odbywać pakowanie mantelzaka i samowara.

Gdy to się skończyło, wówczas dopiero odjechał nasz kapitan z flegmą do szeregu swego.

Koniec tomu szóstego.



## SPIS RZECZY TOMU VI.

---

	Strona
1. Szkoła świata . . . . .	5
2. Wykradzenie . . . . .	111
3. Palec Boży . . . . .	161
4. Cmentarz wiejski . . . . .	265
5. Folbluty . . . . .	295
6. Pan kapitan . . . . .	303

---



INSTYTUT  
BADAŃ HISTORICZNYCH PAN

Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-241 Warszawa

Tel. 26-68-69, 26-68-71 w. 42





1106





F  
709 1/6